

JURAJ ČERVENÁK

# BOHATYR

W KRWI BOGÓW  
RODZI SIĘ LEGENDA...

ŻELAZNY KOSTUR



JURAJ ČERVENÁK  
**BOHATYR**

przekład  
ilona lechowicz

ŻELAZNY KOSTUR

INSTYTUT  
WYDAWNICZY ERICA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Od Autora

**Księga pierwsza.** Uzdrawienie Ilji Muromca

Rozdział pierwszy. *Trzech wędrowców*

Rozdział drugi . *Pierwszy bój*

Rozdział trzeci . *Księżę Światosław*

**Księga druga.** Trzy drogi Ilji Muromca

Rozdział czwarty *Droga, przy której czyha śmierć*

Rozdział piąty . *Droga do miłości*

Rozdział szósty . *Droga do skarbu*

**Księga trzecia.** Ilja Muromiec i Jegor Światogor

Rozdział siódmy. *Synowie czarnego smoka*

Rozdział ósmy. *Jezioro krwi i kropla miodu*

Rozdział dziewiąty. *Bułgar*

**Księga czwarta.** Ilja Muromiec i Tugarin Drakowicz

Rozdział dziesiąty . *Zmierzch nad Szuwarem*

Rozdział jedenasty. *Noc smoka*

Rozdział dwunasty. *Skradziona imię*

## **Dodatki.**

Dawne nazwy geograficzne

Dawne plemiona i ludy

Postacie historyczne

Dawni bogowie, mityczne zwierzęta i miejsca

Przedmioty codziennego użytku, tytuły honorowe, jednostki miar

Tytuł oryginału: VLÁDCA VLKOV

Tłumaczenie: AGATA MICKIEWICZ-JANISZEWSKA

Redakcja serii i opracowanie historyczne: ARTUR SZREJTER

Korekta i skład: kaziki.pl

Opracowanie graficzne: PIOTR CIEŚLIŃSKI

Ilustracja na okładce: © Michal Ivan

Copyright © Juraj Červenák, 2009

All rights reserved

Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2013

ISBN 978-83-64185-48-9

Instytut Wydawniczy ERICA

e-mail: [wydawnictwoerica@wp.pl](mailto:wydawnictwoerica@wp.pl)

[www.WydawnictwoErica.pl](http://www.WydawnictwoErica.pl)

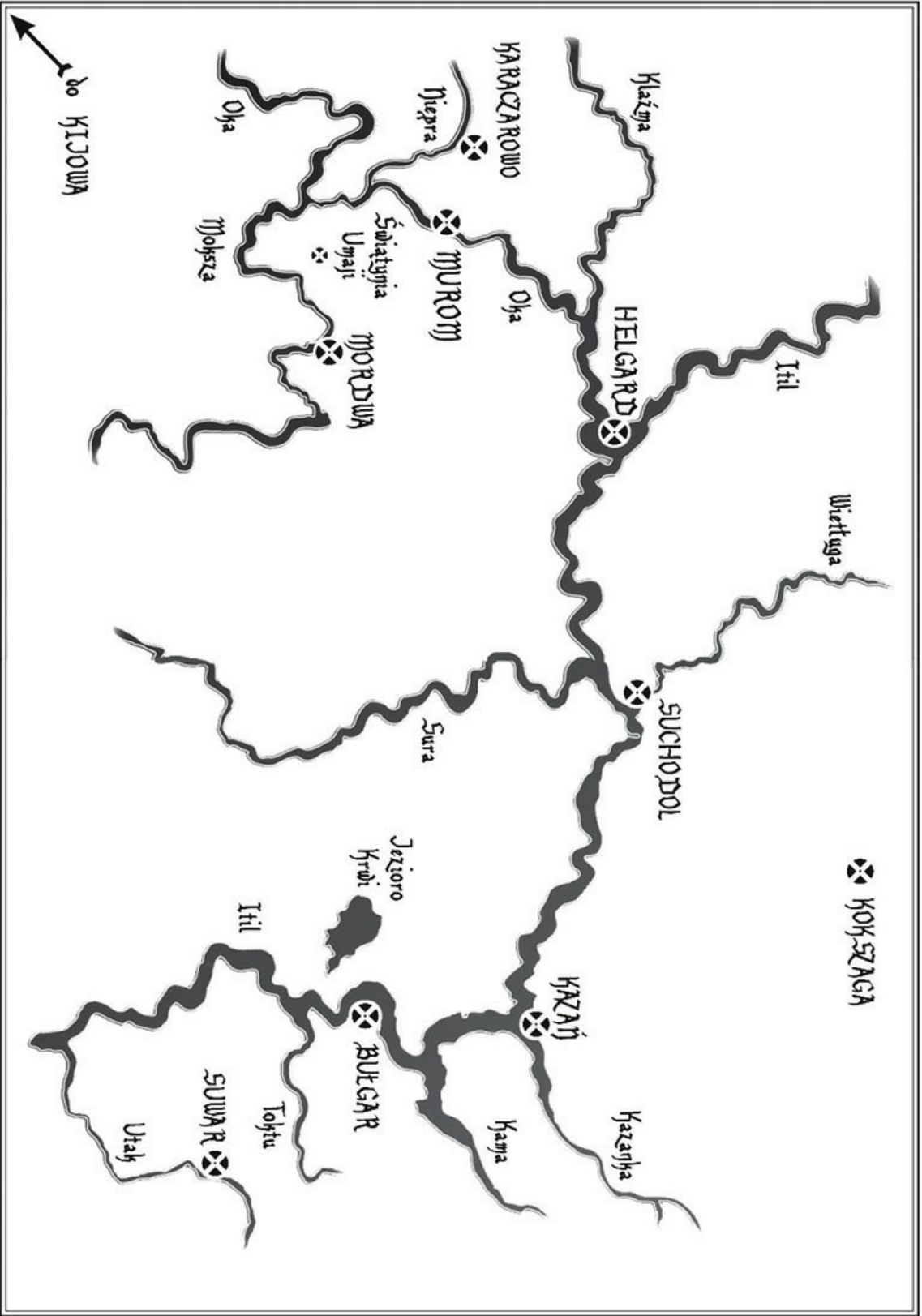
Oficjalny sklep [www.tetraErica.pl](http://www.tetraErica.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

**K**siążkę dedykuję przede wszystkim Zorce, która towarzyszyła mi przez cały czas, kiedy powstawała ta opowieść o bohaterach – nie tylko tekst, ale też sam pomysł – a czas ten można już liczyć w latach. Czułe wsparcie, którego mi udzielała – zwłaszcza w chwilach kryzysów twórczych – jest nieocenione.

Szczególne podziękowania za wiele cennych uwag, które pomogły mi wychwycić pewne błędy merytoryczne, należą się Robertowi i Jiřiemu Pilchom. Za wsparcie i promocję dziękuję przyjaciołom, zwłaszcza Kate, obu Palim, Huncúтови, Jessemu i wszystkim pozostałym. Dziękuję też życzliwym duszom, jak Marcus czy Sirius Black alias Martin, oraz upartym „dopingującym”: Miłoszowi Ferkowi i Martinowi Fajkusowi. Oczywiście również wszystkim ludziom z „Twierdzy” i „Fantazji”.

Ostatnie w kolejności, ale niezwykle ważne, podziękowania należą się całej mojej rodzinie. Zwłaszcza zaś Alence – z całą miłością, której nie zdążyłem jej wystarczająco okazać.








KSIEGA PIERWSZA

**Uzdrowienie  
Ilji Muromca**

## Trzech wędrowców

wego wieczoru, kiedy Karaczarowo dotknęła klęska, Ilja, syn Jahji, był pijany jak bela. Samo w sobie nie było to nic wyjątkowego, przecież od czasu, gdy przed trzema laty zmarła jego matka – jedna z niewielu dusz w osadzie, które się z niego nie naśmiewały ani na jego widok nie pluły z pogardą – upijał się niemal codziennie. Już prawie sikał miodem pitnym i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio w jego głowie gościła trzeźwa myśl.

Tego wieczoru jednak niewiele brakowało, by napitek go zabił. Nie, nie przesadził z miodem aż tak, by niedomagające ciało do reszty wypowiedziało mu posłuszeństwo. O nic się nie potknął i nie wyrócił, nie rozbił sobie czaszki. Nie zaczął też zwracać przez sen i nie udusił się wymiocinami. Wszakże to właśnie miód podszeptał mu, by przewycięzył rozgorczenie i przestał uważać się nad sobą w samotności, wylazł z odległej ziemianki pod lasem i wybrał się niepewnym krokiem do Karaczarowa.

Właśnie dziś przypadała noc przesilenia letniego. A podpity Ilja zapragnął posłuchać śpiewów i popatrzeć na tańczące dziewczęta.

Strzelające wysoko płomienie wiatr tak rozjaśniły noc nad Karaczarowem, że gwiazdy stały się niemal niewidoczne. Chłopi nie potrafili się wyrzec starych zwyczajów, mimo że już jakiś czas temu przyjęli nową wiarę. Kiedy

miejscowi starcy byli jeszcze junakami, a staruszki – dziewczynami, bułgarski chan Almas, najpotężniejszy władca nad całą rzeką Itil, wyprawił poselstwo do Arabów, by przysłali nauczycieli wiary mahometańskiej. Kalif Bagdadu wysłał Ahmeda ibn Fadlana, słynnego uczonego i podróżnika. Ten przyniósł nad Itil świętą księgę *Koran* i nauki proroka Mahometa. Almas przybrał muzułmańskie imię Dżafar i tytuł emira, a w stolicy Bułgarii kazał postawić wielki meczet z białego kamienia. Posłał też krzewicieli islamu do wszystkich podbitych plemion, żyjących nad Itilem, Kamą i Oką. W niektórych miejscach nowa wiara zapuściła głębokie korzenie, ale gdzie indziej ludzie wciąż składali ofiary słonecznemu Tangrze, Kwarowi gromowładcy lub złemu Erlikowi, który włókł dusze zmarłych w zaświaty.

Na ziemi Muromców wiara w Allaha przyjęła się zaskakująco dobrze – głównie dzięki Alwarowi, księciu mającemu siedzibę w Muromiu, który posłusznie wykonywał wszystkie rozkazy bułgarskiego emira. Kiedy jednak przyszedł czas przesilenia, Muromcy przypomnieli sobie o starych bogach płodności i hulaszczym zabawach. Złożyli ofiary przodkom, leśnym duchom, tańczyli, śpiewali i oddawali się miłości. Nie zaprzęтали sobie głowy skutkami odstępstwa – rano przecież znów rozłożą kobierce, skłonią się pokornie w kierunku Mekki i Bułgaru, a wtedy wszystko zostanie im odpuszczone.

Kiedy Ilja dowlóknął się do oświetlonej ogniem łąki nad wznoszącym się lekko brzegiem Nieprzy, święto trwało już w najlepsze. Młodzieńcy przeskakiwali watry, aby uwolnić się od chorób oraz złych duchów, wyłazących z ziemi i leśnych ostępów. Dziewczęta utworzyły chorowód i, trzymając się za ramiona, przemykały między ogniskami, śpiewały i rzucały młodzieńcom niecierpliwe spojrzenia oraz uśmiechy pełne obietnic. Starsi i zupełnie starzy siedzieli przy prostych stołach, popijali, ucztowali, wspominali czasy, kiedy w podobne noce im samym krew burzyła się w żyłach.

Ilja przez chwilę stał w cieniu, zaskoczony obecnością aż tylu ludzi. Zeszła się cała osada, a on nie przywykł do gwaru – większość czasu leżał skulony

w ziemiance albo tułał się samotnie po lesie. Stronił od innych karaczarowian, wielu z nich wręcz się obawiał. A teraz taka wrzawa... Wziął głęboki wdech, odetkał tykwę, którą niósł ze sobą i zaczerpnął kilka sporych łyków dla dodania sobie pewności. Miód był mocny, Ilja od razu poczuł, jak wlewa mu w serce odwagę. Ośmielony, wszedł w okrąg światła.

Od razu go zauważyli, głównie starsi, którzy bawili się uważnym obserwowaniem wszystkiego, co się wokoło działo, po czym rozważali szeptem, czy odpowiedni młodzieniec zaciągnął w mrok lasu właściwe rozchichotane dziewczę. Teraz rzucili przygarbionemu, ciężko kroczącemu mężczyźnie zaskoczone spojrzenia, a z zakrytych dłońmi ust popłynęły pomruki i szmer oburzenia. To, że Ilja był kaleką, że już z łona matki wyszedł ledwie żywy i z krzywymi kośćmi, jeszcze by jakoś znieśli i może nawet w głębi serca żalowali chłopaka. Jego rodzicielką była jednak niewolnica z plemienia Wiatyczów, pogańska czarownica, kłaniająca się złowrogiemu Perunowi, roгатemu Welesowi i nieznośnemu Diwowi. Władcyka Jahja, ojciec Ilji, postąpił bardzo słusznie, kiedy krótko po narodzinach paskudy wygnał niewolnicę z domu. Ba, w ogóle nie powinien był się nad nią litować, powinien był ją zgodnie ze zwyczajem spalić. W ten sposób uchroniłby wieś, na którą potem z zemsty rzucała uroki i złośliwe czary. Każdą chorobę i nieszczęście, które zawitały do Karaczarowa, od razu przypisywano działaniu jej złej woli. Nie ma się co dziwić, że kiedy przed trzema laty zamknęła oczy, wszyscy odetchnęli z ulgą. Mimo lamentów Ilji i jego oporu, w końcu złamanego biciem, zwłoki kobiety przebito dębowym kołkiem, odcięto głowę, a leżące już w grobie ciało dla pewności przygnieciono głazem.

Na świecie pozostał jej syn. Dziecko czarownicy, odmieniec, niewydarzony i przeklęty. Wielu myślało, że odziedziczył magiczną moc, że podczas obrzydliwych rytuałów przywołuje na pomoc te same biesy i pogańskie bóstwa, co ona, że mści się na sąsiadach i im szkodzi. A jakby tego jeszcze było mało, dzisiaj był tak bezczelny, że przyczłapał na

uroczystość. Przyszedł – on, obrzydliwy, brudny, śliniący się – znieważać święto młodości, siły i płodności!

Ilja nie zwracał uwagi na nieprzychylnie spojrzenia. Docierał do niego tylko śpiew. Może i był kaleką, ale oczy i uszy służyły mu dobrze, lepiej niż komukolwiek w osadzie.

Nawet w tym wielogłosowym zborze dosłyszał jej uroczy śpiew. W splocie niewyraźnych postaci, widocznych na tle bijących iskrami wiatr, nieomylnie rozpoznał jej szczupłą sylwetkę. Przyspieszył kroku, a krzywe nogi były mu wyjątkowo posłuszne.

– Dinaro! – zawołał.

Śpiew urwał się nagle, a chorowód rozerwał. Bębny straciły rytm, kościane piszczałki zakwiczały fałszywie i umilkły.

Obejrzała się zaskoczona. Gęste, krucze włosy pod wiankiem z kwiatów miała rozczochrane, policzki rozpalone, przyspieszony z podniecenia oddech unosił jej pierś. Kiedy jednak zauważyła Ilję, uśmiech zniknął z jej twarzy, a wyszczerzone wcześniej zębki skryły się za skrzywionymi z niezadowolenia wargami.

– Ilja? Co ty tu robisz?

Uśmiechnął się, ale ponieważ mięśnie prawego policzka miał sparaliżowane, wyszedł z tego brzydki grymas, raczej odstręczający, niż dodający wdzięku.

– Przyszedłem dla ciebie, Dinaro...

– Jesteś pijany, Iljo. – Skrzywiła nos, kiedy poczuła od niego nieprzetrawiony miód. – Jak zwykle. Wracaj do domu. Musisz się położyć i porządnie wyspać...

– Chciałem popatrzeć, jak tańczysz – wymamrotał. – I usłyszeć twój śpiew...

– Jak chciałeś słuchać śpiewu, skoro z uszami masz coś nie w porządku?!

W barczystym i wysokim młodzieńcu, który wszedł nagle między nich,

Ilja natychmiast rozpoznał Tarika, bardziej udanego syna władcy. Już wcześniej zauważył, że jego przyrodni brat ogląda się za Dinara, a teraz zyskał tego wyraźny dowód.

– Przecież powiedziała, żebyś wracał do domu – ostro ciągnął Tarik ibn Jahja. – No to teraz się odwróć i zmiataj tak szybko, jak tylko ci pozwolą krzywe gnaty.

Pozostali młodzieńcy zarechotali, wyrażając uznanie dla Tarika.

– Nie złość się, braciszku...

– Nie jestem twoim braciszkiem – szczerknął Tarik i tak popchnął kalekę, że ten o mało nie upadł. – Jesteś synem przeklętej wiatyckiej czarownicy. Kto wie, z kim cię tak naprawdę spłodziła. Pewnie z leśnym biesem! Z nasienia władcy na pewno by nie wzrosło takie obrzydlistwo!

– Zostaw go, Tarik. – Dinara uczepliła się jego ręki. – Nie widzisz, że ledwie trzyma się na nogach? Nie krzywdź biedaka jeszcze bardziej. Wracaj do domu, Iljo, zanim narobisz sobie jeszcze większego wstydu.

Współczucie w głosie Dinary wzbudziło złość Tarika. Jego oczy zabłyśły złowrogo.

– Patrzcie no, Dinara ma do ciebie słabość, garbusie. – Skrzywił się złośliwie. – No dobrze. Chciałbyś ją? Najpierw musiałbyś zasłużyć...

– Tarik, nie rób tego. – Czarnowłosa spojrzała prosząco, ale młodzik nie zwracał na nią uwagi. Liczni gapie dobrze się bawili, więc nie mógł się już wycofać.

– Musisz skoczyć przez ogień, jak wszyscy młodzieńcy. – Tarik odszedł nieco w bok i wskazał Ilji częściowo wypaloną, ale nadal wysoko strzelającą ogniem wiatrę. – Tylko tak możesz sprawić, że serce dziewczyny zabije żywiej. No już, skacz!

Ilja spoglądał na płomień szeroko wytrzeszczonymi oczyma. Polana już się przepaliła, od żarzącego się ogniska biło gorąco jak z dobrze rozdmuchanego kowalskiego pieca.

– No co, boisz się? Mam ci to pokazać? – Skrzywił się Tarik. – No to przypatrz się dobrze!

– Tarik, proszę... – zakwiliła Dinara, ale syn władcy strząsnął jej rękę ze swojego ramienia, odwrócił się, wziął rozbieg i dziarskim skokiem przeleciał nad watrą. Płomienie nawet nie liznęły jego pięt. Dziewczęta westchnęły i zaśmiały się z uciechy, a junacy huknęli z uznaniem.

– No już – Tarik spojrzął przez ogień na Ilję – spróbuj i ty! Skacz! Pokaż swojej wybrance, że z ciebie kawał chłopca!

Kaleka ciągle spoglądał na watrę. Nie był głupcem, a resztki rozsądku wołały, żeby splunął z pogardą, odwrócił się na pięcie i odszedł z podniesioną głową. Niestety, miód krzyknął głośniejszym głosem i zagnał rozsądek do kąta. Ilja oblizwał wyschnięte wargi, po czym poprosił w duchu wszystkich bogów, których matka nauczyła go wzywać, by dali jego nogom choć odrobinę siły i zręczności.

Dinara pokręciła głową i wyciągnęła ku niemu rękę, ale Ilja w tej samej chwili zaczął biec. Choć biegiem nie można było tego nazwać. Podskakując niezręcznie i ciągnąc za sobą ze wszystkich sił nieposłuszną lewą nogę, wyglądał jak kaleki, uciekający z chlewika prosiak.

Zgromadzeni na moment zamarli i wstrzymali dech.

Żar ogniska uderzył Ilję w twarz. Młodzieniec chrapliwie, niezrozumiale krzyknął i odbił się ze wszystkich sił.

To nie wystarczyło.

Z mocno zaciśniętymi powiekami i odwróconą głową przeleciał prosto przez języki ognia. Wzbijając chmury iskier i dymu, padł głową u nóg Tarika. Jego stopy zawadziły o płonące polana i pociągnęły je za sobą. Nogi uwięzły w ognisku.

Ilja wrzasnął. Płócienne spodnie natychmiast zaczęły się palić, jakby były nasiąknięte olejem. Tarik zarechotał, ale złapał kalekę za rubaszkę pod szyją i mocnym szarpnięciem odciągnął w bezpieczne miejsce. Dinara obiegnęła

watrę, zerwała z ramion ozdobną chustę i zaczęła nią dusić płomień na nogach Ilji.

Kaleka czołgał się i skomlał jak zbity pies. Wszyscy wokół zanosili się od śmiechu.

– Co tu się wyprawia?

Słowa zabrzmiały niczym trzask bicia. W jednej chwili wrzawa przycichła, tylko gdzieś tam rozlegały się pojedyncze odgłosy, przypominające kaszel albo śmiech. Gromada gapiów rozstała się. Na zdeptanej trawie przed swoją twarzą Ilja dostrzegł dwie pary nóg – jedną w męskim, drugą w kobiecym obuwiu.

– Co *ten* tu robi? – Znowu rozległ się czyjś szczekający głos.

– Skacze przez ogień – zaśmiał się trochę wymuszenie Tarik.

– Nikt cię o nic nie pytał!

Ilja podniósł głowę, policzki miał zalane łzami, twarz skrzywioną z bólu. Spoglądał w okolone siwiejącymi włosami oblicze Jahji, władcy Karaczarowa.

– Ojczy... – wychrypiał.

– Jak śmiesz się tak do niego zwracać? – zabrzmiał kobiecy krzyk. Zza pleców Jahji wysunęła się mająca około czterdziestu lat, ale ciągle jeszcze dumnie nosząca się kobieta, Jukka, druga żona władcy, matka Tarika. To głównie przez nią Jahja wygnał matkę Ilji. – Jesteś śmierdzącym bękartem i wyrzutkiem! Nie masz tu czego szukać!

Ilja starał się podnieść. Dinara złapała go pod pachy i pomogła wstać, za co Tarik i Jahja poczęstowali ją chmurnym spojrzeniem.

Ból w poparzonych nogach rozwił pijacką mgłę w głowie Ilji. Głos wewnętrzny, ten przytomny, znów się odezwał. Jak zwykle, zachęcał młodzieńca do oporu i hardości. A on usłuchał.

– Jesteś moim ojcem – spojrzał Jahji prosto w oczy – czy ci się to podoba czy nie. I powinieneś się wstydić, że wygnałeś żonę i pierworodnego syna...



Z twarzy Jahji odpłynęła wszystka krew.

– Ty... Że ci język kołkiem nie stanie! Dobrze się obchodziłem z twoją matką! Niewolnicę, cudzoziemkę na przekór rodowi wziąłem sobie za żonę! A jak mi się odwdzięczyła? Za moimi plecami wciąż czciła ohydne pogańskie bałwany, czarowała po nocach, warzyła magiczne odwary i usiłowała mnie zabić...

– To nieprawda!

– Prawda! – wrzasnął Jahja i zacisnął pięści. – I Allah ją za to pokarał. Zamiast mocnego syna, zdatnego dziedzica, urodziła tego... – władyka spojrział na Ilję z najwyższą pogardą – ...tego potwora!

– To nie była kara boska i dobrze o tym wiesz! – Ilja z każdym słowem podnosił głos coraz wyżej, aż wszyscy obecni wytrzeszczali oczy ze zdumienia. – Matka urodziłaby zdrowe dziecko, gdyby ta strzyga – wskazał palcem Jukkę – jej nie przeklęła! Tylko dlatego, że chciała zostać twoją pierwszą żoną i urodzić prawowitego dziedzica! To ona naprawdę jest wiedźmą, co czaruje w ukryciu, piekielną...

Cios pięści Tarika powstrzymał gniewny potok słów płynący z ust Ilji. Kaleka z zakrwawionymi wargami padł u nóg Jahji.

– Nie mów tak o mojej matce, gnido, bo cię zabiję! – warknął rostry młodzieniec.

– Może to by było najlepsze wyjście – w grobowej ciszy zabrzmiał przepojony jadem głos Jukki. – Najwyraźniej nie wystarczyło wygnać go z matką z osady...

– Nikogo nie będziemy zabijać – burknął Jahja w obronie Ilji, chociaż na jego twarzy ciągle jeszcze malował się gniew.

– No to trzeba go wygnać raz na zawsze i ten jego śmierdzący barłóg oczyścić ogniem ze złych mocy. Niech sobie biegnie do lasu albo na zachód, do tych wiatyckich pogan, których wilcza krew płynie w jego żyłach.

Zachmurzony Jahja pokiwał głową.

– Chyba tak będzie lepiej. Dla nas i dla niego. Słyszałeś, łotrze niewdzięczny? Do domu, już. Jutro zabierz stamtąd wszystko, czego potrzebujesz, i wynoś się precz. Wieczorem przyjdziemy spalić twoją chatę. Jeśli będziesz jeszcze w środku, zgorzejesz razem z nią.

– Nie możecie mu tego zrobić – nagle odezwała się Dinara. – Jest poparzony i potłuczony, musi najpierw nabrać sił. Jeśli jutro wypędzicie go do lasu, pójdzie na pewną śmierć. Wilki rozerwą go za pierwszym drzewem...

– Miarkuj się, dziewczyno! – Oczy Jahji zwięzły się. – Spodobałaś się mojemu synowi, ale jeśli nie będziesz trzymać języka za zębami, jak przystało porządnej kobiecie, rozkażę Tarikowi, żeby się obejrzał za inną. Na tego skurwysyna – wskazał Ilję – już nigdy nawet nie spojrzysz, rozumiesz? Jego matka umiała leczyć czarami ból i rany, a on odziedziczył po niej diabelskie zdolności, niech więc sam się o siebie zatroszczy.

Po tych słowach władcyka odwrócił się i przeszedł przez rozstępujący się tłum w stronę prostego stołu zastawionego misami i dzbankami. Jukka przeszła jęczącego Ilję jeszcze jednym nienawistnym spojrzeniem, parsknęła pogardliwie i podążyła za mężem.

Dinara pochyliła się nad leżącym nieborakiem, ale Tarik złapał ją mocno za rękę i pociągnął ku sobie. W odpowiedzi na jej pytające, pełne wyrzutu spojrzenie, prędko pokręcił głową.

– Zostaw go – syknął – inaczej posłucham ojca i przemyślę to, czy powinnaś zostać moją pierwszą żoną.

Ilja starał się podnieść. Zgromadzenie, do tej pory milczące, znów zaszumiało z ulgą, zamarły tłum zaczął falować. Tarik rozkazał muzykantom dmuchać w piszczały i uderzać w bębny. Noc była jeszcze młoda i trzeba było znów przyspieszyć bieg zastygłej w żyłach krwi.

Właśnie w tej chwili Ilja, który podniósł się na czworaki i spluwał lepką, czerwonawą śliną, podniósł prędko głowę.

– Słuchajcie! – zawołał.

Skierowali ku niemu rozgniewane spojrzenia.

– Zamknij dziób, garbusie! – Ofuknął go Tarik. – Dość się już dziś nagadałeś. Nikt nie jest ciekaw, kogo chcesz jeszcze obrazić!

– Mówię, że macie być cicho! – Upierał się przy swoim Ilja, podnosząc się do klęku, a potem stając na nogach. Miód już niemal całkowicie z niego wywietrzał.

– Mało ci, że raz dostałeś w zęby? – Tarik złapał go za koszulę. – Chcesz jeszcze?

– Cicho! – krzyknął Ilja.

Wzbierająca wrzawa ucichła wreszcie. Spoglądali na niego zaskoczeni. Nie rozumieli, skąd u niego nagle ten gromowy głos.

– Co? – wykrztusiła Dinara, która jako jedyna dostrzegła strach na wykrzywionej przez chorobę twarzy Ilji. – Co usłyszałeś?

Tarik zamarł z podniesioną pięścią, zamrugał niepewnie, obejrzał się i wyteżył słuch jak ryś. Teraz wreszcie i do niego dotarło.

Dudnienie. Dalekie, ale szybko przybierające na sile. Jak gdyby wiatr z dalekich południowo-wschodnich stepów gnał ku nim szalejącą burzę. Tylko że na niebie ciągle jeszcze mrugały gwiazdy.

Karaczarowanie, młodzi i starzy, z lękiem odwracali głowy. Dźwięk dochodził zza Niepry, od strony rzadko zalesionych pagórków, leżących między wsią a wielką rzeką Oką. Ale nawet kiedy mrużyli oczy, wokół było zbyt jasno od ognisk, dlatego przez dłuższą chwilę widzieli na drugim brzegu rzeki tylko nieprzenikniony mrok...

Nagle w ciemności błysnął rozchybotany płomień. A potem drugi, trzeci, czwarty – migotały jak rój świetlików w gorącą, letnią noc. Po chwili na kamienistej plaży na drugim brzegu zaroilo się od szybko migających cieni. Nad Karaczarowem i usianą ogniskami łąką wzniosło się dzikie wycie.

Mieszkańcy wioski zaczęli krzyczeć ze strachu.

Światła, których tańczące odblaski pokryły po chwili zmarszczoną powierzchnię Nieprzy, okazały się pochodniami w rękach atakujących jeźdźców.



– Broń! Potrzebujemy broni! – krzyknął Tarik i wyrwał z szykowanego na ognisko pniaka solidny topór. – Łapcie wszystko, co wam wpadnie w ręce!

– Na Allaha, nie! – Jahja wskoczył między chłopców i machał rękami, by ich powstrzymać. – Pozabijają nas! Uciekajmy do lasu, skryjmy się w gęstwinie!

Młodzieńcy mieli jednak głowy zamroczone miodem, dlatego odsunęli go na bok i odważnie rzucili się do stołów po noże, do ognisk po żelazne rożny, a do kup przygotowanego drewna po dłuższe gałęzie, które mogły posłużyć jako włócznie lub pałki.

– Jest ich tylko nieco ponad tuzin, ojcze! – krzyknął Tarik do władyki. – Zatrzymamy ich przynajmniej tak długo, by kobiety i dzieci zdążyły się schować! Słyszeliście? – Popchnął Jukkę w kierunku czarnej plamy lasu nad łąką. – Odprowadź ich tam, matko! Ukryjcie się w mroku! Prędko, prędko, przebierać nogami!

Żona władyki i zachowująca zimną krew Dinara odwróciły się i jak pasterze pędzą owce, by je ocalić przed zbliżającą się watahą wilków, tak one pognały stadko wieśniaczek, dzieci i starców w górę łagodnego stoku, w stronę lasu. Chłopi na rozkaz Tarika przewrócili stoły i przyczaili się za prowizoryczną zaporą.

Wśród zamętu, okrzyków strachu i wzmagającego się płaczu Ilja niezgrabnie starał się wstać.

– Prędko, Iljo! – krzyknęła do niego Dinara i pomogła mu stanąć na nogach. – Musisz się schować!

– Uciekaj, nie martw się o mnie – odtrącił ją niemal brutalnie i przez garbate ramię spojrział rażno ku rzece. Na zakręcie koło Karaczarowa Niepra

była płytka i nie miała nawet dziesięciu sążni szerokości. Napastnicy, rozpryskując wodę, poprzez którą przeświecał ogień pochodni, dostali się w mgnieniu oka na drugi brzeg, przecwałowali wzdłuż domów na skraju wioski i prędko skręcili na łąkę. Na małych, szybkich, stepowych konikach mieli tam dotrzeć już za chwilę.

– Iljo, rusz się! Życie ci niemiłe?

Znów spojrzął na Dinarę. Potem zerknął w stronę lasu. I nagle złe przecucie przeszło go jak ostra strzała.

Chwilę później ponure, prędko przybierające na sile dudnienie, które nie dobiegało od strony rzeki, a które w tym zamieszaniu i krzyku słyszał pewnie tylko on, zmieniło przecucie w pewność. Zrozumiał, że Tarik i reszta mężczyzn nie docenili atakujących.

– Dinaro! – krzyknął.

– Nie stój tam jak kołek! – Obejrzała się. – Uciekaj z innymi! Schowamy się w lesie!

– Nie, Dinaro! – Zamachał krzywym rękami. – Nie biegnijcie tam! To pułapka!

– Co?!

Z leśnej przecinki nad łąką dobiegł głośny grzmot i zmienił się w tętent mnóstwa kopyt. Zbawczą z pozoru ciemność tuż przed gromadą kobiet i dzieci rozerwały migoczące płomienie pochodni. Druga grupa jeźdźców, liczniejsza niż przybywająca od strony rzeki, w jednej chwili rozciągnęła się wzdłuż lasu i odcięła mieszkańcom wioski drogę ucieczki. Okrzyki strachu zmieniły się w rozpaczliwy wrzask.

Karaczarowscy chłopcy obejrzeni się i zrozumieli, że dali się podejść. Tylko że już nie było czasu na wymyślanie nowych planów – jeźdźcy nadciągający od strony rzeki właśnie dotarli na łąkę.

Rzenie koni mieszało się z łoskotem, ogłuszającym wyciem i szyderczym, szczekliwym rechotem. Ostrogi bezlitośnie dźgały boki koni,

które na rozkaz skakały przez przewrócone stoły. W płomieniach ognisk lśniły zakrzywione szable koczowników, trzaskały bicze, ciskane pochodnie wirowały, ciągnąc za sobą ogony z płomieni. Chłopi padali, skopani kopytami. Poranieni dobrze naostrzonymi klingami, skowycieli z bólu. Jednemu z nich korbacz omotał się wokół szyi i obalił go na ziemię. Jeździec dalej gnał po zboczu, ciągnąc charczącego i podskakującego na nierównościach wieśniaka.

Nagle bojowy okrzyk jednego człowieka zagłuszył cały ten wrzask. Ilja spojrział, a szczeka, już i tak niedomknięta wskutek choroby, opadła mu jeszcze niżej.

Napastnik ten nie przycwalał na krępy koniku koczowników. Jego gniadosz był rosły, umięśniony, z najlepszego chowu, może nawet z samego państwa Chazarów. A silna budowa ciała była mu rzeczywiście potrzebna – dosiadający go jeździec był bowiem olbrzymem. Wynurzył się z ciemności jak demon albo bóg wojny i spiął rumaka do skoku przez przewrócone stoły. Jego ryk zmusiłby do ucieczki samego Erlika, który ukazywał się zwykle w postaci wielkiego, czarnego niedźwiedzia.

O dziwo, Tarik wcale się nie zląkł. Młodzian wyskoczył zza prostej zapory, krzyknął odważnie i popędził, wznosząc ciężki topór.

– Bracie, nie! – krzyknął Ilja.

Jeździec potężnie machnął maczugą. Ogromna broń dosięgła Tarika w ciemię.

Głowa młodzieńca pękła jak jajko nadepnięte ciężką nogą. Prawy bok gniadosza, nogę olbrzyma i wszystko wokoło obryzgała mieszanina krwi i mózgu. Bezgłowe ciało, brocząc krwią, padło bezwładnie na ziemię.

– Synu! – Jęknął Jahja i pobiegł w stronę Tarika. W ten sposób jednak przeciął drogę olbrzymiemu jeźdźcowi. Szeroka końska pierś, chroniona brązowym puklerzem, przewróciła władkę niczym słomianego stracha na wróble. Jeździec szarpnął za wodze i prędko zawrócił konia. Chłopi

z Karaczarowa ze zgrozą zbiegali mu z drogi, rzucali broń i padali na ziemię. Bitwa się skończyła.

Ilja już nawet nie krzyczał, jęczał tylko, a po jego policzkach płynęły łzy wielkie jak groch. Za nim zadudniły kopyta. Znów się odwrócił, wystraszony. Atakujący od strony lasu jeźdźcy zacieśnili półokrąg, łatwo zbijając kobiety i dzieci w jedną gromadę. Trzaskaniem biczów zapędzili rozproszonych uciekinierów z powrotem między resztę współplemieńców, a teraz pędzili ich jak stado owiec w dół stoku. Ilję wchłonęła gromadka lamentujących kobiet i szlochających dzieci. W panice wpadały na siebie i potykały się, a matki rozdzielone przez tłum od potomstwa, szukały bliskich, rozpaczliwie krzycząc.

– Dinaro! – Kaleka przedarł się ku dziewczynie. Podtrzymywała starszą kobietę, tęgą, z niedomagającymi nogami, aby tłum nie przewrócił jej na ziemię i nie zdeptał. – Dinaro, trzymaj się mnie! Ja cię obronię!

– Daj spokój, Iljo! – Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. – Już po wszystkim. Połapali nas jak bydło. Przede wszystkim się nie sprzeciwiaj, nie drażnij ich! Żeby nie skrzywdzili nas jeszcze bardziej!

Zapędzono ich na dobrze oświetloną przestrzeń między świątecznymi ogniskami. Kobiety starały się przedostać do swoich poranionych, pobitych mężczyzn, ale jeźdźcy otoczyli je i bezlitośnie odpędzili od poległych i rannych. Chłopi już nie próbowali się opierać – zrozumieli, że mogą tylko zarobić cięcie szablą lub cios maczugą, a w najlepszym wypadku – smgnięcie korbaczem. Napastnicy przyparli ich do pozostałych jeńców kopniakami i naporem końskich piersi. Kobiety witały mężów i młodzieńców lamentem i biadoleniem.

– Na ziemię! – krzyknął jeden z jeźdźców w mowie Czeremisów, która była bardzo podobna do języka Muromców. – Siadać i zamknąć gęby! I uciszcie te wasze skamlące szczeniaki! Z dziećmi są same kłopoty, więc tym, które będą najgłośniejsze wrzeszczeć, poderżniemy gardła jak kurczakom i wrzucimy do rzeki!

Kwilący karaczarowanie osunęli się posłusznie na podeptaną trawę. Matki ze wszystkich sił uspokajały śmiertelnie wystraszone dzieci, młodzieńcy pocieszali dziewczyny, synowie matki. Jeźdźcy niecierpliwie zeskakiwali z koników i rzucali się łakomie na resztki poczęstunku, rozsypane wokół przewróconych stołów. Śmiali się z pełnymi ustami i wesoło wykrzykiwali do siebie grubiańskie żarty, ciesząc się z udanych łowów.

Ilja rozglądał się gorączkowo. Dostrzegł lamentującą Jukkę, która schylała się nad leżącym Jahją i próbowała go posadzić. Władyka otworzył oczy, ale twarz miał wykrzywioną z bólu i kurczowo trzymał się za pierś. Charcząc głośno, usiłował złapać oddech.

– Gdzie jest Tarik? – Dinara przysunęła się do Ilji. – Słyszysz? Wypatrzyłeś go?

– Ty... – kaleka usiłował się wysławić – ...nie widziałaś tego?

– Czego? Mów, co z nim!

Ilja gwałtownie odwrócił głowę, unikając nalegającego spojrzenia Dinary.

– Już stoi przed Allahem... Zabili go, rozbili mu czaszkę jak gomułkę sera...

W jednej chwili zrobiła się trupioblada i odwróciła wzrok w stronę placu boju.

– Gdzie... Gdzie jest jego ciało? Chcę zobaczyć jego ciało!

– Nie, nie patrz tam. – Złapał ją i przyciągnął do siebie, zanim wypatrzyła zwłoki w rubaszce pokrytej czerwonymi plamami. – Nie powinnaś go widzieć w takim stanie...

Coś się w niej złamało i z głośnym szlochem padła mu w objęcia. Ilja, sam roztrzęsiony, objął dziewczynę krzywymi rękami i spojrzał na napastników.

Chyba już wiedział, kim są. Większość stanowili Kipczakowie – okrutni, ciemnowłosi rozbójnicy ze skośnymi, jakby nieustannie złowrogo zmrużonymi oczyma. Pochodzili z ziemi Kimek, która leżała pod wielkim masywem Uralu daleko na południowym wschodzie. W ostatnim czasie



wdali się jednak w spór z pozostałymi plemionami chanatu i dlatego odchodzili gromadnie na zachód, nad Itil i Don, na pogranicze kijowskie, chazarskie i bułgarskie, gdzie rabowali, łupili i mordowali wszystkich, którzy weszli im w drogę. Właściwie to była tylko kwestia czasu, by jakaś ich zabłąkana banda wybrała się też dalej na północ, ku Ocie i Nieprze.

Jednak nie cała drużyna pochodziła z dalekich stepów. Pół tuzina napastników porozumiewało się między sobą w języku Czeremisów. Plemię to mieszkało w lasach na północy, a ich głównymi siedzibami były położona głęboko w borach Koksza i Suchodol u ujścia rzeki Wietługi do Itilu. Byli dalekimi krewniakami Muromców, ale pędzili bardziej dziki żywot. Żywili się upolowaną zwierzyną i złowionymi rybami, posługiwali się przeważnie bronią wykonaną z drewna, kamienia i kości, a ubierali się w kozuchy i grube, konopne płótno. Ostro sprzeciwiali się wprowadzeniu wiary muzułmańskiej i przegnali bułgarskich posłów, co uczyniło z nich nieprzyjaciół Bułgarii. Nie zmartwili się tym jednak, przeciwnie – byli z tego dumni.

Ten, który zabił Tarika, był ich przywódcą. On też miał na sobie proste, zszyte grubą dratwą odzienie, a śmierdział brudem i końskim potem na odległość kilku gonów. Mimo to wyróżniał się spośród pozostałych Czeremisów, a to przede wszystkim podziwu godnym wzrostem – mierzył sążęń i dobre dwa palce, więc swoich krępych kompanów przewyższał co najmniej o głowę. Czaszkę miał ogoloną i pokrytą strasznymi tatuażami, a jego czarne wąsy były tak długie, że ich tłuste końce nosił przewieszane nad uszami. W rękę trzymał wielką maczugę – sękaty, szerniały samorost, zaopatrzony na rozszerzonym końcu w masywne, żelazne kolce. Ściekała z nich jeszcze breja z krwi i mózgu, zmieszana z okruchami czaszki i resztką czarnych włosów. „Biedny, nieszczęsny Tarik” – pomyślał Ilja, któremu pod wpływem okoliczności prędko przeszła złość na przyrodniego brata. Podniósł wzrok wyżej, na tors Czeremisa.

Jęknął mimo woli, gdyż zauważył coś, co przeraziło go bardziej niż groźna

broń.

Szeroką pierś olbrzyma chronił ogromny, umocowany rzemieniami puklerz. Na nim szczyrzył zęby wizerunek czarnego węża o szeroko rozłożonych, błoniastych skrzydłach.

Ilję zmroziło. Bardzo dobrze wiedział, co to za stworzenie. Słyszał, jak starcy z osady szepczą o nim przerażające opowieści. Zilanta, uskrzydłonego węża, prastare smocze bóstwo, czczono nad rzeką Itil przed wprowadzeniem nauk Mahometa. Wielu kłaniało mu się do dziś dnia – oprócz dzikich plemion także zbuntowani władcy i książęta w samej Bułgarii, którzy nie pogodzili się z tym, że nowa wiara odebrała im dawną potęgę. W drugim co do wielkości bułgarskim mieście Suwar ciągle jeszcze wznosiła się smocza wieża Zilantaw, w której czarnoksiężnicy i szamani karmili skrzydlatego gada ofiarami z ludzi. Widocznie napastnicy byli ich sługami. Kiedy Ilja zdał sobie z tego sprawę, poczuł się, jakby wnętrzości miał pełne zimnych, wijących się robaków.

Czeremis zeskoczył z rosnącego gniosza i skierował się ku pozostałym zbójcom, którzy dosłownie bili się o resztki świątecznego poczęstunku. Schodzili mu z drogi, jak wataha wilków ustępuje basiorowi. Szacunek okazywali mu nie tylko współplemieńcy, ale też sojusznicy z południa. Jeden z Kipczaków – sądząc po bogatych okuciach na rzemieniach i po ozdobnym jelcu miecza, ich wódz – zaproponował mu nawet łyk miodu ze zdobytego z trudem dzbana.

– To się nazywa dobry łów, Styrwicie. – Kipczak wyszczerzył zęby w stronę olbrzyma. To, że koczownik nauczył się języka Czeremisów, także o czymś świadczyło.

– Nie jest najgorzej – burknął wielkolud i jednym haustem opróżnił naczynie. Potem, trzymając w ręku jagnięce udo, zwrócił wzrok w stronę pojmanych. Białka oczu miał żółtawe jak jakiś leśny demon. – Ale widzę tutaj sporo mięsa, z którego nie będzie żadnego pożytku. Trzeba będzie zrobić odsiew, Kamarze. Zdaje mi się, że zostanie nam jakieś dwadzieścia,

trzydzieści porządnych sztuk. A tych naprawdę dobrych, dla mojego pana, ledwie tuzin.

– Zostawimy starców i najmłodsze dzieci, resztę weźmiemy. Waregowie nie są znów tacy wybredni. W Bułgarii zarabiają na wszystkim, znają się też na handlu niewolnikami.

– Mhm – mruknął Czeremis z ustami pełnymi pieczonej baraniny. Zrobił krok do przodu. – Ale najpierw wybiorę swoją część zdobyczy. Z resztą zróbcie, co uznacie za stosowne.

Wszedł między siedzących mieszkańców wioski. Maczugę trzymał w jednej ręce, jagnięce udo w drugiej. Kobiety zaczęły płakać, dzieci znów zakwiliły. Nawet mężczyźni pod spojrzeniem olbrzyma kulili się, przerażeni i odwracali twarze. W powietrzu unosił się smród wymiocin i moczu.

– Potrzebne mi są takie, które już krwawią, ale jeszcze są dziewicami – warknął zbójca. – Na przykład ta powinna być dobra. – Wskazał maczugą zaledwie piętnastoletnią dziewczynkę, która przycupnęła między rodzicami a braćmi. Dwaj Czeremisi, towarzyszący przywódcy jak wierne psy, natychmiast ku niej skoczyli. Nie zwracali uwagi na lament, wyrwali dziewczynę z rąk rodziny i wywlekli poza gromadę schwytych.

– Tę też – wskazał Styrowit – i tę...

Jego podwładni bez miłosierdzia zabierali młode nieszczęsnice i bezlitośnie odciągali od pozostałych. Płacz rozdzierał uszy i serca.

Ilja odepchnął Dinarę, przesunął się, by znaleźć się przed nią i uniósł się lekko. Jego ciało było może pokrzywione i słabowite, ale za to wystarczająco wyrosnięte, by porządnie zasłonić dziewczynę. To był błąd. Styrowit dostrzegł ruch kątem oka i prędko zwrócił ku Ilji podejrzliwe spojrzenie. Kaleka zacisnął zęby i skamieniał.

Po chwili olbrzym ruszył w jego stronę. Mamrotał coś pod nosem i brutalnie kopał zawadzających mu wieśniaków. Na czworakach usuwali się z drogi.

W głowie Ilji wszystko się nagle skłębiło – żal, strach i rozpaczliwe pragnienie, by ocalić Dinare. Przez chwilę uczucia się w nim kotłowały, a kiedy zamęt ustał, Ilja nagle przestał się wahać. Wstał. Sam nie wiedział, czy to nagły przypływ odwagi, czy pomieszanie zmysłów. Dinara i wszyscy wokół posykiwali, by tego nie robił, ale ledwie ich słyszał. Całą uwagę skupił na zbliżającym się Czeremisie.

Ciskający błyskawicami z oczu olbrzym zatrzymał się krok przed nim. Ilja przez chwilę, przez jedno uderzenie spłoszonego serca miał ochotę paść na ziemię i odpełznąć precz jak zbity pies. Zamiast tego wziął głęboki oddech i wyprostował na tyle, na ile pozwalały mu chore kości. I spojrział Czeremisowi w twarz. Także dlatego, by nie patrzeć na zakrwawioną maczugę, tkwiącą w jego mocnej pięści.

Styrwit przyglądał mu się, marszcząc gęste brwi i jeżąc wąsy, a przyspieszony rozdrażnieniem oddech rozdymał mu nozdrza. Zmierzył wzrokiem śmiałka, jego krzywe nogi, powykręcane ręce, zgięty grzbiet i bladą twarz, ukrytą w gęstwie płowych włosów. Pomału, z sykiem wciągnął powietrze, a rzemienie podtrzymujące puklerz ze znakiem węża naprężyły się. Ilja przełknął ślinę. W duszy już widział, jak maczuga podnosi się i spada na jego głowę. No, skoro już tak musi być, przynajmniej czeka go rychła śmierć...

Styrwit wrzasnął. Tak szybko i głośno, że nie tylko wieśniacy, ale sami rozbójnicy zadrżeli ze strachu. Ilja omal nie upadł na ziemię. Klatka piersiowa Czeremisa zaczęła się trząść, a zaskoczony młodzieniec zrozumiał, że ten przerywany dźwięk, dobywający się z beczułkowatej piersi, nie jest oznaką gniewu. To był śmiech.

Olbrzym rechotał, a z ust padały mu krople śliny.

– Patrzcie tylko na niego! – krzyknął przez ramię do pozostałych łupieżców. – Na tego chromego, na to pokrzywione paskudztwo! Patrzcie, jak garbus śmiało zastępuje mi drogę, spoziera w oczy, podnosi głowę! Pierwszy raz widzę coś takiego!

Czeremisi zaczęli się śmiać. Dołączyli do nich Kipczakowie.

– Podobasz mi się, kaleko – Styrwit nie przestawał trząść się ze śmiechu. – Jesteś tu ostatnim chłopem z jajami. Reszta już nic, tylko zwyczajnie sra w gacie. Tylko że – śmiech zaczął się łamać i powoli zamierać – tak czy siak, nie pozwolę, żeby ktokolwiek stawał mi na drodze. Dlatego oberwiesz. Muszę tylko pomyśleć, czy obalę cię na ziemię maczugą – uniósł straszliwą broń – czy kością – podniósł ogryzione udo jagnięcia.

Ilja przełknął ślinę. Teraz to się stanie. „Matulu, przygotuj się, wkrótce się spotkamy”.

Styrwit patrzył to na maczugę, to na kość. Najwyraźniej naprawdę nie mógł się zdecydować.

– Jak myślicie, chłopcy? – Obejrzał się na rozweselonych napastników. – Mam go zabić od razu, czy tylko dać mu nauczkę, pozwolić, żeby ból go nauczył pokory?

Łotrzy natychmiast zaczęli się przekrzykiwać. Ci bardziej tępi domagali się krwi, ci bystrzejsi, a przez to i bardziej okrutni, wybierali drugą możliwość. Rozbawiony Czeremis wyszczerzył zęby.

I odwrócił się ku Ilji. Błyskawicznie. Jednocześnie wziął zamach.

Lewą ręką.

Kość z resztkami pieczonego mięsa uderzyła Ilję w twarz. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, ugięły się pod nim kolana. Krwawiąc z nosa, padł między schwytych. Przestał zasłaniać Dinarę.

Dziewczyna skuliła się pod spojrzeniem żółtawych oczu i musiała przygryźć dolną wargę, żeby nie zacząć krzyczeć. Styrwit uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Patrzcie tylko – odezwał się. – Ta jest najlepsza ze wszystkich.

– Naprawdę piękna – stwierdził stojący w pobliżu drugi Czeremis. – Tylko żeby jeszcze była dziewicą.

– Nawet jeśli nią nie jest – zaśmiał się olbrzym i tłustą ręką złapał Dinarę

za włosy – zatrzymam ją dla siebie! Będzie zabawa na parę dni.

Brutalnym szarpnięciem zmusił dziewczynę do wstania i popchnął ją w ręce podwładnych. Na próżno się broniła, wyrywała i kopała. Czeremisi łatwo ją odciągnęli.

– To już wszystkie, Kamarze – Styrwit zwrócił się do kipczackiego wodza.  
– Reszta jest twoja.

– Dziękuję bardzo – parsknął koczownik, spoglądając na siedem młodziutkich dziewczic, które wybrali sobie Czeremisi. – Zatrzymałeś dla siebie najlepszą część zdobyczy. Waregowie z Helgardu daliby nam za tę ostatnią ślicznotkę więcej, niż za pozostałe razem wzięte...

– Taka była umowa, Kamarze – warknął Czeremis i machnął maczugą, aż poleciały z niej lepkie, rude grudki. – Nie chciałbyś chyba, abym zaczął podejrzewać, że nie dotrzymujesz słowa?!

– O nie! – Burknął pod nosem Kamar i skinął na swoich chłopców. – Przestańcie się opychać i zaczynajcie wybierać niewolników. Nie będziemy tu sterczeć do rana.

– Tych, których nie weźmiemy – zarządził Styrwit, wracając do swojej drużyny i mijając po drodze karaczarowian – zabijcie.

– Czemu? – Spojrzał na niego Kipczak. – Po co dodatkowo się trudzić?

– Zróbcie to. Prędzej czy później o naszym ataku dowie się Alwar-bej z Muromia. Jeśli to, co o nim mówią, jest prawdą, zawezwie drużynę i bez wahania ruszy naszym śladem. Kiedy znajdzie wieś spaloną do cna i żadnej żywej duszy w pobliżu, będzie to dla niego wiadomość, że nie opłaca się z nami zadzierać. Może tak się wystraszy, że rozkaże zawrócić konie i pocwałować z powrotem ku Oce!

Kamar zamyślił się, mrużąc już i bez tego wąskie oczy, tak że zmieniły się w wąziutkie szparki.

– Coś w tym jest – przyznał.

– Zaufaj mi i pokaż, że ręka nawet ci nie zadrzy. Zostaw przy życiu

jednego, żeby opowiedział muromskim psom, jakieś tu posprzątał. To też nie doda im odwagi. I wiem, kogo powinno spotkać to szczęście.

– Kogo?

Styrwit wyszczerzył zęby.

– Zgadnij.

– Kaleka? – Zrozumiał Kipczak i uśmiechnął się wilczo.

– Oczywiście. Zobaczymy, czy dalej będzie taki dzielny, kiedy będzie musiał bez niczyjej pomocy zatroszczyć się o wszystkich zmarłych.

Kamar roześmiał się i skinął na oczekujących podwładnych.

– Słuchajcie! Z wyjątkiem tego chromego bękarta zabić wszystkich, których nie bierzemy ze sobą. Starym poderznąć gardła i wrzucić do rzeki. Małe dzieci po prostu cisnąć do wody. Same się utopią. Szkoda tępić noże.

Kipczacy wymienili spojrzenia. Potem chwycili bicz, szable, sztylety i ruszyli w stronę gromady schwytanych.

Z gardeł mieszkańców wioski dobył się wrzask tak straszliwy, że Ilja słyszał go jeszcze długo po tym, jak zimne żelazo i jeszcze zimniejsza woda odebrały głos ostatniej z ofiar.



Ranek był zaskakująco chłodny i wilgotny. Ze spokojnie płynących wód Nieprzy wstawała rzadka mgła i pełzła brzegami do okolicznych lasów. Z tego niskiego oparu, ze splotu szarości i zapomnianych nocnych cieni, krótko po wschodzie słońca wynurzyli się trzej jeźdźcy.

Nie byli to zwyczajni wędrowcy. Jechali na rosłych, rasowych rumakach z najlepszymi siodłami i rzędami zdobionymi przepięknie mosiądzem oraz srebrem. Najmłodszy z trójki, wysoki, żyłasty trzydziestolatek o pociągłej, wilczej twarzy, kruczonych włosach i zagadkowych oczach, zielonych jak dwa ciemne szmaragdy, był uzbrojony lżej niż jego towarzysze – jego ciało okrywała tylko brzęcząca kolczuga, a głowy nie chroniła nawet czapka. Dwaj

starsi mężczyźni mieli na sobie dodatkowo błyszczące łuskowe pancerze i spiczaste szyszaki z bogato kutymi zdobieniami na otokach oraz barwnymi kitami. Podczas gdy oni mieli przełożone w poprzek siodeł długie włócznie, czarnowłosy jeździec dzierżył w dłoni tylko dziwną rzeźbioną laskę, wykładaną na całej długości łuskami z polerowanego malachitu.

Gdy tylko konie wy dostały nogi z paproci oraz pędów malin i zadzwoniły podkownikami na kamienistym brzegu, najmłodszy wędrowiec ściągnął wodze. Uniósł się w strzemionach i z zachmurzonym obliczem wciągnął powietrze w nozdrza.

– Co się dzieje, Wołchu? – Z niepokojem spojrzał na niego średni bohater, może trzydziestopięcioletni, o posturze niedźwiedzia przed snem zimowym, z krótką szyją, zdrowo zarumienioną okrągłą twarzą i kręcącymi się nieposłuszenie, rudawymi włosami. – Co wywęszyłeś tym swoim wilczym nosem?

– Coś złego, bracie Mikuło – z obawą w głosie odparł czarnowłosy. – Ta rzeka śmierdzi jak... otwarty grób.

– Nie strasz. – Olbrzym przewrócił oczyma. – Nie dojechaliśmy przecież jeszcze do Smorodiny, rzeki o złej sławie, za którą rozciąga się carstwo zmarłych. Prawda, Jegorze? – Spojrzał pytająco na trzeciego jeźdźcę.

– Przestańcie mi zawracać głowę waszymi pogańskimi przesadami – zabrzmiała burkliwa odpowiedź. Ostatni bohater był sporo starszy od towarzyszy. Ciemne włosy i gęsta, sięgająca pasa broda były gęsto przetykane srebrnymi nićmi. Mimo statecznego wieku, wciąż biła od niego siła, a był chyba jeszcze mocniej zbudowany niż Mikuła. – Jeśli jeszcze nie zwróciliście uwagi, na mojej szyi nie wisi już złoty topór Peruna, jak na waszych, bezbożne psy. Dawno temu kazałem go przetopić i zrobić z niego Chrystusowy krzyż. To znaczy, że wierzę w królestwo niebieskie. A droga do niego na pewno nie wiedzie przez tę waszą śmierdzącą Smorodinę.

– No, nie złość się już. – Dobrotliwie uśmiechnął się Mikuła. – Pytam cię, bo znasz się na tych rzeczach. Przecież zanim dałeś się razem z księżną Olgą



ochrzcić w Carogrodzie i przyjąłeś nowe imię, nazywałeś się Światogor. Mieszkałeś na Świętej Górze, gdzie oddawałeś cześć starym bogom jako żyrzec i pustelnik...

– Dajże sobie spokój, Sielaninowiczu, dobrze ci radzę – warknął szpakowaty jeździec. – Imię Jegor przyjąłem na cześć świętego Jerzego, pogromcy smoka. Rozumiesz? Tak jak on zabił pogańskiego potwora, tak i ja na zawsze odrzuciłem swoją pogrążoną w błędach przeszłość i uznałem Chrystusa za pana. Nie prowokuj mnie więc, czarcie jeden!

– Czyli zachciało ci się smoki zabijać, tak? – Nie dał się uciszyć Mikuła. – O Wołchu też się mówi, że jest gorynyczem, synem smoka. Jemu też przebijesz włócznią gardło, tak jak twój patron zrobił z gadem ludożercą?

Jegor głośno wziął głęboki wdech, ale do rodzącej się sprzeczki prędko wtrącił się najmłodszy bohater.

– Możecie przestać? Mówię, że w powietrzu wisi coś złego, a wy się kłócie jak dwóch chłopów o ziarno na miedzy. Nie stoimy na progu zaświatów, nie bój się, Mikuło. To jest Niepra, która przecina kraj Muromców na pół i wpada do wielkiej Oki. Jesteśmy dokładnie tam, gdzie chcieliśmy dotrzeć.

Jegor Światogor znów głośno fuknął i wyteżył wzrok, wpatrując się w coś przed sobą.

– Przyznaję, Wsiesławiewiczu, ja też czuję coś niedobrego. Spójrz w nurt, popatrz sokolim wzrokiem. Nie widzisz? Wydaje mi się, jakby coś się zaklinowało między kamieniami u brzegu, ale oczy już mi nie służą jak kiedyś...

– Masz rację. – Czarnowłosey bohater zmrużył oczy. – Tam leży człowiek.

– Co takiego? – Wydobyło się z beczułkowatej piersi Mikuły. – Spieszmy mu na pomoc!

Popędzili parskające niespokojnie rumaki wzdłuż brzegu. Zanim ktoś niewprawny w rachunkach zdołałby zliczyć palce u rąk, znaleźli się przy

kupie głazów.

– Tak myślałem – burknął Jegor, schylając się nad ciałem. – Tego tu możemy uratować co najwyżej przed padlinożercami. Prawda, gdybyśmy mieli na to czas. Książę niecierpliwie czeka na wieści, nie możemy się zatrzymywać.

– Przykryjmy go chociaż kamieniami – zaproponował Mikuła, zeskoczył zwinnie ze srokatej kobyłki i obrócił nieboszczyka na plecy. – Na rogi Welesa, patrzcie! On się nie utopił, poderżnęli mu gardło jak owcy. Ale niech mi ktoś powie dlaczego? Włosy ma białe, ani jednego zęba, twarz pomarszczoną jak kozuch na wykipiałym mleku. Komu ten ledwie żywy starzec mógł przeszkadzać?

– Co tam starzec, ten już i tak był jedną nogą w grobie – rzekł bez większego współczucia Wołch, znowu wyprostowany w siodle gniadosza i przyglądający się badawczo rzadkiej mgłę w dole rzeki. Jego zielone oczy poszarzały. – Tam zobaczyłem coś gorszego. O wiele, wiele gorszego.

Mikuła zostawił martwego starca swemu losowi i ruszył wzdłuż brzegu. Przyspieszał kroku, aż wreszcie zaczął biec. Kiedy zauważył to, co wskazywał bystrooki Wołch Wsiesławiewicz, znowu przyzwał rogatego opiekuna stad, ale tym razem pełnym lęku, ochrypłym szeptem. Jeszcze mocniej zmarszczył gęste brwi, a jego owalna twarz do reszty zasnuła się cieniem.

Zwłoki wyrzucone przez wodę na brzeg należały do dziecka w wieku około trzech lat. Nagie, białe ciało leżało na wilgotnym piasku, a wokół niego roiło się od robactwa i drobnych wodnych stworzeń.

– Kto... – wyjąkał Mikuła – kto mógł... coś takiego... I czemu?

– Widać, że obecny tu Wołch przyjął cię do książęcej drużyny ledwie dwa lata temu. – Jegor wstrzymał przy Mikule swojego wronka. – Ciągle jeszcze patrzysz na wszystko chłopskimi oczyma, Mikuło Sielaninowiczu. Oczyma rolnika, nie woja. Inaczej byś nie pytał dlaczego. Takie rzeczy się po prostu

zdarzają i od razu cię uprzedzam, że w czasie wojny są na porządku dziennym. Jeśli chcesz ciągnąć z kijowskim wojskiem na wyprawy zdobywcze, będziesz musiał przywyknąć do takich i jeszcze gorszych widoków. Wierz mi, nie tylko nasi wrogowie będą ich przyczyną.

– Przywyknąć? – wycedził przez zęby Mikuła. – Do ohydneho, tchórzliwego mordowania niewinnych dzieci? To już wolę wrócić do pług i aż do śmierci odwracać skiby na tym moim lichym błotnistym pólku za Wilczyńcem!

– Ta naiwność kiedyś się na tobie zemści, Sielaninowiczu...

– Naiwność? Co to znaczy? Nie rzucaj we mnie słowami, których nauczyli cię zarozumialcy z Carogrodu, tym nie zrobisz na mnie wrażenia! I żebyś wiedział, jestem dumny z mojego chłopskiego rozumu...

– Nie kłóćcie się, bracia! – huknął na nich Wołch. Dawno już odwrócił wzrok od martwego dziecka i spoglądał w nurt rzeki. Jego nozdrza znów drgały jak u drapieżnika czyhającego w nocy na łup. – Martwych będzie więcej. Czuję w powietrzu spaleniznę. Zbliżamy się do miejsca jakiegoś nieszczęścia. Włóżcie płaszcze, bracia, ukryją nas przed wzrokiem obcych...

– Czy te twoje gorynychowe czary są konieczne? – warknął Jegor. – Zrozum, że jako chrześcijanin popełniam przez to grzech śmiertelny, zmierzam ku potępieniu wiecznemu i mękom piekielnym...

– Oczywiście, że są konieczne, Jegorze. Jeśli spotkamy kogoś żywego, nie może nas poznać. Jeszcze za wcześnie na to, by Muromcy się dowiedzieli, że ich ziemię depcą kopyta kijowskich koni.

Jegor sapnął jak miech kowalski i przeżegnał się w skupieniu. Mikuła, gryząc w zębach żal i złość, niechętnie zostawił na brzegu ciało biedactwa. Dosiadł srokatego konia. Wszyscy trzej zarzucili na ramiona ciemne płaszcze i naciągnęli kaptury na głowę. Potem Wołch podniósł swój kostur.

Oczywiście, nie był to zwykły kij i Wsiesławiewicz nie nosił go tylko dla ozdoby. W rzeczywistości dźmierzył w dłoni czarodziejski kostur. Dzięki

malachitowym łuskom, którymi był misternie wykładany na całej długości, wyglądał jak obciągnięty zieloną, jaszczurczą skórą. Głowica kostura była wyrzeźbiona w kształt głowy smoka z otwartą paszczą, w której tkwił jakiś płaski złomek o srebrnym kolorze. Na pierwszy rzut oka nie sposób było odgadnąć, czy jest metalowy czy kamienny, ale z pewnością tkwiły w nim zaklęte magiczne moce. Kiedy Wołch się skupił, z okrucha wydobyło się mętne światło. Mgła wokół bohaterów skrzyła się w wir, konie zaczęły parskać i podrzucać łbami. Mikuła otrząsnął się jak mokry pies – miał wrażenie, że lodowato zimna ręka pogładziła go po plecach. Popatrzyli na Jegora, a ten na niego.

– Już? – zapytał Światogor. – Nie widzę żadnej różnicy.

– Ty nie. Ale każdy, kogo spotkamy, zobaczy nas w zupełnie innej postaci. Nawet mu do głowy nie przyjdzie, że stoją przed nim kijowscy bojarzy. Jedźmy.

Ruszyli. Mgła rozstępowała się przed nimi jak rozprute białe firanki, które księżna Helga przywiozła z dalekiego Carogrodu. Za gęstym, brzozowym gajem, schodzącym do samej wody i zagradzającym im drogę, wznosił się ku niebu słup dymu. Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia, ale żaden nic nie powiedział. Pokłusowali między brzozami, skręcili wraz z Nieprą na północny zachód i wtedy ujrzeli osadę.

Albo raczej to, co z niej zostało.

Zamiast drewnianych chat, sterczały tylko zwęglone belki. Ziemianki zamieniły się w czarne, dymiące jamy, pełne gorącego popiołu. Miejscami pełgały jeszcze płomienie. Na łące za wsią również tliło się kilka wygasłych ognisk. Wołch z daleka rozpoznawał ciała, leżące bez ruchu na wydeptanej trawie.

Gdy tak kłusowali w stronę pogorzelska, a woń śmierci stawała się coraz wyraźniejsza, usłyszeli nagle kaszel i urywany szloch. Spojrzeli w prawo, w stronę rzeki. Z oparu, z gęstej szarości tuż przed nimi wynurzyła się zgarbiona postać. Lamentujący nieszczęśnik mozolił się z czymś, ale szło mu

marnie. Gdy podjechali bliżej, zrozumieli dlaczego – mając tak pokrzywione, na wpół sparaliżowane ciało, nie mógł być szczególnie silny, a już na pewno niezbyt zręczny. Tym, co kaleka starał się ze wszystkich sił wyciągnąć z wody, były zwłoki siwego mężczyzny. Miał on, tak samo jak starzec w dole rzeki, gardło poderżnięte od ucha do ucha. Wokół, na kamienistej plaży, leżały inne ciała – starców i dzieci.

Trzej zwiadowcy wstrzymali konie. Zdyszany garbus klapnął na wilgotną ziemię, palce wciąż mając wczepione w mokrą rubaszkę nieboszczyka.

Potem, jakby dopiero teraz zwrócił uwagę na przybyszów, podniósł wzrok.



Ilja oczywiście już wcześniej usłyszał tętent kopyt, ale nie miał chęci uciekać. Owszem, mogli to być tchórzliwi Wiatycze albo Mieszczero wie, ciągnący jak krucy do pobojuwiska, aby pozbierać resztki pozostałe po napastnikach, ale było mu wszystko jedno. Gdyby chcieli go zabić, bez oporu poddałby gardło pod ich noże. Właściwie, tak byłoby nawet lepiej. Pozwolił, by całkowicie ogarnął go smutek i wewnętrzna udręka, bo nie zostały mu już żadne inne uczucia – jakikolwiek gniew, chęć zemsty czy ochota, by ruszyć tropem napastników i pomóc uprowadzonym współplemioncom były dla niego, nikomu niepotrzebnego chromego, zbyt ciężkim obciążeniem. Jedyne, co mógł zrobić, to wyciągnąć z Nieprzy jak najwięcej pomordowanych nożami i utopionych, by mogli dzięki temu zachować resztki godności i zgodnie ze zwyczajem odejść za ciemną Smorodinę, do świata zmarłych. Przy jego niezgrabnych, rozpaczliwie słabych rękach wznoszenie stosu pogrzebowego mogło potrwać nawet kilka dni, ale nie zostawi bliskich na pastwę lisów i ryb...

Tak czy owak, kiedy przybysze podjechali bliżej, zrozumiał, że nie zrobią mu krzywdy. Słyszając rażny tupot kopyt, oczekiwał rasowych rumaków z dobrej hodowli, zamiast tego z mgły wynurzyły się trzy wynędzniałe muły ze sterczącymi żebrami, rzadkimi grzywami i ropiejącymi oczyma. Jeźdźcy

nie wyglądali ani trochę lepiej – pod brudnymi, poszarpanymi płaszczami garbiły się nędzne, chuderlawe postacie żebraków.

Wstrzymali konie i przez chwilę spoglądali na niego z cienia, spod głęboko nasuniętych kapturów.

– Co tu się stało, nieszczęsny człowiecze? – Jeden z nich podjechał jeszcze kilka końskich kroków bliżej. Ilja wyteżył słuch i się zdziwił. Nie tylko dlatego, że usłyszał mowę bardzo podobną do języka Wiatyczów, którego nauczyła go matka. Zdumiał się, bo to nie był głos biedaka, przygniecionego brzemieniem lat i nędzy. Brzmiał dziarsko i młodo. Co to...

– Rozbójnicy – odparł na przekór ukłuciu niedowierzania. – Kipczacy i Czeremisi... Przyjechali łapać ludzi dla Waregów, którzy mieszkają w Helgardzie w górze Itilu i handlują niewolnikami... Kto był młody i silny, tego spętali i zabrali ze sobą, resztę pozabijali i wrzucili do rzeki...

– Nikt więcej nie przeżył? – zapytał jeździec, a w jego dziwnie donośnym głosie słyhać było współczucie, a nawet żal prawie taki sam jak ten, który rozdzierał serce Ilji.

Kaleka pokręcił głową.

– Ani jedna dusza... Zostawili tylko mnie, kalekę, na pośmiewisko i żeby miał kto powiedzieć Alwar-bejowi, że jeśli ośmieli się jechać za nimi, będzie z nim źle... I mam się też niby zająć martwymi...

– Ty? Ech, bracie nieszczęsny, ci okrutni łotrzy zadali ci wszystkie możliwe cierpienia, nie oszczędzili niczego. Gdybyśmy tak mogli... – Obdartus zwrócił się do swoich towarzyszy. – Pomożemy mu, bracia, albo sam tu oddam duszę... Wyciągniemy martwych z rzeki, wzniesiemy stos pogrzebowy...

– Nie mogę tego od was żądać. – Ilja podniósł rękę. – Jak widzę, sami nie macie zbyt wiele sił... Mielicie pewnie nadzieję, że znajdziecie tu gościnę, że przywitamy was chlebem, solą i łykiem dobrej palenki, a teraz musicie z pustym żołądkiem wędrować dalej i szukać innych osiedli... Lepiej nie

jedźcie na północ, w stronę Itilu, kto wie, czy nie spustoszyli pozostałych wiossek...

Jeździec pochylił się w siodle.

– Dobrze słyszę? Przykro ci, bracie, że nie możesz nas ugościć? Twój ród wymordowali albo powlekli w niewolę, dom spalili na popiół, a ty się martwisz, że nie możesz podjąć trzech obdartusów, jak zwyczaj każe? Na bogów, może i masz kości krzywe, ale za to duszę prostą jak włócznia bohatera. Tym bardziej ci pomożemy!

Wędrowiec już przerzucił kościstą nogę przez siodło, kiedy drugi jeździec podjechał bliżej. Jego szkapa była najlichsza ze wszystkich i ledwie powłóczyła nogami.

– Nie obiecuj czegoś, czego nie możesz dotrzymać, chłopski synu! – Ten głos był wyraźnie starszy, ale i w nim brzmiała siła, która nijak nie pasowała do nędznej postaci. – Naprawdę nie mamy na to czasu. Sam dobrze wiesz, że jeszcze przez zmrok chcemy dotrzeć do Oki, obejrzeć Murom...

– Ty więc mu pomóż, bracie. – Pierwszy obdartus odwrócił się ku trzeciemu jeźdźcowi. – Na pewno jest sposób, by wlać mu w żyły siłę, przywrócić sprawność pokrzywionym członkom...

Obcy z obłupanym kijem w ręku tylko pokręcił głową.

– Na Gorynowe łuski, chętnie bym to zrobił, ale obawiam się, że coś takiego nie leży w mej mocy.

– Jeśli nie leży, to nie leży. W takim razie jednak pomożemy biedakowi. Zsiądźcie z koni.

Ilja zmrużył powieki. Podejrzenie, że z tymi trzema jest inaczej, niż mówią mu oczy, wzbudziło w nim ciekawość. Taką, że zagłuszyła na chwilę niezmierny żal. Zaczął się podnosić, zaciskając zęby, ponieważ ból stawów zapierał mu dech.

– Nie bierzcie na siebie moich zmartwień, dobrzy wędrowcy – zwrócił się do całej trójki. – Ten wielki kowasz pełen smutku muszę wypić sam, do

ostatniej kropli. Doceniam waszą szlachetność, ale lepiej popędźcie muły i jak najprędzej zostawcie to nieszczęsne miejsce za plecami. Nikt już nie przywróci sił i zręczności mojemu ciału. Macocha, kobieta zawistna i złośliwa, przeklęła mnie, kiedy byłem jeszcze w łonie matki. Jestem taki od chwili, gdy po raz pierwszy otworzyłem oczy, i pozostanę kaleką, dopóki Kostroma nie przyjdzie mi ich znów zamknąć...

Zamilkł, ponieważ podróżny z laską w tejże chwili zwrócił ku niemu wzrok. Pod kapturem dalej panowała ciemność, w której Ilja nie dostrzegł nawet błysku oka, nie mówiąc o rysach twarzy. Mimo to czuł, jak pali go spojrzenie obcego.

– Mówisz, że cię przeklęła? – zapytał biedak zupełnie innym tonem. Najwyraźniej go to ciekawiło.

– No... tak. Przynajmniej tak twierdziła moja matka, a ona była wiedźmą, znała się na czarach...

– O czym myślisz, bracie? – zapytał jeździec o dojrzałej brzmiącym głosem.

– Ja wiem – wyrzucił z siebie ten, który już stał na ziemi. – Przyszło mu do głowy, że jeśli kalectwo i słabość ciała jest skutkiem klątwy, może by się dało czarami zaradzić nieszczęściu. Wtedy Muromiec wyzdrowiałby i nabrał sił!

– Nie cieszcie się tak prędko. – Mężczyzna z kosturem powstrzymał radość druhów. – Nadzieja jest mała, maleńka, jak płomyk świecy w bezgwiezdnej noc...

– Ale możesz spróbować, nie? No już, nie ociągaj się!

Ilja spoglądał to na jednego, to na drugiego. Jego podejrzliwość jeszcze wzrosła. Nic nie rozumiał. Jeździec z kijem zeskoczył z chabety – zaskakująco zwinnie – i skierował się ku niemu. Nie szurał przy tym, nie powłóczył nogami, poruszał się dziarsko. Ilja cofnął się i o mały włos nie potknął o zwłoki Jahji. Nieznajomy był zręczniejszy, wysunął spod płaszcza kościstą rękę i prędko dotknął spoconego czoła kaleki, dłonią zasłonił mu



oczy, a długie palce przycisnął do skroni.

Zanim Ilja zdołał się wyrwać, z palców obcego wprost do jego głowy trysnęło ciepło. Nie, nie ciepło, gorąco wręcz. Targnął się, ale mężczyzna trzymał go mocno. Paznokcie wędrowcy nagle urosły, wysunęły się jak pazury drapieżnika czy może nawet smoka i przebiły mu czaszkę. Ilja jęknął ze strachu i jeszcze raz spróbował się wyrwać.

W tejże chwili żebrak go puścił. Muromiec cofnął się, zatoczył i niewiele brakowało, by klapnął w płytką wodę na mieliźnie. Wytrzeszczał oczy, waliło mu serce, a zdrowszą ręką dotykał skroni, sprawdzając, czy nie ma tam krwawiących ran. Wrażenie, że pazury wbijają mu się w głowę, było jednak oczywiście mylne.

– No i jak? – dopytywał się inny obcy, drepcząc za czarodziejem. – Czy to naprawdę klątwa?

Mężczyzna z kosturem opuścił rękę i pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak. Hmm... Właściwie to tylko proste, wiejskie czary, ale ktokolwiek je rzucił, włożył w nie tyle nienawiści, że aż się dziwię, że nie zabiły matki razem z płodem. Dziecko musiało być niezwykle silne, jeśli skończyło się tylko na cielesnym kalectwie...

– A potrafiłbyś to odwrócić?

Spod postrzępionego, usianego plamami brudu kaptura nie nadeszła odpowiedź. Zamiast tego wędrowiec podsunął pod nos oszołomionego Ilji swój kostur. Wyglądał jak zupełnie zwyczajny, krzywy i popękany kawał sękatego drewna, ale Muromiec nie był znów takim głupcem, by się nie zorientować, że patrzy na czarodziejski kostur.

– Jak się nazywasz? – zapytał zakapturzony obcy.

– Jestem Ilja, syn Jahji... – wyjąkał niepewnie kaleka.

– Dobre imię, chrześcijańskie – zamruczał z siodła obcy o starszym głosie.

– Kto ci nadał imię proroka Eliasza, chłopcze?

– Mój ojciec. Tylko że nie był chrześcijaninem, a mahometaninem.

W *Koranie* piszą o tych samych prorokach, co w świętej księdze chrześcijan...

– Chwyć się kostura, Iljo – przerwał im obdartus stojący naprzeciwko Muromca. – Oburącz. Z góry cię uprzedzam, że to będzie straszliwie boleć, ale trzymaj za wszelką cenę...

Ilja się zawahał. Spojrzał pytająco na stojącego opodal cudzoziemca i na tego drugiego, siedzącego na lichej szkapinie. Obaj zachęcająco skinęli głowami.

– Posłuchaj, bracie – poradził ten, który stał na brzegu. – Powiedziałbym, że nie masz nic do stracenia.

– Też tak myślę – przytaknął siedzący w siodle.

Ilja wziął głęboki wdech, powoli podniósł ręce i dotknął kija. Jego brwi ze zdziwienia powędrowały wysoko na czoło. Kostur wyglądał jak zwykły kawał pokręconego drewna, ale to, co ujął w dłonie, było proste jak klinga wareskiego miecza i pokryte łuskami z chłodnego kamienia. A na szczycie w rzeźbionym drewnie uwięziony był kawałek płaskiego metalu albo kamienia...

– Mocniej – rozkazał czarownik.

Muromiec usłuchał i złapał laskę tak mocno, jak tylko potrafił niezgrabnymi palcami.

– Gotów?

Ilja z wahaniem skinął głową. W duchu przywoływał na pomoc bogów swojej matki – gromowładnego Peruna, rogatego Welesa i słonecznego Dadźboga, nawet ciemnego Diwa i Wodjanoja, który władał Oką i wszystkimi rzekami...

Zaczęło się od uderzenia ciepła. Ciepła, które szybko stawało się gorącem. Ilja zacisnął zęby. Ręce zaczęły mu sztywnieć. Musiał włożyć całą siłę woli w to, by je utrzymać pod władzą umysłu i nie pozwolić im bezwładnie opaść.

Gorąco zmieniło się w żar. Zaciśnięte zęby zazgrzytały.

– Nie puszczaj! – krzyknął czarodziej, a Ilja po raz pierwszy dostrzegł pod kapturem błysk oczu. Wyglądały jak ślepie węża.

Serce waliło mu tak, że tętno rozbrzmiewało aż w czaszce, zagłuszając wszystko i wypełniając uszy. Ilja wkrótce nabrał przekonania, że trzyma w ręku kawał rozgrzanego żelaza – i tylko to, że nie widział dymu i nie czuł swądu spaleniźny przekonało go, że jego dłonie nie skwierczą. Ból stał się nieznośny. Zaskowyczał, nogi się pod nim ugięły, padł na kolana.

Nie puścił jednak kostura.

Coś w niego wniknęło, wlało się do żył pełnych wrzącej, bulgoczącej krwi. Jak gdyby jego ciało ktoś smagał biczami z cierni. Wypełniły jego czaszkę, klatkę piersiową i brzuch, wcisnęły się do rąk i nóg. Mocno zanurzyły się w słabowite mięśnie i krzywe kości, zaczepiły o żyły, w których płynęła rzadka krew.

– Teraz musisz być silny – Muromiec w agonii usłyszał głos tego, który wyglądał jak nędzarz, ale na pewno był kimś innym. – Zaciśnij zęby.

Niepotrzebna rada, już od dawna miał je zaciśnięte, tak że o mało ich nie połamał.

Potem to się stało. Jakaś siła, bijąca z laski, raźno, mocno, niemiłosiernie targnęła cierniowymi biczami.

Ilja zawył, wrzasnął przeraźliwie, aż nad las nad Nieprą wzbity się spłoszone ptaki. Nauczył się żyć z cierpieniem, ale tej boleści nie mogły się równać nawet piekielne męki, którymi muzułmańscy mułlowie straszili grzeszników. Miał wrażenie, że te tysiące drobnych, ale ostrych i mocno wbitych haczyków odrywają mu mięso od kości, rozszarpują wnętrzności na strzępy i rozpruwają wszystkie żyły. Zaczął się trząść, mimo woli puścił kostur i padł między martwych na plaży.

Nie wiedział jeszcze, że prawdziwy ból dopiero go czeka.



Jegor nie wytrzymał, zeskoczył z rumaka i podbiegł ku swym towarzyszom. Także Mikuła pochyłał się z troską nad wijącym się na brzegu Muromcem.

– Przeżyje? – Sielaninowicz spojrział na Wołcha.

– Nie mam pojęcia. – Zdyszany Wsiesławiewicz pokręcił głową. – Ale wyssałem z niego kłótnę. Jak ropę z zakażonej rany.

– Naprawdę? Ciągłe jest garbaty i pokrzywiony jak sosna rosnąca na skale...

Sielaninowicz ucichł nagle. Mężczyzna u ich nóg trząsł się coraz silniej. Drzenie zmieniło się w szybkie, kurczowe szarpnięcia.

– Prędko, wsadźcie mu coś między zęby! – Zawołał Wołch. Wbił laskę w ziemię, padł przy Muromcu na kolana i chwycił go za ręce. – Inaczej odgryzie sobie język!

Mikuła przytomnie skoczył ku swej kobyłce po bat, prędko ukląkł przy Ilji, a kiedy Wołch siłą otworzył usta kaleki, wetknął mu między zęby opleciony skórą trzonek bicia. Jegor chwycił nogi Muromca.

Drgawki były coraz gwałtowniejsze. Trzej bohaterzy przycisnęli kalekę całą swoją niemałą wagą i trzymali ze wszystkich sił, ale i tak strząsał ich z siebie, jak żubr zrzuca wilki kłające go w szyję. Obrócił oczy w słupek, a z ust toczył pianę.

– Trzymaj go, Wołch, trzymaj go! – krzyczał Mikuła.

Zatrzeszczały kości. Głośno, strasznie. Wołch, klęczący na prawej ręce Muromca, poczuł, jak wykrzywiona kończyna obraca się nienaturalnie. Wymienił spojrzenia z Mikułą.

Ta ręka się prostowała.

Wraz z ręką prostowało się całe ciało. Zły czar, który uczynił z dziecka wiatyckiej niewolnicy pogardzanego i wyśmiewanego kalekę, przeminął. Jego członki zaczęły zdrowieć. Kości skrzypiały, aż Kijowianom cierpły od tego zęby i mróz biegał po plecach. Skurcze przybrały na sile. Ilja kopnął

nogą i Jegor odleciał na dobre dwa sążnie. Wyszarpnął prawą rękę, a Wołch, klnąc, stoczył się do płytkiej wody. Machnął lewą ręką i Mikuła klapnął między martwych. Muromiec wypluł trzonek bicia, zawył ogłuszająco i zaczął się rzucać, aż wokoło latały kamienie i piasek. Proste odzienie rwało się w szwach. Konie bohaterów odskoczyły, rżąc ze strachu.

– Nie podchodźcie! – Wołch powstrzymał wstających druhów.

Muromiec miotał się jak zdychające zwierzę. Ale nie umierał, wprost przeciwnie – wracał do życia. Krew mu zgęstniała, sparaliżowane mięśnie ożyły, plecy się wyprostowały, garb zniknął, jakby nigdy go nie było. Przed zdumionymi bojarami w rozrytym mokrym piasku wił się nie kaleka, ale rosły, młody mężczyzna.

Konwulsje ustawały. Ilja nie krzyczał już, tylko charczał. Przestał tłuć wokół siebie rękami, tylko jedna pięta ciągle ryła piasek.

– Na Gorynowe głowy – Wołch zaklinał się na imię baśniowego smoka, najpotężniejszego z dawnych żmijów. – Czegoś takiego w życiu jeszcze nie doświadczyłem...

– Wiedziałem, że dzielny z ciebie wojownik, a teraz wiem też, żeś równie zdolny czarodziej – mruknął z uznaniem Mikuła i włożył z powrotem na głowę spadły szyszak.

Jegor przeżegnał się kilka razy i wezwał szeptem świętego Jerzego i archanioła Michała, swoich obrońców.

Nareszcie Ilja znieruchomiał z twarzą zwróconą ku niebu, otwartymi ustami, z oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia i oszołomienia. Klatka piersiowa, mocna i szeroka, unosiła się przyspieszonym oddechem jak dobrze rozdmuchany miech kowalski. Wołch pochylił się nad nim.

– Słyszysz mnie, bracie?

Muromiec zamrugał, spojrzął bystro. Potem zamknął usta, mlasnął, odwrócił głowę i wypluł resztki śliny i wymiocin, które podczas napadu rzuciły mu się gardłem.

– Słyszę – wychrypiał.

– Możesz się ruszać?

Ilja podniósł jedną rękę i oglądał ją z niedowierzaniem. Potem zgiął drugą i oparł się na łokciu. Podkurczył nogi.

– Mogę – potwierdził z wyrazem zachwytu na twarzy.

– Wstań więc.

Ilja usłuchał i pomału, niepewnie utrzymał się na nogach. Na prostych nogach. Trzej obcy gapili się na niego jak cielę na malowane wrota. Przed nimi stał wprawdzie blady, umorusany i okryty strzępami podartej odzieży, ale za to rosły, wysoki mężczyzna. Nie był tak barczysty jak Jegor, za to przewyższał Mikułę o kilka palców, natomiast nad szczupłym Wołchem górował umięśnioną, silną sylwetką.

– Powiedziałbym – odezwał się, przerywając przedłużającą się ciszę, Światogor – że teraz już Muromiec bez trudu poradzi sobie z grzebaniem krewnych. A my możemy wreszcie wyruszyć w drogę.

– Ja... – wydusił z siebie Ilja, ciągle jeszcze w połowie pewien, że to tylko sen – ...ja nie wiem... co bym... jak właściwie...

– Nie dziękuj, bracie. – Uśmiechnął się Wołch, mimo że Muromiec nie mógł tego widzieć pod czarodziejskim kapturem. – Może kiedyś jeszcze się spotkamy, a wtedy się odwdzięczysz. Teraz naprawdę musimy ruszać. Pożegnajmy się.

Wsiesławiewicz wysunął rękę spod płaszcza. Ilja uścisnął ją z pewnym wahaniem. Zamiast wychudzonych starczych szponów, które widział, chwycił pewną, silną dłoń wojownika. Uścisnął ją gorąco. Wołch odpowiedział równie mocnym uściskiem. Ilja użył większej siły. Kijowianin także. Muromiec jeszcze większej. Wołchowi zaskrzypiały kości dłoni. Prędko cofnął rękę i schował ją z powrotem pod płaszcza.

– Człowieku – jęknął – nie tylko zostałeś uzdrowiony, ale stałeś się prawdziwym siłaczem. Teraz możesz jechać prosto do Muromia i zostać

drużynnikiem samego Alwar-beja.

– Może tak zrobię... – skinął głową oszołomiony Ilja.

– Hm... W tym przypadku przyjmij dobrą radę, przyjacielu. Jeśli kiedyś wyruszysz z bejem do bitwy przeciw jego wrogom, nigdy nie wchodź w drogę Wołchowi Wsiesławiewiczowi. Może nie ma tyle sił co ty, ale jest chytry jak lis i pokona cię podstępem. I nie walcz też z Mikułą Sielaninowiczem, ponieważ jest ulubieńcem samej bogini Mokoszy, matki-ziemi, która daje mu siłę. I na pewno nie bij się z Jegorem Światogorem, który tak umie obracać mieczem, że potnie wroga na sztuki prędeży, niż komar machnie skrzydłami. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – kiwnął głową Ilja, a jego wargi, już nie skrzywione, ale piękne, równe i otoczone płowym zarostem, uniosły się w lekkim uśmiechu.  
– Bardzo dobrze zrozumiałem. Dziękuję wam, bohaterzy.

Oberwańcy roześmiali się i zwinnie, czego nikt by się nie spodziewał po takich nędzarzach, wskoczyli na szkapiny.

– Niech cię Bóg strzeże, Iljo – rzekł ten ze starszym głosem. – I pamiętaj, że chociaż zostałeś obdarzony wielką siłą, nie możesz zanadto folgować ognistemu sercu...

– Będę o tym pamiętał. Bogowie niech będą z wami, tajemniczy dobrodzieje.

Popędzili konie i wyruszyli wzdłuż Nieprzy tak dziarsko, jakby nie dosiadali ledwie żywych mułów. Wirująca mgła zamknęła się za nimi, a kiedy wschodzące słońce, wyglądając zza wschodniego leśnego grzebienia, znów ją po chwili rozdarło, nie było już po nich ani śladu.



Ledwie słoneczny rumak Dadźboga postawił kopyta na zachodniej stronie nieba Karaczarowo znów zasnuła chmura dymu. Teraz jednak złowieszczy czarny słup bił z wielkiego pogrzebowego stosu, wzniesionego na łące z resztek zburzonych chat. Tam gdzie wczoraj chóralne pieśni wzywały moce

rzządzące życiem i płodnością, dzisiaj było słycać tylko jeden głos, śpiewający rozdzierającą serce pieśń żalobną.

Ilja na klęczkach, z twarzą brudną od łez i popiołu, pomodlił się żarliwie do starych muromskich bogów, dusz przodków i zdradzieckich leśnych duchów. Oczywiście, nie zapomniał też o wierze swojej matki, która najsilniej utkwiała mu w duszy. Wezwał Kostromę, przewodniczkę zmarłych, i Welesa, strażnika zaświatów, aby dobrze zaopiekowali się nieszczęśnikami.

Kiedy ciała, mokre od rzecznej wody, zaczęły syczeć w coraz większych płomieniach, przez szloch Ilji przebiło się głośne parsknięcie. Młodzieniec obejrzał się.

Między strawionymi przez pożar chatami stał koń. Niewysoki, ale za to silny kasztanek, trochę rudawy, z bardzo długą grzywą i kędzierzawą sierścią nad kopytami. Nie miał siodła ani rzędu, tylko prostą, skórzaną uzdę i wodze, które włókł po ziemi.

– Burusko! – zawołał Ilja i otarł łzy, przez co rozmazał czarne smugi na policzkach. – Gdzieś ty biegał, zdrajco jeden? Myślałem już, że zabłądziłeś w lesie, a twoje kości skończyły w pysku niedźwiedzia albo rozszarpało cię stado wilków!

Kupił konika przed trzema laty od biednego podróżnego z plemienia Meszczerów. Żreback – wychudły na kość, chory i ledwie żywy – nie był wart nawet jednej lisiej skórki, ale Meszczer zdołał wyłudzić od Ilji całego bułgarskiego srebrnika. Kaleka dobrze się opiekował nieszczęsnym zwierzęciem, poił wodą ze źródła nad wsią, karmił ziarnem, prowadzał na zielone pastwiska. Konik nabrał sił, jego sierść zaczęła błyszczeć, nogi się wzmocniły, żebra obrosły mięśniami. Ilja co prawda na nim nie jeździł, ale konik w zamian za opiekę pomagał mu ciągnąć drewno z lasu, nosił wiadra z wodą i naczynia z miodem dzikich pszczół.

Kasztanek nie pokazał się od nocnego ataku. Koń, zapewne spłoszony wyciem napastników oraz całym krzykiem i hałasem, wybił drzwi prostej szopy za ziemianką Ilji, po czym uciekł do lasu. Młodzieniec już myślał, że



nigdy go nie zobaczy, ale teraz konik pojawił się z powrotem.

Ilja wstał. Zachwiał się trochę – ciągle jeszcze nie był przyzwyczajony do chodzenia na prostych nogach i zaskakiwała go własna siła i zręczność. Koń znowu parsknął nerwowo. Pochylił łeb i jednym ciemnym okiem podejrzliwie obserwował rosnącego młodzieńca. Rozpoznawał głos, ale nie sylwetkę.

– Spokojnie, Buruszko – Ilja zbliżał się ku niemu ostrożnie. – Przecież to ja. Trzej dobrodzieje zdjęli ze mnie zły czar. Minęła niemoc, plecy się wyprostowały, ale nie zwracaj na to uwagi. Słuchaj mojego głosu. Poznajesz go, prawda?

Młodzieniec podszedł bliżej. Konik w ostatniej chwili targnął się, wystraszony, ale wtedy silna ręka chwyciła za uzdę i nie pozwoliła mu uciec ani stanąć dęba.

– Spokojnie, druhu, spokojnie – przemawiał Ilja, gładząc rudawy pysk. – Wierz mi, też się tego wszystkiego boję i nie wiem, co myśleć. Nie zostaniemy w tym strasznym miejscu. Nie ma sensu lać łez na karaczarowską ziemię i zmieniać ją w błoto. Już nic nas tu nie trzyma. Za to na północy, tam będzie mnóstwo pracy.

Kiedy o tym pomyślał, jego oczy, do tej pory zawsze wodniste, bez wyrazu, w dodatku mętne od palenki, zabłysły jak dwa opale. Z wdzięcznością pozwolił, by owładnęły nim uczucia, do których wcześniej nie miał prawa. Gniew i chęć zemsty wydatnie zwiększały siłę uleczonego ciała.

Przywiązał konia do zwęglonej belki i zaczął się gotować do drogi. Na koszuli zdjętej z którychś zwłok zapiął szeroki pas, podbitym mosiądzem. Za niego wsunął długi nóż i wielki topór. W na pół spalonym domu władyki znalazł łuk i kołczan pełen strzał – zawiesił je sobie na plecach. Zacisnął dłoń na ciężkiej włóczni, z którą Tarik chadzał do lasu na grubego zwierza.

Z tym prostym wyposażeniem wskoczył na Buruszka, osiodłanego tylko

poplamionym, śmierdzącym potnikiem. Westchnął, pełen gorzkich myśli, pokiwał głową i ruszył w stronę Nieprzy. Woda była przyjemnie zimna, studziła ukrop krążący w żyłach Ilji.

Na przeciwnym brzegu obejrzał się po raz ostatni. Właśnie w tej chwili dym bijący z pogrzebowego stosu zasłonił Karaczarowo – jak gdyby rodzinna wieś nie chciała, by ją zobaczył w stanie takiej pustki i pohańbienia. Skinął głową i odwrócił wzrok ku północy.

Poddeptana trawa, ślad po koniach Kipczaków i Czeremisów, ciągnęła się przed nim jak szeroka ścieżka. Buruszko wstąpił na nią z głośnym rzeniem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

# Pierwszy bój

**C**zyjś dotyk wyrwał Dinare z niespokojnej, przetykanej strasznymi snami drzemki, w którą zapadła podczas krótkiego postoju po przeprawie przez bród na rzece Kłaźmie. Targnęła się, otworzyła oczy... i zamarła – jak mysz, sparaliżowana upartym spojrzeniem żmii. Jednak oczy, które chciwie się jej przyglądały, nie należały do gada. Skośne, wąskie szczeliny w opalanej słońcem twarzy należały do wodza Kipczaków.

Dinara zacisnęła zęby i wstrzymała oddech. Kamar uśmiechnął się pod czarnym wąsem, a jego ręka powędrowała ze szczupłej kostki w górę łydki. Dłoń miał szorstką, pełną odcisków, jak wszyscy, którzy codziennie trzymali w ręku wodze i miecz.

Dotarł do kolana. Dinara nie odważyła się nawet drgnąć. Także jej towarzyszki, siedzące lub leżące wokoło, odwróciły głowy – były zbyt zmęczone i przerażone, by mogły się jeszcze w jakikolwiek sposób opierać. Ręka Kamara niepowstrzymanie wędrowała w górę uda i wywinęła spódnicę mokrą od rzecznej wody. W pobliżu łona natrafił nagle na inną wilgoć, jeszcze ciepłą, lepłą. Mimo to nie przestał się uśmiechać. Wyciągnął rękę spod spódnicy i spojrzał z ciekawością na zakrwawione palce. Dinara, podobnie jak więcej niż połowa schwytych dziewcząt, pod wpływem tych

wszystkich okropności i napięcia zaczęła przedwcześnie krwawić.

Kamar, z wyrazem twarzy wygłodniałego żebraka, czującego świeżo przygotowane jadlo, powąchał palce.

– Słodka – wycedził i jak pies, któremu zapach krwi z łona do reszty zaćmił umysł, niecierpliwie wpakował rękę z powrotem pod ubrudzoną sukienkę.

Wydała zduszony okrzyk.

Coś ostro syknęło w powietrzu. Dinara spojrzała wytrzeszczonymi oczyma na czarnego węża, który błyskawicznie oplótł się Kamarowi wokół szyi. Wąskie oczy koczownika rozszerzyły się, z poddużonego gardła dobył się charkot.

Chwilę później Dinara zrozumiała, że to nie wąż, ale batog. Szybkie szarpnięcie obaliło kucającego Kamara na ziemię. Prędko się jednak opamiętał, sięgnął jedną ręką w tył tak daleko, jak tylko mógł, zwarł bicz w garści i pociągnął, oby oswobodzić gardło. Jednocześnie jednak się podniósł, dobył miecza z rękojeścią inkrustowaną srebrem i jednym ciosem przeciął skórzany rzemień.

Wtedy już w całym obozie rozbrzmiewał krzyk, tupot nóg biegnących ludzi i brzęk dobywanej broni. Dwaj podwładni Kamara z szablami w ręku rzucili się odważnie na mężczyznę, który trzymał w dłoni trzonek przeciętego bicza.

Styrwit odrzucił batog, a po chwili w jego pustej dłoni pojawiła się maczuga. Czeremis z dzikim wrzaskiem przeciął drogę nadbiegającym Kipczakom. Pokryta kolcami broń uderzyła jednego z nich prosto w twarz. Koczownik padł w deszczu krwi i wybitych zębów. Jego oczy, twarz i czaszka były roztrzaskane na miazgę. Drugi napastnik zdążył wprawdzie machnąć zakrzywionym ostrzem, ale barczysty Czeremis nadzwyczaj zwinnie uskoczył w bok i kiedy Kipczak przeleciał obok niego, uderzył go maczugą w plecy. Kręgosłup pękł jak cierń do spinania kielbas, a skośnooki

rozbójnik zarył twarzą w ziemię.

Czeremisi i Kipczacy wrzeszczeli, jakby dostali pomieszania zmysłów. Podwładni Styrwita skupili się w gotowości wokół swego przywódcy, plecami do siebie, trzymając maczugi i topory wzniesione w górę na znak zdecydowania. Koczownicy, mając przewagę liczebną, otoczyli ich natychmiast, szable groźnie tańczyły w powietrzu.

Tymczasem Kamar się podniósł. Miecz z niezwykle szeroką arabską klingą drżał niecierpliwie w jego dłoni. Nie odważył się jednak zaatakować Styrwita. Wystarczyło, że Czeremis groźnie wznosił maczugę.

– Miałeś w uszach kozie bobki, kiedy cię ostrzegałem, żebyś nie dotykał mojej zdobyczy tymi brudnymi łapami? – warknął wytatuowany olbrzym. – Te dziewice są poświęcone wielkiemu Zilantowi i żaden niewierny nie ma prawa ich tknąć!

– Nie strasz mnie swoimi gadzimi władcami – wycedził przez zęby Kamar, zerwał z szyi odcięty koniec batoga i odrzucił go z nienawiścią. – Chciałem tylko skosztować tej muromskiej suki. Nic by jej nie ubyło – smok przecież dostanie taki sam kęs, czy ofiara jest dziewicą czy nie...

– Czułem, że nie można ci wierzyć – syknął Styrwit. – Chyba będzie lepiej, jeśli w tym miejscu nasze drogi się rozejdą. Weźmiemy swoją część zdobyczy i dalej pojedziemy ku Itilowi na własną rękę.

– O nie! – Oczy Kamara znów zmieniły się w wąziutkie szparki. – To nie jest nasz pierwszy spór, Styrwicie. Ale zadbam o to, żeby był ostatni. Już mi dojadło ustępowanie ci. Na oczach moich ludzi podniosłeś na mnie bicz, jak na brudnego muromskiego raba. Dumny Kipczak nie ścierpi takiej zniewagi od parszywego Czeremisa!

Broń obu grup zachrząściła, zadźwięczała. Kipczacy śmiało postąpili naprzód, ale kiedy olbrzymi łysy zabijaka wyszedł im naprzeciw, znów cofnęli się z lękiem.

– Pragniesz krwi, Kamarze? No to zaczynaj! – zagrział wódz

Czeremisów. – Albo ktokolwiek z was, skośnookie psy! Chodźcie, spróbujemy! Komu mam wybić mózg z czaszki jako pierwszemu?

Kipczacy wyraźnie stracili odwagę. Widzieli, że ogromna maczuga nawet się nie chwieje, chociaż Styrowit od długiej chwili trzymał ją uniesioną jak do uderzenia. Jakby dzierżąca ją ręka była z żelaza. Również Kamar przestąpił z nogi na nogę i rozejrzył się niepewnie.

– Tak myślałem. – Skrzywił się olbrzymi Czeremis. – Posłuchajcie mnie dobrze, tchórzliwe psy! Teraz siądziemy na konie i ruszymy na wschód, do Helgardu. Jeśli ktokolwiek z was odważy się nas ścigać, nakarmię nim kruki! Zrozumiano?

Jak można było oczekiwać, jedyną odpowiedzią były chmurne spojrzenia i grymasy złości. Styrowit oderwał spojrzenie od kręgu przeciwników i skinął na swoich ludzi.

– Na koń, prędko. Każdy z was weźmie na łęk jedną dziewczynę.

Gromadka czujnych Czeremisów przesunęła się w stronę stadka koni. Kipczacy ciągnęli za nimi jak padlinożercy za zdychającym bawołem, ale wciąż trzymali się w bezpiecznej odległości. Podczas gdy Styrowit stale ich obserwował przez zakrwawione kolce swojej broni, sześciu pozostałych Czeremisów wsiadło na konie. Każdy z nich wciągnął na siodło jedną niewolnicę. Styrowit lewą ręką brutalnie złapał za włosy łkającą Dinarę, zmusił ją do wstania i pomógł wsiąść na konia. Potem zatoczył koło maczugą, aż wokół poleciały krople krwi, i też wskoczył na gniadosza.

– Mam nadzieję, że już się nie spotkamy – wymienił ostatnie nienawistne spojrzenie z Kamarem.

– Ja zaś będę się modlić do Tangriego, żeby tak się stało – złowieszczo odparł wódz Kipczaków.

Łysogłowy zbójca wyszczerzył zęby jak wściekły wilk, zawrócił konia i uderzył jego boki piętami. Czeremisi wyjechali cwałem z obozu. Zmierzali na wschód, w stronę trawiastych pagórków na brzegach Oki.

Kamar zaklął soczycie i z oczami pałającymi gniewem odwrócił się ku swej drużynie.

– Banda tchórzliwych stepowych szczurów! Na co czekacie? Tuzin chłopca natychmiast na koń! Ruszamy za nimi! Wykończymy ich strzałami i włóczniami, a gdybyśmy nawet mieli przy tym zabić wszystkie niewolnice, mam to gdzieś! Własnoręcznie rozsiekam Czeremisowi ten jego ogolony łeb i zeżrę usmażony mózg!

Kipczacy, zawstydzeni, a zarazem rozgniewani własnym wahaniem, huknęli zdecydowanie. Najlepsi łucznicy rażno wskoczyli na konie. Kamar z siodła zwrócił się do pozostałych.

– Nie czekajcie na nas! Martwych wrzucie do rzeki, a potem wszyscy na konie. Przeciągnąć niewolnikom batem po plecach, niech przyspieszą kroku! Nie zatrzymywać się na noc! Jechać stale na wschód, trzymać się Oki! Poczekamy na was przy progach rzecznych! Przy tych słowach uderzył konia płazem miecza po zadzie. Zatętniły kopyta – trzynastu prześladowców wyruszyło. W świetle zachodzącego słońca gnali przed sobą własne, wydłużające się cienie.



Siedmiu Czeremisów, z młodziutkimi karaczarowskimi niewolnicami na łąku siodeł, gnało konno wzdłuż Oki. Rzeka, aż do tej pory płynąca na północ, u zbiegu wód z Kłazmą skręciła nagle na wschód i teraz już zmierzała szybko, prosto do wielkiej rzeki Itil. Po obu brzegach ciągnęły się niskie, trawiaste pagórki, miejscami tylko ozdobione brzozowym gajem albo resztkami dąbrowy i lasków bukowych.

Styrwit zatrzymał się na jednym z tych wzniesień, szarpnięciem wodzy zawrócił konia i szeroką dłonią osłonił oczy przed blaskiem zapadającego słońca.

– Myślisz, że odważą się nas ścigać? – zapytał jeden z drużynników.

– Pytasz jak głupiec – burknął olbrzym. – Pewnie, że się odważą. Tak

potraktowałem Kamara, że tylko krew może zmyć zniewagę. Kipczacy pójdą naszym tropem jak wygłodniałe psy. Musimy jak najprędzej dostać się do Helgardu.

– A potem co? Waregów interesuje tylko zdobycz, więc i tak poczekają na Kipczaków i resztę schwytanych. Tym bardziej że właściwie nie mamy im teraz czym zapłacić. Helgard to pułapka...

– Przestań skamleć, coś wymyślimy. Jedźmy, nie traćmy czasu!

Dinara, skulona w mocnym, w pewien sposób bezpiecznym objęciu Styrywita, ze zmęczenia już ledwie widziała świat. Słońce dotknęło horyzontu. Roztrzęsioną, oszołomioną duszę dziewczyny też okrył mrok.

Czeremisi szybkim kłusem zjeżdżali ku Oce.



Słońce, wieczorem rozpalone do czerwoności, daleko na zachodzie zanurzało się już w wody Kłazmy, kiedy na równinie na południe od rzeki zadudniły kopyta. Mnóstwo kopyt.

Jeźdźców były ze trzy tuziny. Mieli na sobie pancerze z wyprawianej, nabitej żelaznymi ćwiekami skóry. Ich ciemne głowy były chronione przez proste hełmy ze skóry wzmocnionej płytkami z brązu. W rękach trzymali długie włócznie.

Cwałem wjechali do płytkiej wody, rozbijając na kawałki odbicie słońca na jej powierzchni. Tryskające spod kopyt fontanny wody wyglądały jak garście hojnie rozrzuconych bursztynów.

Na drugim brzegu wódz drużyny szarpnął za uzdę i podniesieniem ręki zatrzymał pozostałych. Mniej więcej czterdziestoletni, brodaty wojownik odziany był w kolczugę, łuskowy pancerz i pyszny hełm z wykutą osłoną nosa. To wszystko, wraz z szerokim mieczem u pasa, świadczyło o jego wysokiej pozycji.

– Tutaj odpoczywali. – Rozejrzał się po zdeptanej trawie i skinął na



przybocznego. Ten prędko zeskoczył z konia i podniósł z ziemi brązową grudę wielkości pięści. Była jeszcze miękka, niewysuszona słońcem. Ale to im nie wystarczyło – mężczyzna, z widocznym na twarzy skupieniem, dokładnie rozgniół kulę gnoju między palcami.

– W środku jeszcze ciepły – spojrzał na możnego.

– Odjechali dopiero przed chwilą – zachmurzył się wódz i jego spojrzenie pobiegło na wschód. Tamtejsza kraina była pofałdowana, więc nie dostrzegli ściganych rozbójników.

– Mają przewagę dwóch, najwyżej trzech wiorst. – Przyboczny kiwnął potakująco głową, jednocześnie wytarł rękę w trawę i wskoczył z powrotem na siodło. – Doścignemy ich, zanim się zupełnie ściemni.

– I pošlemy ich nocować do piekła.

Wódz podniósł rękę i rażno machnął w kierunku Oki. Drużyna muromskiego beja Alwara popędziła konie.



Ślady oddziału Styrywita prowadziły Kamara i jego dwunastu drużynników wzdłuż porośniętego trzciną północnego brzegu Oki. Płosząc ptactwo wodne, gnali konie w kierunku mroku, który od wschodu wyrastał nad krainą.

Przed nimi wyrosła ciemna plama lasu, przelewająca się przez pagórki i ciągnąca się prawie do brzegu. Kamar pamiętał to miejsce – zbliżali się do progów rzecznych. W duchu po raz kolejny przeklął Styrywita. Miał nadzieję, że doścignie Czeremisów jeszcze przed brodem, ale, jak okiem sięgnąć, nie było po nich śladu. Żeby tak gromowładny Kwar rozpruł ich błyskawicami! A ciemny Erlik całą wieczność gryzł ich dusze w swych mocnych niedźwiedzich zębach!

Kipczacy dotarli do drzew i jechali dalej szeroką, wygodną ścieżką między ciemniejącym lasem a przybrzeżnym trzcinowiskiem, z którego rozbrzmiewało kumkanie żab. Kraina wokoło była coraz trudniejsza dla podróżnych, okoliczne pagórki, wznoszące się nad rzeką, miały coraz

bardziej strome stoki. Jeźdźcy usłyszeli przed sobą huk. Po chwili w gęstniejącej szarości zabłysła spieniona woda na skalnych progach.

Zatrzymali się na kamienistej połaci nad brodem. Kamar posłał dwóch ludzi w dół, ku rzece.

– Brzeg jest błotnisty, obejrzymy ślady nad wodą. Chcę mieć pewność, że nie przeszli na drugą stronę.

– A po co mieliby to robić?

– Żeby nas zmylić, głupcze!

Dwójka zeszła niżej bez dalszych pytań i koło brodu zsunęła się z siodła.

– Tu jest pełno śladów – zameldował jeden z nich, pilnie badający ziemię – ale starych.

Tylko jedne wyglądają na całkiem świeże, jeszcze ich woda nie zalała...

– Kopyta czy nogi?

– Kopyta. Ale tylko jeden koń. Przyjechał z południa i przeszedł brodem. Musiał to zrobić zaledwie chwilę temu. Powiedziałbym, że widział, jak nadjeżdżamy...

– I zmykał precz, bo ze strachu narobił na siodło – dopowiedział Kamar. – Samotny jeździec nas nie obchodzi, to pewnie przypadkowy podróżny. Na koń! Czeremisi pojechali dalej, musimy...

Za ich plecami rozkrzyczało się ptactwo, zaszeleściło listowie, zafurkotały skrzydła. Kipczacy obejrzeni się błyskawicznie i sięgnęli po broń. Z rosochatych koron drzew na skraju lasu wzleciały stada spłoszonych ptaków, tuziny i tuziny skrzydeł na tle gasnącego wieczornego nieba. Między drzewami gęstniał mrok, czerniały cienie.

– Złękły się nas – szepnął Kamar i dobył z pochwy przy boku szeroką szablę – czy kogoś innego?

– Może – syknął stojący przy nim młody łucznik – Czeremisi skryli się w lesie i czyhają na nas...

– Też coś – przywódca gromady pokręcił głową – przecież by nie...

Nie dokończył. Coś przecięło powietrze z głośnym sykiem. Jeden z jeźdźców, podnoszący właśnie łuk, krzyknął i wypuścił strzałę przedwcześnie, pod kopyta koni swych druhów. Przez chwilę patrzyli na lotki, które sterczały z uda towarzysza – pocisk wystrzelono z taką siłą, że przebił nie tylko nogę mężczyzny, ale też siodło, potnik i bok konia. Zwierzę zarżało boleśnie i zaczęło biec – jeździec przybity do jego grzbietu kiwał się dziko w rytm cwału.

– Kryć się! – krzyknął Kamar.

W leśnej gęstwinie znów zaśpiewała cięciwa, w szarym mroku świsnął drugi grot. Postrzelony w zad koń pod jednym z Kipczaków stanął dęba. Mężczyzna wyleciał z siodła i klnąc, wpadł w trzciny. Ktokolwiek do nich strzelał, marnie posługiwał się łukiem. Dopiero trzeci grot dosięgnął właściwego celu – przebił na wylot gardło młodzieńca u boku Kamara i po chwili plasnął o wodę po drugiej stronie. Wódz odwrócił głowę, skropioną świeżą krwią. Napastnik nie umiał strzelać, ale był bardzo silny, to trzeba było mu przyznać.

Kipczacy starali się uspokoić spłoszone konie i skierować je w stronę lasu. Dwóm czy trzem ludziom udało się w tym zamieszaniu sięgnąć po łuki i odpowiedzieć na ostrzał. Ich strzały zaszeleściły jednak w gęstwinie, nie wyrządzając nikomu szkody.

Czwarty pocisk przeleciał tak blisko Kamara, że powiew powietrza, zwichrzonego furkoczącą lotką, musnął mu twarz.

– Zabijecie go w końcu?! – wrzasnął i popędził konia w stronę lasu. Zrozumiał już, że nie atakują ich Czeremisi.

Gdzie tam!

Ich przeciwnikiem był tylko jeden człowiek.



Ilja zaklął grubiańsko i nałożył na cięciwę piątą strzałę. Ręka mu się trzęsa – nie ze zmęczenia, ale z powodu narastającej paniki. Już dziesięciu Kipczaków gnało rumaki w stronę gąszczu, w którym niespokojnie tupał Buruszko.

Napiął łuk jeszcze mocniej niż przedtem, ze wszystkich sił. Skoro już nie był w stanie porządnie trafić – nic dziwnego, przecież jego krzywe ręce nigdy wcześniej nie potrafiły naciągnąć żadnej cięciwy – niech przynajmniej groty przebiją to, czego dosięgną.

Oczywiście zamysł, że słabą celność da się zastąpić siłą, był błędny. Bogowie postanowili go o tym pouczyć. Jak zwykle, w najmniej dogodnym momencie – zapewne dlatego, żeby sobie lepiej zapamiętał ten karcąco podniesiony palec.

Przeciążona cięciwa pękła głośno, z niemal szyderczym brzękiem. Drewniane ramiona łuku odskoczyły na próżno. Strzała klepnęła Buruszka między uszy i wpadła w gąszcz. Konik zarżał z wyrzutem.

Ilja znów zaczął kłąć. Mściwie wyjący Kipczacy zbliżali się szybko. Kopyta małych koników wzbijały w powietrze zesłoroczne liście. Muromiec chwycił włócznię, do tej pory wsuniętą między udo a koński bok, obrócił ją w dłoni i zamachnął się.

Na wprost niego jeden z jeźdźców przedarł się przez gęstwinę. Ku zdziwieniu Ilji, on też trzymał w ręku włócznię. Dostrzegł cień barczystego Muromca w mroku lasu, stanął w strzemionach i błyskawicznie podniósł broń nad ramię.

Ilja cisnął swój oręż tylko o jedno uderzenie serca wcześniej.

Najwyraźniej tego dnia bogowie chcieli tylko dać mu lekcję, a nie go zabić. Grot z brązu przebił Kipczaka na wylot i nie tylko zwałił z konia, ale dosłownie wyrzucił charczącego mężczyznę z lasu, z powrotem na brzeg rzeki.

Muromiec nie miał czasu, by się cieszyć. Z krzykiem i hałasem w gęstwinę

wpadli pozostali rozbójnicy. Ilja szarpnięciem uzdy zawrócił Buruszka. Spłoszony, rżący źrebiec z ochotą rzucił się do ucieczki. Tuż za jego zadem kilka strzał zaryło się w bukowe pnie i pulchną leśną ziemię.

Pochylony nad szyją Buruszka tak nisko, że powiewająca rudawa grzywa smagała go po twarzy, Ilja umykał z placu boju, a w duchu sam siebie przeklinał za popędliwość, brak cierpliwości i rozwagi. Jak mógł sobie myśleć, że bez jakiegokolwiek doświadczenia bojowego może stawić czoło tuzinowi pokrytych bliznami zabijaków? Samą siłą nie wygrywa się walki, w żadnym razie.

Jak gdyby samo dojście do tego wniosku nie wystarczyło, bogowie zdecydowali się go dziś nauczyć czegoś jeszcze.

Na przykład tego, że gnać konno po zmroku przez gęsty las to niewyobrażalna głupota.

Nisko wisząca lipowa gałąź nie była wprawdzie gruba, ale w zupełności wystarczyła, by zrzucić z końskiego grzbietu jadącego bez siodła mężczyznę. Trzasnęło, a Ilja ze złamaną gałęzią w ręce padł prosto na plecy. Nóż, który nosił bez pochwy, zatknięty po prostu za pasek, ukłuł go w udo. Na szczęście niezbyt głęboko, ale zabolalo wystarczająco, by Muromiec zapamiętał, że noszenie nagiego noża za pasem nie jest zbyt rozsądne. Bogowie byli dziś w nastroju do udzielania pouczeń.

Tupot kopyt Buruszka oddalał się prędko. Z kolei z przeciwnej strony prędko zbliżało się radosne pokrzykiwanie Kipczaków. Słyszeli upadek Ilji i byli pewni, że tym razem zdobycz im nie umknie.

Ilja z wściekłością odrzucił gałąź, zerwał się na równe nogi i wyrwał zza pasa topór. Pobliską gęstwinę rozorał właśnie koński tułów. Jeździec świsnął szablą, ale Muromiec na czas podniósł swoją broń – zakrzywiona klinga skrzesała iskry o masywny obuch. Ilja przytomnie złapał Kipczaka za rękę i ściągnął z konia. Łowca niewolników wrzasnął. Muromiec mocnym kopniakiem pozbawił go tchu, a prawdopodobnie również połamał zebra. Do tego jeszcze zamachnął się toporem i rąbnął oburącz, tak jakby rozszczepiał

gruby pniak. Skowyt rozbójnika ucichł. Za to pozostali Kipczacy zawyli ze złości. Byli wszędzie wokoło.

Ilja wyrwał ostrze z czoła wroga i ruszył w stronę gęstniejących ciemności. Miał przewagę zaledwie kilku sążni, a i ten dystans koczownicy z dalekiego południa prędko skracali – wrzeszczące czarne sylwetki zbójców łatwo przedzierały się przez podszyt i stopniowo zamykały uciekiniera w zwężającym się półokręgu. Kipczacy mieli w tym bogate doświadczenia – przy chwytaniu niewolników często ścigali spryciarzy usiłujących umknąć do lasu.

Na lewo od Muromca, spoza drzew, z tupotem i pokrzykiwaniem wynurzył się jeden z prześladowców. Wstrzymał konia naprzeciwko Ilji i spróbował przeciąć mu drogę.

Młodzieniec w pełnym biegu wskoczył pod świszczącą maczugę i z boku uderzył ramieniem w tułów konia, koło nogi Kipczaka. Zwierzę zarżało i padło w paprocie, młóćąc kopytami w powietrzu. Jeździec znalazł się pod koniem, rozległ się trzask pękających kości, a po chwili w lesie zabrzmiało straszne wycie.

Muromiec tylko trochę się zatoczył i pobiegł dalej. Coś mu kazało mknąć w dół niezbyt stromego zbocza. Po lewej ręce las był bardziej świetlisty. Rzucił okiem w tę stronę i za czarnymi kamieniami dostrzegł lśniąca wodę. Zrozumiał, że wraca łukiem ku Ocie. Nie, nie może wbiec na otwartą przestrzeń między lasem a rzeką, tam natychmiast by go dostali. Obejrzał się z powrotem na stok.

Wyraźnie doszli do tego samego wniosku. Rozciągnęli się na zboczu nad nim i spychali go w dół, poza las.

Nie miał wyboru. Biegł ku brzegowi, nad którym ciągle jeszcze świeciło słabe wieczorne światło. Ktoś inny wpadłby na pomysł, by jak najszybciej dobiec do rzeki, wskoczyć między gęste trzciny, schować się w wodzie...

Tylko że Ilja nie lubił wody. Ani trochę. Z powodu kalectwa nie umiał

pływać, a nawet gdyby potrafił, i tak strasznie bał się wody. Stojącej, płynącej, wszystko jedno. Kiedy wyciągał martwych współplemieńców z Nieprzy, omal się nie utopił i zdecydowanie nie chciał czegoś takiego doświadczyć ponownie. Nawet jeśli miałby wybierać między tym a cięciem szabli koczownika.

Kipczacy zbliżali się. Już słyszał świst powietrza w końskich nozdrzach. Znalazł się w pułapce. Wybiegł więc na ścieżkę pod lasem, obrócił się i wzniosł topór, oburącz chwytając gładkie stylisko. Zbójcy wynurzyli się z lasu, wzbijając obłok liści.

W tej chwili Ilja dosłyszał tupot kopyt za swoimi plecami. Drogą od zachodu jechała liczna gromada jeźdźców. Nawet się nie obejrzał. Zrozumiał, że ludziom, których tak głupio i bezmyślnie zaatakował, przybywa na pomoc reszta zbójeckiej hordy. Dobrze pamiętał z Karaczarowa, że było ich w sumie co najmniej trzydziestu.

Kipczacy zaczęli wrzeszczeć. Ku zdumieniu Ilji nie był to okrzyk zwycięstwa, ale zaskoczenia. I strachu!

Obejrzał się, prędko i tylko na chwilę. Na tle zorzy wieczornej nad zachodnim horyzontem widział tylko czarne sylwetki nadjeżdżających, ale i tak poznał, że nie są to Kipczacy.

W powietrzu zaświszczały strzały, dołączyły do nich ciśnięte włócznie. Rój ostrych grotów tylko cudem minął skulonego, kryjącego głowę w ramionach Ilję. Skutecznie za to żądlił Kipczaków – łowcy niewolników z wraskiem spadali z siodeł, postrzelone konie rżały strasznie i zataczając się, spadały z drogi do wody albo w trzciny. Pękały kości, z gardeł napęniających się krwią i wodą wydobywało się bulgotanie oraz charkot. Jeden z rozbójników, z okrzykiem zemsty na ustach, ruszył jednak konno w stronę Ilji. Muromiec, mimo półmroku, rozpoznał kipczackiego wodza – tego, którego nazywano Kamar.

Koczownik wstrzymał konia tuż koło młodzieńca. Szerokie, zakrzywione ostrze z sykiem zmierzało ku głowie Ilji. Siłacz skulił się w ostatniej chwili –

ostrze świsnęło tak blisko, że odcięło mu kosmyk płowych włosów. Muromiec wyprostował się rażno i oburącz rąbnął toporem. Ostrze przecięło rzemienie na klatce piersiowej Kamara, rozcięło mostek i rozwarło żebra. Wódz koczowników w deszczu krwi padł na wilgotną trawę.

Nieznajomi jeźdźcy przelecieli przez resztę kipczackiej watahy jak kosa przez gęstą pszenicę. Co jeszcze żyło, bezlitośnie obalili na ziemię, rozsiekali, rozdeptali, skąpali we krwi. Także w szeroką pierś Ilji wymierzono kilka włóczni.

– Stać! – zabrzmiał władczy głos. – Nie jest jednym z nich, nie widzicie tego?

Gorliwi wojownicy wzniesli groty ku niebu i rozstąpili się, by zrobić przejście wysokiemu mężczyźnie w bogatej zbroi. Nie tylko dzięki niej były od niego dostojeństwo i siła.

– Coś ty za jeden? – Jeździec zmierzył wzrokiem barczystego, trzymającego zakrwawioną siekiere młodzieńca.

– Muromiec, tak jak wy – odparł, dysząc. – Ilja, syn Jahji z Karaczarowa...

– Z Karaczarowa? – Zachmurzył się wódz. – Ponoć tam wszystko spalili na popiół, a władcy Jahji poderżnęli gardło...

– Właśnie tak – wykrztusił Ilja. Jego krtań ścisnęła się nagle, a głos wypełnił goryczą. – A co najmniej połowę osady powlekli w niewolę. Staralem się ich uwolnić...

– Uwolnić? Ty? I sam? Ilja wzruszył ramionami.

– Tylko ja jeden pozostałem przy życiu i bez niewolniczej obroży na szyi... Wojownik ze zdumieniem pokręcił głową.

– W takim razie jesteś albo najodważniejszym młodzieńcem, o jakim kiedykolwiek słyszałem, albo masz w głowie krowie łajno. Tak czy siak bogowie cię kochają, chłopcze. Przeżyłeś i już wkrótce spotkasz się ze współplemieńcami. Uwolniliśmy ich przed chwilą.

Ilja prawie podskoczył.



– Naprawdę? – krzyknął radośnie. – A co z resztą tych łotrów?

– A co ma być? Pościnaliśmy im łby. Nad rzeką, jakieś trzy wiorsty za zachód stąd. Chodź, wrócisz z nami do swego rodu.

Ilja, czując, jak wilgotnieją mu oczy, padł na kolana.

– Dziękuję, panie! Wstyd mi, ale nie znam twojego imienia. Za kogo mam się modlić do wszystkich bogów?

Wódz uśmiechnął się krzywo.

– Za mnie módl się tylko do wszechmocnego Allaha, Iljo, ponieważ on jest jedynym prawdziwym Bogiem. A gdyby przypadkiem wysłuchał cię w swym nieskończonym miłosierdziu, jestem Alwar ibn Mehmed...

Zaskoczony Ilja podniósł głowę i wytrzeszczył oczy. Po chwili znów pokłonił się prędko.

– Wybacz mi, wielmożny beju, nie wiedziałem...

– To nic, Iljo. Wstań już. Najwyższy czas wracać.

Dokładnie w chwili, gdy mocarny młodzian z Karaczarowa wstał i otrzepywał kolana, przez odgłos mieczy, odrąbujących kipczackie głowy od ciał, przebiło się znajome rzenie. Ilja obejrzał się zaskoczony. Na skraju lasu stał kasztanek i podrzucał zwisające do ziemi wodze.

– Buruszko! – Pospieszył ku niemu Ilja.

– To twój koń? – spytał Alvar.

– Tak, wielki beju. Wrócił do mnie.

Muromski książę z uśmiechem pokręcił głową.

– Dzisiaj Allah rzeczywiście chce ci wynagrodzić wszystkie nieszczęścia, które dotknęły cię w minionych dniach...

Raźno wyruszyli wzdłuż Oki z powrotem za zachód. Lekki stepowy wietrzyk cesał włosy Kipczaków, których głowy Muromcy nieśli nabite na włócznie.

– Znałem Jahję – odezwał się Alvar do Ilji. – Zawsze przynajmniej raz w

roku gościł w Muromiu. Miał też syna, rosnącego i silnego, tylko jak on miał...

– Tarik – ponuro odparł młody karaczarowianin. – Zabili go Czeremisi, którzy przyjechali z tą kipczacką zgrają.

– Szkoda go. Dobrze, że chociaż ty przeżyłeś. Nie wiedziałem, że Jahja ma jeszcze jednego syna.

– Jestem synem wiatyckiej niewolnicy, panie.

– Ach tak. Rozumiem. Dlatego nigdy o tobie nie mówiłem... Czekał chwilę. – Bej zasępił się nagle. – Mówisz, że z tą bandą byli też jacyś Czeremisi?

– Tak, chyba siedmiu ludzi. – Ilja poczuł, jak w jego pierś, jeszcze przed chwilą rozgrzaną z radości, znowu zanurza się chłodny grot. – Czy nie było ich razem z Kipczakami?

– Nie zauważyłem żadnych Czeremisów, chłopcze. A możesz mi wierzyć, odróżniam ich od Kipczaków...

– Ich wodzem był olbrzym z tatuażem na ogolonej głowie. Na piersi nosił znak Zilanta, czarnego smoka...

Alwar-bej rażno pokręcił głową.

– Nikogo takiego na pewno w tej zgrai nie było.

Ilja z niepokojem spojrział przed siebie. W ciemności właśnie zamigotał ogień, przy którym czekali uwolnieni karaczarowianie.

Tak mocno ścisnął udami Buruszka, że konik zarżał boleśnie.



– Dinaro! – krzyknął Ilja i zeskoczył z konia, nim ten jeszcze stanął. – Dinaro, jeśli tu jesteś, odezwij się!

Tłoczący się wokół ognia mieszkańcy wioski patrzyli na niego tak, jakby zobaczyli ducha. Barczysty młodzieniec, który przycwałował z książęcą drużyną, miał w sobie coś diabła znajomego – jednocześnie byli pewni, że jeszcze nigdy go nie widzieli.

Ilja przebiegł wzrokiem zmizerniałą gromadkę, a kiedy nie dostrzegł

poszukiwanej twarzy, chwycił najbliższego młodzika za szyję i potrząsnął nim niemal brutalnie.

– Gdzie jest Dinara? Mów!

– Dinarę... zabrali... – wyjąkał junak.

– Kto? Czeremisi? Ten z czarnym smokiem na piersi?

– Ten...

– Dokąd zmierzali?

– No przecież na wschód, w stronę Itilu – opowiadał z trudem młodzieniec. – Czeremisi pokłócili się z Kipczakami... Tamci wzięli siedem dziewcząt i pogalopowali... Tuzin Kipczaków ruszył za nimi... Chcieli ich zabić i odebrać porwane...

– Co się dzieje? – zawołał zaniepokojony Alwar, który właśnie wstrzymał konia koło Ilji.

Siłacz obejrzał się. Jego twarz była blada, co było widać nawet w migotliwym świetle obozowego ogniska.

– Na wschód pogalopowały dwie grupy, panie. Dopadliśmy tylko tę drugą. Czeremisi z siedmioma niewolnicami uciekli...

– Nie wiedziałem o dwóch gromadach, Iljo. – Zachmurzył się władca Muromców. – Kiedy uwolniliśmy tych tutaj, w zamieszaniu byli nam w stanie powiedzieć tylko tyle, że reszta zbójców pocwałowała na wschód.

– Ilja? – zachrypiał zaskoczony młodzieniec, którego siłacz wciąż trzymał za szyję. – Ilja, syn Wiatyczki? To naprawdę ty?

– Tak, to ja.

– Na bogów, jak...

Pytanie nie zostało zadane, ponieważ Ilja niecierpliwie odepchnął młodzieńca, wrócił do Buruszka i wspiął się na okryty potnikiem grzbiet.

– Zaczekaj, Iljo. – Alwar-bej wyciągnął ku niemu rękę. – Nie galopuj po nocy. Musisz odetchnąć, opatrzyć rany. Rozumiem, że porwali twoją miłą,

ale...

– Nie, panie, nie mogę zwlekać. – Młodzieniec pokręcił głową. Twarz miał jak wyciosaną z kamienia, oczy jak wykute ze stali. – Jeśli będziemy czekać aż do rana, Czeremisi dotrą przez ten czas do Itilu, do Helgardu...

– Tak czy owak, nie dościgniemy ich przed Helgardem, chłopcze. Nie chcę też zwady z tamtejszymi Waregami. Murom zawarł z nimi umowę...

– Wybacz, panie, ale mam gdzieś twoje układy z Waregami – twardo, bezlitośnie odparł Ilja. – Poza tym Czeremisi nie zamierzają sprzedać niewolnic helgardczanom. Powloką je do przeklętej wieży w bułgarskim Suwarze, żeby tam nakarmić nimi swoje smocze bóstwo. Nie pozwolę na to.

Szarpnięciem wodzy Ilja zwrócił Buruszka czołem ku ciemności na wschodzie. Nie dojechał jednak nawet do stosu odrąbanych kipczackich głów.

– Stój, Iljo! Rozkazuje ci to twój książę! Obejrzał się na Alwara.

– Nie mogę cię posłuchać, beju. Pojadę, nawet gdybym miał jechać sam...

– Ja ci przecież nie zamierzam zabraniać, gorąca głowo. Ale przyjmij dobrą radę: mając za całą broń ciesielski topór i jadąc bez siodła, nie zdobędziesz Helgardu.

Siłacz uniósł pytająco brwi. Alwar zwrócił się do swych ludzi.

– Nie zrozumieliście? Po Kipczakach zostało mnóstwo oręża. Podajcie Ilji jakiś solidnie wykuty miecz. I włócznię. I znajdźcie porządny łuk, najlepiej rogowy i z mocną cięciwą, żeby wytrzymała jego siłę. I zdejmijcie z któregoś konia siodło i dobry rząd.

Ilja spojrzał na Alwara najpierw z zaskoczeniem, a po chwili z niezmierną wdzięcznością. Bej odpowiedział mu spojrzeniem, pokiwał głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się pod wąsem.

– A wy – zwrócił się do drużynników – też dopełnijcie kołczany kipczackimi strzałami.

Natychmiast wyruszamy do Helgardu!



Bragi Halvorsson był tego dnia ponury i rozdrażniony jak stara panna. Wczoraj przesadził z piciem jeszcze bardziej niż zwykle. Jego długa, przestronna skalla u ujścia Oki do Itilu aż do późnej nocy trzęsła się od śmiechu i śpiewu drużynników. Jak na złość Bragi obudził się już o świcie, a w głowie tak mu trzeszczało, że za nic nie mógł usnąć na nowo. Próbował się wyleczyć kolejnym dzbankiem miodu, ale po paru łykach poczuł się jeszcze gorzej. A jego brzuch przeszywała boleść, jakiej jeszcze do tej pory nie zaznał.

Kiedy tak siedział na przyzbie w świetle wschodzącego słońca, łykał świeże powietrze płynące od Długiej Rzeki i starał się uspokoić wzburzone wnętrzości, przyszło mu nagle do głowy, że jest już za stary na hulanki. Liczył sobie trzydzieści siedem zim. Z jednej strony nie było to tak dużo, ale pędzący życie pełne przygód Waregowie dożywali takiego wieku tylko dzięki łasce wszystkich bogów Asgardu. Od chwili, gdy Bragi w wieku piętnastu lat wypłynął na ojcowskim wojennym drakkarze z rodzinnego Hedeby, jego twarz osmagały wiatry niezliczonych krajów, na palcach zaschła sól z wielu mórz, a ostrze topora rąbało w tyłu bitwach, że wszystkie zlewały mu się już w jedno dzikie, krwawe wspomnienie. Czy nie nadszedł czas, by osiedlić się gdzieś, założyć rodzinę i przestać żłopać tyle miodu?

Koniec końców, już od trzech lat był helgardzkim konungiem. Przybył do Helgardu pewnej jesieni, zamierzając walczyć, tylko że łupienie i następujące po nim świętowanie zatrzymały go zbyt długo – naraz przyszły śnieżyce i tęgie mrozy, Itil zamarzał, a on musiał tutaj przezimować. Wiosną już nie wypłynął. Za jego rządów na opływającym przez dwie rzeki wzgórzu helgardzkim – będącym wcześniej zwykłym wareskim obozowiskiem, jakich wzdłuż Długiej Rzeki było na tuziny – wyrósł imponujący gród z wysoką palisadą. Helgard stał się najważniejszą wareską osadą nad brzegami Itilu, a jego władca najpotężniejszym Normanem w całej okolicy.

Na przekór temu, co osiągnął, w duszy Bragiego czaił się niepokój. Czuł,

że nie chce tkwić w tych stronach do końca życia. On, który walczył w Brytanii, na Sycylii i w północnej Afryce, ba, przez trzy lata służył nawet w gwardii imperatora w samym Carogrodzie, tu, wśród mglistych lasów, zamieszkanym przez dzikie plemiona, czuł się jak na wygnaniu. Nie, tutaj nie było gleby dobrej do zapuszczania w niej korzeni. Dlatego z bijącym sercem powitał wieści o zbliżającej się wojnie. Kijów wyciągał rękę w stronę Itilu i zamierzał podporządkować sobie cały jego bieg aż po Morze Kaspijskie. W takiej awanturze nie mogło zabraknąć Bragięgo Halvorssona. Światosław będzie potrzebował zastępcy i rządcy podbitych ziem, a komu będzie ufał bardziej niż Waregom, z których krwi pochodził? Bragiemu nadarzała się okazja, by odegnać nudę, zdobyć bogate łupy, a do tego przysporzyć sobie trochę wojennej sławy.

Tak, helgardzkie drakkary były gotowe, by w każdej chwili popłynąć w dół Itilu. Wszyscy czekali właściwie tylko na bandę Kipczaków, która miała przyprowadzić niewolników z muromskich osad. Bragi ich kupi, zabierze ze sobą, a w dole rzeki, w Bułgarii, sprzeda za trzykrotnie, może czterokrotnie wyższą cenę. Łączyć wyprawę wojenną z handlową – to właśnie Waregowie lubili najbardziej.

– Konungu!

Od bramy zwróconej ku Ocie, w górę łagodnego zbocza biegł ku skalli Ratimir, długoletni przyboczny Bragięgo i jego najlepszy przyjaciel. Pochodził z legendarnej wyspy Rujany, na której rodzili się dobrzy wieszczkowie i jeszcze lepsi piraci. Halvorsson już z wyrazu jego osmaganej wichrem twarzy poznał, że nie przynosi dobrych wieści.

– Przybył Styrwit! – oznajmił z podnieceniem.

Bragi natychmiast poczuł się gorzej. Nie znosił nawet samego dźwięku imienia Czeremisa. Przez tego przeklętego podrzynacza gardeł śniły mu się koszmary. Jakby nie wystarczyło, że grasował z gromadą rozbójników wzdłuż całego Itilu i łupił bez wyboru ziemie wszystkich władców, z którymi Helgard starał się żyć w zgodzie, to jeszcze jego celem nie był uczciwy

handel niewolnikami i inną zdobyczą. Ze wszystkimi, których pojmał, płynął wiele wiorst z prądem Itilu do wielkiego czeremiskiego obozu Suchodol. Za każdym razem, kiedy zgromadził tam wystarczająco dużo dziewczic, ładował je na łódź i zawoził swoim panom do Bułgarii, do czarodziejskiej wieży Suwar, gdzie podobno mieszkał wielki czarny smok imieniem Zilant. Do Bragiego docierały straszne wieści o losie niewolników w tej gadziej siedzibie...

Jednocześnie właśnie ze względu na te opowieści Bragi nie odważył się nastawać na życie Styrwita. Już od dawna miał ochotę, by – zgodnie z miejscowym zwyczajem – kazać przywiązać kończyny tego łysego skurwysyna do czterech silnych koni i rozerwać go na kawałki, ale nie chciał rozgniewać czcicieli Zilanta, których wszyscy się tu bali. Przynajmniej na razie.

Teraz więc wziął głęboki wdech, odkaszlnął, splunął gęstą śliną o smaku żółci i rozkazał Ratimirowi, by strażę otworzyły bramę.



Na widok siedmiu niewolnic, które zsunęły się z siodeł Czeremisów, nastrój Bragiego, już i tak podły jak ten opluty, zafajdany kurzymi kupami podwórzec grodu, stał się jeszcze gorszy. Dziewczęta były co prawda brudne i ledwie żywe ze zmęczenia, ale jedno spojrzenie doświadczonego oka konunga wystarczyło, by rozpoznał pierwszorzędnny towar.

– Gdzie są Kipczacy? – zapytał bez pozdrowienia, bez jednego słowa przywitania.

– Pokłóciliśmy się trochę z Kamarem – obojętnie odparł Styrwit. – Chciał więcej, niż mu się należało. Musiałem dać jego ludziom lekcję i prędko się z nimi pożegnać. Dotrą później.

Bragi zmrużył oczy. Nim wpuszczono Czeremisów, wziął ze swoich komnat topór. Broń miała dwa ostrza skierowane w przeciwną stronę, co nie było typowe dla wareskich wyrobów, ale takie topory spodobały się Bragiemu w Irlandii, więc kazał sobie wykuć podobny. Teraz siedział na

ławie przed drzwiami skalli, opierał długie stylisko dwuostrzowego potwora o ziemię, dłonie trzymał na szczycie broni, a brodę na dłoniach. Wokół stały jego strażę, tuzin ludzi gotowych w każdej chwili sięgnąć po broń.

– I będą chcieli was zabić, hm? – warknął.

– To bardzo prawdopodobne. – Skinął głową Styrwit i uśmiechnął się. Bragi nie wiedział, czy ma to być wyraz pogardy dla Kipczaków, czy też szyderstwo z trudnego położenia, w jakim stawał teraz gospodarza, Wareg jednak, szczególnie w swoim obecnym nastroju, był skłonny widzieć wszystko z jak najgorszej strony. W dodatku nie znosił, kiedy śmierzcząca hałastra z lasów za Itilem używała takich słów, jak „prawdopodobnie”.

– Nie pozwolę, żebyście swoje spory rozstrzygali na mojej ziemi – burknął. – Zmusiłoby mnie to, żebym stanął po którejś ze stron, a ja nie potrzebuję zwady ani z tobą, ani z Kamarem. Dostarcza mi dobry towar.

– Jest rozwiązanie – Styrwit nie przestawał się uśmiechać. – Każ natychmiast spuścić na wodę jedną ze swoich łodzi. Wiem, że wybierasz się na wyprawę do Bułgarii, więc łodzie na pewno masz już gotowe. Niech twoi wioślarze jak najszybciej dowiozą nas do Suchodolu. W ten sposób unikniemy walki z Kipczakami, a ty nie będziesz musiał niczego rozstrzygać.

Bragiemu zadrgały mięśnie szczęk, ale dzięki gęstemu rudemu zarostowi mało kto to zauważył.

– Tak, moje drakkary są już gotowe. Wystarczy zadać w róg, a na pokładach zaroi się od wojowników i wioślarzy. Przypomnę ci jednak naszą umowę, bo chyba stepowy wiatr wywiał ci ją z głowy. Łodzie mają zabrać wszystkich niewolników, których przyprowadzi Kamar. Was siedmiu i waszą zdobycz wysadzimy w Suchodolu, a z resztą towaru popłyniemy dalej, do Bułgaru albo Balimeru, na któryś targ niewolników. Ty, twoi ludzie i twój łup pojedziecie właściwie za darmo – wystarczającą zapłatą ma być zysk ze sprzedaży towaru Kamara. Ten będzie spory, przyznaję, sprzedam Bułgarom niewolników za dwukrotnie wyższą cenę, niż żądają Kipczakowie...



– Za trzykrotnie wyższą – niecierpliwie przerwał mu Styrwit. – Chyba ci jeszcze w uszach chlupocze miód, bo nie słyszałeś dobrze, Halvorssonie. Nie domagam się przecież, żebyś teraz wypłynął z całą flotyllą. Wystarczy wysłać jedną łódź, która zawiezie nas do Suchodolu i tam na was poczeka. Ty sobie tu przez ten czas spokojnie wypatruj Kipczaków i schwytyanych Muromców...

Bragi wziął głęboki wdech, wyprostował się i podniósł brodę z dłoni umieszczonej na szczycie topora.

– No dobrze – burknął. – Czemu nie? Zaczniemy rozmawiać o cenie. Co dostanę za to, że moja łódź odwiezie cię w bezpieczne miejsce?

Pod czarnym wąsem Czeremisa pojawił się uśmiezek, od którego Bragiemu Halvorssonowi krew zawrzała w żyłach.

– Twoją zapłatą będzie wdzięczność i przyjaźń Tugarina Drakowicza.

Halvorsson zamrugał i rozejrzył się. Jego drużynnicy, wśród których, oprócz Waregów, nie brakowało Wiatyczów ani Meriów, wpili w niego pytające spojrzenia. Jeśli on się roześmieje, zaśmieją się i oni. Jeśli każe Czeremisów ubić na miejscu, wykonają rozkaz.

Bragi nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

– Przyjaźń najwyższego kapłana Zilanta – powiedział. – Hmmm... A dlaczego miałyby być dla mnie cenna?

– Dlatego – Styrwit wyszczerzył zęby – że już wkrótce Zilantowi i Tugarinowi będzie się kłaniać cała Bułgaria. I nie tylko ona, ale też ludy żyjące wzdłuż całej Długiej Rzeki.

– Doprawdy? – Szczerze zdziwił się Bragi. – A zdradzisz mi, jak do tego dojdzie?

– Nie słyszałeś o powstaniu w Suwarze?

– Niewiele. W tym mieście skupiają się plemiona, które odrzuciły nauki Mahometa i zbuntowały się przeciwko Bułgarom...

– Właśnie tak. Tamtejszy chan Mutahar zjednoczył plemiona Suwarów i

Burtasów, przyłączył do nich najemne oddziały Kipczaków, Baszkirów i Pieczyngów i zamierza z całą potęgą uderzyć na stołeczny Bułgar. Zanim przyjdzie jesień, Mutahar zasiądzie na tronie w stolicy, a Tugarin wrzuci Allahowy minaret do wód Itilu! Cały bieg rzeki okryje cień smoczyczych skrzydeł!

Bragi słuchał ze zmarszczonymi brwiami. Jak przyznał, słyszał co nieco o powstaniu suwarskich czcicieli smoka przeciw muzułmańskiemu emirowi Ahmedowi, ale jego zasięg, o którym mówił Styrwit, zaskoczył go. Oczywiście, nie dał tego po sobie poznać.

– Myszy gotują się do boju z żabami – wycedził przez zęby. – Twoja wiara w zwycięstwo smoka opiera się na wątłych podstawach, Styrwicie. Cienia, który już niedługo okryje ziemię wzdłuż Itilu, nie będą rzucać smocze, ale krucze i wronie skrzydła. A wiesz, czyje zwłoki staną się uczną ścierwojadów? Zwłoki Ahmeda, Mutahara, Tugarina, a *prawdopodobnie* również twoje. Wszyscy bowiem wpadniecie w ręce Światosława Ingwarssona z Kijowa. Jego wojsko jest już w drodze, czyżbyś o tym nie wiedział? W dodatku – Bragi podniósł się z ławy, chwycił w rękę topór, a w jego głosie pojawiły się tony twarde i dźwięczące metalem – to wszystko należy do przyszłości i nie ma żadnego związku z tym, że jeśli nie dam ci łodzi, dościgną cię Kipczakowie, a Kamar jeszcze dzisiaj poderżnie ci gardło. Czy mi się tylko wydaje, czy naprawdę twój los jest w moich rękach, Styrwicie?

Czeremis zmrużył oczy.

– Wareski upór w czystej postaci, bez domieszki zdrowego rozsądku, co?

– Nazywaj to jak chcesz. Kiedy indziej natychmiast odrąbałbym ci głowę za taką zniewagę, ale dzisiaj naprawdę czuję się parszywie i nie jestem w nastroju do zabijania. Dlatego tylko powtórzę, co już powiedziałem – Bragi podniósł głos. – Póki mi nie zaproponujesz czegoś cennego, ani jedno moje wiosło nie zanurzy się w Itilu!

Styrowit rzucił się do maczugi powieszanej przy siodle, ale drużynnicy

Bragiego zaraz zrobili krok w przód, zamarł więc i opanował się. Zaciskając zęby ze złości, pokiwał tatuowaną głową.

– Dobrze. Zostawimy wam nasze konie.

– Siedem koni za czternaście żywotów? Mało, łysa czacho. Mam pełne stajnie i Odyn mi świadkiem, że nie jestem szczególnym miłośnikiem koni. Od siodła pod tyłkiem zdecydowanie wolę rozkołysany pokład drakkara pod nogami. Zaproponuj mi coś innego.

– Już ja dobrze wiem, czego chcesz. – Styrwit zmrużył oczy. – Zdążyłem zauważyć, jak się im przyglądasz. Nic z tego. Nawet nie dotkniesz naszych niewolnic. Są poświęcone wielkiemu Zilantowi. Zostaną wrzucone do podziemi suwarskiej wieży, aby skrzydlaty wąż nasycił się ich mięsem...

– Nie chcę wszystkich – łagodnie odparł Bragi. – Tamta czarnowłosa ślicznotka – wskazał obuchem topora – w zupełności wystarczy. Każdy bułgarski dostojnik da mi za nią miecz pełen okrągłutkich, dzwoniących srebrników. Niedawno zaczęli w Bułgarze bić własną monetę...

– Nawet o niej nie myśl. – Styrwit odepchnął zdezorientowaną Muromkę za siebie. – To właśnie z jej powodu powadziliśmy się z Kipczakami. Bez niej nie wracam do Suchodolu.

Dłonie Halvorssona mocniej zacisnęły się na owiniętym skórą stylisku topora.

– W takim razie wcale tam nie wrócisz!

Styrwit zasyczał jak żmija i rozejrzał się błyskawicznie.

– Jeśli zaczniemy walczyć, zginie wielu twoich ludzi. I już ja się postaram, żeby twoja czaszka jako pierwsza pękła pod ciosem maczugi!

Nieco wcześniej Czeremisi ukradkiem zbili się w gromadę i skryli za własnymi końmi. Helgardzka drużyna wzniosła włócznie i miecze. Powietrze, mimo że od Itilu wiał lekki wietrzyk, stężało od napięcia. Wystarczyło jedno słowo Bragiego, a mogła trysnąć czerwona...

– Konungu? – nagle odezwał się Ratimir.

– Co? – spytał Bragi, nie spuszczać wzroku z wodza Czeremisów.

– Spójrz.

Halvorsson usłuchał. Zdał sobie sprawę, że rujański wojownik wskazuje na zachód, ku Ocie. Zapatrzył się w tę stronę i dostrzegł liczną gromadę jeźdźców, która wzdłuż rzeki różnym kłusem zbliżała się do wareskiej twierdzy.

– To nie są Kipczacy – mruknął Bragi, mrużąc oczy.

– Owszem. – Styrwit zazgrzytał zębami. – Ale głowy nabite na włócznie bez wątpienia do nich należą.

– Należały – uściślił konung i uważniej przyjrzał się jeźdźcom. – Zgaduję, że mamy przed sobą bojarów z Muromia, być może przewodzi im sam Alwar-bej. Najwyraźniej dopadli Kamara i jego bandę. To znaczy, że już nie zobaczę żadnych niewolników.

Dwaj wodzowie, Wareg i Czeremis, wymienili spojrzenia.

– Już nie żyjesz, Styrcie – chłodno powiedział Bragi. – Nawet jeśli zdołasz się przebić przez moje straże, przed bramą będzie na ciebie czekać drużyna żądnych zemsty Muromców! Jedyne, co może cię uratować, to ugoda. Zostaw mi tę czarnowłosą, a moi ludzie odprowadzą cię przez tylną bramę do rzeki. Zanim się spostrzeżesz, spuszczą łódź na wodę i popłyną z tobą do Suchodolu.

Styrwit spoglądał to na konunga, to na zbliżającą się muromską jazdę. Wyraźnie stracił pewność siebie.

– Waregom nie można wierzyć – warknął. – Jesteście chytry jak lisy. Jaką mogę mieć pewność, że mnie nie zdradzisz?

– Żadnej. Przyjmujesz albo nie. Chętnie podaruję Muromcom siedem nowych włócznie – bo te, które trzymają w rękach, są już zajęte – żeby mogli dumnie powieźć i wasze łby!

Czeremis jeszcze chwilę zaciskał i rozluźniał pięści. Potem spojrział Bragiemu prosto w oczy i kiwnął głową.

– Wygrałeś.

Halvorsson uśmiechnął się szeroko.



– Nie każesz nam chyba sterczeć przed bramą, Halvorssonie? – Ostry głos muromskiego księcia uderzył w helgardzką palidase. Bej mówił płynnie po waresku, żeglarze z Północy już od ponad stu lat władali biegiem wschodnich rzek i w tym czasie ich język stał się zrozumiały dla wszystkich okolicznych plemion. – Gdzie się podziała twoja słynna gościnność?

– Wybacz, Alwarze, ale zdążyłem się nauczyć, że zapłatą za gościnę często bywa ogień i poderżnięte gardło. – Konung rozłożył ręce. Witął pobrzękujących żelazem Muromców z wieży nad solidną, okutą brązem bramą. – Te ozdoby na waszych włóczniach świadczą, że jesteście na wyprawie wojennej.

– Wiesz bardzo dobrze, że nigdy bym nie zaatakował twojego grodu. Mamy przecież umowę!

Bragi roześmiał się.

– Słyszałeś o umowie, której by nikt w końcu nie złamał?

– Nie oskarżaj mnie o zdradę! – Zachmurzył się Alwar. – Tym bardziej że obaj wiemy, iż jako pierwszy złamałeś dane słowo. Umówiliśmy się, że możesz pobierać myto na wodnych i rzecznych drogach od Muromia do Itilu. Za to ty ślubowałeś nigdy nie atakować moich osad!

– No i? Żaden z moich ludzi nie postawił stopy na twojej ziemi...

– Ale handlujesz z kipczackimi i czeremiskimi zbójcami, może ich nawet najmujesz do tej brudnej roboty. Sprzedaż muromskich niewolników napętnia twój skarbiec bułgarskim i chazarskim złotem.

– No, a co mam, twoim zdaniem, robić? – Bragi wzruszył ramionami. – Zabronić tym zabijakom jeździć na twoje ziemie? Nie opląca mi się. A kiedy przyjeżdżają i proponują dobry towar za rozsądną cenę, nie wypędzę ich

przecież precz ze śladem swojej podeszwy na zadkach. Powinieneś zrozumieć. A tak właściwie, co cię sprowadza? Tylko nie klucz, nie bałamuć nas gadkami o gościnności i złamanym przysięgach. Powiedz jasno, czego tu szukasz?

– Już ty dobrze wiesz, przeklęty lisie. Wydadz nam Czeremisów, a zwłaszcza muromskie dziewczęta, które ze sobą przywieźli!

Twarz Halvorssona wydłużyła się.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, przyjacielu.

– Nie kłam, parszywy Waregu! – wrzasnął jeden z Muromców i popędził konia, kosmatego kasztanka, w stronę bramy. – Wiemy, że są tutaj!

Konung poczęstował śmiałka złowieszczym spojrzeniem.

– Powinieneś trzymać swoich ludzi na krótszej smyczy, Alwarze – wycedził przez zęby. – Inaczej może się tak zdarzyć, że niektórzy odjadą stąd ze strzałami w plecach!

– To Ilja z Karaczarowa – odparł bej. – Ze wsi, którą Kipczacy i Czeremisi złupili, spalili, zmienili jej ścieżki w krwawe błoto. Zabili mu ojca i porwali miłą.

– Hm... W takim razie rozumiem. A ponieważ jestem dzisiaj wcieloną cierpliwością, wybaczam mu. Ale wierz mi, chłopcze, nic nie mogę dla ciebie zrobić. Pogódź się z tym, że twoja wybranka popłynie Itilem do domu jakiegoś bułgarskiego albo chazarskiego bogacza. To nie jest zły los, wierz mi. Będzie się tam miała znacznie lepiej, niż gdybyś ją powlókł z powrotem do swojej spalonej dziury...

– Znowu kłamiesz! – krzyknął Ilja. – Dobrze wiesz, dokąd Czeremisi wożą porwanych! Wiesz, co oznacza czarny smok na piersi ich przywódcy! Posyłasz je na śmierć!

– Posłuchaj, głupcze – Bragi wypiął pierś – trzymaj lepiej język za zębami, inaczej zejdziesz na dół, wyrwę ci go i zrobię sobie z niego...

– Spójrzcie tam!

Zaskoczeni Muromcy zwrócili wzrok w kierunku, który wskazywała wyciągnięta ręka przybocznego Alwara.

Wzgórze z helgardzkim grodem zasłaniało im widok przystani na itilskim brzegu. Nie mogli więc widzieć, jak w czasie ich rozmowy na powierzchnię wody spuszczano długą, obszerną łódź wiosłową o płytkim zanurzeniu, przeznaczoną do pływania po rzekach. Nie słyszeli mamrotania gromady wioślarzy ani pierwszego chlupotu trzydziestu wiosł. Zauważyli łódź dopiero teraz, kiedy wynurzyła się zza zbocza helgardzkiego pagórka. Płynęła już środkiem rzeki i rażny prąd znosił ją na południowy wschód.

– To oni! – krzyknął Ilja. – Ten kłamliwy sukinsyn wstrzymywał nas, żeby zdążyli wypłynąć! Prędko, jeszcze możemy ich zatrzymać!

Alwar uniósł głowę i wpił w Bragiego spojrzenie pełne wyrzutu. Wareg tylko uśmiechnął się przeprasząco i wzruszył ramionami.

Muromcy zostali na miejscach. Ilja obejrzał się ze złością.

– Na co czekacie! Uciekną nam, a potem...

Zamilkł, ponieważ zdał sobie sprawę, że drużyna beja spogląda w przeciwnym kierunku – w stronę Oki. Wzdłuż rzeki galopował ku nim jeździec w dokładnie takiej zbroi, jaką mieli na sobie wszyscy Muromcy. Jego rumak toczył pianę z pyska.

– To jest... – wychrypiał Alwar, pełen złych przeczuć, i ruszył konno w stronę niespodziewanego przybysza. – Co się stało?

– Wielki beju! – krzyczał już z daleka jeździec. – Do Muromia zbliża się nieprzyjaciel! Olbrzymie wojsko! Niedługo będzie pod wałami grodu!

– Co takiego? – wrzasnął Alwar, a skóra na jego twarzy jakby wyschła i przywarła do czaszki. – Kto? Wiatycze? A może Mokszowie z południowego wschodu?

– Kijowianie! Już są na ziemi Meszczerów i zmierzają ku Ocie.

Nad głowami zdrtwiałych, wystraszonych Muromców rozległ się śmiech. Obejrzel się ku wieży nad bramą.

– Wyście o tym jeszcze nie słyszeli? – Śmiał się Bragi. – A ja wiem od kilku dni! Wielki książę Światosław, syn Ingwara, wyruszył z trzytysięcznym wojskiem na wschód. Zamierza przesunąć granice kijowskie aż do Itilu i zapanować nad Bułgarią. W pochodzie bije też wszystkie plemiona, które mu stoją na drodze! Radymiczów, Wiatyczów, Meszczerów. Teraz wasza kolej, Muromcy! Spieszcie do domu, inaczej przywita was widok kijowskich zabijaków, trzęsących zadkami między udami waszych kobiet!

Alwar przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przyjrzał się twarzom drużynników. Byli w siodle już prawie dwa dni i na pewno liczyli na to, że odpoczną przed drogą powrotną. Złe wieści natychmiast przegnały zmęczenie z ich twarzy, a ręce zaczęły drżeć z niecierpliwości. Konie będą musiały wytrzymać.

Alwar spojrział na Ilję. Stał nieopodal i spoglądał z rozpaczą to na Muromców, to na wareską łódź. Poganiana piętnastoma parami wiosł, mknęła jak strzała naprzeciw wschodzącemu słońcu.

– Jedź z nami, Iljo – powiedział bej. – Uciekli nam. Już ich nie dogonimy, a nawet gdyby, stojąc na brzegu, nie zatrzymamy łodzi. Prąd jest wartki, woda głęboka – i tak w dół rzeki, aż do Suchodolu. Sam też nie zdobędziesz czeremiskiego grodu. Pogódź się z tym i jedź z nami do Muromia. Twoja siła będzie nam potrzebna. Teraz nie chodzi już o życie kilku dziewcząt, ale o los całego plemienia. Zrozum, Allah tak chciał. To próba, którą musisz znieść mężnie.

Ilja zawył jak samotny wilk w głębi lasu i ze łzami w oczach popędził Buruszka w kierunku rzeki.

– Pojedzie za nimi – szepnął jeden z Muromców. – Ten głupiec będzie ich śledził aż do ujścia Wietługi, do Suchodolu. Zostawmy go i jedźmy do domu.

– Nie. – Bej wyciągnął rękę. – Zaczekajcie jeszcze chwilę.

Pod kopytami Buruszka zachrząścił żwir nadrzeczny. Ilja ściągnął wodze, zeskoczył dziarsko, wyrwał z uchwytu przy siodle ciężką włócznię i wziął



rozbieg.

– Co on wyprawia? – zdziwił się przyboczny Alwara. Nawet Bragi i jego ludzie na palisadzie spoglądali ze zdumieniem na rozpaczliwie krzyczącego Muromca.

Ilja w biegu mocno rozmachał włócznię. Dobiegł aż do wody, skoczył i cisnął ze wszystkich sił, pochylając się mocno w przód.

– Wszechmocny Allahu... – wychrypiał Alwar.

– Na młot Thora – Bragi schylił ryżą głowę.

Włócznia wleciała nad rzeką, jak gdyby nie została rzucona ludzką ręką, ale wystrzelona z maszyny bojowej, z rodzaju tych, które Bragi widział w czasie służby w carogrodzkim wojsku. Wielkie balisty miały pociski na odległość dwa, a nieraz trzy razy większą, niż zdołaby dorzucić najsilniejszy mężczyzna.

Styrwit i pozostałych sześciu Czeremisów właśnie w tej chwili wyszło spod płachty okrywającej środek pokładu i przeszło na rufę, żeby wyszydzić Muromców, stojących na oddalającym się szybko brzegu. Styrwit dostrzegł biegnącego mężczyznę, usłyszał jego krzyk i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie dorzucisz, głupcze, jesteśmy za daleko. Nie dasz rady, nawet gdybyś...

Połknął resztę zdania. Oszczep wleciał ku niebu tak imponującym łukiem, że wydawało się to nieprawdopodobne. A co jeszcze bardziej zaskakujące, zmierzał wprost ku mknącej łodzi. Wkrótce osiągnął najwyższy punkt i zaczął prędko opadać. Usłyszeli świst powietrza, rozdieranego masywnym grotem w kształcie liścia.

– Uwaga! – krzyknął Styrwit i uskoczył w bok.

Jeden z Czeremisów, któremu olbrzymia sylwetka wodza zasłaniała widok, nie był już tak czujny.

Oszczep trafił go dokładnie w środek torsu. Zdruzgotał żebra, rozerwał wnętrzności, przeciął kręgosłup i wyleciał z pleców w fontannie krwi,

złomków kości i strzępów serca oraz płuc. Miał jeszcze dość impetu, by wbić się w środkową ławkę łodzi i rozszczepić ją. Wioślarze i Czeremisi odwracali się, klnąc.

Przeszyty pociskiem mężczyzna stał jeszcze przez chwilę, miał usta otwarte, oczy wybałuszone, a drzewce włóczni sterczało mu z piersi. Potem padł w tył i z głośnym młaśnięciem osunął się aż na grot. Drzewce zmieniło kolor na ciemnoczerwony.

Ilja na brzegu padł na kolana i zakwilił głośno. Mało kto był w stanie zrozumieć, że słowo, które stale miele w zębach, to imię Dinary...

Po chwili podszedł Buruszko i trącił mężczyznę pyskiem w ramię. Siłacz objął jedną ręką głowę konika i otarł łzy w jego sierść.

Uspokoił się w końcu. Wziął kilka głębokich oddechów, otarł oczy rękawem, wskoczył na siodło i skierował się z powrotem ku Helgardowi.

Dogonił Muromców niecałą wiorstę za grodem – bez ociągania pojechali wzdłuż brzegu Oki ku stolicy plemienia. Kiedy się do nich przyłączył, nikt nic nie powiedział, tylko Alwar spojrzął na niego i z wdzięcznością i zrozumieniem kiwnął głową.

Potem zmusili konie do szybszego biegu.



Dinara, wciąż półprzytomna ze zmęczenia, powoli dochodziła do siebie. Szumiało jej w uszach, więc pomyślała, że to na pewno szumi rzeka, wielki Itil, do którego przez cały czas zmierzali. Kiedy w dodatku usłyszała odgłos ciężkich kroków, była już pewna, że znajduje się na pokładzie łodzi.

Otworzyła oczy. Z mgły przed nią wynurzyły się rzeźbione belki wielkiej, cienistej izby.

Nie, nie znajdowała się na łodzi.

A brodaty rudzielec, który koło niej przycupnął, nie był Czeremisem.

– Na wszystkich bogów Walhalli – uśmiechnął się Bragi – prawdziwa

ślicznotka z ciebie. Kiedy się umyjesz, najesz i czysto ubierzesz, żadna ci nie dorówna. Kupcy w dole rzeki, w Bułgarze albo Balimerze, pobiją się o ciebie i zasypią cię świeżo wybitymi srebrnikami. Kto wie, może trafisz do haremu samego emira. Dziękuj bogom, że wyciągnęli cię z tej śmierdzącej muromskiej dziury. Jutro o świcie spuścimy łodzie na rzekę, a ty wypłyniesz ze mną na spotkanie z nowym, lepszym losem.

Kiedy wsunął silne ręce pod jej pachy i kolana, a potem lekko uniósł w ramionach, nie broniała się wcale. Nie miała na to sił, w dodatku po wszystkim, co przeżyła w ostatnich dniach, dotyk Warega wydawał się całkiem przyjemny.

## Książę Światosław

**P**owiniem to przewidzieć – mruknął Ilja, kiedy wstawał z kamienistego brzegu z brodą mokrą od chłodnej, rzecznej wody.

– Co masz na myśli? – spojrzał na niego władca Muromia. Też klęczał na jednym kolanie, obok położył lśniący hełm, a mokrymi palcami przeczesywał ciemne, zlepione potem włosy. W jego oczach widniało zdziwienie, ponieważ były to pierwsze słowa, jakie wyszły z ust siłacza od chwili, gdy Helgard zniknął w tyle, daleko za końskimi ogonami.

Jechali cały dzień i całą noc. Nigdzie się nie zatrzymywali, tylko wieczorem najedli się i napoili konie w małej rybackiej osadzie na wschodnim brzegu Oki. Chwilę potem, jeszcze z pełnymi brzuchami, wskoczyli na siodła. Kiedy wreszcie przebudził się Dadźbóg i ciemność nieba rozdarł blask złotej grzywy słonecznego rumaka, tupiącego niecierpliwie gdzieś za widnokregiem, dotarli do brodu kilka wiorst na północ od Muromia. W rozpryskach wody pokłusowali na zachodni brzeg i Alwar-bej dał znak, że mogą się na chwilę zatrzymać. Ludzie prawie spadali z koni. Parskające rumaki garnęły się ku wodzie, ale jeźdźcy powstrzymali je stanowczo i ciągnęli do tyłu – nie mogli pozwolić spoconym i zgonionym zwierzętom nażłopać się zimnej wody. Ilja nabierał wodę w szerokie dłonie i

bardzo ostrożnie zwilżał Buruszkowi pysk i rozdęte nozdrza.

– Że nadciągną – odpowiedział na pytanie beja.

– Kipczacy? – zapytał Alwar, wkładając hełm pod pachę.

– Nie. Kijowianie. Powinienem to przewidzieć.

Wielmoża podniósł się i pokręcił głową. Miał na kolanach plamy od mokrego piasku.

– Skąd miałbyś o tym wiedzieć, Iljo? Mało kto przewidywał, że Światosław poprowadzi swą pierwszą w życiu wyprawę akurat na wschód, ku Itilowi. Oczekiwano, że wyruszy przeciw Carogrodowi, jak jego ojciec Ingwar albo stary książę Helgi, lub też przeciwko Chazarom, którzy ściągają daniny z plemion znad Sławutyczy, a...

– Nie to mam na myśli – Ilja wszedł mu w słowo. – Ja spotkałem Kijowian, wielki beju.

Rano po spaleniu Karaczarowa.

Książę znieruchomiał i unióśł brwi.

– Naprawdę?

Młodzieniec chmurnie i na pół nieprzytomnie kiwnął głową.

– Z rannej mgły wynurzyło się trzech jeźdźców. Dzięki jakimś czarom mieli postać włóczęgów, obdartusów na lichych koniach, ale ja wiem, że tak naprawdę to byli bohaterzy. W końcu się zdradzili, z ich słów wynikało, że mam przed sobą Jegora Światogora, Wołcha Wsiesławiewicza i Mikułę Sielaninowicza.

Brwi Alwara unosiły się coraz wyżej, aż całe jego czoło zmarszczyło się jak kora starego buka.

– Jegor, Wołch i Mikuła? Trzej najdzielniejsi, najślawniejsi bojarzy Światosława? Koło Karaczarowa? Na brodę Proroka, Iljo, co ty mówisz?

– Samą prawdę. Światosław na pewno wysłał ich na zwiady. I... zmierzali w stronę Muromia.

– Ale to by znaczyło... – Alwarowi głos uwiązł w gardle – ...że mogą wiedzieć o moim wyjeździe. Że widzieli, jak zostawiłem Murom bez ochrony książęcej drużyny. Na imię Allaha, musimy natychmiast ruszać!

– Nie wyprzedzą nas. – Ilja podniósł zwieszoną głowę. – Nie słyszałeś helgardzkiego wodza? Światosław prowadzi ze sobą wielkie wojsko. Taka gromada ludzi przemieszcza się powoli...

– To wojsko ma podbić Bułgarię. – Alwar pokręcił głową, włożył na mokre włosy hełm i wsunął nogę w strzemię. – Rozumiesz? Na Murom może uderzyć mniejszy oddział. A kiedy grodu nie strzeże moja drużyna, do jego zdobycia wystarczy gwardia przyboczna Światosława, straszni gorynycze. Przewodzi im Wołch, a jeśli go widziałeś, reszta smoczych wojowników nie może być daleko. Jest ich tylko trzydziestu, więc potrafią mknąć po stepie szybko jak pożar.

Na skinienie beja jeden z ludzi zadał w róg. Konie zarżały nieszczęśliwie, bo wiedziały, co to oznacza. Chwilę później znów poczuły na grzbietach ciężar zbrojnych jeźdźców. Ostrogi wbiły się w ich w boki, zmęczone nogi zatupały o kamienie.

Wyruszyli razem z Dadźbogowym rumakiem, którego grzywa z olśniewających złotych pasm właśnie w tej chwili rozświetliła niebo nad wschodnimi lasami.



W języku plemienia Ilji słowo Murom znaczyło Lesisty Pagórek. Ilja, z powodu ciężkiego kalectwa i krzywych nóg, nie wyściubiał nosa z Karaczarowa, dlatego nigdy nie przekonał się na własne oczy o trafności tej nazwy. Dopiero dzisiaj miał ku temu okazję. Serce biło mu chyba jeszcze głośniejsze niż wczoraj, kiedy zobaczył majestatyczny Itil i nabrał pewności, że patrzy na toczącą najwięcej wód i najszerszą rzekę na całym świecie.

Murom naprawdę wyrósł pośrodku lasu. Oczywiście, jego mieszkańcy w ciągu stuleci wykarczowali puszcę w bezpośrednim sąsiedztwie grodu i

zamienili teren w orne pola, ale rozrzucone w okolicy dębowe, bukowe i brzozowe gaje, podobnie jak gęstwina na przeciwnym brzegu rzeki, przypominały, jak dzika była ta okolica za czasów przybycia ich przodków.

W miarę jak książęcy drużynnicy zbliżali się do grodu, coraz częściej plątali im się pod nogami uciekający chłopci. Złe wieści szerzyły się najprędzej, więc również wiadomość o zbliżającej się kijowskiej nawale błyskawicznie przebiegła okoliczne wsie i osiedla. Wystraszeni mieszkańcy biegli teraz do Muromia ile sił w nogach, owładnięci wizją bezpieczeństwa za jego wałami. Oczywiście, nie bali się o swoje życie aż tak, żeby zostawić cały majątek, dlatego wlekli ze sobą stada zwierząt.

– Z drogi! Z drogi, ludzie! Potężny bej spieszy chronić wasze mizerne duszyczki! Dajcie mu przejechać, inaczej zostawi was przed bramą, żeby was zeżarły kijowskie wilki!

Przed zniecierpliwionymi, pokrzykującymi ze złości jeźdźcami Alwara umykały nie tylko zbite gromadki uciekinierów, ale przede wszystkim stada owiec i krów – spłoszone, beczące i meczące zwierzęta skakały w gęste krzaki albo trzciny na brzegu Oki. Wśród tej wrzawy i zamętu, który wybuchł w związku z przejazdem drużynników, jeden z wozów zjechał do rowu i przewrócił się z hałasem. Bojarzy Alwara nie zwracali uwagi na lamenty wozaka, ale Ilja nie potrafił być tak obojętny, rażno zeskoczył z Buruszka i wlaźł do wody. Krzyk ustał jak ucięty nożem, gdy jasnowłosy siłacz złapał za wóz i szczerząc z wysiłku zęby, charcząc z głębi gardła, postawił go znowu na kołach. Stary wozak stał w pogotowiu, świsnął zaraz długim prętem, woły ruszyły i wóz, popychany z tyłu przez Ilję, wyjechał z powrotem na drogę.

– Niech cię wszyscy bogowie nagrodzą, szlachetny junaku! – Muzyk na wózku błogosławił młodzieńcowi i wymachiwał przy tym lisią czapą jak zdobyczą wojenną.

– Już to zrobili. To ja im spłacam dług – odparł Ilja już z siodła i pognał kasztanowatego źrebca za resztą drużyny.

Dopędził ich na niewysokim grzebieniu, zwężającym się ku rzece. Na szczycie otworzył się przed nim widok na gród. Ilja wstrzymał oddech.

Już wareski Helgard go oszołomił, ale to było nic w porównaniu z Muromiem. Gród Alwara rozciągał się na rozległym, wznoszącym się łagodnie zboczu nad Oką. Co najmniej dziesięciokrotnie większą niż w Karaczarowie liczbę budynków chroniły masywne wały z gliny i kamienia, u góry wzmocnione solidną palisadą. Widniała w nich tylko jedna brama, umieszczona na samym dole stoku, zwrócona ku rzece i przystani pełnej rybackich oraz kupieckich czółen i łodzi. Od bramy, w górę wzniesienia ciągnęła się szeroka ulica, wiodąca przez ruchliwy, rojący się od ludzi gród aż do bejowego dworu na szczycie. Górował nad okoliczną zabudową swoją wysoką strzechą i zbitą z grubych bierwion, pomalowaną na biało wieżyczką prostego meczetu.

– Buruszko, braciszku – odezwał się siłacz do rumaka i popędził go za pozostałymi końmi – nawet nam się nie śniło o takich rzeczach. A niektórzy mówią, że Murom to tylko małe, malutkie miasteczko. Spróbuj sobie wyobrazić Bułgar albo Kijów! Albo nawet sławny Carogród! Na bogów, gdyby tak móc je zobaczyć!

Długi rząd Alwarowych jeźdźców zbliżał się do bramy. Bej pozwolił zwolnić tempo, ponieważ już wiedział, że zdążyli na czas. Mimo panującego zamieszania i strachu, Kijowian nie było jeszcze ani widać, ani słyhać.

I tak musieli zwolnić na szerokiej przestrzeni między Oką a umocnieniami. Panował tu straszliwy ścisk. Właśnie tutaj zbiegały się strumienie uciekinierów ze wszystkich stron kraju, także tych, którzy przy płynęli rzeką i teraz prędko wyładowywali z łodzi dobytek. Krzycząca, płacząca, klnąca, becząca, mecząca i rżąca gromada garnęła się ku otwartej na oścież bramie.

– Z drogi! – wrzasnął przyboczny Alwara i dla podkreślenia swych słów głośno zadał w róg. Był to pewny sposób, by kłębiący się tłum usunął się na bok, a pobrzękująca żelazem, wioząca na włóczniach kipczackie głowy drużyna pocwałowała powstałą uliczką.



Jadący na czele Alwar był już prawie pod bramą, kiedy Ilja, kłusujący na samym końcu, usłyszał okrzyk pełen złości.

Obejrzał się. Wydawało mu się, że słyszał znajomy głos. Ale skąd go...

Po chwili zobaczył. Gromadka obdartych chłopów usiłowała się przepchnąć ku bramie przez gromady muromskich uciekinierów. Chłopów było około trzydziestu, wszyscy w kapturach albo prostych kapeluszach. Kijami i laskami poganiali przed sobą mniej więcej taką samą liczbę krów. Gdy przybyli książęcy druzynnicy, pasterze znacznie przyspieszyli kroku, z nieoczekiwaną siłą zaczęli odpychać innych Muromców i bezwzględnie przeciskali się ku bramie. Niektórzy z nich wskoczyli nawet na krowie grzbiety i głośnymi okrzykami poganiali zwierzęta za Alwarową drużyną. Byk na czele pochodu podrzucił głową i otworzył pysk. Kiedy jednak zarżał, zamiast muczeć, w Ilję jakby uderzył grom.

– To oni! – krzyknął i sięgnął po łuk. – Kijowianie!

Muromscy druzynnicy obejrzel się w siodłach, niczego nie rozumiejąc. Co wstąpiło w tego szaleńca z Karaczarowa? Zobaczył ducha?

Świsnęła cięciwa Ilji. Strzała przeleciała nad głowami panikujących i krzyczących Muromców, którzy już na sam dźwięk słowa „Kijowianie” jakby stracili rozum.

Mierzył do mężczyzny siedzącego na „byczym” grzbiecie na czele stada, ale chybił o włos. Grot dosięgnął jedną z krów zaraz za nim. Znów rozległo się przenikliwe końskie rzenie.

– Na Allaha – Alwar zamrugął i sięgnął po szablę. Ilja nałożył drugą strzałę na cięciwę.

W tej chwili pozostali pasterze wskoczyli na krowie grzbiety. Zadęto w róg. Powietrze przed mierzącym starannie Ilją zafalowało dziwnie i naraz wszystko się zmieniło. W miejsce bydła pojawiły się rasowe rumaki, w miejsce obdartych pasterzy – wojownicy w pancerzach i hełmach, w miejsce lasek i kijów – włócznie, miecze i łuki.

Chłop, do którego mierzył Ilja, zmienił się w czarnowłosego, zielonookiego bohatera z wysoko uniesionym czarodziejskim kosturem w ręce. Ze srebrzystego złomka, na którym zaciskała się drewniana smocza paszcza, wydobywało się mętne światło, a wokół niego wirowały resztki pozornej postaci, która aż do tej chwili mamiła wzrok wszystkich wokoło.

Dla Ilji czas jakby zatrzymał się na chwilę. Rozdzierająca uszy wrzawa ucichła na moment. Muromcy, wpadający jeden na drugiego, znieruchomieli. Lecące grudki gliny, krople śliny, spadające ze zwierzęcych pysków, zawisły w powietrzu. Ręka Ilji, dzierzżąca napięty do ostateczności łuk, zadrżała. Wołch pochylił wykładaną malachitem laskę i spojrzał prosto na młodego siłacza. Oczywiście poznał Muromca, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Ilja natomiast wiedział już na pewno, że mierzy do tego samego człowieka, który nad brzegiem Nieprzy zdjął z niego klątwę Jukki i przywrócił siły jego ciała.

Mimo iż zdawał sobie sprawę, że może go to kosztować życie, opuścił łuk i pomału puścił cięciwę.

Wołch Wsiesławiewicz uśmiechnął się. Czas znowu ruszył.

Gdyby Ilja usłuchał nalegań ojca i przyjął wiarę Proroka, nazwałby to, co po chwili zaczęło się pod bramą Muromia, piekłem i Dniem Sądu.



Zaskoczeni druzynnicy Alwara z jękiem sięgnęli po miecze, maczugi i topory bojowe, podnieśli okrągłe, okute brązem tarcze, naciągnęli łuki, wyjęli włócznie z uchwytów przy siodłach. Te włócznie, na których widniały nabite głowy Kipczaków, padły pod nogi śmiertelnie przerażonego tłumu. Uciekinierzy z sąsiednich osad na widok Kijowian wrzasnęli ze zgrozy i zaczęli się jeden przez drugiego tłoczyć ku bramie. W szalonym ścisku wpadali na siebie, potykali się, szturchali łokciami, bili kijami i smagali biczami. Wielu upadło na ziemię, zwłaszcza starcy i dzieci, pozostali deptali po nich, pędząc na oślep i w ten sposób zmieniali przestrzeń przed bramą w

krwawe błoto. Zamęt powiększały spłoszone zwierzęta, bodąc ludzi rogami, łamiąc ich kości, przewracając i tratując kopytami.

Barczysty wojownik na czele kijowskiej drużyny machnął mieczem i wrzasnął:

– Naprzód, bohaterzy! W imię Peruna i Odyna!

Bojarzy spięli konie i zaczęli się przebijać przez tłum w stronę zbrojnych Alwara. Nikogo nie oszczędzali, bili wokół siebie mieczami, toporami i maczugami, obalali chłopów tarczami ze znakiem trzygłowego smoka Goryna, władcy dawnych żmijów. Kiedy Ilja to zobaczył, wzburzyła się w nim krew i znowu wzniosł łuk. Świsnęła cięciwa. Jeden z nieprzyjaciół spadł z siodła ze strzałą wbitą w pierś tak głęboko, że spomiędzy blach pancerza sterczały tylko pióra.

– Do środka! – przytomnie krzyknął Alwar-bej, kiedy zobaczył ten brzęczący żelazem klin, orzący Muromców jak radlica wilgotną ziemię. – Wszyscy do środka i zamknąć bramę! Prędko, jeśli wam życie miłe!

Drużynnicy usłuchali i pozwolili się nieść wartkiemu ludzkiemu potokowi. W powietrzu latały strzały i włócznie, a nawet kamienie, ciskane rękami co odważniejszych chłopów. Co chwila ktoś krzyczał i padał pod nogi tłumowi.

– Nie pozwólcie im zamknąć bramy! – wrzeszczał wódz Kijowian.

Muromscy jeźdźcy z trudem przecisnęli się przez otwór w wałach. Za bramą zeskakiwali z koni i jeden po drugim ze wszystkich sił naciskali na ciężkie wrota. Napór tłumowi nie pozwalał z początku w ogóle ich ruszyć, ale kiedy za wierzeje chwyciły następne silne ręce, odrzwia zaczęły się zamykać. Muromcy przed wałami rozkrzyczeli się, jakby stracili rozum, i zaczęli jeszcze rozpaczliwiej przepychać się w stronę coraz węższego przejścia.

Głośno rżącego Buruszka ciągle jeszcze unosił tłum przed wałami. Od prawej strony ku Ilji przedzierał się wódz Kijowian. Muromiec dobył z pochwy długą kipczacką szablę i zamachnął się. Nad krawędzią okrągłej tarczy ze znakiem dwugłowego orła dojrzał na moment twarz bohatera.

Bardzo młodego, z ogoloną brodą, ale długimi wąsami barwy dojrzałej pszenicy. Jego pozłacany i wykładany bursztynem hełm był wyposażony w płytę chroniącą nos i oczy. Z jej otworów twardo spoglądały na Ilję jasnoniebieskie oczy.

Po chwili siłacz z Karaczarowa uderzył z całą mocą w nastawioną tarczę. Rozległ się brzęk i odgłos pękającego drewna, jak wtedy, gdy w dziupli drzewa zamarźnie woda i rozerwie gruby pień. Zakrzywione ostrze wśród deszczu iskier pękło na kawałki. Drewniana tarcza pękła. A wstrząśnięty kijowski wojewoda wraz ze rżącym koniem padł pośród wyjącego tłumu.

– Książę! – wrzasnął jeden z Kijowian, barczysty, rudowłosy mężczyzna, który smagał wokoło siebie długim batogiem.

Ilja rozpoznał jego głos. Po chwili zapoznał się też z jego siłą, gdy końcówka bata dosięgła jego przedramienia i wyrwała mu z dłoni resztki złamanej broni. Ilja nie czekał na nic i popędził Buruszka w stronę zamykającej się bramy. Za jego plecami Kijowianie skupili się wokół leżącego wodza i z siodeł bezwzględnie bili, kopali i rąbali wszystko, co się wokół ruszało.

Szpara między wrotami była już tak wąska, że Ilja otarł sobie oba kolana o brązowe okucia. Po chwili brama zamknęła się za nim z głośnym hukiem i opadła masywna, dębowa zawora.

Pozostawieni na zewnątrz Muromcy zaczęli szaleńczo wrzeszczeć.

Brama trzęsła się pod naporem zdesperowanych ludzi. Zawora trzeszczała, a ze szpar między okuciami sypał się kurz. Wrota jednak wytrzymały.

Ilja wynurzył się z ludzkiej rzeki, zeskoczył z siodła i ze swoim starym dobrym ciesielskim toporem w ręce ruszył w górę wałów obronnych ku palisadzie. Z grodu zbiegali uzbrojeni ludzie i zajmowali pozycje na szczycie umocnień. Większość z nich niosła włócznie i łuki, ale do tej pory nie odważyli się ich użyć – kijowska drużyna tak się zmieszała z gromadami Muromców, że nie można było strzelać bez groźby zabicia własnych

współplemieńców.

Ilja przecisnął się między zbrojnymi i wspiał się po skrzypiącej drabince na zadaszoną galerię tuż nad bramą. Oprócz Alwara tupał tu i pokrzykiwał jakiś tuzin najzręczniejszych drużynników. Jeden z nich zastąpił Ilji drogę.

– Nie masz tu czego szukać, wieśniaku!

– Zostaw go, Seger! – Bej donośnym głosem przekrzyczał wrzawę na wałach. – Chodź, Iljo. Popatrz, co narobiłeś.

– Ja? – Młodzieniec przecisnął się ku księciu, który wychylał się nad zaostrzonymi balami palisady i spoglądał na zamęt w dole.

– Wiesz, kogo obaliłeś na ziemię? Samego Światosława! Ilja tak właśnie przypuszczał. Spojrzał w dół.

Przed bramą panował nieopisany zamęt. Muromscy chłopcy bili pięściami we wrota i z głośnym lamentem domagali się ratunku. Bystrzejsi rzucili się już do ucieczki, ponieważ zrozumieli, że po nieudanym ataku to właśnie na nich wyleje się gniew Kijowian i ich chęć zemsty. Niektórzy wdrapywali się na wał i próbowali przedostać się przez palisadę w bezpieczne miejsce za umocnieniami. Udało się to tylko zręczniejszym, pozostali odpadali i z krzykiem staczali się z wału.

Drużyna Wołcha ratowała księcia. Światosław wstał, z gniewem strząsnął z przedramienia resztki tarczy i wskoczył z powrotem na siodło. Wyglądało na to, że nie ma nic złamanego i nie odniósł poważnych obrażeń. Gwałtownym ruchem zerwał z głowy hełm i wzniósł ku stanowisku straży płonący z wściekłości wzrok.

Ilja musiał zebrać całą odwagę, żeby nie cofnąć się z lękiem od zapory. Wielki książę kijowski był wprawdzie młody, zaledwie dwudziestopięcioletni i ledwie średniej budowy, więc barczystemu Mikule albo olbrzymiemu Jegorowi, którzy pomagali mu wstać, sięgał tylko do ramienia, ale biło od niego coś, od czego serce Ilji zadrżało. Światosław miał prawie całą głowę ogoloną, jedynie na ciemieniu zostawił sobie długi promień jasnych włosów

– Ilja słyszał, że to w Kijowie oznaka przynależności do panującego rodu. Potwierdzał to też wielki, złoty kolczyk w prawym uchu władcy. Wszystko jednak traciło na znaczeniu, gdy się spojrzano w jego dzikie, wilcze oczy, płonące pod gęstymi brwiami. Światosław wyciągnął w stronę palisady rękę z prostym wareskim mieczem, ozdobionym wyrytymi runami.

– Zapłacicie za to, muromskie psy! – przekrzyczał jęki rannych, pełzających po zakrwawionej ziemi przed bramą. – Przysięgam na wszystkich bogów, że jeśli nie padniecie przede mną na kolana i nie zaczniecie skomleć o litość, wypalę ten wasz barłóg do fundamentów!

Alwar cofnął się od zaostzonych pali – jak gdyby chciał się ukryć przed spojrzeniem Światosława. Ilja zerknął na niego kątem oka. Mężczyzna, którego w ostatnich dniach poznał jako odważnego wojownika, miał twarz białą jak twaróg.

– Łucznicy są gotowi, panie – oznajmił Seger, przyboczny beja. – Włócznicy i procarze też. Na twój rozkaz zasypią tę kijowską watahę kamieniami i strzałami. Porządnie ich przetrzebią i wypchną z powrotem w meszczerskie lasy...

– Czy ty straciłeś rozum? – warknął na niego Alwar. – Nie widzisz, co się tam dzieje?!

Kijowianie kłusowali konno tam i z powrotem, krzykiem zbijając rozproszonych Muromców w gromadę. Kiedy Ilja to zobaczył, jego spojrzenie natychmiast stwardniało. Jeszcze przed chwilą był pełen niepewności i obaw, ale na widok potrąconych końmi i kopanych ludzi wrócił duchem do Karaczarowa, do pobitych i jęczących współplemieńców, okrążonych przez Kipczaków i Czeremisów. Zdał sobie sprawę, że nie ma wielkiej różnicy między okrutnymi zbrojcami z nadtylskich stepów a sławnymi kijowskimi bohaterami.

– Musimy im jakoś pomóc – zwrócił się prędko do beja. – Rannym i pojmanym. Tam na dole są przecież kobiety i dzieci. Poranione przez nieprzyjaciół, stratowane przez tłum i konie, rozdarte krowimi rogami...

– Widzę, Iljo – warknął Alwar. – Tylko co mam zrobić? Otworzyć bramę i ruszyć do ataku? Stawić czoło wnukowi straszego Ruryka to nie to samo, co rozproszyć bandę kipczańskich zbójców! W żyłach Światosława płynie krew wareskich berserków i groźnej księżnej Helgi. Nie słyszałeś o jej okrucieństwie?

Ilja spochmurniał jeszcze bardziej. Oczywiście, że słyszał. Wszyscy dobrze pamiętali, jak straszliwie Helga zemściła się na plemieniu Drewlan za zabójstwo jej ukochanego męża, księcia Ingwara. Światosława, wówczas trzyletniego, zabrała ze sobą na wyprawę. Kiedy kijowskie wojsko stanęło naprzeciw drewlańskich buntowników, wojewoda Sweneld, wierny doradca Ingwara, a później także Helgi, wcisnął w rękę małego księcia włócznie. Światosław zdołał ją cisnąć zaledwie tak, że uderzył własnego konia między uszami i sam upadł w trawę pod jego kopytami, ale to w zupełności wystarczyło bohaterom jako sygnał ataku – ruszyli i bez krzty miłosierdzia zmienili Drewlan w pokarm dla wron i lisów. A jeśli już wtedy byli w stanie zabijać dla niego bez litości, jak muszą mu być oddani teraz, kiedy wyrósł z niego zdatny wódz?

– Słuchajcie mnie uważnie, parszywi Muromcy! – Głos Światosława uderzał w bramę jak taran. – Jeśli natychmiast złożycie broń i otworzycie bramę, oszczędzę was! Jeśli jednak będzie się namyślać i zwlekać, zaczniemy zabijać brańców. Jednego po drugim. Kiedy z nimi skończymy, a wy jeszcze nie nabierzecie rozumu, zaczniemy łapać tych, którzy się rozbiegli po okolicznych stokach niczym susły, na które padł cień jastrzębia. Zobaczymy, jak długo będziecie w stanie słuchać ich lamentów i przedśmiertnych krzyków!

– Usłuchajcie! – niemal prosząco zawołał Mikuła, trzymając w rękę batog, od którego Ilję ciągle jeszcze piekł nadgarstek. Widok ofiar tłoku i bijatyki, pełzających z rozpaczliwym jękiem po zakrwawionej ziemi przed bramą, rozdzierał serce Sielaninowicza. Najchętniej zeskoczyłby z konia i im pomógł, ale okoliczności na to nie pozwalały.

– Jaką mamy pewność, że zostawicie nas przy życiu? – Ośmielił się spytać Alwar i wrócił ku zaporze. – Mamy wierzyć słowom podstępnego Warega?

Stalowe spojrzenie Światosława przebiło beja jak ostrze włóczni.

– Ty rządzisz w tej dziurze? – syknął.

– Właśnie tak. Jestem Alwar, muromski bej.

– Bej? – Książę wydał wargi pod gęstymi wąsami. – Na Welesa, cóż to za tytuł? Brzmi jak bułgarski albo chazarski, albo wręcz mahometański!

– Dobrze brzmi! Przyjeliśmy wiarę w jedyne Boga Allaha i Mahometa, jego Proroka. Jesteśmy wierni emirowi Ahmedowi ibn Dżafarowi z Bułgaru. Jemu i nikomu innemu, rozumiesz?!

– Składacie więc daninę Bułgarom. – Światosław pokiwał głową. Mówił już trochę spokojniej i z większą rozwagą, jego początkowa wściekłość minęła. – W takim wypadku nie macie najmniejszego powodu ukrywać się za zamkniętą bramą. Ciągnę z moim wojskiem ku Itilowi i zanim zacznie się czas żniw, zasiądę na stolcu włodarza Bułgaru, a tamtejszy książę będzie na mój rozkaz skakał jak wierny sługa. To znaczy, że jesienią powieziecie daniny do Kijowa. Możemy więc sobie oszczędzić niepotrzebnej walki i pozwolić nadejść temu, co nieuniknione.

– Chcesz nas zamienić w niewolników! – krzyknął Ilja, zanim Alwar i jego przybocznicy zdążyli go powstrzymać. – Może mamy jeszcze sami włożyć obroże na szyje, paść na ziemię i lizać ci buty?

Młody książę zmrużył oczy.

– To ty zrzuciłeś mnie z konia – warknął. – Masz sił za trzech, muszę to przyznać, ciągle jeszcze boli mnie ręka. Za to nie masz zbyt wiele rozumu, skoro ważysz się tak do mnie mówić! Coś ty za jeden, tępą głową?!

– To Ilja – nieoczekiwanie odpowiedział Jegor Światogor i podjechał na koniu bliżej wielkiego księcia. – Z tej spalonej wioski na południowym zachodzie, o której ci mówiliśmy.

– Na mą duszę, to on – potwierdził Mikołaj Sielaninowicz. – Nie jest głupi,



gosudarze – zwrócił się do Światosława – tylko młody, zapalczywy i dumny.

– O tak, dumny – przyłączył się Wołch Wsiesławiewicz. – Całe życie się garbił i kiedy się wreszcie wyprostował, nie ma na świecie takiej siły, która by go zmusiła znów pochylić głowę. Gdybyśmy mieli stu takich, zdobylibyśmy Bułgar i bez krwiożerczych Rusów Swenelda.

Światosław kiwnął głową w zamyśleniu.

– To może nie jest najgorszy pomysł, Wołchu. Hej, ty, Iljo! I wy tam, skuleni za palisadą! Poddajcie się, a pozwolę wam przyłączyć się do mych wojsk i pociągnąć na Bułgar!

Nawet w tej zapadłej dziurze musieliście już słyszeć, w jakie niezmierne bogactwa opływają bułgarskie miasta. Jeśli razem ze mną ruszycie do boju, przypadnie wam spora część łupów. No już, władko! Nie wierzę, że jesteś naprawdę tak oddany Bułgarom i że nie wozisz im danin z ciężkim sercem. Powiem więcej! Wszyscy wróćcie do Muromia objuczeni łupami!

– Żebyś mógł nas potem oskubać przy obliczaniu danin! – Alwar stanowczo pokręcił głową. – Najpierw pluć groźbami, teraz próbujesz nas na miód złapać, synu Ingwara. Na próżno zdierasz gardło, nie wierzymy w ani jedno twoje słowo! W dodatku mówią o tobie, żeś gorliwy poganin, a nasza religia zabrania sprzymierzać się z niewiernymi. Gdybyśmy wyruszyli wraz z bałwochwalcami i czcicielami biesów przeciwko sługom Allaha, wszechmocny Bóg by nas przeklął i wrzucił nasze dusze w ogień piekielny, żeby tam skwierczały przez całą wieczność!

Światosław niecierpliwie zazgrzytał zębami, ale stojący w pobliżu Wołch wyciągnął ku niemu rękę i zaczął go uspokajać zniżonym głosem. Wielki książę wziął głęboki wdech, przełknął złość i spojrzał w górę.

– Swoim głupim postanowieniem skazujesz tych wszystkich ludzi na śmierć – wskazał gromadę lamentujących Muromców, otoczonych przez kijowskich jeźdźców. – Czy to podoba się twojemu bogu? Nie zdajesz sobie sprawy, że to niepotrzebnie przelana krew? Wiesz przecież, że tak czy owak,

przejdziemy przez tę bramę. Wcześniej czy później, po dobroci albo po złości.

– Wiem – pochmurny Alwar kiwnął z powagą głową. – Ale będziecie musieli ją rozbić, ponieważ my jej nie otworzymy!

Mężczyźni na wałach zahuczeli – niektórzy na znak zgody, inni z obawy. Schwytani Muromcy zaczęli rozpaczliwie krzyżeć, wyciągając prosząco ręce ku wieżyczce nad bramą.

– Powierzamy się Allahowi! – zawołał Alwar i dobył miecza. – Jeśli zdecydował, że mamy umrzeć, przyjmujemy jego wolę! Śmierć w walce z poganami będzie dla nas zaszczytem.

– Głupcze, z powodu wiary poświęcisz swoje plemię? – wrzasnął z niedowierzaniem Światosław. – Jak chcesz! Patrz, jak podrzynamy gardła twoim ludziom!

– Kiedy zaczniecie zabijać brańców – Alwar przekrzyczał narastającą wrzawę – zasypimy was strzałami! Dobrze ci radzę, synu Ingwara, zawróćcie konie i jedźcie precz, inaczej napełnimy Okę waszymi ciałami!

Przy tych słowach bej skinął na swoją załogę. Szczekliwe głosy przybocznych i drużynników niosły rozkaz wzdłuż całej palisady. Kijowianie na dole widzieli, jak nad zaostrzonymi palami wyrasta las włóczni i napinanych łuków. Miecze i topory, wzniesione już nad głowami schwytanych, wstrzymano. Jegor Światogor natychmiast uniósł szeroką tarczę i pognął swego konia przed Światosława, aby ochronić wodza. Wsiesławiewicz podniósł rękę z Malachitowym Kosturem.

– Wołchu? – warknął Światosław. – Potrafisz zakłębem osłonić nas przed grotami?

– Spróbuję! – Rażno skinął głową drużynnik i uniósł laskę wyżej. Srebrna łuska w smoczej paszczy na końcu kostura zajaśniała mętym światłem.

Światosław rzucił spojrzenie gromadzie lamentujących zakładników. Niebieskie oczy pociemniały jak niebo, na które nagły wiatr przygnał

burzowe chmury. Kurczowo zacisnął rękę na rękojeści miecza, aż skóra, którą była owinięta, głośno zatrzeszczała.

– Nic się nie da zrobić – powiedział chrapliwie – musimy spełnić groźbę.

I ruszył konno w stronę Muromców, którzy zaczęli jeszcze głośniej płakać i krzyczeć.

– Stój, gosударze! – Mikuła zajechał księciu drogę na swojej kobyłce. – Na matkę Mokosz i na samego Welesa, nie przelewaj krwi tych biedaków! Jesteśmy przecież bohaterami, obrońcami ziemi kijowskiej, nie zwykłymi mordercami!

– Dajże mi spokój z twą prostoduszną szlachetnością, Sielaninowiczu! Jesteśmy na wyprawie wojennej, w razie potrzeby musimy dopuszczać się ohydnych czynów. Trzeba im pokazać, że groźby wielkiego księcia kijowskiego to nie pierdzenie w nocy pod pierzyną. Z drogi!

– Mikuła ma rację! – Nieoczekiwanie poparł go Jegor i też zastąpił księciu drogę. – Nie jesteśmy bandą ruskich podrzynaczy gardeł od Swenelda ani hordą Kipczaków czy Pieczyngów, żebyśmy zabijali ot tak, dla zabawy!

– Dla zabawy? – Światosław obrócił się ku niemu tak szybko, że aż zadyndał zawieszony w jego uchu masywny kolczyk. – Te przekłete osły właśnie zaśmiały się nam prosto w twarz. Obrazili nas, grozili, że wrzucą nasze zwłoki do rzeki! Muszą dostać nauczkę! Inaczej się rozniesie, że Helga strzegła Ingwarowego stolca dla słabeusza! Wypełnić rozkaz! Zobaczycie, jak hardy muromski książę padnie na kolana.

Niektórzy bojarzy potrząsnęli bronią na znak zgody.

– Stać! – krzyknął na nich Wołch. – Nie szczerzcie kłów, niecierpliwe wilki! Zachowajcie żądzę krwi na prawdziwy bój! – Zwrócił się ku Światosławowi. – Wybacz, książę, ale muszę przyznać rację braciom Mikule i Jegorowi. Mordowaniem niczego nie osiągniemy, wprost przeciwnie – doprowadzimy do dalszego rozlewu krwi. Sami przy tym też doznamy strat. I po co? To tylko jeden gród, bez większego znaczenia. Małe plemię, które nie

może nam zagrozić, nawet jeśli zostawimy je za plecami. Chcieliśmy tylko zasilić Muromcami wojsko, załatać dziury, które powstały w szeregach po walce z Wiatyczami i Meszczarami...

– Nie przewidzieliśmy, że przejrzą twój czar, ani nie znaleźliśmy ich pychy i upartego oporu – wycedził przez zęby Światosław. – Jeśli masz jakiś pomysł, jak obalić Muromców na łopatki, mów! Inaczej rozkażę spełnić groźbę, a jeśli wy trzej spróbujecie mi przeszkodzić, klnę się, że nakarmię miecz i waszymi duszami!

– Wymyśl coś, bracie Wołchu – nalegał Mikuła. – Pokaż, że nie na darmo zwać cię mądrym jak wąż i chytrym jak lis!

Młody Wsiesławiewicz zwrócił wzrok ku wałom. Zmrużył oczy i zaczął podkręcać palcami końcówki wąsów, co było u niego oznaką, że wymyśla jeden ze swych podstępnych planów. W końcu wykrzywił prawy kącik ust – z kolei o tym grymasie wiedzieli, że zwiastuje błyskotliwy pomysł.

– Znam jedno rozwiązanie – pokiwał głową. – Spróbujmy jeszcze raz po dobroci. Muromski naczelnik powierzył się swemu bogu. Dobrze. Tak zatem zrobimy. Pozwolimy sile wyższej, by rozstrzygnęła wszystko za nas.

– Co masz na myśli? – burknął Światosław.

– Zobaczycie – odparł czarnowłosy bohater i nie czekając nawet na zgodę księcia, zawrócił konia i pognął ku wałom.

W górze, na pomoście jeden z przybocznych Alwara podniósł do ust wołowy róg, którego dźwięk miał być sygnałem do spuszczenia deszczu strzał. Już brał oddech, gdy nagle bej położył mu rękę na ramieniu.

– Czekaj. Pewnie chcą się układać. Wołch wstrzymał konia.

– Słyszysz mnie, Alwar-beju?

– Oczywiście, że cię słyszę, Wsiesławiewiczu. Mów, tylko szybko! I nie próbuj mnie podejść!

– Znam pewien sposób, jak wyjść z tej opresji. Stary sposób, sprawdzony. Waregowie nazywają go holmgång.

Bej zmrużył oczy.

– Pojedynek? Sąd boży?

– Właśnie tak. Po co przelewać krew setek ludzi, jeśli o zwycięstwie Kijowa lub Muromia mogą zdecydować dwaj ludzie? Nasz najlepszy wojownik będzie się bił z waszym. Zobaczymy, po czyjej stronie są bogowie.

– Nie ma Boga prócz Allaha.

– Jeśli rzeczywiście wierzysz w to z głębi serca – Wołch uśmiechnął się pod wąsem – musisz być przekonany, że twój człowiek zwycięży. A może nie?

– Oczywiście. A co potem? Co będzie, jeśli naprawdę zwycięży Muromiec?

– Uwolnimy wszystkich brańców i odjedziemy. Oczywiście, nie z pustymi rękami. Jeśli nie chcesz, żebyśmy tu wrócili z posiłkami, zapłacisz okup. Złotą grzywnę dla każdego drużynnika i dziesięć dla księcia.

Alwar pokręcił głową.

– Mam uwierzyć, że naprawdę odstąpicie od zamiaru zdobycia Muromia i nie wrócicie z resztą kijowskiego wojska?

– Pomyśl dobrze. Wojsko, które wie dzie wojewoda Sweneld, znajduje się nad Oką wiele wiorst na południe od tego miejsca i musi się jak najszybciej dostać na ziemię Bułgarów. Ruszy więc prosto na wschód, ku rzece Mokszy, i nie będzie tracić kilku dni, żeby się powlec z powrotem na północ i oblegać ten nic niewarty gród. Oczywiście pod warunkiem, że swoim uporem nie dasz naszemu księciu powodu do zmiany rozkazów.

– Chcesz powiedzieć – wydusił z siebie Alwar, niezmiernie zaskoczony – że kijowskie wojsko wcale nie zmierza do Muromia?

– Dobrze rozumiesz – potwierdził Wołch, chociaż Światosław za jego plecami syczał ze złości, ponieważ w ten sposób bohater zdradzał ich główny podstęp.

Alwar powoli skinął głową.

– Dobrze. Powiedzmy, że wam wierzę. Nie sposób jednak przeniknąć Bożych zamysłów. Co będzie, jeśli Allah się od nas odwróci i w pojedynku zwycięży wasz człowiek?

– Wtedy złożycie broń, otworzycie bramę, wpuscicie nas do środka, a ty przysięgniesz, że nigdy nie wzniesiesz miecza przeciwko sługom Kijowa. A jutro rano, kiedy będziemy odjeżdżać, pozwolisz nam zabrać ochotników, którzy zechcą razem z nami pociągnąć ku Itilowi. I wypłacisz złotą grzywnę każdemu drużynnikowi i dziesięć księciu.

Muromski bej spochmurniał i zamilkł.

– Nie wierz im, panie – warknął Seger. – I tak nas oszukają, pokonają chytrą. Jeśli ich człowiek zwycięży, a ty każesz otworzyć bramę, to będzie tak, jakbyś wpuścił do domu stado głodnych wilków...

– Ja tak nie uważam. Wołch jest liszką podszyty, ale widziałeś przecież, że razem z Mikułą i Jegorem powstrzymali Światosława przed zabijaniem naszych. – Bej wyprostował się. – Powierzyłem się Allahowi, a on dał nam znak. Dał nam nadzieję na przeżycie. Pytanie brzmi, kogo wystawią i kto z naszych odważy się z nim skrzyżować broń. Hej, Wsiesławiewiczu! Kto będzie walczył w imieniu twojego księcia?

– Powiedziałem przecież, że najlepszy – odparł z uśmiechem czarownik. – A jest nim Jegor Światogor!

– Hej! – szczechnął Jegor kilka sążni za plecami Wołcha, ale ten zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

– Słyszeliście – Alwar zwrócił się do swych ludzi. – Kto się ośmieli walczyć z Jegorem?

Ilja zaczerpnął tchu, by się natychmiast zgłosić, ale w tejże chwili przypomniał sobie przysięgę, którą złożył trzem tajemniczym wędrowcom, kiedy nad Nieprą zdjęli z niego klątwę. Na bogów, jakby to przewidzieli.

– Ja... – wyjąkał zmieszany. – Ja bym poszedł, ale...

– Przecież nikt tego od ciebie nie żąda, chłopcze. Sił ci nie brak, ale wcale

nie umiesz władać bronią. W dodatku to ma być sąd boży, więc szansę na zwycięstwo ma tylko wierny sługa Allaha. No już, chłopcy, kto pójdzie? – Rozejrzył się po pomoście.

Wojownicy ze wstydem unikali jego spojrzenia. Wiedzieli bardzo dobrze, że chociaż długachna broda Jegora jest już gęsto przetykana srebrem, na północ od Carogrodu nie ma sobie równych w walce na miecze.

– Nikt? – warknął Alwar w coraz głębszej ciszy. – Przeklęte tchórze, może mam iść sam? Segerze? Miałeś dość odwagi, żeby strzelać do wrogów i w ten sposób poświęcić brańców. Ośmielisz się poświęcić sam siebie?

Przyboczny spuścił wzrok i z rozpaczą podrapał się pod nosem.

– Bez wahania dobyłbym miecza przeciw komukolwiek innemu, panie. Jegor jest jednak niezwycięzony. Siekł w służbie Helgi w niezliczonych bitwach, a sam ponoć nigdy nie został ciężko ranny...

– Zamknij gębę! – Alwar nie pozwolił mu dokończyć. – Czyli naprawdę muszę tam iść sam.

– Nie musisz, potężny beju – wyprostował się Ilja. – Ja pójdę.

– Iljo, to już postanowione. Jesteś poganinem, podczas bożego sądu nie masz szans...

– Nie mamy innego wyjścia. Ty nie możesz iść. Jegor, chociaż sławny, jest przecież zwykłym bojarem, a ty, jako władca, nie możesz stanąć do pojedynku z kimś, kto nie jest ci równy. Puść mnie przed bramę. Rzeczywiście nie umiem władać mieczem, ale sił mam za trzech. Zobaczysz, że połamię kości temu staremu niedźwiedziowi.

– No jak?! – zawołał Wołch, czekający przed bramą. – Przyjmujecie wyzwanie? Alwar jeszcze raz przebiegł spojrzeniem po drużynnikach.

– Naprawdę nikt z was nie ma tyle odwagi, co ten chłopak z Karaczarowa? Odpowiedziała mu grobowa cisza.

– Niech was diabli – zaklął bej i spojrzał na Ilję. Jeszcze przez chwilę się wahał, potem skinął głową.

– Dajcie mu porządną zbroję!



– Będiesz miał swój sąd boży, Wsiesławiewiczu! – Dźwięczny głos Alwara rozległ się nad kamienistym brzegiem.

– Doskonale! – Szczerze ucieszył się Wołch.

– Ale najpierw chcę ujrzeć dowód waszej dobrej woli. Ustąpcie i pozwólcie nam opatrzyć rannych. Jeśli nie spróbujecie tego wykorzystać, uwierzmy, że potrafiacie dotrzymać słowa!

– Zgoda! – Wołch zawrócił konia i pokłusował z powrotem do swych druhów.

– Słuchaj no, smarkaczu – Jegor przywitał go burczeniem niedźwiedzia obudzonego w środku zimy – kto ci pozwolił decydować za mnie, czy pójde się bić?

– A miałem inny wybór? – Wołch uśmiechnął się do niego przesadnie. – Skoro już raz powiedziałem, że pójdzie najlepszy z nas, było jasne, że to musisz być ty.

– Na mą duszę, ja cię...

– W dodatku – czarodziej nie pozwolił mu dokończyć – to ma być sąd boży. A ty przecież czerpiesz siły ze swojej wiary, mam rację? A teraz – oderwał wzrok od gniewnego Światogora i popatrzył na pozostałych bojarów – ustąpcie i pozwólcie im pozbierać rannych. To nas nic nie kosztuje.

Światosław po chwili wahania skinął głową i dał znak jeźdźcom. Obrócili się i cofnęli ku rzece, w dół łagodnego zbocza. Pędzili przed sobą muromskich zakładników jak owce.

Wysunięto zasuwę z bramy, wrota skrzypnęły. Z szerokiej zaledwie na pół sążnia szpary między wierzejami wysunęli się krewni rannych i pobiegli ratować bliskich.

Światosław obejrzał się w siodle i oczy mu zabłyśły.



– Mamy teraz szansę, chłopcy – wycedził przez zęby. – Pokażemy temu hardemu muromskiemu psu, że wielki książę kijowski nie układa się z taką hałastrą. Jeśli porządnie popędzimy konie, będziemy u bramy, zanim zdążą opuścić zaworę. Otworzymy szeroko wrota, a potem już nikt nas nie zatrzyma...

– Pohamuj swoją wareską krew, książę – mruknął Jegor. – Postąpimy tak, jak chciał Wołch. Mam wprawdzie dziką ochotę, żeby go rozdeptać jak żabę, ale dał Muromcom swoje słowo. A ja, jako chrześcijanin, rozumiem jego wagę...

– Przestań już – rozgniewał się Światosław. – Nie chcę słyszeć twojego kolejnego kazania o podstępnych i wiarołomnych poganach! Zupełnie jakbym słyszał swoją szaloną matkę!

Gęste, szpakowate brwi Jegora ściągnęły się tak, że oczy pod nimi zupełnie skryły się w cieniu.

– Nie obrażaj księżnej Helgi, gosudarze. Dobrze rządziła na tej ziemi, zanim ty dorosłeś do ojcowskiej zbroi!

– Bronisz jej, bo wpuszczała cię pod swoją spódnicę. Na Peruna, w czasie gdy my się tu kłócimy jak mali chłopcy – znów omiół spojrzeniem bramę – zamkną nam wrota przed nosem. Mamy ostatnią okazję, przekłete uparte osły!

– Nie – przyłączył się Mikuła. – Postąpimy tak, jak chciał Wołch.

Światosław zazgrzytał zębami. Muromcy wciągnęli ostatnich rannych do grodu, a brama zatrzasnęła się szybko.

– Na jedyne oko Odynda! – zaklął wielki książę. – zmarnowaliśmy okazję, gamonie! Jeśli teraz z nas zadrwią...

Ale właśnie w tej chwili brama znowu zgrzytnęła. Kijowianie ucichli i przyglądali się ciekawie. Z cienia wyszedł barczysty mężczyzna. Szedł pieszo, jego hełm i łuskowy pancerz błyszczały w słońcu. Na lewą rękę miał założoną okrągłą tarczę z dębowego drewna z brązowymi okuciami, w

prawicy dzierżył szeroki topór na długim stylisku.

– Jest mój przeciwnik – zamruczał Jegor, zsiadł z konia i zdjął z siodła tarczę. Wołch pokazał zęby w zwycięskim uśmiechu.

– Wiedziałem, że nie każesz się prosić...

– Przestań się szczyryć jak rzyć z rozerwanych gaci! – warknął Jegor. Kiedy podchodził do Muromca, u jego lewego uda kołysał się miecz w pochwie. Po drodze po cichu mamrotał pod nosem „Ojcze nasz”. Zaraz miało się okazać, czy mocniejszy jest Bóg chrześcijan, czy mahometan. Chociaż Światogor dopuszczał w duchu, że były to tylko dwa imiona tej samej nadprzyrodzonej siły.

Prędko odpędził od siebie tę bluźnierczą myśl i dla pewności przeżegnał się szybko.



Kiedy brama Muromia zamknęła się za nim z hukiem, Ilja niemal podskoczył ze strachu. Musiał nad sobą zapanować, by się nie obejrzeć. Zacisnął zęby, mocniej chwycił topór i z wahaniem wyszedł naprzeciw Światogorowi.

Drobne kamyki i nasiąknięty krwią piasek skrzypiały pod podeszwami. Słońce świeciło w twarz, ale było już dość wysoko, więc nie przeszkadzało aż tak bardzo. W miarę jak oddalał się od wałów, w jego myśli wkradała się coraz bardziej dotkliwa niepewność. Muromcy pozostali za palisadą, Kijowianie obserwowali go od strony rzeki oczami drapieżców, a on kroczył tu jak samotny, półnagi wędrowiec, który pośród szczerzej pustki napotkał wygłodniałego lwa.

Zatrzymali się trzy sążnie od siebie. Jegor z zaskoczeniem spoglądał na twarz widoczną pod skrajem muromskiego hełmu. Wzrok nie służył mu już tak, jak w młodości, więc dopiero teraz rozpoznał przeciwnika.

– Iljo? – zapytał chrapliwie. – To ty?

– Tak, to ja, batuszko Światogorze – potwierdził młodzieniec z westchnieniem.

– Co ci strzeliło do głowy, głupi chłopcze? Wołch cudem cię wyleczył, zdjął klątwę, a ty teraz tak lekceważysz życie? Nie słuchałeś, kiedy ci radził, żebyś nie stawał przeciwko swoim dobroczyńcom? Czemu nie wzięłeś sobie do serca jego słów?

– Wzięłem, wierz mi. Tak się jednak złożyło, że nie było innego wyjścia. Nikt inny nie odważył się stanąć przeciwko tobie. Muromscy druzynnicy boją się ciebie jak mysz sokoła. Mówią, że ze wszystkich potyczek wychodzisz bez jednego draśnięcia i potrafisz zabić każdego przeciwnika!

– I mają rację, na włócznie świętego Jerzego! – zagrzmiał bohater, aż zatrzęsała się jego długachna, siwawa broda. – Myślisz, że dla czego Wołch z taką pewnością powierzył los nas wszystkich, którzy tu dzisiaj stoją przeciwko sobie, mojemu mieczowi? Bo jeszcze nie spotkałem przeciwnika, w którego krwi to ostrze by się nie wykapało!

Ilja przełknął ślinę. Od dwóch dni nie pił miodu i zaczynało mu się to dawać we znaki.

Parę łyków ostrej palenki bardzo by mu się teraz przydało.

– Już nic nie poradzimy, batuszko Światogorze – wykrztusił i zakołysał toporem w opuszczonej ręce. – Musimy skrzyżować broń. Tylko tak unikniemy dalszego rozlewu krwi.

– Przeklęty głupcze – zaklął Jegor. – Czy ty sobie zdajesz sprawę, że będę musiał cię zabić? Naprawdę pozwolisz sobie ściąć łeb dla dobra współplemieńców?

– Nie mam wyboru. Przecież nie zawrócę do bramy, nie będę w nią bił pięściami i prosił, żeby kogo innego posłali pod twój miecz. Zaczniemy więc, miejmy to jak najszybciej za sobą.

Brodaty bohater parsknął z niezadowoleniem, sięgnął do lewego boku i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Klinga wysunęła się z pochwy z brzękiem charakterystycznym dla dobrej, kijowskiej stali. Waregowie przywieźli ze sobą przez morze najlepszych kowali Północy, więc stal kuta w kijowskich i nowogrodzkich kuźniach nie miała sobie równych – nawet sam cesarz w Carogrodzie kupował dla swoich gwardzistów broń wykutą nad brzegami Sławutyczy. Miecz Jegora należał do najlepszych, jakie kiedykolwiek powstały na kijowskich kowadłach. Prosta, starannie wygładzona, naostrzona z dwóch stron klinga była nieco szersza i dobrą piędź dłuższa, niż zwykle bywały wareskie miecze. Także rękojeść została wydłużona, dała się dobrze trzymać oburącz. Zamiast zwykłej, żelaznej głowicy, miała na końcu osadzoną wykutą w srebrze łapę jakiegoś drapieżnika czy może nawet smoka. Pięć pazurów trzymało największy kawałek bursztynu, jaki Ilja widział. Kiedy Jegor uniósł miecz – lekko, jakby masywna broń nie ważyła nawet ćwierci puda – słońce rozżarzyło wnętrze kamienia czarownym blaskiem świeżo utoczonego miodu.

– Bursztynowa Śmierć – Ilja przypomniał sobie opowieści, które słyszał o broni Światogora.

– Tak go nazwała księżna Helga. – Bohatyr kiwnął głową. – Kazała go wykuć, kiedy przybyłem ze Świętej Góry do Kijowa i wstąpiłem na jej służbę. Ja nazywam go po prostu Śmierć.

Muromiec wziął głęboki oddech i zważył w ręce własną broń. Ma się rozumieć nie posiadała żadnego imienia. Był to zwykły ciesielski topór, z którym jego ojciec chodził do lasu zrąbywać drzewa. Wyszczerbiony, z ciemnymi plamami rdzy na obuchu i wyslizganym styliskiem. Ważył swoje, ale ręka Ilji władała nim tak samo lekko, jak ręka Jegora Śmiercią.

– Zaczynamy? – zapytał młodzieniec i wzniosł tarczę.

– Co innego nam pozostało? – Światogor przykurczył się za szerokim dębowym okręgiem, na którym własnoręcznie wymalował wielki krzyż.

Na brzegu Oki zapanowała pełna napięcia cisza. Skupieni na wałach obrońcy zniżyli włócznie i łuki, stojący nad rzeką Kijowianie przestali grozić brańcom mieczami. Wszyscy patrzyli w milczeniu na stojących nieopodal

bramy, szykujących się do boju przeciwników.

Bojowy okrzyk Ilji przeciął ciszę. Krótkie cienie u nóg obydwu mężczyzn zaczęły się w końcu poruszać.



Ilja dobrze wiedział, że jego jedyną nadzieją jest szybki, zabójczy wypad. Jeśli da Jegorowi możliwość obrony albo wręcz przejścia do ataku, tamten uzyska przewagę i wtedy będzie z nim, Ilją, jak mawiali chrześcijanie, amen.

Dlatego Muromiec skoczył rażno jak polujący ryś i włożył w cios topora całą moc ramion. Siła była jego jedyną zaletą, nią dorównywał przeciwnikowi. Musiał to wykorzystać.

Jegor jakby czytał w jego myślach, nie dał się zaskoczyć. Zasłonił się przed ciosem trzymaną w pogotowiu tarczą. Siekiera uderzyła w okrąg z krzyżem tak głośno, że echo dźwięku odbiło się od wałów Muromia. Wygięty w tył fragment żelźca trafił w żelazne umbo i złamał się wśród snopu iskier. Przednia część ostrza wbiła się w drewno i rozszczępiła tarczę, zostawiając szeroką rysę.

Jegor, mimo że w chwili, kiedy wznosił osłonę, zrobił prawą nogą krok w tył, by jak najłatwiej utrzymać równowagę, zatoczył się chwiejnie i musiał się cofnąć. Ilja to wykorzystał i znów rąbnął toporem. Rozległ się głośny trzask, a od jeszcze bardziej rozszczępionej tarczy odpadła część i zawisała na pokrzywionym okuciu. Jegor mało co nie upadł. Sztych Śmierci zazgrzytał o kamienie i wyrył w ziemi pod nogami bohatera płytką bruzdę.

Muromcy i Kijowianie zaszumieli i zafalowali niespokojnie.

Ilja zamachnął się, zdecydowany trzecim ciosem obalić przeciwnika na ziemię. Spod wąsów Jegora wydobyło się jednak warknięcie pełne złości i masywny bojar kopnął w ziemię. Kurz i drobne kamyki oprószyły twarz Ilji i dezorientowały go. Kijowianin przeszedł zręcznie do kontrataku. Resztką tarczy odrzucił opadające ostrze w bok i uderzył mieczem. Klinga załśniła jak spadająca z nieba Perunowa strzała.

Ilja wznosił tarczę w ostatniej chwili. Dębowy okrąg zadudnił pod ciosem Śmierci, miecz odrąbał kawałek okucia, posypały się iskry. Młodzik, zataczając się, cofnął się o całe trzy kroki, zanim znowu złapał równowagę. To wystarczyło Jegorowi, by odrzucił strzaskaną tarczę i chwycił rękojeść miecza w obie ręce. Nad głową wykręcił młynka bronią, skoczył i rycząc jak wół, ciął oburącz.

Ilja przyjął uderzenie na tarczę, ale ból, który przeszył jego łokieć i ramię, a potem wwiertł się w mózg, na chwilę zaćmił mu wzrok. Nawet przez okrzyki wystraszonych Muromców na wałach słyszał dyszenie Jegora, kiedy bojar znów wyprowadził cios. Młodzieniec na oślep podniósł na wpół rozciętą osłonę.

Światogor uderzył szerokim półokręgiem, z prawej strony w lewo. Dosięgnął krawędzi tarczy Muromca, zerwał mu ją z przedramienia i odrzucił rozszczepiony krąg na bok.

– Weź się w garść, Iljo! – Młodzieniec usłyszał gdzieś za plecami okrzyk Alwara. – Dziabnij go w kolano!

W tej sytuacji nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak posłuchać, więc zamachnął się toporem na nogi Jegora. W połowie drogi żeleźce natrafiły na klingę Śmierci. Miecz ześlizgnął się z topora, zaczepił jego ostrze i wyrwał broń z ręki Ilji. Topór zaszurał po ziemi, rozgarniając drobne kamyki i wznosząc tuman kurzu.

Rozczarowani Muromcy zaczęli lamentować.

Jegor kopniakiem w ramię obalił siedzącego przeciwnika na plecy. Hełm zsunął się Ilji z głowy, płowe włosy rozsypały się po piasku. Światogor prawą nogą przydeptał pierś Muromca i wznosił broń, spoglądając na gardło młodzieńca.

– Pomódl się prędko, chłopcze – wycedził spod wąsów. – Nadeszła twoja ostatnia chwila.

Ilja tylko wciągał ze świstem powietrze, jak starzec podczas ataku kaszlu.

Na wałach i na brzegu wszyscy wstrzymali dech. Ostrze Śmierci znieruchomiło nad głową Jegora – blask Dadźboga gładził klingę, tak że wyglądała jak wykuta ze szczerego złota. Światogor spojrział w wytrzeszczone oczy młodzieńca.

Zawahał się.

– Jegorze, zabij go! – krzyknął książę Światosław. – Przypieczętuć nasze zwycięstwo!

Brodaty bohater błysnął białkami oczu, parsknął, a jego palce poruszyły się na rękojeści miecza, jak gdyby szukały lepszego uchwytu.

Ostateczny cios jednak nie spadł.

– A niech to diabli – zaklął szpetnie Jegor i rozluźnił się. Ręce z mieczem opadły. Kiedy się potem schylił i wyciągnął lewą rękę w stronę Ilji, ten tylko wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc.

– No już, przestań się gapić jak jagnię na rzeźnicki nóż! – parsknął Światogor, trochę rozdrażniony własnym miłosierdziem. – Wstawaj, nim się rozmyślę. Biłeś się dobrze. Nie zasłużyłeś, by tak zdechnąć, w brudzie i na łopatkach. Dawniej bez wahania usiekłbym ci tę szaloną łepetynę, ale na stare lata zaczynam się robić miękki.

Ilja chwycił podaną rękę i przy pomocy Jegora wstał. Bohater odwrócił się w stronę grodu, podniósł wzrok ku pa-lisadzie i na znak triumfu skierował szych w stronę nieba.

– Bóg zdecydował! – krzyknął. – Słyszysz, Alwarze? Otwórz bramę i poddaj się!

Nie było żadnej odpowiedzi. Z wałów Muromia spływała stężała cisza. Światosław spojrział w stronę galerii nad bramą. W cieniu strzechy roiło się od podnieconych drużynników beja.

– Przysięgam na wszystkie demony piekła, Nawii i Niflheimu – warknął książę i podniósł miecz – że jeśli ten śmierdzący naczelnik wycofa się teraz i ośmieli się podać w wątpliwość wynik walki, zaatakuję te wały choćby sam!

Właśnie w tym momencie brama znów zazgrzytała. Kijowianie ucichli i obserwowali w napięciu otwierane wrota. Z cienia za wałem wyjechał jeździec w pełnej zbroi. Parę kroków za nim trzymali się dwaj drużynnicy w pancerzach i hełmach.

– To on – odezwał się w grobowej ciszy Wołch. – Muromski władca we własnej osobie. Uznał wynik pojedynku.

– Bogom niech będą dzięki – odetchnął Mikuła, a jego zęby zaświeciły między wąsami a brodą. – Widzisz, gosudarze? Pokonałeś Murom bez zbędnego okrucieństwa.

– Wyjedźmy mu naprzeciw – rozkazał Światosław i popędził konia. – Wołchu, Mikuło! Dwaj bohaterzy ruszyli za wielkim księciem.

Spotkali się z Alwarem pośrodku nasiąkniętej krwią przestrzeni, zaledwie parę kroków od miejsca, gdzie stali Jegor z Ilją. Obaj władcy mierzyli się wzrokiem.

– Zwycięstwo jest wasze – bej pokiwał głową. – Taka była wola Allaha. Teraz wypełnimy umowę, otworzymy bramy i ugościmy was. Dotrzymasz słowa i nie wzniesiesz już nigdy broni przeciwko memu ludowi?

– A dlaczego miałbym? – Światosław wrzucił ramionami. – Po co dalej szczybić miecze?

Alwar kiwnął głową, patrząc prosto w niebieskie oczy przeciwnika.

– Wierzę ci. Myślę, że na stolcu wielkoksiążęcym w Kijowie zasiadł godny następca wielkiego Ingwara i mądrej Helgi...

– Nie mam zamiaru przesiadywać w Kijowie – odparł Światosław. – Moim tronem zawsze będzie siodło bojowego rumaka. Zostawmy już wyrazy uprzejmości. Interesują mnie tylko sprawy wojskowe. Pozwolisz mi wybrać sobie w Muromiu drużynę, która wyruszy wraz z moim wojskiem na wyprawę przeciw Bułgarom?

– Pod warunkiem że nie zmusisz ich do zmiany wiary. Nikomu nie wolno zmuszać sługi Allaha, żeby się kłaniał kijowskim i wareskim bogom.



– Warunek? – Światosław zacisnął zęby. – Jeszcze jeden warunek? Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, beju...

– Tak czy nie?

– Oczywiście, że możecie dalej wzywać tego swojego Allaha! W moim wojsku są chrześcijanie, wyznawcy Odyńa i ci, którzy składają ofiary Perunowi. Wiara nic a nic mnie nie obchodzi, najważniejsza jest wierność wodzowi! A zatem umowa zawarta?

Alwar sięgnął do lewego boku, powoli wyciągnął z okutej srebrem pochwy miecz, oparł zakrzywione ostrze o przedramię i rękojeścią naprzód podał broń Światosławowi.

– Przyjmij mój miecz. I gościnę. Urządzimy ucztę, by przypieczętować nasz sojusz.

Światosław zamrugał. Podjechał konno bliżej i wziął do ręki podaną broń. Potem omiótł chmurnym spojrzeniem wały.

– Stale jeszcze do nas mierzą, prawda? – zapytał.

– Wystarczy jeden nieuważny ruch i przeszyje was setka strzał – potwierdził Alwar.

– Ciebie również.

– Ja już powierzyłem duszę Bogu.

– Przeklęty mahometanin – parsknął książę. – Nie podniosę na ciebie ręki. Przysięgam. A teraz każ im złożyć broń.

– Dlaczego? Teraz to twoi wojownicy. Chcesz nieuzbrojone wojsko?

– Słuchaj no, ty mądralo – Światosław wyszczerzył zęby – myślisz, że mnie podejdiesz? Że zwabisz mnie do środka i tam przeszyjecie plecy moich ludzi grotami strzał i włóczni?

– Tak się nie stanie. Masz moje słowo.

– Phi!

– Ja ci zaufałem. Teraz ty zaufaj mnie.

Kijowski książę nabrał powietrza w płuca i spojrzał najpierw na Wołcha, a potem na Jegora, który zdążył podejść do władców. Obaj kiwnęli głowami. Zwrócił więc spojrzenie ku Alwarowi i skinął na znak zgody.

– Dobrze. Niech się stanie to, co bogowie nam przeznaczyli. Wejdziemy do grodu i przyjmujemy twoją gościnę. Ostrzegam cię jednak: jeśli spróbujecie zdradzić, gorzko pożałujecie. Podwładni Wołcha to goryncze, najlepsi wojownicy nad brzegami Sławutyczy.

Alwar wolno kiwnął głową.

– Zrozumiałem.

Potem się odwrócił i wykonał wyraźny gest w stronę wałów. Zabrzmiał róg. Włócznie i łuki, wystające nad pa-lisadą, opadły pomału, z wahaniem. Po chwili zazgrzytały zawiasy i brama otwarła się na oścież.

Tak oto książę Światosław Ingwarsson i jego drużyna weszli do siedziby plemienia Muromców nad rzeką Oką.

KSIEGA DRUGA

**Trzy drogi  
Ilji Muromca**

## Droga, przy której czyha śmierć



iem, Buruszko. – Ilja kiwnął głową ze zrozumieniem, kiedy konik spróbował go ugryźć podczas nakładania uzdy. – I ja nie bardzo zdążyłem wypocząć, i mnie też się nie podoba, że tak na noc wyruszamy w drogę. Nie zostanę tu jednak ani chwili dłużej. Zrozumiałbyś to, gdybyś widział, jakiego wstydu dziś sobie narobiłem. Gdyby to przynajmniej była tylko moja hańba! Ale nie, razem ze mną cały gród musiał paść na kolana...

Ilja mocniej ściągnął uzdę i wetknął spinkę do dziurki w rzemieniu. Buruszko zarzucił zadem i zatupał tylnymi kopytami, by podkreślić swój protest. Pozostałe konie w stajni popierały go głośnym parskaniem lub krótkim, urywanym rzeniem.

– Chętnie bym cię usłuchał, wierz mi – mruczał pod nosem Ilja, kiedy kładł na grzbiecie źrebca podarty potnik – ale powinieneś zobaczyć, jak tu wszyscy na mnie patrzą. Jak na trędowatego! Nie mam tu czego szukać. Już raczej odejdę, zanim zaczną rzucać we mnie kamieniami i końskim łajnem!

Kiedy się schylił po kipczackie siodło, Buruszko prędko odwrócił głowę i zębami ściągnął z grzbietu śmierdzący potnik. Spadł na słomę zmieszaną z gnojówką i odchodami. Koń przydeptał go jeszcze dla pewności.

– Słuchaj no – zachmurzył się Ilja, kiedy się odwrócił i zauważył, co wyrabia Buruszko – nie zachowujesz się teraz jak rumak bohatera, ale jak głupi, uparty osioł. Prawdziwi przyjaciele nie opuszczają się w biedzie. Posłuchaj, bo zarobisz kułakiem między oczy! Ja nie żartuję!

Konik jakby zrozumiał, przestał się opierać, tylko z urazą odwrócił wzrok. Ilja wytrzepał z potnika słomę, wytrząsł grudki łąjna i znowu przerzucił go przez umięśniony grzbiet żrebca. Bez problemu nałożył też siodło, przeciągnął i zapiął popręgi. Dołączył tobołek z jadem, bukłak z miodem, w skórzaną pętlę przy łuku zatknął złamaną siekierę, do ręki wziął ciężką włócznię. Kiedy chwycił za wodze, Buruszko po raz ostatni spróbował się opierać, ale po rażym szarpnięciu usłuchał i wyszedł za Ilją ze stajni.

Nad Muromiem zapadał zmrok, dlatego postacie dwóch rosyłych mężczyzn, którzy wynurzyli się z szarości i stanęli siłaczowi na drodze, na tle gasnącego zachodniego nieba wyglądały jak dwa cienie.

– Patrzcie no – odezwał się ten szczuplejszy. – Wyjeżdżasz?

Ilja wzdrygnął się, bo przyszło mu do głowy, że Alwar wysłał za nim skrytobójców, którzy w nagrodę za przegraną walkę wbiją mu nóż między żebra. Potem jednak zauważył laskę opartą o zgięcie w ramieniu tego, który przemówił. Smocza paszcza na jej końcu trzymała w zębach magiczną łuskę.

– Dobrze widzisz – burknął zniecierpliwiony. – Dajcie mi przejść, bohaterzy.

– Nie spiesz się tak, bracie – powiedział drugi mężczyzna, ten silniej zbudowany. Po kędzierzawej czuprynie na głowie i zwiniętym biczu przy boku Ilja rozpoznał Mikułę Sielaninowicza. – Przyszliśmy zamienić z tobą parę słów, podzielić się łykiem miodu.

– Nie mam ochoty na miód, a na rozmowy nie mam czasu – odparował Ilja. – Przede mną szmat drogi.

– Spójrz tylko na niego, jaki gniewny. – Wołch popatrzył na swego barczystego towarzysza. – Miałem nadzieję, że zachowa się bardziej

przyjaźnie. Albo przynajmniej osądzi sprawiedliwie. Prawda, staliśmy dzisiaj po przeciwnych stronach, ale zasługujemy chyba na odrobinę wdzięczności za tę niedawną pomoc. Jak myślisz, bracie Mikołku?

– Zgadzam się z tobą, bracie Wołchu – potwierdził Sielaninowicz.

– Za to, że mi pomogliście i zdjęliście przekleństwo, będę się za was codziennie modlił do bogów, ale więcej ode mnie nie wymagajcie – warknął Ilja.

Wołch szybko poruszył Malachitowym Kosturem i stuknął jej węższym końcem o ziemię. Skrywany na końcu kostura okrucieństwo ożyło i cudowne srebrne światło wydobyło z ciemności twarze wszystkich trzech mężczyzn. Buruszko parsknął i uderzył kopytem w ziemię. Ilja cofnął się o krok.

– Nie próbuj na mnie swoich magicznych sztuczek, Wsiesławiewiczu – wycedził przez zęby. – Chcesz rzucić urok i nagiąć mnie do swej woli? Dobrze wiem, coś ty za jeden. Ty i twoi goryncze oddajecie cześć zmijom, starodawnym smoczym bóstwom. Tę łaskę musiałeś odziedziczyć po swoim ojcu, ostatnim wielkim gorynyckim kapłanie. Jest pełna podstępnych smoczych czarów.

– Nie zamierzam rzucać na ciebie uroku, Iljo. – Wołch pokręcił głową. – Chcę tylko porozmawiać.

– O czym?

– Na przykład o tym, dokąd się tak spieszysz, teraz, mimo zapadających ciemności – rzucił Wołch. – Zmierzasz dokądś, czy tylko chcesz jak najszybciej zostawić Murom za plecami?

– Jedno i drugie. A jadę na północ, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. – W głosie Ilji nie było ani krzty uprzejmości.

– W stronę Itilu? A po co?

– Czeka tam na mnie zaczęta praca. Muszę ją dokończyć. Kiedy już człowiek wyciął las, powinien też wykorzenić pniaki, zaorać ziemię i posiać zboże.

– Mądrze prawisz, zupełnie jakbym słyszał swojego ojca – przytaknął Mikuła, w którym odezwało się chłopskie pochodzenie. – Tylko że dalej nie rozumiem, co masz na myśli. Bo na pewno nie wybierasz się nad Itil po to, żeby karczować lasy.

– Ja wiem, o czym on mówi. – Wołch zmrużył oczy. – Na pewno chce jechać śladem łotrów, którzy spalili jego osadę. Prawda, Iljo?

– Prawda. Krew większości z nich spłynęła już do Oki dzięki Alwarowi, ale część uciekła i popłynęła łodzią do czeremiskiego Suchodolu przy ujściu Wietługi.

– Słyszałem o tym miejscu. – Wołch skrzywił usta, jakby miał zamiar splunąć. – Co o tym powiesz, bracie Mikuło? Ten chłopak chce wędrować aż do gniazda łowców niewolników, którzy wożą panny do okrytej złą sławą bułgarskiej świątyni węża. To czyste szaleństwo, Iljo. Czyżbyś nie wiedział, że niewolnice płyną z Suchodolu do Suwaru nie po to, żeby tam służyć w chrampie? W smoczey wieży Zilantaw zostają złożone w ofierze, a wąż pożywia się ich ciałami...

– A kto powiedział, że jadę uwalniać te dziewczyny? – odciął się Ilja. – Dobrze wiem, że już nie ujrzę ich żywych. Chcę je pomścić. To mogę dla nich zrobić. Na próżno mnie przekonujecie, marnujecie czas swój i mój. Pozwólcie mi przejść. Do rana chcę być w połowie drogi do Kłazmy...

– Zaczekaj, przyjacielu. – Mikuła podszedł bliżej. – Nie jedź na północ. Jedź na wschód. Z nami.

Muromiec wbił w niego spojrzenie zimne jak kawał żelaza.

– Co to ma znaczyć, Sielaninowiczu? Wyśmiewasz się ze mnie, plujesz w twarz biedaka okrytego hańbą?

– Nie przyszłoby mi to do głowy – poważnie odparł Mikuła.

– Myślisz, że dlaczego cię szukaliśmy? – Przyłączył się Wołch. – Chcemy ci zaproponować, żebyś dołączył do Światosławowej drużyny.

Ilja zaśmiał się gorzko.

– Powiedz mi w takim razie, po co to robicie? Do czego wam potrzebny niezguła, który nie umie władać mieczem ani toporem, a z łuku nie trafi nawet woła z odległości trzech kroków? Po co macie wprowadzać między sławnych kijowskich bohaterów kogoś, kim dzisiaj Światogor zamiatał ziemię przed bramą Muromia?

– Bredzisz, Iljo. – Wołch spojrział mu twardo w oczy. – Użalanie się nad sobą ci nie służy. Poza tym nie masz powodu myśleć, że okryłeś się hańbą. Pewnie, Muromcy nie patrzą dziś na ciebie ze szczególną wdzięcznością. To zrozumiałe, chociaż krótkowzroczne. My widzimy to inaczej.

– Całkiem inaczej – potwierdził Sielaninowicz. – Naszym zdaniem dobrze się spisałeś.

– Nie tylko dobrze, ale nawet świetnie – poprawił Wsiesławiewicz. – Jesteś człowiekiem, który jednym ciosem zwałił z konia samego Światosława. Byłeś też w stanie rozbić tarczę Jegora, dla którego wszyscy przeciwnicy są jak muchy. Na dodatek prawie obaliłeś go na ziemię. To się jeszcze nie udało nawet doświadczonym wojownikom, przyjacielu. Jegor na ogół zabija pierwszym ciosem, a ty odbiłeś ich pół tuzina i wyszedłeś z boju bez połamanych kości. A najważniejsze jest to, że jako jedyny przeniknąłeś mój czar i odkryłeś nasz podstęp. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Na pewno nie u człowieka, który nie szkolił się całymi latami w sztuce magii. Rozumiesz, Iljo? Jeśli dokonałeś tego wszystkiego kilka dni po tym, jak przestałeś się garbić i po raz pierwszy stanąłeś na prostych nogach, solidne ćwiczenia zrobią z ciebie jednego z najlepszych kijowskich bohaterów.

– Może nawet najlepszego z najlepszych – dodał Mikuła. – Przyłącz się do nas, Iljo. Byłaby szkoda, gdybyś zdechł w kryjówce jakichś czeremiskich czy bułgarskich czarowników. Musisz mi uwierzyć, że walka z nimi na własną rękę nie jest zbyt mądra. Złapią cię i nakarmią twoimi kośćmi łuskowatego potwora. A swoim współplemięńcom i tak w żaden sposób nie pomożesz, nie pomścisz też ich śmierci. Twoja niezwykła siła pójdzie na marne. Na



mateczkę Mokosz, nie pozwól na to. Lepiej galopuj u naszego boku, naucz się posługiwać mieczem i maczugą, ćwicz konną jazdę i strzelanie z łuku.

– W dodatku – Wołch podkreślił koniec wąsa między kciukiem a palcem wskazującym – w wojnie z Bułgarami trafimy też z pewnością na czcicieli smoka. Słyszałem, że Tugarin Drakowicz, najwyższy kapłan Zilanta, szykuje się do boju. Na pewno, prędzej czy później, się z nim spotkamy. W końcu będziesz miał i swoją zemstę, Iljo. Zobaczysz, jak dobrze będzie ci smakować, kiedy pozwolisz jej porządnie dojrzeć.

Muromiec spoglądał na nich ze zmarszczonymi brwiami.

– Karmicie mnie polewką z topora – odparł po długiej chwili milczenia. – To wszystko tylko piękne słowa. Nie wierzę w obietnicę bohatyrskiej sławy. Jesteście tacy sami jak ta zgraja, która zabiła mi ojca i powlokła w niewolę połowę mieszkańców wioski. Nazywacie wasz pochód na wschód wyprawą wojenną, ale wy też marzycie tylko o tym, żeby łupić, zabijać, pustoszyć i niewolić. Mówię po raz ostatni, zejście mi z drogi!

Buruszko, jak gdyby chciał podkreślić słowa swego pana, zarżał ostrzegawczo i znowu głośno uderzył kopytem o ziemię.

– No dobrze, będzie po twojemu – Wołch parsknął z niezadowoleniem i ustąpił. – Wskakuj na siodło i galopuj, dokąd cię zaprowadzi gorąca głowa. Kiedy jednak nocne powietrze ją ochłodzi i wywieje zawziętość i głupotę, wiesz, gdzie nas szukać. Ruszemy na południe, ku rzece Mokszy, a tam zwrócimy się na wschód. Śladów kijowskiego wojska nie da się przeoczyć.

– Nie będę ich szukał, nie liczcie na to – odciął się Ilja i wspiał na siodło. – Już się więcej nie zobaczymy.

Przy tych słowach szturchnął Buruszka, ten podrzucił grzywę, a jego kopyta z głośnym tętentem poniosły Muromca między przegrodami i stajniami. Z prawa, od strony dworu beja, lało się ogniste światło. Ilja zwrócił ku niemu głowę, a do jego uszu dobiegła głośna wrzawa. Kijowianie pustoszyli spiżarnie i piwnice Alwara, wpychali łapy pod spódnicę jego

córek, sikali na jego podwórku. Też mi bohaterzy! Nadęci, nienasyceńi, bezwzględni zbójcy bez krzty honoru czy szlachetności! Nie chcę mieć z tym stadem wilków nic wspólnego.

Rzucając wyzwiska przez ściśnięte goryczą gardło, Ilja rażno zawrócił Buruszka i szybkim kłusem zamierzył w dół ulicy, ku bramie.

– Jest zbyt dumny – burknął Mikuła, kiedy ramię w ramię z Wołchem wracali do dworu. – I znacznie, znacznie bardziej uparty, niż myśleliśmy. Może nie trzeba było mu tak mocno prostować tych pleców – teraz zadziera głowę nawet nad nas samych. Zbyt szybko uszła z niego pokora.

– Cierpliwości, bracie. – Wsiesławiewicz poklepał go po ramieniu i obejrzał się jeszcze raz za oddalającym się jeźdźcem. – Zbyt wiele przeżył w ostatnich dniach. Musi sobie najpierw wszystko poukładać w głowie. Kiedy wiatr wywieje mu zamęt z myśli i schłodzi gorącą krew, wszystko sobie rozważy. Zobaczysz, że w końcu wybierze właściwie. Ma więcej rozumu, niż bym się spodziewał u wieśniaka z muromskich lasów. Jestem pewien, że nie widzimy go po raz ostatni.

Niebo na zachodzie pociemniało na dobre i księżycowa bogini Chors rozsypała po aksamitnym sklepieniu nad Muromiem garść migoczących gwiazdnych okruchów.



Ilja przejechał dobre trzy wiorsty, zanim nadmiar gorączkowych myśli przestał mu się kłębić i huczeć pod czaszką. Wiorstę dalej ochłonął i był już w miarę spokojny, myśli zaczęły się układać i porządkować. Pozwolił Buruszkowi zwolnić. Jednolity do tej pory tupot kopyt rozpadł się na pojedyncze uderzenia podków o kamienistą drogę. Konik dał wyraz swej radości parsknięciem i podrzutem bujnej grzywy.

Spłoszone serce biło coraz wolniej. Ilja poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Biło ze źródła gdzieś w nim i rozlewało się w żyłach jak upajające greckie wino. Po prawej ręce Muromca spokojnie płynęła Oka, wędrując na północ

razem z nim. Odbicia księżyca i gwiazd wyglądały jak okruchy srebra, które topniały i rozpląwały się po czarnej powierzchni wód, usypiając patrzącego. Powieki Ilji rzeczywiście opadły. Oddech stał się głębszy, nieogolona broda opadła na szeroką pierś.

Buruszko zatrzymał się, parsknął i grzebnął kopytem o ziemię. Ilja wzdrygnął się. Zamrugał, z lękiem podniósł głowę...

I nie mógł się nadziwić.

Wszystko znikło. Skrząca się od gwiazd Oka, okoliczne pagórki i czarny las na przeciwnym brzegu. Wokół niego rozpościerał się bezkresny step. Równy jak stół, bez jednego wzgórza albo przynajmniej drzewa, upstrzony jedynie białymi głazami, które wyzierały z ziemi niby kości olbrzymów.

– Na bogów – wykrztusił Ilja i mocniej chwycił drzewce włóczni.

Nad tą niezmierną równiną wisiała dziwna, zielonkawa szarość. Ilja nigdy nie widział takiej chmury – wydawała się znajdować strasznie nisko, jak gdyby miała zaraz spocząć na jego ramionach. Nie był w stanie zgadnąć, czy jest ranek, czy wieczór, noc czy dzień. Świeże nocne powietrze znad Oki zastąpił ciężki zaduch.

Jedyne, co zostało, to droga. I to nie jedna. Muromiec stał na rozstajach.

Pośrodku miejsca, z którego rozchodziły się zakurzone szlaki, sterczał z ziemi masywny biały kamień, przypominający nagrobki, jakie stawiają na swoich mogiłach chrześcijanie i mahometanie. Ten głaz był jednak ponad wszelką wątpliwość pogański, może nawet była to żehra, święty kamień oznaczający starodawne miejsce składania ofiar. Wskazywały na to rozrzucone wokół ludzkie i zwierzęce czaszki oraz kości.

Najdziwniejsze wydawało się jednak to, że na kamieniu pysznił się napis. I to nie byle jaki – znaki żarzyły się ogniście, jak gdyby ktoś wlał do wrytych linii roztopiony metal.

Zdezorientowany Ilja rozejrzał się z niepokojem. Nigdzie nikogo nie było. Z wahaniem skierował Buruszka bliżej głazu. Spłoszył w ten sposób kilka

kruków, które przysiadły na żehrze i leżących w trawie czaszkach – trzepotały skrzydłami, krakały ohydnie, kłuły dziobami kości i kamienie. Muromiec nie zwracał na nie uwagi, spoglądał na napis.

Poznał te znaki. Matka uczyła go czytać czerty, służące czarownikom i wiedźmom do rzucania czarów. Stało w nich:

TEN, KTO SKRĘCI W LEWO, NA PEWNO MIŁOŚCI ZAZNA. TEN, KTO PÓJDZIE PROSTO, ZYSKA WIELKIE BOGACTWO. TEN, KTO WYRUSZY W PRAWO, ZNAJDZIE PEWNĄ ŚMIERĆ.

Zasepiony Ilja przeczytał napis jeszcze raz, upewnił się, że poprawnie rozpoznał wszystkie znaki. Potem znowu rozejrzał się na trzy strony. Ścieżki ginęły w zamglonej dali.

– Czeka nas niezwykły wybór, Buruszko – powiedział do konika, może raczej po to, żeby przerwać upiorną ciszę. – Jeszcze nie wiem, co to miłość, nie wspominając o bogactwie. Tylko śmierć już spotkałem, całkiem niedawno patrzyłem jej prosto w oczy...

Żrebiec podrzucił grzywą, jakby chciał coś powiedzieć, zarżał i znowu tupnął. W tejże chwili Ilja naprawdę podniósł głowę i otworzył oczy.

– Co to... – wychrypiał.

Buruszko stał na wysokim brzegu Oki. Wszystko wróciło. Gwieździsta noc, cicho szemrząca rzeka, ponure lasy. Zniknął kamień ofiarny, podobnie jak kruki i rozrzucone czaszki.

– Och... Zasnąłem w siodle. – Zrozumiał Ilja. – Jaki żywy sen... Nie uwierzyłybyś w to, Buruszko...

Konik podrzucił głowę, jak gdyby wiedział, o czym mowa. Jak gdyby i on rzeczywiście stał z Ilją na zagadkowych rozstajach pod szaro-zieloną chmurą.

Tyle że już wrócili do rzeczywistości. Droga, do tej pory biegnąca wzdłuż Oki prosto na północ, przed nimi ostro skręcała w prawo i wiodła przez bród na drugi brzeg. Ilja od razu poznał to miejsce – rano zatrzymali się tu na postój z Alwarem i jego drużyną w drodze do Muromia.

Siłacz spojrział w lewo, a potem przed siebie. W obu kierunkach drogę zagradzały mu gęste krzewy i kłujące ciernie.

– A zatem w prawo – burknął i skierował Buruszka na wschód, czołem do brodu. – Jeżeli śmierć to jedyna możliwość, nie pozwólmy sobie zadać ciosu w plecy.



Za rzeką droga wiła się wzdłuż gęstego, czarnego lasu. Kopyta Buruszka nie wydeptały na niej nawet całej wiorsty, kiedy Ilja dostrzegł przed sobą jakiś ciemny, prostokątny kształt. Natychmiast zwolnił i zjechał ze ścieżki, aby trawa stłumiła odgłos końskich podków – przez swój straszny sen miał złe przeczucia.

Przy drodze pod lasem stał wóz. Kubek w kubek taki, jaki Ilja pomagał wyciągnąć z rowu przed Muromiem, tyle tylko, że po wozaku i zaprzężonych wołach nie było nigdzie ani widu, ani słyhu. Ktoś rozrzucił wokoło cały ładunek, tak jakby w kupie odzieży i drewnianych naczyń szukał czegoś cennego.

Buruszko parsknęła niespokojnie.

– Też tak myślę – mruknął Ilja i zsunął się z siodła. Zauważył coś w przydrożnym rowie. – Tutaj stało się coś złego.

Schylił się i podniósł wyliniałą czapkę z lisiego futra.

– Coś bardzo, bardzo złego – poprawił się. – Dokładnie taką czapkę nosił ten wozak, któremu rano pomogłem. Co się temu biedakowi...

W tejże chwili od strony lasu dobiegł go krzyk. Najpierw przenikliwy i wyraźny, wzywający rozpaczliwie pomocy, po chwili jednak na skutek okrutnej boleści złamał się i przeszedł w nieludzki skrzek, a potem w zduszone skomlenie. W koronach drzew nocne ptaki zaszumiały skrzydłami.

Muromca tak to zmroziło, że gęsia skórka na plecach podniosła mu rubaszkę. Prędko uwiązał wodze Buruszka do wozu. Potem wyciągnął topór

z pętli przy siodle i wsunął go sobie za pasek. W rękach ścisnął ciężką włócznię, z jaką chadzało się polować na żubry.

Kasztanek zatupał niespokojnie.

– Musisz na mnie poczekać, przyjacielu. – Ilja poklepał go po szyi. – W gęstwinie narobiłbyś hałasu i zdradził mnie.

Po tych słowach Muromiec ruszył w stronę ciemności. Wrzask nieznanego nieszczęśnika ucichł w głębi lasu, ale Ilja miał dobre uszy i zdążył ustalić kierunek. Prędko stąpał po niezbyt stromym, gęsto zarośniętym stoku. Spieszył się, ale zarazem starał się nie narobić niepotrzebnego hałasu. Podnosił wysoko nogi, żeby się nie potknąć o wystający korzeń ani nie zaplątać stóp w pędach jeżyn.

Po chwili przyczaił się za rosochatym dębem na czubku wzgórza. W wąwozie za pagórką, między drzewami, migotał płomień ogniska. Ilja dostrzegł poruszające się cienie, usłyszał głosy. Męskie. Nieznajomi tak zanosili się śmiechem, że aż rzeli. Już nie było słyhać krzyku bólu i rozpacz, ucichło nawet ciche skomlenie. Muromiec zacisnął zęby. Spodziewał się najgorszego.

TEN, KTO WYRUSZY W PRAWO, ZNAJDZIE PEWNĄ ŚMIERĆ.

„Jeśli to musi być śmierć, niech nadejdzie” – powiedział sobie w duchu i zaczął ostrożnie jak ryś stąpać w dół zbocza.

Już nie tylko słyhał głosy, ale też rozróżniał słowa. W języku Muromców.

– Pospiesz się z tym mięsem, Urho! Jestem głodny niczym wilk po długiej zimie!

– Nie poganiaj mnie i nie denerwuj, Gallen! Nie tylko w twoim brzuchu burczy, jakby tam grała cała gromada gęślarzy! Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, ja też w ostatnim czasie nie siedziałem za książęcym stołem i nie opychałem samymi łakociami. Żarłem surowe grzyby, maliny i korzonki, tak samo jak ty. Siedz więc cicho, na ciebie też przyjdzie kolej!

Ilja usłyszał odgłos uderzeń. Pod ostrzem siekiery pękały kości, rozwierało

się mięso.

Modlił się, żeby to, co rozbójnicy zamierzali zjeść, okazało się wołem z zaprzęgu.

– Gallen ma rację, bracie – odezwał się trzeci mężczyzna. – Też mi już cieknie ślinka.

Na mą duszę, gdyby nie było tej wołowiny, ukroiłbym sobie kawałek wieśniaka.

– Nie najadłbyś się za bardzo, Jormo – odparł ten, który siekał wołu. – Popatrz tylko, jaki on chudy, sama skóra i kości. Tylko by ci ścięgnięta chrzęściły w zębach, więcej nic.

– No tak, prawda. Ta dziewczyna, którą złapaliśmy w zimie, była całkiem inna. Krew i mleko, tłuściutka, mięsko słodkie jak miód, aż kapał z niej tłuszcz...

– W dodatku – zaśmiał się Gallen – zanim ją zadźgaliśmy, mogliśmy się z nią nieźle zabawić. Z tego parszywego wozaka nie byłoby żadnego pożytku. Dobrze zrobiłeś, Jormo, żeś mu poderznął gardło. Przynajmniej jego skowyt nie będzie nam obrzydzał jedzenia.

Ilja podkradł się jeszcze bliżej, przycisnął ramię do grubego buka i wyjrzał zza jego pomarszczonego pnia. To, co słyszał, jeżyło mu włos na głowie i mroziło krew w żyłach. A to, co zobaczył w obozie, było jeszcze gorsze.

Wozak, brodaty muzyk, wisiał na skraju obozu głową w dół, ręce miał związane za plecami, a nogi przywiązane do gałęzi dzikiej czereśni. Głębokie cięcie niemal oddzieliło głowę od ciała. Jego oczy były wybałuszone, a ze zlepionych włosów wciąż kapała krew. Mech i trawa pod nim lśniły od wilgoci. Kręcił się pomału wokół własnej osi na skrzypiącym powrozie. Jak zarżnięte prosię...

Ilja ścisnął drzewce włóczni tak mocno, że omal nie pękło mu między palcami. Jego serce biło dziko. Czuł, jak stężała krew znowu płynie w żyłach, jak zalewa go fala gorąca. Pierwotne uczucie zgrozy zastąpił sprawiedliwy

gniew. Przeniósł pałające spojrzenie z nieboszczyka na zbójców. Było ich trzech – brudni, brodaci, wszawi, w potarganej odzieży i wyliniałych kożuchach. Ilja aż tu czuł smród brudu, potu i zaschłego moczu. Nie maskowała go nawet woń świeżo wyrwanych wołowych trzewi.

Muromiec zazgrzytał zębami i rażno wyszedł z za drzewa. Nie dbał o trzask suchych gałązek, pękających mu pod nogami.

Natychmiast go usłyszeli. Klnąc, zeskoczyli z kłód i pieńków, na których siedzieli. Jorma wzniosł długachny nóż, jeszcze mokry od krwi wozaka, Gallen groźnie zamierzył się sękatą maczugą, Urho poprawił położenie topora, którym porcjował wołu.

– Stój, kurwi synu! Ani kroku dalej! Coś ty za jeden?

Ilja rzeczywiście się zatrzymał, zamarł na granicy ciemności i chybotliwego światła, krok od wiszących zwłok.

– Nie mam złych zamiarów – wydusił z siebie. – Usłyszałem głosy, zobaczyłem ogień i przyszło mi do głowy, że znajdę tu dobrych podróżnych, którzy podzielą się stawą i miejscem przy ognisku...

– Pomyliłeś się – warknął Urho, najstarszy z całej trójki, przywódca bandy. Nie był całkiem głupi, jego oczy przyglądały się ciemności wokół obozu, starając się wypatrzyć zasadzkę. – Jesteś sam? Mów prawdę! Bo jeśliście nas otoczyli, zdechniesz jako pierwszy, przysięgam na pazury Erlika!

– Nie wzywaj boga śmierci, bo może naprawdę przyjść – poradził mu Ilja.  
– Nikt was nie otacza. Jestem zupełnie sam.

– Nie wygląda na drużynnika beja – odezwał się Jorma, mierząc Ilję spojrzeniem złych, okrutnych oczu. – Nie ma pancerza ani porządnej broni. Może naprawdę jest sam. Kim jesteś? Mów!

– Ilja, syn Jahji z Karaczarowa – posłusznie odparł siłacz i ukradkiem przysuwał się bliżej ogniska.

– Z Karaczarowa? – Urho zachmurzył się i nie dowierzał. – Przecież to



gdzieś het za Muromiem, po drugiej stronie rzeki. Czego szukasz tak daleko od rodzinnego domu?

– Musiałem uciec. Sąsiad chodził do mojej żony, to go poczęstowałem nożem między żebra. Chcieli mnie za to zabić, przywiązać do dwóch zgiętych brzoź i oderwać kończyny jak udka z pieczonego kurczaka. Wziąłem więc nogi za pas. Nie szedłem do Muromia, nie jest tam zbyt bezpiecznie...

– Słyszeliśmy – kiwnął głową najmłodszy Gallen. – Dlatego czatujemy przy drogach. Kiedy rozeszły się wieści o nadchodzących Kijowianach, przerażeni chłopcy zaczęli biegać wte i wewte, jak kury, na które padł cień jastrzębia. Zostawili opuszczone domy, da się tam co nieco znaleźć...

– Wiem. Wojenny czas sprzyja kradzieży. Ludzie są wystraszeni, oszołomieni, łatwa zdobycz. Po drodze zabiłem jednego jeźdźca i zabrałem jego konia. Potem ruszyłem na wschód, za rzekę. Słyszałem, że w tych lasach kryją się wolne drużyny zbójników, więc przyszło mi do głowy, że do którejś dołączę. Widzę, że długo szukać nie musiałem. Z której bandy jesteście?

– Jesteśmy bracia Rachmantycze – odpowiedział Urho, wciąż przyuczajony niczym drapieżnik przed skokiem. Twarz miał skrzywioną, oczy pełne nieufności. – Ale do nas się nie przyłączysz, nie licz na to. My się z nikim nie bratamy, bo nie wierzymy nikomu. Tylko własnej krwi.

– Naprawdę? A to szkoda. – Ilja znowu podszedł bliżej ogniska. – Mogę się przynajmniej ogrzać przy waszej wiatrze? Jedzenia też macie dosyć, jak widzę. Już od dawna nie miałem nic w ustach...

– Musisz się obejść smakiem – przerwał mu Urho. Ton jego głosu był coraz bardziej złowieszczy, a wyraz twarzy bardziej wrogi. – Z nikim się nie dzielimy zdobyczą. Prawda, bracia?

Gallen i Jorma w milczeniu skinęli głowami. Oni też mocno ścisnęli broń – odgadli, co zamierza Urho.

– No... – burknął Ilja. – Jak nie, to nie. W takim razie pójdę chyba swoją

drogą...

– Ty naprawdę myślisz – najstarszy Rachmantycz wyszczerzył zęby w ohydny grymasie – że damy ci tak po prostu odejść? Że uwierzymy w te brednie o zabójstwie i ucieczce? Nie wyglądasz na kogoś, kto by potrafił zabić z zimną krwią. Ja myślę, że przyszedłeś szpiegować, węszyć jak pies myśliwski. Alwar z Muromia obiecał złotą grzywnę za nasze głowy. Chciałbyś zgarnąć nagrodę? Gdzie twoi kompani, mów?!

Ilja przestał się głupawo uśmiechać. Skrzywił usta, a wejrzenie miał jak z żelaza.

– Kompani? – powiedział w następnym ciszy. – Do czego by mi byli potrzebni? Takich parszywców jak wy sam zakłuję.

Gallen i Jorma stężeli, zacisnęli wargi. Tylko Urho stale się szczyrzył. W jego wyrazie twarzy było coś niesamowitego, strasznego, nieludzkiego.

– Widzicie, bracia? – syknął. – Stale wam powtarzam, że nie możecie nikomu wierzyć. Tylko własnej krwi.

Stali nieruchomo jak cztery posągi w leśnej świątyni. Języki płomieni wylatywały z ogniska i odbijały się od zakrwawionej broni rozbójników. Płaty świeżej wołowiny syczały na rozżarzonych kamieniach wokół ogniska. Do smrodu długo niemytych ciał i wolicz trzewi dołączyła woń spalenizny.

Cisza się pogłębiła.

W ognisku pękło polano i w stronę koron drzew wzleciał rój iskier. Wtedy się poruszyli. Wszyscy czterej naraz.



Gorycz i sprawiedliwy gniew dały Ilji taką szybkość, że zaskoczyła nawet jego samego. Oburącz chwycił drzewce włóczni i zamachnął się mocno. Masywny grot dosięgnął Jormę w bok głowy. Ilja chciał go tylko uderzyć i obalić na ziemię, ale trafił zbója ostrzem z brązu. Nie było szczególnie dobrze naostrzone, za to siła Muromca zrobiła swoje. Połowa czaszki Jormy

poleciała w gęstwinię, a śliskie strzępy mózgu rozprysły się wokoło. Ilja nie zdążył się zdziwić, jak wiele łotr miał w głowie, ponieważ w tej chwili pozostali dwaj Rachmantycze straszliwie zawyli i ruszyli na niego.

Urho był bliżej. Przeleciał przez deszcz krwi Jormy i zamachnął się siekierą. Ilja w ostatniej chwili nastawił przeciwko niemu włócznię. Zbójca nie był już w stanie zrobić uniku i całym ciężarem nadział się na grot. Nie zdążył machnąć toporem, gdyż Muromiec zaraz cofnął się o krok, wrzasnął, prędko uniósł włócznię i wraz z nabitym Urhem przerzucił ją za głowę. Zbójnik z okropnym wyciem i łoskotem padł gdzieś z tyłu.

Gallen przeskoczył ogień żywo jak kozioł i zamachnął się maczugą. Ilja instynktownie podniósł lewą rękę i uwięził spadający nadgarstek zbója w swojej dłoni. Złoczyńca jakby uderzał głaz. Muromiec nie zawahał się, prawą ręką złapał przeciwnika za łokieć i prędko targnął jego ręką. Kości pękły niczym suche patyki, ostrymi końcami przebiły mięśnie i skórę, trysnęła krew. Gallen wrzasnął ogłuszająco i padł u nóg Ilji. Muromiec łatwo wyrwał maczugę ze słabnących palców i uderzył w głowę najmłodszego Rachmantycza jego własną bronią. Krew trysnęła na białe pnie brzózek.

– Mamooo, mamusiuuu...

Ilja obejrzał się. Urho skamlał jak zdychające zwierzę i usiłował odczołgać się w gęstwinię. Z włócznią uwięzłą w trzewiach było to dość trudne.

– Waszą matką musiała być sama Baba Jaga, skoro wychowała was na takich okrutników, na takie potwory – warknął Ilja. Podszedł bliżej, złapał zakrwawione drzewce i odwrócił je tyłcem ku niebu, przez co odwrócił przeciwnika na plecy. Przez las znowu przeleciało straszliwe wycie. Nabiegłe krwią oczy Urha zatrzymały się na Ilji.

– Stale jeszcze myślisz, że nie wyglądam na człowieka, który potrafi zabijać? – wycedził przez zęby Muromiec i wziął silny zamach.

Ostatnią rzeczą, którą najstarszy z siejących grozę braci Rachmantyczów zobaczył w swoim życiu, była zbliżająca się z zawrotną prędkością do jego

twarży maczuga Gallena. Potem coś chrupnęło i jego świat w krótkim wybuchu paralizującego bólu na zawsze pogrążył się w wilgotnej mgle.



Ilja czuł się tak, jakby wypił zbyt wiele miodu. Obrazy tego straszego przelewu krwi bez ustanku przepływały przez jego myśli i ciągle od nowa stawały przed oczyma. Bicie serca rozbrzmiewało w czaszce – miał wrażenie, że z każdym uderzeniem powiększa mu się głowa. Żołądek skręcał się jak koło młyńskie w wartkim nurcie. Ilya wyłamał z kurczowo zaciśniętych palców Jormy nóż i podszedł do zamordowanego wozaka. Złapał go za spętane nogi, przeciął powróż i powoli złożył ciało na ziemi. Kiedy spojrzął na twarz biedaka, ciągle jeszcze skrzywioną ze zgrozy i zaskoczenia, zdjął go żal...

W lesie pod czyimś ostrożnym krokiem zaszeleściły liście.

Ilja zerwał się na równe nogi, wyrwał ze zwłok Urha włócznie i zwrócił skrwawiony grot w stronę gęstwiny.

– Kto tam? – krzyknął, aż zatrzęsło się listowie na drzewach.

Z cienia wynurzyła się brodata twarz o oczach wytrzeszczonych ze strachu.

– Niepotrzebna ci broń, mocny bohaterze – zabrzmiała nieśmiała odpowiedź. – Jestem tylko prostym pasterzem.

Ilja nie dowierzał, ale z lasu naprawdę wyszedł tylko śmierzący owcami muzyk w baranym kozuchu i z laską pasterską w ręce. W dodatku w ciemności zaszurała druga para nóg i za owczarzem pojawił się jeszcze chłopak w wieku około piętnastu lat, z twarzą tak gęsto usianą piegami i pieprzykami, jakby stał koło krów, które, czymś wystraszone, tupąły po świeżych plackach. Mimo dużej różnicy wieku, nie dało się nie zauważyć wzajemnego podobieństwa obu pasterzy.

– Tak, to mój syn – starszy potwierdził przypuszczenia Ilji. – Znaleźliśmy obrabowany wóz chwilę przed tobą. Zastanawialiśmy się właśnie, czy mamy

dość odwagi, żeby szukać wozaka, kiedy usłyszeliśmy tupot kopyt. Schowaliśmy się w gęstwinie i patrzyliśmy, jak przyjeżdżasz, zeskakujesz z konia i idziesz śladami zbójników. Potem słyszeliśmy ten straszny krzyk i hałas. Pokonałeś ich, mocny bohaterze? Zabiłeś ich wszystkich?

– Wszystkich – kiwnął głową Ilja, rozluźnił się i zwrócił grot włóczni w stronę nocnego nieba. – Lepiej nie podchodźcie, dobrzy ludzie. To nie jest piękny widok...

– Oj, na pewno nie – owczarz potwierdził zduszonym głosem. Kiedy wraz z synem rozejrzeli się po porębie i zobaczyli spustoszenia, pobledli i przez chwilę przełykali ślinę, w oczywisty sposób walcząc z mdłościami. – Ale dobrze zrobiłeś, mocny bohaterze. Ci parszywcy nie zasłużyli na nic innego...

– Skończ już z tym *bohaterem*, batuszko. Daleko mi do kogoś takiego...

– Niby czego ci brak?! – Spojrzał na niego pasterz. – Przecież biłeś się dzisiaj z samym Jegorem Światogorem! Żeby odważyć się na coś takiego, trzeba mieć serce prawdziwego wojownika!

– A ja słyszałem nawet – przyłączył się chłopiec – że wysadziłeś z siodła samego włodarza Kijowa! Jednym ciosem!

– Byliście tam? – Zdumiał się Ilja.

– Pewnie, że tak – potwierdził pasterz. – Usłyszeliśmy o ciągnącym wojsku i spieszyliśmy skryć się za wałami Muromia. Nie dostaliśmy się do środka. Na szczęście kijowska horda ruszyła ku Mokszy i nie podepcze muromskiej ziemi, nie spustoszy naszych osad. Wracamy więc do naszego szałas. Ale skąd ty się wziąłeś w środku tej dziczy? Przecież jesteś sławny, powinieneś dzisiaj w nocy siedzieć na honorowym miejscu przy stole beja!

Ilja spojrział na niego jak na kogoś niespełna rozumu, kto plecie piąte przez dziesiąte.

– Co mówisz, dobry człowieku? Sławny? Honorowe miejsce? Ty chyba nie wiesz, jak się skończyła walka?

– Wiem, pewnie, ale nie rozumiem, dlaczego... – Owczarz umilkł nagle i zachmurzył się. – Och – odezwał się po chwili. – Już mi świta. Panowie cię wygnali. Wypędzili po nocy jak sierotę z czarną ospą. Kiedy szukali kogoś, kto pójdzie skrzyżować broń ze Światogorem, siedzieli cicho jak larwy w ranie, odwracając twarze. Ale kiedy trzeba było zwalić na kogoś winę za zwycięstwo Kijowa, naraz zaczęli się śmiało przekrzykiwać i jeden przez drugiego wytykali cię palcami. Mam rację, junaku?

– Masz – westchnął Ilja. – Ale nie mam chyba prawa im tego wymawiać. Nie przysporzyłem naszemu ludowi wiele sławy...

– Jak to nie? – jęknął pasterz. – Co ty mówisz? Przecież wszyscy wiedzą, że Jegor jest niezwyciężony. Ty też nie mogłeś go pokonać. Ale ze wszystkich Muromców ty jeden miałeś dość odwagi, żeby z nim stanąć do boju. A ponoć nawet nie jesteś bejowym drużynnikiem! To prawda?

– Prawda.

– Jesteś więc jednym z nas! – zawołał owczarz. – Słyszysz, synku? Prosty człowiek, a walczył z najzręczniejszym bohaterem! Obalił na ziemię wielkiego księcia Kijowa, sam, samiuteńki pokonał trzech okrutnych zbójców! A wzdraga się, kiedy go nazywamy bohaterem. Zaufaj mi, przyjacielu, panowie z Muromia może cię odrzucili, ale prości ludzie będą o tobie śpiewać pieśni. My też ułożymy jedną, kiedy będziemy mieć więcej czasu na pastwisku, a gdy w okolicy pojawi się wędrowny gęślarz, nauczymy go tej pieśni, żeby ją zaniósł innym uszom. Powiedz, jak się właściwie nazywasz? Który muromski ród ma w żyłach tak dobrą krew? Pójdę tam szukać żony dla swojego syna.

– Jestem Ilja, Ilja z Karaczarowa, ale dzisiaj na próżno szukalibyście tej wsi. Spalili ją Czeremisi i Kipczakowie. Parę dni temu, wielka banda. Nie słyszeliście o tym napadzie? Musiało się o tym mówić w innych osadach wzdłuż Oki...

– Tak, słyszałem – pokiwał głową muzyk. – Nieszczęsny chłopcze, na mą duszę, smutny twój los. Żal ściska serce, kiedy się słyszy, że taki dziarski

junak stracił dom i rodzinę. A teraz te pyszałki wyгнаły cię jeszcze z Muromia... Zostałeś sam na świecie. Co będziesz robić? Gdzie się podziejiesz?

Ilja wziął głęboki wddech. W migoczącym świetle watry cienie okolicznych drzew chwiały się dziwnie, a twarze pasterzy falowały jak odbicia w zmaconej wodzie. Ilję opanowało naraz poczucie obcości i osamotnienia. Cała ta krew i zgroza, powietrze przepojone wonią śmierci i brzmiące echem przedśmiertnych okrzyków, które ciągle jeszcze dźwięczały mu w uszach, tylko spotęgowały to uczucie. Bezradnie pokręcił głową.

– Nie wiem, dobrzy ludzie – przyznał szczerze. – Pojęcia nie mam. W ognisku pękło następne brzozowe polano.



Światosławowa drużyna odjeżdżała prędko, mimo że większość bohaterów z samym księciem włącznie wstała z podkrążonymi oczyma i głowami bolącymi od wypitego miodu. Nałożyli na konie okup od Alwara, zabrali dwa tuziny dobrze uzbrojonych muromskich jeźdźców żądnych wojennej sławy oraz bułgarskiej zdobyczy, a potem ruszyli rażno wzdłuż Oki prosto na południe.

Przekroczyli bród wcześniej po południu, by podążać dalej wzdłuż czarnych lasów, które cisnęły się ku Ocie od wschodu. Na drugim brzegu książę pozwolił drużynie na krótki postój, by wszyscy mogli odpocząć, powylewać wodę z butów, wyżyć spodnie i co nieco przekąsić. Kiedy znowu wtykali nogi w strzemiona i wciągali się na siodła, Wołch Wsiesławiewicz wyprostował się nagle, zwrócił konia na północ i zapatrzył się w dal, w stronę wąskiego pasma traw między rzeką a lasem.

Nie uszło to uwadze Mikuły i też spojrział w tym kierunku, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Czego tak wypatrujesz, bracie? – zapytał. – Czyżby ktoś nas śledził? Muromcy chyba nie chcą z zemsty napaść na nas od tyłu?

– Gdzieżby. Nie odważyliby się. Ziemia chwieje się pod kopytami jednego jedynego konia.

– Jak możesz wyczuć coś takiego? Wiem, że masz zmysły ostre jak dziki zwierz, ale to przecież... Zaraz! Zdaje mi się, że też coś widzę... Tak, przez ten pagórek na widnokręgu właśnie przejechał jeździec! Na bogów, Wołchu, chciałbym mieć tak bystry wzrok jak ty!

– Co się dzieje? – Zza ich pleców dobiegł głos księcia Światosława.

– Przyjeżdżają posiłki, gosudarze – uśmiechnął się Wołch. – Co prawda tylko jeden jeździec, ale jest tego wart. Wyjedziemy mu z Mikułą naprzeciw. Wy nie traćcie czasu i ruszajcie w drogę. Dogonimy was.

Młody wódz tylko kiwnął głową i skinął na drużynę. Zabrzęczały wodze, zadudniły kopyta i Kijowianie wyruszyli.

– Żebym tak jutra nie dożył, miałeś rację – dziwił się Sielaninowicz, kiedy bok w bok z Wołchem jechali na spotkanie przyjeżdżającego. – A może to nie on?

– On, pewnie, że on. – Uśmiechnął się Wsiesławiewicz. – A kto inny?

– Skąd mogłeś to wiedzieć? Kiedy wieczorem słyszałem, jak nam wymyśla, przysięgłbym na grób własnej matki, że nie zmieni postanowienia. Że uparcie pojedzie w swoją stronę.

– A gdzieżby. Nikt nie wybierze dobrowolnie losu samotnego wilka. Wszyscy chcą znaleźć swoją watahę, a on nie jest wyjątkiem. Założę się, że przez całe życie wszyscy go odpędzali jako kalekę. Myśmy mu powiedzieli, że może gdzieś przynależeć. Że może jechać z nami jak równy z równymi. Przecież nie pozostałby głuchy i obojętny na takie słowa.

– Chytry lis z ciebie, Wołchu. – Mikuła pokręcił głową. – Podobną obietnicą i mnie oderwałeś od pługą na rodzinnym polu.

– Nie mów, że chciałbyś wrócić do chłopskiej harówki. Sielaninowicz tylko się roześmiał.

Jeździec zbliżał się szybko, jego kasztanek pruł wysoką trawę na brzegu



jak dziób wareskiej łodzi niespokojne wody Itilu. Kiedy zobaczył czekającą dwójkę, zwolnił.

– Witaj, bracie – odezwał się Wołch żartobliwym tonem. – Zdecydowałeś więc?

Ilja zatrzymał parskającego Buruszka trzy sąźnie przed nimi. Brew miał zmarszczoną, czoło u nasady nosa przecinała mu głęboka zmarszczka.

– Tak – kiwnął głową – zdecydowałem.

– Mądrze – powiedział Mikuła. – Nie pożałujesz.

– To się zobaczy – burknął Muromiec. – Nie stójmy tutaj, jedźmy. Nie pytajcie mnie o nic, nie jestem w nastroju. Przynajmniej na razie.

– Rozmawiać nie musimy, ale możemy się napić, czyż nie? – zaproponował Mikuła i zdjął z łąku pojemny bukłak. – Za sojusz.

Ilja nic nie odrzekł, więc Sielaninowicz podjechał z koniem bliżej i podał mu naczynie obciążone sznurowaną skórą. Muromiec złapał je po chwili wahania, podniósł do ust i pozwolił sobie na solidny łyk.

– Ho, ho! – zarechotał Mikuła. – Widzę, że jednej rzeczy nie musisz ćwiczyć. Już teraz masz prawdziwie bohatyrskie pragnienie!

Wołch parsknął. Ilja przebiegł spojrzeniem od jednego do drugiego i w pierwszej chwili się zachmurzył. Potem jednak zrozumiał, że z niego nie szydzą, jego czoło się wygładziło, a wargi podniosły się w uśmiechu. Zwrócił bukłak, by jego nowi druhowie też mogli się napić.

Potem zawrócili konie i wyruszyli za kijowską drużyną, którą tracili już z oczu. Muromska ziemia prędko migała pod kopytami rumaków, Ilja zaś pytał w duchu, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy.

Nawet jeśli nie, nie będzie narzekał. Już dość się w życiu nalamentował.



Dochodziła północ, kiedy Światosław wreszcie pozwolił drużynie zatrzymać się i zsiąść z koni. Rozpalili ogień, nabili na rożny łabędzie i

dzikie kaczkę, do których w czasie jazdy strzelali dla zabawy.

Ilja zatroszczył się o Buruszka, pogadał z nim, przecesał bujną grzywę. Potem rozejrzał się po miejscu noclegu. Muromcy zebrali się wokół własnego ogniska, milczący, zadumani, zachmurzeni. Uklękli razem i z przeciągłymi modłami na wargach kłaniali się w stronę świętych miejsc muzułmanów. Również Kijowianie jeszcze przed wieczerzą oddali cześć swoim bogom. Gorynycze zgromadzili się wokół Wołcha. Malachitowy Kostur w ręku czarodzieja rozbłysł i drużynnicy z twarzami zwróconymi w stronę gwiaździstego nieba wzywali trójgłowego Goryna. Był kiedyś najpotężniejszym ze żmijów, które panowały na niebie nad brzegami Sławutyczy, dlatego czciciele smoka nazywali się jego synami. Jegor Światogor odszedł na bok, na brzegu rzeki ukląkł przed mieczem opartym sztychem o ziemię i z czołem na bursztynowej głowicy Śmierci modlił się cicho do swojego chrześcijańskiego Boga.

Ilja znowu spojrział na muromską watrę. Potem na kijowską. Potem z westchnieniem odwrócił się od obu, wszedł w jeszcze głębszą ciemność i rozłożył derkę między brzoźami.

Oka szumiała cicho, a Ilja myślał o Dinarze. W myślach pytał duchy szepczące w liściach drzew, czy dziewczyna jest jeszcze wśród żywych, a jeśli tak, czy nie cierpi. I czy postąpił słusznie, zostawiając ją swemu losowi. Czy nie mógł iść jej na ratunek, wymyślić jakiegoś planu?

– Bogowie, czemu nie zostawiliście mi krzywych kości? – wyszeptał pod nosem. – Przynajmniej miałbym pewność, że nic nie mogę dla niej zrobić!

Odgłos kroków wyrwał go z ponurych rozmyślań. Podniósł się na łokciach.

Po chwili usiadł prosto i wypiął pierś, bo na tle roztańczonego światła ogniska zobaczył barczystą sylwetkę mężczyzny z ogoloną głową, kosmykiem włosów na ciemieniu i wielkim złotym krążkiem w prawym uchu.

– Książę? – powiedział zdumiony.

Światosław rzucił na derkę obok Ilji bukłak z winem i podsunął mu pod nos soczyste łabędzie udko.

– Masz, jedz.

Muromiec zamrugął. Kijowski książę własnymi rękami podaje mu jadło i napitek?

– Co tak patrzysz? Nie mów, że jeszcze nie zgłodniałeś od rana.

Ilja nie ociągał się więcej, złapał mięso i łakomie zatopił w nim zęby. Światosław odszedł dalej między drzewa i wysikał się dokładnie, wzdychając z ulgą. W dodatku jeszcze głośno, całkiem po bohatyrsku, pierdnął, odkaszlnął i splunął tak, że śluz doleciał aż do rzeki i głośno plasnął o jej powierzchnię. Potem, zawiązując spodnie, zawrócił. O dziwo, nie poszedł w stronę ogniska, ale ku Ilji. Muromiec spod oka obserwował władcę Kijowa i Nowogrodu, jak siada przy nim na trawie.

– Już wcześniej chciałem zamienić z tobą parę słów – odezwał się Światosław, dłubiąc paznokciem w zębach – ale Wołch mi to odradził. Niby mam ci pozwolić, żebyś sobie najpierw wszystko poukładał w głowie. Czyż nie mędrzec z tego Wołcha? Czasem pytam sam siebie, czy tymi swoimi radami nie mąci mi w głowie i nie próbuje za moim pośrednictwem sam władać Kijowem. Matka mnie ostrzegła, żebym potomka gorynyczów czarowników nie dopuszczał zbyt blisko. Myślę sobie jednak, że na jej opinię wpłynęła ta szalona chrześcijańska gorliwość.

– Przecież nie musisz nikogo słuchać – wymamrotał Ilja z ustami pełnymi łabędziego mięsa. – Jesteś wielkim księciem z Rurykowego rodu, synem Ingwara. Do mnie też nie musiałeś przychodzić, wystarczyło posłać któregoś bojara, żeby mnie przyprowadził do ogniska. Na oczach wszystkich mogłeś zażądać, żebym ukląkł i przysiągł ci wierność.

– Uśluhałbyś?

Ilja spojrzał na niego, ale nie odpowiedział. Dalej żuł mięso, łatwo

odchodzące od kości.

– Tak też myślałem – zaśmiał się Światosław i chwycił bukłak z winem. – Szczęście, że takie pomysły na ogół nie przychodzą mi do głowy. Stary Asmund, który mnie wychowywał w Nowogrodzie, bez ustanku wbijał mi do głowy, że dobry wódz nie wywyższa się nad swoich drużynników. Tak też ich traktuję – jak braci i towarzyszy broni, nie jak sługi. Na wyprawach wojennych nie przyznaję sobie prawa do większych porcji stawy, nie piję gęstszego miodu ani droższego wina. Nie mieszkam w namiocie i nie wyleguję się na poduszkach i drogich futrach, podczas gdy moi bojarzy śpią pod gołym niebem – pościelę sobie na choinie i końskim potniku, z siodłem pod głową, u ich boku.

– Ale muszą słuchać twych rozkazów, czyż nie?

– Oczywiście. I słuchają, chociaż to prawda, że czasem tupną nogą. Mają swoje głowy, zwłaszcza Wołch i Jegor. W Mikule też czasem budzi się jego chłopski rozum i podszeptuje mu, żeby się sprzeciwił. Potem się złoścę i muszę sobie w duchu przypominać, że nigdy nie opierają się bez powodu, nigdy tylko po to, żeby się kłócić.

– Widziałem wczoraj na własne oczy – Ilja ponuro skinął głową i wypluł chrząstkę. – Powiedz, gdyby cię nie powstrzymali, pozabijałbyś jeńców? Zanurzyłbyś miecz we krwi starców, kobiet i dzieci, prostych chłopów?

Światosław podniósł oburącz bulgoczący bukłak i wypił kilka dobrych łyków. Potem wytarł wąsy grzbietem dłoni i popatrzył na Muromca.

– Mam ci powiedzieć, że nie? Że to była tylko sztuczka i że gdybyście odparli atak, zlitowałbym się nad nimi? To by było kłamstwo. Zwykły człowiek może sobie pozwolić na miłosierdzie – jak na przykład Jegor, kiedy nie zdjął ci głowy z karku. Władca jednak nie może tak postępować, inaczej jego słabość albo wahanie natychmiast zwróci się przeciwko niemu. Tak się dzieje zwłaszcza w czasie wojny. A my jesteśmy na wyprawie wojennej, Iljo... Czy dobrze zapamiętałem twoje imię? Jesteś Ilja, prawda?

– Prawda..

– Dziwne imię. Co właściwie znaczy?

– Pochodzi z *Koranu*, tak nazywał się jeden z proroków. Chrześcijanie nazywają go Eliasz, mahometanie Iljas...

– Więc kłaniasz się Allahowi?

– Nie. Mój ojciec był mahometaninem, ale matka nauczyła mnie oddawać cześć bogom Wiatyczów. Gromowładnemu Perunowi, rogatemu Welesowi, słonecznemu Dadźbogowi, matce Mokoszy i pani zmarłych Kostromie. I Wodjanojowi, władcy rzek, i Diwowi, który strzeże lasów. I dwugłowemu Simargłowi, który jest posłańcem bogów...

– Modlimy się więc do tych samych bogów, Iljo. – Książę kiwnął głową i podał siłaczowi bukłak z winem. Muromiec zlizął z kości ostatnie cząstki mięsa, rzucił ją w trawę i chwycił skórzane naczynie.

– Nie czcisz wareskich bogów, tak jak twoi ojcowie? – zapytał, zanim się napił. – Odyna, Thora, Aegira...

– Ależ tak, ich też. To dobrzy bogowie. Kijów staje się jednak potężnym państwem, które musi stać na własnych nogach. Dlatego potrzebuję swoich bogów. Czemu nie mieliby to być ci sami, których plemiona znad Sławutyczy oraz okolicznych rzek i jezior czczą już od stuleci? Perunowi kłaniają się przecież Polanie, Dregowicze, Radymicze i Krywicze...

– Myślisz, że jeśli przyjmiesz ich bogów, poczują się równi? Że zapomną o tym, jak obce, wareskie plemię, które przypląnęło zza morza i zaczęło się tu rozpierać, zmieniło ich w niewolników? – szyderczo odparł Ilja. – I że jeśli zamiast imienia Sfindald, które nadał ci ojciec, przyjmiesz imię Światosława, uznają cię za swego i przestaną się buntować?

– Obracasz językiem zręczniejsz niż mieczem – burknął Kijowianin – ale nie umiesz spojrzeć w przyszłość. Czas wojen między Waregami a starymi plemionami już niedługo się skończy i nie będzie Waregów, Wiatyczów ani Krywiczów, ale jeden lud. Popatrz tylko na Wołcha. Pochodzi z

drewlańskiego rodu książęcego. Na pewno słyszałeś o tym, jak Drewlanie podstępnie zabili księcia Ingwara i co z nimi zrobiła moja matka, owładnięta żądzą zemsty. Pozabijała ich całe setki, spaliła i zrównała z ziemią wiele grodów w ich krainie. Wołcha, wtedy jeszcze małego chłopca, przywiozła ze sobą do Kijowa jako zakładnika. Mimo to dzisiaj wiernie mi służy.

– Nie wiedziałem, że Wołch był kiedyś niewolnikiem. – Ilja znowu się napił i zwrócił buklak księciu.

– Nie tylko on, wszyscy gorynycze. – Światosław spojrzał na grupę mężczyzn wokół świecącego cudownie Malachitowego Kostura. – Oni wszyscy przyszli do Kijowa jako jeńcy. Za każdym razem, kiedy mój ojciec lub matka podbili któreś ze starych plemion, odbierali dzieci ich władców i zabierali ze sobą jako zakładników.

– Chcesz powiedzieć – zdziwił się Ilja – że siejąca grozę kijowska gwardia książęca składa się z byłych jeńców? Że twego żywota strzegą synowie tych, których Kijów pomordował i zamienił w niewolników?

– Właśnie tak. – Uśmiechnął się Światosław. – Wołch i jakiś tuzin chłopca to Drewlanie, jest też paru Krywiczów, Polan, trzech Radymiczów, ci bliźniacy są z Połocka, a tamci dwaj Słoweni, aż z dalekiego Nowogrodu. W żyłach wielu z nich płynie krew urodzonych książąt.

– Nie boisz się, że do dziś dnia kryje się w nich chęć zemsty? A co, jeśli któryś z nich tylko czeka na dobrą okazję, żeby zdradzić i poderznąć ci gardło?

– To się nie stanie, Iljo. Nie rozumiesz? Zdjąłem z ich szyi niewolniczą smycz i zrobiłem z nich kwiat kijowskiej drużyny, najgroźniejszych wojowników w promieniu wielu, wielu wiorst. Stare spory na dobre odchodzą w niepamięć. Od przybycia Ruryka upłynęło już sto lat, w tym czasie wareska i tutejsza krew zupełnie się wymieszały. Ja sam spłodziłem synów z żonami, które nie mają wareskiego pochodzenia – Jaropolka mam z Polanką, Olega z Drewlanką, a Włodzimierza z dziką Peczerką. Mój następca, którykolwiek z nich nim zostanie, nie będzie już uważany za

wareskiego księcia, ale po prostu za Kijowianina. Powstanie zupełnie nowy lud.

– Hmm... Nie szczędzisz wielkich słów. Ja jednak jestem prosty chłop ze wsi i mogę sobie pozwolić na widzenie rzeczy takimi, jakimi są. Spróbuj zaprzeczyć, że za tymi szlachetnymi planami nie kryją się zwykłe motywy zdobywców, czyli żądza władzy i łupów. Koniec końców, czemu ciągniesz przeciwko Bułgarom? Czy nie dlatego, że w Bułgarze jest największy targ na Itilu, a w skarbcach emira Ahmeda jest tyle rzadkich towarów, że kijowskim kupcom nawet się o nich nie śniło? Nie pragniesz bogactw, ukrytych za wysokimi murami bułgarskich miast?

– O to też chodzi, oczywiście. – Światosław błysnął w półmroku zdrowymi, białymi zębami. – Słyszałeś kiedyś o jakiejś wyprawie wojennej bez rabowania, pustoszenia i niewolenia? Bez tego to chyba niemożliwe. Trzeba wojownikom obiecać zdobycz, inaczej odwrócą się od ciebie plecami i będą woleli wrócić do swoich pól i stad, do ciepła za piecem i między uda kobiet. Wiesz, co tu jest najważniejsze?

– Zamieniam się w słuch.

– To, żeby wódz, w którego imieniu dokonuje się wyprawy, myślał bardziej jak władca, niż jak łupieżca. Zdobycie Bułgarii i zabezpieczenie kijowskich wpływów nad Itiliem to tylko początek. Powiedz, bracie, co widzisz, gdy się rozejrzysz? Jak daleko sięgnie twój wzrok, kiedy staniesz na progu swojej muromskiej chaty? Parę wiorst w górę, do Itilu? Na ziemię Wiatyczów? Do Mokszów, Czeremisów i Mszczarów? Powiem ci, co ja widzę, gdy rozglądam się z wieży kijowskiego dworu – państwo Chazarów, Wschodni Rzym, arabski kalifat. Wielkie i silne mocarstwa. Ja muszę zadbać o to, żeby Kijów był dla nich równorzędnym przeciwnikiem, żeby nie uważali nas tylko za brudnych barbarzyńców z północy, którzy od czasu do czasu przybywają, by łupić i mordować. Właśnie dlatego wszystkie plemiona na północ od Krymu muszą się zjednoczyć, zewrzeć szeregi i wymusić szacunek swoich sąsiadów. Władza wielkiego księcia będzie sięgać na

wschodzie Itilu i Morza Chwaliskiego, na zachodzie Dunaju, a na południu przesuniemy granice aż na Kaukaz, ku kalifatowi Bagdadu. Przyznaj, Iljo, nie kusi cię, by wziąć w tym wszystkim udział? Zobacysz, nie będziesz żałował, że się do nas przyłączyłeś. Potrzebuję takich jak ty...

– Na pewno? Skoro już zacząłeś... Wciąż nie rozumiem, dlaczego wam tak na mnie zależy. Czemu przyszli do mnie sam Wołch z Mikułą i karmią mnie polewką z topora? Nie jestem zbyt dobrym jeźdźcem, słabo też władam bronią...

– Walczyłeś z Jegorem i przeżyłeś, co jest dowodem, że bogowie cię lubią. Odwaga, siła i łaska bogów w zupełności wystarczą na początek. Reszty się nauczysz. Przekonamy tego starego mruka, żeby nie spędzał tyle czasu na modlitwie, a zamiast tego nauczył cię władać mieczem. Nie bój się, raz dwa będzie z ciebie bohater jak się patrzy.

To mówiąc, Światosław wstał.

– Chodź ze mną, Iljo. Nie siedź tu sam, przy ognisku będzie ci lepiej. W ciemnościach zyskasz najwyżej to, że ktoś ci naszcza na głowę.

Muromiec spojrział zamyślony. Po chwili skinął głową i wstał.

– Naprawdę nie rozkażesz paść przed sobą na kolana i przysięgać wierność? – zapytał z góry, bo krępy książę sięgał mu zaledwie do brody.

– Nie. Sam to zrobisz, kiedy uznasz za stosowne.

Ramię w ramię weszli w krąg światła rzucanego przez obozowe ognisko. Wołchowa trzydziestka skończyła już wzywać smoczą potęgę i przysiadła się do Mikuły oraz jego wotry, podsycanej brzoźowym drewnem. Przywitali Ilję bez słowa, tylko ciekawym, badawczym spojrzeniem. Wołch skinął na niego i przesunął się na kłodzie, żeby Muromiec mógł usiąść przy nim.

Jeden z gorynychców wyjął właśnie ze skórzanego worka przy siodle cytrę, położył ją na kolanach i przejechał palcami po strunach. Mikuła Sielaninowicz jakby tylko na to czekał, wstał, podniósł wzrok ku gwiazdom i posłał ponad korony brzoź swój głęboki, zaskakująco melodyjny głos.



*Tylko śpij, dziecino, synku mój kochany, niech z ciebie wyrośnie bohater przestawny.*

*Rozczeszę ci, synku te złote kędziorki, na uciechę wielką dla twojej matuli...*

Ilja zauważył, jak uśmiech Wołcha posmutniał i w kąciku szmaragdowego oka zabłysła łza. Zrozumiał, że to pieśń o nim, że tę samą kołysankę śpiewała jego matka, drewnańska księżna.

*Matulu, ja nie chcę jedwabi ni złota, lepsza jest maczuga, co waży sto pudów.*

*Daj mi w rękę pałkę, do boku przypasz miecz, wyruszę na bitwę, gdzie się leje krew...*

Ilja gapił się na płomienie, siorbał miód i pozwalał, by pełen uczucia śpiew Mikuły rozlewał się w jego żyłach, napełniając jego myśli i serce.

A potem, po raz pierwszy od tamtego zachodu słońca, który zmienił jego życie, poczuł nagle spokój i wewnętrzną równowagę. Kiedy chwilę później się położył, natychmiast zasnął jak zabity.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

# Droga do miłości

**N**iebo znów było odpychająco szaro-zielone – jak wielgachna żabia skóra, rozpięta od jednej do drugiej krawędzi widnokregu. Nieruchome, duszne powietrze przygniatało olbrzymi step. W ciszy tylko od czasu do czasu krakały kruki, ich dzioby zgrzytały na rozrzuconych wokoło czaszkach i głazach.

Ilja, siedzący w siodle na grzbiecie Buruszka, znów znajdował się na rozdrożu i gapił się na kamień. Coś się zmieniło. Pod starym napisem o trzech kierunkach pojawiły się następne ogniste znaki, świecące jasno na tle smutnej szarości. Mówiły:

BOHATYR ILJA, MUROMCEM ZWANY, POSZEDŁ W PRAWO,  
GDZIE CZYHAŁA ŚMIERĆ, ZAŚMIAŁ SIĘ JEJ PROSTO W TWARZ I  
DROGĘ ZE ZŁA OCZYŚCIŁ.

– Buruszko, widzisz ten dziw nad dziwy? – Ilja odezwał się do wiernego konika. – Hm... Zobaczmy. Trzeba wyruszyć w dalszą drogę. Na lewo czeka miłość, przed nami bogactwo. W którą stronę wyruszymy tym razem?

Konik, jakby rozumiejąc, mocno tupnął lewym kopytem i parsknął głośno.

W tym momencie Ilja otworzył oczy. Ze zdziwieniem stwierdził, że leży na plecach.

Buruszko pochylał ku niemu łeb i szturczał go w policzek mokrym

pyskiem.

Muromiec oparł się na łokciach i rozejrzył wokoło, nie wiedząc, gdzie jest. Trwało dłuższą chwilę, zanim otrząsnął się z odurzenia spowodowanego przez głęboki, otępiający sen.

Zza lasów na wschód od Oki przedzierał się świt. Światosławowi drużynnicy zrzucali z siebie derki i kozuchy, przeciągali się z głośnym ziewaniem, bardziej niecierpliwi dojadali resztki z wieczerzy i siodłali konie. Mikuła stał przy ognisku, pogwizdywał jakąś wesołą piosnkę i sikał na resztki ogniska. Gorący popiół syczał i dymił, a na wszystkie strony rozchodziła się ostra woń.

Najwyższy czas ruszać w drogę.



Odjeżdżali prędko, końskie kopyta pokonywały wiorstę za wiorstą. Czasem trafiali na muromski szałas lub nawet osadę, ale większość z nich mijali, ledwie zauważając. Tylko w południe zatrzymali się w pewnej wsi, napoili konie i zjedli to, co znaleźli w kociołkach nad ogniskiem – nie napotkali oporu, bo kiedy mieszkańcy zauważyli zbliżających się jeźdźców, błyskawicznie ukryli się na strychach, w stodołach i krzakach za gumnami. Kijowianie zabrali tylko to, co unieśli w żołądkach, na rabunek ani nie mieli czasu, ani nie chcieli się obciążać łupami. Wystarczyło im złoto Alwara, które dzwoniło w jukach.

Krótko przed zmierzchem dotarli do wielkiego zakola rzeki. Oka, płynąc z zachodu, z wiatyckich lasów, właśnie tutaj skręcała rażno na północ, ku Muromiowi. Od południa do łuku wielkiej rzeki wlewała się Moksza. Właśnie na jej brzegach natrafili w końcu na ślady kijowskiego wojska – szeroki pas podeptanej ziemi, który kierował się w lasy na wschodzie.

– Na brodę Peruna... – wyjąkał Ilja, spoglądając na tę masę śladów. – Musi ich być mnóstwo.

– Trzy tysiące – uściślił Światosław. – Nie jest to wielu wojów, ale

zdecydowałem się jak najprędzej dotrzeć do Itilu. Dlatego wziąłem tylko jeźdźców.

– I żadnych pieszych wojów? – zdziwił się Muromiec.

– Ani jednego! Zmieniłoby nas w powoli pełzające ślimaki. Prędko przemarsz i atak z zaskoczenia to moja najważniejsza broń. Dlatego nie mamy też taborów. Widziałeś tu gdzieś ślady wozów?

– No nie. Ale jak to nie ma wozów? A co z zapasami, zaopatrzeniem takiej masy ludzi?

– Nie wlecemy ze sobą nic takiego. Nie mamy też namiotów i ani jednej maszyny oblężniczej. Ba, nie zabieramy nawet kotłów – to niepotrzebny ciężar, a gotowanie to strata czasu. Moi ludzie jedzą tylko naprędce pieczone mięso.

– Skąd je bierzecie?

– Galopuje z nami.

– Jecie koninę? – Ilja uniósł brew.

– Właśnie tak. Stado koni potrafi biec tak prędko jak wojsko, nie zatrzymuje nas. Tniemy mięso na cienkie płyty, pieczemy na gorących kamieniach w ognisku i gotowe. Czasem urozmaicamy strawę zwierzyną albo dzikim ptactwem ustrzelonym po drodze. Albo tym, co zabierzemy chłopom. Przywykniesz, nie bój się.

Muromiec pokiwał głową. Pomału zaczynał rozumieć, z jak groźną i skuteczną wojenną potęgą ma do czynienia.



Następnego dnia słoneczny źrebiec Dadźboga dla zabawy skakał z chmury na chmurę – przez chwilę błyszczał złotą grzywą i machał ogonem, aż palące promyki zalewały kraj, po czym jakby z bojaźnią chował się za puchate białe obłoki. A gdy tuż przed południem kolejny szary cień okrył okolicę, w lesie na lewo od czoła jadącej kłusem drużyny zabrzmiało rzenie, a zza drzew

wybiegł spłoszony koń.

Bojarom wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieli, że stało się coś złego. Siwek był osiodłany, ale bez jeźdźca, z podrapanym zadem i nogami pokrytymi plamami zaschniętej krwi. Kiedy zauważył zbliżających się jeźdźców, zląkł się jeszcze bardziej, skręcił prędko na ścieżkę wydeptaną przez kijowskie wojsko i ruszył w skok wzdłuż lasu na wschód. Światosław prędko skinął na Wołcha. O Wsiesławiewiczu mówiło się, że rozumie mowę zwierząt, więc w podobnych sytuacjach pierwszy wybór padał zwykle na niego. Bez zbędnych pytań ruszył za rannym rumakiem, aż powiewały za nim czarne włosy. Rżący rozpaczliwie siwek i dzielny gniadosz bohatera wkrótce znikły za drzewami, które zagradzały drużynnikom drogę z lewej strony. Kiedy je objechali, znowu ujrzeli parę – ranny konik stał na skraju lasu, ze zwieszoną głową, dygoczącymi nogami, a czarnowłosy gorynycz przemawiał do niego cicho i wznosił wykładaną malachitem laskę nad karkiem siwka.

Drużyna przykłusowała bliżej i stanęła. Biały źrebiec nie myślał już o ucieczce – czar Wołcha jakby zmienił jego oczy w dwa kawałki rzadkiego bagdadzkiego szkła. Światosław mógł przyjrzeć się uważnie konikowi i rzędowi, a gdy to czynił, jasnoniebieskie oczy nagle mu poszarzały, a gęste brwi ściągnęły się u nasady nosa.

– Poznajecie go? – Rozejrzał się po bohaterach.

– Jakżeby nie? – Jegor odpowiedział za siebie i za resztę potakujących z powagą ludzi.

– Wszyscy zazdrościliśmy, Aloszy Książewiczowi, kiedy dostał od ciebie w darze tego pięknego rumaka z najlepszego chowu. I siodło jest jego, i ta uzda wykładana srebrem.

– Pewnie Alosza, jak zwykle, wybrał się na łowy – głośno myślał Wołch. – I spotkało go coś złego. Konik wylizę się z ran, ale z jeźdźcem może być gorzej.

– Co go tak podrapało? – zapytał Światosław, przygryzając z niepokoju końcówkę wąsa. – Niedźwiedź? Rys? A może nawet tygrys albo pantera śnieżna? Żyją podobno w lasach pod Uralem, mogły się zabłąkać aż w te okolice...

Wołch podszedł do mięsistego zadu konia i przyjrzał się uważniej śladom pazurów, które rozdarły białą skórę.

– Nie, gosudarze. – Pokręcił głową i wyciągnął rękę, wodząc zakrzywionymi palcami po zadrapaniach. – Nic takiego. Boję się, że to nie była wcale łapa zwierzęcia.

– Nie strasz. – Światosław dotknął złotego topora Peruna, który miał zawieszony na szyi. Na jego twarzy malowały się najgorsze przeczucia. – Co innego by to mogło być?

– Kto wie? – Wołch wzruszył ramionami. – W tej zapomnianej przez bogów dziczy moją żyć stworzenia, o których nikt z nas nie słyszał. Albo słyszeć nie chciał.

– Tym bardziej nie możemy machnąć na to ręką – odezwał się Jegor głosem podobnym do dalekiego grzmotu. – Nie zostawimy Aloszy, dobrego chrześcijanina, na pastwę krwiożerczych leśnych biesów. Musimy go znaleźć... Albo przynajmniej jego szczątki.

– Nie możemy jechać wszyscy. – Światosław był coraz bardziej chmurny. – Rozproszylibyśmy się w lesie, zmarnowali mnóstwo czasu. I kto wie, ilu ludzi padłoby od tych pazurów, które ściągnęły Aloszę z siodła...

– Prowadź drużynę dalej – zgodził się Wołch. – Ja pojedę do lasu z braćmi Jegorem i Mikułą. Znajdziemy Aloszę, a potem was dogonimy.

Książę zasepił się i zaklął soczyście. Najwyraźniej zależało mu na zaginionym i najchętniej wyruszyłby na poszukiwania osobiście. Ilja przypomniał sobie nocną rozmowę i zrozumiał, że to jeden z tych momentów, kiedy Światosław musi się zachować jak władca.

– Dobrze, jedźcie – zgodził się książę po krótkiej, ale zaciętej walce

wewnętrznej. – Bogom by się nie spodobało, gdybyśmy pozwolili, żeby nasi bojarzy ginęli bez śladu w obcych lasach.

Potem przywiązał wodze rannego siwka do kuli swojego siodła i ruszył dalej w pierwotnym kierunku, na wschód. Gorynycze i Muromcy jechali za nim.

Wołch, Jegor i Mikuła skierowali konie w stronę gęstej, zielonej zapory. Ilja nie wahał się ani chwili, wydostał się z potoku jeźdźców i popędził Buruszka za nierozłączną trójką.

– Hej – obejrzał się Jegor – a dokąd ty jedziesz, Muromcze?

– Z wami – spokojnie odparł Ilja. – Na północ to znaczy w lewo, a tam czeka na mnie miłość. Nie mogę zmarnować okazji.

– Co ty bredzisz, szalona głowo? – huknął Światogor.

– Ach, nic. – Ilja machnął ręką i pokłusował koło zachmurzonego Jegora w stronę lasu.

– Tylko coś mi się śniło.

– We śnie ukazała ci się ta droga? – zapytał z większym zrozumieniem Wołch. – W tym przypadku musisz usłuchać wizji.

Decyzja zapadła. Żrebiec Dadźboga znów wyskoczył zza chmury i ziemię zasypał deszcz ognistych, słonecznych strzał. Czterej bohaterzy ledwie to zauważyli, ponieważ w tym samym momencie wjechali kłusem do chłodnego cienia prastarego lasu.



– Aloszaaaaa!

Od krzyku Mikuły, wzmocnionego przez złożone dłonie, Ilji zadzwoniło w prawym uchu. Jegor nie pozwolił się zawstydzić, zdjął z siodła wielki bawoli róg z ustnikiem okutym brązem, wciągnął do płuc tyle powietrza, ile mieści wielki miech kowalski, i zadął głośno.

Wołanie i odgłos rogu przeleciały przez las jak porywy wichru. W

powietrzu zawirowwały liście, wysoko nad drzewami zatrzepotały skrzydła stada spłoszonych ptaków. Wołch uniósł się w strzemionach i wyteżył swój rysi słuch.

Mimo że słuchali niezwykle uważnie, do ich uszu nie dotarła żadna odpowiedź.

– Kim właściwie jest ten Alosza? – spytał Ilja, kiedy ruszyli dalej. Na szczęście las nie był tu zbyt gęsty i mogli dalej jechać konno. – I czemu nazywacie go Książewicz?

– Dlatego, że jest synem księcia – z uśmiechem wyjaśnił Wołch. – Z plemienia Uliczów, którzy mieszkają w dolnym biegu Sławutyczy, w stepie koło Morza Pontyjskiego. Jakies piętnaście lat temu Helga posłała Swenelda i jego Waregów, żeby zdobyli ich stołeczny gród Pereseceń i podporządkowali Uliczów Kijowowi. Sweneld, jak zwykle, wykonał zadanie i przywiózł z wyprawy cały zastęp pojmanych – wśród nich dziesięcioletniego następcę księcia. Jako zakładnika, rozumiesz?

– Oczywiście – potwierdził Ilja. – Ponoć i ty właśnie w ten sposób dostałeś się do Kijowa. Jako niewolnik.

Uśmiech znikł z twarzy Wsiesławiewicza. Spojrzał Muromcowi prosto w oczy – głęboko, przenikliwie. Ilja zdał sobie sprawę, że trafił w czułe miejsce, rozdrapując ciągle jeszcze niezagojoną ranę.

– To było tak dawno – Wołch usiłował zagadać całą sprawę. Zdradzała go jednak dziwnie zastygła twarz. – Wielu z nas przyszło do Kijowa w kajdanach. Wyrośliśmy, dojrzeli i zapomnieli o dawnych krzywdach. A Światosław przyjął nas do siebie na służbę.

– Opowiadał mi o tym. Z synów dawnych zaciętych nieprzyjaciół stworzył swoją gwardię przyboczną.

– Widzisz? Czy to cię nie zadziwia? Dla mnie to jeden z dowodów jego wielkości. Mikuła znowu przyłożył złożone dłonie do ust.

– Aloszaaa!



– Alosza – Wołch wrócił do pytania Ilji – też już dawno zapomniał o niewolniczych pętach. Teraz jest jednym z najlepszych książęcych jeźdźców i łuczników. Nie wyprze się tego, że to stepowy wiatr poruszał jego kołyską – ani chwili nie ustoi w miejscu, nie potrafi długo jechać porządnie z resztą wojsk. Bezustannie węszy w okolicy, tropi i łowi.

– Ale tym razem niespokojny duch stał się może przyczyną jego zguby – burknął Jegor i zadał w róg z całej mocy. Potem znowu wstrzymali konie i czujnie nasłuchiwali. Nie usłyszeli jednak nic oprócz świergotu spłoszonych ptaków w koronach drzew.

– Tak go nie znajdziemy – wymamrotał Wołch – tym bardziej jeśli to, co podrapało konia, zabiło go i powlokło do swojego barłogu.

– Powinniśmy się rozdzielić – zaproponował Ilja. – Wołchu, na pewno łatwo znajdziesz ślady konia Ulicza. Musimy za nimi podążać aż do miejsca, w którym koń został ranny...

– Patrzcie tylko! – huknął Jegor, ze złością podszytą rozbawieniem. – Ledwie wczoraj stał się członkiem drużyny, a dzisiaj już chciałby rozkazywać!

– Muromiec ma rację – przyznał Wołch. – Zrobimy to dokładnie tak. Ja pojedę na zachód i znajdę ślady siwka. Jegorze, ty skręć bardziej na wschód, a Ilja z Mikułą pojedą środkiem.

Szpakowaty bohater parsknął niezrozumiale i rażno zwrócił konia na wschód.

– Przynajmniej od was odpocznę... – słyszeli jeszcze, jak burczy, zanim znikł między drzewami.

Wołch skinął głową i wyruszył prędko na zachód. Ilja i Mikuła pojechali prosto.

Stopniowo odległość między nimi też się zwiększała, aż w końcu zginęli sobie z oczu.

Ilja skrzywił się niewesoło i pokręcił głową.

– Czeka na mnie miłość – odezwał się do Buruszka. – Tak, na pewno – w tym pustym lesie! Następnym razem przypomnij mi, rudy łbie, żebym nie wierzył we wszystko, co mi się przyśni.

– Aloszaaa! – Gdzieś z prawej strony rozległo się nawoływanie Mikuły. Las nie odpowiedział.



Kiedy Ilja na grzbiecie Buruszka wjechał w zarośla, złe przeczucia stopniowo umykały z jego myśli. O dziwo, im dalej jechał, tym las był rzadszy i jaśniejszy. Ciernie i gęsty podszyt jakby same rozstępowały się przed jeźdźcem, wystające korzenie schowały się w ziemi, nisko zwisające gałęzie dla odmiany podnosiły się, żeby nie musiał schylać przed nimi głowy. Przez coraz rzadsze korony przenikały gęste snopy złotawych promyków, w których polatywały motyle i wirował puch z przekwitłych mleczy. Cienista, ponura dąbrowa ustąpiła miejsca skąpanym w słońcu pniom brzoź, muchomory wystawiały swoje czerwone kapelusze ze świeżej trawy na polanach. Ilję to wręcz oślepiało. Jak otumaniony jechał dalej i dalej. Nawoływanie jego druhów ucichło w oddali, nawet róg Jegora słyszał już tylko jako dalekie echo. Kukała kukułka, stukał dzięcioł.

Potem pod kopytami Buruszka zazgrzytały kamienie. Muromiec usłyszał szum strumienia lub potoku. Wtedy malowniczy las na dobre się przed nim rozstał.

Kasztanek parsknął, podrzucił grzywą i stanął.

Przed nimi wznosiła się biała skała, jaśniejąca w blasku słońca jak wielka bryła srebra albo nawet perła. Mniej więcej pośrodku niej znajdowała się szeroka szczelina, w której stał dom. Nie byle jaki dom – nie była to chatka z chrustu i mchu, oblepiona gliną, ale solidny budynek ze starannie obrobionych belek, osadzony na kamiennych fundamentach, ze spadzistym dachem krytym gontem. Do ciosanej bramy prowadził wąski, drewniany mostek. Pod nim w szerokim skalistym korycie huczała i pieniała się woda ze

źródła, bijącego ze skały na prawo od domu.

– Widzisz to, Buruszko? – Ilja dziwił się na głos, zsiadając z konia. – Czy mnie wzrok myli? Skąd w tych odległych stronach wzięło się coś takiego? Wygląda jak świątynia.

I rzeczywiście, skalne ściany po bokach domu były pokryte malowidłami, płaskorzeźbami i napisami – znaki przypominały wareskie runy albo wiatyckie czarodziejskie czerty. W żwirze, którym wysypano plac tuż przed domem, również osadzono kilka długich kamieni, obrobionych z grubsza tak, by przypominały stojące postacie. Wyrzeźbione z drewna wyobrażenie nieznanego bóstwa zdobiło też szczyt dachu.

– Spróbuję zapytać miejscowych żyrzców, czy nie wiedzą czegoś o zaginionym Aloszy – powiedział Ilja do Buruszka. – Zaczekasz tutaj.

Żrebiec znów parsknął niespokojnie i grzebnął kopytem w ziemi, jakby chciał zwrócić uwagę, że nie ma ochoty skończyć jak siwek Aloszy.

– Nie bój się. – Muromiec poklepał go po szyi, podczas gdy drugą ręką motał wodze wokół pnia najbliższego drzewa. – Nie przywiążę cię mocno – jeśli coś ci będzie groziło, łatwo się uwolnisz i uciekniesz.

Buruszko z wyrzutem szturchnął go nosem w ramię, ale w tej chwili Ilja już wkroczył na most. Za pasem miał topór, w ręku włócznię. Kiedy był mniej więcej w połowie skrzypiącego mostu, naraz zazgrzytały zawiasy i okuta brązem brama otwarła się na oścież. Muromiec zmartwiał i dla pewności oburącz chwycił włócznię.

Po chwili jednak rozluźnił się i wyprostował. Wszelkie obawy były całkiem niepotrzebne.

Z wnętrza świątyni wyszły trzy piękne dziewczyny.



Ich szczupłe, gibkie ciała okryte były powiewnymi, białymi szatami z delikatnymi haftami na obrębach. Dwie z nich, czarnowłose, nosiły paski z

kutych srebrnych ogniów. Trzecia kapłanka, wyprzedzająca je o krok, miała pasek z czystego złota, a jej lśniąca włosy były tej samej barwy.

– Witaj, Iljo, dzielny Muromcze – odezwała się melodyjnym głosem, który wprost pieścił duszę. – Nie wahaj się i wejdź do naszych komnat. Nie gardź gością.

– Znacie moje imię? – Zdumiał się junak.

– Oczywiście – złotowłosa uśmiechnęła się lekko, tak jak matka, która odpowiada na naiwne pytanie dziecka. – Jesteśmy kapłankami bogini Umaji, matki-ziemi. Ona zdradza nam imię każdego stworzenia, które po niej kroczy, a nawet jego marzenia i sny. Wiemy, że ukazał ci się święty kamień z ognistym napisem, stojący na rozstaju dróg w świecie duchów. Wiemy też, co zgodnie z obietnicą masz znaleźć w tym miejscu. Nie stój więc na progu i chodź za nami. Przygotowałyśmy chleb i sól, dzban miodu i miękkie łożę z puchową pierzyną.

Ilja przełknął ślinę. Gdzieś w głębi głowy kołatała mu się myśl, że te miłe słowa mogą skrywać pułapkę – zwłaszcza w lasach, gdzie gubią się dzielni bohaterzy, a ich konie biegają śmiertelnie przerażone i podrapane do krwi. Inna część umysłu przekonała go jednak, że nie wolno mu odrzucić takiego zaproszenia. Boginię Umaję znali też Muromcy i wierzyli, że jest to dobra potęga, opiekunka śmiertelników. W dodatku kapłanki były rzeczywiście prześliczne, ich uroda wprost zapierała dech w piersiach. Ilja pomyślał, że może bogowie rzeczywiście chcą mu wynagrodzić te wszystkie lata, kiedy karaczarowskie dziewczęta drwiły z niego i odtrącały go. Poza tym pierwszy napis na kamieniu nie kłamał, dlaczego miałby kłamać drugi? Ilja wziął głęboki wdech i zszedł z belek mostu do piękności, stojących wśród kamieni.

– Jeśli naprawdę jesteście wieszczkami, które widzą to, co ukryte – stale pamiętał, po co tu przyszedł – może mi pomożecie znaleźć Aloszę, Ulicza, księżęcego drużynnika. Zaginął gdzieś w tych lasach. Wrócił tylko jego koń, poraniony przez nieznaną bestię...

– Nic nie wiemy o Aloszy. – Złotowłosa pokręciła głową i złapała Ilję pod

rękę. Pachniała upajająco, a jej dotyk był tak delikatny i ciepły, że młodzieńcowi aż zakręciło się w głowie. Czarnowłose, chichocząc i uwodzicielsko mrugając, uczepliły się jego drugiej ręki.

Wszystkie trzy łagodnie, niepostrzeżenie zaprowadziły go w cień bramy.

Wrota same się za nimi zamknęły, nikt nie musiał ich dotykać. Ilja nie poświęcił krzty uwagi ponuremu zgrzytowi zawiasów i łomotowi opadającej zawory. Ledwie też zauważył ciemne schody, które prowadziły z przedsionka gdzieś w dół, w głąb skały. Kapłanki nie pozwoliły mu zresztą rozglądać się zbyt dokładnie – przyciskały się do niego niecierpliwie i dosłownie ciągnęły do następnych drzwi.

Weszli do głównej sali. Wcale nie wyglądała jak pomieszczenie świątynne, raczej jak sala uczt na dworze wielmoży. Na ogniu piekło się mięso, na długim dębowym stole czekał pachnący chleb, słodki pszenney kołacz i pojemny dzbanek. Na ścianach wisiała broń, poroża i skóry. Siedzibę oddanych służebnic bogini przypominała tylko silna woń ziół.

– Najedz się, Iljo – wepchnęły go na siedzisko. Nawet nie zauważył, kiedy zabrały mu włócznię, wyjęły zza pasa topór i zanosły je gdzieś. – Miłość nie smakuje, kiedy ma się pusty żołądek. I napij się dobrze, żeby ci się krew zagrzała i zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Miłość bez męskiej siły nie smakuje z kolei nam.

Wszystkie trzy zachichotały i wymieniły wymowne spojrzenia.

Ilja uśmiechnął się od ucha do ucha i oczywiście nie kazał się dwa razy prosić. Ukroił kawał chleba i kołacza, porządnie przechylił dzban. Miód był słodki, ale przy tym mocny – ledwie znalazł się w ustach, a już przytępił zmysły i sprowadzał zawrót głowy. Nie poczęstowały go jednak pieczonym mięsem, zaraz zaciągnęły go ku drzwiom w tylnej części świątyni. Tuż przed nimi Ilja dostrzegł, jak najwyższa kapłanka skinęła znacząco na czarnowłose towarzyszki. Puściły go natychmiast i odstąpiły, ich twarze wyrażały poczucie krzywdy i zawodu, wargi miały skrzywione, spuszczone wzrok.

– Czemu nie mogą iść z nami? – Muromiec wstawił się za nimi. – Przez te lata, kiedy musiałem się wyrzekać wszelkiej rozkoszy, nazbierało się we mnie tyle męskiej siły, że wystarczy dla was wszystkich.

– Nie zachęcaj ich do nieposłuszeństwa, Iljo – ostro odparła złotowłosa i otworzyła przed nim drzwi. – Mają teraz inne obowiązki. Jeszcze się tobą nasycą, zobaczysz.

Robaczek wątpliwości wbił swoje ostre ząbki w myśli Ilji, ale gdy junak ujrzał za rozchyłonymi wierzejami sypialną izbę z szerokim łóżem, uciszył wystraszony wewnętrzny głos i przestąpił próg. Złotowłosa wślizgnęła się za nim i prędko zatrzęsnęła drzwi.

Tylną ścianę pomieszczenia tworzyła sama skała, do której tuliła się świątynia. Na rzeźbionym wezgiłowiu i lśniącym białej ścianie nad nim wymalowano podobne wzory jak na skale na zewnątrz. Do głowy Ilji wkradła się niepokojąca myśl, że patrzy nie na łóże, ale na ołtarz. Woń ziół była tu jeszcze silniejsza, odurzająca...

Nagle za jego plecami coś zabrzęczało. Obejrzał się i jego oddech natychmiast stał się szybszy, a serce zaczęło dziko walić. Ten dźwięk wydał złoty pasek, który kapłanka rozpięła i pozwoliła mu spaść na kamienną podłogę. Potem zsunęła z ramion górną część ubrania, zaczęła się więc i wysunęła się z szaty jak wąż ze starej skóry.

Pod koszulą była zupełnie naga. Ilja aż się zachwiał, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie widział równie pięknego ciała. Miała małe, ale kształtne piersi z brązowymi brodawkami, krągłe biodra, włoski na łonie wyglądały jak skręcone złote nici.

Nie odezwała się ani słowem, tylko uśmiechnęła, podeszła do osłupiałego młodzieńca i objęła go za szyję białymi rękami. Kiedy chciała go pocałować, musiała stanąć na palcach, ale Ilja z ochotą schylił głowę ku jej wilgotnym, na pół otwartym ustom.

Ten pocałunek zmienił świat wokół niego w dziki, niepowstrzymany wir.



Gdy wrota świątyni znowu zazgrzytały, Buruszko podniósł głowę i z nadzieją spojrział jednym ciemnym okiem w stronę białej skały. Nadzieja skurczyła się po chwili jak przekłuty pęcherz. Przez bramę przeszły dwie czarnowłose dziewczyny. Lekkim krokiem przebiegły między posągami i zbliżyły się do konika.

Buruszko przestąpił z nogi na nogę. Widział tylko dwie kruche, na pierwszy rzut oka słabe i niegroźne ludzkie samiczki, ale zwierzęcy instynkt i tak zmroził mu krew w żyłach. W głowie konia pojawił się obraz podrapanego białego źrebca i z nieznanых powodów połączył się z dwiema kapłankami.

Buruszko smagnął ogonem tak, jakby odpędzał muchy. Z jego nozdrzy wydobyło się nerwowe parsknięcie.

Zatrzymały się przy nim. Jedna z nich wyciągnęła rękę i pogładziła go po szyi. Wystraszony źrebiec uskoczył w bok. Miał wrażenie, że ktoś przejechał mu po skórze chłodnym, dobrze zaostrzonym żelazem.

– Tylko spokojnie. – Uśmiechnęła się druga dziewczyna i złapała go za uzdę. – To pójdzie szybko. Chociaż nie obiecuję, że bezboleśnie.

Buruszko ze strachu wybałuszył oczy. Nie rozumiał słów, ale nie mógł nie zauważyć, jak z uśmiechniętych ust kapłanki wystają ostre kły drapieżnika.



Przenikliwe końskie rzenie przeleciało przez cieniste pomieszczenia świątyni, a jego słabe echo przedostało się aż do najdalszej komnaty. Ilja prędko otworzył przymknięte z rozkoszy oczy. Najwyższa kapłanka nie pozwoliła mu się jednak odsunąć – zaskakująco mocno owinęła ręce wokół jego szyi, wsunęła palce we włosy, chciwie wpiła się w usta. Jej wilgotny język ślizgał się łakomie po zębach i wargach bohatera. Wiła się w jego słabnącym uścisku i uparcie ciągnęła do łóżka. Muromiec zdał sobie sprawę,

że nie może złapać tchu i że pieszczoty kapłanki nagle przestały być przyjemne i podniecające.

Przeciwnie – były okropne, aż dostawał przez nie gęsiej skórki.



Buruszko pierwszym mocnym szarpnięciem oswobodził uzdę z uchwytu dłoni, której palce zmieniły się nagle w długie, ostre jak żelazo pazury. Drugim szarpnięciem zerwał z drzewa słabo przywiązane wodze. Czarnowłosa, która przedtem czule głaskała go po szyi, warknęła ze złością i błyskawicznie zamierzyła się szponami w jego szyję. Konik odskoczył jednak i pazury przecięły tylko powietrze. Kapłanka wrzasnęła gniewnie, a głos miała całkiem nieludzki i przepojony żądzą krwi. Buruszko odpowiedział kolejnym głośnym rzeniem, stanął dęba i mocno, prędko kopnął.

Czarnowłosa, z krwawym śladem podkowy na strzaskanej twarzy, poleciała kilka kroków w tył i wpadła do potoku.



– Czekaj! – zawołał Ilja, kiedy wreszcie oderwał usta od warg najwyższej kapłanki i spojrzał w stronę drzwi. – Mój koń! Słyszałem...

– Co mnie obchodzi twój parszywy koń! – Z zaskakującą siłą odwróciła jego twarz z powrotem ku sobie. – Teraz będziesz słuchać tylko moich jęków rozkoszy!

Ilja ze zdumieniem spojrzał jej w oczy. Widział, jak źrenice kapłanki ściągnęły się w wąskie gądzie szczeliny i w tejże chwili zrozumiał, że już dawno powinien posłuchać robaczka wątpliwości.

– Puść mnie, strzygo! – Złapał ją za łokcie, aż skrzypnęły kości. Jęknęła i kiedy skłoniła głowę, jej zęby w okamgnieniu wydłużyły się i zaostrzyły.

Nie zdążyła jednak wbić mu się w szyję. Ilja oderwał od siebie nagą bestię jak nassanego kleszcza, podniósł ją łatwo i z całej siły rzucił na łoże.



Gdy tylko upadła, cały mebel obrócił się szybko wokół własnej osi. Pod nim, jak nienasycone gardło, rozwarła się przepaść. Najwyższa kapłanka w jednej chwili ześlizgnęła się i, rozpaczliwie machając białymi kończynami, znikła w ciemności. Okropne skrzeczenie prędko cichło w głębinie masywu skalnego.

Ilja przez chwilę tylko wytrzeszczał oczy i oddychał niczym pies myśliwski po długim pościgu za wytrwałym zającem. Po chwili go oświeciło. Rażno odwrócił się na pięcie.

– Buruszko!



Kasztanek gnał przez las, jakby ktoś podpalił mu ogon. Umyślnie przeciskał się między gęściej rosnącymi drzewami i ciemnymi krzewami, żeby się pozbyć niechcianego brzemienia. Kiedy przed świątynią rzucił się do ucieczki, druga czarnowłosa strzyga skoczyła na niego jak dzika kotka. Pazury ześlizgnęły się jej z siodła, ale chwyciła za strzemień i złapała je mocno. Konik włókł ją ze sobą niczym martwego jeźdźca na polu bitwy, uderzał jej ciałem o pnie i przeciągał po kolczastych zaroślach, ale kapłanka, mimo że skomlała rozpaczliwie, nie chciała puścić. Tutaj już nie chodziło o zdobycz, o kawał końskiego mięsa skwierczącego na rożnie. Strzyga chciała odpłacić mu za śmierć siostry. Pragnienie zemsty było o wiele silniejsze od zwykłego głodu.

Wkrótce zaczęła się podciągać na strzemieniu. Jej oczy pały jak dwa węgielki, a spomiędzy kłów wysuwał się gadzi język.



Kiedy Ilja wyłamał ramieniem drzwi domu i wbiegł między kamienne posągi przed świątynią, po Buruszku nie było śladu. Dostrzegł za to ciało w białej szacie, leżące nieruchomo w potoku pod mostem. Woda przeczesywała czarne włosy i wypłukiwała z nich krew.

– Żeby to mór... – junak zaczął cedzić przez zęby, ale nie dokończył przekleństwa. Ze świątyni znów dobiegło echo okropnego, nieludzkiego wrzasku. Ilja obejrzał się ze strachem, choć w prawej ręce trzymał topór, a w lewej włócznię – kiedy przebiegał przez główną izbę, nie zapomniał zabrać ze sobą broni, której tak zręcznie pozbawiły go kapłanki.

Zawrócił z wahaniem i wkroczył do ciemnego przedsionka. Krzyk zabrzmiał znowu – ponad wszelką wątpliwość pochodził z dołu, z głębi skały. Tym razem dołączyły do niego dudniące odgłosy, jakby ktoś na próżno bił pięściami w zamknięte drzwi. Ilja spojrział w stronę wąskich schodów, które kawałek od niego stromo zanurzały się w ziemię. Kapłanka musiała przeżyć upadek. Kto wie, może zdradliwa przepaść umyślnie została wydrążona skośnie, by schwytyany głupiec nie zginął, spadając ze zdradliwego łoża, ale sturlał się tylko do podziemnej ciemnicy i pędził tam żywot, wydany na pastwę zachcianek trzech czarownic. Czy najwyższa kapłanka nie obiecała swym towarzyszkom, że jeszcze nasycą się Ilją?

Muromiec nie zastanawiał się długo. Wiedział, co należy zrobić. Zatknał topór za pas, zdjął ze ściany olejny kaganek z płomieniem chwiejącym się na krótkim knocie i zszedł po stromych schodach do podziemi.



Czarnowłosa wiedźma, uczepiona strzemienia Buruszka, wyciągnęła rękę i chwyciła za kulę u siodła. Po chwili, mimo że cała potłuczona, podrapana i skopana galopującymi kopytami konika, podciągnęła się dziarsko na grzbiet kasztanka. Pazurzasta dłoń zręcznie złapała powiewające wodze i targnęła nimi mocno.

Buruszko zarżał rozpaczliwie, ale nie usłuchał. Przeciwnie – ruszył jeszcze szybciej.



Mniej więcej na dwudziestym schodku Ilja po raz pierwszy zdał sobie

sprawę, że z podziemi bije straszliwy smród. Z początku nie był w stanie dokładnie stwierdzić, co tak cuchnie, ale w miarę jak schodził coraz głębiej, rozpoznawał składniki odoru. Włosy zaczęły mu się jeżyć, a wnętrzności skręcać.

Krew. Wyrwane trzewia. Odchody. Gnijące mięso.

Wrzask najwyższej kapłanki i łomotanie we drzwi były coraz wyraźniejsze. Smród również przybierał na sile, aż stał się nie do zniesienia, dosłownie dusił. Ilja zrozumiał, dlaczego na górze wszystko tak mocno pachniało ziołami – przyszła ofiara nie mogła poczuć smrodu dochodzącego z podziemnych izb, gdyż w przeciwnym wypadku rzuciłaby się do ucieczki.

Jeszcze parę schodków, a zwężający się korytarz rozszerzył się nagle i zmienił w przestronną komnatę. Muromiec, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła, uniósł kaganek. W jego żyłach zaczął krążyć lodowaty strach, ponieważ płomień wydobył z ciemności najokropniejszy widok, z jakim Ilja kiedykolwiek się zetknął.



Wołch Wsiesławiewicz zeskoczył właśnie z gniadosza i schylił się nad paprociami, których jasnozielone liście były poplamione kroplami zakrzepłej końskiej krwi, kiedy przez cichy do tej pory las przebiegło żalosne końskie rżenie.

Bohater wyprostował się błyskawicznie, nadstawił uszu i błysnął szmaragdowymi oczyma.

Koński głos znów rozległ się między drzewami. A wraz z nim szaleńczy tętent kopyt.

Wołch wskoczył na siodło, aż kolczuga zadzwoniła na nim głośno. Gniadosz podrzucił grzywą i pomknął z wiatrem w zawody.



Kiedy Ilja przechodził koło masywnego, dębowego stołu, na którym

walały się poporcjowane ludzkie szczątki, starał się nie oddychać. Migoczący płomyk lampy wyrwał z ciemności pojedyncze obrazy. Okaleczony ludzki tułów, rozplątany od mostka po krocze, starannie wypatroszony. Świejące bielą nagie żebra. Kupa kości oczyszczonych z mięsa. Toporek rzeźnicki wbity w krawędź stołu, cały oblepiony krwią i włosami. Stojące na podłodze wielkie, drewniane naczynie, po brzegi wypełnione śliskimi jelitami, między którymi pływała głowa ciemnowłosego mężczyzny. Ciągłe jeszcze wytrzeszczała oczy ze zdumienia...

Ilja odwrócił wzrok, bo już czuł w gardle palący sok żołądkowy i naprawdę mógł zwymiotować. Przypomniawszy sobie mięso piekące się nad paleniskiem w sali uczt i podziękował bogom, że go nie skosztował. Biedny Alosza. Wprawdzie Muromiec nigdy go nie poznał, ale nikomu nie życzył takiego końca...

Ilja dotarł do solidnych drzwi na przeciwległym końcu straszliwej komnaty. Były okute pasami brązu i od tej strony zaopatrzone w drewnianą zaworę. Jeszcze przed chwilą trzęsły się od ciosów niecierpliwych pięści, ale nagle zapadła cisza. Najwyższa kapłanka musiała usłyszeć zbliżające się kroki.

– Siostry? – Dobiegło do Ilji zza drzwi. – To wy? Ten przeklęty Muromiec przechytrzył mnie i strącił do ciemnicy. Mam nadzieję, żeście go jeszcze nie zabiły – chcę się zemścić własnoręcznie! Uduszę go jego własnym odgryzionym członkiem!

Ilja nic nie odpowiedział, ale nachmurzył się jak sam bóg gromu. Będzie potrzebował więcej światła. Odpalił od kaganka wielkie smolne łuczywo zatknięte w uchwycie na ścianie i postawił miedzianą lampkę we wnęce. Prawą ręką mocno złapał włócznię, lewą chwycił uchwyt zawory.

– Więc to ty, Iljo – doszła do wniosku najwyższa kapłanka, gdy nie otrzymała odpowiedzi. Chrapliwy głos kipiał od nienawiści. – Co zrobiłeś z moimi siostrami?

Nie odpowiedział. Wargi miał zaciśnięte, ciało sprężone, szykował się do

ataku.

– Słyszysz?! – wrzasnęła złotowłosa. Mimo że jej głos był przytłumiony przez solidne drzwi, Ilji ze strachu szczękały zęby. – Co z nimi zrobiłeś, ty wszawy, muromski skurwysynu?!

Junak wziął głęboki wdech, rażno podniósł zaworę, zamachnął się i dźgnął włócznią. Grot przebił tylko stęchłe powietrze.



Dziko rżący Buruszko wyskoczył na słoneczną polanę, z której zaledwie przed chwilą uciekło liczne stado saren, spłoszone zbliżającym się tupotem i rżeniem. Czarnowłosa kapłanka na jego grzbiecie tak mocno szarpnęła uzdą, że prawie złamała mu szczękę. Kasztanek okręcił się w miejscu, zabębnił kopytami w trawie, wściekle wierzgnął tylnymi nogami. Strzyga na jego grzbiecie podskakiwała dziko, jej czarne włosy powiewały w powietrzu, ale nie puściła się, nie wypadła z siodła. Przeciwnie – z gniewnie wyszczerzonymi kłami sama zaatakowała. Ręka z drapieżnie skrzywionymi palcami i wysuniętymi szponami podniosła się do ciosu i mierzyła w szyję konia.

Coś zaświszczało w powietrzu. Głośne uderzenie szarpnęło kapłanką i zmieniło jej skrzeczenie w bulgoczący charkot. Pazury nie wbiły się w ciało konia. Czarnowłosa strzyga z zaskoczeniem dostrzegła grot strzały, który sterczał spomiędzy jej żeber tuż nad lewą brodawką. Białe szaty zalała krew.

Po chwili Buruszko znowu wierzgnął tylnymi nogami i jęcząca strzyga spadła w trawę. Tam jeszcze raz spróbowała się podnieść, walczyła o życie jak zdychające zwierzę, ale jej wzrok padł na gniadego źrebca stojącego na skraju polany. Siedzący w siodle mężczyzna, młody, zielonooki bohater, znów napiął łuk.

Druga strzała Wołcha wleciała wiedźmie do rozwartej paszczy, przybiła zuchwę do klatki piersiowej i ostatecznie powaliła strzygę na ziemię.



Drżący płomień łuczywa z wielkim trudem rozświetlał głęboką ciemność w komorze za otwartymi drzwiami. Ilja widział tylko kawałek brudnej kamiennej podłogi. Ani śladu kapłanki. Nie słyszał nawet jej oddechu.

Z bijącym sercem, obie dłonie zaciskając na włączni, ostrożnie przesuwał stopy ku progowi ciemnicy. Strzyga mogła w każdej chwili zaatakować. Wyteżał wzrok ze wszystkich sił, ale i tak prawie nic nie widział. Zrobił więc krok w tył, wyjął łuczywo z uchwytu i wrzucił je do komory.

Stoczyło się na podłogę, zostawiając małe płomyki. Przez chwilę się zdawało, że zgaśnie na gładkiej skale, ale po chwili znów trysnęło i rozpałiło się. Wtedy właśnie Ilja dostrzegł czyjąś sylwetkę.

Nie była to jednak kapłanka. Przy tylnej ścianie komory, zaraz pod czarnym otworem, który bez wątpienia był wylotem przepaści pod zdradliwym łóżem, oparty plecami o skałę pół siedział, pół leżał nieruchomy mężczyzna. Miał na sobie białą rubaszkę, płócienne spodnie i wysokie buty, wszystko brudne i pokryte ciemnymi plamami, prawdopodobnie od zaschniętej krwi. Jasne włosy, zlepione brudem, skrywały jego twarz. Jeniec nie ruszał się, nie dawał oznak życia.

Ilja ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, przekroczył próg komory. Ciągle nie widział strzygi. Zrobił jeszcze dwa kroki. Drzewce włączni niemal skrzypiało w jego dłoni, tak mocno je ścisnął.

Nagle więzień poruszył głową.

– Za tobą... – zabrzmiało spod brudnych włosów. Głos był chrapliwy, ledwie słyszalny, ale Ilja miał świetny słuch.

Odwrócił się błyskawicznie, wzniosł włącznię i skurczył się w postawie bojowej. Naga czarownica z ogłuszającym wyciem odbiła się od skały nad drzwiami i skoczyła na Muromca. W błysku światła z leżącego łuczywa siłacz dostrzegł wytrzeszczone oczy drapieżcy, wyszczerzone zębiska i szpony gotowe rozszarpać mu żyły.

Grot włócznie z ohydny dźwiękiem zanurzył się między białe piersi. Zdruzgotał mostek, rozwarł żebra, przebił serce i płuca, przeciął kręgosłup i pośród rozbryzgu krwi wyszedł plecami. Szponiasta dłoń konwulsyjnie zamierzyła się na Ilję, ale junak przytomnie odrzucił włócznie wraz z nabitą na nią strzygą ku ścianie, więc zdołała mu tylko rozerwać koszulę i zostawić na ramieniu nieszkodliwe szramy.

Złotowłosa kapłanka umierała paskudnie, głośno krzycząc. Zalewane krwią białe kończyny były w podłogę i ściany, z paszczy dobywał się bulgoczący charkot. Ilja cofnął się pod przeciwległą ścianę i zaprzestał wreszcie boju z buntującym się żołądkiem – nadtrawiony kołacz, chleb i miód chlupnęły na zimny kamień.

Drgawki ustawały, ciało kapłanki słabło. Cichł jej skowyt. Ilja odwrócił wzrok od wiedzy i nieco chwiejnym krokiem podszedł do więźnia. Gdy się nad nim pochylił i odgarnął mu włosy, zobaczył młodą, urodziwą, pokrytą płowym zarostem twarz. Strasznie bladą, o policzkach chorobliwie zapadniętych, jakby ktoś wysssał z biedaka całą krew. Już po chwili okazało się, że przypuszczenia były słuszne – na szyi nieszczęśnika Ilja znalazł ślady ostrych zębów.

– Alosza? – zapytał. – Masz na imię Alosza?

Zamglone, gorączkowo błyszczące oczy spojrzały na niego z zaskoczeniem.

– Tak... tak... Kto... kto...

– Nie wysilaj wzroku, nie znasz mnie. Ale należę do drużyny Światosława. Znaleźliśmy twojego konia i razem z Wołchem, Mikułą i Jegorem wyruszyliśmy cię szukać. Myślałem, że już po tobie. Na stole za drzwiami leży poćwiartowany człowiek, a jego mięso piecze się teraz na rożnie...

– To był... mój poprzednik... – wychrypiał Alosza. Nadzieja przywróciła nieco sił jego ciału. – Kiedy mnie... te strzygi... złapały... jego zabiły... Żywią się... Krwią więźnia... Chodzą go wysysać... Dopóki nie złowią

następnego... a potem...

– Nic nie mów, jesteś słaby, jeszcze dusza z ciebie ujdzie. Wyniosę cię na słońce, Dadźbóg wleje ci siłę w żyły, zobaczysz.

– Nie uniesiesz...

Protesty Aloszy ucichły, kiedy Ilja podniósł go z łatwością i ostrożnie zarzucił sobie na ramiona jak upolowanego jelenia. Kiedy opuszczał straszne miejsce z jęczącym Uliczem na plecach, starał się nie zawadzić wzrokiem o martwą złotowłosą strzygę. Odżałował włócznie, wołał, by pozostała wbita w to białe, zbryzgane krwią ciało.

– Bogowie – mruczał pod nosem, stąpając po schodach. – Inaczej sobie wyobrażałem pierwsze miłosne przeżycie, klnę się na mą duszę.



– Wołchu...

– Alosza! Bracie, taki jestem szczęśliwy, że żyjesz! Chociaż, prawdę mówiąc, wyglądasz, jakbyś właśnie przepłynął Smorodinę i nałykał się jej zgniłej, śmierdzącej wody. Iljo, połóż go tam na trawie, obejrzę rany.

– Te dziwki go pokąsały, wysssały z niego krew. Nie zmieni się w wampira?

– Raczej nie. To nie były prawdziwe wampirzyce – nie bały się słońca i zabiło je zwykłe żelazo. Dla pewności jednak obetniemy im głowy. Wygnamy też czarami wszystkie złe moce z Aloszy.

Ilja ostrożnie położył śmiertelnie bladego Ulicza na trawie w cieniu rozłożystego buka, zostawił go pod opieką Wołcha i pospieszył przywitać się z Buruszkiem. Żrebiec parskał radośnie i podrzucał grzywą. Najbardziej cieszył się z tego, że nie dźwiga podobnego brzemienia, co koń Wsiesławiewicza – przez siodło na grzbiecie gniadosza przewieszona była kobiece ciało bez głowy, odziane w białą koszulę. Głowa strzygi była przywiązana za czarne włosy do kuli siodła i wybałuszała na świat mętne,



postawione w słupek oczy.

Zanim Wołch opatrzył Aloszę, Ilja wyciągnął z wody drugą strzygę. Zabrakło mu jednak hartu ducha, żeby zrobić to, co było trzeba, więc to Wsiesławiewicz złapał ją za włosy i jednym cięciem miecza odciął porośniętą ciemnymi włosami głowę. Potem gorynycz, na przekór ostrzeżeniom Ilji, wszedł do świątyni. Powrócił prędko, ciągnąc nagie zwłoki. Twarz miał białą jak twaróg, wargi zaciśnięte. Wymienili z Muromcem znaczące spojrzenia, jak dwaj ludzie, którzy mają wspólne, straszne doświadczenie. Znów świsnął miecz i głowa złotowłosej strzygi również spadła na kamienistą ziemię przed świątynią.

Właśnie w tej chwili z lasu, jadąc bok w bok, wynurzyli się Jegor i Mikuła.

Wytrzeszczyli oczy na zmaltretowanego Aloszę i pozabijane dziwożony, ale Wołch nie dał im dojść do słowa.

– Wszystko wam powiemy po drodze, bracia. Teraz wejdźcie do środka i pomóżcie mi wszystko porwać, posiekać i wrzucić w ogień. Zmienimy ten wieżmi barłóg w stos pogrzebowy.

Zrobili, jak powiedział. Kiedy znowu wsiedli na konie – Ilja ofiarował się wziąć Aloszę ze sobą na grzbiet Buruszka – po gontach na dachu świątyni pełzały już pierwsze języki ognia.

Opuszczali to przekłete miejsce różnym kłusem. Za ich plecami w niebo wzbijał się słupek złowieszczego czarnego dymu, brudzącego błękitne niebo, na którym jaśniało słońce.



Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Popękany, biały kamień wciąż stał na rozstajnych drogach, niebo ciągle miało barwę zielonkawej pleśni, step milczał, a padlinożercy obserwowali Ilję lśnącymi, czarnymi guzikami niezwykłych, wszystkowidzących oczu.

Kiedy jednak Muromiec przyjrzał się uważniej, dostrzegł coś nowego. Pod starymi napisami na żehrze przybyły kolejne ogniste znaki:

BOHATYR ILJA, MUROMCEM ZWANY, POSZEDŁ W LEWO,  
GDZIE CZEKAŁA MIŁOŚĆ, OPARŁ SIĘ JEDNAK JEJ POKUSOM I  
DROGĘ ZE ZŁA OCZYŚCIŁ.

– No, Buruszko – powiedział Ilja do konika – została nam tylko ostatnia droga. Śmierć połamała sobie na nas zęby, z kochania nic nie zostało, musimy jeszcze pójść prosto, gdzie ponoć zyskamy bogactwo.

Konik jakby zrozumiał, wstąpił na ścieżkę, która biegła w przód. Spłoszone kruki zamachały czarnymi skrzydłami i wzleciały nad pustkowie.

Buruszko przyspieszył, aż wreszcie zaczął biec różnym kłusem. Kopyta odkrawały z drogi gon za gonem, ale wokoło nic się nie zmieniło. Wszędzie rozpościerał się rozpaczliwie płaski step, z którego tylko miejscami wystawały białe głazy. Droga była prosta, bez jednego zakrętu, jak gdyby dwa olbrzymy złapały ją na obu końcach i mocno naciągnęły. Tyle tylko, że Ilja nie widział tych końców.

Przejechał kłusem dobre trzy wiorsty. Jednostajność krajobrazu zaczęła pomału budzić w nim lęk, gdy nagle coś się przed nim ukazało – ciemny kształt, wznoszący się przy drodze. Kiedy jednak się do niego zbliżył, stwierdził, że to jeszcze jeden kamień, tyle tylko, że znacznie większy i w odróżnieniu od białych głazów, rozrzuconych po stepie, czarny jak węgiel. Znowo opanowały go złe przecucia...

Potem zauważył, że na kamieniu coś się świeciło. Kiedy podjechał całkiem blisko, ku swemu zdumieniu zauważył, że i na tym głazie skrzy się ognisty napis.

Wstrzymał Buruszka, pochylił się w siodle i czytał:

KTO MA DOŚĆ SIŁ, BY ODWALIĆ TEN KAMIENI, WZBOGACI SIĘ.

– Iljo!

Siłacz wzdrygnął się, podniósł prędko głowę i zamrugał.

– Obudź się, chłopcze. – Uśmiechnął się do niego Mikoła Sielaninowicz, siedzący na siodle kobyłki, kłusującej tuż obok Buruszka. – Inaczej spadniesz

z siodła i kark skręcisz, a razem z tobą biedny Alosza.

Ilja potrząsnął głową, by odpędzić resztki snu. Alosza, spoczywający przed nim w siodle, stale był nieprzytomny i opierał się bezwładnie o rozłożystą pierś Muromca. Ilja nawet przez ubranie czuł bijące od niego ciepło – Ulicza trawiła gorączka.

Jechali w ciemną noc. Rozproszone w ciągu dnia chmury stopniowo gęstniały, łączyły się i pod wieczór zasnuły już niebo grubą warstwą. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Tylko Malachitowy Kostur w ręku Wołcha, wsparty tyłcem o jego siodło, oświetlał swą mętną jasnością drogę bohaterów.

Długo jechali kłusem przez łąki, polany i leśne poręby, zanim wreszcie wśród mroków zajaśniał ogień. Na tle migotliwego światła poruszyły się cienie, zadźwięczało żelazo, zabrzmiały ostrzegawcze okrzyki.

– To my! – zawołał Wołch.

Nareszcie dogonili Światosława i jego drużynę.



– Wygląda, jakby jego dusza była w połowie drogi przez Smorodinę – zląkł się Światosław, gdy położyli trupiobladego, zlanego zimnym potem i wstrząsanego dreszczami Aloszę na derki rozłożone przy ognisku. – Przeżyje?

– Jeśli bogowie będą dla niego łaskawi, owszem. – Wołch odpędził ciekawskich i ukląkł przy cierpiącym Uliczu. – Wzmocnię go czarami. Jest bardzo słaby, stracił mnóstwo krwi...

– Jak? – Książę szukał wzrokiem ran.

Wsiesławiewicz odgarnął z szyi Aloszy włosy zlepione krwią i potem. Pokazał władcy paskudne ugryzienia.

– Leśne dziwożony. Strzygi, żywiące się ludzkim mięsem. Za pomocą swych wdzięków i zwodniczych obietnic zwabiły go do swojego barłogu,

zdradziecko wtrąciły do ciemnicy, a potem wysysały krew, niczym pajak ssie schwytaną muchę. Gdybyśmy nie przybyli na czas, Alosza skończyłby na rożnie jak kawał sarniny.

– Prawdę mówiąc – odezwał się Mikuła – w ostatniej chwili uratował go obecny tu młody Muromiec. Znalazł gniazdo tych bestii, dał im porządną nauczkę i wyniósł Książewicza na własnych plecach.

Światosław podniósł głowę i spojrzał na Ilję.

– Czy to prawda? Czyżby Wołch miał rację i w tym junaku rzeczywiście jest coś niezwykłego?

– Co jak co, ale takie rzeczy wyczuwam dobrze – wymamrotał Wsiesławewicz, jednocześnie zajmując się Aloszą. Przeżuwał na papkę zioła, które zebrał po drodze. Stopniowo wyjmował je z ust i przykładał do pokąsanej szyi Ulicza.

Wielki książę wyprostował się i podszedł do Ilji. Przez chwilę przyglądał się badawczo jego twarzy. Muromiec odpowiedział nieruchomym, pozbawionym wyrazu, jakby obojętnym spojrzeniem.

– Aleksander dorastał ze mną na książęcym dworze, jest dla mnie jak brat – przemówił w końcu Światosław. – Uratowałeś mu życie. Jestem twoim dłużnikiem. Czego żądasz w nagrodę?

– Nie zrobiłem tego dla nagrody. – Ilja wzruszył ramionami. – Każdego bym wyniósł z tej ohydnej nory, nawet gdyby to był ostatni z twoich sług... Hm, Aleksander?

– To jego prawdziwe imię. Greckie.

– Chrześcijańskie – uściślił Jegor, który właśnie wynurzył się z cienia. – Od carogrodzkich misjonarzy, którzy ochrzcili Uliczów, zanim jeszcze Ingwar zaczął snuć plany podboju. Myśleli, że przyjmując chrześcijaństwo, zyskają wsparcie Carogrodu. To ich jednak nie ocaliło przed kijowską żądzą nowych ziem.

– Zjawiłeś się jak na zawołanie, Jegorze. – Światosław uśmiechnął się pod

wąsem. – Mam dla ciebie zadanie. Nie, nawet więcej, prawdziwą misję. Obecny tu Ilja już wcześniej pokazał nam swoją siłę i odwagę, a teraz udowodnił, że ma też serce godne bohatera. Najwyższy czas, żeby z niego wykuć prawdziwego bojownika. Dostanie broń, kiedy połączymy się z resztą wojska, ale ćwiczenia może zacząć od zaraz.

Z każdym słowem księcia twarz Jegora chmurzyła się coraz bardziej.

– A co ja mam z tym wspólnego, gosударze?

– Zgadnij. Weźmiesz młodego Muromca pod opiekę i nauczysz go posługiwać się mieczem i tarczą.

– Na świętego Jerzego – z piersi Jegora wydobyło się głębokie, ponure westchnienie – dlaczego właśnie ja?

– Dlatego, że jesteś najlepszy. I dlatego, że mruyczysz jak stary niedźwiedź i z dnia na dzień coraz trudniej z tobą wytrzymać. Zobaczysz, dobrze ci zrobi, jeśli zostaniesz nauczycielem młodzieńca. Przypomnisz sobie, co to przyjaźń i grzeczność.

– Książę, wiesz przecież, że ślubowałem poświęcić resztę życia Bogu...

– Daj spokój, i tak ci nie uwierzę. Gdybyś naprawdę był tak oddany temu waszemu Ukrzyżowanemu, nie poszedłbyś na wyprawę. Jegorze, przecież ty nie nadajesz się na kapłana żadnego bóstwa. Kiedyś chciałeś nim zostać, ale z chęcią zamieniłeś ofiarny nóż na miecz. Nie dla ciebie życie na kolanach przed posągami. W twoich żyłach płynie gorąca krew wojownika...

– ...walczącego z pogaństwem! – huknął Jegor. – A ten gołowąs to potrójny poganin: mahometanin wymieszał się w nim z Wiatyczem i czcicielem dzikich biesów z muromskich lasów...

– Stanie się tak, jak powiedziałem! – ostro uciął Światosław. – To mój książęcy rozkaz!

Teraz wszyscy spać, o świcie ruszamy w dalszą drogę.

Jegor spojrzał na Ilję, usiłując go przebić pałającym złością wzrokiem. Muromiec odpowiedział chłodnym spojrzeniem. Słyszał, jak bojar zgrzyta

zębami.

– Gdybym wiedział, że to się tak skończy – warknął Światogor, zaciskając pięści – to pod Muromiem ściałbym ci łeb jak dojrzałą makówkę i kopnął do Oki!

Potem także on wykonał szybki zwrot i odszedł prędkim krokiem w ciemność.

– Nic się nie bój. – Mikuła poklepał Ilję po ramieniu. – Dziadek odklepie dwie, trzy modlitwy i cała złość mu przejdzie. Potem przyjdzie i z zimną krwią, rozwagą i niezmierną ochotą zamieni twoje życie w piekło.

– Do czegoś takiego – wycedził przez zęby Muromiec – zaczynam pomалу przywykać.

## Droga do skarbu

**R**zeka Moksza kluczyła, płynąc wielkimi łukami z południa na północ, by w pewnym miejscu zawrócić. Tak więc następnego dnia wieczorem, po długiej jeździe przez lasy, znowu dotarli nad jej brzeg. Tam, między szumiącymi olchami, wierzbami i brzoźami, znaleźli śmierdzące pozostałości obozu Kijowian. Kiedy je obejrżeli, Wołch stwierdził, że Waregowie Swenelda spędzili tutaj minioną noc. Światosław najchętniej pogalopowałby dalej nawet w ciemności, by jeszcze zmniejszyć ten prawie jednodniowy dystans, ale musieli wziąć pod uwagę stan Aloszy. Ulicz ciągle nie wrócił do pełnej świadomości, tylko od czasu do czasu rozglądał się wokół zamglonymi oczyma, które nie poznawały twarzy ani miejsc, po czym znów tracił przytomność. Na zmianę to mamrotał jakieś brednie i rzucał się, to znów leżał bezwładnie, aż bali się, że dusza całkiem opuściła ciało. Właśnie teraz przyszedł taki moment – gdy położyli go na ziemi, był jak kłoda i wydawało się, że nie oddycha.

– Nie poddaje się – uspokoił ich Wołch, kiedy oderwał dłoń od czoła Książewicza. – Jest z nim nawet trochę lepiej niż wczoraj wieczorem.

– Nie wygląda na to – burknął Światosław, zdjął hełm i przecesał palcami kosmyk włosów, który przykleił się do czaszki porosłej krótką szczecina.

– Nie wygląda, ale zapewniam, że krew mu gęstnieje, ciało wraca do

zdrowia, odnawiają się siły. Moje czary odpędziły od niego biesy. Nie ma strachu, przeżyje.

Wołch podniósł się, wziął Malachitowy Kostur i skinął na swoją drużynę. Drużynnicy bez słowa wstali i oddalili się od ognia, by w ciemnościach wzywać bez przeszkód swoje smocze bóstwo. Ilja spoglądał na nich ze zmarszczonym czołem.

– Szkoda, że się nie widzisz, Muromcze – roześmiał się Mikuła, zajęty porcjowaniem wielkiego kawału surowego mięsa na pieczeń. – Patrzysz na nich jak ojciec dorastającej dziewczyny na pijanych chłopaków, fałszujących pod oknem córeczki.

– Że też akurat ty to mówisz... – Ilja zwrócił twarz ku ognisku i usiadł na najbliższym pieńku. – Kiedy Wołch i jego ludzie zaczną wzywać te swoje łuskowate biesy, uciekasz od nich jak chrześcijański kapłan od posągu Peruna z wielkim, rzeźbionym ptakiem. Czemu właściwie nie zostałeś gorynyczem?

– Ja? Daj spokój. Wprawdzie jesteśmy z Wołchem dobrymi przyjaciółmi, ale bić pokłony odwiecznemu, trzygłowemu stworowi? To nie dla mnie. Jestem prostym chłopem, za bardzo zakorzeniła się we mnie wiara w Welesa i Mokosz, którzy dbają o dobre plony. Czczę też Peruna, ponieważ wiosną zsyła potrzebny deszcz i niszczy piorunami złe moce, które gnieźdzą się w ziemi. Ale nie mam nic przeciwko swoim braciom gorynyczom i nie wyrzucam im tej dziwnej wiary ani nie próbuję ich od niej odwieść. Ciebie za to porządnie gryzie, kiedy słyszysz, jak modlą się do smoków. O co chodzi?

– Matka opowiadała mi o gorynyczach znad Sławutyczy same straszne historie. Ponoć składają swojemu smoczemu bogu dziewice w ofierze. Tak samo, jak czciciele Zilanta w dole wielkiej rzeki, w bułgarskim Suwarze...

– Aha. Rozumiem – spoważniał Sielaninowicz. – Ale nie wrzucaj gorynyczów i suwarskich czarnoksiężników do jednego wora. Wołch i jego ludzie nie gustują w krwawych obrzędach. Jeśli wpadną im w ręce jakies powabne dziewice, zrobią z nimi to samo, co każdy normalny chłop. Pewnie,



zawsze jest przy tym trochę krwi, bólu i jęków, ale tak to już jest. Dziewczyny tracą w ten sposób wianek od początku świata.

– To prawda – wyszczerzył zęby Światosław, siedzący po przeciwnej stronie ogniska. – Nie masz powodu ich o nic podejrzewać, Iljo. Ostatnim kapłanem gorynyczów, który składał ofiary z ludzi, był Wsiesławiew.

– Ojciec Wołcha?

– Tak. Służył mojemu ojcu, doradzał mu, czarował dla niego, wieszczyl i rzucał uroki...

– Nie tylko. – Mikuła uśmiechnął się półgębkiem. – Mówi się, że właściwie to Wsiesławiew osadził Ingwara na stolcu książęcym. I że pomógł staremu Helgiemu przenieść się na tamten świat. Iljo, słyszałeś o księciu Helgim?

– Niewiele – burknął Ilja. Nie bardzo mu się chciało rozmawiać.

– Helgi był potężnym wodzem, który przyciągnął nad jezioro Ilmeń i w dorzecze Sławutyczy razem z Rurykiem, wielkim wareskim wodzem i dziadem obecnego tu księcia. Kiedy Ruryk zmarł, jego syn Ingwar był jeszcze za mały, by rządzić. Władzę nad Nowogrodem i Kijowem przejął więc jego szwagier Helgi. Słyszałeś o przepowiedni, wedle której miał go zabić jego własny koń?

– Nie – odparł Ilja tonem, który dawał do zrozumienia, że dalszy ciąg historii nie bardzo go obchodzi.

Mikuła nie dał się zbyć.

– Helgi rządził dobrze. Urządził kilka wypraw wojennych przeciw Carogrodowi i zmusił Greków do podpisania umowy, korzystnej dla kijowskich kupców. Niestety, władza mu zasmakowała, wbiła w niego swe szpony, a on potem ani nie potrafił, ani nie chciał się jej wyrzec. Gdy mały Ingwar dorósł, zmężniał i był w stanie zająć miejsce ojca, Helgi nie zamierzał podnieść tyłka z książęcego stolca. Trzeba więc było się go pozbyć. Wsiesławiew, już wtedy wiernie służący Ingwarowi, wymyślił podstęp z

przepowiednię. Wieszczył, że Helgi zginie przez własnego konia...

– Nie karm młodzika bajędami – burknął Światosław. – Połowa z tego, co tutaj opowiadasz, to tylko wymysły gęślarzy...

– Może tak, a może i nie – Mikuła nie pozwolił się uciszyć. – Tak czy siak, Helgi zląkł się porządnie. Kazał zamknąć konika w stajni i dobrze karmić, ale już nigdy go nie dosiadł ani się do niego nie zbliżał. Księżę Helgi wyruszył na wyprawę przeciw Carogrodowi, uszedł z życiem z okrutnych bitew i wierzył, że przechytrzył przepowiednię. Pewnego dnia jego stajenni oznajmili mu, że rumak nagle padł. Założę się, że i to było zasługą Wsiesławiewa. Helgi przywołał gorynycza i wyśmiał go. „Popatrz tylko, mój koń wyciągnął kopyta, a ja jeszcze żyję! Jestem nieśmiertelny!”. Potem kazał spalić zwłoki, a parę dni później podszedł do stosu i ze śmiechem nadepnął poczerńiałą końską czaszkę. W tejże chwili z czaszki wypełzła żmija i ukąsiła go. Helgi zachorował i po kilku dniach zmarł w gorączce, wymiotując własnymi gnijącymi trzewiami. Wszyscy wierzą, że tę żmiję wyczarował Wsiesławiew, żeby pomóc Ingwarowi zasiąść na stolcu książęcym.

– Kto wie, jak było naprawdę – parsknął Światosław, żując w zębach koniuszek długiego warkocza, zwisającego mu z ciemienia. – Ingwar i Wsiesławiew nie byli znów tak dobrymi przyjaciółmi, jak przedstawiasz. Później nie umieli żyć w zgodzie, więc gorynycz wyjechał z Kijowa i udał się do plemienia Drewlan. Na stare lata splotził Wołcha z tamtejszą księżną, siostrą księcia Mała, i krótko przed śmiercią przekazał mu swoją łaskę. Po dawnej sławie gorynyczów zostały tylko straszne opowieści. Wołch ożywił wiarę w smoki, kiedy powierzyłem mu ustanowienie trzydziestoosobowej gwardii książęcej z byłych brańców. Drużyna potrzebowała symbolu, swojego bóstwa. Wołchowi przyszło do głowy, że mogłaby nim być groźna, trzygłowa bestia. Obrzędy wywoływania Gorynowej duszy dodają bojarom sił i waleczności. Nie ma w tym nic złego ani tajemniczego.

Ilja milczał z zadumany wyrazem twarzy.

– Wiem, czemu masz zły nastrój. – Mikuła pokiwał głową. – Te opowieści

o smokach przypomniały ci twoją miłą, prawda?

– Co z nią? – zaciekawiał się Światosław.

– Nie mówiliśmy ci, gosударze? – Popatrzył na niego Sielaninowicz. – Rodzinna wioska Ilji została spalona, a mieszkańcy wymordowani przez czcicieli Zilanta, bułgarskiego czarnego smoka. Tych, którzy przeżyli, powleczono nad Itil, a stamtąd do gadziej świątyni w mieście Suwar...

– Ach tak. Rozumiem. – Książę skinął głową. – Słyszałem o tym miejscu. Plemiona pod wodzą władcy Suwaru zbuntowały się przeciw bułgarskim mahometanom i utworzyły własne księstwo, gdzie wciąż oddają cześć starym bogom. Zilant jest zapewne ucieleśnieniem ich dawnej wiary. Mówi się, że śpi w podziemiach starej wieży, którą włada czarnoksiężnik Tugarin. Raz do roku smok się budzi, syci się mięsem dziewic, a potem znów zasypia... – książę przerwał. Zauważył, że Ilja spuścił wzrok i zacisnął zęby, aż zadrgały mu mięśnie twarzy. Muromca załwały fale żalu i bezsilnego gniewu, które wycisnęły mu łzy z oczu. – Wybacz, nie chciałem obracać zardzewiałego ostrza w niezagojonej ranie. Szkoda mi twojej miłej. Obiecuję ci jednak, że będziesz miał okazję się zemścić. Kiedy tylko opanujemy Bułgarię, pociągniemy na Suwar. Razem zburzymy tę czarodziejską wieżę. Ty sam weźmiesz największy głaz z jej rozwalonych ścian, wrzucisz go do podziemnego leża i rozgnieciesz łeb smoczej bestii.

Ilja nie odpowiedział, z zaciśniętymi wargami spoglądał w płomienie nieprzytomnym wzrokiem. Oddałby wszystko za czary, które pokazałyby mu, gdzie jest Dinara. Tak bardzo chciał wiedzieć, czy nie cierpi, czy w ogóle żyje...

W koronach olch i brzóz zaszumiał wiatr.



Wieczorny podmuch wiatru, niezwykle zimny jak na tę porę roku i zwiastujący zmianę pogody, czesał nie tylko lasy nad Mokszą. Pędził też nad lustrem szerokiego Itilu daleko na północnym wschodzie, w miejscach, gdzie

wielka rzeka, do tej pory płynąca prosto na wschód, skręcała nagle na południe.

Na prawym brzegu, na kamienistej plaży obmywanej prądem rzeki, wietrzyk przecesał włosy młodej kobiety i przylepił jej sukienkę do szczupłego ciała. Mimo że dostała gęszej skórki, dziewczyna podniosła głowę i przymykając powieki, rozkoszowała się dotykiem świeżego prądu powietrza. Po całym dniu spędzonym wśród spoconych mężczyzn na śmierdzącym pokładzie drakkara, nie mogło być niczego przyjemniejszego. Przez chwilę miała ochotę się wykapać, ale nie mogła ryzykować – wioślarze, którzy na lewo od niej leżeli na plaży jak śnięte ryby, już i tak patrzyli na nią pożądliwie, wręcz pożerali wzrokiem. Gdyby się przy nich rozebrała, popędliwi Waregowie na pewno by nie wytrzymali i polałyby się krew. Ich i jej.

– Dinaro.

Otworzyła oczy i obejrzała się. Na widok nadchodzących mężczyzn jej wyraz twarzy nic a nic się nie zmienił. W ostatnich dniach opanował ją spokój. Pogodziła się z losem, a strach, który długo miał ją w swej władzy, powoli mijał. Oddała się w ręce bogów.

I w ręce Bragiego Halvorssona.

– Wracaj do namiotu – polecił helgardzki wódz, kiedy przy niej stanął.

Popatrzyła na prostą konstrukcję z mocnego płótna i futer, którą Waregowie postawili na wzniesieniu tuż przy brzegu. Potem spojrzała w szare oczy Bragiego.

– Nie możesz się doczekać, mój panie? – zapytała bez ogródek. – Może powinieneś zapanować nad sobą. Już i tak będziesz musiał spuścić z ceny, skoro pozbawiłeś mnie dziewictwa. Jeśli bułgarscy kupcy zobaczą na mnie ślady twojej dzikiej namiętności, nie dostaniesz za mnie więcej niż parę srebrników.

Bragi zachmurzył się, aż w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

Po raz pierwszy miał ją przed trzema dniami. Wprost na pokładzie, pod zadaszeniem, w nocy. Kiedy w nią wszedł, a ona krzyknęła z bólu, mężczyźni drzemiący między wiosłarskimi ławami zaczęli rechotać i głośno zachęcać wodza. Może mieli nadzieję, że kiedy zaspokoi swą żądzę, podzieli się zdobyczą, ale nie zrobił tego. Zawinął łkającą dziewczynę – teraz już kobietę – w miękkie futro i przez całą noc obejmował ją we śnie.

Wziął ją też następnej nocy. Stale jeszcze popłakiwała i jęczała przez zaciśnięte zęby, ale ból nie był nawet w połowie tak silny, jak dzień wcześniej.

Trzeciej nocy złapała się na tym, że pojękuje cicho, a przez jej łono przebiegają fale dziwnych, ale przyjemnych skurczy. Kiedy zaspokoił żądzę i położył obok niej, sama się ku niemu odwróciła i przytuliła do pokrytego bliznami, żyłastego ciała. Nie odtrącił jej.

Teraz Bragi nie odpowiadał. Czarnowłosa Muromka odwróciła twarz z powrotem ku rzece i wskazała przeciwległy brzeg. Tam, u ujścia mniejszej rzeki, stał gród otoczony tęgimi wałami i palisadą.

– To Kazań, prawda? – spytała. – Przygraniczna twierdza Bułgarów.

– Mhm – wymamrotał.

– Mówiłeś, że można mnie sprzedać już tutaj. Czemu nie zatrzymaliśmy się na drugim brzegu, by poszukać handlarza niewolników? Jestem przecież zdrowa i wróciły mi siły, po co czekać, aż dopłyniemy do Bułgaru?

– Wy, baby – burknął – potraficie zmienić słowa w sztylety, które potem wbijacie mężczyznom pod zębra. Nie próbuj tego ze mną. Jeśli mnie rozgniewasz, naprawdę cię sprzedam. I niekoniecznie do haremu emira, może jakiemuś chłopu na brzegu. Za kozę albo parę jagniąt.

Znowu spojrzała mu w twarz, tym razem pytająco.

– Czy dobrze rozumiem, panie? Nie chcesz mnie sprzedać Bułgarom? Co więc zamierzasz ze mną zrobić?

– Jeszcze się zastanowię. A teraz zmykaj do namiotu. Kiedy się tu tak

przeciągasz, w moich ludziach niepotrzebnie wre krew!

Posłusznie schyliła głowę – głównie po to, żeby ukryć przed nim lekki uśmieszek. Potem prędkim krokiem przeszła przez obóz do namiotu. Waregowie odprowadzali ją wzrokiem, wszyscy, włącznie z Ratimirem, który zasepiony, popatrzył na stojącego samotnie Bragiego, po czym podszedł do niego.

– Pozwól, że zapytam, konungu – zwrócił się do niego ściszym głosem.  
– Nie sprzedasz tej czarnulki?

– Nie – odparł Halvorsson, spoglądając z założonymi rękami na rzekę. Przybocznemu nawet nie drgnęła brew.

– Tak przypuszczałem. Zauważyłem, jak na nią patrzysz. Nie dopiero teraz, ale przez całą drogę, już od Helgardu. Z początku myślałem, że tak o nią dbasz, żeby dostać dobrą cenę na bułgarskim targu. Potem ją rozdziewczyłeś i obniżyłeś jej wartość co najmniej o połowę. Teraz zrozumiałem, że może się rozmyślisz z tą sprzedażą. Czy ona czasem nie rzuciła na ciebie uroku?

– Przestań bredzić – ofuknął go Bragi. – Nie jestem taki jak ty i nie uważam wszystkich kobiet za wiedźmy. Ale masz rację, chcę ją zatrzymać dla siebie. Myślę, że i ona już się do mnie przyzwyczaiła. Coś ci powiem, Ratimirze, a jeśli się zaśmiejesz, stracisz parę zębów... Tego dnia, kiedy czeremiski brudas ją przywłókł, właśnie myślałem, że najwyższy czas zapuścić korzenie. Wyruszyć na ostatnią wielką bitwę, a potem zostać na przykład namiestnikiem Światosława, osiedlić się w jakiejś dobrej, bogatej krainie...

Ratimir nie zaśmiał się.

– W Bułgarii?

– Na przykład. A kiedy już zajmę odpowiednie stanowisko, trzeba się będzie postarać o to, żeby na świecie jak najprędzej pojawiło się paru Bragissonów. Już nie jestem najmłodszy, najwyższy czas, żeby spłodzić

kilku dziedziców. A musisz przyznać, że ta Muromka urodzi mi śliczne dzieci.

– Bez wątpienia. O ile będą podobne do matki. – Rujańczyk wyszczerzył zęby. – Ale czy pomyślałeś, że teraz ciągniesz ją ze sobą na wojnę? To nie jest dobre. Baba w wojennym pochodzie to zbędny balast, przeszkadza i odciąga mężczyznę od obowiązków.

– Da sobie radę. Jest silna. Jeśli do tej pory przeżyła, zniesie wszystko. I nie pozwolę, żeby zawróciła mi w głowie. Miłość to miłość, a walka to walka.

Nagle na brzegu po ich lewicy zaczął się ruch. Mężczyźni wstawali od ognisk i spoglądali w górę rzeki, wielu z nich klęło siarczyście, splotowało albo nawet sięgało po broń. Bragi i Ratimir spojrzeli w tym samym kierunku.

I też się zasępili.

Rzeką płynęła łódź. Długa, czarna, niesiona po wodzie odbijającej nocne niebo nie tylko przez silny prąd, ale także przez głośno pluskające o toń wiosła. W oczywisty sposób starała się przepłynąć koło nich jak najszybciej. I wyraźnie nie tylko dlatego, że dwa tuziny wareskich wojowników na brzegu stanowiły liczące się zagrożenie.

– Zgadnij, kto to – warknął Bragi.

– Po co mam zgadywać? – ponuro odparł Ratimir. – Mam sokoli wzrok, wiesz przecież. Nawet po ciemku widzę ludzkie głowy i czaszki przybite do burt. Styrwit. Wiezie niewolnice do Suwaru, dla swoich panów. Ech, taki dobry towar. W Bułgarze zamienilibyśmy go na złoto. Nie masz ochoty posłać tego czeremiskiego skurwiela na dno rzeki i zabrać jego ładunek?

– Mam, ale płynie zbyt szybko. Zanim spuścilibyśmy na wodę którąś z naszych łodzi, ta czeremiska świnia już dawno zniknęłaby nam z oczu.

Wiatr wiejący od Itilu przyniósł z czarnej łodzi do obozu Bragiego odór rozkładu. Poczowała go też Dinara, wyglądająca ciekawie z namiotu. Żołądek jej się skurczył, zrobiło jej się niedobrze, poczuła dziwny chłód.

Prędko cofnęła się do środka, znowu pełna strachu, który nie nawiedzał jej od dłuższego czasu. Nie przypuszczała nawet, że tajemniczy statek wiezie dziewczęta z jej plemienia na spotkanie straszego losu, którego ona uniknęła o włos.



Ilja wsłuchiwał się w szum drzew, wspominając Dinarę i pozostałych zabitych lub porwanych współplemieńców. Serce miał ciężkie jak kawał ołowiu. Kiedy Wołch z gorynyczami wrócili do ogniska, odwrócił się i wstał. Chciał się oddalić, znaleźć samotny kąt, gdzie mógłby się pogрузić w żalu, ale na granicy światła i mroku drogę zastąpił mu olbrzymi cień.

– Dokąd to? – warknął Jegor.

– Jak to dokąd? Wysikać się. I nie tylko to.

– Czyli co?

– Ty się pytasz? Ty, który co wieczór oddalasz się od reszty i toniesz w zadumie jak kamień w jeziorze? Czemu mnie nie wolno oddawać się smutnym wspomnieniom?

– Słuchaj no, gołowaśie – wycodził Światogor. – Księżę wydał nam rozkaz. Na razie jesteś niczym surowy gład, z którego trzeba jak najprędzej wyrzeźbić prawdziwego bohatera. I ja mam być dłutem, które tego dokona. Nie podoba mi się to tak samo, jak tobie, ale wola księcia nie jest czymś, co można zbyć wzruszeniem ramion. Zgadzasz się?

Ilja spojrział mu w twarz. Po zachmurzonym obliczu Jegora przebiegały na zmianę niespokojne cienie i chybotliwe światło ogniska.

– Skoro tak mówisz... – Muromiec wzruszył ramionami.

– Dobrze. Jedną rzecz wyjaśnimy sobie zaraz na początku: masz mnie słuchać. Bez pyskowania, bez nadymania piersi jak kogut. Jeśli spróbujesz mnie trykać tym baranim łbem, zaraz w niego walnę i złamię ci rogi. To będzie piekielnie bolało. Rozumiesz?



– Będę posłuszny – wycedził przez zęby Ilja – ale tylko jeśli chodzi o ćwiczenia. Nie myśl sobie, że będę sługą. Nie mam zamiaru siodłać ci konia, nakładać zbroi ani robić niczego podobnego. To z kolei musisz zrozumieć ty.

Światogor parsknął niczym rozdrażniony byk. Nie odpowiedział, tylko wskazał palcem za siebie.

– Masz nóż? Skoro więc idziesz w gęstwinę, znajdź dwa grubsze kije, jak najprostsze, wytnij je, oczyść i przyjdź do mnie.

– Tak po ciemku?

– Ruszaj!

Ilja nie sprzeczał się dłużej z bojarem. Poszedł w krzaki, wysikał się, a potem – przeklinając i marudząc – znalazł i wyciął dwa leszczynowe pręty, grube na palec, długie na więcej niż pół sążnia. Odciął z nich listki i drobne gałązki, wrócił do Jegora i wbił kije w ziemię.

– A teraz? Po co ci one?

Światogor podniósł pręt i przebiegł po nim wzrokiem.

– Jak to po co? Nie myślałeś chyba, że od razu złapiemy za prawdziwe miecze i zaczniemy się rąbać niczym szaleńcy? Wiesz, ile tarcz byśmy zużyli? I jak szybko mógłbyś stracić palce, ręce, a może nawet głowę? Mam cię uczyć, nie rozsiekać za pierwszym razem!

– Będziemy się bić kijami? Jak małe dzieci?

Jegor nie odpowiedział. Oderwał wzrok od kija i spojrzał na Ilję. A potem bez ostrzeżenia wziął zamach i z całej siły uderzył zaskoczonego Muromca w biodro. Junak wrzasnął i padł na kolana. Miał wrażenie, że stracił lewą nogę.

– Co się dzieje? – Zaniepokojeni bojarzy odskoczyli od ogniska. Niektórzy nawet sięgnęli po broń. Również stojące w pobliżu konie zaczęły niespokojnie parskać.

– Co ma się dziać? – burknął Jegor. – Księżę rozkazał mi uczyć Muromca, więc nie tracę czasu. Pierwsza lekcja, której mu udzielę... – znów błyskawicznie machnął kijem, tym razem trafił klęczącego młodzieńca w

ramię. Ilja jęknął przez zaciśnięte zęby. Gdyby nie oparł się o drugi kij, upadłby na trawę – ...to lekcja pokory. Wiem, że nie leży ona w waszej pogańskiej naturze, ale prędzej czy później zrozumiecie, że pycha, duma i zawziętość niekoniecznie przynoszą korzyści. Przy okazji Muromiec poćwicz swoją szybkość. Popracuję jednocześnie nad jego duszą i ciałem.

Ostatnie słowa Jegora jeszcze nie przebrzmiały, kiedy po raz trzeci szybko zamierzył się kijem. Ilja wyprostował się jednak nagle, wyszczerzył zęby i machnął swoim prętem, wkładając w cios całą siłę i wściekłość. Kije uderzyły o siebie, rozległ się trzask, kawałki wilgotnej kory poleciały na wszystkie strony. Obaj mężczyźni trzymali w rękach smętnie zwisające kije, złamane pośrodku, najeżone drzazgami.

– Wygląda na to, że szybko się uczy – uśmiechnął się Światosław. Bojarzy zaczęli rechotać.

– Będziecie potrzebowali grubszych kijów – dodał Mikuła. – Z lepszego drewna.

– No – burknął Jegor, nie zwracając uwagi na wbite w siebie wściekłe spojrzenie klęczącego ciągle Ilji. – Wynika z tego jeszcze jedno.

– Co?

– To będą bardzo bolesne ćwiczenia.

– Piekielnie bolesne – wycedził przez zęby Ilja, wstając pomału. – Ale obiecuję, że nie tylko dla mnie.

Jegor spojrzał na niego, a po chwili milczenia poważnie skinął głową.

– Liczę się z tym.



Następnego dnia po południu natrafili w końcu na ludzkie osiedle. Od chwili, gdy skręcili na wschód od Oki, jeśli nie liczyć świątyni leśnych wiedźm, stale jechali przez bezludną dzicz.

– Pewnie jesteśmy już na ziemi Moksów – odezwał się Ilja, kiedy

wjechali do osady pobudowanej na oczyszczonym z drzew brzegu rzeki. We wsi panowała złowieszcza cisza. Było też nieznośnie duszno. Niebo już drugi dzień zasnuwała warstwa nisko wiszących chmur. Gęstniały i ciemniały z każdą chwilą, a coraz cięższe powietrze zwiastowało deszcz.

– Możemy tylko przypuszczać – warknął Mikuła Sielaninowicz, chmurny jak wódz po przegranej bitwie. – Sweneld zadbał, żebyśmy nie mieli kogo o to zapytać.

W uliczkach, na podwórzach i na progach prostych chat leżały rozsiekane, podeptane zwłoki. W ciszy żałośnie wył pies, beczała zabłąkana owca. Ilja popatrzył na Światosława. Książę nie odwzajemnił spojrzenia, nie odezwał się słowem, nie okazywał żadnych uczuć.

Nie zatrzymali się, nie próbowali dojść, co właściwie się tu stało i co było przyczyną rozlewu krwi. Popędzili konie i prędko ruszyli dalej. Zanim wioska znikła im z oczu, na hełmach i pancerzach zabrzęczały pierwsze krople i już po chwili zaczął padać deszcz – niezbyt rzęśisty, ale za to uporczywy.

Nad rzeką trafiali na coraz liczniejsze wsie i osady. W ziemiankach i prostych szałasach z gałęzi panowała jednak cisza, mrok i bezruch. Od czasu do czasu widzieli zwłoki, leżące między pustymi domami albo ciśnięte do Mokszy i płynące twarzą w dół. Zauważyli też kilka gromad przerażonych uciekinierów, biegnących do lasu i kryjących się w gęstwinie. Po drodze niemal wpadła im pod kopyta zabłąkana, półnaga sierotka, której lament wprost rozdzierał duszę. Mikuła, który miał miękkie serce, za wszelką cenę chciał kilkuletnią dziewczynkę zabrać i zawieźć do najbliższej osady. Ledwie jednak zeskoczył z konia, niebożątko pobiegło do lasu i skryło się w krzakach jak łasica.

Deszcz nie przestawał padać. Płaszcz, którymi wojowie się okrywali, już dawno nasiąkły wilgocią, a ze skraju kapturów skrywających twarze ciurkiem ciekła zimna woda.

A potem, gdy zapadający mrok zaczął zwiastować nadchodzący wieczór,

przez szum deszczu i tętent kopyt przebiły się nieoczekiwane dźwięki – daleki krzyk, trzask, łoskot, szczęk broni. Dochodziły z miejsca znajdującego się przed bohaterami, ale kiedy podnieśli głowy, widzieli tylko czarny las, sięgający aż do Mokszy.

Jadący na czele drużyny Światosław przyspieszył, co za jego przykładem uczynili bojarzy. Hałas prędko przybierał na sile. Ominęli dębinę i po lewej stronie z wilgotnej szarości na skraju lasu wynurzyło się mnóstwo nieosiodłanych koni, chowających się pod rozłożystymi koronami drzew.

– To nasze stado! – zawołał Mikuła. Ilja zrozumiał, że patrzy właśnie na zapasy mięsa dla kijowskiego wojska.

Gdy chwilę później, podobnie jak Moksza, skręcili na północ, wrzawa uderzyła w nich niczym fala powodziowa, a z szarości wyłonił się straszny widok.

Na wysokim półwyspie, opływanym przez wijącą się rzekę, stał gród. Trochę mniejszy niż Murom, od strony rzeki chroniony tylko niewysokimi, ale stromymi brzegami. Wąski pas gruntu, łączący kamienisty półwysep z brzegiem, był przegrodzony wałem zwieńczonym palisadą. Brama została już dawno wyłamana, a napastnicy niecierpliwie pchali się do środka. Na zastrzone koły palisady nabito świeżo ścięte głowy.

Drużyna Światosława prędko jechała przez podgrodzie. Wokół, tam i z powrotem, przemieszczały się gromadki szukających łupów jeźdźców, ale i uciekinierów. Kijowscy woje witali przejeżdżającego księcia okrzykami i bronią podniesioną na znak pozdrowienia. Ilja rozpoznał szczekliwą mowę Waregów, ponadto wygląd wojowników wskazywał na to, że są to okryci niechlubną sławą Sweneldowi zabijacy z plemienia Rusów – w większości muskularni, rudzi lub jasnowłosi mężczyźni, mający ogorzałe, pokryte bliznami twarze i przenikliwe spojrzenia. Oprócz nich można było dostrzec również przedstawicieli plemion mówiących podobnie jak Wiatycze, których języka nauczyła Ilję matka – Krywiczów, Radymiczów, Słowienów, Dregowiczów. Wszystkie te ludy oddały pod rozkazy księcia swoich

najlepszych wojowników, a on wykuł z nich żelazną drużynę. W czasie służby prędko zapominali o przynależności plemiennej i z dumą nazywali się Kijowianami albo Rusami.

Książęcy przyboczni przejechali kłusem przez otwór w wałach. Inni wojownicy prędko odskakiwali im z drogi i witali przybywających dzikimi okrzykami. Jeźdźcy minęli rozbite wrota, zwisające żałośnie na skrzywionych, do połowy wyrwanych zawiasach, i wjechali do grodu.

Ilja natychmiast poczuł ucisk na gardle. Z deszczowej szarości wynurzały się okrutne widoki. Zwycięscy Waregowie wdarli się do każdego domu, szopy, chlewa i bez żadnych skrępowań rabowali, niszczyli i zabijali. Ich rechot mieszał się z rozpaczliwym lamentem pokonanych Moksów. Ze wszystkich stron dobiegał szcęk broni, charkot umierających, jęki rannych i krzyki kobiet, gwałconych wszędzie tam, gdzie mężczyźni zdołali je schwytać i obalić na ziemię – nawet na dworze, w deszczu, na gnoju, na zabłoconym podwórku.

– To nie w porządku – szeptał Mikuła, jadący tuż przed Ilją, u boku Wołcha. – Słyszysz, Wsiesławiewiczu? Oderwałeś mnie od pług, obiecując, że będziemy bronić księstwa przed atakami nieprzyjaciół, zbójcami i potworami. Zamiast tego sami atakujemy, łupimy i podrzynamy gardła. Gdyby mój ojciec wiedział, przez jakie zajęcie nasze rodowe pole leży odłogiem, zabrałby mi batóg i wysmagał moje plecy do krwi.

– Wydaje ci się, że mnie cieszy widok takich swawoli? – odciął się Wołch. – Skoro jednak należysz do książęcej drużyny, musisz się liczyć z takimi rzeczami. Każdemu z nas powinno stwardnieć serce. Najbardziej Światosławowi. Na pewno nie jest mu lekko.

Muromiec, zgrzytając zębami, odwrócił wzrok od owłosionego męskiego tyłka, podrygującego między białymi udami dziewczyny, która, sądząc z głosu, musiała być młodziutka, zaledwie wyrosła z dzieciństwa. Ilja chmurnie popatrzył przed siebie.

Na skraju cypla, nad samą rzeką, stała siedziba miejscowego naczelnika –

jedyna porządna budowla w grodzie, wzniesiona z solidnych kłód. Miała wysokie ściany, dach kryty gontem i wielkie, okute metalem wierzeje. Wejście do dworu stawiało opór wysiłkom napastników, nawet kiedy grupa Waregów biła w odrzwia długim żłobem, wyciosanym z jednego pnia, a przyniesionym z niedalekiego chlewa. Dudnienie zagłuszało rozlegające się wokół wrzasku i lamenty. Wrota trzęsły się pod mocnymi razami.

Naprzeciw Światosławowi wyjechało kilku jeźdźców w pysznych wareskich zbrojach i ze znakiem dwóch kruków Odyna na tarczach. Nikt nie musiał przedstawiać Ilji siwiejącego mężczyzny o ciele tak żyłastym, że broń nieprzyjaciół musiała się od niego odbijać jak od żelaznego posągu. To z pewnością był Sweneld Sigurdson, wierny drużynnik Ingwara, a potem księżnej Helgi, wódz, którego się obawiały i którego przeklinały plemiona Uliczów, Tywerców i Drewlan, ponieważ złamał ich opór i podporządkował Kijowowi, nie szczędząc okrucieństw i przelewając rzeki krwi. Wyglądałby wystarczająco groźnie nawet bez paskudnej, ciemnoczerwonej blizny, biegnącej spod hełmu przez zmętniałe lewe oko aż do gęstego zarostu na brodzie.

– Książę! – Powitał Światosława chrapliwym głosem, którego brzmienie było tak miłe, jak odgłos wbijania we wnętrzości wyszczerbionej, zardzewiałej klingi. – Zdążyłeś w sam raz na świętowanie zwycięstwa!

– Widzę – chłodno odparł młody wielmoża. Radość była ostatnią rzeczą, która dała się wyczytać z jego zachmurzonej twarzy. – Co to za miejsce?

– Mordwa, najważniejszy gród parszywych Mokszów. Próbowali się bronić, ale równie dobrze zając mógłby walczyć z niedźwiedziem. Przebiliśmy się do środka, nie odnosząc większych strat, naszych poległych można policzyć na palcach jednej ręki. Ich władca zamknął się ze starszyzną i paroma drużynnikami we dworze, ale nie wytrzymają długo. Wkrótce wyłamiemy wierzeje i pomalujemy ich krwią wewnątrz dworu. A jak tobie się wiodło na północy?

– Całkiem dobrze. Przez chwilę się wydawało, że będziemy musieli

przegrodzić Okę tamą z odciętych muromskich głów i wyłamać bramę spiętrzoną wodą, ale Wołch, ten wąż, zdołał ich podejść. Wyzwał ich na pojedynek, stary dobry holmgång. Jegor pokonał ich najsilniejszego wojownika, a oni uznali to za wolę bożą i otworzyli bramę.

Jegor i Sweneld wymienili lodowate, pogardliwe spojrzenia. Ilja z rozmów pozostałych drużynników dowiedział się już, że starzejący się bohaterzy lubią się jak wąż z jeżem. Nietrudno było znaleźć przyczynę – w czasie gdy Kijowem władała księżna Helga, Sweneld i Światogor walczyli o pozycję pierwszego drużynnika. Sweneldowi powierzono zarząd nad Nowogrodem, więc powiernikiem i prawą ręką Helgi został Jegor. Mówiło się, że był dla niej nawet kimś więcej. Koniec końców, nawet chrzest przyjęli razem.

– Wracamy obciążeni złotem – dodał Światosław – i zabraliśmy dwa tuziny ich najlepszych wojowników, więc nie musimy się bać, że Muromcy będą następować nam na pięty.

W tej chwili dudnienie prowizorycznego taranu zostało zwieńczone głośnym trzaskiem i solidna brama domu władcy pękła pośrodku na dwoje. Waregowie dokończyli dzieła zniszczenia kilkoma uderzeniami toporów i młotów, by po chwili z wrzaskiem wtargnąć do domu. Pchali się jeden przez drugiego. Szczęk broni świadczył, że natrafili na mocny opór, ale to nie powstrzymało strumienia wojowników wdzierających się do środka. Wrzask i ogłuszający hałas dobiegający z domu zmroził Ilję – zdał sobie sprawę, że w Muromiu mogło się skończyć tak samo.

Światosław i Sweneld podjechali bliżej dworu. Po krótkim czasie odgłosy boju ucichły. Waregowie wyszli na zewnątrz z głośnym rechotem. Deszcz zmywał krew z ich szerokich mieczy, ciężkich maczug i toporów na długich styliskach. Niektórzy przynosili głowy zabitych wrogów i z dumą prezentowali je obu wodzom.

W końcu wywlekli na zewnątrz samego władcy, wychudzonego pięćdziesięciolatka z długimi, czarnymi włosami splecionymi w warkocze. Żył jeszcze, chociaż z jego licznych ran płynęła krew. Zmusili go, żeby

uklął w błocie, po czym poczęstowali paroma kopniakami oraz ciosami w głowę i plecy.

– Znaleźliście ich skarb? – zapytał swoich ludzi Sweneld.

Wojownicy pokręcili przecząco rudymi głowami z brodami mokrymi od ulewy.

– Porządnie przeszukaliście dom? – zagrział z rozdrażnieniem szpakowaty Wareg. – To główna siedziba plemienia, władca musi mieć ukryte złoto, srebro, bursztyn, może nawet perły i kość słoniową od kupców z południa...

– Znaleźliśmy skrzynię obitą żelazem – zameldował jeden z ruskich zabijaków. – Była zupełnie pusta, chociaż zamknięta na wielgachny zamek. Może wcześniej było w niej coś cennego...

– Gdzieś to schowali – zawarczał Sweneld. – Wyciągniecie z tego wszarza gdzie. Czy ktoś rozumie ich gaworzenie?

Światosław obejrzał się w siodle i skinął na Ilję.

– Może ty, Muromcze? Czy wasz ojczysty język nie jest podobny do mowy tego plemienia?

Młodzieniec z wahaniem skinął głową. Potem zsiadł z Buruszka i podszedł do naczelnika Moksów. Zmaltretowany mężczyzna spojrzał na niego szparkami w ciemniejących, coraz bardziej puchnących powiekach. Ilja zdjął z głowy kaptur, już i tak był przemoczony do suchej nitki. I z jakiegoś powodu chciał, żeby jeniec widział jego twarz.

– Chcą waszego skarbu – powiedział powoli, wyraźnie. – Waszego złota i drogich kamieni. Powiedz im, gdzie są schowane.

Moksza ostatkiem sił podniósł w uśmiechu kąciki warg, które skrywały jamę ustną pełną połamanych zębów, i splunął pod nogi Muromca krwawą śliną.

– Nigdy... go nie znajdą...

– Znajdą, wierz mi – zachmurzył się Ilja. – Nie ma sensu tego ukrywać.



Powiedz, gdzie jest skarb, inaczej wezmą cię na męki.

– Nie znajdują... – powtórzył władyka. – Mój syn go wziął... i wywiózł do lasu... Deszcz zmył ślady... Bogowie są po naszej stronie...

Ilja westchnął i pokiwał głową, patrząc mężnemu Mokszy prosto w ślepnące oczy. Było mu go szkoda, ale w tej chwili nie mógł nic dla niego zrobić. Wyprostował się i spojrzał na Światosława.

– Mówi, że jego syn jeszcze przed atakiem zabrał złoto z grodu.

– Dokąd je zabrał? – szczechnął Sweneld. – Niech gada, gdzie mają schowek, inaczej będziemy drzeć z niego pasy!

– Nie warto się trudzić – wtrącił Wołch Wsiesławiewicz. – Gdyby chodziło tylko o złoto, może by nam w końcu zdradził kryjówkę. Ale syna nie wyda nawet na najgorszych mękach. Ja znajdę ten skarb.

Wareski wódz przewiercił go spojrzeniem jedyne zdrowego oka.

– Naprawdę? Tak mocno wierzysz w te swoje drewnańskie czary-mary?

– Właśnie tak. – Wołch sztywno skinął głową i dał znak Światosławowi. Księżę zsiadł z konia i ruszył w stronę kłęczącego Mokszy. Po drodze powoli, jakby bez większej chęci, wyciągał z pochwy miecz.

– Odejdź, Iljo.

Muromiec cofnął się posłusznie. Szeroka, pokryta runami klinga wzniosła się w górę. Krople deszczu rozpryskiwały się o nią głośno. Wódz wymordowanego plemienia wyprostował się dumnie i spojrzał młodemu Kijowianinowi prosto w oczy. Światosław zaciął usta.

I ciał. Oburącz, mocno, pewnie.

Ciało zważyło się na ziemię i wierzgało w konwulsjach, nogami rozbryzgując błoto zmieszane z krwią. Światosław, o twarzy jak wyciosanej z marmuru, złapał uciętą głowę za czarne włosy, odwrócił się ku Waregom i podniósł krwawe trofeum, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. Stojący wokół wojownicy wydali okrzyk zwycięstwa i uderzyli bronią o tarcze.

Gdzieś w oddali zagrzmiało, tak jakby sam Perun chciał pozdrowić

zwycięzców. Deszcz nie ustawał.



Kiedy Ilja i Jegor, dawno po zmroku, wrócili z podwórca do siedziby władcy, byli zdyszani, potłuczeni i – tak jak po każdym ćwiczebnym boju – dusili w sobie wściekłość. W długiej, przestronnej sali uczt panował dziwny nastrój. Sweneld i jego ludzie, co do jednego najemnicy, pochodzący z ziem leżących daleko na północy, za Morzem Wareskim, głośno świętowali zwycięstwo, pili bez opamiętania, wznosili okrzyki i bez przerwy rechotali z byle powodu. Przywlekli też kilka miejscowych dziewcząt i bez żadnego skrępowania chędożyli je wprost na oczach towarzyszy.

Światosław z Wołchem, Mikułą i gorynyczami siedzieli na przeciwnym końcu długachnego stołu. Podczas gdy reszta opychała się pieczoną baraniną, aż im tłuszcz kapał po brodzie, i zapijała gęstym kumysem, książę chmurnie, z nieobecny wyrazem twarzy, pochylał się nad misą pełną ciepłej wody. Mikuła stał przy nim, trzymając składany nóż. Golił wodzowi głowę. Zazwyczaj robił to chory teraz Alosza Książewicz. Sielaninowicz usługiwał w ten sposób księciu po raz pierwszy, więc obchodził się z piekielnie naostrzoną klingą nadzwyczaj ostrożnie.

Drużyna nie była w szczególnie dobrym nastroju. Gorynycze może by się i przyłączyli do prostackich zabaw Waregów, ale książę był niezwykle ponury, więc i oni milczeli. Kiedy jednak pojawiła się mokra od deszczu, obryzgana błotem dwójka, Światosław oderwał wzrok od swego niewyraźnego odbicia w misce i spojrzął na wchodzących. Mikuła w ostatniej chwili cofnął rękę z brzytwą.

– No i co, jak mu idzie? – zapytał książę.

– Jak żrebackowi, który właśnie wypadł z kobyły i usiłuje galopować za stadem – odciął się z gniewem Jegor, odłożył sfatygowany dębowy kij, zrzucił przemoczony płaszcz i pospieszył do ognia rozgrzać kości. – Bóg mi świadkiem, siły ma tyle, że mógłby nią kilku obdzielić, ale tylko by tłuł i

walił, w co popadnie. Będę się musiał nieźle namozolić, żeby go nauczyć prawdziwej sztuki walki...

– Zauważyłem, bracie, że trochę kulejesz. – Uśmiechnął się półgębkiem Wołch i zerknął na Ilję. – To znaczy, że jednak dosięgnął cię lagą i nie tak znowu słabo. Nie jest z nim więc aż tak źle.

– Dosięgnął mnie, kiedy się poślizgnąłem na krowim placku – odburknął Jegor. Złapał swoją długią brodę w dwóch miejscach, przy szyi i koło pępka, skręcił ją i wyjął, jak się wyzima wyprane płótno. Woda płynęła strumieniem z siwawych włosów. – Miał szczęście, nic więcej.

Ilja tylko wzruszył ramionami, usiadł z innymi bojarami i niecierpliwie złapał podany przez Wołcha kubek z kumysem. W ciągu dnia starał się wytrzymać bez mocniejszych napitków – mimo że ciało przywykłe do ich dużych ilości boleśnie domagało się alkoholu – ale każdego wieczoru musiał w siebie coś wlać. Zwłaszcza kiedy całe ciało trzęsło się z bólu po ciosach Jegora, mięśnie drżały ze zmęczenia, a chłód niezwykle zimnego deszczu zamieniał jego krew w powoli płynący miód.

Nagle usłyszał kasznięcie i szuranie nogami.

– Hej, Sielaninowiczu... – wychrypiął słaby głos. – To jest... to jest moje zadanie... Spojrzeli na siebie zaskoczeni, a potem odwrócili się. Z cienia w tylnym kącie izby, jak zjawa albo ożywiony czarami trup, wytoczył się Alosza Książewicz. Na ramiona zarzucił niedźwiedzie futro, którym go przykryli, kiedy, wciąż nieprzytomnego, położyli na łóżku. Miał bladą twarz, oczy zaczerwienione, policzki zapadnięte, ale widać było, że otaczający siebie świat widzi dobrze, bez gorączkowych majaków.

– Chętnie bym ci je odstąpił, wierz mi – zaśmiał się Mikuła, odłożył brzytwę i spieszył podeprzeć zataczającego się Ulicza. – Tylko że gdybyś się za to zabrał tymi drżącymi rękami, głowa gosudara już wkrótce wyglądałaby, jakby tańcowała na niej miecze całego bułgarskiego wojska!

– Nie powinienes nas tak straszyć, Aloszo – przywitał rannego bojara

Światosław. – Myśleliśmy w pierwszej chwili, że to duch jakiegoś zabitego Mokszy przyszedł po odpłatę!

Drużyna roześmiała się – bardzo, bardzo ponuro. Alosza pozwolił Mikule posadzić się na ławie i rozejrzał się, nie rozumiejąc.

– Mokszowie? – wychrypiał. – To już jesteśmy... w Mordwie?

– Właśnie tak. – Księżę poklepał go po zwieszonym ramieniu. – Przespałeś porządny kawał drogi, nie podziwiałeś widoku deszczowego lasu, błotnistych łąk i mętnej Mokszy. Właściwie, aż do tej chwili martwiliśmy się, czy się w ogóle przebudzisz, na szczęście twarda z ciebie sztuka. Witaj wśród żywych!

– Chociaż, prawdę mówiąc – skrzywił się Wołch – wyglądasz tak, jakbyś właśnie wstał z grobu.

– Tak też... się czuję... – wycharczał Alosza. – Co się właściwie... stało? Pamiętam... że ruszyłem na polowanie... Tam była świątynia... I kapłanki... – Zachmurzył się, ponieważ widocznie przypomniał sobie coś strasznego. – Jak... jak wyście mnie...

– To Ilja. – Mikula wskazał Muromca i znowu z westchnieniem chwycił za brzytwę. – Wywęszył świątynię, nie dał się złapać w magiczną pułapkę i wbił najważniejszej strzydze włócznię w to jej czarne serce. Myślała pewnie, że wbije w nią co innego.

Stół znowu obiegnęła fala ponurego śmiechu.

– Ilja? – Alosza spojrział tępo na młodzieńca. Najwyraźniej nie pamiętał swojego wybawiciela, ale krótkim skinieniem głowy wyraził wdzięczność. Siłacz lekko się do niego uśmiechnął.

– Ulicz jednak żyje – huknął znienacka Sweneld, który odwrócił się od hulających Waregów ku szczytowi stołu, gdzie siedziała księżęca drużyna. – To tylko utwierdza mój sąd, że bogowie są dla niego niezwykle łaskawi. Jako dziecko przeżył nasz atak na Pereseceń, z niewolnika stał się bohaterem, a teraz...

– Bogowie nie mają z tym nic wspólnego – niecierpliwie przerwał mu

Światosław. – To moi chłopcy nie pozwolili, żeby zdechł w obcym lesie.

Wareskiemu wodzowi uśmiech zamarł na wargach.

– Czy mi się tylko wydaje, książę, czy naprawdę słyszę w twoim głosie wymówkę? Masz zamiar mnie oskarżyć, że umyślnie zostawiłem Ulicza na pastwę losu?

– A nie było tak? – Władca Kijowa wyprostował się prędko. Spod ostrza brzytwy trysnęła cienka strużka krwi. Mikuła drgnął i ze strachem przewrócił oczyma, ale Światosław nie zwrócił uwagi na draśnięcie. – Może nie wiedziałeś, że wyruszył na polowanie? I nie zauważyłeś, że nie wrócił?

– Wiedziałem. I zauważyłem – wycedził Sweneld przez zęby. Wyraźnie był już trochę zamroczony miodem i jego nastrój zmieniał się z chwili na chwilę. – Tylko co, twoim zdaniem, miałem zrobić? Wstrzymać całe wojsko i ruszyć na poszukiwania? Błądzić po lasach i pozwolić, żeby moi ludzie stali beczynnie na granicy, dając Moksom czas na przygotowanie i zebranie sił? Z powodu jakiegoś Ulicza, który nie umie sam o siebie zadbać?

– Ulicz, Radymicz czy Wareg, najemnik czy były niewolnik, książę czy chłop z urodzenia, to przecież wszystko jedno! Jesteśmy równi. Nie musiałeś wstrzymywać pochodu. Na poszukiwanie Aloszy wystarczyło wysłać dwóch, trzech ludzi. Jeśli obojętnie machniemy ręką na życie jednego z naszych, wkrótce przestanie nam zależeć na losie całych zastępów. To nie jest cecha dobrego przywódcy, sam mnie tego uczyłeś!

– Pomyśl chwilę, książę! – Siwy Wareg łypnął zdrowym okiem. – Jestem ich wodzem, nie niańką! Gdybym trąbił na alarm z powodu każdego zabłąkanego człowieka i co chwila oglądał się przez ramię, do dziś widzielibyśmy wieże Kijowa!

– Ostrzegam cię, Sigurdssonie – warknął Światosław. – Służyłeś wiernie memu ojcu i matce, przewodziłeś kijowskim wojskom, kiedy ja biegałem po zamku z gołym tyłkiem. To ci jednak nie daje prawa podnosić na mnie głosu. Nie zapominaj, że w moich żyłach płynie krew Ingwara i Ruryka!

– A ty nie zapominaj – odciął się uparty Sweneld – że większa część kijowskiego wojska jest gotowa zginąć za mnie, nie za ciebie! Tak naprawdę, ja tu dowodzę. Ty na szacunek i oddanie ludzi musisz dopiero zasłużyć!

Światosław zacisnął zęby, aż żyły wystąpiły mu na w połowie ogolonej czaszce, a potem wstał powoli, przybierając groźny wyraz twarzy. W sali zapanowała cisza. Nawet rozbawieni Waregowie ucichli, odepchnęli od siebie łkające kobiety i zwrócili spojrzenia na zagniewanych wodzów.

– Przestańcie się kłócić – syknął Wołch i złapał księcia za łokieć. – Przynajmniej nie na oczach własnych ludzi. To się źle skończy...

– Nie mieszaj się do tego, czarowniku – syknął Sweneld i powiódł po księżęcej drużynie niemal pogardliwym spojrzeniem. – Tylko na siebie spójrzcie! Wojsko świętuje, raduje się ze zwycięstwa, a wy siedzicie z nosami spuszczoneymi na kwintę jak stare panny, których od dawna nikt nie wychędożył! Co ci siadło na nos, księżę? Dzisiaj zdobyłem dla ciebie gród, kolejne plemię padło przed tobą na kolana! A ty, zamiast podziękować, wymyślasz mi za to, że nie biegłem ratować byłego niewolnika ze szponów leśnych wiedźm? Kiedy opuszczaliśmy Kijów, mówiłeś bez ustanku o rozszerzaniu granic księstwa, zdobywaniu dalekich miast i jednoczeniu plemion pod twoim panowaniem. Zmieniłeś po drodze zamiar?

– Nie zmieniłem – warknął Światosław po chwili milczenia, które było napięte jak cięciwa dobrego łuku koczowników. – I nie odmawiam ci zasług. Ale jak słusznie wspomniałeś, mówiłem o jednoczeniu plemion. Nie o ich mordowaniu. Nie zbudujemy nowego mocarstwa z popiołu i trupów!

– Na Odyna, a jak to sobie wyobrażałeś? Nie myślałeś chyba, że podbijesz świat gadkami o szlachetności, miłosierdziu i szczytnych celach? Albo może intrygami i podstępem, jak to mają we zwyczaju Grecy i Chazarowie?

– Oczywiście, że nie. Ale dlaczego zawsze musimy być okrutni i nieść tylko śmierć? Nie możemy korzystać z naszej wareskiej chytrości?

– Dlatego, że jedno bez drugiego się nie obejdzie. Przypomnij sobie, jak

twoja matka zmiądzzyła Drewlan. Okłamała ich, przechytrzyła, wciągnęła możnych w zasadzkę, ale dobrze wiedziała, że to nie wystarczy. Kiedy tylko dali się złapać, kazała ich pomordować bez litości. Paliła wrogów albo grzebała żywcem lub rozrywała między brzoźami. Postąpiła z nimi dokładnie tak, jak oni postąpili z Ingwarem. I ona, mądra kobieta, wiedziała, że to nieuniknione. Rozumiała, że jeśli chce się być potężnym władcą, trzeba siać grozę.

– Okrucieństwo to nie jedyny sposób – odparł Światosław. – Przekonałem się o tym w Muromiu. Nie musieliśmy zabijać i palić, żeby przed nami uklękli i oddali swoje miecze.

– A wiesz dlaczego? – Skrzywił się Sweneld. – Bo się ciebie bali. Bo wiedzieli, że idzie syn człowieka, który odważył się napaść na sam Carogród, potomek kobiety, która zrównała z ziemią stare grody Malin i Wruczy. Nie rozumiesz, Światosławie? Te plemiona srają w gacie na twój widok dzięki sławie Ingwara i Helgi, nie twoim własnym zdolnościom. Jeśli chcesz, żeby drżeli też na dźwięk imienia Światosław, musisz ich przekonać o swojej sile!

Księżę wziął głęboki wdech. Opierał się o blat stołu zaciśniętymi pięściami. Krwawa strużka ze skaleczonego ciemienia spłynęła mu na czoło i kapiała z brwi na stół, ale on jakby wcale tego nie zauważył.

– Nie pouczaj mnie, Sweneldzie. Już nie jestem smarkaczem, którego razem z Asmundem wychowywaliście w Nowogrodzie. W twoich słowach jest trochę racji, przyznaję, ale strach to nie wszystko. Istnieje jeszcze szacunek, podziw i cześć. Mój ojciec nigdy tego nie zrozumiał. Szerzył tylko grozę, a plemiona znad Sławutyczy pamiętają go jako srogiego, bezwzględnego i chciwego człowieka. Wspominają go z nienawiścią, a kiedy wypowiadają jego imię, spluwają, jakby mówili o potworze czy demonie. Ja nie chcę tylko zdobywać i niszczyć, chcę być prawdziwym wodzem. Masz rację, brakuje mi doświadczenia, to moja pierwsza wielka wyprawa wojenna. Wyjdę z tej próby zwycięski, ślubuję tobie i całemu wojsku, a Perun i Odyn są moimi świadkami. – Wielki księżę wyprostował się dumnie i podniósł

głos. – Na wschodzie oczekuje nas prawdziwy bój i prawdziwa sława wojenna. Nad Itelem spotkamy się z wyćwiczonym wojskiem, nie z garstką chłopów i leśnych dzikusów, którym rano rozwalicie bramę grodową, a już wieczorem siejecie synów w łonach ich kobiet. Będziemy świętować, gdy pokonamy jazdę emira Ahmeda i wkroczymy do Bułgaru. Dopiero wtedy Kijów pokaże swą rzeczywistą potęgę! Może chcecie powiedzieć, że nie pójdziecie ze mną na tę bitwę?

Pod koniec głos Światosława rozbrzmiewał w sali jak odgłos gromu. Kiedy ksiązę podkreślił ostatnie słowa uderzeniem pięści w stół, wszystkim obecnym ludziom, Waregom i gorynyczom, wzburzyła się krew w żyłach i odpowiedzieli na wezwanie władcy gromadnym okrzykiem, zaczęli tłuc pięściami i rękojeściami noży w stół, a potem rażno wznieśli puchary, aż napitki ułały się z nich jako niezamierzona obiata dla bogów. Nawet sam Sweneld cofnął się o krok. Przez chwilę tylko patrzył, potem jednak kiwnął głową z uznaniem i skrzywił pobliźnioną twarz w uśmiechu.

– Dobra przemowa, ksiązę – powiedział chrapliwie. – Zobaczymy, czy w boju też uda ci się tak wszystkich natchnąć do walki.

– Wkrótce się o tym przekonamy. – Skinął głową Światosław. Jego głos był już spokojny, jakby przed chwilą nie kipiał gniewem. – Zatrzymamy się tutaj jeden dzień. Myślę, że możemy sobie pozwolić na taką zwłokę. Pojutrze rano wszyscy razem wyruszymy na wschód, ku rzece Latur, a potem przeprawimy się przez Surę i pójdziemy prosto nad Itil. Tam, pod wałami Bułgaru – Światosławowi zjeżyły się wąsy – udowodnię wam, że jestem godzien tytułu wielkiego księcia Kijowa.

Bojarzy zamruczeli z uznaniem i znów wznieśli puchary.



W nocy przestało padać i świt zastał lasy nad Mokszą tonące w gęstej mgle. Przez stołeczny gród ludu Mokszów, Mordwę, przepływał niezwykle opar. Chwilami wyglądało to tak, jakby z rzeki wynurzały się na brzeg



zastępy duchów.

Mikuła Sielaninowicz poczłapał na podwórze, żeby się wysikać. Zazwyczaj wstawał jako pierwszy – bojarzy po nocnych pijatykach wysypiali się do późna, ale on nie potrafił się pozbyć wiejskich zwyczajów. Prości chłopci, do których on sam należał jeszcze przed dwoma laty, wstawali, kiedy było jeszcze ciemno, żeby zadbać o hodowane zwierzęta, nanosić wody, narąbać drewna. Dziś jednak ktoś go wyprzedził. W mokrej ciszy już stukwały kije, a we mgle przed dworem władyki, dysząc i sycząc przekleństwa, poruszało się dwóch potężnych mężczyzn. Ich stopy miesiły błoto i chlupotały w mętnych kałużach.

– Jegorze, książę kazał go wyćwiczyć, nie zamęczyć na śmierć – zaśmiał się Sielaninowicz, kiedy już opróżnił pęcherz i ruszył w stronę walczących.

– Ma sił za trzech – parsknął Światogor, kiedy oderwali się od siebie i cofnęli. – Wytrzyma. Gdyby przypadkiem nie wytrzymał, to by znaczyło, że się nie nadaje.

– Tylko że – Muromiec dyszał, co znaczyło, że podstarzały bohater daje mu się we znaki – nie jestem wcale taki pewien, że to wszystko się do czegoś przyda.

– Jak śmiesz w to wątpić? – oburzył się Jegor. – Umiejętność władania mieczem to przewaga, którą powinieneś cenić. W Carogrodzie, gdzie się jej nauczyłem, tę sztukę nazywają szermierką. W naszych stronach mało kto naprawdę się na niej zna. Tutejsi ludzie przywykli używać toporów, młotów i maczug. Do walki nimi też trzeba pewnej zręczności, ale najczęściej chodzi tylko o to, kto szybciej i mocniej walnie przeciwnika, strzaska mu tarczę, rozbije pancerz, połamie kości. Miecz to zupełnie inna broń. Nie darmo nazywają go narzędziem możnych, przedłużeniem ręki bohaterów. Większość tutejszych właścicieli mieczy używa ich tylko do sieczenia, machają nimi i rąbią jak jacyś drwale. Kiedy nauczysz się obchodzić z mieczem, staniesz się niezwykły. Miecz to broń przyszłości.

– Jeśli o to chodzi, brat Światogor chyba ma rację – przyznał Mikuła. –

Ale ja i tak pozostanę przy młocie bojowym. Wydaje mi się... dobitniejszy. Mój stary dobry bykowiec też nieraz sprawdził się w boju. Był nawet skuteczniejszy w starciu z nieprzyjacielem, niż przy ganianiu krów u nas w domu, w Wilczyńcu. Jeśli kiedyś zechcesz, Iljo, nauczę cię, jak nim smagać i wyrywać przeciwnikom broń z ręki.

Ilja nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ w tej chwili we mgle zadudniły kopyta.

Uliczką od strony wyłamanej bramy pędził samotny jeździec.

– Patrzcie tylko – zdziwił się Mikuła. – Jakiś ranny ptaszek wyprzedził nawet nas trzech.

– Tak naprawdę – odparł Wołch, ponieważ to on wynurzył się ze słotnej szarości – wcale się nie kładłem.

– Trzeba dotrzymać obietnicy, co? – wtrącił Jegor. – No i jak, wytropiłeś skarb Mokszów?

– Jeszcze nie. Ale znalazłem ścieżkę, która prowadzi do wzgórz na północy. Myślę, że właśnie nią uciekł syn władki razem ze wszystkimi kosztownościami.

– Skąd ta pewność? – wątpił Jegor. – Deszcz musiał zmyć wszystkie ślady.

– Są takie ślady, których nie zmyje najgwałtowniejsza ulewa. – Zagadkowo uśmiechnął się Wołch. – I świadkowie, którym odrobina wody nie przyćmi wzroku.

– Znów rozmawiałeś ze zwierzętami? – zapytał Mikuła.

– Może. Siodłajcie konie, bracia. Poszedłbym sam na poszukiwanie skarbu, ale możliwe, że pilnuje go więcej ludzi. Na pewno będą dobrze uzbrojeni. Przyda mi się wasza pomoc.

– Zaiste, zaszczyt to dla nas – parsknął Jegor, ale bez ociągania odwrócił się na pięcie i skierował się do pobliskiej stajni. Mikuła ruszył jego śladem.

– Jadę z wami – Ilja spojrzał Wołchowi w oczy. Zdał sobie sprawę, że oto otwiera się przed nim trzecia droga ze snów. Wszystko układało się w całość,

aż Muromiec zaczął się obawiać wyroków losu.

Przywódca gorynychców skrzywił usta w uśmiechu.

– Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem. Nie ociągaj się więc, Muromcze, i wskakuj na siodło!



– Niedobre tu ziemie, kamieniste – mrucał Mikuła, kiedy wjeżdżali krętą ścieżyną na wzgórze. Pod kopytami rumaków dzwoniły skały, las wokoło zrzedł, między drzewami walało się mnóstwo głazów. – Na pewno trudno się je orze. Są prawie tak złe, jak u mnie w Wilczyńcu.

– O ile dobrze pamiętam – obejrzał się Wołch, jadący na czele grupki jeźdźców i rozpędzający mgłę czarodziejską poświatą Malachitowego Kostura – wokoło Wilczyńca ziemia nie była kamienista, ale bagienna. Jak w całej krainie Dregowiczów.

– Pamięć dobrze ci służy, bracie. Stare słowo *dregva* znaczy „mokrado”, więc my, Dregowicze, jesteśmy po prostu ludźmi z mokradeł. Każdy oracz potwierdzi, że na podmokłym gruncie gospodarzy się tak samo źle, jak na skalistym. Wszystko jedno, czy ziarno przygniotą kamienie, czy zgnije w błocie.

– Nareszcie się dowiedziałem, z którego plemienia pochodzisz. – Ilja spojrział na jadącego przy nim kłusem Mikułę.

– Wcześniej się nie domyślałeś, smarkaczu? – zdziwił się Sielaninowicz. – Przecież ci mówiłem, że pochodzę z Wilczyńca. Każdy wie, że Wilczyniec leży w ziemi Dregowiczów.

– Może i każdy, ale *ja* nigdy wcześniej nie słyszałem o tej wsi.

– O wsi?! – krzyknął Mikuła, aż Jegor i Wołch przebili go ostrzegawczymi spojrzeniami, znajdowali się przecież na wrogiej ziemi i nie powinni byli robić niepotrzebnego hałasu. – Sam jesteś ze wsi, matole! Wilczyniec to nie żadna wieś, ale mocny, dumny gród. Prawda, nie jest taki wielki jak Turów,

siedziba dregowickiego księcia, ale za to dobrze obwałowany. Palisady ma wysokie, spiczaste dachy wież rozrywają chmury, a wały opływa rów tak głęboki, że pięciu wysokich chłopów mogłoby w nim stanąć jeden na drugim, a ten na górze i tak nie dosięgałby powierzchni...

– Polewka z topora – parsknął Ilja, który nie mógł znieść, że właśnie Mikuła, o którym wszyscy wiedzieli, że jest prostym chłopem, wyzywa go od wiejskich matołów. Jakby stary, ubabrany w gnoju cap robił mu przytyki, że pachy mu śmierdzą.

– Polewka z topora – potwierdził Wołch z szyderczym uśmiechem. – Zapominasz o tym, bracie Mikuło, że widziałem Wilczyniec na własne oczy. Taka sobie osada, otoczona palisadą i śmierdzącym bajorem.

Mikuła poczerwieniał ze złości.

– Polewka z topora? Jaka polewka z topora? Co to właściwie ma być, żeby wam jaja zgniły?! Słyszę to ciągle. Co to ma znaczyć?

– Nie słyszałeś nigdy o polewce z topora? – Ilja podśmiewał się z Mikuły.  
– Przecież wszyscy znają tę opowiastkę.

– Wszyscy? Jasne! Jegorze, czy wiesz, co to za brednie?

– Pewnie, że wiem. – Kiwnął głową Światogor. – Chodzi o wojownika z plemienia Krywiczów, który wracał do domu z wyprawy księcia Helgiego na Carogród...

– Moja mama twierdziła, że to był Wiatycz i wracał z wojny z Pieczyngami – wtrącił Ilja.

Wołch się roześmiał.

– Ja słyszałem, że to był Drewlanin, który brał udział w wyprawie Ingwara przeciwko Chazarom.

– Mniejsza o to, skąd pochodził i na jakiej wojnie walczył. – Machnął ręką Ilja. – Ważne jest to, że wracał do domu tak, jak większość prostych wojów – bez łupów, bez nagrody za przelaną krew, nawet bez konia. Nie miał niczego prócz paru świeżych blizn, masy przykrych wspomnień i topora, którym

odrąbywał głowy Pieczyngów...

– Greków.

– Chazarów.

– Wszystko jedno. – Ilja wzruszył ramionami. – Kiedy tak włókł się przez lasy, wycieńczony i głodny jak wilk, pewnego dnia dotarł do samotnej chaty. Przy domu ogródek i poletko, chlewik z prosiątkiem, sad owocowy. Przyszło mu do głowy, że jeśli pięknie poprosi, dobrzy, żyjący dostatnio ludzie na pewno dadzą mu coś na wieczerzę. Zastukał więc do drzwi, grzecznie zdjął z głowy czapkę, życzył dobrego wieczoru i zapytał, czy dostanie trochę strawy i garść słomy na posłanie. Tylko że staruszek i staruszka, którzy mieszkali w tym domu, byli strasznie skąpi. Krzyczeli wniebogłosy, że ma sobie iść precz, że oni biedni, sami nic nie mają, prawie przymierają głodem i nie mogą karmić i gościć każdego włóczęgi, który zabłądzi do ich domku. I niech lepiej wraca do lasu, przykryje się liśćmi i choiną, a na wieczerzę nazbiera korzonków i grzybów. Woj zaraz ich przejrzał, pomyślał bystrym wiatyckim rozumem...

– Krzywickim.

– Drewlańskim.

– ...i pyta starych sknerów, czy by mu przynajmniej kotła i warząchwii nie pożyczyli, to sam sobie uwarzy polewkę. Zdziwili się, z czego chce ją gotować. Odparł: „z topora”. A że byli nie tylko skąpi, ale też głupi jak dwa spróchniałe pnie, nie przejrżeli podstępui. Z ciekawości, jak też wojak chce uwarzyć polewkę z topora, pożyczyli mu kociołek i warząchew. Woj naniósł z lasu chrustu, rozpałił ogień, napełnił kociołek wodą ze źródła. I bach, wrzucił do niej żeleźce topora. Potem spokojnie czekał, aż woda zacznie wrzeć, zacierał ręce i oblizywał łakomie wąsy. Kiedy w kociołku zaczęło bulgotać, wziął warząchew i spróbował polewki. Mlaskał ze smakiem, że niby taka dobra, ale że trzeba nasypać jeszcze trochę soli. Skąpcy, którzy oczywiście czekali z niecierpliwością i bardzo byli ciekawi, jak też wieczerza będzie smakować, pobiegli do domu i przynieśli woreczek soli. Woj posolił,

zamieszał, znów posmakował i spytał, czy by mu nie przynieśli trochę cebuli...

– Ha! – przerwał mu Mikuła. – Już mi świta. Potem poprosił o czosnek, marchew, kaszę, może nawet o kawałek mięsa. Mam rację?

Ilja kiwnął głową.

– Wreszcie polewka była gęsta i sycąca. Woj zdjął ją z ognia i poczęstował starych skąpców. Jedli z nim razem i chwalili, jaki ten topór smaczny. Dziwili się niezmiernie, kiedy wszystko już zjedli i zobaczyli ostrze topora na dnie kotła. Wojak tylko wzruszył ramionami, że widocznie za słabo mieszał, skoro żelazo się nie rozgotowało. Ale to nic nie szkodzi, przynajmniej będzie mógł sobie jeszcze kiedyś ugotować kolejną dobrą polewkę.

– Już rozumiesz, wiejski matole? – Jegor spojrzał na Mikułę. – Rozumiesz już, co to polewka z topora?

Sielaninowicz zmrużył oczy.

– Pewnie, że rozumiem. Kłamstwo, oszustwo, podstęp, wymysł. Chcecie powiedzieć, że was bałamucę z tym Wilczyńcem, tak? To mi chciałeś dać do zrozumienia, Wołchu? Tylko spróbuj zaprzeczyć, że grodu nie chroni rów. Wiem, dlaczego nie chcesz o tym mówić. Dlatego, że sam się skąpałeś w tej śmierdzącej wodzie!

– Naprawdę? – Zaśmiał się Ilja. – Co się tam stało?

Nie przeszli jednak do ciągu dalszego. Jadący na czele Wołch syknął ostrzegawczo, ściągnął wodze gniadosza i uniósł laskę. Łuska na jej końcu zaświeciła jaśniej, aż szarawa mgła wokoło zbielała i rozstąpiła się. Ilja zauważył, że Jegor sięgnął po Śmierć. Mikuła zacisnął w dłoni zwinięty batog, wiszący dotąd na kuli siodła jego kobyłki.

Przed nimi pośród oparów zamajaczył wielki, ciemny kształt. Muromiec zachmurzył się. Nie mieli się czego bać, był to przecież tylko ogromny głaz, czarny jak węgiel, ale Ilja natychmiast przypomniał sobie sen. Przysięgłby, że właśnie ten kamień wznosił się pośrodku niesamowitego stepu pod

zielonkawym niebem. Różnica była taka, że na tym nie widniał żaden napis, jego powierzchnia była matowa, nawet nie błyszczał od wilgoci. Ilja rażno ściągnął wodze i zatrzymał Buruszka.

– Co takiego? – Obejrzał się Wołch, który obojętnie minął kamień i wyraźnie zamierzał dalej jechać ścieżką.

Siłacz gapił się na głaz.

KTO MA DOŚĆ SIŁY, ABY ODWALIĆ TEN KAMIEŃ, WZBOGACI SIĘ.

– To tutaj – Ilja powiedział nieprzytomnie.

– Co? – Mikuła i Jegor zatrzymali się przy nim, obaj z pytającym wyrazem twarzy.

Wołch też zawrócił gniadosza i podjechał do głazu.

– Musimy odwalić ten kamień. – Ilja odpowiedział na jego spojrzenie. – Skarb jest ukryty pod nim.

– Skąd możesz to wiedzieć? – mruknął Jegor, tak ściągając brwi, że zetknęły się u nasady nosa. – Prawda, ten kamień jest czarny, zupełnie inny niż skały wokoło, jak gdyby nie był stąd, ale to jeszcze nie znaczy...

Wołch uciszył go szybkim gestem.

– Dlaczego myślisz, Muromcze, że skrytka jest tutaj?

– Widziałem to we śnie. – Ilja uśmiechnął się krzywo. – Byłem na rozstajach trzech dróg. Stał tam kamień z napisem.

Szmaragdowe oczy gorynycza dziwnie zabłysły.

– Jedna z nich zaprowadziła cię do leśnej świątyni, prawda? Dzięki sennej wizji znalazłeś Aloszę...

Muromiec kiwnął głową.

– Co to za czary? – Jegor skrzywił usta.

– Mnie o to nie pytaj. – Ilja wzruszył ramionami. – Pojęcia nie mam, które bóstwo zesłało mi ten sen, ale już dwa razy spełniło się to, co w nim

ujrzałem...

– Potem nam o tym opowiesz – zakończył sprawę Wołch. – Teraz zsiądźcie z koni i oprzyjcie się o głaz.

– Nie wierzysz chyba, że tu naprawdę... – zaczął Mikuła.

– Oczywiście, że wierzę – odciął się Wołch. – Ruszcie się!

Wszyscy czterej zeskoczyli z siodła i podeszli do kamienia. Najpierw zapał się o niego Mikuła. Głaz ani drgnął. Spróbowali też Wołch z Jegorem. Głaz zachrząścił lekko i zaczął się przechylać. Kiedy Ilja przyłączył się do nich, zacisnęli zęby i naprężyli mięśnie, a ciężka, czarna bryła przewróciła się z dudnieniem i łoskotem.

– Uwaga! – krzyknął Ilja. W ostatniej chwili złapał Mikułę i odciągnął go w tył. Jegor i Wołch też musieli dziko zamachać rękami, żeby złapać równowagę. Cofnęli się szybko.

W skale pod głazem czerniała dziura szeroka na około pół sążnia. Wołch poświecił kosturem. Zobaczyli prowadzący w dół stromy szyb o krzywych kamiennych ścianach.

– Matko Mokosz – westchnął Mikuła i podziękował Ilji skinieniem głowy. Gdyby nie czujność Muromca, spadłby do otworu i paskudnie się poobijał, a może nawet połamał kości.

Wszyscy czterej wymienili zdumione spojrzenia. Potem oczy trzech bohaterów zatrzymały się na Ilji. Młodzieniec skrzywił się z zakłopotania i wzruszył ramionami.

– Jeżeli myślicie, że potrafię to wyjaśnić, to jesteście w błędzie!



Jako pierwszy do dziury wszedł Wołch – dzięki swym magicznym zdolnościom był w stanie wyczuć niebezpieczeństwo szybciej niż jego druhowie, a poza tym był najszczuplejszy. Za nim, trzymając się długiego batoga Mikuły, w podziemia zanurzył się Ilja. Na końcu szedł Sielaninowicz.



Jegor został przy koniach. Skarb na pewno miał wielu stróżów, a niektórzy mogli czatować w pobliżu i bohaterzy nie mieli najmniejszej ochoty ryzykować, że Moksowie z powrotem przytoczą czarny kamień i uwiężą ich w podziemiach. Na skutek braku miejsca tylko jeden z nich mógłby się zaprzeć od spodu, a to by nie wystarczyło, by go odsunąć.

Gdy tylko Ilja zeskoczył na dno jaskini, wyjął zza pasa topór. Zaledwie kilka uderzeń serca później stanął przy nim Mikuła, dzierżąc w garści ciężki młot. Wołch stał kawałek dalej, skulony w pozycji bojowej, w prawej ręce trzymając miecz, w lewej podniesioną laskę. Srebrny złomek w głowicy zaświecił mocniej i rozjaśnił mrok.

Stali w krętym, wąskim korytarzu, bez wątpienia wyżłobionym i ukształtowanym przez podziemną rzekę. Już od dawna tedy nie płynęła, stali więc na suchej skale, ale kiedy uważnie się wsłuchali, usłyszeli daleki huk wody w nowym korycie.

– To tutaj – powiedział przytłumionym głosem Wołch. – Na pewno.

– Czemu tak uważasz? – Podszedł do niego Mikuła.

Wsiesławiewicz przybliżył jarzący się kostur do najbliższej ściany. Pod warstwą mazi zobaczyli splot prostych rysunków, rytualnych znaków i różnobarwnych odcisków ludzkich dłoni.

– To święte miejsce Moksów. W dodatku świetnie ukryte. Gdzie indziej schowałiby plemienny skarb?

Ilja i Mikuła potaknęli bez słowa i ostrożnie, ze wzniesioną bronią, ruszyli za Wołchem. Korytarz prowadził w dół. Światło Malachitowego Kostura ślizgało się po wygładzonych wodą ścianach i rozpędzało zdradliwe cienie, jak pożar łodzi rozpędza stada szczurów pod pokładem. W ciszy rozlegał się tylko przyspieszony oddech trzech mężczyzn, czasami zgrzyt kamyków pod ich stopami bądź też echo kapiącej wody.

Czarodziejskie światło wydobyło z mroku czaszkę. Tkwiła w niszy wyżłobionej w ścianie i wpatrywała się w nich pustymi oczodołami. Mikuła z

lękiem chwycił za topór Peruna na swoich piersiach i szeptem przywołał Welesa i Mokosz. Po chwili zobaczyli więcej czaszek – twarze umarłych szczyrzyły zęby wszędzie wokół.

– Jesteśmy już blisko – syknął Wołch i mocniej ścisnął w ręce miecz.

Rzeczywiście, po kilku krokach korytarz ustąpił miejsca przestronnej sali. Stanęli na jej progu. Gorynycz wyciągnął przed siebie rękę z laską. Magiczny okruch zaczął pulsować. Jasność przybierała na sile, rosnąca plama światła stopniowo odsłaniała przed ich wzrokiem coraz większy kawał podłogi i łukowatych ścian.

Ilja czuł, jak jego serce tłucze się w klatce piersiowej. Kurczowo ścisnął w rękę stylisko ojcowskiego topora i patrzył wytrzeszczonymi oczyma, jak z ciemności wyłaniają się, porozrzucane, zwierzęce kości i czaszki. Po chwili światło dotarło do masywnego, leżącego kamienia, ociosanego z grubsza tak, że miał kształt stołu. Ciemne plamy, które go pokrywały, wskazywały na to, że patrzą na prastare miejsce składania ofiar. Światło z magicznego kostura zalało żehrę.

W tej chwili w mroku za ołtarzem błysnęły wytrzeszczone oczy. Ktoś krzyknął, a od ciemności oderwało się kilka dwunogich i dwuręcznych cieni.

– Uwaga, bracia! – Wołch krzyknął, skoczył przed siebie i błyskawicznie świsnął mieczem.

Włócznia, która nadleciała znad głazu ofiarnego, zadzwoniła na kamieniach, przecięta na dwa kawałki. Gorynycz odciął jej grot na chwilę przed tym, nim ten dosięgnął jego chronionej kolczugą piersi.

Zaskoczeni Moksowie zaczęli krzyczeć i przeklinać. Po chwili jednak w jaskini zabrzmiał ich okrzyk bojowy, a w srebrnej poświacie laski błysnęła broń i cienie rozchykotały się dziko.

Ilję zalała niezwykła mieszanina strachu i odwagi. Wypełniła go całkowicie i trysnęła w formie zdecydowanego krzyku. Mikuła i Wołch stanęli obok Muromca i wszyscy trzej, ramię w ramię, ruszyli do starcia.



Jegor pochylał się właśnie nad otworem prowadzącym do podziemi, kiedy z ciemności dobiegło złamane echo krzyku i szczękę broni. Natychmiast sięgnął po miecz. Przyszło mu do głowy, że powinien wskoczyć do jaskini i biec druhom na pomoc...

Wtem kasztanek Muromca podrzucił grzywą i parsknął głośno. Światogor obejrzał się prędko. Ze świstem wydobył Śmierć z pochwy. Także rosły wronek Jegora, siwa kobyłka Mikuły oraz gniadosz Wołcha podniosły łby i wydeły chrapy. Zarżały, po czym zaczęły w popłochu bić podkutymi kopytami o skałę.

Wyćwiczonym ruchem bojar przesunął okrągłą tarczę z pleców na lewe przedramię.

Zanim zdążył się nią okryć, we mgle zaśpiewała cięciwa.

Strzała trafiła Jegora w środek piersi – kamienny grot rozprysnął się o łuskowy pancerz, a brzechwa zawisała w gęstej, sięgającej pasa brodzie bohatera.

– Kijowska stal, gnoje – pośród siwiejących wąsów błysnęły wyszczerzone zęby. Kolejne dwie strzały zabębniły o tarczę.

– Tchórzliwe skurwysyny! – wrzasnął Jegor zupełnie nie po chrześcijańsku. – Chodźcie tu i walczcie!

Wynurzyli się z mgły, pokrzykując, machając maczugami i toporami. Szybko spojrział na nich pomiędzy dolną krawędzią hełmu a górnym skrajem tarczy. Naliczył pół tuzina wrogów. Byli o wiele młodszy od niego, silni i rozpaczliwie zdecydowani oddać życie w walce.

W pewien szczególny sposób ucieszyło go to. Może i był chrześcijaninem, może i wierzył, że miłość jest najpotężniejszą siłą na tym świecie. Był jednak również wojownikiem z krwi i kości i uwielbiał siać śmierć w szeregach nieprzyjaciół.

W następnej chwili Bóg dał mu ku temu okazję.



Krzyk, huk, zamęt. Ilja wpadł w nie niczym klonowy liść, który spadł do wodnego wiru. Jedynym źródłem światła był chwiejący się magiczny kostur, więc podziemną świątynię wypełnił dziki płas rozchybotanych cieni oraz krótkich odblasków na ostrzach broni i w wytrzeszczonych oczach. Zdezorientowany Muromiec zanurzył się w tym chaosie i na oślep rąbał toporem, mając nadzieję, że nie trafi Mikuły ani Wołcha.

Ale nie, już nie był niczym liść. Wariacka rąbanina nie wciągnęła go jak ofiary. Przebijał się przez wrogów niczym twardy kamień o ostrych krawędziach. Czuł, jak topór grzęźnie w ciałach, miażdży kości, rozrywa mięśnie. Na ręce i twarz Muromca tryskała gorąca krew. Od czasu do czasu trafiało go drzewce oszczepu, haratnęło zębate ostrze, uderzyła maczuga, ale nie zwracał na to uwagi. Rąbał, tłukł, kopał.

I wrzeszczał, żeby uwolnić się od zgrozy i bezsensownej wściekłości.



Jegor śmiał się, a jego rechot brzmiał jak odgłos gromu. Wojownik był niczym złowrogi bóg, który ze szczytów gór ciska na świat straszliwe błyskawice. Maczugi, młoty i topory waliły w dębową tarczę, czasem trafiały w pancerz albo nawet hełm. Mimo że napastnicy uderzali z całej siły, Światogor nawet się nie zachwiał. Był jak góra, której imię nosił. Śmierć odbijała broń nieprzyjaciół, tańczyła i błyskała szyderczo bursztynowym okiem.

– Co to za komarze ukłucia, pogańska zgrajo? Nie stać was na nic lepszego?

Jak na zawołanie, jedna z pałek tak uderzyła go w plecy, że naprawdę zaboląo.

Wtedy Światogor rozgniewał się na dobre i zaczął rąbać. W głowy, ręce, nogi, gdzie popadło. Deszcz krwi był bardziej rżęsisty od wczorajszej ulewy.

Bojowy krzyk Moksów przerodził się w żalosne jęki.



– Iljo!

W Muromca wstąpił krwiożerczy bies. Krzyczał, wył, siekł, jakby postradał zmysły. Z jego furkoczącego topora krew tryskała na ściany, na podłogę, pokrywała świeżymi bryzgami poplamiony stół ofiarny. Moksowie starali się uciec z zasięgu broni szalonego zabijaki, ale Ilia bezlitośnie wbijał im ostrze w nerki, plecy, między łopatki, gdzie tylko dosięgnął.

– Iljo, dosyć! Słyszysz?

Nie słyszał. Jeden ze strażników skarbu cofał się przed nim z lękiem, dopóki nie potknął się o masywną czaszkę żubra i nie padł plecami na żehrę. Muromiec wzniósł topór oburącz. Moksza z głośnym lamentem i błaganiem o litość wyciągnął ku niemu ręce. Oczywiście, nie mógł nimi powstrzymać topora. Wyszczerbione ostrze przecięło nadgarstki i z trzaskiem zaryło w twarz wojownika.

– Iljo, na wszystkich bogów! Wystarczy!!!

Przed skrzywioną twarzą siłacza pojawił się Malachitowy Kostur i błysnął mu w oczy. Krzyknął, puścił stylisko topora wbitego w czaszkę Mokszy i zakrył oczy przedramionami. Zrobił kilka niepewnych kroków w tył, potknął się o zwłoki i padł między zakrwawione, miotane przedśmiertnymi drgawkami ciała. Wrzask ustał i zmienił się w niewyraźne mamrotanie.

Wołch i Mikuła schylili się nad nim. Też byli obryzgni krwią, ale zdecydowanie nie przypominali Ilji, który jakby się w niej wykapał. Zdezorientowany Muromiec spojrział znad rąk. Mikuła patrzył na niego z wyrzutem.

– Człowieku, co się z tobą stało?

– Ja... ja nie wiem...

Naprawdę nie wiedział. Wydarzenia ostatnich chwil zlały się w jego

myślach w jeden kłęb krwawych rozbryzgów, okropnego krzyku i wykrzywionych ze zgrozy twarzy nieprzyjaciół.

– Jakby cię coś opętało. – Wołch kręcił głową. – Coś złego, okrutnego, obcego. Rąbałeś jak ci zabijacy Swenelda, kiedy opanuje ich berserk, północny szal bojowy...

– Ja... nie mam pojęcia... co... – Ilji głos się załamał. Zacharczał, zrobiło mu się niedobrze, prędko odwrócił się na bok i głośno zwymiotował do kałuży świeżej krwi. Gwałtowne skurcze przeszły w urywane łkanie. Wołch i Mikuła wymienili spojrzenia i westchnęli ciężko. Potem złapali Ilję pod pachy i pomogli mu wstać. Odwracał wzrok, żeby nie widzieć jatki – w większej części będącej przeciw jego dziełem.

Magiczne światło zalało kąt za ołtarzem. Tam, między zwężającymi się skalnymi ścianami, kulił się chłopiec. Mniej więcej trzynastoletni, kościsty, bo dopiero niedawno zaczął gwałtownie rosnąć, z oczami wielkimi ze strachu. Obejmował rękami kolana przyciśnięte do brody. Kwilił cicho i trzął się jak samotna osika pośrodku smaganego wiatrem stepu.

– Syn władcyki – powiedział Wołch. – I popatrzcie, co za nim leży. W wydrążeniu skalnym leżało kilka sporych worków.

– Skarb Moksarów. – Kiwnął głową Mikuła. – Miałeś rację, Iljo. Słyszysz, Muromcze?

Oprzytomniej! Powiedz temu chłopcu, że nie musi się bać. Nic mu nie zrobimy.

– Zaprowadzimy go tylko z powrotem do Mordwy i zrobimy z niego władcę, znaczącego tyle, co szmaciana lalka – dodał Wołch z cierpkim uśmiechem. – Oczywiście, tego nie musisz mu przekładać. No jak, doszedłeś już do siebie?

Muromiec odkaszlnął, wysmarkał się w palce, otarł z twarzy krew pomieszana ze łzami, wziął głęboki wdech i z wahaniem skinął głową.

– Dobrze. – Wsiesławiewicz położył mu rękę na ramieniu. – To, co się

tutaj stało, może będzie cię przez kilka nocy straszyć w snach. Powoli jednak się z tym uporasz. Wszyscy przeżyliśmy coś podobnego. Po prostu opanował cię strach i zaćmił rozum. To się zdarza w boju. Ba, czasem może nawet ocalić ci życie.

– Mam nadzieję... – Ilja zamlaskał i splunął. – Mam nadzieję, że to był strach.



– Widzę, Jegorze, że się nie nudziłeś – stwierdził Wołch, kiedy z trudem wydostali się z podziemi i wyciągnęli na powierzchnię roztrzęsionego syna władcyki oraz worki z kosztownościami.

Wokoło dziury i odwalonego czarnego głazu leżały porozrzucone szczątki czterech ciał. Zdyszany Światogor opierał się o zakrwawiony miecz.

– Dwaj wzięli nogi za pas – burknął z niezadowoleniem. – Matko Boska, Muromcze, wyglądasz jak żyrzec po całym dniu składania ofiar. Coś ty wyprawiał na dole? I gdzie twój topór?

– Został tam, wbity w jednego martwego Mokszę – Mikuła odpowiedział zamiast chmurnego, patrzącego nieprzytomnie Ilji. – O nic więcej nie pytaj, opowiemy ci wieczorem nad pełnym kowszem.

– Tak, wracajmy już do grodu – zgodził się Wołch. – Wolałbym, żeby w tych zamglonych lasach nie zastał nas zmrok.

– Czyli sen Muromca nie kłamał – rzekł ze zdziwieniem Jegor, dosiadając wronego. – Pod kamieniem naprawdę był skarb.

Wołch skinął głową i spojrzał na Ilję.

– Słyszysz, chłopcze? – zapytał, może bardziej po to, żeby zmienić bieg jego myśli. – Najwyższy czas, żebyś nam o tym śnie powiedział coś więcej.

Muromiec popatrzył na niego i z westchnieniem kiwnął głową.



– Ciekawe – mruknął Jegor, kiedy powoli zjeżdżali leśną ścieżką w dolinę

Moksy. – Wszystkie trzy przepowiednie z kamienia spełniły się. Śmierć, miłość i bogactwo.

– Spełniły albo i nie – powątpiewał Mikuła. – Śmierci uniknął, miłość okazała się fałszywa, a skarb też nie będzie należał do niego. To wspólna zdobycz.

– No właśnie – Wołch w zamyśleniu skinął głową.

– Czy któryś z was rozumie, co to wszystko znaczy? – zapytał Ilja, który po rozlewie krwi nie miał specjalnej ochoty rozmawiać, więc o trzech drogach ze snu też opowiadał powoli i niechętnie.

– Moim zdaniem – odparł Wsiesławiewicz – to były próby. Pomyślcie tylko. Śmierć, miłość i łup to trzy największe niebezpieczeństwa, które czyhają na bohatera. Wszystkie one mogą go sprowadzić na złą drogę. Kto z nas nigdy nie stawiał czoła ich pokusie?

– Coś w tym jest – zgodził się Jegor. – Jeśli tak na to spojrzeć, służba u księcia polega na tym, że ktoś nastaje na twoje życie albo na twój honor...

– No widzisz, a Ilja uniknął tych zagrożeń. Pokonał nieprzyjaciół, przejrzał niewieści podstęp, skarbowi też nie dał się skusić. Nie musiał nam mówić, gdzie ukryto złoto. Mógł potem sam tam wrócić i próbować je zdobyć na własną rękę.

– Załóżmy, że to naprawdę były próby. – Mikuła dumiał, aż mu się kurzyło z kędzierzawej głowy. – Tylko kto zesłał je na Muromca? Jaka siła weszła w jego sny i prowadziła w stronę wszystkich pułapek?

– Też chciałbym to wiedzieć – mruknął Ilja i spojrzał pytająco na Wołcha. Gorynych tylko bezradnie pokręcił głową.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, przyjacielu. Pojęcia nie mam. Od samego początku nie mogę się pozbyć wrażenia, że twoim losem kierują tajemnicze, nadprzyrodzone siły. Dlaczego właśnie ciebie wybrały, to też zagadka. Ale prędzej czy później dowiesz się tego. Wystarczy uważać i zwracać uwagę na znaki.



Konie dotarły do podnóża wzniesienia. Z mgły zaczęły się wyłaniać puste, niedawno złupione osiedla. W szarości przed bojarami zamajaczył ciemny zarys grodowych umocnień.

Ilja czuł, że ma za sobą ważny odcinek drogi. Dokąd jednak prowadziła?



Mały, złoty, ozdobiony misternymi, kutymi ornamentami i magicznymi czertami toporek huśtał się tam i z powrotem na skórzanym rzemyku, trzymanym przez Światosława. Rozsiewał krótkie odblaski światła.

Migotliwy płomień pochodni trzymany w rękach mężczyzn stojących wokół władcy rozpędzał mgłę, która mieszała się z wieczorną szarówką.

– Chciałem to zrobić już wcześniej – przemówił z powagą kijowski książę – dobrze jednak, że czekałem. Myślę, że właśnie dziś nadszedł właściwy czas.

– Też tak sędzę – poparł go Wołch. – Lepsza okazja nie mogła się nadarzyć.

– Dzisiaj Muromiec naprawdę się wyróżnił – przyznał nawet Jegor, chociaż wciąż marszczył brwi, jak gdyby stale nad czymś rozmyślał i wnioski, do których dochodził, rodziły w nim same wątpliwości. – Bez niego nie znaleźlibyśmy skarbu.

– Nie zapominajcie, że uratował Aloszę – przypomniał Mikuła. – To też czyn godny bohatera.

Światosław skinął głową, nie spuszczając przy tym wzroku z Ilji. Kiedy znów zaczął mówić, czynił to powoli, uroczyście i podkreślał każde słowo.

– To amulet Peruna Gromowładcy, najpotężniejszego wojownika wśród wszystkich bogów, opiekuna Kijowa i ziem nad Sławutyczą, Dźwiną i jeziorem Ilmeń. Znaki takie noszą najlepsi bohaterzy w służbie Wielkiego Księstwa Kijowskiego. Gdy dotknie twojej piersi, Iljo z ludu Muromców, spotka cię wielki zaszczyt, ale nałożone zostanie na ciebie jeszcze większe

zobowiązanie. To będzie tak, jakbyś złożył przysięgę wierności. Zarazem staniesz się naszym bratem i sam otrzymasz od nas przysięgę przyjaźni. Będziesz nosił amulet do ostatniej chwili życia. Jeśli zachowasz honor, złożymy go z tobą na stosie pogrzebowym. Roztopione złoto stopi się w jedno z twymi kośćmi i popiołem. Przyjmujesz go?

Ilja wziął głęboki wdech i powiódł spojrzeniem po twarzach stojących wokół mężczyzn. Wszyscy przywdziali pełne zbroje, mieli u boku miecze i topory, a na piersi znaki swoich drużyn. Wojownicy zawiesili wzrok na Muromcu i zachowywali uroczyste, niemal nabożne milczenie – nawet Sweneld i jego dzika ruska gwardia.

Muromiec wrócił spojrzeniem do Światosława i spojrzał mu w oczy.

– Przyjmuję – wy dobył ze ściśniętego gardła.

Księżę uśmiechnął się lekko i skinął na Wołcha. Wsiesławiewicz wyciągnął ku Ilji rękę, w której trzymał nóż z naostrzoną z obu stron, pokrytą czertami klingą i niezwykle długą rękojeścią, przystosowaną do trzymania oburącz.

– Przypieczętuj przysięgę krwią przelaną na cześć Peruna.

Muromiec chwycił nóż ofiarny i odwrócił się w stronę ponurego dębu, pod którego koroną stali. W tych stronach oddawano cześć innym bogom, więc w Mordwie ani jej okolicy nie było żadnego przybytku Peruna ani jego świętego gaju. Kijowianie nie wozili też ze sobą posągów niebian. Nie było zresztą takiej potrzeby – Gromowładca mieszkał przecież w każdym mocnym dębie. Rozłożysty olbrzym, który stał zaraz za wsią w pobliżu grodu, nadawał się do tego celu równie dobrze jak każdy inny.

Dwaj gorynycze przed chwilą przywlekli do drzewa rosnącego, wełnistego barana ze związanymi nogami. Ilja schylił się, złapał go za jeden z zakręconych rogów, by unieruchomić głowę wyrywającego się zwierzęcia, po czym pewnym, zdecydowanym ruchem zmienił wystraszone beczenie w żalony, bulgoczący charkot. Na żółtawą sierść trysnęła krew. Jeden z

gorynyczów wziął pojemny, rzeźbiony kowsz i przytrzymał go pod raną. Potem się podniósł i wyciągnął naczynie z krwią ku księciu. Światosław zanurzył złoty toporek w ciepłej cieczy, zawiesił go Ilji na szyi i ucisnął junaka krótko, ale mocno. Bojarzy wydali okrzyk i zadźwiczeli stałą, aż mgła zawirowała.

– Witaj w kijowskiej drużynie, Iljo Muromcze. – Księżę odsunął się na odległość wyciągniętej ręki, nadal trzymając siłacza za ramiona. – Obaj stoimy na początku drogi. Od tej chwili będziemy nią galopować razem. Bok w boku z resztą braci bohaterów.

Wołch wziął od Mikuły dzban z miodem i wlał całą zawartość do ofiarnego kowsza. Naczynie podali Ilji. Muromiec podniósł je obiema rękami, przytknął do ust i pił długo, zachęcany przez śmiejących się towarzyszy. Sam nie odczuwał radości. Marszczył czoło i chciwie łykał mieszaninę krwi i miodu. Miał nadzieję, że boski napój wypłucze z jego myśli wspomnienia wszystkich okropności, które w ostatnich dniach widział i w których brał udział.

Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że oszołomienie i zapomnienie potrwa krótko.



BOHATYR ILJA, MUROMCEM ZWANY, POSZEDŁ PROSTO, GDZIE CZEKAŁ SKARB, ON JEDNAK I TRZECIEJ POKUSIE SIĘ OPARŁ ZASŁUŻYŁ WIĘC NA NAGRODĘ.

Ilja ze zdziwieniem spoglądał na kamień przy rozstajnych drogach. Nowy płonący napis nie był jedyną rzeczą, która się zmieniła. Obok kruków, kości i głazów pojawiło się coś jeszcze.

W trawie pod kamieniem leżała bohatyrska zbroja. Kolczuga z przymocowanymi w górnej części trzema kutymi blachami. Szyszak ze srebrnym otokiem, kitą z końskiego włosia i ruchomą osłoną nosa. Długi, prosty miecz z wareską rękojeścią. Pięknego kształtu kołczan pełen strzał.

Gięty podwójnie rogowy łuk. O kamień była też oparta okrągła tarcza z polerowanym, brązowym okuciem i długa jeździecka włócznia.

– Widzisz to co ja, Buruszko? – Ilja odezwał się do konika. – A czy to rozumiesz? Czy ta zbroja ma być nagrodą za przejście wszystkich trzech prób?

Konik parsknął i potrząsnął głową, jakby chciał potwierdzić przypuszczenia jeźdźca.

– Jeżeli tak, od kogo te dary pochodzą? – mruknął Muromiec. Prawdę mówiąc, wszystkie te tajemnice i pytania bez odpowiedzi zaczynały go drażnić i denerwować. Rozejrzał się. Nigdzie nie było widać żywego ducha. Tylko kruki machały skrzydłami i przeskakiwały z kamienia na kamień, z czaszki na czaszkę. Ilja zeskoczył z Buruszka, podszedł do żehry i podniósł miecz. Wyciągnął klingę z okutej srebrem, drewnianej pochwy. W strurdzinie widniały wyryte magiczne czerty.

– Gniew – młodzieniec przeczytał imię miecza. Było w sam raz, bo i w jego żyłach krążyło rozgoryczenie oraz złość.

– Kim jesteś? – krzyknął, ile sił w płucach i wzniosł miecz przeciwko niebu. – Słyszysz? Pokaż się! Daj mi znak! Powiedz, czego właściwie ode mnie chcesz!

Jego krzyk poleciał nad stepem. Z oddali przyszła odpowiedź. Ponury odgłos gromu.

Ilja prędko odwrócił się w tym kierunku. Zmrużył oczy. Czekał, czy to się nie powtórzy.

Z niemal bezchmurnego nieba uderzyła błyskawica – jasny, wijący się, biały blask przeciął zielonkawą szarość nad widnokregiem. Nie potrwało długo i do uszu Muromca dobiegł grzmot.

– Gromowładca – wychrypiał i otworzył oczy.

Nad jego prostym posłaniem z kozuchów i końskiej derki w kącie mordwińskiego dworu pochylali się zdziwieni towarzysze.

– A niech to...

– Na Gorynowe głowy!

– Mario, Józefie i wszyscy święci!

– Co się dzieje? No już, z drogi, puśćcie mnie do niego!

Mur z barczystych sylwetek Wołcha, Mikuły, Jegora i kilku innych drużynników rozstał się, a nad Ilją pochyliła się wygolona głowa kijowskiego księcia.

Światosław wytrzeszczył oczy.

– Co jest? – wymamrotał zaspany Muromiec i ruszył się. W tej samej chwili usłyszał chrzęst metalu i zdał sobie sprawę, że coś mu ciąży.

Nosił na sobie zbroję. Dokładnie taką jak ta, która leżała pod przydrożnym kamieniem w carstwie snów. Do pasa miał przypięty miecz, na lewej ręce leżała solidna tarcza, koło głowy znalazł szyszak. Kiedy z bijącym sercem usiadł i rozejrzał się, zauważył jeszcze włócznię, łuk i kołczan pełen strzał.

– Czy ktoś mi to wyjaśni? – rozejrzał się Światosław.

– Ja wiem tylko tyle – w grobowej ciszy zabrzmiał głos Mikuły – że kiedy się przed chwilą obudziłem i poszedłem na dwór wysikać, Muromiec na pewno miał na sobie tylko tę swoją potarganą, ubrudzoną rubaszkę. Po powrocie zobaczyłem go w zbroi. Czy to sen, bracia? Wypiliśmy za dużo miodu i nadal jesteśmy uwięzieni w krainie widziadeł, w której dzieją się takie cuda?

– Nie śpimy. – Wołch pokręcił głową. – A od dziwnych widzeń mamy tutaj Ilję. Powiedz, bracie, co tym razem ci się śniło?

Oszołomiony Muromiec opowiadał, a jego nowiutka, doskonale wypolerowana i naoliwiona zbroja lśniła w półmroku budzącej się izby tak, jakby odbijało się w niej południowe słońce.

KSIEGA TRZECIA

**Ilja Muromiec  
i Jegor Światogor**

## Synowie czarnego smoka

**N**ad Itiliem nastąpiła pełnia lata. Deszczowa pogoda minionych dni, wywiana ognistym wiatrem z południa, przeniosła się szybko w podmokłe lasy na północy. Gorące powietrze ze stepów i puszczy nad Morzem Chwaliskim przeleciało nad wschodnią rubieżą państwa Chazarów w stronę rozgałęzionej delty Itilu, wzbiło tumany kurzu na równinach Chanatu Kimeckiego przy południowym Uralu, przepędziło w szczerym stepie koczowniczych Kipczaków, Pieczyngów i Baszkirów, razem z ich namiotami. Otarło się o niewysokie wzniesienia na zachodnim brzegu Itilu i odbiło na wschód, w stronę bułgarskich miast Arbuga, Balimer, Bilar, aż wreszcie dotarło do samego Bułgaru. Oczywiście, nie mogło ominąć także wielkiego Suwaru, siedziby buntowników przeciwko bułgarskiej władzy. Na jego wysokich wieżach, zarówno tych zbudowanych z mocnych belek, jak tych z żółto-brązowego kamienia, dumnie wisały proporce, ochoczo łopoczące na wietrze. Na białym polu ze złotym obrębem pysznił się potworny, czarny wąż z czerwonymi, błoniastymi skrzydłami, zionący z pyska złotym ogniem. Zilant był symbolem starych bogów i oporu przeciwko wierze mahometańskiej, którą przyjęli władcy leżącego na północnym zachodzie znienawidzonego Bułgaru. Gdy duszący południowy wiatr poruszał chorągiewkami, miało się wrażenie, że zdobiące je smoki ożywały, a

ich węzowe ciała wily się niecierpliwie. Zupełnie jakby już chciały ruszyć do boju.

Suwar leżał na spalonej słońcem trawiastej równinie wiele wiorst na wschód od Itilu. Przed wrogami – a w gęsto zaludnionym biegu rzeki wprost się od nich roilo – broniło go kilka rodzajów umocnień. W sercu miasta gruba kamienna ściana, o wysokości dobrych czterech sążni, osłaniała pałac i świątynię. Równie dobrze chronione było wzgórze na północno-wschodnim krańcu miasta, gdzie na wzgórzu wznosił się Zilantaw, złowroga smocza wieża. Cały Suwar był otoczony znacznie starszym wałem z gliny i kamienia, niezwykle masywnym, obwiedzionym głębokim rowem. Szczyt wału został wzmocniony podwójną palisadą – szeroka na jakieś trzy sążnie przestrzeń między wyższym zewnętrznym a niższym wewnętrznym rzędem pali była wypełniona gliną i kamieniami oraz solidnymi belkami. Po szerokiej, dobrze udeptanej galerii mógł spokojnie przejechać wóz, więc kiedy w to wietrzne, czerwcowe popołudnie chan Mutahar wybrał się na zwyczajowy przegląd pozycji obronnych, mógł swobodnie wjechać konno na wały. Chętnie robił takie rzeczy. Nie żeby musiał coś udowadniać – niewysoki, ale za to barczysty i dziarski pięćdziesięciolatek z ogoloną głową, długą czarną brodą i dużymi kolczykami ze złota i pereł w uszach, wyglądał majestatycznie chyba nawet wtedy, kiedy siedział w wygodce. W pełnej zbroi, na rasowym rumaku, kłusując na szczycie solidnego wału, zdawał się ucieleśnieniem samego Arkliga, boga wojny. Młody bagain Kalin, który szedł pieszo u boku władcy, nie mógł się z nim równać pod żadnym względem. Zaledwie trzydziestoletni Kalin dopiero niedawno uzyskał stanowisko głównodowodzącego suwarskich wojsk, dlatego zachowywał się powściągliwie i zazwyczaj pozwalał mówić chanowi. Tym razem rozmawiali o bezpieczeństwie miasta.

– Ten obóz koczowników z dnia na dzień coraz bardziej śmierdzi. – Mutahar zatrzymał się w połowie drogi między zachodnią a południową bramą i obserwował spod przymrużonych powiek usianą namiotami równinę



koło wałów.

W rozległym, ruchliwym obozie najemnicy, w większości członkowie stepowych plemion z południa – Pieczyngowie, Kipczacy, Baszkirzy – czekali na rozpoczęcie działań zbrojnych.

– Te ich pchły, wszy i inne robactwo przylezie niedługo do miasta i zeżre nas żywcem – ciągnął chan. – Niestety, potrzebujemy stepowych rozbójników. W ich żyłach stale jeszcze buzuje dzikość i żądza krwi, o której my, siedzący za murami, już prawie zapomnieliśmy. Przydadzą się nam w boju.

– Brud i smród to jeszcze nie największe zmartwienie – ośmielił się zauważyć Kalin. – Najemnicy przede wszystkim zagrażają porządkowi na ulicach, w porcie i okolicznych wioskach. Wprawdzie mówimy o nich chesz – przyjaciele i sojusznicy, ale tak naprawdę, to banda zwykłych dzikusów. Nie potrafimy ich utrzymać w ryzach. Niedługo zaczną kraść, gwałcić kobiety, mordować chłopów, pasterzy, a może nawet kupców. Im prędzej wyruszysz w pole, wielki chanie, i rozkażesz cheszom galopować na północ, tym lepiej...

Mutahar posłał mu spojrzenie palące jak smagnięcie korbacza.

– Chyba nie chcesz mnie pouczać, kiedy mam poprowadzić atak na Bułgar, prawda, Kalinie?

Bagain pokornie pochylił głowę przed kipiącym z gniewu władcą. Od chana aż biło poczucie wyższości – zawsze gdy rozmawiał z Kalinem, dawał młodemu mężczyźnie odczuć, że nawet jeśli nowe stanowisko czyni z niego jego prawą rękę, i tak jest tylko sługą. Na szczęście złowieszczą ciszę przerwały ostrzegawcze krzyki strażników na palisadzie i wysokich drewnianych wieżach.

Mutahar i Kalin zapatrzyli się na zachód, w stronę rzeki Ûtäk, która opływała południowy łuk wałów i wypełniała swoją mętną wodą okalający je rów.

W Suwarze droga lądowa, której używały karawany przybywające z południa na wielbłądach i koniach, krzyżowała się z wodną. Kiedy warescy, chazarscy lub arabscy kupcy chcieli dostać się do Suwaru na łodziach, musieli wpłynąć z Itilu w mniejszy Ûtäk. Górny bieg tego drugiego w połowie lata wysychał i zmieniał się w bagnistą strugę, ale w tym roku zima była niezwykle śnieżna, więc w korycie pozostało wystarczająco dużo wody. Dzięki temu wiosłowe łodzie mogły bez większych trudności dopłynąć aż do wielkiego portu pod wałami Suwaru. Tworzył on coś w rodzaju kupieckiego przedmieścia, które przez południową bramę wlewało się aż w ulice w samym środku miasta i łączyło się z nim w jedno wielkie targowisko. Handel kwitł nawet mimo wiszącej w powietrzu wojny. A może właśnie ze względu na nią.

Wartownicy wskazywali niezwykłą łódź, która cięła leniwą powierzchnię Ûtäku. Kalin dłonią osłonił oczy przed światłem zachodzącego słońca i spoglądał przez zębaty szczyt wewnętrznej palisady. Wieczorne zorze zmieniły rzekę w potok płynnego złota i wydawało się, że długa, smukła łódź musi być wykuta z żelaza, skoro nie płonie.

– Dziwna łódź – myślał na głos młody bagain. – Ani chazarska, ani arabska...

– Oczywiście, że nie – parsknął Mutahar. – Galery z południa są bardziej beczułkowate i napędza je więcej wiosła, a ta ma chyba tylko trzydzieści. W dodatku arabskie i chazarskie łodzie są pomalowane w żywe kolory, niby szaty panny młodej. Ta łódź, o ile mnie wzrok nie myli, jest cała pomalowana na czarno.

Kalin przymrużył oczy.

– Masz sokoli wzrok, wielki chanie. Nawet ich wielki żagiel jest czarny jak krucze skrzydło. Wydaje mi się jednak, że widzę rzeźbioną smoczą głowę na dziobie. Czyżby Waregowie?

– A gdzie tam Waregowie. – Chan pokręcił głową, aż jego drogocenne kolczyki zamigotały w słońcu. – Wprawdzie to brudni barbarzyńcy i mają

mnóstwo ohydnych, okrutnych zwyczajów, co do tego nie ma wątpliwości, ale nawet oni nie ozdobiliby łodzi gnijącymi ludzkimi głowami.

– Co takiego? – zdumiał się Kalin. Przyjrzał się uważniej. Po chwili musiał przyznać, że jego władca, mimo pierwszych siwych pasm w długiej brodzie, ciągle jeszcze może się pochwalić doskonałym wzrokiem. Podniesiony dziób i burty łodzi rzeczywiście były ozdobione przybitymi do nich czaszkami i niedawno odciętymi głowami. Wiatr cesał ich włosy i niósł wstrętny odór ku brzegowi, do obozów cheszy. Nawet jednak ta woń rozkładu nie zdołała zagłuszyć obozowego smrodu.

– Na Arkliga... – Kalin wezwał pomocy boga wojny.

– Wiem, do kogo należy ta łódź – mruknął Mutahar. – I to hańba dla Suwaru, że ten pies również nosi zaszczytny znak czarnego smoka. Że jest naszym sojusznikiem, więcej – jednym z najgorliwszych sług Tugarina.

– O kim mówisz, wielki chanie? – Kalin spojrzał na niego chmurnie.

– No jak to o kim? – Dumny władca poczęstował go następnym razem niewidzialnego bykowca. – O Styrwicie z Suchodolu.



Olbrzymi Czeremis uśmiechał się, szczerząc zęby jak wilk. Zawsze go bawiło, kiedy suwarscy wartownicy, mimo że uzbrojeni po zęby, odziani w dźwięczące, dobrze wykute zbroje i okryci mocnymi tarczami, robili przed nim w gacie. W innych okolicznościach na pewno wymierzyliby w niego długie włócznie i nie wpuścili do miasta muskularnego dzikusa z ogoloną, tatuowaną głową, czarnymi wąsami zarzuconymi za uszy i masywną maczugą w dłoni. Znak czarnego smoka na kręgu z brązu, który chronił jego klatkę piersiową, działał na nich jednak jak wieniec z czosnku na wampiry. Bez jednego słowa zeszli mu z drogi, a wielu wręcz z bojaźnią odwracało twarze, by nie wziął ich spojrzeń za wyzwanie. Styrwit kątem oka dostrzegł Mutahar-chana – wysoko, na wałach. On też nie zadał sobie trudu, by powitać Czeremisa. Władca wcale nie miał ochoty się z nim spotkać, gapił

się tylko w milczeniu z galerii za palisadą i coś przy tym mówił do jakiegoś smarkacza w pysznej wodzowskiej zbroi.

Bali się go. Nie tylko dlatego, że służył Zilantowi, o nie.

Czeremisi odłożyli wiosła, chwycili za broń i bicz, po czym z czarnej, śmierdzącej łodzi wywlekli na drewniany pomost dwa tuziny młodych niewolnic. Potem, krok w krok za Styrwitem, weszli do Suwaru, ostatniej twierdzy starych bogów.

Wszyscy schodzili im z drogi.



– Witaj, Styrwicie.

– Bądź pozdrowiony, Zamrachu.

Wysoki, żyłasty wojownik z czarnym smokiem na srebrzyście lśniącej zbroi należał do strasznych baghaturów, bojowych czarowników, którzy strzegli miejsc poświęconych Zilantowi. Zamrach był przywódcą gwardii przybocznej samego najwyższego kapłana Tugarina. To stanowisko pozwalało mu bez obaw patrzeć Styrwitowi w oczy. Był właściwie pierwszym człowiekiem w Suwarze, który dzisiaj odważył się zastąpić drogę Czeremisom.

– Przybyłeś w dobrym momencie – dodał Zamrach. Jego opalona twarz była chłodna, niczym wyciosana z kamienia, bez najmniejszych oznak łagodności. – Potężny Zilant już nie śpi spokojnie. Kiedy się wierci w podziemiach wieży, ziemia się trzęsie. Niedługo przebudzi się z rocznej drzemki i będzie się domagał krwi.

– Nie widzisz, jaki wspaniały posiłek mu przywiozłem? – skrzywił się Styrwit i wskazał trzonkiem bicza gromadkę niewolnic, związanych długim powrozem.

– Widzę – przytaknął zwierzchnik baghaturów. – Zawsze przyływasz z pierwszorzędnym towarem, to trzeba ci przyznać.

– Oprócz tego przywożę pilne wieści. Zaprowadź mnie do Tugarina, muszę z nim natychmiast pomówić.

– Nie tak prędko – odparł Zamrach. – Syn smoka jest na górze, w wieży. Już wczoraj wieczorem odprawiał czary z Żelaznym Kosturem, wprowadził się w trans i wysłał swoją duszę na zwiady do dalekich krain. Otrzymaliśmy ścisły rozkaz, by mu nie przeszkadzać.

Styrwit nie znoślił, kiedy ktokolwiek mu coś nakazywał albo zakazywał, ale stojąc twarzą w twarz z pewnym siebie, złowrogim i nieustępliwym Zamrachim, przełknął wściekłe słowa. Oderwał spojrzenie od drużyny baghaturów przed solidną bramą i zerknął w stronę wieży najwyższego kapłana.

Oczywiście, nad Suwarem wznosiło się wiele innych, o wiele okazalszych budowli. Na przykład pośrodku miasta stał lśniący, biały pałac chana Mutahara, otoczony zielonym ogrodem, własnym murem oraz świątyniami i willami możnych plemienia. Również chramy słonecznego boga Tangry i jego niebieskiego byka Obuzgana, pana śmierci i wrzawy wojennej Arkliga czy Umaji, bogini ziemi i urodzaju, wznosiły nad miasto swoje dumne wieże. Niektóre miały nawet pozłacane kopuły.

Jednak mimo ich wspaniałości, każdy, kto przyjeżdżał do Suwaru, najpierw zwracał uwagę na osławiony Zilantaw. Smocza wieża stała na wzgórzu położonym na północnym krańcu miasta, rozmyślnie otoczona parterowymi, skromnymi domami kapłanów i baghaturów oraz cmentarzem pełnym prastarych kurhanów i nowszych, murowanych mauzoleów. Nie wyróżniała się pięknnością ani kunsztem budowlanym, wprost przeciwnie – była to pospolita, nieładna, szersza u podstawy wieża bez dachu, z ledwie kilkoma nieoszlonymi otworami zamiast okien. Żadnych ozdób, żadnego przepychu, nic szczególnego, jeśli nie liczyć mozaiki żółto-brązowych i czarnych kamieni, która otaczała całą budowlę i układała się w obraz ciemnego, smoczego cielska. Podczas gdy dachy innych świątyń i pałaców lśniły w świetle zachodzącego słońca, tej wieży złote promienie jakby

unikają. Pozostawiały ją w cieniu, ponurą i zaniedbaną.

A przecież od Zilantawu biła groza i potęga. Wieża była bardzo stara.

Dokładniej mówiąc, nawet niezmiernie stara – pamiętała czasy, kiedy przybyli tu przodkowie dzisiejszych plemion i zastali smoczą bestię, która, siedząc na szczycie góry, panowała nad całą krainą. Wówczas najwyższy bóg Tangra wysłuchał modlitw śmiertelników i zesłał czarownika, praprzodka Tugarina, który za pomocą okrucha cudownej smoczej łuski, osadzonej w Żelaznej Lasce, poskromił potwora i uwięził go w podziemiach. W tymże miejscu dawni Sabirowie, od których wywodzili się dzisiejsi suwarzanie, wzniesli osławiony Zilantaw.

Nawet dziki, okrutny Styrwit, którego można było posądzić o wszystko z wyjątkiem wrażliwości, czuł starodawną moc bijącą z tego miejsca. Owładnięty chwilową pokorą Czeremis zwrócił wzrok ku stojącej przed okutą bramą wieży jednostce baghaturów. Kiwnął głową.

– Zaczekam. Moi ludzie z niewolnicami pójdą do was, dajcie im się najeść, napić, umyć i odpocząć. Ja zostanę tutaj. Poczekam na mojego pana.

Zamrach nie zaprotestował nawet jednym słowem.



We wnętrzu wieży wyl wiatr. Samowolny żywioł oczywiście nie przejmował się tym, że wejście zamyka zasuwą, zamek i śmiercionośne zaklęcia. Nieustannie wdzierał się do środka przez otwarty wierzchołek budowli, hulał między ścianami, na których opierały się spiralne schody, nieskrępowanie latał w wolnej przestrzeni, w której nie wydzielono żadnych komnat. Kiedy zaś zleciał na sam dół, na wysokość wrót, nie zatrzymał się. Wpadł do murowanej studni, wwiercającej się głęboko w środek pagórka i zawył w niej jak potępieniec. Na poplamionym kamieniu ofiarnym, ustawionym nad otworem studni, leżał mężczyzna. Wiatr uparcie czochrał jego długie włosy, omiatając nimi gładko ogoloną, bladą twarz, której barwa i wyraz przypominała czaszkę wysuszoną słońcem. Włosy były śnieżnobiałe,

ale mimo to mężczyzna nie wyglądał staro. Jego długa na więcej niż sążęń sylwetka nie była jeszcze zgarbiona ani przykurczona wiekiem, również chude, żylaste ciało wydawało się mocne jak kawał twardej, wyprawionej skóry.

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że mężczyzna w ogóle nie oddycha, że czeka tylko na to, aż jego półnagie ciało zostanie odniesione z honorami do jednego z grobów na stokach pagórka. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że klatka piersiowa podnosi się nieznacznie – przy płytkich, krótkich wdechach. Kościste ręce leżały na brzuchu, zaciśnięte na długiej, zupełnie czarnej, metalowej lasce, której podstawa znajdowała się między stopami białowłosego, a czubek tuż pod brodą. Głowicę wykuto w kształt łuskowatej, smoczej łapy. Ścisnęła w szponach srebrzysty złomek wielkiej, gadziej łuski, której magiczne światło odbijało się w szeroko otwartych i nieruchomych oczach mężczyzny.

Mogłoby się wydawać, że białowłosey wpatruje się w pustkę, nic nie widząc. Ale to byłaby pomyłka.

Widział. Nie tylko spirale schodów prowadzących na szczyt wieży czy ponure płaskorzeźby, przedstawiające twarze bogów lub smocze paszcze, wyrastające z kamiennych ścian naokoło. Magiczna moc smoczej łuski, która przenikała jego ciało i myśl, pozwalała mu oglądać miejsca daleko za ścianami Zilantawu.

Właśnie w tej chwili jego świadomość unosiła się nad doliną rzeki Sury – wiele, wiele wiorst na zachód od miasta, daleko za Itilem. Sura stanowiła granicę między ziemią Moksów a krainami, które należały do wyżynnego państwa Bułgarów. Ciemne lasy po obu stronach srebrzystej wstęgi rzeki wyglądały w świetle zachodzącego słońca jak obsypane złotym kurzem. Pod drzewami gęstniała szarość wieczoru.

Ze zlewających się cieni pod sklepieniem lasu kłusem wyjechali jeźdźcy. Ich szyszaki, pancerze i groty włóczni zamigotały w słońcu niczym róż światlików. Na prostej roboty proporcach, powiewających nad głowami

wojów, pysznił się topór Peruna, dwugłowy orzeł Simargł albo dwa wszystkowidzące kruki boga Odyna. Przy rzece jeźdźcy zwolnili, ale po chwili wahania wjechali w nurt i w rozświetlonych zorzą wieczorną rozbryzgach wody przejeżdżali na drugi brzeg. Z lasu za nimi nieustannie wyjeżdżali następni zbrojni – długi, niezliczony zastęp.

Mężczyzna leżący na ofiarnym kamieniu w suwarskiej wieży zadygotał. Najwyraźniej znalazł dokładnie to, czego szukał. Magiczne moce zaczęły w nim pulsować, oddychał szybciej, a głowica Żelaznego Kostura zaświeciła jaśniej.



Kiedy książę Światosław wy dostał się z wód Sury na wschodni brzeg, podniósł rażno rękę i kazał zadać w róg.

– Na noc zostaniemy tutaj – zdecydował, gdy rozejrzał się po okolicy. Szeroki brzeg pokrywała trawa, nieco dalej rosły dęby i brzozy.

– Nie pogalopujemy dalej? – Sweneld spojrział zdrowym okiem na słońce, które właśnie spoczęło na wzburzonych falach niewysokich pagórków na zachodnim brzegu. – W ostatnich dniach popędzałeś nas bezlitośnie. Bładym świtem wskakiwaliśmy na siodła i gnaliśmy, póki nie zapadła ciemność, czasami nawet do późnej nocy...

– Trochę odpoczynku dobrze nam zrobi. Konie i ludzie tego potrzebują, a to jest świetne miejsce na obóz. Rozpalcie ogień, musimy się wysuszyć. Do butów nalało mi się tyle rzecznej wody, że przy odrobinie szczęścia wyłowię z nich pstrąga.

Ilja z niezmierną ulgą zeskoczył z Buruszka i przywiązał konia do jednej z brzoź. Zdjął z głowy szyszak, z pleców tarczę, odpiął pas, z którego zwisały pochwy z mieczem i długim sztyletem. Z tłumionym jękiem padł na trawę. Wieczorami nie zasypiał zwyczajnie, ale dosłownie omdlewał, czasami nawet nie zdążył zjeść wieczerzy.

Rola części przemierzającego się prędko książęcego wojska nie była



wcale zabawna. Mali chłopcy wyobrażali sobie, że to niesamowita przygoda. Gdyby poznali okrutną, bolesną, cuchnącą potem prawdę, byliby zaskoczeni. Ilja powoli przywykał, dzisiaj znosił to wszystko trochę lepiej niż na początku, ale jeszcze brzmiało mu w uszach, jak burczał i kłął, opuszczając Mordwę przed paroma dniami.

A ostatni dzień jazdy przypominał męki piekielne, o których często mówił Jegor, kiedy wymyślał Ilji za jego pogańskie wypowiedzi.

Pierwszą rzeczą, z której Muromiec zdał sobie sprawę w związku z nową zbroją, był ból pleców. Kolczuga, szyszak i tarcza, którą za przykładem pozostałych bojarów zawiesił sobie na plecach, ważyły swoje. Jego ciało było mocne jak nigdy przedtem, ciągle jeszcze rozkoszował się świadomością, że ma proste kości, sprawne mięśnie i jest niezwykle silny. Mimo to już po kilku wiorstach jazdy miał nie tylko, jak dotychczas, zmartwiały tyłek, ale dodatkowo jeszcze odczuwał niesamowity ból, promieniujący od krzyża w stronę łopatek. Buruszko, który niósł teraz niemal dwukrotnie większy ciężar, przez całą drogę parskał z niezadowolenia – jak stary kawaler, który od dawna nie zabawiał się z namiętą kobietą i przez to bezustannie mrczy pod nosem.

Drugą rzeczą było ciepło. Nie ciepło, gorąco. Kiedy galopowali przez przyjemnie chłodzącą mgłę i cienisty las, dało się wytrzymać. Pół dnia jazdy od Mordwy opar się jednak rozplynał, a zza rozerwanych chmur wyjrzało słońce. Grzało ziemię ze wszystkich sił, jak przystało na letnią porę. Ilja już po chwili był zlany potem, a koszulę pod pancerzem można było dosłownie wyżymać.

– Przyzwyczaisz się – powiedział Mikuła, który zauważył, że Ilja zdjął hełm i palcami odgarnia z czoła mokre włosy. – Chociaż przez parę dni będzie ci się zdawało, że jesteś kawałkiem mięsa, gotowanym w kotle nad dobrze rozpalonym ogniskiem.

– Dzięki za pociechę, Sielaninowiczu – burknął Muromiec, zawiesił szyszak na wystającej kuli siodła i sięgnął po bukłak. Musiał się napić,

uzupełnić wypocony płyn. Kiedy próbował otworzyć naczynie palcami prawej ręki, w których trzymał jednocześnie włócznię, uderzył drzewcem huśtający się hełm, który oczywiście zleciał z kuli. Ilja próbował go złapać, a wtedy z jego palców wyslizgnęła włócznia. W dodatku oblał się zawartością bukłaka, który zachybotał mu się w ręce. Żelazo zadzwoniło na kamienistej drodze. Buruszko zarżał ze strachu, kiedy drzewce zaplątało mu się między nogi. Światosław, Jegor i Wołch obejrzeni się. Jegor przewrócił oczami, pozostali poczęstowali Ilję rozbawionymi spojrzeniami. Inni jeźdźcy mijali Muromca, chichocząc i rzucając uszczypliwe komentarze.

– Żebyście się tylko nie zesrali – kłął Ilja, zsiadając z Buruszka.

– Wszystkiego się nauczysz, do wszystkiego przywykniesz – powtórzył Mikuła, który zatrzymał przy nim swoją kobyłkę. – Sam przez to przechodziłem dwa lata temu, moje wspomnienia ciągle są świeże. Też wszyscy pękali ze śmiechu, kiedy po pierwszej całodniowej jeździe musiałem spać na brzuchu, bo od siodła zrobiły mi się krwawe pęcherze na rzyci. Będą cię drażnić, prowokować, jeden przez drugiego wymyślać głupie dowcipy. Dopóki któregoś dnia im się nie znudzi.

– Albo dopóki nie wybije któremuś paru zębów – warknął Muromiec.

Oczywiście, do niczego podobnego nie doszło. Samo dotrzymanie kroku innym było dla Ilji wystarczająco trudne, więc na kłótnie, groźby czy bójki na pięści po prostu nie miał siły. Uszczypliwości doświadczonych bojarów przestały go obchodzić.

Dzisiaj, po pięciu dniach drogi czuł, że jest już lepiej, że przywyka do ciężaru zbroi i obitego tyłka, że plecy ma coraz mocniejsze i już go tak nie bolą. Mimo to runął w trawę na brzegu Sury jak podcięty, bez nadziei na to, że jeszcze uda mu się wstać. Kiedy więc padł na niego czyjś szeroki cień i zobaczył nad sobą Jegora z kijem w ręce, uznał to za marny dowcip.

– Masz ty rozum, batuszko? – Skrzywił się boleśnie. – Rąk i nóg już nie czuję...

– Gównu mnie to obchodzi – burknął Światogor. – Myślisz, że gdyby teraz zza drzew wypadli Bułgarzy, mieliby wzgląd na twój obity tyłek i bolące plecy? Kijowski bohater musi być w stanie walczyć i zabijać, nawet gdyby miał za sobą trzy dni jazdy bez snu i odpoczynku. Pierwszy raz od opuszczenia Mordwy mamy trochę czasu, więc znów będziemy ćwiczyć!

– Mowy nie ma! – odparł ze złością Ilja. – Idź odmówić wieczorną modlitwę, ja się przez ten czas zdrzemnę...

Jegor kopnął go w podeszwy wyciągniętych nóg i zamachnął się kijem.

– Wstawaj, inaczej stłukę cię na ziemi, aż będziesz się wił jak wyorany i zdeptany przez woły kret! – wycedził przez zęby.

Ilja zazgrzytał zębami, ale zanim zdążył powiedzieć coś odpowiednio wstrętnego, zatętniły kopyta i padł na niego kolejny rozłożysty cień.

– Muromcze!

Z siodła rosłego gniadosza zeskoczył Alosza Książewicz. Młody Ulicz okazał się nieprzeciętnie odporny. Odmówił pozostania w Mordwie – powiedział, że Mokszowie prędzej wpędziliby go do grobu, niż wyleczyli. Wracał więc do zdrowia w czasie wyczerpującej jazdy, nie mogąc się dobrze wyspać ani najeść do syta. Na przekór temu, jakby cudem, z dnia na dzień przybywało mu sił, a jego twarz nabierała zdrowych kolorów. Rzadko się widziało taką żywotność.

– Wstawaj, bracie, idziemy na polowanie! – zwrócił się z podnieceniem do Ilji. – Kawalek stąd w dół rzeki jest ślepa odnoga, a w trzcinach aż się roi od dzikich kaczek. Mam już wyżej uszu końskiego mięsa.

– Daj spokój, Aloszo – napadł na niego Jegor. – Teraz ja biorę młodego w obroty...

– Niepotrzebnie nas opóźniasz, Światogorze. – Ulicz wszedł między niego a Ilję, który właśnie zaczynał wstawać, klnąc przez zaciśnięte zęby. – Musimy zdążyć jeszcze przed zachodem słońca. Tymi kijami możecie się tłuc i przy świetle ogniska. Chodźmy, Iljo, wstawaj, najwyższy czas

wypróbować ten twój cudowny łuk. Założę się, że jeszcze nawet nie napiąłeś cięciwy. Nie chcesz go chyba nosić tylko dla ozdoby, prawda?

– Słuchaj no, Alosza... – zaczął groźnie Jegor, ale były niewolnik prędko odwrócił się ku niemu.

– Książę kazał mi uczyć Muromca strzelania z łuku. Jeszcze nawet nie zacząłem i najwyższy czas to zmienić. Odejdź więc.

– Ten pomysł z pieczoną kaczką na wieczerzę bardzo mi się podoba – odezwał się Mikuła, który właśnie w tej chwili zatrzymał przy nich swoją kobyłkę. – Ale jeśli pozwolisz polować Muromcowi, raczej się jej nie doczekamy.

– To prawda – przyznał Ilja. – Nie trafię nawet tej rzeki, choćbym stanął w połowie koryta.

– Kiedyś jednak musisz zacząć – uciął Alosza i spojrzał na kołczan wiszący u siodła Buruszka. Wystawały z niego bielutkie lotki strzał i jeden z obłąków łuku. – Otrzymałeś dar od bogów. Jeśli go nie wykorzystasz, mogą się rozgniewać...

– Chłopcze, zdajesz sobie sprawę, że bluźnisz? – zamruczał Jegor. – Też mi chrześcijanin! Czego was właściwie uczyli ci greccy misjonarze? A tak w ogóle, wszyscy widzimy, jak wytrzeszczasz ślepią z pożądliwości. Powiedz lepiej wprost, że sam chcesz wypróbować ten łuk.

– A jeśli nawet, co w tym złego? – Uśmiechnął się Alosza i spojrzał pytająco na Ilję. – Mogę?

– Proszę bardzo. – Muromiec wzruszył ramionami.

Ulicz wyjął łuk z łubia, wyważył go, przebiegł po nim spojrzeniem pełnym podziwu i niemal z miłością pogładził wykładane rogiem łączysko, opleciony skórą majdan i okute końce.

– Ratujcie mnie, wszyscy święci – odezwał się mieszkaniec stepu, gdzie łuk był podstawowym narzędziem każdego mężczyzny. – Moje ręce nigdy w życiu nie dotknęły tak doskonałej broni. Wprost bije od niego siła. Jak od

jakiejś żywej istoty.

– Naciesz się nim więc i napnij go – zaśmiał się Mikuła, a Ilja podał mu cięciwę, kiwając głową na znak zgody.

Alosza naciągnął niewielką pętlę na końcu cięciwy na dolny koniec łuku, oparł broń o ziemię i napał na nią, by zgiąć łączysko i nawlec drugie oczko na przeciwległą stronę. O dziwo jednak nie udało mu się to – pętka nie zbliżyła się do drugiego rogu łuku nawet na trzy palce. Alosza rozejrzał się zdumiony. Jego towarzysze unieśli brwi. Ulicz wziął głęboki wdech, zacisnął wargi i mocniej napał na łuk. Mimo to nie udało mu się nałożyć cięciwy.

– Na rany Chrystusa... – stęknął. – Jakby był wykuty z żelaza...

– Jeszcze nie jesteś w pełni sił, bracie. Te wiedźmy porządnie cię wyssały. Daj to – zaśmiał się Mikuła i wziął z rąk Aloszy łączysko i cięciwę. Oparł broń o stopę i napał na nią, ciągnąc koniec cięciwy w stronę okutego rogu. Twarz mu poczerwieniała, żyły nabiegły na czoło, oczy niemal wyszły z oczodołów.

Bez skutku.

– Na matkę Mokosz – dyszał – to rzeczywiście łuk samego Peruna. Żaden śmiertelnik nie jest w stanie go napiąć...

– A gównu – warknął niecierpliwie Jegor i wyrwał mu broń z rąk. – Lećcie z powrotem do waszych mamuś, smarkacze, i poproście, żeby wam dawały ssać jeszcze przez parę lat. Może potem nabierzecie sił. Pokażę wam, jak to robi prawdziwy bohater.

Szpakowaty bojar wypiął pierś, chwycił cięciwę i koniec łuku w wielkie palce i ze wszystkich sił napał na dwukrotnie giętą broń. Łączysko zgięło się, ale ledwie zauważalnie.

Pętka na końcu zaczęła się zbliżać do okutego rogu. Kiedy była ledwie palec od niego, Światogor wyszczerzył zęby, stęknął, przewrócił oczyma i puścił łuk, głośno dysząc.

– To niemożliwe...

Alosza i Mikuła rechotali.

– Co mówiłeś o ssaniu matczynego mleka?

– Niech młody spróbuje – parsknął Jegor i podał broń Ilji.

– Tak, niech spróbuje – potaknął Alosza. – Inaczej na pewno nie doczekamy się kaczego mięsa, na mą duszę!

Ilja chwycił łuk w dłoń, złapał palcami cięciwę, oparł broń o ziemię, napał na nią i bez wyraźnego wysiłku nasunął pętelkę na metalową końcówkę łączyska. Rozedrgana cięciwa zabrzęczała.

Bojarzy patrzyli na Muromca z otwartymi ustami – wszyscy, nie wyłączając Wołcha, który przed chwilą zsiadł przy nich ze swojego gniadosza.

– Niech mnie piorun – wychrypiał Mikuła.

– Tak przypuszczałem. – Jegor pokiwał głową, mrużąc oczy.

– Ciekaw jestem tylko, co teraz będzie – wykrztusił Alosza. – Cięciwa jest naprężona niby struna w cytrze. Potrafisz w ogóle strzelić z tego łuku, Muromcze?

Ilja wyciągnął lewą rękę z łukiem przed siebie, dwoma palcami prawej złapał cięciwę i prędko naciągnął aż do owłosionego policzka, głośno wydmuchując przy tym powietrze. Gdy ją po chwili puścił, świsnęła i zabrzęczała tak, że jego druhom zadzwoniło w uszach.

– Człowieku – Mikuła wybałuszył oczy – z tym łukiem nie możesz polować na kaczki. No pomyśl tylko – jeśli którąś dosięgniesz w locie, strzała odniesie ją gdzieś z powrotem do Mordwy. Nie chcemy przecież karmić przeklętych Mokszów!

Bohaterzy wymienili spojrzenia i po chwili roześmiali się dźwięcznie.

Wołch był jedynym, który nie podzielał wesołości. Bez wyraźnego powodu zasepił się, podniósł głowę i zaczął wietrzyć jak wilk. Zauważyli to, spojrzeli nań pytająco i również ucichli. Wsiesławiewicz okazywał wielkie zaniepokojenie.

– Co się dzieje, bracie? – zapytał Mikuła i zacisnął dłoń na trzonku bicia, który nosił zwinięty u boku. – Wywęszyłeś coś?

Wołch nie odpowiedział, zamiast tego oburącz chwycił Malachitowy Kostur i dźgnął niebo. Łuska w rzeźbionej smoczej paszczy zaświeciła. Powietrze zaszumiało jak przy nagłym porywie wiatru, poleciały liście z okolicznych drzew. Znajdujący się w pobliżu Kijowianie zwracali ku czarownikowi zaskoczone spojrzenia i mimo woli chowali głowy w ramionach. Konie rżały i stawały dęba.

– Czary! – Jegor przekrzyczał narastający huk. Długachna broda skręcała mu się w tym nadprzyrodzonym wichrze niczym nadepnięty wąż.

Padł na nich dziwny cień, jak gdyby nad Surę znieńacka nadleciała chmura burzowa.

Równocześnie huk zmienił się w niezwykły, nieludzki, niezrozumiałe wołający głos.

Wołch krzyknął i znów dźgnął laską powietrze. Magiczne światło przybrało na sile i rozlało się wokół jak biała powódź. W tejże chwili tajemniczy cień rozerwał się, a jego cząstki poleciały we wszystkie strony. Uderzenie niewidzialnej siły dosłownie zmiotło Wołcha z siodła – spadł w trawę między drzewami, aż zadzwoniła jego kolczuga. Spłoszony gniadosz przebiegł kilka sążni po brzegu.

Hałas cichł powoli, wiatr się uspokajał.

Wystraszeni bojarzy podbiegli do Wołcha. Nic mu się nie stało, potłukł się tylko i zadyszał jak po długim, wyczerpującym biegu. Malachitowy Kostur wyślizgnął mu się z palców i upadł w trawę. Smocza łuska zgasła.

Wirujące liście pomału opadały na ziemię.



Mężczyzna we wnętrzu wieży zadygotał, jakby przeszył go ostry ból. Światło wydobywające się z okruchu w smoczej łapie zamigotało, w szybkim

rytmie na zmianę zagęszczając i rozpędzając cienie. Wiatr załkał słyszalnie – zdawało się, że wokół czarownika krąży rój niewidzialnych, jęczących żałościem duchów.

Sękate palce mocniej ścisnęły Żelazny Kostur. Jasność bijąca z laski jeszcze raz zapulsowała, a potem znów świeciła jednostajnie.

Świadomość oddzielona od ciała zatoczyła krąg nad dalekimi krainami i szybko wracała znad Sury nad Itil. Przeskoczyła przez porośnięte rzadkim lasem wzniesienie na zachodnim brzegu Długiej Rzeki i ześlizgnęła się w dolinę. Przez chwilę leciała na północ, dopóki rzeka pod nią nie rozszerzyła się gwałtownie. W tej okolicy Itil był pojony przez potężną Kamę, płynącą ze wschodu. W rozległej powierzchni zbiegu wód przeglądało się miasto Bułgar.

Szpiegująca jaźń czarownika wznosiła się nad stolicą Bułgarii i obserwowała wieczorny ruch na ulicach, w pałacach, na murach, koło wielkiego meczetu o wysokim, śnieżnobiałym minarecie. Bułgar też przygotowywał się do wojny, wojska zbierały się, ze wszystkich stron przybywali jeźdźcy.

Zwiadowcę zainteresowało jednak coś innego. Z powrotem poleciał w stronę Itilu. Na zachodnim brzegu, naprzeciw miasta, rozłożył się wielki obóz Waregów. Na kamienistej plaży roilo się od uzbrojonych po zęby wioślarzy. Właśnie wyciągali na brzeg dwa tuziny długich łodzi, na których przed chwilą przypłynęli z północy. Było pewne, że zwabiły ich wieści o zbliżającej się wojnie.

Jeden z drakkarów nie zatrzymał się jednak koło wareskiego obozu. Oderwał się od reszty floty i przybił do wschodniego brzegu. Wywołało to wielkie zamieszanie w rozległym porcie przed główną bramą miasta. Załoga łodzi była bowiem zakuta w najlepsze północne żelazo i ani trochę nie wyglądała na ludzi, którzy przypłynęli w celach handlowych.





Bragi Halvorsson od razu zauważył, że sama obecność jego stojących spokojnie i rzucających harde spojrzenia drużynników wypłoszyła z portu większość ludzi. Uśmiechnął się pod wąsem, ponieważ go to ucieszyło. Strach w sercach Bułgarów stanowił dobry punkt wyjścia dla czekających go układów.

Na masywnych obwarowaniach Bułgaru gasły zorze zachodzącego słońca. Biała, wyrastająca wysoko ponad umocnienia i pozostałe budynki wieża meczetu po raz ostatni zalśniła jak wielki brylant. Już po chwili na miasto padł cień. W tych okolicach zmrok zapadał bardzo szybko.

– Popatrz tylko, ilu tu cudzoziemców, Ratimirze. – Bragi rozejrzał się. Przy plaży cumowały tuziny łodzi, od prostych rybackich po pojemne chazarskie galery. – I tyle towarów. Przez to miasto przepływa niewyobrażalne bogactwo.

– Aż się nie chce wierzyć, że Waregowie nigdy nie napadli na Bułgar – odezwał się stojący obok Rujańczyk.

– Co się nie zdarzyło, może się zdarzyć. Znowu nadchodzi czas mieczy i toporów. A my będziemy przy tym, bracie.

– Już się nie mogę doczekać. – Ratimir uśmiechnął się złowieszczo. – Miałem już po dziurki w nosie przesiadywania w Helgardzie. Tylko obrastaliśmy tłuszczem.

– Mnie to mówisz. – Wyszczrzył zęby Bragi. – Bogom niech będą dzięki za Światosława. Jeszcze nieźle zmaci stojące wody. Nie tylko tutejsze.

Na dalekich wałach zabrzmiał odgłos rogów. Pięćdziesięciu Waregów spojrzęło znad okutych krawędzi tarcz w stronę otwartej na oścież bramy. W cienistym przejściu pod wałem wszczął się ruch. Tłum, szukający schronienia za solidnymi ścianami, rozerwał się, a ludzie bez ociągania padali na kolana. Po chwili zadudniły kopyta i z bramy wyjechała kłusem imponująca jazda – rasowe konie, rzędy zdobione srebrem, przepięknie wyszywane czapraki, jeźdźcy w pysznych zbrojach, z szablami u boku i długimi włóczniami w

rękach. Na wietrze powiewały czarne włosy jeźdźców, ich płaszcze z najlepszych bagdadzkich materii i kity z końskich ogonów na czubkach szyszaków. Nad głowami wojów, na długich tykach, chwiały się tugi, odpowiedniki kijowskich proporcy, ale wykute ze złota. Sokół, symbol Bułgarii, siedział na muzułmańskim półksiężycu. Na sierpie widniał wyryty ozdobny napis, którego Bragi co prawda nie potrafił przeczytać, ale łatwo rozpoznał w tych wykrętach pismo arabskie.

Jeźdźcy jechali kłusem przez rozległe przedmieście, które miejscowi zwali Agha-bazar. Było to właściwie ogromne targowisko, zamieszkane przede wszystkim przez cudzoziemskich kupców. Stając twarzą w twarz ze zbliżającą się drużyną, załoga drakkara stanęła w pozycji bojowej i zabrzączała żelazem. Bragi wyciągnął jednak rękę.

– Nie szczerzyć kłów, wilki. Przybyliśmy przecież tylko z przyjacielską wizytą. Ratimir zaśmiał się sykliwie.

Jeźdźcy zatrzymali się w przyzwoitej odległości. Tylko jeden z nich, flankowany przez dwóch bojarów niosących tugi, podkłusował bliżej. Bragi skinął na Ratimira i obaj, ramię w ramię, wyszli naprzeciw Bułgara.

Poseł był dobrych dziesięć lat młodszy od Halvorssona. Spojrzenie jego oczu o kształcie migdałów, osadzonych w śniadej twarzy, było jednak twarde jak u kogoś, kto wiele widział i bardzo rzadko były to ładne rzeczy.

– Jesteś Bragi ibn Halvor – odezwał się, kiedy wstrzymał konia. W jego głosie dźwięczał metal. – Z Helgardu nad ujściem Oki do Itilu.

– Właśnie tak – potwierdził konung. Początkowo miał zamiar zdjąć hełm na znak szacunku, a może nawet przywitać Bułgara ukłonem, ale ten skośnooki pyszałek nawet nie zeskoczył z konia, więc Bragi nie przejmował się takimi głupstwami, jak grzeczność. – Powiesz mi, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

– Hassan ibn Ahmed. – Jeździec wyprostował plecy i uniósł brodę, ozdobioną starannie przystrzyżoną czarną szczotką pod dolną wargą.

– Bułgarski następca tronu. – Bragi pokiwał głową. – To dla mnie zaszczyt, że posłano właśnie ciebie. Słyszałem, żeś dzielny wojownik i zdolny wódz.

– To samo mówi się o tobie – przyznał książę. – Niektórzy mówią, że jesteś najpotężniejszym wareskim naczelnikiem w całym biegu Itilu. Ale nie jesteśmy tu po to, by sobie nawzajem schlebiać. Po co przy płynąłeś? Czego tu chcesz? Na przeciwnym brzegu widzę twoje łodzie. Naliczyłem ich dobre dwa tuziny. Ilu ludzi przywiozły?

– Każdy pokład mieści od czterdziestu do pięćdziesięciu. Kiedy doliczysz do tego wszystkich naszych z wareskiego obozu, na drugim brzegu jest tysiąc pięciuset wojowników, wszyscy pod moimi rozkazami.

Książę zmienił się na twarzy, jego oczy zapadły się jeszcze głębiej i zostały z nich tylko upiorne otwory.

– Żądasz okupu? Mamy zapłacić złotem za twoje słowo, że nie zaczniesz pustoszyć okolicy i nie napadniesz na Agha-bazar czy wręcz na samo miasto?

Bragi uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze się rozejrzyj, książę. Widzisz gdzieś na widnokręgu dymy pożarów? Albo czy w Itilu pływają rozprute zwłoki waszych poddanych? Dostałeś wiadomość, że zdobyliśmy Kazań, waszą graniczną twierdzę na północy?

Hassan nie odpowiedział, tylko dalej chmurzył się groźnie.

– Nie – Bragi sam sobie odpowiedział. – Nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy. Wierz mi, że gdybyśmy chcieli was obedrzeć tak, jak robią to Kijowianie w Carogrodzie, najpierw staralibyśmy się napędzić wam strachu. Sianie grozy wychodzi nam lepiej niż cokolwiek innego. Stalibyśmy tu z toporami czerwonymi od krwi waszych rybaków i chłopów, a nasze kubraki byłyby mokre od łez zgwałconych kobiet. Jak jednak widzisz, nic z tego nie jest prawdą. Nie przy płynęliśmy po to, żeby napaść na Bułgar, synu Ahmeda. Przy płynęliśmy go ocalić.

Księżę, chociaż starał się jak mógł, nie był w stanie zachować kamiennego wyrazu twarzy, na której odmalowało się zdziwienie.

– Ocalić? – Powtórzył z niedowierzaniem.

– Dobrze słyszałeś. Doskonale wiem, w jakiej jesteście sytuacji. Na południu przeciwko twemu ojcu zbuntował się chan Mutahar. W Suwarze zbiera się wielkie wojsko, do miejscowych dołączyli najemnicy z południa. Nigdy za wami nie przepadali, a teraz gdy w dodatku usiłowaliście im narzucić nową wiarę, kapłani Zilanta podburzyli ich i kazali ogłosić powstanie samodzielnego państwa...

– Pokonamy Suwar – wycedził przez zęby Hassan. – Z pomocą Allaha ci przekłęci poganie staną się strawą dla naszych mieczy...

– Daj spokój! – Bragi pokręcił głową. – Jeśli naprawdę w to wierzysz, oszukujesz sam siebie. Wiesz przecież dobrze, że suwarscy czarownicy ciągle jeszcze są bardzo potężni. Jeśli Tugarinowi uda się obudzić moc dawnych smoczyczych bogów, Bułgar jest skazany na zagładę. Obaj też wiemy, że zagraża wam jeszcze większe niebezpieczeństwo. Od zachodu ciągną Kijowianie. Światosław z trzema tysiącami dźwięczących żelazem jeźdźców. Zjawią się tu prędzej, niż przypuszczasz. Przemieszczą się ze straszną prędkością, powiedziałbym, że już na pewno przekroczył Surę i za parę dni będziecie go mieć na karku. Myślę, że Bułgar znalazł się między dwoma młyńskimi kamieniami, między młotem a kowadłem. Zgniotą was albo jedni, albo drudzy. Jeśli wyślecie wojsko przeciwko Światosławowi, Suwar natychmiast z tego skorzysta i zada osłabionemu miastu cios w plecy. Jeśli się zamkniecie w mieście i będziecie czekać, niedługo będziecie mieć pod wałami dwóch nieprzyjaciół. Mogą zawrzeć sojusz. Światosław jest poganinem, kto wie, czy nie znajdzie wspólnego języka z czcicielami starych bogów. Pomoże im zdobyć Bułgar, w zamian za co zostanie ich zwierzchnikiem.

– A ty – Hassan skłonił się w siodle – chcesz to wszystko zmienić? Ze swoimi piętnastoma setkami ludzi?

– Dlaczego nie? Nie lekceważ tej siły. Zostaniemy najemnikami emira i pociągniemy na zachód, przeciw Światosławowi. Oczywiście, ze wsparciem bułgarskich jeźdźców. Jeśli wyślecie z nami, powiedzmy, tysiąc pięciuset wojów, stale jeszcze zostanie wam dość ludzi, żeby obronić miasto. Odepchniecie Kijowian i wciąż będzie nadzieja, że obronicie się przed Suwarami.

Bułgarski następca tronu zmrużył oczy niby śmiertelnie jadowita żmija z południowych stepów.

– A co ty będziesz z tego miał?

– A jak myślisz? – Bragi uśmiechnął się od ucha do ucha. – Sławę wojenną. Łupy. Hojną nagrodę ze skarbca twego ojca. Wpływy w Bułgarze. Przede wszystkim jednak – podkreślił – pewność, że zostanę najpotężniejszym Waregiem w całym biegu Itilu. Nie zależy mi na tym, żeby się tu rozpierała ta nienażarta kijowska banda i psuła mi handel.

– Są przecież z tej samej krwi, co ty...

– Daj spokój, kto dzisiaj zwraca na to uwagę? Teraz jest czas bratobójczych walk. A Światosław właściwie jest takim samym Waregiem, jak i ty. Ponoć nawet nie czci już starych bogów Północy, kłania się posągom dzikich plemion znad Sławutyczy.

Hassan milczał, zasepiony. Wiatr powiewał rogami jego ogniście czerwonego płaszcza. Na zbrojach i hełmach chrzęścił wzbity w powietrze kurz. W końcu następca tronu skinął głową.

– Wszystko, co tu usłyszałem, powtórzę wielkiemu emirowi. Zwoła radę wezyrów, przywódców plemiennych i wodzów naszego wojska. Razem zdecydują, czy ci zaufać i przyjąć propozycję.

– Niech tylko nie zastanawiają się zbyt długo. Światosław pędzi galopem, a jeśli nie staniemy mu na drodze, wkrótce będzie poił swoje konie wodą z Itilu. Coś mi mówi, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Udziel swojemu ojcu mądrej rady.

Zza obwarowań doleciało śpiewne wołanie. Rozlegało się z wysokiego minaretu i przypominało bułgarskim muzułmanom, że czas na wieczorną modlitwę. Następca tronu i jego przybocznicy pożegnali się szybko, zawrócili konie i wrócili do miasta.

Bragi i Ratimir wrócili do drakkara. Kiedy ukradkiem wymienili spojrzenia, twarz Halvorssona wykrzywił chytry uśmiech, a zabijaka z Rujany zaśmiał się cicho.

– A zatem to prawda? – zapytała Bragiego Dinara, kiedy łódź odbiła od brzegu i popłynęła ku obozowi Waregów po przeciwnej stronie. – Nie chcesz mnie sprzedać?

– Gdybym miał taki zamiar, kupcy na targu niewolników już by się o ciebie kłócili – odparł konung, który po udanych układach był w dobrym humorze.

– No to co ze mną będzie?

– A co ma być? Zostaniesz u mnie. Urodzisz mi kilku synów.

Dinara szeroko otworzyła oczy, kiedy usłyszała tak bezpośrednią odpowiedź. Potem się nagle roześmiała i raźno objęła Bragiego za szyję.

– Ale to będzie musiało trochę poczekać. – Poklepał ją po tyłku i odepchnął delikatnie.

– Już wkrótce wyruszę do boju.

– A co ze mną?

– Poczekaś na mnie w skalli na zachodnim brzegu.

– Sama? Wśród tylu obcych mężczyzn?

– Nie bój się. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Przeciwnie, żony miejscowego wodza przyjmą cię do swego grona i zaopiekują się tobą jak siostry.

– Skąd ta pewność?

– Stąd – odparł po chwili wahania ze szczególnym błyskiem w oczach – że żaden Wareg znad Itilu nie targnie się na żonę Bragiego Halvorssona z

Helgardu. Coś takiego równałoby się wyrokowi śmierci.

Otworzyła oczy jeszcze szerzej.

– Na twoją żonę? Czy chcesz powiedzieć...

– Właśnie tak. Jeszcze zanim wyruszę na wojnę, tutejszy żyrzec udzieli nam ślubu. Zostaniesz moją żoną, czy tego chcesz czy nie.

Patrzyła na niego i długo nie mogła wydobyć z siebie słowa. W końcu powiedziała tylko:

– Chcę tego.

Bragi pokiwał głową z zadowoleniem, a chociaż wcześniej odepchnął kobietę, teraz znowu pociągnął ją bliżej i przycisnął do okrytej zbroją piersi.

Na niebie zamrugały pierwsze gwiazdy.



– Witaj, Styrwicie. Przybyłeś w samą porę.

Było już grubo po zmierzchu, kiedy brama suwarskiej smoczej wieży została wreszcie otwarta. We wnętrzu ponurej budowli zajęczał przeciąg i w ciemnych drzwiach powiały białe włosy mężczyzny, który powolnym, trochę niepewnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Dolny koniec jego czarnego kostyru dzwonił o kamieniste podłoże. Smocza łuska w żelaznej łapie już zmatowiała i zgasła, wyglądała jak kawałek srebra, którego od dawna nikt nie czyścił.

– Ty i twoi ludzie przyłączycie się do baghaturów – kontynuował Tugarin.

– Wszyscy staniecie się narzędziem zniszczenia, groźnie zaciśniętą pięścią Suwaru.

Styrwit padł na kolana i pochylił ogoloną głowę aż do ziemi.

– Jestem twoim oddanym sługą, najwyższy kapłanie! Pragnę skąpać żelazne kolce mojej maczugi we krwi i mózgu parszywych mahometan z Bułgaru! Nasza zemsta dojrzała, już czas, by jej posmakowali.

– Wiem. Te psy odwróciły się od prawdziwych bogów i pokłoniły obcemu

prorokowi. Dosięgnie ich za to gniew Zilanta. Czarny smok jest już niespokojny.

– Moja łódź, przyozdobiona głowami nieprzyjaciół naszej wiary, przywiozła piękne dziewice, aby potężny Zilant nasycił się i znów zasnął na rok z żołądkiem pełnym słodkiego ludzkiego mięsa...

– Dobrze mi służysz, Styrwicie – przerwał mu Tugarin – ale w tym roku nie nakarmimy Zilanta dziewczycami.

Olbrzymi Czeremis drgnął ze zdziwienia, podniósł głowę i spod gęstych brwi spojrział nieśmiało na najwyższego kapłana.

– Jak to? Nie dostanie żarcia? Ale... jeśli wielki smok nie naje się zaraz po przebudzeniu, wpadnie w gniew...

– Właśnie tak. Po raz pierwszy od stuleci przebudzi się do końca. Kiedy nie znajdzie pokarmu, wyjdzie z podziemi i poszuka czegoś, co mu wypełni żołądek.

– Zniszczy nas – wychrypiął Styrwit, nagle przerażony i przekonany, że jego pan zupełnie stracił rozum. – Obróci Suwar w perzynę, podpali cały kraj...

– Mylisz się. Smok nie będzie szkodził ani miastu, ani nikomu z nas.

– Kto go powstrzyma?

– Jak to kto? Ja. Przez całe lata zbierałem magiczną moc po to, by móc nad nim zapanować za pomocą Żelaznego Kostura. Kiedy Zilant, głodny i gniewny, wdrapie się na szczyt wieży i rozpostrze swoje czarne skrzydła, każę mu lecieć na północ.

Styrwit wytrzeszczył oczy.

– Na Bułgar...

– Oczywiście. Zobaczymy, czy bóstwo, dla którego wzgardzili wiarą naszych przodków, ochroni ich przed smoczym ogniem.

Tugarin roześmiał się. Złowieszczo, niemal szaleńczo. Gorący nocny wiatr niósł w dal sykliwy śmiech.





Rój obozowych ognia na wschodnim brzegu Sury rozerwał na strzępy ciemność, która pełzła w stronę rzeki z okolicznych lasów. Miód i kwaśne wino, które wieźli ze sobą Kijowianie, sprawiły, że przy watach toczyły się głośne rozmowy, brzmiał wesoły śpiew. Przy ognisku księcia Światosława panowała jednak grobowa cisza. Spojrzenia wszystkich obecnych utkwione były w Wołchu. Wsiesławiewicz siedział na pieńku, Malachitowy Kostur miał oparty o ramię. Pośpnie wpatrywał się w ogień i już od dłuższej chwili nieprzytomnie kręcił w palcach końce wąsów, co świadczyło o stanie głębokiego zamyślenia. Kosmyki czarnych włosów opadały mu na policzki niczym martwe węże.

– Domyślasz się, kto to był? – Światosław przerwał ciężkie milczenie. – Kto nas szpiegował za pomocą czarów? Czyja dusza latała nad nami jak niewidzialny demon?

Wołch zamrugął. Wrócił do rzeczywistości. Znów spoglądał szmaragdowymi oczyma na obóz. Kiwnął ponuro głową.

– Nie tylko się domyślam – mruknął. – Ja to wiem. Wiem to bardzo dobrze.

– Nie trzymaj nas w niepewności, bracie. – Mikuła zaczął się niecierpliwie wiercić. – Kto nas zaszczycił swoją uwagą?

– Tugarin, zwany Drakowiczem – Wołch wypowiedział to imię prędko, jakby było nasączone jadem, a on bał się, że sparaliżuje mu język. – Najwyższy kapłan i czarownik. Najpotężniejszy mag w całym biegu Itilu.

– Tugarin – westchnął Światosław z widoczną ulgą. – Ten, o ile się nie mylę, mieszka w Suwarze. Jest więc nadzieja, że emir Ahmed w Bułgarze jeszcze o nas nie wie. Albo przynajmniej nie jest pewien, gdzie dokładnie się znajdujemy i jak szybko się przemieszczamy. Ciągle jeszcze możemy zaatakować Bułgarów zniecka, zaskoczyć ich...

– O ile Tugarin nie wyśle o nas wieści do Bułgaru – szepnął Wołch.

– A dlaczego miałyby to zrobić? – Książę ze zdziwienia uniósł brwi. – Między Bułgarem a Suwarem panuje przecież śmiertelna nienawiść. Po co Tugarin miałyby ostrzegać przed naszym atakiem swojego śmiertelnego wroga, co?

– Jak to po co? Żeby Ahmed wysłał wojsko przeciwko nam i w ten sposób osłabił obronę Bułgaru. Suwar w tym czasie będzie mógł zaatakować z południowego wschodu i zmieść ci zdobycz sprzed nosa.

Światosław znieruchomiał i zmrużył oczy.

– Myślisz, że Mutahar odważy się napaść na miasto Ahmeda? Wsiesławiewiczu, nie przesadzaj...

– Nie przesadza – wmieszał się do rozmowy Ilja. – Nad Itilem już od wiosny szerzą się wieści, że w każdej chwili, może już tego lata, wybuchnie wojna między mahometanami a czcicielami starych bogów. Wielka, niszcząca wojna, która całkiem odmieni Bułgarię, a niektóre miasta zrówna z ziemią...

– Naprawdę? Ciekawe. – Światosław w zamyśleniu pogładził ściernisko porastające czaszkę i przecesał palcami płową kitę wyrastającą z ciemienia. – Dla nas to raczej dobra wiadomość. Byłoby gorzej, gdyby wszystkie plemiona znad Długiej Rzeki zjednoczyły się i wystąpiły razem przeciwko nam. Łatwiej zdobędziemy państwo rozdarte wewnętrznymi sporami. Bogowie są po naszej stronie.

– Ja bym się jeszcze nie cieszył, gosudarze – Wołch ostudził jego zapał. – Zależy, jak na to patrzeć. Właściwie można powiedzieć, że zamiast jednego wroga mamy teraz dwóch. Żeby zyskać władzę nad Itilem, będziemy musieli zdobyć i Bułgar, i Suwar. Ten drugi będzie może jeszcze twardszym orzechem do zgryzienia. Suwar nie tylko dysponuje potężnym wojskiem, ale jeszcze w dodatku chronią go smocze czary.

– Smocze czary, phi! – Pogardliwie splunął Jegor. – Złękniemy się czegoś takiego? Ja na pewno nie. Nie darmo przyjąłem imię sławnego

smokobójcy...

– Nie tak prędko, Jegorze, w ogóle nie wiesz, o czym mówisz – zachnął się Wołch. – Nie kpij z potęg, o których nie masz pojęcia. Ja sam przypuszczałem, że dawna moc smoczycich kapłanów już przepadła. Dzisiaj przekonałem się jednak, że jest inaczej. Żeby oddzielić duszę od ciała i wysłać ją do dalekich krain, potrzebne są potężne czary. Wyraźnie czułem siłę Tugarina. Zrozumiałem, że Drakowicz nie osłabł, wprost przeciwnie. Koniec końców, jego moc pochodzi z okruchu łuski Zirnitry, tak samo jak moja...

Mężczyźni ucichli, zaskoczeni. Jednocześnie spojrzeli na Wsiesławiewicza.

– Co takiego? – spytał Jegor w imieniu wszystkich.

Wołch podskoczył, jakby ukłuła go w tyłek drzazga z pieńka, na którym siedział.

Najwyraźniej zdradził więcej, niż pierwotnie zamierzał.

– Słyszeliście – burknął. – Ten złomek – wyprostował rękę, wznosząc laskę wykładaną malachitem – jest zaledwie jednym z trzech. Drugi, bardzo podobny, należy do Tugarina. On też nosi swój w czarodziejskim kosturze. Ten jego jest ponoć wykuty z żelaza.

– Mam wrażenie – odezwał się Mikuła – że jesteś nam dłużny wyjaśnienia, Wołchu. Opowieści o smokach i magicznych laskach są co prawda trochę wyświechtane, ale dobrze podane, mogą być warte słuchania...

– Nie doczekasz się, bracie – zachmurzył się Wsiesławiewicz. – To nie jest jedna z tych historii.

– Tak czy owak, opowiesz ją – dobitnie rozkazał Światosław. – Właśnie przyznałeś, że twoja moc łączy się w jakiś sposób z czarami naszych nieprzyjaciół. Nie będziemy udawać, żeśmy nie słyszeli, więc nie pozwolimy ci milczeć. Powiedz, co to za łuska? I kim albo czym jest Zirnitra?

Wołch rozejrzał się po siedzących wokoło druhach. Widząc, że na ich

twarzach maluje się napięcie, zrozumiał, że się nie wywinie. Westchnął i poprosił o miód. Podali mu go ochoczo.

– Zirnitra – zaczął mówić, pociągnąwszy solidny łyk – była prastarą smoczą boginią. Mieszkała daleko na północnym zachodzie, na tajemniczej, znikającej wyspie pośrodku chłodnego Morza Wareskiego. Podobno całe jej ciało okrywały łuski z czystego srebra. Była niezwykle mądra i przyjazna ludziom. Śmiertelnicy kłaniali się jej nie ze strachu, ale z szacunku. Kiedy złożyła trzy jaja i wylęgło się z nich trzech potężnych smoczych synów, Zirnitra wyrwała sobie z piersi jedną łuskę i zakłęła w niej część swojej mocy. Potem rozłamała ją na trzy części i dała je ludziom, żeby mogli za jej pomocą panować nad smokami.

Wołch napił się znowu.

– Musiała mieć moment jasnowidzenia – kontynuował po chwili – ponieważ jej synowie odziedziczyli niewiele z jej mądrości. Byli dzicy i łaknęli ludzkiego mięsa. Rozlecieli się po świecie, by znaleźć sobie miejsca na gniazda. Zielony Goryn osiedlił się w dolinie Sławutyczy, czerwony Rudrog strzeże podobno prowadzącego do carstwa zmarłych mostu przez Smorodinę, a czarny Zilant zawładnął krainami nad Itilem. Niektóre smoki nawet parzyły się z miejscowymi potworami, powiększając w ten sposób swój ród – tak właśnie z nasienia Goryna zrodziły się żmije. Mimo to smoki nie zapanowały nad światem. Śmiertelnicy zdołali je poskromić za pomocą trzech kosturów – Malachitowego, Żelaznego i Krwawego.

– Do kogo należy trzeci złomek łuski? – zainteresował się Mikuła.

– Krążą wieści o potężnej czarownicy z dalekich, północnych lasów, która strzeże wrót do świata zmarłych koło mostu przez Smorodinę. Służy jej do tego właśnie Krwawy Kostur, które daje władzę nad czerwonym smokiem Rudrogiem. Możliwe jednak, że to zwykłe bajędy, w odróżnieniu od Żelaznego Kostura, którym Tugarin może poskromić czarnego Zilanta. To jest rzeczywistość, której musimy stawić czoło.

– A co będzie – odezwał się Światosław, a jego słowa wyrażały prawdziwy

strach – jeśli kapłan obudzi smoka i poszczuje go na nas?

Wołch spojrział na władcę.

– Musimy się modlić do wszystkich bogów – rzekł, a jego głos drżał – żeby się nie odważył. Zilant jest najdzikszy i najokrutniejszy ze wszystkich synów Zirnitry. To wcielone zło.

Tego wieczoru nawet pieśni Mikuły nie zmieniły ponurego nastroju przy księżęcym ognisku.



Krótko po północy w Suwarze zatrzęsała się ziemia. W wielu budynkach, zarówno lepiankach z gliny i patyków w biednych dzielnicach na skraju miasta, jak w kamiennych pałacach i świątyniach w jego umocnionym sercu, rozległ się łoskot rzeczy spadających ze ścian, zaskrzypiały przesuwające się meble, z dogasających ognisk wyleciały snopy iskier. Ze szpar w drzwiach sypał się kurz, ze stołów spadały kubki, rozlewało się wino. Dzieci budziły się z płaczem, a matki tuliły je do snu, starając się nie okazywać własnego strachu. Na ulicach wyły psy, w stajniach rżały konie. W przystani na rzece Ūtāk łodzie kiwały się niespokojnie na dziwnie wzburzonej wodzie i zderzały burtami.

A potem do łoskotu dołączył tajemniczy, głęboki głos, wprawiający w drżenie ludzkie dusze.

Wszyscy wiedzieli, że nie jest to zwykłe trzęsienie ziemi, a przeciągły grzmot nie jest rumorem przesuwających się skał. To był warkot. Rozdrażniony, niewyraźny, groźny.

Samemu chanowi Mutaharowi serce zabiło szybciej ze strachu. Wyszedł bosy na pałacowy balkon i spoglądał ponuro na smocze wzgórze, na czarną sylwetkę Zilantawu, mierzącą w gwieździste niebo.

Dźwięk się nie powtórzył, ziemia przestała się trząść.

– Nie, jeszcze się nie przebudził – powiedział ktoś za nim.

Mutahar obejrzał się. Między wydeptymi wiatrem kotarami w drzwiach zafalowały długie, białe włosy i na balkon wszedł Tugarin Drakowicz.

– Tylko się wiercił i mamrotał przez sen – dodał. – Tak czy siak, z każdym dniem jest coraz bardziej niespokojny, a jego sen płytszy. Już niedługo zupełnie się przebudzi. Kiedy to się stanie, twoje wojsko musi już całą siłą maszerować na Bułgar.

– Jesteś pewien, że chcemy to zrobić właśnie w ten sposób? – mruknął Mutahar. – Czy rozsądnie jest pozwolić, żeby czarny smok wylazł z podziemi?

– Co do tego nie możesz mieć najmniejszych wątpliwości. – Tugarin podszedł do kamiennej balustrady. Przy każdym kroku brzmiał stukot uderzającego o kamienie Żelaznego Kostura. – Widziałem dzisiaj kijowską jazdę. Potem hordę Waregów, która przypłynęła Oką na smoczych łodziach. W końcu wojsko, które na rozkaz Ahmeda gromadzi się w Bułgarze. Wszystko to nasi wrogowie i prędzej czy później zwrócą się przeciw Suwarowi.

– Tylko zgadujesz, czy może potrafisz zobaczyć przyszłość? Bo, moim zdaniem, to nie takie pewne. Światosław i Ahmed mogą ze sobą walczyć, osłabić się wzajemnie...

– Nie potrzebuję zdolności wieszczych, żeby przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. Boje, o których mówisz, będą krótkie. Kijów przybywa zakuty w żelazo i w siodłach rosłych rumaków. Jednym ciosem rozbije bułgarskie szyki i nie przeszkodzą mu w tym nawet nowi sojusznicy Ahmeda z Helgardu. Zanim się obejrzymy, znad Itilu ruszy na nas wojsko pod wodzą Światosława. Potem uratuje nas już tylko moc dawnych bogów. Smocza potęga. Zilant przebudzi się i rozpocznie dzieło zniszczenia, jakiego na tych ziemiach jeszcze nie widziano. Będzie ucztował na tysiącach upieczonych zwłok.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – wycodził przez zęby Mutahar.

– Bez obaw. Zwycięstwo będzie nasze, bo tego wymaga sprawiedliwość. Ta ziemia należała do nas od początku świata. Sabirowie, od których pochodzimy, zamieszkiwali w niej na długo przed tym, zanim rozpadło się państwo Onogur i przekłęty chan Kotrag przyciągnął z plemionami Bułgarów. Jesteśmy znacznie starsi, ale nadal przepojeni boską siłą, która tryskała z ziemi, kiedy przyszliśmy tutaj i znaleźliśmy ją nietkniętą ludzką stopą. Przychodzi czas, kiedy znów zawładniemy równinami wokół Itilu. To będzie koniec słabego nowego boga, którego Bułgarzy kupili od cudzoziemców z południa.

– Niech się stanie – odparł chan i skierował spojrzenie z powrotem ku miastu. Powoli uspokajało się i cichło. Ziemia przestała się trząść, głos starożytnego potwora nie zabrzmiał więcej. Mało kto zdawał sobie sprawę, że to stan tymczasowy.

Gwałtowny wiatr świszczął i mocno szarpał czarną brodą Mutahara i białymi włosami Tugarina.

# Jezioro krwi i kropla miodu

**D**olina przypominała kobietę. Zamiast kości biodrowych i piersi wznosiły się nad nią trawiaste wzgórza o łagodnych zboczach, a zamiast włosów łonowych w wąwozie rósł szmat lasu. Gęstwina złożona z dębów i buków przelewała się przez wyżynę na południowej stronie i wyciągała się w kierunku małego jeziora pośrodku doliny. Tu był pępek, dzięki lśniącej powierzchni wody wyglądający jakby był ozdobiony błyszczącym klejnotem. W ogóle tutejsza ziemia obfitowała w jeziora. W ciągu kilku dni jazdy od Sury do Itilu kijowskie wojsko minęło całe ich tuziny.

Ilja i Jegor wstrzymali konie na jednym z rozłożystych pagórków na zachodnim krańcu doliny. Ich zbroje połyskiwały złotawo w łagodnym świetle popołudniowego słońca. Starszy bohater wziął głęboki wdech, napawając się mocnym zapachem dojrzewającego lata.

– Popatrz tylko, Iljo. – Westchnął, zamiast po prostu wypuścić powietrze z płuc. – Co za szczęśliwa kraina. Urodzajna, kwitnąca, wonna. Jakby sam Bóg się tu zatrzymał i jej pobłogosławił.

Zdziwiony Muromiec zerknął na niego kątem oka. Co się stało temu staremu zrzędzie, wiecznie naburmuszonemu, posepnemu i gotowemu



rozniewać się z powodu najmniejszej błahostki? Słyszając jego rozmarzony głos, Ilja nie wiedział, co ma o tym myśleć. Nie przypuszczał, że cokolwiek na świecie potrafi poruszyć tego starego mruka.

– No tak – przytaknął niepewnie, w połowie przeświadczony, że za tymi łagodnymi słowami kryje się podstęp. – Aż radość bierze, gdy się na nią spojrzy. Jakby tu mieszkała sama Żywia.

W innych okolicznościach Światogor może by go ofuknął za pogańskie porównanie, ale zdawało się, że dzisiaj nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

– Słyszysz to brzęczenie? – Pochylił głowę. – Cała dolina huczy niby wielki ul. W tym lesie muszą być dziuple pełne dzikich pszczół.

– Roją się. – Ilja przyjrzał się uważniej. – Jak zwykle, kiedy w końcu przychodzą gorące dni. Lato nie spieszyło się w tym roku, więc musiały się już niecierpliwić... Spójrz tam. Na tę lipę, która rośnie samotnie na uboczu. Na dolnej gałęzi wisi czarny strzęp...

– Naprawdę? – Jegor zmrużył oczy. – Wzrok już mi nie służy tak, jak za młodu... Ech – westchnął znowu – co ja bym dał za kawał ciemnego chleba z masłem i świeżym miodem. W domu, na Świętej Górze, mogłem go jeść, kiedy tylko chciałem. Byłem pszczelarzem. Całe lato spędzałem przy ulach.

Oczy Ilji zasnuły się mgłą – on też w duszy spoglądał w przeszłość.

– Ja z kolei chodziłem do lasu za wsią i szukałem miodu w dziuplach drzew. Wyganiałem pszczoły dymem, czyściłem plastry gęsim piórem, chwytalem miód do misek i dzbanów...

– Naprawdę? – Jegor spojrział na niego ze zdziwieniem. – Nie wiedziałem, że byłeś bartnikiem. Po ojcu?

– Gdzie tam. – Pod otokiem hełmu pokazała się zmarszczka. – Jedyna rzecz, której nauczył mnie ojciec, chociaż nieumyślnie, to unikanie ludzi. Pszczelarstwa nauczyłem się od matki. To było całe jej życie. Mnie to też dogadzało – błąkać się samotnie po lesie, z maską na twarzy i odymiaczem w

ręce...

– Ile zbierałeś w ciągu roku?

– Jeśli rok był dobry, słoneczny, kwitły lipy i grochodrzewy, nawet dziesięć pudów.

– Co? Naprawdę? Od dzikich pszczół? Tyle nawet ja nie zbierałem w przydomowych ulach.

– Matka co roku syciła miód. Mocny, aż cierpły zęby, ponoć najlepszy w całym kraju Muromców.

Następny jęk Jegora był wręcz bolesny.

– Mój tata nauczył mnie kiedyś pszczelarskiego wierszyka – przyłączył się Mikuła, który właśnie zatrzymał przy nich swoją srokatą kobyłkę. – Gdy masz małego, nie trać ducha – wsadź go do ula i zastukaj!

Ilja i Jegor spojrzeli na niego tak ostro, że rechoł stanął Dregowiczowi w gardle.

– No co? Zachowujecie się tak, jakby wam popękały pęcherze na tyłku i pot was teraz szczypał...

Nie zwracali na niego uwagi. Znów zapatrzyli się w dolinę.

– Raj na ziemi – westchnął po raz ostatni Światogor.

– Rzeczywiście – przytaknął smutno Ilja. – Szkoda, że nie zostanie z niego kamień na kamieniu.



Ziemia się zatrzęsała, a złowieszcze dudnienie zagłuszyło brzęczenie pszczół i szczebiot ptaków. Ilja obejrzał się ponuro.

Kijowskie wojsko nadjeżdżało z tupotem tysięcy kopyt. Wzgórze, na którym stała trójka bojarów, sąsiedni pagórek i płytką rynnę między nimi prędko zajmowali jeźdźcy. Gromadki stopniowo zwiększały się i zlewały w jeden tłum, niczym mrówki, które zbierają się na bladej twarzy zmarłego, aż w końcu pokryją ją całą. Kijowianie zatrzymywali się, ale ich cienie jakby

chciały jechać dalej – wyciągały się niecierpliwie w dół łagodnego stoku, w stronę doliny. Konie parskwały, proporce z toporem Peruna i krukami Odyna powiewały na wietrze.

– Wołchu? – Światosław zwrócił się do czarownika, który zatrzymał się u jego boku.

Nie musiał mówić nic więcej. Potrzebowali wieści o wojskach wroga. Wsiesławiewicz rozejrzał się uważnie. W końcu utkwiał wzrok nad lasem po prawej stronie. Pokiwał z zadowoleniem głową i wznosił Malachitowy Kostur. Smocza łuska rozbłysła.

Bohaterzy spojrzeli ciekawie w tym samym kierunku. Nad drzewami, które schodziły do doliny z południowych stoków, z przenikliwym piskiem krążył jastrząb. Wołch pochylił głowę i wydał bliźniaczo podobny, przeciągły dźwięk, którego wysoki ton świdrował w uszach. Konie zaparskały. Drapieżnik lecący nad pagórkami zmienił kierunek i zmierzał teraz w ich stronę. Schodził coraz niżej, aż pod jego brzuchem zafalowała trawa. Gdy tylko osiągnął cienie kijowskich koni, prędko zamachał skrzydłami, wzleciał ku szczytowi wzgórza i z kolejnym przenikliwym piskiem wylądował na wyciągniętym przedramieniu Wołcha.

Bojarzy wydali okrzyk podziwu, mimo że ci, którzy od dłuższego czasu jeździli z księciem, nie pierwszy raz widzieli, jak Wołch czaruje.

Nagle w oddali zabrzmiał dźwięk rogu. Kijowianie ucichli i spojrzeli na wschód, za jezioro.

Naprzeciw nich dolinę zamykało podłużne wzgórze. Odgłosy dochodziły spoza niego. Nie widzieli jeszcze żywej duszy – jedynym, co poruszało się w okolicy, była trawa falująca na wietrze. Bystrzejsze oko mogło jednak dostrzec chmury kurzu, wzbijające się nad pagórkowaty grzebień i rozplywające się na tle błękitnego nieba.

Wołch spojrzął jastrzębiowi w oczy. Głowa zdezorientowanego ptaka, do tej pory kręcąca się na lewo i prawo, znieruchomiała. Wzrok człowieka

spotkał się ze wzrokiem drapieżnika. Po chwili Wołch przewrócił oczyma, aż było widać tylko białka. Również oczy jastrzębia się zmieniły – stojący w pobliżu Światosław mógłby przysiąc, że dostrzegł w nich odblask szmaragdowej zieleni.

Jastrząb rozpostarł skrzydła. Wsiesławiewicz machnął ręką, by pomóc mu wzbić się do lotu. Drapieżnik poszybował na wschód. Jego cień sunął po zielonym dnie doliny, rozciął srebrne rozbłyski na powierzchni jeziora, a potem jastrząb wzleciał nad wzgórze.

Kolejne rogi odpowiedziały pierwszemu – ich dźwięki zlewały się w groźny grzmot.

Buruszko zastrzygł uszami, podrzucił głową i zarżał żałośnie.

– Ja wiem, przyjacielu – mruknął Ilja, schylił się i poklepał żrebca po umięśnionej szyi.

– Też trudno mi pojąć, gdzie właściwie jesteśmy i co robimy. W sercu obcego kraju, wśród ludzi, których jeszcze przed paroma dniami wcale nie znaliśmy, twarzą w twarz z nieprzyjacielem, który nie zrobił nam nic złego...

– Dobrze znam to uczucie. – Mikuła uśmiechnął się smutno. – Kiedy pierwszy raz galopowałem do boju pod wodzą Światosława – przeciwko zbuntowanym Radymiczom – też w głowie bzyczały mi same pytania i wątpliwości. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że ludzie, których czaszki pękają pod moim młotem jak zgniłe jabłka, właściwie niczym się ode mnie nie różnią. Też byli członkami starego plemienia, które broniło swojego kawałka ziemi przed wareskim najeźdźcą. Ich krew tryskała na mnie jak letnia ulewa, a ja lamentowałem w duchu, że nie tak sobie wyobrażałem bohatyrskie dzieło.

– Jaki to ma więc sens, bracie Sielaninowiczu? – Ilja spojrział na niego chmurnie. – Znalazłeś odpowiedź na to pytanie?

– Daj sobie spokój z pytaniami i wątpliwościami, Iljo – burknął Jegor, znów w swym zwykłym, ponurym nastroju. – Każdemu z nas huczały w

głowie, kiedy po raz pierwszy zabijaliśmy w imieniu księcia. I wierz mi, że były zupełnie bezsensowne. Z czasem zrozumiesz, że sens tego wszystkiego możesz streścić w jednym jedynym słowie.

– Jestem go bardzo ciekaw, batuszko. Jakie to słowo?

– Drużyna – powiedział Jegor, a Mikuła poważnie skinął głową. – Jesteśmy jak te dzikie pszczoły na lipie. Wyroiliśmy się, tylko zamiast za pszczelą matką, podążamy za Światosławem. On dokładnie wie, dokąd nas prowadzi i jaki sens ma to wszystko. Jest wprawdzie młody, ale ma poukładane w głowie, to trzeba przyznać. Chwalić Boga, wdał się bardziej w swoją mądrą matkę niż w porywczego, żadnego jedynie władzy ojca. Musimy mu ufać. Na jego barkach spoczywa misja. Wielka, przekraczająca naszą zdolność rozumienia, może nawet święta...

– Słyszysz, Iljo? – Skrzywił się Mikuła. – Jegorze, czyś ty się czasem nie uczył w szkole dla mędrców, kiedy przebywałeś z Helgą w Carogrodzie? Ponoć Grecy naprawdę taką mają – uczą w niej ludzi myśleć...

– Ty mógłbyś do niej chodzić całe życie, a i tak pozostałbyś wiejskim prostakiem – warknął Jegor i z poważnym wyrazem twarzy odwrócił się znów ku Muromcowi. – Uspokój zamęt w głowie, zaprzestań drobiazgowych rozważań. Ja wiem, my dwaj nie przepadamy za sobą, poza tym nie ufasz Wołchowi, nie rozumiesz Światosława, do tej pory nie znalazłeś wspólnego języka z Mikułą ani z Aloszą. Kiedy teraz o tym myślę, przychodzi mi do głowy, że może nie znosisz nas wszystkich. To się jednak przestanie liczyć, kiedy zderzymy się z nieprzyjacielem. Spadnie deszcz krwi, grad wybitych zębów i okruchów kości. W środku tego młyna prędko zrozumiesz, kto jest twoim druhem, a kto chce ci rozplatać brzuch.

– To prawda – potwierdził Mikuła. – W bitwie pojmiesz, że naprawdę jesteś częścią drużyny, a złoty toporek nie wisi na twojej piersi dla ozdoby. Świat przestanie się dzielić na *ja* i cała reszta. Zacznie się dzielić na *my* i cała reszta. Właśnie to jest podstawa bycia bohaterem.

Jegor spojrzał na niego ze zdumieniem i przez chwilę mełł w ustach jakies

szyderstwo, ale wolał je przełknąć. Odwrócił się w stronę młodzieńca.

– Przede wszystkim jednak skup się na tym, żebyś mi nie narobił wstydu, Iljo. Przecież czegoś cię nauczyłem przez tych parę dni. Pewnie nie zrobiłem z ciebie najlepszego szermierza pod słońcem, ale co nieco już umiesz, a kiedy dodasz do tego swoją siłę, nie zginiesz w bitwie. Nie pozwól się zabić, dobrze? Nie chcę, żeby mój trud poszedł na marne i żeby potem wszyscy się ze mnie śmiali.

Ilja spojrział na niego. Wiecznie nachmurzony Jegor nie przestawał go dziś zadziwiać. Czy tylko mu się zdawało, czy naprawdę dostrzegł na twarzy bojara coś na kształt ojcowskiej czułości?

– W dodatku – dodał Mikuła – jesteśmy niezmiernie ciekawi, jak też się sprawdzi w boju twoja cudowna zbroja.

Muromca opanowało szczególne uczucie. Popatrzył na Mikułę, na Jegora, przebiegł wzrokiem pozostałych mężczyzn, którzy wstrzymywali konie tuż przy nich. Nagle przestali mu się wydawać obcy. Na niewidzialnym murze, który latami, może nawet przez całe życie, był jego schronieniem przed pogardą otoczenia, pojawiła się kolejna głęboka rysa. Posypała się zaprawa, spadł uwolniony kamień...

– Nie polegaj na zbroi, nawet gdyby naprawdę była darem bogów – poradził mu w końcu Jegor. – Przede wszystkim musisz być częścią drużyny. Trzymaj się nas, rozumiesz?

Ilja kiwnął głową, bo czuł, że zaczyna to naprawdę rozumieć.

Pisk jastrzębia znowu przeszył uszy. Wołch, stale jeszcze z oczyma w słup, odpowiedział takim samym dźwiękiem i pochylił głowę ku Światosławowi.

– Są już blisko. Wkrótce ich zobaczymy.

– To przecież wiemy i bez ciebie – warknął Sweneld, stojący po prawicy księcia. – Nie widzisz nic więcej?

– Bułgarska jazda – powiedział Wołch dziwnie zmienionym,

nieprzytomnym głosem. – Przewodzi im młody wojownik. Zapewne jeden z synów Ahmeda.

– Ilu ich jest? – spytał spokojnie książę. Zachowywał zimną krew, co było wręcz zaskakujące.

– Jakież dwa tysiące...

– Tylko? – Roześmiał się Sweneld. – Co sobie myślą ci kobyłojebcy? Jak zamierzają się oprzeć naszej przewadze? Nim zajdzie słońce, napełnimy ich rozsiekaną padliną to jezioro tam niżej...

– Nie pozwolę ci skończyć, Rusie. – Ostudził go Wołch. – Za bułgarską konnicą podążają oddziały piechoty. Powiedziałbym, że jakieś tysiąc pięćset ludzi.

– Najemnicy – pogardliwie parsknął Sweneld. – Na pewno obdarte, lichy uzbrojone dzikusy z północnych lasów. Udmurci albo Permowie z Uralu...

– Nie. To Waregowie.

Sweneld umilkł, zaskoczony. Światosław uparcie przyglądał się Wołchowi. Pysnie wykuty, zdobiony złotem i bursztynami wareski hełm zsunął się władcy na tył głowy.

– Waregowie? Jesteś pewien?

– Właśnie na nich patrzę. W słońcu błyszczą ich zbroje, pancerze, hełmy, tarcze, miecze, młoty i topory. To musi być zgraja znad Itilu. Mają ponoć wiele osad i obozów wzdłuż biegu rzeki. Może przybyli aż znad Oki, słyszałem, że wybudowali wielki gród u jej ujścia do Itilu...

– Helgard. – Światosław w zamyśleniu kiwnął głową. – Tak, to mogą być zabijacy z Helgardu. Właściwie to nawet bym się zdziwił, gdyby nie skorzystali z takiej okazji. Hm... To trudny przeciwnik. Nie należy go lekceważyć. Mogą być groźniejsi niż bułgarska jazda.

– Przydałby się jakiś chytry plan, nie? – Uszczypliwie przerwał Sweneld. – Chyba przyszedł czas, żebyś ruszył głową, książę. A może jednak zrobimy to po staremu i po prostu stawimy im czoło w uczciwym, otwartym boju?

– Wsadź sobie te kpiny w rzyć, Sweneld – Światosław odparł tak ostro, że siwy wódz drgnął, a blizna na jego lewym policzku wyraźnie pociemniała. – Poza tym ja naprawdę mam plan. Słuchaj, Wołchu, ten las na południu... – Książę spojrział w prawo. – Jest gęsty?

– Nie tak gęsty, jak się stąd wydaje – powiedział Wsiesławiewicz. Uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, że zrozumiał, w jakim kierunku biegną myśli księcia. – W większości drzewa, mało podszytu. Konni przejadą bez trudu.

– Świetnie. Wiem już wszystko, co było mi potrzebne.

Głowica Malachitowego Kostura zamigotała po raz ostatni. Wołch zamknął oczy, a kiedy je po chwili otworzył, zielonkawe tęczęwki były na swoim miejscu. Zamrugał jak człowiek, który po długim śnie patrzy wprost w poranne słońce. Jastrząb, mała, ciemna plamka nad wschodnią linią widnokregu, przestał kołować i swobodnie poleciał z powrotem w stronę lesistych wzgórz na południu.

– Sweneldzie, posłuchaj mnie dobrze. – Światosław zwrócił się do siwego wojownika.

– Bułgarzy ponoć rodzą się w siodłach, więc pewnie polegają głównie na konnicy. Na pewno jazda zaatakuje jako pierwsza. Pojedziesz na ich spotkanie z dwoma tysiącami ludzi, prosto przez wąwóz, i zaatakujesz ostro na brzegu jeziora. Ja z tysiącem ruszę zaraz na południe. Nie zwracając na siebie uwagi, przejedziemy przez las, nieoczekiwanie zjawimy się na tyłach wroga i uderzymy na straż tylną, na wareską piechotę. Zrozumiałeś?

Wareg skinął głową w milczeniu.

Światosław, za pomocą kilku różnych gestów i szczekliwych rozkazów, oddzielił trzecią część wojska, która miała podążyć za nim. Wśród bojarów nie mogło zabraknąć gorynychców oraz Jegora, Mikuły, Ilji i Aloszy.

– Za mną, bracia! Bułgarzy nie mogą zobaczyć, żeśmy się podzielili, więc zniknijmy w lesie, zanim pokażą się na widnokregu! W skok!



Rażno dźgnęli konie ostrogami i ziemia zadrżała od tętentu tysięcy kopyt.



Kiedy Bragi Halvorsson wstrzymał nagle konia, wyprostował się w siodle i przysłonił dłonią oczy, jadący tuż obok kłusem Hassan ibn Ahmed rażno wzniósł zaciśniętą pięść. Pyszna zbroja, na którą składała się kolczuga i splecione listwy na klatce piersiowej i na plecach, misternie inkrustowane srebrem i złotem, zachrzęściła na nim głośno. Jego przybocznicy wznieśli rogi i zadęli w nie. Ich odgłos sprawiał, że wszystko w człowieku się trzęsło.

Do dźwięków rogu dołączyły wyszczekiwane rozkazy. Wojsko z Bułgaru zatrzymywało się stopniowo. Cichł tupot końskich kopyt i dziarski, dźwięczący stała krok maszerującej w tyle wareskiej piechoty.

Hassan spojrzał w tym samym kierunku, co konung z Helgardu. On też musiał przysłonić oczy. Jego pogańscy przodkowie powiedzieliby, że bóg słońca Tangra prowadzi już swego niebieskiego byka Obuzgana ku zachodnim bramom nocy. Jego światło kłuło przybywających od wschodu wojowników prosto w oczy.

I to zdecydowanie nie był ostatni zły znak.

Twarz bułgarskiego następcy tronu, śniada, o szlachetnych rysach, ozdobiona wypielęgnowanym, czarnym wąsem, zdradzała, jaki niepokój panuje w duszy młodzieńca. Jego przyczyną nie był czekający go bój, zdecydowanie nie. Mimo że liczył sobie zaledwie dwadzieścia trzy lata, już kilkakrotnie galopował na czele bułgarskich wojsk i mógł się pochwalić przed młodszymi braćmi licznymi doświadczeniami bojowymi. Uśmierzył bunt plemienia Burtasów na południowych granicach. Niedaleko miasta Jełabuga rozbił wielką gromadę koczowniczych Baszkirów, którzy dwa lata wcześniej przemknęli wzdłuż Uralu i nieoczekiwanie wtargnęli od wschodu w dolinę Kamy. W bitwie z okrutnymi, krwiożerczymi Pieczyngami, których podstępni Chazarowie bez ustanku szczuli na Bułgarię, Hassan został nawet ciężko ranny – jego brzuch przeszła strzała koczownika i minęły długie

cztery miesiące, zanim zdołał znowu dosiąść konia.

Nie, Hassan nie bał się bitwy. Nie bał się też śmierci, przecież tych, którzy zginęli na placu boju w imieniu Allaha, miała oczekiwać wieczna rozkosz w raju. Tym, co wiło się w jego trzewiach niczym tasiemiec, była obawa przed wareskim wiarołomstwem.

Przez cały dzień i całą noc wezyrowie, wodzowie wojska i naczelnicy plemion radzili w pałacu emira w Bułgarze o tym, czy zawrzeć sojusz z Bragim. Narada przebiegała dokładnie odwrotnie, niż przewidywał Bragi. Hassan nie musiał przekonywać swego ojca, by przyjął Waregów do służby i wysłał ich na spotkanie kijowskich najeźdźców. Emir Ahmed bez wahania uczepił się tej możliwości. W końcu to właśnie Hassanowi przypadła rola tego, kto przestrzegał Radę Mędrców, by nie wierzyła bezgranicznie Waregom i starannie przemyślała ich propozycję.

Nikt go jednak nie słuchał. Dostojnicy się bali. Słyszeli o wojsku gromadzącym się w Suwarze, o przebudzonej mocy smoka, a jednocześnie trzęśli się ze strachu przed zbliżającymi się Kijowianami. Wiedzieli, że Bułgar nie ma dość wojska, by stawić czoło obu nieprzyjaciołom jednocześnie. Dlatego też przybycie samozwańcych wareskich posiłków wydało im się odpowiedzią Allaha na rozpaczliwe modlitwy i prośby o ratunek.

Hassan szczerze wątpił, by Allah miał z tym cokolwiek wspólnego. Dlaczego Bóg miałby im zesłać na pomoc hordę obcych pogan? W każdym razie emir nie przyglądał się temu pod kątem wiary i podjął decyzję. Wezwał Bragiego, zażądał od niego przysięgi wierności – słowo Warega, phi! – i przyjął go na służbę. Rozkazał też swemu pierworodnemu, by zebrał dwa tysiące jeźdźców i ruszył z Bragim na zachód.

Hassan spełnił polecenie. Tym sposobem znalazł się twarzą w twarz z groźnym kijowskim wojskiem, w środku krainy zamieszkaney przez plemiona, które ze czcią zerkały w stronę Suwaru, na dodatek mając wątpliwego sojusznika u boku. Hassan ibn Ahmed niepokoił się tak, że

żołądek podchodził mu do gardła.

– Już wraca – powiedział Bragi.

Następca tronu przyjrzał się uważnie. Od strony pagórków, które zagroziły im drogę, pędził lekkozbrojny jeździec. Bragi wysłał na zwiady swojego przybocznego.

– Gromadzą się po przeciwnej stronie doliny – zameldował podniecony Ratimir, zatrzymując konia tuż przed swoim wodzem. – Trzy tysiące jeźdźców.

– Wiedziałem! – Uśmiechnął się Bragi i zwrócił się do Hassana. – Odgadliśmy dobrze, następco tronu. Mamy przewagę. Zwycięstwo jest już nasze.

– Chciałbym mieć twoją pewność. – Bułgarskiemu wodzowi znowu coś zaczęło się wić w brzuchu, jakby strzała Pieczyngów wciąż tkwiła w ranie, a ktoś teraz kręcił nią brutalnie i nawijał jelita na kościany grot. – Przewaga pięciuset ludzi nic jeszcze nie znaczy. W bitwie może się stać cokolwiek...

– Nie wierzysz w swoich ludzi? – zapytał Bragi. – Bułgar wysłał najlepszych jeźdźców. Kijowianie nie mogą się wam równać w kunszcie jeździeckim, w porównaniu z wami są powolni i niezgrabni, przypominają stare ropuchy. Uderzycie na nich całą siłą, zasypiecie strzałami, nabijecie na włócznie. Moi chłopcy w tym czasie podzielą się na dwie grupy i obiegają dolinę z północy i południa. Na twój znak zaatakujemy z flanki. Chwycimy Kijowian w żelazne kleszcze i będziemy ich gnieść, póki nie trysną im flaki.

– Powinniście się więc pospieszyć – poradził chmurny Hassan. Nie miał ochoty dalej układać się z Waregiem – zaplątałyby się jeszcze mocniej w sieć jego przechwałek i kłamstw. Był już najwyższy czas, by oddać się w ręce Allaha.

Następca tronu odwrócił się ku swym ludziom i skinął na nich. Znów zabrzmiał dźwięk rogów, złote tugi z sokołem i półksiężycem zamigotały, rozległ się tupot kopyt. Na ten znak dwutysięczna konnica ruszyła w stronę

wzniesienia, za którym była dolina z jeziorem.

Bragi przez chwilę patrzył na oddalającego się następcę tronu, a potem zwrócił się niecierpliwie do Ratimira.

– No i jak? – zapytał stłumionym głosem. – Jak to wygląda? Co robią naprawdę? Nie mów, że Światosław i Sweneld stoją jak gamonie i czekają, aż na nich uderzymy.

– Rozdzielili się na dwie grupy – zameldował zabijaka z Rujany. – Mniej więcej dwie trzecie wojska czeka na zachodnich pagórkach i gotuje się do starcia z bułgarską jazdą. Tysiąc ludzi ruszyło galopem na południe, w las. Myślę, że chcą objechać dolinę i uderzyć na nasze tyły. Zapewne wiedzie ich sam Światosław.

Bragi musiał się opanować, żeby nie zatrzeć rąk z uciechy.

– Świetnie, Ratimirze, doskonale! Wszystko idzie jeszcze lepiej, niż przypuszczałem. Nie traćmy czasu. Sam poprowadzisz siedmiuset pieszych na północną stronę doliny. Niech Hassan ani przez chwilę nie podejrzewa, że coś idzie niezgodnie z planem. Poczekać spokojnie, dopóki nie usłyszycie mojego rogu. Potem... wiesz, co trzeba zrobić.

– Na Swantewita, konungu, podziwiam cię. – Zaśmiał się złośliwie Ratimir. – Wprawdzie mówi się o Waregach, że są chytry i podstępni, ale ty musisz być wcieleniem samego Lokiego, boga wszelkich kłamstw i przeniewierstw.

Na widok grymasu, który wykrzywił twarz Bragiego, nawet wściekły wilk rzuciłby się do ucieczki.



W świetlistym, solidnie zmoczonym niedawnymi deszczami lesie pachniało grzybami.

Spomiędzy źdźbeł trawy wystawały brązowe kapelusiki.

Pod ciężarem masywnego kopyta bryznęła grzybowa breja.

Koń wszedł do potoku, zastukał podkowami o kamienie. Woda trysnęła jak deszcz błyszczących pereł. Przy skoku na przeciwny brzeg jeździec zachwiał się w siodle, ale utrzymał równowagę i znów usiadł pewnie. Zabrzęczała zbroja.

Po chwili następne rumaki zmąciły kopytami wodę. Zza drzew wynurzali się coraz to nowi jeźdźcy. Słońce przedzierało się przez kołyszące się na wietrze korony drzew, przeskakiwało dziarsko z hełmu na hełm, z pancerza na pancerz, z jednego błyszczącego okucia tarczy na drugie.

Tysiąc jeźdźców przemykał spieszenie przez las. Światosław na czele, Wołch i gorynycze tuż za nim, potem Jegor, Mikuła, Ilja i pozostali. Przeskakiwali potoki i leżące pniaki, schylali głowy przed nisko wiszącymi gałęziami, omijali kolczaste zarośla. Byli już na wysokości jeziora. Zataczając wielki łuk, szybko zbliżali się do krańca doliny, zajmowanego przez Bułgarów i Waregów z Helgardu.

Ilji serce waliło jak młotem, a w głowie dźwięczały mu słowa Jegora: „Jesteśmy jak te pszczoły”.

Tak, czuł to. Przenikała go wspólna świadomość całej drużyny. Łączyła go z pozostałymi, a jednocześnie zwiększała jego własną siłę. Naprawdę wyroili się jak dzikie pszczoły z przewróconego drzewa. I biada temu, kto teraz stanie im na drodze.

Ich żądła zostały przecież wykute z żelaza.



Najpierw nad wschodnim grzebieniem ukazał się połyskujący, złoty tug. Sweneld oczywiście nie rozpoznał z tej odległości jego dokładnego kształtu, ale w zasadzie to nie było potrzebne – on i jego zabijacy, zwani Rusami, bardzo dobrze wiedzieli, z kim mają zaszczyt się spotkać.

Zza grzbietu wzgórza wynurzył się człowiek, a wreszcie koń. Jeździec zatrzymał się na najwyższym punkcie wzniesienia i na znak wyzwania hardo dźgnął żerdzią niebo.

Po chwili pojawili się pozostali jeźdźcy – równocześnie, na całej linii widnokręgu. Najpierw las włóczy i tugów obwieszonych końskimi ogonami, znaków pojedynczych bułgarskich rodów i oddziałów wojskowych. Po chwili sami jeźdźcy, długi sztyk, stopniowo zdobiący zielone wzgórza dziwną żelazną koronką. Oczywiście, za pierwszym wojem przyjechali następni, całe zastępy. W końcu raz jeszcze zabrzmiał róg i bułgarskie wojsko się zatrzymało.

– Tak, tu ich mamy – warknął Sweneld, opuścił na twarz osłonę hełmu, po czym sięgnął do boku. Dobył miecza i wymierzył go w niebo. Klinga słabo błyszczała w słońcu – była cała pokryta rysami, wyszczerbiona, dawno zmatowiała w dziesiątkach krwawych starć z nieprzyjaciółmi Kijowa.

– Do broni! – krzyknął. – Niech szczeka żelazo! Niech nas usłyszy sam Thor w niebieskiej sieni i napełni nasze ciała boską siłą!

Waregowie zahuczeli niskimi głosami. Zachrzęściły setki drzewców i żelaznych ostrzy. Pierwsze rzędy chwyciły długie włócznie, sztyki za nimi zacisnęły dłonie na mieczach, toporach i okutych maczugach. Okrągłe tarcze, szerokie na więcej niż pół sążnia, nie znajdowały się już na plecach, ale na przedramionach wojowników.

Sweneld jeszcze raz spojrzął na dolinę jedynym zdrowym okiem i uśmiechnął się szeroko. Witał nadchodzącą bitwę jak starą znajomą, jak kochankę, która zawsze dostarczała mu najwyższej rozkoszy.

Był gotów paść w jej objęcia.



Świat przed Światosławem, widziany z grzbietu kłusującego konia i przez otwory w wareskim hełmie, zmienił się w splot rozchwianych plam bujnej zieleni i snopów słonecznego światła. Książę był jednak przyzwyczajony do jazdy w pełnej zbroi. Nie miał najmniejszych trudności z orientowaniem się w przestrzeni, zawczasu omijał nisko wiszące gałęzie i splątany gąszcz. Nie martwił się o ludzi, którzy jechali za nim – wystarczyło, że stale słyszy tupot

kopyt i brząk żelaza, by wiedział, że podążają jego śladem.

Las stał się wyraźnie rzadszy. Zamiast mchu i liści, pod kopytami zaszleściła trawa. Książę natychmiast zwolnił. Pomyślał, że dotarli do granicy boru i wkrótce będą w zasięgu wzroku nieprzyjaciela. Kiedy jednak drzewa rozstały się przed nim na dobre, zdał sobie sprawę, że to jeszcze jedna wielka polana pośrodku lasu. Na przekór temu ściągnął wodze – tak prędko, że jego rumak zarżał i zamłynkował w powietrzu przednimi kopytami. Książę zaklął ze zdumienia i wydobył pokryty runami miecz z okutej metalem pochwy.

Po przeciwnej stronie zalanej słońcem łąki, tuż pod lasem, stał jeździec.

Zaskoczeni Kijowianie wstrzymywali konie. Wokół księcia zgromadzili się goryncze i pozostali bliscy drużynnicy, reszta jazdy zaś rozlała się w bok, dopóki bojarzy nie zajęli skraju lasu szerokiego na więcej niż gon. Konie parskały, rżały i biły kopytami w ziemię, jak gdyby je paliła. Ludzie z krzykiem i przekleństwami sięgali po broń.

– To Waregowie. – Wołch podjechał do Światosława na swoim gniadoszu.

– Widzę tylko jednego. – Książę zmrużył oczy.

– W gęstwinie jest ich więcej – stwierdził Wsiesławiewicz. W wyciągniętej prawej ręce trzymał laskę, opartą ukośnie o siodło obok prawego uda. – Las aż się od nich roi.

– Na co czekamy?! – zawarczał Jegor, a Śmierć w jego dłoni zabłysł w słońcu. – Uderzymy na nich i rozproszymy jak dzikie zające!

– Nie – Światosław powstrzymał go zaskakująco spokojnym głosem. – Spójrzcie.

Samotny jeździec ruszył ku środkowi polany. Jechał tak, by dobrze widzieli, że nie trzyma w ręku broni, mimo że miał na sobie solidnie wykutą północną zbroję, a na siodle za nim chwiały się istny arsenał.

– Czego chce? – warknął Jegor.

– Układać się – stwierdził Światosław. – Widzicie jego pancerz i hełm? To

nie jest zwykły poseł. To ich wódz, konung we własnej osobie. Wysłucham go.

– Gosudarze – ostrzegawczo syknął Wołch – to może być pułapka! Pewnie mają łuczników na drzewach! A inni ukrywają się w wysokiej trawie. Zastrzelą cię, ledwie wjedziesz na łąkę...

– Niech no spróbują. – Alosza podjechał do przodu. Trzymał już w ręce łuk i nakładał strzałę na cięciwę. – Kryję cię, wielki książę. Jeśli poseł sięgnie po miecz albo z lasu wyleci choć jeden pocisk, natychmiast dostanie ode mnie strzałę prosto w gębę.

– On wcale nie musi być ich wodzem – myślał na głos Ilja. – A jeśli to niewolnik albo prosty sługa, przebrany w zbroję i hełm pana?

– Nie przypuszczam – odparł władca i ruszył.

– Pozwól mi sobie towarzyszyć, gosudarze – nalegał Wołch. – Ochronię cię czarem łuski Zirnitry, odwrócę możliwy...

– Nie. – Światosław przejechał koło niego i pokłusował z cienia drzew na otwartą przestrzeń. – Okazał dzielność, samotnie wyjeżdżając nam naprzeciw. Niech wszyscy widzą, że mam co najmniej tyle samo odwagi.

Bohaterzy chmurnie obserwowali księcia, który jechał dziarsko przez morze wysokiej trawy. Drzewca i rękojeści broni ściskali tak mocno, że ich rękawice były mokre od potu.

Atak nie nastąpił. Powietrze drżało od napięcia jak naprężona cięciwa Aloszy, ale w lesie naprzeciwko nie dostrzegli żadnego zdradzieckiego ruchu. Światosław i obcy jeździec zbliżali się, aż wreszcie wstrzymali konie pięć sążni od siebie. Kijowianin z początku ledwie zerknął na przeciwnika, za to uważnie przyjrzał się gęstwinie tuż za nim. Wołch miał rację – pod drzewami poruszało się mnóstwo cieni. Od czasu do czasu w zabłąkanym promyku słońca zabłysło żelazo.

– Bądź pozdrowiony, Sfendaldzie! – zawołał tajemniczy jeździec. – Czy może już się tak nie nazywasz? Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni,



używał jeszcze starego wareskiego imienia. Ale ponoć od wstąpienia na stolec wielkoksiążęcy pozwalasz się nazywać tym sławutycznym przezwiskiem.

Książę nawet nie ukrywał zaskoczenia. Chmurnie przyjrzał się nieznanemu, ale twarz mężczyzny częściowo zakrywał wareski hełm, podobny do jego własnego.

– Znamy się?

– Nie tylko! – Zaśmiał się jeździec. – Kiedy jeszcze nie miałeś wąsów pod nosem i przebywałeś ze starym Asmundem w Nowogrodzie, spędziłem tam jedną zimę. Chodziliśmy razem na łowy, w długie wieczory zalewaliśmy się miodem i sprawdzaliśmy, czy w łożku lepsze są dzikie Czudki z północy, czy może Słowienki znad rzeki Łować. Nie mów, że już nie pamiętasz.

Światosław na chwilę zastygł ze zdumienia. Po chwili zapytał niepewnie:

– Bragi?

Wareg znów się zaśmiał, podniósł rękę do osłony nosa i zdjął hełm. Wiatr przecesał rudawe włosy.

– Bragi Halvorsson – sam Kijowianin potwierdził własne przypuszczenie i podjechał bliżej. – Na korzenie Yggdrasila i gałęzie Wielkiego Dębu, bracie, to ty! Pewnie, że nie zapomniałem tej hulaszczej zimy w Nowogrodzie, chociaż minęło siedem długich lat...

– Osiem – poprawił go Bragi, skłonił się w siodle i mocno uściśnął podaną prawicę. – Czemu to spotkanie tak cię zaskakuje? Nie słyszałeś, że panuję w Helgardzie?

– Naprawdę nie. Doszły mnie słuchy, że u ujścia Oki do Długiej Rzeki rośnie w siłę wareski gród, ale twoje imię do mnie nie dotarło...

– No pięknie. – Bragi skrzywił usta. – Tak myślałem, że siedząc w tej dziurze, nie zdobędę sławy. Na tej wyprawie powinienem jej zyskać więcej. Skoro już przy tym jesteśmy, powinniśmy odłożyć na później wspomnienie dawnych dobrych czasów. Tam za tymi drzewami – wskazał palcem w prawo

– czeka na nas plac boju. Już czas, by połała się krew. Chcę mieć swój udział w podboju Bułgarii przez Sfindalda Ingwarssona.

Władca Kijowa zmrużył oczy, a pierwotne zdziwienie w jego twarzy ustąpiło miejsca szerokiemu uśmiechowi.

– Mówisz poważnie? Zdradzisz swoich bułgarskich sojuszników?

– Zdradzić ich? A gdzie tam. Zdradą byłoby, gdybym się zdecydował na taki krok tu i teraz. Planowałem to jednak od samego początku. Nie jest to więc zdrada, ale podstęp!

Światosław musiał się zaśmiać, słysząc to typowo wareskie rozumowanie. Jego śmiech został jednak przerwany dochodzącym z północnego zachodu dźwiękiem rogu. Książę obejrzał się i spoważniał.

– Sweneld rusza do ataku. Będzie burza. Zagrzmi żelazo.

– Nie ociągajmy się więc. – Bragi włożył hełm. – Nie pozwólmy, żeby stary wilk sam zebrał wszystkie plony!

Wodzowie jeszcze raz uścisnęli sobie ręce, potem prędko wrócili do swoich wojsk i wydali rozkazy. Chwilę później z lasów po obu stronach polany wysypali się wojownicy – piesi i konni, Waregowie i członkowie plemion podbitych albo związanych sojuszem. Mimo że helgardczanie i Kijowianie nie widzieli się nigdy wcześniej, natychmiast zwarli szyki, jakby od początku świata walczyli pod jedną chorągwią.

Znów zabrzmiały rogi. Tym razem po wschodniej, bułgarskiej stronie.



Gdy tylko dźwięki rogu rozerwały się i przeszły w echo cichnące wśród okolicznych pagórków, Hassan ibn Ahmed rażno dobył szabli, podniósł zakrzywioną klingę wysoko nad głowę i zwrócił się do swoich ludzi.

– W imieniu Allaha! – krzyknął. „I w imieniu Tangry, Arkliga, Umaji i wszystkich starych bogów” – dodał w duchu dla pewności. – Włócznicy na pierwszą linię! Łucznicy za nimi! Naprzód, wnukowie Kotraga! Za Boga, za

Bułgar i za emira Ahmeda ibn Dżafara, waszego pana! Lećcie, zmieńcie się w stepowy wichur i zmiećcie tę gawiedź jak słomiane kukły!

Bułgarzy odpowiedzieli na wezwanie następcy tronu przenikliwym, gardłowym skowyt. Ich zdecydowanie sprawiło, że wargi Hassana skrzywiły się w uśmiechu, a serce zaczęło bić żywiej. Obawy i wątpliwości rozpierzchły się na wszystkie strony, niby wróble spłoszone przez jastrzębia. Wódz zawrócił konia i ruszył w dół stoku. Jeźdźcy dziarsko pognali za nim swoje niskie, ale wytrzymałe i szybkie stepowe koniki. Bogato okute rzędy dzwoniły przenikliwie.

Po zachodniej stronie doliny ruszyły się już kijowskie hufce – wprawdzie wolniej i rozważniej, ale tak samo groźnie. Idące konie przechodziły powoli w kłus, krok nabierał rytmu, siły, wyrazu.

Hassan popatrzył na sokoła, rozpościerającego złote skrzydła na wodzowskim tugu. Napełniła go odwaga, jakby wstąpiła w niego dusza drapieżnika. Nie cofnął się i nie pozwolił się otoczyć swoją gwardią, wprost przeciwnie, wyprzedził łuczników i włóczników i ruszył do ataku na czele wojska. Jego śmiały przykład sprawił, że serca Bułgarów zabiły żywiej. Niecierpliwie bodli ostrogami końskie boki. Jeźdźcy z Bułgaru nabierali prędkości szybciej niż ociężali Kijowianie po przeciwnej stronie doliny. Już wkrótce przeszli w cwał.

Raz-dwa osiągnęli dno wąwozu. Nad jeziorem znaleźli się znacznie wcześniej niż przeciwnicy. Na chwilę zbili się w gromadę, rysi objechali wodę od północnej strony i już po chwili rozciągnęli się na całą szerokość. Wiatr świszczwał im w uszach, woń końskiego potu i wyrwanej podkowami darni kręciła w nosie. Ziemia dudniła, świat się trząsał, chmura nieprzyjaciół rosła przed oczami. W Bułgarach obudziła się moc koczowniczych przodków, władców stepu. Wojowników, którzy rozszerzyli sławne państwo Onogur od Uralu po daleką Sławutycz, po Morze Ponckie. Z ich gardeł po raz kolejny dobył się skowyt, od którego puchły uszy. Waregowie odpowiedzieli mrocznym, głębokim huczeniem.

Hassanowi brakowało tylko paru uderzeń serca do zderzenia ze zwartymi szykami Kijowian. Świsnął szablą i wrzasnął tak, że zagłuszył tętent tysięcy kopyt. Bułgarscy łucznicy wyprostowali się w siodłach i nie zwalniając, puścili wodze, by naciągnąć łuki.

Nad prędko zwężający się pas trawy między oboma wojskami wleciała chmura strzał. Niszczące gradobicie zasypało kijowskie zastępy. Kłujące żelazo dzwoniło na żelaznych pancerzach, stukało o tarcze. Ludzie spadali z sodeł. Konie, także te trafione, pędziły dalej – nawet śmiertelne postrzały robiły na wyćwiczonych bojowych rumakach wrażenie nie większe, niż ukłucie komara.

Rumaki przebiegły z tupotem przez ostatnie sążnie wolnej przestrzeni. W powietrzu świsnęły włócznie. Ludzie wrzeszczeli. Konie rżały.

Hassan nie uląkł się lasu nastawionych kijowskich włóczni. Szczęśliwie przeleciał między grotami, cięciem w lewo przeciął drzewce najbliższej włóczni, po chwili błyskawicznie ciął w prawo. Głowa w wareskim hełmie zatoczyła łuk w powietrzu, rubinowe krople trysnęły w stronę słońca.

– Odyyyyn!

– Allaaah!

Bułgarscy i kijowscy włócznicy zwarli się z hukiem.



Od łoskotu i krzyku, które wypełniły dolinę, dzwoniło w uszach. I nie tylko ludziom w środku tej rąbaniny nad jeziorem, ale też siedmiu setkom helgardzkich wojowników, skrywających się za stokami północnych wzgórz.

– Na co jeszcze czekamy?! – niecierpliwie krzyknął jeden z Waregów, wyskoczył i wyzywająco uderzył toporem o umbo tarczy. – Nie słyszycie, że wzywają nas bogowie wojny?!

– Wróć! – wrzasnął na niego klęczący w trawie Ratimir. – Jeszcze za wcześnie! Wytrzymajcie, chłopcy, powstrzymajcie żądzę krwi. Ruszymy,

kiedy nasz wódz da znak!

Wareg poczęstował go złym spojrzeniem, ale posłuchał i znowu się skulił. Helgardzcy wojownicy nie lubili, kiedy im rozkazywał ten rujański wygnaniec, ale nie odważyli się opierać prawej ręce konunga.

W dolinie prędko gęstniał straszliwy tłok. Bułgarskie i kijowskie szyki całkowicie się mieszały. Jeźdźcy z tylnych szeregów parli do przodu, żeby pomóc druhom walczącym pośrodku rzezi. Ludzie i konie wpadali pod kopyta wierzchowców wroga i, bez względu na głębokość ran, ginęli, stratowani. Ich krzyk zlewał się w jeden straszny dźwięk, w którym nie dawało się rozróżnić ludzkich i końskich głosów. Żelazo dźwięczało, w powietrzu latały drzazgi z połamanych włócznie, łuski pancerzy i strącone hełmy. Plac boju okryła czerwona mgła.

Ratimir nie zwracał uwagi na bitwę. Z dłonią zaciśniętą na drzewcu włócznie spoglądał w napięciu na lesiste pagórki naprzeciwko.

Po Bragim ciągle nie było ani widu, ani słyhu.



O najeżoną strzałami tarczę Swenelda z dudnieniem uderzały bułgarskie szable i lekkie topory na długich styliskach. Po kolczudze ześlizgnął się grot włócznie, od hełmu odbiła się strzała. Wareg nawet nie zachwiał się na końskim grzbiecie, jakby był przynitowany do siodła. Za to bez wytchnienia odpowiadał na ataki mieczem, siał wokoło zniszczenie i śmierć. Pod ciosami pękały kości, lała się krew, szczupli jeźdźcy znad Itilu spadali z siodła. Sigurdsson walczył z zimną krwią, bez litości, ze skupieniem. Czasy gdy zmieniał się podczas bitwy w szalonego, niosącego śmierć berserka, już dawno minęły, pozostając jedynie niewyraźnym wspomnieniem z młodości. Szał zastąpiło trzeźwe okrucieństwo, chłodne i świadome celu jak ostrze przedzierające się przez wnętrzości w kierunku serca.

Właśnie w ten sposób jednooki zabijaka wyrąbywał sobie drogę do złotego tuga, który połyskiwał nad dziko falującym gąszczem włócznie, hełmów i rąk

niezmordowanych wojów wznoszących miecze i topory. Domyślał się słusznie, że to znak gwardii przybocznej bułgarskiego następcy tronu. Widział, jak syn emira rzucił się bezrozumnie w sam środek kijowskich szyków. Bez względu na zręczność i pasję, z jakimi uderzał przeciwników, ugrzązł w końcu w miażdżącym kręgu nieprzyjaciół i został kilkakrotnie ranny. Na pomoc musieli prędko przygalopować jego drużynnicy. Rozbili Waregów, odbili otoczonego księcia i usiłowali dostać się z nim w bezpieczne miejsce.

Sweneld nie miał zamiaru na to pozwolić.

– Za mną, wilki, za mną! – wrzasnął przez ramię. Około trzydziestu najzręczniejszych zabijaków bez wahania ruszyło za nim. Od razu zrozumieli, że wódz wiedzie ich do starcia z najlepszymi bułgarskimi wojownikami i zawyli z niecierpliwości.

Hassan ibn Ahmed wściekł się, kiedy jego przybocznicy wyrwali go spośród rzezi. Cały zastęp otoczył go i usiłował wydostać z zasięgu kijowskiej broni. Po twarzy i zbroi wodza lała się wprawdzie krew z kilku ciętych i kłutych ran, ale w szale bojowym nie czuł bólu ani ubytku sił. Gdy wraz z drużynnikami pokłusował na północny stok, w cień rozłożystej samotnej lipy i obejrzał plac boju z wysoka, olśniło go.

Bułgarskie szyki były rozerwane i przerzedzone, podczas gdy żelazna masa Kijowian pozostała zwarta i uparcie parła bułgarską konnicę z powrotem w stronę jeziora.

– Wezwać posiłki! – Hassan uderzył bojarów wystraszonym spojrzeniem.  
– Dąć w róg!

Niech helgardczanie natychmiast atakują!

Drużynnicy czekali niecierpliwie właśnie na ten rozkaz. Prędko podnieśli rogi i zadęli w nie.



– Dmijcie sobie, głupcy. Dmijcie do syta, do utraty tchu – zarechotał

Bragi, kiedy wraz ze Światosławem stanęli pod drzewami po południowej stronie doliny. – Niech was usłyszą w niebie, aby bogowie wiedzieli, że mają przyjść i pozbierać wasze dusze.

– Zdaje się, że bitwa trwa w najlepsze – chłodno ocenił Światosław, kiedy omiotł spojrzeniem plac boju.

– Oczywiście. Sweneld się nie lenił. Ruszajmy do ataku i porządnie popędźmy konie, inaczej jednooki nic dla nas nie zostawi!

– Nie. – Księżę powstrzymał go gestem ręki. – Wytrzymaj jeszcze chwilę, Bragi. Niech bułgarski następca poddusi się trochę we własnym sosie. Kiedy zobaczy, że jego skomlenie o pomoc pozostało bez odpowiedzi, straci serce do walki, a jego ludzie wpadną w rozpacz. Potem poprowadzimy rozstrzygający atak i nadepniemy ten kłęb robactwa żelazną podeszwą.

Bragi musiał głęboko westchnąć, by zapanować nad sobą i nie ruszyć natychmiast do boju, ale po chwili uśmiechnął się paskudnie. Sam miał opinię chytrego lisa, ale teraz podziwiał rozsądek i zimną krew Światosława. Za nimi w lesie tupali i hałasowali zbliżający się ludzie, jeźdźcy i piechota.

Halvorsson spojrział na przeciwny koniec doliny. Na wzgórzach z wysokiej trawy niecierpliwie wyglądała druga grupa helgardzkich Waregów.

– Już niedługo, chłopcy – wycedził przez zęby Bragi i sięgnął po topór.



Mężczyźni skuleni na północnych stokach dosłownie skomleli z niecierpliwości – głośno zgrzytali zębami z żądry krwi, w oczach mieli wręcz demoniczny błysk. Tylko Ratimir nie odrywał spojrzenia od lasów na południowej stronie doliny. Dlatego nie przegapił chwili, kiedy gęstwina zafalowała od ruchu zbliżającego się wojska.

– Przygotować się – warknął i prędko włożył hełm. Waregowie musieli zacisnąć zęby, żeby nie zacząć wyc.



Zdezorientowany Hassan spoglądał to na pagórki z południowej strony, to na wzgórza po stronie północnej, aż dziw, że nie wykręcił sobie szyi. Złe przecucie, gryzące go w głębi duszy już od chwili odjazdu z Bułgaru, nagle rozwarło zębatą paszczę i pożarło go całego.

– Na Allaha, co to ma znaczyć? – krzyczał do syna władcy człowiek, który niósł tykę z tugiem. – Gdzie są posiłki? Czemu nie atakują?

– Zdradzili nas – odparł Hassan głosem jak z metalu. Dziwna rzecz, ale ta straszna pewność napełniła go poczuciem własnej racji. Od samego początku czuł to w kościach, przestrzegał ojca i radę przed wareskim wiarołomstwem. Nie posłuchali go, strach odebrał im rozum, kazał podjąć szybką i głupią decyzję. A teraz wszyscy za to zapłacą...

– Odyyyyn!

Lecąca włócznia minęła Hassana zaledwie o kilka palców i przebiła na wylot tutowego. Mężczyzna nawet nie jęknął – spadł z rżącego konia jak snopek słomy. Blask symbolu władzy zgasł w trawie.

Na stoku zabrzmiał tupot kopyt, w powietrzu załopotał proporzec z dwoma krukami Odyna.

– Bronić następcę tronu! – wrzasnął wódz bułgarskiej drużyny przybocznej. Hassan zawrócił konia i podniósł wyszczerbioną szablę.

Gromada Kijowian z siwym zabijaką na czele wjechała w cień samotnej lipy. Nie było wątpliwości, że chcą dopaść głównodowodzącego. Gwardia Hassana rzuciła się na nich zdecydowanie. Następca tronu nie chciał w żadnym razie zostać w tyle. Z okrzykiem bojowym swych koczowniczych przodków wpadł w sam środek krwawego kłębówiska ludzi i koni. Jego podwładni usiłowali nie dopuścić do bezpośredniego udziału Hassana w boju, ale odepchnął ich, przedarł się do przodu i zaatakował kijowskiego wojewodę.

Sweneld właśnie obalił jednego ze strażników syna władcy – rozciął wareskim mieczem kolczugę Bułgara, jakby nie spleciono jej z żelaznych



kółek, ale zrobiono na drutach z wełny. Krew z rany jeszcze skrapiała wszystko wokół, kiedy do Swenelda przedarł się sam następca tronu i zadał cios szablą. Wareski wódz nieoczekiwanie zwinnie machnął ciężkim mieczem i odbił zakrzywioną klingę. Po chwili uniósł się w strzemiączkach, obrócił się i z całej siły uderzył Hassana krawędzią masywnej tarczy.

Zadźwięczał metal, posypały się iskry, pod rumakiem następcy tronu ugięły się nogi i Hassan ibn Ahmed spadł z siodła.

– Panie! Na bogów, nie! – jęknął ktoś, kto w zamieszaniu przypomniał sobie o starej wierze.

Syn emira padł plecami na trawę, a hełm zleciał mu z głowy. Hassanowi pociemniało w oczach, ale tylko na moment. Już po chwili ujrzał wodza swojej gwardii, który wściekle uderzył na Swenelda i starał się go odepchnąć. Siwy Wareg musiał się bronić i naprawdę się cofnął, tylko że w tej chwili do Bułgara z tyłu przykłusował jeden z Kijowian i uderzył go zdradziecko maczugą w plecy. Ranny nie mógł złapać tchu, zachwiał się. W tej samej chwili Sweneld mocnym ciosem przeciął mu gardło.

Ruski wódz znów spojrzał w stronę Hassana. W jedynym zdrowym oku pojawił się złowieszczy błysk, a w siwej brodzie dało się dostrzec szyderczy uśmieszek. W chwili gdy Sweneld ruszył ku Hassanowi, następca tronu uniósł się na lewej ręce i machnął prawą.

Szabla zatoczyła łuk w powietrzu. Sweneld zgiął się błyskawicznie – zakrzywiona klinga przeleciała tuż nad nim i zabrzęczała w koronie lipy.

Wareg wyprostował się i uśmiechnął pogardliwie. Kiedy jednak Hassan odpowiedział takim samym uśmieszkiem, Sweneld stracił pewność siebie. Zauważył, że Bułgar spogląda w górę.

Zdezorientowany Wareg podniósł wzrok. Na gałęzi, dokładnie nad jego głową, wisiał ogromny, ruchliwy, ponuro huczący ciemny soplek. Szabla nadcięła go na samej górze, a teraz własnym ciężarem odrywał się od gałęzi. Jednooki Wareg zaklął straszliwie. Nie zdążył zmusić konia do biegu i uciec.

Wielki rój spadł prosto na niego, rozsypał mu się na głowie, ramionach, część roju zaczęła żądlić żrebca. Pszczoły, już i tak podrażnione nienawistnym szczękiem żelaza, zaatakowały z wściekłym brzęczeniem. Nie tylko Swenelda, ale wszystkich wokół, przede wszystkim Kijowian, ponieważ przy życiu pozostało niewiele Bułgarów. Konie, których nie potrafiła przerazić bitewna wrzawa, teraz miotały się z rozpaczliwym rżeniem, stawały dęba i rzucały jeźdźcami na wszystkie strony. Sam Sweneld upuścił tarczę i wrzeszcząc okropnie, zerwał z głowy hełm i wytrząsał pszczoły z włosów. Jego żrebiec, cały pokąsany, stanął dęba, a po chwili skoczył rażno do przodu i zaczął uciekać. Wareg spadł z siodła, jakby go wyrzuciła żelazna sprężyna. Zleciał w trawę i tam zaczął się miotać, jakby zły duch go opętał. Natychmiast po ataku roju Hassan obrócił się na brzuch i usiłował odpełznąć.

Oczywiście, jego również dosięgło kilka żądał, ale uniknął najgorszego, wstał i wskoczył na konia, którego mu przyprowadził jeden z ocalałych przybocznych.

– Galopem, panie! – krzyczał do niego gwardzista, gdy oddalali się prędko od lipy. – Bitwa jest przegrana, musisz się uratować!

– Nie! – szczechnął następca tronu. – Ludzie się jeszcze trzymają. Kiedy wrócę do boju, zbiorą się i z nowymi siłami...

Jego słowa zagłuszył przenikliwy odgłos rogu, sygnał ataku. Hassan ściągnął wodze i wytrzeszczonymi oczyma spojrzął na południowe stoki. Dźwięk dochodził właśnie stamtąd, z lasu nad jeziorem. Hassan przez chwilę myślał, że Bragi jednak przybywa mu na pomoc, że po prostu dotarcie na miejsce zajęło jego piechocie więcej czasu, niż przypuszczali...

Po chwili zobaczył, jak spomiędzy drzew razem z Waregami wynurzają się obcy jeźdźcy. Jego nadzieja zgasła jak płomyk świecy zdmuchnięty wichurą.

– Na Allaha, już po nas... – zakwilił strażnik.

Bragi zdradził, to było jasne. Parł w dolinę razem z kijowskim odwodem,

pewnie u boku samego Światosława. Odpowiedzią na odgłos rogu i krzyki z południa było niecierpliwe wycie z północy. Hassan obejrzał się. Z pagórków nad nim w dół stoku waliła gromada ludzi. Na czele biegł Ratimir, przyboczny Bragiego. Już na pierwszy rzut oka było widać, że oni też nie spieszą Bułgarom na pomoc.

Gdzie tam.

Przybywali, by ich dobić.



– Trzymać się razem! – Gromowy głos Jegora Światogora górował nad wyciem rogu, okrzykami wojów, tętentem kopyt i podzwanianiem zbroi. – Jesteśmy jak palce! Musimy zacisnąć się w pięść i uderzyć z całej siły!

Rzeka jeźdźców trysnęła z leśnych cieni. Płynęła po zboczu w dolinę. Na czele książę i Bragi, ramię w ramię jako bracia broni, tuż za nimi Wołch z gorynyczami, potem w jednym rzędzie Jegor, Ilja, Mikuła i Alosza, następnie reszta kijowskich jeźdźców, wreszcie horda pędzących na łeb, na szyję pieszych, którzy w żadnym razie nie mieli zamiaru zostać w tyle.

Konie dziko biły kopytami o ziemię. Żelazo w rękach ludzi pragnęło krwi. Lawina wojska wkrótce osiągnęła wschodni brzeg jeziora. Bułgarzy, walczący na zachód i północ od wody, już zauważyli, że z tyłu wali się na nich klęska, z rozpaczą zebrali więc resztki sił, zbili się w gromadę, a więcej niż połowa żyjących jeszcze ludzi odwróciła się, by stawić czoło nowemu atakowi.

– Naprzód, Kijowianie, naprzód! – wrzeszczał Światosław.

Ilja dziękował bogom za to, że może bez zastrzeżeń pójść za radą Jegora i być częścią drużyny. Z tarczą na lewym przedramieniu i włócznią pod prawą pachą ledwie mógł utrzymać się na grzbiecie Buruszka, a musiał się przecież skupić na ataku. Kasztanek rozpaczliwie rżał ze strachu. Inaczej niż konie pozostałych bohaterów, nie został przyuczony do znoszenia bitewnej wrzawy i teraz galopował bezmyślnie, mając po prawej stronie wronka Jegora, z

lewej kobyłkę Mikuły. Zwyczajnie przyłączył się do tabunu, jak jego dzicy przodkowie dawno temu, w naditlskich stepach.

Jeziro rosło im przed oczyma, masa Bułgarów na jego brzegu także. W powietrzu zaświszczały strzały nieprzyjaciół. Ilja niezgrabnie uniósł tarczę. Jedna strzała odbiła się od umba. Następna otarła się o hełm Muromca, krzesząc iskry, które poparzyły mu policzki i osmaliły brwi, a świat, już i bez tego roztrzęsiony, zaczął się chybotać jeszcze bardziej dziko.

– Śmieeerć! – wrzasnął Jegor i uniósł miecz nad głowę.

– Goryyyyn! – wyła Wołchowa trzydziestka. W galopie wydawało się, że trójgłowe żmije na ich tarczach mogą w każdej chwili rozpostrzeć skrzydła i odlecieć.

Alosza puścił wodze i w czasie jazdy strzelał raz za razem. Mikuła, zamiast bojowego okrzyku, wydobywał z siebie kawałki sprośnej piosenki o tym, jak to stęskniony młodzieniec zaciągnął młódkę do stodoły, na siano, które pokłuło dziewczęcy tyłeczek. Zataczał nad głową młyńce masywnym młotem, przez co stanowił zagrożenie dla własnych druhów.

Buruszko znowu zarżał ze strachu. Ilja zerknął niepewnie zza okutego skraju tarczy. Bułgarzy, podobnie jak Kijowianie, zwarli szyki, aż stykali się kolanami i stopami w strzemionach. Obie hordy zbliżały się do siebie galopem. Muromiec dostrzegł Bułgara, który najwyraźniej mierzył prosto w niego solidną włócznią, wzniesioną nad ramię jak u łowcy, który ma zamiar powalić grubego zwierza.

– Perun! – krzyknął Ilja i mocno ścisnął pod pachą drzewce własnej włóczni.

Po chwili czoło ataku – Światosław, Bragi i Wołch z gorynyczami – zderzyło się z bułgarskim wojskiem. Straszliwy łoskot rozbrzmiewał na wszystkie strony, a wolną przestrzeń między wrogimi zastępami prędko zapelniali jeźdźcy. W dzikim galopie szyki zderzały się, rwały, mieszały i gniotły.

Już tylko parę sążni dzieliło Muromca i jego druhów od Bułgarów. Jeździec naprzeciwko Ilji uniósł się w strzemionach i ze wszystkich sił cisnął włócznię.

To było dobre uderzenie, przekłułoby dzika albo łośia jak rozgrzane szydło grudę masła.

Ilja błyskawicznie skulił się za tarczą, zaparł się w strzemionach i naprężył mięśnie, przez co zmienił się w sztywny posąg. Jego tarcza ledwie zachwiała pod ciosem – grot oszczepu dosłownie rozprysnął się na okuciu. Dymiące złomki i drzazgi z połamanego drzewca poleciały na wszystkie strony. Muromiec wyjrzał zza tarczy. Jego wzrok na króciutką chwilę spotkał się ze wzrokiem bułgarskiego jeźdźca.

Bułgar nie mógł uwierzyć, że jego przeciwnik tak łatwo odbił cios. Potem Ilja pchnął z całej siły.

Włócznia przebiła pancerz Bułgara, zdruzgotała mostek i wyszła z pleców w deszczu krwi. Drzewce nie pękło, nie wyslizgnęło się nawet z mocno zaciśniętej dłoni Muromca, więc nabity na nie mężczyzna dosłownie wyleciał z siodła.

Rząd jeźdźców, w którym walczył Ilja, zderzył się z szykiem z Bułgaru. Muromiec miał wrażenie, że rozdarło się niebo i pękła ziemia, że rozgniewani bogowie i demony z krainy umarłych rozpętali koniec świata. W powietrzu latały grudy gliny, tryskała krew. W uszy Ilji wwierciło się straszliwe rżenie koni, wrzask ludzi, odgłosy pękających tarcz i drzewców włóczni. Koń przebitego Bułgara rozdzielił Ilję od Jegora. Mikuła z lewej strony skręcił i rzucił się między nieprzyjaciół. Po każdym ciosie jego młota rozpryskiwały się kawałki drewna i żelaza, krew, okruchy zdruzgotanych kości i strzępy mózgu.

Buruszko rżał. Rozpaczliwie, jakby oszalał. Potykał się, a wielki ciężar ciągnął go w prawo. Ilja potrząsnął głową, żeby się opamiętać po pierwszym starciu. Spojrzał na włócznię. Bułgar ciągle był na nią nabity i wyglądał jak karaluch na ostrym szpikulcu. Ześlizgiwał się powoli po drzewcu w stronę

dłoni Ilji, przy czym okropnie charczał i broczył krwią. Samego Muromca zdziwiło, że potrafi utrzymać w jednej ręce włócznię z tym dość przecież roslym mężczyzną. Buruszko mógł się jednak naprawdę w każdej chwili przewrócić, więc Ilja prędko odrzucił broń z konającym przeciwnikiem. Sięgnął po miecz.

Zanim zdążył go wyjąć z pysznie wykutej pochwy, od lewej strony zaatakował go wyjący Bułgar. Siłacz mocno uderzył go tarczą, czym nie tylko złamał napastnikowi szablę, ale w dodatku obalił go na ziemię wraz z dziko rżącym koniem.

– Iljo, kryj się!

Muromiec obejrzał się. Śmierć Jegora migąła na wszystkie strony, aż bułgarskie głowy i kończyny latały w powietrzu, a na podstarzałego bohatera lała się krew. Jeden z jego przeciwników przejechał jednak przez stalowy wir bez jednej rany i właśnie w tej chwili zamierzył się na Ilję toporem na długim stylisku.

Muromiec wyrwał w końcu Gniew z pochwy i siekł. Sam nie wiedział, skąd u niego wzięła się taka szybkość i dokładność. Ciął Bułgara od dołu, prosto pod uniesioną prawą rękę. Klinga przeszła przez klatkę piersiową i wyszła przez lewe ramię. Głowa mężczyzny z ramieniem, prawą ręką i częścią torsu odleciała w jednym gładko odciętym kawale gdzieś w gromadę wściekle walczących ludzi. Brocząca krwią reszta ciała spadła, a wtedy wylały się z niej wnętrzności.

Ilja tylko wytrzeszczał oczy.

Przelewający się dziko kłęb wojowników przypierał resztki bułgarskiego wojska do jeziora. Na nieszczęście również wielu kijowskich wojowników uwięzło w tym chaosie i musiało cofnąć się do wody. Pod kopytami Buruszka też zachlupotało, a między jego nogami zaszeleściło sitowie. Muromiec cały zadrzał – nie znosił wody. Nie umiał pływać, więc przejście w bród każdej rzeki na szlaku z Muromia aż tu wydawało mu się bojem z samą Kostromą, władczynią świata umarłych. Tym gwałtowniej uderzył teraz

na Bułgarów i starał się wydostać Buruszka z powrotem na brzeg.

Z prawej strony przyłączył się do niego Mikuła. W fontannach wody, strzykających spod kopyt koni, ramię w ramię przedzierali się przez sitowie i kłębiących się nieprzyjaciół. Zadawali straszliwe ciosy mieczem i młotem, rozbijali i rozcinali czaszki, zabijali jeźdźców i konie. Przez chwilę się zdawało, że nikt nie potrafi zatrzymać tej dwójki. W końcu jednak ktoś taki się znalazł.

O dziwo, był to zwykły piechur – muskularny Bułgar, który w zamieszaniu stracił konia i wiedział, że jest to dla niego wyrok śmierci, ale chciał sobie wymościć drogę w zaświaty kijowskimi trupami. Z włócznią w dłoniach odważnie – albo w napadzie szału, kto wie – rażnym skokiem znalazł się na drodze Sielaninowicza. Kobyłka złękła się zakrwawionego grotu. Z rzeniem stanęła dęba. Bułgar natychmiast to wykorzystał i pchnął włócznią w błądy tułów między przednimi nogami.

– Neeee! – zawył Mikuła. – Ty zasrany skurwy...

Dalszą część okrzyku zagłuszył łoskot i rzenie, gdyż nogi ugięły się pod nagle osłabłą kobyłką i nieszczęsne zwierzę padło na bok. Przewracając się, całą swoją wagą potraściło Buruszka i pociągnęło go za sobą.

Rozpaczliwe przekleństwa Ilji uciszyła woda, do której wpadł z głośnym pluskiem. Spłoszone żaby zakwakały, zaskrońce odpływały wijącym się ruchem, a ławice rybek rozpiezchły się, jakby na powierzchnię wody padł cień orła.



– Walczcie, wnuki Kotraga! Nie ustępować! Im więcej niewiernych psów pošlecie do piekła, tym słodsze rozkosze czekają na was w raju! W imię Allaha!

Hassan ibn Ahmed znalazł się pośrodku dzikiej rzezi u północnego krańca jeziora. Stracił szablę w pojedynku ze Sweneldem, ale równie zręcznie władał jeździeckim toporem na długim stylisku. Szeroka głowica migiała, a

jej ostrze rąbało hełmy i czaszki, kolczugi i torsy.

– Już po wszystkim, panie! – W pole widzenia zamroczonego szalem Hassana wtargnął jeden z bojarów. – Mają zbyt dużą przewagę! Nie ma sensu tu zdychać! Przebijmy się przez pierścień wrogów i uciekajmy, trzeba ocalić jak najwięcej naszych!

Następca tronu odepchnął rękawicą wareską włócznię, metalowym cierniem na toporze zaś rozbił nieprzyjacielowi twarz. Przestrzeń wokół niego na chwilę opustoszała, miał więc okazję się rozejrzeć.

Nie było żadnej nadziei na zwycięstwo. Zastępy Bułgarów rzedły z każdą chwilą. Z jednej strony napierała żelazna ściana Rusów Swenelda, z boku atakowała piechota Ratimira, z południa i ze wschodu przybyli Światosław i Bragi. Wareska pięść w rękawicy z żelaza zaciskała się bezlitośnie, wyciskając z Bułgarów krew i wnętrzności. Woda wzdłuż brzegów jeziora poczerwieniała jak wino.

Hassan zaklął. Drużynnik miał rację. Mogli tu mężnie walczyć i polec ku chwale Allaha, ale gdyby tak postąpili, gdyby myśleli tylko o własnej drodze do raju, byłoby to niegodne postępowanie. Już niedługo trzeba będzie bronić Bułgaru. Dzisiejsza bitwa była przegrana, ale wkrótce zacznie się następna. Każdy, kto wróci do Itilu, przyda się w nadchodzących bojach. Jeszcze będzie okazja zginać z imieniem Mahometa na ustach...

Nie, nie trzeba było jeszcze składać najwyższej ofiary.

– Odwrót! – wrzasnął Hassan. – Dać sygnał odwrotu! Wszyscy pod jeden tug i zewrzeć się w klin! Przebijemy się!

Na twarzach bułgarskich bojarów od razu odmalowała się ulga i wola przeżycia, widoczna nawet pod warstwą krwi i brudu. Natychmiast zadęto w róg.



Brudna, mętna od krwi i błota woda tryskała na wszystkie strony, kiedy Ilja z wielkim trudem podniósł się na kolana. Kaszłał, nie mogąc złapać tchu.



Jezioro nie miało tu nawet sążnia głębokości, ale to wystarczyło, by Muromiec niemal się utopił. Woda zdawała się wysysać z niego siły, zmieniała go z powrotem w niezgrabnego kalekę. Kiedy się podniósł, zataczał się i chwiały zauważalnie. Jego nabiegłe krwią oczy wyglądały, jakby paliła go gorączka.

Buruszko, rozchlapując wodę, podniósł się na nogi. Rżąc ze strachu, odbiegł od pana. Ilja zaklął, ale z drugiej strony dziękował bogom, że konik nie został ranny. Kobyłkę Mikuły spotkał gorszy los – też próbowała wstać, ale krew tryskająca z głębokiej rany odebrała jej siły i każda próba podniesienia się kończyła się ponownym upadkiem. Nieszczęsne zwierzę miotało się w wodzie, rozpaczliwie kopało szczupłymi nogami, topiło się, z jego nozdrzy i pyska wydobywały się okropne dźwięki.

– Wy kurwy skurwione! – wrzeszczał Mikuła we wściekłym napadzie żalu i żądzy zemsty. W prawej ręce ścisnął młot, w lewej bicz. Smagał i tłukł wszystko wokół jak oszalały. – Wy worki gówna! Rzycie rozerwane przez końskie kutasy! Zapłacicie mi za to!

Bułgarowi, który spowodował to wszystko, upadek konia wyrwał włócznie z ręki. Stając twarzą w twarz z rozwścieczonym Mikułą, rzucił się do ucieczki, ale skórzany rzemień bykowca omotał mu się wokół szyi. Mimo solidnej postury, mocne szarpnięcie podniosło Bułgara i pociągnęło dobre dwa sążnie w tył. Upadł i już nie wstał – Mikuła doskoczył do niego. Spod opadającego młota bojowego bryznęła mieszanina krwi, okruchów czaszki i strzępów mózgu.

Nad placem boju wyły rogi zwołujące Bułgarów. Pozostało im niewiele dróg ucieczki.

Dolinę zalali Kijowianie i Waregowie z Helgardu. Brodząc wśród sitowia wzdłuż brzegu, można się było przedostać do zatoki na drugim końcu jeziora, gdzie znajdował się Hassan. Koło Ilji zachlupotała woda, zarżały konie. Odwrócił się i zdał sobie sprawę, że stoi pośrodku potoku uciekających Bułgarów. I że każdy z nich chce go zabić.

Stale jeszcze był oszołomiony, pluł śliskim błotem. Zanim zdążył wznieść tarczę, jego piersi dosięgła włócznia. Cios był silny, Ilja drgnął, ale nie upadł. Przeciwnie, to włócznik niemal wyleciał z siodła, a broń wypadła mu z ręki. Muromiec spojrział na swoją klatkę piersiową. Był przekonany, że zobaczy powódź krwi, ale na puklerzach wplecionych w kolczugę nie powstało nawet zadrapanie.

Po chwili kolejny Bułgar zamierzył się na Ilję szablą. Dosięgnął hełmu, który tylko cudem nie spadł Muromcowi podczas upadku. Ilji zadzwoniło w uszach, ale ustał również ten cios. Nie zrobiło mu się ciemno przed oczami, nie czuł żadnego bólu. Po raz ostatni splunął i spojrział. Dwóch jeźdźców galopowało prosto na niego. Jeden trzymał miecz, drugi włócznię.

Skoczył między nich. Odbił włócznię tarczą. Zakrzywiona klinga drugiego jeźdźca nawet nie spadła, ponieważ miecz Ilji ciął jej właściciela skośnie przez pierś. Bułgar wyleciał z siodła, ciągnąc za sobą potarganą krwawą wstęgę, i z głośnym pluskiem padł w gęste sitowie. Mężczyzna z włócznią też nie pocwałował daleko. W powietrzu mignął grot i przebił mu gardło na wylot. Po chwili zaświszczały kolejne strzały. Na brzegu zatupał koń Aloszy Książewicza. Młody Ulicz wyjmował z kołczanu ostatnie pociski i bez litości kosił uciekających Bułgarów. Ani razu nie chybił.

Ilja spiesznie brodził do brzegu. Ledwie postawił stopę na suchej ziemi, na jego drodze stanął wronek Jegora. Klinga Śmierci w ręce starego bohatera była zakrwawiona od sztychu po zastawę. Jegor prowadził za sobą Buruszka.

– Na siodło, chłopcze! – Rzucił mu wodze kasztanka. – Za wcześnie, żeby się kąpać. Bitwa się nie skończyła, jeszcze się porządnie umażesz bułgarską krwią!

Muromiec wskoczył na żrebca, warcząc coś niezrozumiale, i pognął ostro za Światogorem.



Jegor się mylił. Płomień boju już gasł. Rozerwane gromadki Bułgarów

ginęły pod naciskiem Kijowian. Zwłaszcza najemnicy Swenelda nie znali litości, żywot obcych jeźdźców nie był dla nich nic wart. Jedyne wielka gromada, która skupiła się wokół Hassana, miała niejaki nadzieje na ratunek. Na rozkaz następcy tronu ruszyli konno na wschód. Wir zakrzywionych kling zdołał rozbić Kijowian i otworzyć przed uciekinierami wolną trawiastą przestrzeń. Zdawało się, że nic nie stoi im na drodze. Pogalopują aż do Itilu, choćby mieli zajeździć konie...

Hassan pędził na czele umykającej drużyny. Stopniowo przyspieszał. Poczucie hańby mieszało się w nim z gniewem z powodu zdrady Bragięgo i naturalną chęcią, by umknąć z masakry, zostawić daleko za sobą szczęk broni i jęki konających. Chciał znaleźć się w stepie, słyszeć tylko świst wiatru w uszach. Kiedy wspinał się na trawiasty grzebień na wschodzie, skąd jeszcze nie tak dawno prowadził ludzi do ataku, myślał, że mu się uda, że umknie, a znaczna część wojska za nim...

Nagle jednak zabrzmiał dźwięk rogu, a Hassan dostrzegł szybki ruch gdzieś po prawej, na skraju pola widzenia. Obejrzał się zaskoczony.

W kierunku pierwszych bułgarskich szeregów na złamanie karku gnała grupa około pięćdziesięciu jeźdźców. Następca tronu nawet przy tej prędkości rozpoznał znak trójgłowego smoka na tarczach. Gorynycze! Owiana złą sławą Wołchowa trzydziestka! Z nimi kilku innych rosłych bohaterów. I Bragi Halvorsson, ta przeklęta gadzina, żeby tak złapał trąd, żeby mu przyrodzenie zgniło i żeby przez to wyginał jego zakłamaną ród. I jeszcze brodaty mąż w pysznej zbroi, bez wątpienia sam wielki książę kijowski.

Na czele galopował czarnowłosy mężczyzna bez hełmu, dzierzący w jednej ręce miecz, w drugiej wykładany malachitem magiczny kostur. Hassan nawet przez chwilę nie miał wątpiwości, że ma przed sobą wodza Światosławowej gwardii, straszego drewlańskiego maga. Popędził konia tak, że zwierzę zarżało boleśnie.

Wołch Wsiesławiewicz też pędził co koń wyskoczy. Może były w tym

jakieś czary, ale nawet mimo tego, iż Bułgarzy wykonali zwrot w lewo, i tak prędko ich doścignął. W stronę czarodzieja poleciało kilka strzał i dwie lub trzy włącznie. Uniósł laskę, łuska w smoczej paszczy rozjarzyła się, a wtedy pociski padły w trawę, nie czyniąc mu żadnej szkody.

Wołch uparcie ścigał bułgarskiego wodza. Bojarzy Hassana próbowali go zatrzymać, ale gorynycz odbijał ich ciosy mieczem i kosturem – łatwo, niemal z pogardą.

Dudniły kopyta koni, ziemia się trzęsła, glina bryzgała spod podków. Następca tronu się obejrzał. Wsiesławiewicz zbliżał się do niego od prawej. Hassana załapała złość. Ścisnął w ręce topór. Nie pozwoli się przecież ganiać po polach jak zając, któremu gończe psy depczą po piętach. Wyprostował się prędko, zwolnił i zamierzył na Wołcha toporem. Czarownik w ostatniej chwili zrobił unik, ale nie pozwolił, żeby to wybiło go z rytmu i w odpowiedzi machnął laską. Dosięgnął nadgarstka Hassana. Bułgar krzyknął – wybuch niesamowitego bólu wytrącił mu broń z ręki i zachwiał nim w siodle. Wołch natychmiast to wykorzystał, wyprzedził go i łuską na końcu głowicy uderzył konia następcy tronu w czoło.

Nie był to szczególnie silny cios, odniósł jednak taki sam skutek, jakby wielki topór odciął rumakowi głowę. Koń z krótkim rzeniem padł na ziemię. Siła upadku wyrzuciła Hassana w górę – leciał w deszczu gliny, źdźbeł trawy, urwanych srebrnych blaszek z rzędu i złomków jednej podkowy, zapowiadającej koniec nadziei. Niemal w tej samej chwili na Bułgarów uderzyli Bragi, Światosław, gorynycze i pozostali bohaterzy. Walcząca gromada odcięła drogę pozostałym uciekinierom, zmusiła ich do zwrotu i rzuciła wprost w ręce prześladowców pod wodzą Swenelda.

Jeźdźcom z Bułgaru nie było pisane umknąć.



Hassan poturlał się w trawę, brzęcząc zbroją. Leżał, nie mogąc zaczerpnąć tchu, a przed oczami miał ciemność. Koło niego tupały konie, co on odbierał

jako uporczywe, dalekie bicie piorunów. Usiłował zebrać siły i wstać, ale mu się nie udawało. Odwrócił się tylko na plecy i zamrugął w stronę błękitnego nieba. Z cieni, które tańczyły mu przed oczyma, wynurzył się rosły mężczyzna na koniu. Jeździec zsiadł, pochylił się nad Hassanem i wznosił masywny topór z podwójnym ostrzem.

– Pożegnajmy się, synu emira – usłyszał znajomy głos. – To koniec naszego sojuszu.

– Przeklęty... zdrajca... – wychrypiał młody wódz.

– Daj spokój, nie żywisz chyba urazy? – Twarz pokrytą rudawym zarostem wykrzywił paskudny uśmiech. – Wysłałam cię przecież do tego waszego mahometańskiego rajy, w objęcia pięknych, jęczących z rozkoszy dziewczyn. Wiesz, że nawet ci zazdroścę? Mnie czeka jeszcze życie pełne potu i krwi.

Wznosił topór jeszcze wyżej, naprężył mięśnie...

– Stój, Bragi!

Światosław prędko zatrzymał konia tuż przy Halvorssonie i uderzył mieczem we wzniesioną broń.

– Hej! – gniewnie wrzasnął Bragi. – Co ty wyprawiasz, na oko Odyna? Jego głowa należy do mnie...

– Jeśli już, to do mnie. – Z drugiej strony podjechał kłusem Wołch. – Ja obaliłem go na ziemię.

– Wszystko jedno, kto go pokonał – warknął Światosław i prędko zsunął się z siodła. – To jest bułgarski następca tronu i jego głowa przynajmniej na razie zostanie na karku!

– Jakim prawem chcesz mnie pozbawić najcenniejszego trofeum? – Bragi błysnął oczyma. – Niech wreszcie do ciebie dotrze, że jestem twoim sojusznikiem, Sfindaldzie, nie poddanym! Nie rozkazuj mi...

– Pomyśl dobrze, Bragi. – Światosław stanął między nim a leżącym Hassanem. – Spójrz w przyszłość. Nie potrzebujesz daru jasnowidzenia, aby zrozumieć, że nie możemy zaatakować Bułgaru, jego umocnienia są zbyt

silne. Będziemy musieli układać się z Ahmedem. Kiedy będziemy mieć w rękę jego syna, na pewno będzie nas słuchał uważniej.

Konung wziął głęboki wdech. Po chwili wahania wolno opuścił topór i skinął głową, choć był niezadowolony.

– Dobrze. Pewnie masz rację. Pamiętaj tylko, że zwyciężyłeś w tej bitwie dzięki mojej chytrności. Mamy umowę, walczymy razem, ale nie wstąpiłem jeszcze do twojej służby, nie złożyłem przysięgi wierności. Nie przyzwyczajaj się, że możesz mi wydawać rozkazy...

– Rozkazywać ci? Nie przyszłoby mi to do głowy. – Książę uśmiechnął się szeroko. – Ja tylko dobrze ci radzę.

Bragi, chcąc nie chcąc, musiał uśmiechnąć się tak samo.

Szczęk żelaza już ucichł, okrzyki ginących brzmiały już tylko od czasu do czasu – zastąpiło je skomlenie rannych. Kiedy Bułgarzy zobaczyli, że następca został wzięty w niewolę, stracili resztki nadziei i zaczęli się poddawać.

– A niech was piekło pochłonie – wymyślał Jegor, który właśnie dotarł na plac boju w towarzystwie Ilji i Aloszy. – Nic dla nas nie zostało?

– Niestety, przyjacielu. – Wyszczrzył zęby Wołch. – Przyjeżdżasz z łuczywem na pogrzeb, a tu już wiatr dawno rozwiął popiół ze stosu.

Książę Światosław schował miecz do pochwy u pasa, podszedł do ciągle jeszcze leżącego, potłuczonego Hassana i wyciągnął do niego prawą ręką. Następca tronu spojrzał na niego nieufnie.

– No już, podaj mi rękę i wstań – wielki książę przemówił głosem, w którym nie było śladu zawziętości, pogardy czy szyderstwa. – Przegraliście bitwę, ale twoi ludzie zginęli z honorem. Głowa do góry, synu emira, nie ma powodu czuć się pohańbionym. Jesteś teraz wprawdzie moim jeńcem, ale nie każę ci związać rąk. Przeciwnie, obejdziemy się z tobą godnie. Obecny tu Wołch opatrzy ci rany, żebyś dziś wieczorem mógł zasiąść przy ogniu u mojego boku. Pozwolę, żeby twoi ludzie zajęli się waszymi rannymi i

poległymi. Byłeś godnym przeciwnikiem i wierzę, że będziesz też dobrym sojusznikiem.

– Sojusznikiem? – Parsknął Hassan, ale przyjął podaną rękę. Światosław pomógł mu wstać i podparł go. Bułgarskiemu następcy stale kręciło się w głowie wskutek groźnego upadku i upływu krwi z licznych ran. – Wierz mi, już nigdy w życiu nie zawrę przymierza z żadnym Waregiem.

– A z Kijowianinem? – Uśmiechnął się książę.

– Czy to nie wszystko jedno? Ty i ta podstępna szuja – przeszył Bragiego nienawistnym spojrzeniem – jesteście z jednej krwi. Nie wierzę wam ani trochę. Proponujesz mi sojusz i mówisz o honorze, ale na pewno kryje się za tym następna zdrada. Właściwie dlaczego miałbym zawrzeć z wami ugodę? Mam wystąpić przeciw własnemu ludowi? U boku pogan zaatakować sługi Allaha?

– Nie – poważnie odparł Światosław. – Suwar.

Hassan spojrzał na niego pytająco.

– Tak. – Kiwnął głową Kijowianin. – Wiem o wojnie, która niedługo zacznie się nad Itilem. Wiem, że Bułgar drży przed nieprzyjacielem straszniejszym niż ja i moja konnica. Zamierzam uwolnić was od tego strachu. Stanę przed twoim ojcem z propozycją, której nie będzie mógł odrzucić.

Usłyszeli tupot. W górę stoku, w stronę księcia jechała drużyna rosłych wareskich jeźdźców w zbrojach mocno uszkodzonych bojem i poplamionych krwią. Na czele kłusował Sweneld. Kiedy bohaterzy go zauważyli, najpierw wytrzeszczyli oczy, a potem wymienili zdziwione spojrzenia. Ilja nieświadomie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie powinien był tego robić. Śmiech jest zaraźliwy i Jegor, starający się zachować kamienną twarz, musiał zakryć dłonią usta, a jego ramiona zaczęły się trząść. Alosza parsknął, a Wołch się do niego przyłączył.

Sweneld wstrzymał konia gwałtownym szarpnięciem wodzy i przejechał

po bojarach ostrym spojrzeniem zdrowego oka. Ani odrobinę nie uciszył ich rechotu, przeciwnie, wesołość szerzyła się szybko. Po chwili Światosław i Bragi szczerzyli się od ucha do ucha, ba, nawet Hassanowi drgały kąciki ust.

– Śmiejecie się ze mnie, cholerni parszywcy?! – wrzasnął wareski naczelnik. – Jak śmiecie tak rzeć w mojej obecności? Jeśli nie przestaniecie, toporem zamknę wam te wyszczerzone pyski!

Jak to zwykle bywa w podobnych sytuacjach, groźba odniosła skutek przeciwny do zamierzonego. Jegor pochylił się w siodle i dotychczas tłumiony śmiech wydobył się z jego piersi na wolność i rozległ się daleko, po ostatnie szeregi wojska. Sweneld kłął wściekle, groził mu śmiercią, ale Jegor rechotał dalej, po jego policzkach płynęły łzy, zmywając krew i brud. Pozostali wojownicy przyłączyli się do niego. Schodziło z nich napięcie, zapominali o koszmarze ostatnich godzin. Śmiali się jak szaleńcy, bo widok był rzeczywiście niesamowity.

Rozpoznali Swenelda tylko po bliźnie i zmętniałym lewym oku. Siwy wódz był tak pokłuty i spuchnięty, że nawet hełm siedział mu krzywo na guzowatej głowie. Jego ręce wyglądały nie lepiej. Właściwie powinien dziękować bogom, że jad dzikich pszczół nie spowodował śmiertelnego zatrucia i że opuchlizna go nie zadusiła.

Nad wzgórzami głośno krakały kruki. Nie przejmowały się piskami jastrzębia.

Powietrze było przesycone zapachem krwi, a one nie mogły się już doczekać uczty.



– Widziałem to na własne oczy – przysięgał Alosza Książewicz, bijąc się pięścią w pierś. – Nie dzieliła mnie od Ilji większa odległość, niż teraz dzieli od Wołcha. Byłem tak blisko, że kiedy przebił włócznią tego Bułgara, krew bryznęła też na mnie...

– Wierzymy ci, Uliczu – przerwał mu Wsiesławiewicz. – Mów dalej.



– Kiedy nabił go na drzewce – Alosza wstał, żeby mężczyźni siedzący wokół ogniska dobrze go widzieli i żeby móc żywo gestykulować – galopował dalej i parę sążni niósł tego Bułgara na włóczni. Na mą duszę, nic nie zmyślam. Widzicie, jak Jegor trzyma ten rożen z kawałkiem końskiego mięsa? Dokładnie tak Muromiec dzierżył włócznię z tym przebitym Bułgarem. Z łatwością niósł go w jednej ręce i nawet nie zachwiał się w siodle! Tylko jego koniowi nie było łatwo utrzymać równowagę...

– No nie wiem, nie wiem – mruknął Sweneld, siedzący po prawicy Światosława. – Słyszałem już rozmaite opowieści z pola bitwy, nieźle podbarwione, ale teraz przesadziłeś, Uliczu...

– Alosza mówi szczerą prawdę – odezwał się Mikuła. Spojrzeli na niego zaskoczeni, ponieważ Sielaninowicz od końca bitwy nie zamienił z nikim ani słowa. Pograżył się w żałobie po śmierci wiernej kobyłki, jakby nieprzyjaciele zabili mu rodzzonego brata. Kiedy Światosław rozkazał, żeby z koni padłych w boju wyciąć porcje mięsa na ucztę po zwycięstwie, rozgniewał się i rozpędził biczem tych, którzy nie mogli się doczekać i podkradli się do kobyłki z nożami. Ba, wieczorem nawet nie tknął pieczonej koniny i żuł posępnie suche pszenne placki, popijając rzadkim winem.

– Walczyłem blisko Ilji – kontynuował Mikuła, patrząc gdzieś w bok – i mówię wam, jak długo żyję, nie widziałem, żeby ktoś wymierzał ciosy z tak straszną siłą. Pewnie, kiedy Jegor obraca swoim mieczem, wszystko lata niczym słoma podczas wichury, ale to i tak nic w porównaniu ze zniszczeniem, które siał przed sobą Muromiec. Jednym ciosem dosłownie rozplątał jeźdźca razem z koniem. Z nas wszystkich, jak tu siedzimy, są chłopcy na schwał, ale każdy może tylko zazdrościć junakowi jego siły i dzikości.

– Pamiętacie ten jego łuk? – zapytał Alosza, który tymczasem usiadł. – Tylko Ilja był w stanie go napiąć. Wszyscy zaciskaliśmy zęby, spociliśmy się, bez skutku. On nasadził cięciwę, jakby nigdy nic.

– W to wierzę – odezwał się Bragi Halvorsson. – Znam tego Muromca. Już

się z nim kiedyś spotkałem.

– Naprawdę? – Światosław uniósł brwi. – Gdzie?

– W Helgardzie. Przyjechał tam uwolnić swoich współplemieńców. A kiedy czeremiscy łowcy niewolników odpłynęli mu sprzed nosa, rozgniewał się i cisnął w ich łódź włócznią. Nigdy w życiu nie widziałem takiego rzutu. Myślałem, że broń wzleci aż do nieba i wbije się w bramę Walhalli.

– Jegorze – księżę Światosław zwrócił się do starszego bohatera – ty zmagasz się z nim codziennie. Musisz najlepiej wiedzieć, jaka siła w nim drzemie...

Muskularny bojar wciągnął powietrze do płuc, przysiadł na pieńku i obrócił rożen ze skwierczącym mięsem.

– Nie tylko drzemie. Za każdym razem, kiedy dosięgnie mnie kijem, niemal przeklinam to, że wtedy w Karaczarowie Wołch go uzdrowił...

– Może mam żałować, że zdjąłem z niego klątwę? – oburzył się Wsiesławewicz. – To była nasza wspólna decyzja. Potrzebował pomocy...

– Wiem. Nie robię ci wymówek. Tylko że ja jeden z nim ćwiczę, ja jeden jestem cały w siniakach i guzach od jego uderzeń. Muromiec jest silniejszy, niż którykolwiek z nas mógłby sobie wyobrazić. Żaden z was jeszcze się nie zastanawiał, skąd właściwie wzięła się jego siła? Albo jaka potęga bawi się jego losem i zsyła te wszystkie dziwne zdarzenia związane z Ilją? Te sny prorocze, zbroja, w której obudził się pewnego ranka, a żaden z nas nie ma pojęcia, skąd się wzięła...

– Skoro już mówisz o jego broni – odezwał się Wołch – zauważyliście to, co ja? Po bitwie poszedłem popatrzeć na jego pancerz. Nie było na nim ani jednej rysy. Widziałem, jak tą tarczą, opartą o tamto drzewo, odbijał miecze, włócznie i okute żelazem pałki. Jeśli mi nie wierzycie, sami idźcie popatrzeć. Po tych druzgoczących ciosach nie ma na okuciach ani śladu.

– Na hełmie też nie – potwierdził Alosza. – Jeden Bułgar ciął go szablą w głowę, ale Ilja nawet się nie zachwiał. A na hełmie nie było nawet

zadrapania. Miecz też nie jest wyszczerbiony, mimo że przeciął nim sporo bułgarskich pancerzy.

– A od jego kolczugi – burknął Mikuła – odbiły się takie ciosy, że nawet twój książęcy pancerz, gosudarze, rozcięłyby jak masło.

Światosław rozejrzał się chmurnie po oświetlonych płomieniami twarzach mężczyzn.

– Chcecie powiedzieć, że w tej zbroi jest niezwycięzony? Że naprawdę podarowali mu ją bogowie? Jeśli tak, nasuwa się pytanie, dlaczego akurat jemu?

– Któż to może wiedzieć? – Wołch wzruszył ramionami. – Nam śmiertelnikom bardzo trudno zrozumieć bogów. Może chcieli mu wynagrodzić to, że całe życie był nędzarzem i kaleką? Że wszyscy go wyśmiewali i szydzili z niego. Może bogowie postanowili, że właśnie on, w którym jest najwięcej pokory, zostanie najsilniejszym kijowskim bohaterem? Że ktoś, kto nie zna pychy, jako jedyny będzie w stanie władać nadludzką siłą. Że jego powołaniem jest zostać pierwszym drużynnikiem księcia.

– Myślisz, Wołchu, że czeka go taki los? – zapytał Światosław z lekkim uśmiechem. – Że zostawi w tyle twoją chytrość, siłę Mikuły i bojową zręczność Jegora?

– Na pewno – odparł sam Jegor. Zaskoczeni druhowie wytrzeszczyli oczy, ponieważ odkąd sięgali pamięcią, Światogor uważał się za najlepszego bohatera i każdemu, kto odważył się w to powątpiewać, bez wahania rozbijał nos. – W tym młodzieńcu jest coś wyjątkowego. Musi z niego odpaść strup starych ran, krzywd, goryczy i wątpliwości. Potrzebuje czasu. Potem wszystkim nam pokaże, że naprawdę zasłużył na boską przychylność.

– Tyle o nim mówimy, że musi mieć niezłą czkawkę – zaśmiał się Alosza. – Tak w ogóle, gdzie on się podział?

– Nikt nie wie. – Wołch wzruszył ramionami. – Krótco przed zmierzchem widziałem, jak idzie w stronę lasu. Może potrzebował trochę przewietrzyć

głowę, pobyć w leśnej ciszy, wygnać z myśli echa boju. Przypominam sobie, że po swojej pierwszej bitwie nie czułem się ani trochę lepiej...

– O mnie mówicie?

Obejrzeni się, zaskoczeni. Barczysta sylwetka Muromca wynurzyła się nagle z cienia między rozsianymi po całej dolinie obozowymi i pogrzebowymi ogniskami.

– Iljo – spojrzał na niego Światosław. – Gdzie się włóczęsz? Usiądź przy nas, najedz się i napij. Chłopcy właśnie opowiadali o twoich bitewnych przewagach. Dobrze się spisałeś, jak prawdziwy bohater. Nie mów, że nie zgłodniałeś po takim zabijaniu.

– Zgłodniałem, owszem. – Młody bohater wkroczył w krąg obozowego światła. – Ale przyszło mi do głowy, że na ucztę po zwycięstwie przydałoby się coś lepszego niż przypalona konina i słabe wino.

Przy tych słowach wyciągnął ręce. Trzymał w nich bułgarski hełm, których mnóstwo wałało się po placu boju. W środku było upchniętych kilka grubych pszczelich plastrów. Z woskowych komórek kapwały lśniące, bursztynowo-miodowe łyzy.

Światosław, którego Ilja poczęstował jako pierwszego, zamrugął ze zdziwienia.

– Miód? Na bogów, w tej chwili to prawdziwy smakołyk, za który należałoby zapłacić złotem.

Ułamał kawałek plastra i włożył do ust, żując słodki przysmak, jakby na całym świecie nie było lepszego jedzenia.

Potem Ilja zwrócił się w stronę Jegora. Stary bohater wyprostował się, spojrzał młodzieńcowi w oczy i najwidoczniej nie wiedział, co powiedzieć. Pozostali bohaterzy uśmiechali się ukradkiem. Nieczęsto mieli okazję widzieć Jegora w takim stanie. Był zmieszany i widocznie wzruszony.

– Nie mówiłeś, batuszko, że za odrobinę świeżego miodu włożyłbyś rękę w ogień? – spytał Ilja.

– No... no mówiłem coś takiego... A nie pokłuły cię? Teraz, wieczorem, nie warto wybierać barci...

– Nie pokłuły. Ani jedna.

Kiedy drużynnicy dużo później wspominali to wydarzenie, wśród szyderczych uśmieszków i nie bez pewnej przesady przysięgali ochoczo, że w chwili, kiedy Jegor ułamał kawałek plastra i z niemal uroczystym wyrazem twarzy włożył go do ust, w kącikach jego oczu zabłyśły łzy.

Ogień trzaskał, a hełm z plastrami miodu krążył wśród siedzących. Mikuła westchnął. Siedząc z pochyloną głową, zanucił smutną pieśń. Bohatryzy ucichli natychmiast i pozwolili, by żałobna melodia przypomniawsza im o tych, którzy padli dziś w boju.

*Wysokie, oj, wysokie jest niebo, głębokie, oj, głębokie jest morze, ciemne są wody Smorodiny rzeki, strome są brzegi Bujanu wyspy. Na tej wyspie, na tym Bujanie, w carstwie zmarłych, gdzie włada ciemność, tam czarne konie cwałują, na czarnej trawie się pasą. Stado, oj, stado wybrane, przez nikogo nie pilnowane, tylko przez Śmierć dosiadane, przez Śmierć, która mostu strzeże.*

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄCY

# Bułgar

**T**en koń nie jest wart nawet worka łąjna – zrzędził Mikuła, wierząc się niespokojnie na grzbiecie rosłego srokacza z długą grzywą. – Nieposłuszny, wierzga, węszy za kobyłami. Strasznie uparty, jak muł albo co. Chyba bogowie mnie nim pokarali! W ogóle nie może się równać z moją nieszczęsną kobyłką. Posłusznie i bez wytchnienia niosła mnie od Wilczyńca do Kijowa, a z Kijowa daleko na wschód. Na tym przeklętym zdechlaku nie dojadę chyba nawet do Itilu. Powinien był zostać w zapasowym stadzie. Chętnie bym się nażarł jego mięsa. Słyszycie?!

– Słyszemy, braciszku, słyszemy – burknął Wołch, który miał tego gadania wyżej uszu. – Słuchamy, jak się skarżysz na to dobre zwierzę już całe trzy dni, odkąd opuściliśmy plac boju nad jeziorem. Wątpię jednak, czy ktokolwiek z nas zrozumiał, co właściwie ci się w nim nie podoba. Wierzga tylko dlatego, że bodziesz go ostrogami do krwi i tak szarpiesz za wodze, że niemal łamiesz mu szczękę. Przestań się na nim mścić, a zobaczysz, jaki będzie posłuszny. Ten nieszczęsny konik przecież nie jest winien, że twoją kobyłkę przebiła bułgarska włócznia!

– A poza tym – warknął półgębkiem Jegor – twoje obawy, że nie doniesie cię nawet do Itilu, były zupełnie niepotrzebne. Jak myślisz, co tak błyszczą

przed nami?

Mikuła warknął coś pod wąsem, ale bojarzy nie zwracali już na niego uwagi. Wstrzymywali konie na niewysokim grzebieniu, spracowanymi dłońmi osłaniali oczy przed kłującym przedpołudniowym słońcem i z podziwem spoglądali na rozległą dolinę.

Ilja myślał, że widok Itilu nie zdoła go już zaskoczyć – widział rzekę przecież w jej górnym biegu, w Helgardzie. Zapomniał jednak o tym, że między ujściem Oki a Bułgarem Długą Rzekę poją inne wody, jak Wietługa, Sura lub potężna Kama, której ujście znajdowało się kilka wiorst na północny wschód od miejsca ich postoju. Dzięki temu Itil był tu niemal dwukrotnie szerszy niż pod Helgardem. Muromiec gapił się na niezmierną powierzchnię wód, zalaną czystym Dadźbogowym złotem, i w duszy wzywał bogów.

– Popatrzcie tylko na to miasto – wyjąkał Alosza. – Na wszystkich świętych, jest chyba większe niż sam Kijów.

Itil toczył wody od północnego wschodu, od ujścia Kamy, i szerokim łukiem zawracał na południe. Jego wschodni brzeg przybrał przez to postać wielkiego kamienistego półwyspu. Bułgar rozłożył się na jego brzegu.

– Jest, bez wątpienia – potwierdził Wołch. – Ma mury z kamienia, podczas gdy Kijów ciągle jeszcze skrywa się tylko za ziemnym wałem i palisadą.

– Co to jest to białe, co błyszczy nad miastem? – spytał Mikuła, mrużąc oczy. – Jakaś wieża?

– Minaret – pouczył go Ilja. – Wieża bułgarskiego meczetu, domu modłów dla sług Allaha. Słyszałem o niej od pątników, którzy przynieśli nauki Mahometa na ziemi Muromców. Nie przypuszczałem jednak, że jest tak wysoka, że kłuje samo niebo jak wielka igła z kości słoniowej...

– Co tam mahometański chram – burknął Jegor. – Ale te mury, baszty strażnicze i solidne bramy, aż mi ciarki przebiegły po plecach. W takiej liczbie i z takim uzbrojeniem, jakie mamy, nigdy nie zdobędziemy takiej twierdzy...

– Bóg jeden wie, co zamierza książę – odezwał się Alosza Książewicz. – Może chce zdobyć tylko to rozległe kupieckie przedmieście między rzeką a samymi murami...

– Agha-bazar – uściślił Ilja.

– O ile wiem, właśnie tam znajduje się całe bogactwo Bułgaru – kontynuował młody Ulicz. – Mówi się, że są tam największe targi w całym biegu Itilu. Pełno drogocennych towarów. Przedmieścia nie chronią mury, tylko parę płotów i palisada...

– Gadasz głupoty – sarknął Jegor. – Nie przyjechaliśmy tu, by obrabować kupiecki obóz. Wyprawa musi się skończyć wkroczeniem Światosława do pałacu samego emira. To nie będzie takie łatwe. Przydałyby się nam katapulty i balisty, takie, jak widziałem na murach w Carogrodzie. Ogień grecki też byłby niezły...

– Mylisz się, Jegorze, to wszystko jest niepotrzebne – wszedł mu w słowo Światosław, który właśnie do nich przykłusował. – Kto mówi, że zdobędziemy Bułgar siłą?

– A czym, gosударze? Nie myślisz chyba, że słowa wystarczą?

– Właśnie tak myślę. W dodatku wierzę, że to będą bardzo krótkie układy.

– Myślisz, że jestem dla mego ojca aż tyle wart? – zapytał Hassan ibn Ahmed, jadący u boku Światosława. Kijowianie co prawda odebrali następcy broń, ale nie związali go, pozostawili mu też zbroję i oznaki godności. – Że wyda ci miasto w zamian za moje życie?

– Oczywiście, że nie. – Kijowski książę uśmiechnął się pod wąsem. – Prawdę mówiąc, gdyby tak postąpił, uważałbym go za głupca i człowieka słabego. Ale jeśli mu obiecuję, że ocale życie wszystkich mieszkańców miasta, na pewno nie odmówi. Jedźmy. Już nie mogę się doczekać spotkania.

Ruszyli. Zjeżdżali ze wzgórza w stronę wielkiego wareskiego portu na zachodnim brzegu. Ponad czterotysięczna masa podzwaniających żelazem jeźdźców i pieszych przelewała się przez wzniesienie nad rzeką i stopniowo



ukazywała mieszkańcom doliny. Nad rzeką rozbrzmiewały odgłosy rogów i trąb. Mimo odległości i oślepiających promieni słońca, było widać, jak Aghabazar pustoszeje. Kupcy spieszyli do miasta, pasterze odpędzali swoje stada od rzeki. Na murach Bułgaru zaroilo się od ludzi, zbrojni biegali w różne strony, zajmowali pozycje przy blankach i na wieżach.

Potok kijowskich jeźdźców płynął w stronę długich wareskich domostw na łagodnym stoku nad rzeką. Z chat wybiegały kobiety, by powitać mężów. Twarz Bragiego Halvorssona rozjaśniła się nagle. Z niecierpliwością wydostał się z masy jeźdźców. Po drodze radośnie machał ręką i pozdrawiał jakąś kobietę, która wołała do niego z progu największej skalli.

– Bragi!

– Dinaro!

Ilja drgnął, jakby zniecka dosięgła go niewidoczna włócznia i przebiła jego cudowny pancerz. Prędko obrócił się w siodle. Bragi zeskoczył z konia, chwycił w ramiona młodą kobietę, przytulił ją mocno. Muromiec uważnie przyjrzał się dziewczynie.

W tej chwili jego serce na chwilę przestało bić. Te czarne włosy...

Ta sylwetka, szczupła jak pęd kwiatu, a mimo to przyciągająca spojrzenia każdego mężczyzny...

Ten dźwięczny śmiech...

Na dusze przodków, to była ona. Poznałby ją, nawet gdyby helgardzki konung nie wykrzyknął jej imienia.

– Iljo, co z tobą? – Wołch pojawił się w jego polu widzenia. – Czemu tak zbladłeś?

– No właśnie, co ci się stało? – Jegor wstrzymał przy nich swojego wronka. – Nie masz kropli krwi w twarzy. Zobaczyłeś ducha? Albo znów miałeś widzenie?

– Nie – odparł słabym głosem Ilja i bez namysłu ruszył konno w stronę obejmującej się dwójki. – To się dzieje naprawdę...

Odprowadzali go zdziwionymi spojrzeniami. Jegor popatrzył pytająco na Wołcha.

Gorynych tylko wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Dinara? – wychrypiał Ilja, kiedy zatrzymał Buruszka obok źrebca Bragiego.

Czarnowłosa oderwała wargi od ust Halvorssona i z zaskoczeniem spojrzała na jeźdźca. Wyraz jej twarzy zmienił się z radosnego w pytający. Wyraźnie szukała w pamięci, ale w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć młodego junaka. Oczy Bragiego zwężyły się niebezpiecznie.

– Skąd znasz moje imię? – zapytała niepewnie.

– Jak to skąd? Ty mnie nie pamiętasz? Przecież my razem...

Ilja nie dokończył. Nagle zrozumiał. Nie mogła go poznać. Kiedy widziała go po raz ostatni, był garbaty, kulawy, ze sparaliżowaną połową twarzy i skrzywionymi, wiecznie zaślinionymi ustami.

– To ja – zdjął z głowy hełm – Ilja.

– Który Ilja? – Przestała się uśmiechać.

– No przecież Ilja z Karaczarowa, syn Jahji.

Sposępniała, cofnęła się i schowała ze strachem za mocarne ramię Bragiego. Konung poczęstował Muromca wrogim, ostrzegawczym spojrzeniem.

– To niemożliwe – wyjąkała Dinara. – Ilja był... To nie możesz być ty. Nie wiem, kim jesteś.

– Nie poznajesz mojego głosu? – Nalegał i zeskoczył z siodła. W tej samej chwili Bragi wepchnął Dinarę dalej za siebie i zastąpił Ilji drogę.

– Ani kroku dalej, Muromcze – warknął ostrzegawczo. – Straszysz moją żonę, nie pozwolę na to.

– Twoją... – Ilja wytrzeszczył oczy. – Co?

– Jesteś głuchy czy głupi? Ta Muromka jest moją żoną. Zanim

wyruszyłem na wojnę, razem złożyliśmy ofiarę bogom i żyrzec związał nasze ręce czarodziejską wstęgą. Należy do mnie, rozumiesz? Jeśli cię przyłapię, jak się koło niej kręcisz, jak się na nią gapisz, wbiję ci sztylet w nerki!

– Dinaro, wysłuchaj mnie! – Ilja nie zwracał uwagi na słowa konunga i starał się spojrzeć przez jego ramię w oczy dziewczyny. – Szukałem cię, gnałem konno aż w górę Itilu! Myślałem, że odpłynęłaś na czeremiskiej łodzi! Że zawieźli cię do smoczej świątyni i rzucili czarnemu gadowi na pożarcie...

– Ani słowa więcej! – wrzasnął Bragi, aż Muromiec drgnął, a wszyscy wokół zwrócili na nich uwagę. – Zostaw ją, pókim dobry! Tylko ją niepotrzebnie straszysz. Jeszcze słowo i gorzko pożałujesz, że w ogóle się do niej zbliżyłeś...

– Licz się ze słowami, Halvorsson! – Zza pleców Ilji dobiegło ostrzegawcze warknięcie. Muromiec nawet nie musiał się oglądać. Jego bystre uszy po dudnieniu kopyt poznały, że to Jegor zatrzymał za nim swojego wronka. – Nie wygrażaj, nie wrzeszcz, nie obrażaj. Inaczej będziesz miał do czynienia z nami.

– A to ci odradzamy – zabrzmiał głos Mikuły Sielaninowicza. – Kiedy zacznę tu smagać swoim biczem, twoi ludzie będą latać na wszystkie strony, jakbyś wpuścił między nich wściekłego dzika.

Bragi wcale nie spokorniał.

– Czego się wtrącacie? Bronicie go, a przy tym nie macie pojęcia, o co chodzi!

– Wcale nie musimy – odciął się Alosza Książewicz, który wstrzymał konia przy Muromcu. – Jesteśmy drużyną. Nie obchodzi nas, czy Ilja jest w swoim prawie czy nie. Stoimy za nim, nieważne, o co idzie.

Helgardzki konung zazgrzytał zębami i nie miał zamiaru ustąpić. Jego ludzie też przysunęli się bliżej, Ratimir nawet położył ukradkiem rękę na rękojeści miecza. Ilja spojrzał Bragiemu w oczy tak szare, jakby zostały

wykute z dobrego żelaza.

– Nie ma potrzeby, żebyśmy skakali sobie do oczu. Nie jesteśmy kogutami na śmietniku. – Ilja spróbował pojednawczego tonu. – Przecież to nic wielkiego. Chciałem tylko... zamienić parę słów... z twoją żoną.

– Doprawdy? A o czym?

– Pochodzimy z jednej osady. Dorastaliśmy razem. Chciałem się upewnić, że z nią wszystko w porządku, i zapytać o resztę...

– Wszystko z nią w porządku. Jest zdrowa i w pełni sił. Ocaliłem ją przed Czeremisami. Resztę twoich współplemieńców odwieźli wodami Itilu, teraz są już pewnie w Suwarze. Wystarczy?

– Niezupełnie. Dinaro, wysłuchaj mnie...

Jego słowa zagłuszył dźwięk rogu, dochodzący od strony rzeki. Bohatryrzy spojrzeli w tę stronę.

– Książę nas wzywa – mruknął Jegor. – Chodź, Iljo. Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Na to przyjdzie czas później.

Muromiec wziął głęboki wdech i wymienił ostatnie groźne spojrzenie z Bragim. Usiłował spojrzeć na Dinarę, ale chowała się za barczystym konungiem, jak dziecko kryje się za matczyną spódnicą. Ilja parsknął, odwrócił się i wskoczył na Buruszkę.

Bohatryrzy razem pokłusowali w dół zbocza, w stronę portu pełnego wiosłowych łodzi ze smoczymi łbami na dziobach. Czuli, że to nie jest dobry moment na zadawanie wścibskich pytań, ale Mikuła nie wytrzymał i przerwał milczenie.

– To ona, Iljo? Twoja miła? Ta, o której myślałeś, że skończyła w smoczej paszczy? Muromiec posępnie skinął głową. Sielaninowicz znowu zaczerpnął powietrza, ale Jegor wbił w niego ostre spojrzenie i uciszył dalsze pytania.

Światosław, Wołch i goryncze czekali na kamienistej plaży. Przed chwilą między drakkary wślizgnęła się długa łódź z przeciwnego brzegu. Wysiadł z niej Bułgar w pysznej zbroi. Światosław pomówił z nim za pośrednictwem

tłumacza, po czym zwrócił się w stronę bojarów.

– Idzie szybko, dokładnie tak, jak przypuszczałem – Książę pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia. – Emir Ahmed przysłał tego dostojnika, aby umówić warunki spotkania.

– Kiedy i gdzie? – zainteresował się Jegor.

– Zaraz. Tam, na tej wyspie. – Światosław wskazał palcem przez ramię. Pośrodku szeroko rozlanych wód Itilu wznosił się piaszczysty pagórek. Zauważyli, że przy brzegu od strony Bułgaru na kotwicy stoi spora łódź. Wysiadło z niej wielu ludzi, teraz na wyspie wręcz się od nich roiło. – Ahmed już jest na miejscu i czeka na mnie.

– Przyjmiesz zaproszenie? – zapytał Jegor. – To może być pułapka.

– Nie przypuszczam. Bułgarzy nie są tacy jak Waregowie, nie postępują w ten sposób. W każdym razie pójdziecie ze mną. Wy czterej i wszyscy gorynycze. Wołchu, twoi ludzie kryją nasze tyły.

– To jasne jak słońce, gosudarze.

– Bragi? – Światosław spojrział na konunga, który zszedł właśnie na plażę w towarzystwie Ratimira i pozostałych drużynników. – Potrzebna mi łódź.

– Wybierasz się na rozmowę z Ahmedem?

– Właśnie tak.

– W takim razie musisz mieć drakkar godny twego stanowiska. Czy przyjmiesz mój własny? To ten wielki, z połączanymi rzeźbami wzdłuż kadłuba, tam na skraju.

– Doskonale. Przeprowadźcie Hassana. Pójdzie z nami.

Bojarzy odwrócili się prędko w stronę Światosława. Zasypali wielkiego księcia gradem spojrzeń pełnych oburzenia lub wręcz buntu.

– Co takiego? – spytał w imieniu wszystkich Bragi. – Nie miałeś zamiaru wykorzystać Hassana jako zakładnika?

– Już go przecież wykorzystałem. Nie przyszło ci do głowy, że gdyby

szpiedzy nie donieśli Ahmedowi o pojmaniu jego syna, nie miałybyś dokąd wrócić? Wareski port zostałyby zrównany z ziemią, drakary spalone, a ich zwęglone resztki płynęłyby teraz z prądem Itilu.

– To możliwe, ale... Kiedy tam pójdziesz razem z nim, mogą próbować go uwolnić.

– Nie będą musieli. – Uśmiechnął się Światosław i dziarsko odwrócił się na pięcie, aby dać do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze pytania. Najwyraźniej już nie mógł się doczekać spotkania twarzą w twarz z władcą Bułgarów.

Niedługo świetny drakkar Bragiego ześliznął się na powierzchnię wody. Wiosła z chlupotem zanurzyły się w zielonkawej wodzie i smocza głowa zwróciła wyszczerzoną paszczę w stronę Bułgaru.



Światosław kroczył po rozpalonym słońcem piasku. Synowie Strzyboga, władcy wiatrów, czochrali mu łobuzersko długą brodę i bawili się kosmykiem włosów na wygolonym ciemieniu. Księżę stapał po łagodnym stoku bez broni, pancerza ani hełmu. Miał na sobie tylko spodnie wytarte od siodła i czystą, białą rubaszkę z żółto-czerwonym haftem na obrębach, przepasaną prostym rzemieniem.

– Na ognisty miecz Michała Archanioła, ty naprawdę zamierzasz to zrobić? – Zachmurzył się Jegor, kiedy Światosław chwilę wcześniej zęgnął się z bojarami w dole na plaży. – Naprawdę chcesz tam iść tak ubrany? Jak prosty chłop albo pacholek?

– Albo niewolnik – przyłączył się Sweneld, chociaż było widać, jak niechętnie zgadza się z Jegorem. – Przemyśl to dobrze, księżę. Bułgarski emir powinien zobaczyć, że ma do czynienia z potężnym władcą. Powinieneś pójść w pełnej zbroi, z mieczem u boku, a przede wszystkim w towarzystwie drużynników. To nierozsądne, żebyś tam szedł sam.

– To prawda, emir przybył z przepychem – stwierdził Wołch, który

właśnie osłonił oczy od słońca i zapatrzył się w stronę pagórków na wyspie.  
– A wokół jego namiotu roi się od bojarów w lśniących pancerzach i hełmach. Nie zmienisz postanowienia, gosударze? Nie chcesz dla pewności mieć gorynychców pod ręką? Jeśli Bułgarzy spróbują cię zaatakować, nie zdążymy tam dobiec na czas...

– Naprawdę nie rozumiecie? – Światosław wyszczerzył zęby. – Najlepiej okaże potęgę właśnie przez to, że pójdę do emira sam, ubrany lekko i wygodnie, jakbym się przechadzał po brzoźowych gajach pod Kijowem. Niech Bułgarzy widzą, że w moim sercu nie ma ani krztyny strachu. Niech się przyzwyczajają, że beztrąsko stąkam po ich ziemi, ponieważ właściwie należy już do mnie. Poza tym, na nic się nie odważą. Wiedzą, że pojaliśmy następcę bułgarskiego tronu.

Na przekór tym słowom bohaterzy odprowadzali księcia spojrzeniami pełnymi obaw. Nad najwyższym punktem wyspy powiewały końskie ogony na złotych tęgach ze znakiem sokoła i półksiężyca. Światosław bez pośpiechu podszedł do niedawno wzniesionego namiotu, który wydawał się wart więcej niż całe bogactwo zgromadzone w głównej sali kijowskiego dworu. Wszystko błyszczało w słońcu, aż bolały od tego oczy. Złoto, drogie kamienie, kość słoniowa, heban, tygrysie futra, bagdadzki jedwab, zapewne dar od samego kalifa. Nawet gwardia emira, stojąca w pobliżu i nerwowo bębniąca opuszkami palców o pasy przy rękojeściach szabel, miała pancerze, hełmy, naramienniki, nagolenniki i ochraniacze przedramion zdobione złotymi ornamentami. Płaszcz z nieprzyzwoicie drogich cudzoziemskich materii powiewały na wietrze.

Światosław nawet drgnieniem brwi nie zdradził, jak bardzo zachwycił go ten przepych. Spoglądał niebieskimi oczyma spod gęstych, zmarszczonych brwi – które nadawały jego twarzy gniewny wyraz, nawet gdy był w niezwykle dobrym nastroju – tylko w jednym kierunku, w cieniasty kąt namiotu, gdzie na bogato zdobionym fotelu siedział łaskawy Ahmed ibn Dżafar, władca Bułgarów.

Był to dobrze odżywiony, ale nie gruby mężczyzna. W młodości musiał mieć podobną sylwetkę, co Hassan, ale z biegiem lat przybrał na wadze – lampart zmienił się w niedźwiedzia. Emir wyraźnie przekroczył pięćdziesiąty rok życia, ale srebrne nitki w gęstej, czarnej brodzie i w opadających na ramiona włosach można było policzyć na palcach dwóch rąk. Twarz nie była nalana tłuszczem ani blada, jak zwykle bywało u ludzi mieszkających w pałacach, ale wyrazista, opalona, z bystrymi, świdrującymi oczyma.

Światosław musiał przyznać w duchu, że wygląd emira i jego jastrzębie spojrzenie wywarły na nim o wiele większe wrażenie, niż wszystkie błyskotki wokoło.

Księżę zatrzymał się pięć kroków przez namiotem. Dadźbóg spieszył w południowe położenie i cień Światosława był małą, czarną plamą pod jego stopami, obutymi w wygodne buty ze źrebięcej skóry. Władca Bułgaru i władca Kijowa przez chwilę przyglądali się sobie bez słowa, badawczo – emir, wygodnie rozparty w cieniu rozdymanego wiatrem namiotu, i młody księżę, stojący dumnie w słońcu. Ahmed wznosił srebrną czaszę palcami, które skrzyły się od ciężkich pierścieni, i napił się wina. Potem się wyprostował i przemówił w ojczystym języku. Stojący tuż obok chudy mężczyzna w długim kaftanie spijał wzrokiem słowa z jego ust. Gdy emir skończył, tłumacz uklonił się nisko, odwrócił się w stronę Światosława i rzekł nienaganną wareńczyzną:

– Bądź pozdrowiony, Światosławie, władco Kijowa i Nowogrodu. Przedstawiam ci Jego Wysokość emira Ahmeda ibn Dżafara, sługę Allaha, pana Bułgaru, Bilaru, Balimeru, Kazania, Jełabugi...

Światosław machnął niecierpliwie ręką, aż strażnicy emira drgnęli i zadźwięczała ich broń. Wystraszony tłumacz schował głowę w ramionach i umilkł.

– Nie marnujmy słów ani czasu – księżę odezwał się w grobowej ciszy. – Bardzo dobrze wiem, na kogo w tej chwili patrzę, jak rozległe jest jego państwo i któremu bogu się kłania. Zanim jeszcze dosiadłem w Kijowie



konia i rozkazałem swym ludziom galopować na wschód, dowiedziałem się o władcy Bułgaru wszystkiego, czego chciałem. Od kupców i pątników, którzy przybyli znad Itilu, usłyszałem na przykład to, że emir jest mądrym, wykształconym człowiekiem i mówi płynnie w języku Waregów. Na pewno obejdzie się bez tego pajacowania – spojrzał groźnie na tłumacza – bicia pokłonów po każdym słowie, chwalenia się tytułami i niepotrzebnych dworskich rozmówek o niczym. Mam rację?

Czarne brwi emira przy każdym słowie Światosława ściągały się bliżej nasady nosa, a cień pod nim się pogłębiał. Już samo to stanowiło dowód, że emir rzeczywiście rozumie mowę synów Północy. Kiedy Kijowianin umilkł i tłumacz spojrzał pytająco na swojego pana, ten krótko pokręcił głową.

Przez chwilę było słycać tylko szum wody na plaży i szelest piasku przesypywanego wiatrem.

Potem Ahmed ibn Dżafar skinął głową.

– Tak, masz rację. Znam wareski. Światosław uśmiechnął się pod wąsem.

– Doskonale. Możemy więc rozmawiać bez pośredników. Najpierw muszę ci powiedzieć, władco Bułgarów, że mogłeś oszczędzić swoim ludziom trudu i zostawić całe to bogactwo w pałacu. Myślałeś może, że kiedy je obejrzę, wpadnę w zachwyty i ukorzę się przed twoją potęgą? A może nawet poczuję się zawstydzony, bo za całą ozdobę służy mi złoty krążek w uchu i toporek Peruna na piersi? Tak myślałeś? Tylko że ja nie jestem jednym z twych bułgarskich poddanych, emirze. Nie przyszedłem ze śmierdzącego końskim łajnem szałas na stepie, nie padam na kolana i nie biję czołem o ziemię, kiedy ktoś położy mi przed oczami błyszczące złoto. W moich żyłach płynie wareska krew. Wiesz, o czym myśli Wareg, kiedy widzi taki przepych? W jego głowie brzmi tylko jedno, jedyne słowo. Ty, ponieważ jesteś mądrym człowiekiem, na pewno je znasz.

Ahmed po chwili napiętego milczenia znów skinął głową.

– Zdobycz.

– Właśnie tak. Patrzą na twój kaftan wyszywany srebrem i złotem, na pierścienie skrzące się od pereł i rubinów, na naszyjnik, który zapewne jest cięższy niż mój pancerz, i zastanawiam się, jakie skarby czekają na mnie za murami twojego miasta.

– Myślisz, że się tam dostaniesz? – Emir zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Oczywiście. Nie przejechałem tysięcy wiorst z Kijowa aż tu na próżno.

– Mury Bułgaru są solidne, a ty nie masz machin oblężniczych...

– Ani Helgi, ani Ingwar też ich nie mieli, a mimo to zmusili Carogród, by wydał im swoje skarby.

– Nękali okolicznych mieszkańców i popełniali okrutne zbrodnie, więc cesarz wolał im zapłacić, by zapobiec dalszym szkodom. Myślisz, że tu też uda ci się coś takiego?

– Nie mam zamiaru pustoszyć krain nad Itilem. Myślę, że nawet nie będę musiał.

– Ach tak. Rozumiem. Chcesz mi wydrzeć ostatni grosz groźbą, że zabijesz mojego syna.

– Znowu się mylisz. A skoro już przy tym jesteśmy, Hassan jest na pokładzie drakkara, który mnie przywiózł. Chcesz go zobaczyć?

Emir prędko wyprostował się w fotelu. Na jego twarzy odmalowała się nadzieja, która jednak prędko ustąpiła miejsca cieniom nieufności.

– Co to za podstęp? – burknął władca Bułgarów. – Wypróbujesz na mnie swoją wareską chytryść?

– Nie lekceważ mnie. Nie jestem tępym podrzynaczem gardeł, za jakiego najwyraźniej mnie uważasz. Jeśli się spodziewałeś, że będę się z tobą układał z nożem przyciśniętym do gardła Hassana, źle myślałeś. Przywiozłem następcę z jednego prostego względu – żeby ci go oddać. To dzielny człowiek i zręczny wojownik, kiedyś może się stać wielkim władcą. Przegrał bitwę, ale nie stracił honoru. Nie plami go najmniejsza hańba, chociaż on widzi to inaczej.

Ahmed mrużył oczy jak wąż na chwilę przed atakiem.

– Dlaczego miałbyś się pozbyć cennego zakładnika?

– Przyjmij to jako znak mojej dobrej woli.

– Znak dobrej woli Warega?

Światosław zrobił krok w kierunku namiotu. Bułgarskie stráže nagle ożyły i zadźwięczały żelazem, ale Ahmed wstrzymał ich gestem uniesionej ręki.

– Wystawiasz na próbę moją cierpliwość, emirze? – Kijowianin stale się uśmiechał, ale zaczął niebezpiecznie przypominać wilka, który walczy o przywództwo w stadzie i szczyrzy kły na przeciwnika. – Widzę, że stale jeszcze nie rozumiesz. Nie przyszedłem po to, by pustoszyć twoje ziemie. Co by mi z tego przyszło, gdybym obrócił w gruzy miasta i napełnił Itil zwłokami twoich poddanych? Tak mogli myśleć moi przodkowie, wystarczała im zdobycz, więc nie troszczyli się więcej o złupione krainy. Ja jednak spoglądam w przyszłość. Odniosę większą korzyść, jeśli bogactwo znad Itilu będzie systematycznie płynąć do Kijowa.

– Mam dobrowolnie uznać twoją władzę? – Ahmed wyduł wargi.

– Raczej zawrzeć sojusz. Mamy przecież wiele wspólnych celów.

– Na przykład?

– Złamanie potęgi Chazarów. Ahmed znieruchomiał.

– Nie ośmielisz się – wyjąkał po długiej chwili milczenia.

– Oczywiście, że tak. Nawet wcześniej, niż mógłbyś przypuszczać, może już na przyszłą wiosnę. Kiedy tylko umocnię swoją pozycję wzdłuż biegu całego Itilu, popłynę z prądem rzeki i uderzę w samo serce państwa.

– Jeśli dobrze rozumiem, wyruszysz właśnie z Bułgaru?

– Doskonale rozumiesz. I nie mów mi, że Chazarowie nie stoją ci kością w gardle. Odkąd powstało ich państwo, blokuje drogę na południe, do Morza Chwaliskiego, na Kaukaz, do Chorezmu, na Jedwabny Szlak i inne wiodące ku Armenii i Arabii trasy karawan, którymi płyną najdroższe towary ze wschodu. Twój ojciec przyjął islam, żeby się wydobyć spod wpływów

chazarskich żydów i zyskać potężnego sojusznika w osobie kalifa Bagdadu. Obaj jednak wiemy, że Chazarowie słabną, że ich potęga upada i sława przemija. Jeśli się nie pospieszymy i nie zajmiemy ich ziem, zrobią to za nas koczownicy ze wschodnich stepów – Pieczyngowie, Kipczacy, Turcy. Ich hordy prą niecierpliwie na zachód, a Chazarowie ich nie powstrzymają. Jeśli ta zgraja zdobędzie chazarskie twierdze, będzie mogła bez przeszkód napadać na Kijów i Bułgar. Dlatego musimy wyprzedzić koczowników i obrócić ten plan przeciwko nim. Chcesz powiedzieć, że nie ruszysz wraz ze mną przeciw waszym odwiecznym wrogom?

Ahmed słuchał uważnie i nieświadomie przygryzał dolną wargę. Kiedy Światosław skończył mówić, wznosił próżną czaszę. Z cienia w kącie namiotu wynurzyła się jasnowłosa niewolnica, chwyciła pojemną karafkę i dołała emirowi wina. Wskazał jej drugi puchar na hebanowym stoliku, który również napełniła. Władca Bułgaru wstał, wziął obie czasze i wyszedł z namiotu. Musiał się przy tym schylić – kiedy wstał, okazał się jeszcze rośniejszy, niż się wydawało, gdy siedział.

Podał jeden puchar Światosławowi. Ten przyjął go bez wahania. Nie bał się, że emir spróbuje go otruć.

– Dobrze, synu Ingwara – Ahmed skinął głową i wkroczył na gorący piasek. Dał znak strażnikom, by nie podążali za nim. – Zwróciłeś moją uwagę. Pomówmy otwarcie, jak równy z równym.

– Bez podstępów i kłamstw? – Skrzywił się Światosław.

– Bez podstępów i kłamstw.

– Tak lubię najbardziej. Atak na Chazarów omówimy później. Jestem pewien, że się dogadamy. Na razie jednak czeka cię inna wojna, mam rację?

– Masz. – Czoło emira znów zachmurzyło się całe.

– Zgaduję, że właśnie dlatego tak ci zależało na szybkim spotkaniu ze mną. Masz mało czasu. Co się dzieje, emirze? Suwar postanowił przejść od słów do czynów?

Ahmed niechętnie kiwnął głową.

– Dlaczego miałbym zaprzeczać? Mutahar musiał się jakoś dowiedzieć o twoim zwycięstwie nad Hassanem i o tym, że poległ kwiat bułgarskiej jazdy. Nie wahał się ani chwili i wydał rozkaz ataku. Gołąb wysłany przez moich szpiegów przyniósł właśnie wiadomość, że wojsko chana dzisiaj rano ruszyło stepem w stronę Bułgaru.

– Hm, naprawdę? – Światosław napił się wina. Było wyborne, jeszcze lepsze niż greckie. – Jak prędko może tu dotrzeć?

– Ma ze sobą wozy, więc zajmie mu to sześć, może siedem dni.

– Wiesz coś o siłach Mutahara?

– Wiem. Do Suwarów, oprócz Burtasów, przyłączyli się najemnicy – Pieczyngowie, Baszkirzy, Kipczacy...

– Ilu?

– Jakieś trzy tysiące jazdy. Razem będzie ich nieco ponad siedem tysięcy. Światosław gwizdnął.

– Umówiliśmy się, emirze, że rozmawiamy otwarcie, muszę więc powiedzieć, że tkwisz w solidnej kupie łajna. Wiem, że Bułgar nie ma dość sił, żeby stawić czoła dwóm wrogom. Ba, myślę, że nie potrafisz się obronić nawet przed jednym. Już moje cztery tysiące ludzi stanowi potęgę, wobec której musisz ustąpić, o Mutaharze nie wspominając. Jesteś więc w sytuacji bez wyjścia i musisz przyjąć moją propozycję.

– Jak ona brzmi?

– Już przecież powiedziałem. Sojusz. Najpóźniej pojutrze twoi i moi ludzie wyruszą na południe, na spotkanie suwarskiego wojska. Nie pozwolimy tej zgrai, żeby dotarła aż do Bułgaru i spustoszyła jego okolice. Zgnieciemy ich na środku stepu.

– Pytanie brzmi, czy mogę ci ufać. Sojusz z Waregami w ostatnich dniach nie bardzo mi się opłacił, to już sam wiesz. Jaką mam pewność, że w samym środku bitwy nie przyłączysz się do Suwarów? Przecież jesteś poganinem,

tak jak Mutahar, czcisz starych bogów. Mogłoby ci przyjść do głowy, by sprzymierzyć się przeciwko nam, sługom Allaha...

– To się nie stanie, synu Dżafara. Masz moje słowo. Nie słowo Warega, bo takowemu najwyraźniej nie wierzysz, ale słowo wielkiego księcia Kijowa, syna Ingwara i Helgi. Poza tym, w Suwarze nie oddają czci bogom, ale demonom. Złym, ludożerczym, okrutnym. Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że Tugarin Drakowicz prawdopodobnie zamierza przebudzić czarnego smoka?

– Dotarły do mnie takie wieści. I przy każdej modlitwie proszę Allaha, żeby nic takiego się nie zdarzyło. Jeśli Tugarin poskromi Zilanta i pośle go do boju, to będzie koniec. Nas wszystkich.

– Powinniśmy więc zadbać o to, żeby do tego nie doszło.

– Jak?

– Zostaw to mnie. Mam w drużynie zręcznych ludzi, którzy są w stanie pokrzyć plany Tugarina.

Dwaj władcy przystanęli na uboczu i spoglądali w dół, na majestatyczny drakkar. Światosław włożył do ust dwa palce i gwizdnął przenikliwie. Bohatry na pokładzie podnieśli głowy. Pomachał ręką, jak było umówione. Drużyna się rozstała. W tym momencie szczupły, ciemnowłosy mężczyzna zaczął się wspinać pod górę.

Ahmed starał się zachowywać powściągliwie, ale kiedy zobaczył, że Hassan jest wolny i spieszy do niego, nie potrafił opanować wzruszenia. Kiedy znów spojrzął na Światosława, jego oczy dziwnie błyszcząły.

– Przyznaję, Światosławie, masz dar przekonywania. Wcale nie jestem pewien, że postępuję słusznie, może ugoda z tobą przyniesie Bułgarii zniszczenie i niewolę, ale... na razie będę ci wierzył. Poza tym, jak sam wspomniałeś, nie mam wyboru. Otworzę bramy Bułgaru i mego pałacu dla ciebie i twojej drużyny. Zapraszam cię w gościnę.

– Zamierzasz ucztować? Jeśli chcemy jak najprędzej ruszyć na Suwarów, powinieneś raczej zwołać naradę wojenną.

Ahmed ibn Dżafar poważnie skinął głową. Młody kijowski książę zaskakiwał go każdym wypowiedzianym słowem. Wcale nie przypominał dzikiego, prymitywnego, krwiożerczego zbója, jakiego się spodziewał.

Nim znów zwilżyli usta, trącili się czasami z winem.



Ilja musiał się bardzo pilnować, żeby nie gapić się z otwartymi ustami. Już z przeciwnego brzegu Bułgar wyglądał na rozległy, ale kiedy Kijowianie wysiedli z drakkara w podmiejskim porcie i ruszyli przez Agha-bazar w stronę wysokich murów, zobaczyli rzeczywistą potęgę miasta. A przede wszystkim solidność umocnień.

– Na mocnych bogów – wychrypiał Muromiec, przyglądając się zębatym blankom na szczytach wież.

– Znam to uczucie – zgodził się Jegor. – Też mówiłem coś podobnego, kiedy przed laty po raz pierwszy ujrzałem Carogród. Zdawało mi się, że coś takiego nie może być dziełem ludzkich rąk. Że musieli to stworzyć sami bogowie. Kiedy potem na cesarskim dworze wytłumaczyli nam, że oddają cześć jednemu, jedynemu Bogu, dotarło do mnie, jak potężne to musi być bóstwo. Dlatego przyjąłem wtedy wiarę chrześcijańską. Nie od razu pojąłem, że moc Chrystusa polega na czym innym.

– Czy Carogród jest większy niż Bułgar? – zapytał Ilja, stale wytrzeszczając oczy. Szpakowaty bohater spojrzał na niego z politowaniem.

– Czy jest większy? Żartujesz sobie, chłopcze? – Roześmiał się. – W Carogrodzie zmieściłby się tuzin Bułgarów, może nawet więcej. Sam pałac cesarza z hipodromem i okolicznymi świątyniami zajmuje więcej miejsca niż całe to miasto.

– Doprawdy? – odezwał się kroczący w pobliżu Wołch. – Nie przesadzasz trochę, bracie?

– Przysięgam na Świętą Trójcę. Chociaż ciebie, czarownika, taka przysięga zapewne nie przekona. Zresztą, jest mi wszystko jedno, czy mi wierzysz czy

nie. Wiem, co widziałem, kiedy towarzyszyłem Heldze w greckiej stolicy.

– Śmiać mi się chce. – Ilja kręcił głową. – Na mą duszę, śmiać mi się chce, kiedy sobie przypomnę, z jakim podziwem patrzyłem niedawno na wały i palisady Muromia... A przecież Murom w porównaniu z Bułgarem jest jak mrowisko, zwykła kupa sosnowych igieł i słomy.

W piersi Jegora stale jeszcze dudniło rozbawienie.

– Poczekaj tylko, chłopcze, w służbie Światosława zobaczysz jeszcze inne rzeczy, które zapierają dech w piersiach.

Jegor oczywiście miał rację. Zaczęło się to już za bułgarskimi murami. Miasto wydawało się Ilji potwornie wielkie. Wielkie i dostojne. Pewnie, w biedniejszych dzielnicach kulily się zwykłe drewniane chatki albo nawet ziemianki czy lepianki z trzciny i błota, ale w miarę jak orszak z emirem i Światosławem na czele wspinał się po łagodnym zboczu do pałacu, mnożyły się domy z cegły i kamienia, przybywało pięter, w miejscu gołych ścian pojawiły się białe tynki, pokryte orientalnymi malowidłami. Przede wszystkim zaś znikał brud i smród. Przeszli obok meczetu, którego lśniący bielą minaret niemal dotykał nieba, i przez bramę w kolejnym, nieco niższym, ale i tak godnym podziwu, solidnym murze weszli do siedziby emira. Pałac otaczały bujne ogrody, z których wystawały tarasy, masywne kolumnady i wysmukłe łuki kopuł. Minęli nawet fontannę – tryskająca z paszczy kamiennych lwów woda w świetle zachodzącego słońca przypominała płynny bursztyn.

– Na sto twardych strzał – wychrypiał Alosza, a Ilja cieszył się, że nie jest jedynym członkiem drużyny, który nieustannie wytrzeszcza oczy jak karp wyrzucony na brzeg. – Widzieliście już kiedyś coś równie pięknego?

Jeszcze nie przypuszczali, jakie cuda czekają na nich we wnętrzu pałacu.



– Na matkę Mokosz, po co ci w środku pałacu zbiornik z wodą, wielki władco? – Zdumiał się Mikuła, obserwując swoje odbicie. – Trzymasz tu



ryby? A może ruszałki?

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bliskie prawdy są twoje domysły – odparł Ahmed ibn Dżafar i wszedł do basenu po marmurowych schodkach. Wzburzona woda rozerwała odbicie Sielaninowicza na kawałki. – Jest to przede wszystkim łaźnia.

– Łaźnia?

– Tak. Nigdy nie widziałeś łaźni, bojarze?

– Pewnie, że widziałem. Nie myśl sobie, że z nas tacy barbarzyńcy i brudne dzikusy. W Kijowie też mamy łaźnie. Tylko że u nas to zwykłe chatki z dokładnie uszczelnionymi ścianami, w których lejemy wodę na rozpalone kamienie. W parze wypacamy cały brud, brzozowymi miotełkami wypędzamy z siebie złe duchy, a potem tarzamy się w śniegu albo kąpiemy w potoku. Ty za to masz w swoim komnatach istne jezioro. Tu by można napić stado koni...

– Zamknij wreszcie dziób, Sielaninowiczu – warknął zirytowany Jegor. – Musisz z siebie robić jeszcze większego prostaka, niż jesteś naprawdę? Jak byś się zachowywał, gdybyś zobaczył sławne łaźnie w Carogrodzie? Tamtejszy basen jest pięć razy większy niż ten tutaj. Grecy i muzułmanie bardzo dbają o cielesną czystość. To też musi być dzieło arabskich budowniczych, mam rację?

– Oczywiście, że masz – potwierdził emir, który zdążył przepłynąć na drugą stronę basenu. Wyciągnął się na jego skraju, wyłożonym ażurowymi deskami. Natychmiast przydreptały do niego trzy młodzianki niewolnice. Dwie zabrały się za wycieranie swojego pana mięciutkimi ręcznikami, trzecia naląła mu puchar wina. – Przysłał ich sam wielki kalif. Początkowo mieli tylko doglądać budowy meczetu, ale skoro już tu byli, ojciec kazał im rozbudować swój pałac.

– Do takiego życia mógłbym przywyknąć. – Uśmiechnął się Alosza Książewicz, przyglądając się z błyskiem w oku półnagim niewolnicom. –

Powinniśmy posłuchać emira i przed ucztą zmyć z siebie cały brud. Przejechaliśmy wiele wiorst, niedawno walczyliśmy w bitwie. Mieszkańcy pałacu uważają pewnie, że śmierdzimy jak stare capy.

– To strasznie głupi pomysł – Mikuła zniżył głos, żeby żaden z Bułgarów go nie usłyszał. – Będziemy musieli zdjąć zbroje i odłożyć broń. Zostaniemy goli jak nas bogowie stworzyli...

– Boisz się, że będziemy się z ciebie śmiać? – Dogryzł mu Alosza, który już ochoczo odpinał pasek. – Że zrozumiemy, czemu nie znalazłeś sobie żony tam u was, w dregowickich mokradłach?

– Już ani słowa, Uliczu! Bo inaczej wepchnę cię do wody i będę trzymał pod powierzchnią, póki nie przestaniesz wierzgać nogami. Mówię tylko, że to głupota rozstawać się z bronią. Wszędzie roi się od straży pałacowej. Wystarczy, żeby emir pstryknął palcami, a jego słudzy napęlnią ten zbiornik naszą krwią...

– Powiedz lepiej otwarcie, że nie chcesz się umyć – mruknął Jegor. – Sądząc po tym, jak śmierdzisz, powiedziałbym, że stale jeszcze masz za paznokciami gnój z ojcowskiego pola.

– Ty matole, boję się tylko, żeby to nie była pułapka! Co będzie, jeśli się na nas rzucą? Są nas tylko trzy tuziny. Za zaproszeniem na ucztę może się kryć chęć pojmania albo nawet zamordowania księcia. Gdyby im się udało, odciąliby kijowskiemu smokowi głowę...

– Nie odważą się – przerwał mu Światosław. Ton jego głosu świadczył o tym, że rozmowy drużynników zaczynają go męczyć. Podeszedł do basenu i ponad zwierciadlaną taflą wody, w której odbijał się migoczący ogień z trójnogów, spojrzął na Ahmeda. – Nie myśl, że gardzę twoją gością, ale raczej nie skorzystamy z łaźni. Zrozum, mamy za sobą wiele dni jazdy i boju. Gdybyśmy wszyscy wleźli do tej wody, poczerniałaby jak nurt Smorodiny, rzeki umarłych.

– Nie przejmuj się tym, wielki książę. – Uśmiechnął się władca Bułgaru. –

Basen można w mgnieniu oka opróżnić i napełnić z powrotem. Proszę, kąpcie się śmiało. To dobry muzułmański zwyczaj, by zacząć odwiedziny w cudzym domu od dokładnego oczyszczenia. My, żyjący zgodnie z nakazami Allaha, wierzymy, że w ten sposób człowiek zmywa z siebie nie tylko cielesny brud, ale też ten wewnętrzny, czyli złe zamiary i grzeszne myśli.

– Coś jak nasza kupała – kiwnął głową Wołch.

– Kupała? – Nie rozumiał Ahmed.

– W czasie letniego przesilenia odbywa się obrzędowa kąpiel w rzece Poczajnie za Kijowem – wyjaśnił mu Światosław. – Na nadbrzeżnych łąkach młodzieńcy skaczą przez ogień, a dziewczęta rzucają do wody swoje dziewicze wianki. Dzięki świętu odpędzamy złe duchy i zapewniamy dobre zbiory. Widzisz, emirze, chociaż czcimy różnych bogów, mamy podobne zwyczaje... No dobrze, zgadzam się, skorzystamy z łaźni.

– To świetnie. Kąpiel uprzyjemnią wam kobiety z mojego haremu.

– Skąd? – Mikuła wytrzeszczył oczy. – Z hame... hamo...

– Z haremu, gamoniu – poprawił go Jegor. – Nigdy nie słyszałeś o muzułmańskich haremach?

– Nie. A co to właściwie jest?

Jegor przewrócił oczami i wziął głęboki wdech, żeby odpowiedzieć, ale uprzedził go sam Ahmed ibn Dżafar, który obejrzał się i klasnął głośno w rękę. Na ten znak z cienia kolumnady wynurzył się rosły niewolnik o niezwykle ciemnej cerze. Podszedł do basenu, pochylił się nad wyżłobieniem w podłodze i podniósł z niego pozłacany łańcuch. Przerzucił go przez ramię, odwrócił się na bosej pięcie i pociągnął mocno.

Gdzieś pod nogami Kijowian rozległ się łoskot, podłoga wyraźnie zadrżała. Niektórzy bojarzy instynktownie odskoczyli i sięgnęli po broń, bo przyszło im na myśl, że przepowiednie Mikuły się spełniły i już za chwilę zostaną zaatakowani albo pod ich nogami otworzy się śmiercionośna przepaść.

Nic takiego się jednak nie stało. Ci, którzy stali najbliżej wody, spostrzegli, że niewolnik ciągnący łańcuch podniósł kratę w szerokim, okrągłym otworze z boku basenu, jakieś pół sążnia pod powierzchnią.

Światosław bez lęku przykucnął przy zbiorniku i z ciekawością zajrzał do środka. Przez chwilę nic się nie działo, tylko na łukowatych ścianach kanału z wyrwaną kratą drgało załamane przez wodę światło. Potem mignął na nich falujący cień. Książę zamrugał i spojrzał na emira. Ahmed uśmiechał się tylko, rozkoszując się reakcjami zdumionych Kijowian. Światosław znów przyjrzał się otworowi w ścianie.

Zobaczył białe palce. Delikatne, kobiece palce z długimi paznokciami. Potok wody z kanału wciągnął do basenu kosmyk czarnych włosów. Po chwili książę zobaczył twarz. Była nienaturalnie blada, ale o dziwo nie robiła wrażenia trupiej ani strasznej. Zagadkowa istota miała ciemne oczy, którymi śmiało patrzyła na postacie rosnących mężczyzn, stojących na skraju basenu. Wydawała się pełna życia, ciekawska, może nawet niecierpliwa.

Po chwili wodna nimfa odbiła się rękami od skraju otworu i wpłynęła do basenu. Szczupłe, wręcz chude i zupełnie nagie ciało o drobnych piersiach i z czarnymi włoskami na łonie ślizgało się pod wodą jak szczupak. Żaden z bohaterów nie wydobył z siebie głosu. Dopiero kiedy dziewczyna podpłynęła do Światosława, złapała się krawędzi zbiornika i wynurzyła się dziarsko, bezwstydnie ukazując mężczyznom swoje kanciaste biodra, zaszumieli niespokojnie. Tylko książę nawet nie drgnął i bez obaw, uśmiechając się lekko, patrzył w jej czarne oczy.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo, potem przebiegła wzrokiem po pozostałych mężczyznach i uśmiechnęła się. Odbiła się drobnymi stópkami w tył i plusnęła plecami o taflę wody. Pośrodku basenu znów zanurkowała, odwróciła się twarzą do otworu i otworzyła usta.

Usłyszeli bardzo szczególny dźwięk, coś pomiędzy bardzo wysokim, przenikliwym piskiem a melodyjnym śpiewem bez słów. Było to piękne, a jednocześnie sprawiło, że mróz im przebiegł po plecach.

Na ten sygnał po ścianie kanału zaczęły sunąć dalsze cienie, a po chwili przez otwór do basenu wpłynęły kolejne wodne nimfy. Były do siebie bardzo podobne, niczym rodzone siostry. Wszystkie miały ciemne włosy, bladą skórę, wątłe, ale bardzo powabne ciała. Jedna za drugą wyślizgiwały się z wypustu jak pstrągi z przepełnionego kubła, niecierpliwie wynurzały nad powierzchnię i częstowały gości wyzywającymi, uwodzicielskimi spojrzzeniami.

– Teraz już mam wyobrażenie o mahometańskim raju – uśmiechnął się Światosław.

– Nie mówiłem? – Mikuła przełknął ślinę. – Rusalki! Władca Bułgarów hoduje rusalki!

– Niezupełnie. To są szyszygi – uściślił emir.

– Szyszygi? – Spochmurniał nagle Wołch. – Wiły, które żyją w górnym biegu Kamy? Te, które plemiona na zachodzie nazywają leszankami?

– Właśnie te – potwierdził Ahmed. – Udmurci łowią je w odległych lasach u źródeł rzeki, poskramiają, po czym sprzedają na bułgarskich targach niewolników jako najcenniejszy towar. Mam do nich słabość. Posiadam nieco ponad dwa tuziny. Wszystko, czego potrzebują, to woda i surowe ryby. No sami powiedzcie, czy nie miło na nie popatrzeć?

Myśli Wsiesławiewicza wyraźnie zaprzętało co innego. Rażno podszedł do Światosława i położył mu rękę na ramieniu.

– Uważaj, gosudarze – ostrzegł księcia. – Szyszygi są ponoć przesiąknięte złymi czarami. Słyszałem, że jeśli ktoś zobaczy, jak czeszą włosy nad brzegiem Kamy, zostaje natychmiast przeklęty. Wkrótce ginie straszną śmiercią – najczęściej się topi.

Światosław zwątpił.

– Naprawdę? Co właściwie szykujesz, emirze? Czy to dla odmiany jakiś bułgarski podstęp?

– Gdzie tam – zaśmiał się Ahmed. – To, co mówi czarownik, jest prawdą.

Dlatego polowanie na szyszygi jest bardzo niebezpieczne, a ich cena jest tak wysoka. Udmurci znaleźli jednak sposób, jak wypędzić z nich złe czary i zrobić z nich zupełnie nieszkodliwe zabawki dla majątnych znawców.

– Naprawdę? Jak?

– Bardzo łatwo. Ich czary przemijają, kiedy tracą dziewictwo. Kiedy tylko stają się kobietami, nie potrafią już rzucić klątwy. Spróbuj, czarodzieju, umiesz przecież wyczuć czary, prawda? Możesz się przekonać, czy od dziewcząt bije zła moc.

Wołch nie wahał się ani chwili i podniósł kostur. Łuska na jej końcu zajaśniała mętnym światłem. Wiły natychmiast zwróciły na to uwagę i zgromadziły się na skraju basenu, z ciekawością obserwując czarnowłosego maga. Gorynycz odpowiadał im chmurnym spojrzeniem. Po chwili się rozluźnił.

– To prawda. – Pokiwał głową i opuścił laskę. – Nie wyczuwam żadnych czarów.

– Sam więc widzisz. – Uśmiechnął się Ahmed. – Nie ma się czego bać. Dziewczyny tylko uprzyjemnią wam kąpiel. Potraktujcie to jako część gościny.

– Naprawdę? – zapytał Światosław. – Słyszałem, że arabscy władcy pilnie strzegą swoich haremów. Oprócz nich samych nikt nie ma prawa tknąć dziewcząt, ba, nawet na nie spojrzeć. A zarządcy haremów są, dla pewności, wykastrowani...

– Może tak się dzieje w Bagdadzie albo Damaszku. – Emir wzruszył ramionami. – My wprowadziliśmy wiarę w Allaha, ale jednocześnie zachowujemy bułgarskie tradycje. Na przykład słabość do dobrego wina, które *Koran* zabrania pić. Albo zwyczaj, że należy zaspokoić wszystkie potrzeby gości.

Światosław nie potrzebował słyszeć nic więcej, skinął na swoich ludzi i zaczął zdejmować zbroję. Dziewczęta na rozkaz Ahmeda zwinnie wyszły z

wody i mokrymi palcami gorliwie pomagały Kijowianom przy rozbieraniu się. Woń brudu i końskiego potu, która biła od bohaterów na sąźnie daleko, zdawała się im zupełnie nie przeszkadzać.

Już wkrótce basen był pełen śmiejących się bojarów. Tylko jeden pozostał na uboczu.

Ilja przez cały czas trzymał się w cieniu i chmurzył się niczym Perun krótko przed burzą na swej wysokiej, zakrytej obłokami górze. Początkowy zachwyty miastem i imponującym pałacem już wywietrzał i do jego myśli znów wkradła się Dinara. Dinara, która została żoną innego. Ilja wciąż miał przed oczyma radosny i pełen miłości wyraz twarzy, z którym witała Bragiego. Z takim oddaniem nie patrzyła nawet na Tarika...

Nagle Muromiec usłyszał kroki. Ktoś przydreptał na bosych stopach. Niemal się zląkł, kiedy zza słupa przed nim wynurzyła się naga dziewczyna z mokrymi czarnymi włosami, przylepionymi do ramion i piersi. Zatrzymała się w cieniu solidnej kolumny trzy kroki od junaka, skuliła się i spojrzała na niego pytająco. Wyglądała jak zwierzę, chwytające noskiem wonie w leśnym powietrzu. Przypominała jednak raczej dziką kotkę wietrzącą zdobycz, niż wystraszoną sarenkę.

– Idź precz – burknął w jej stronę. – Nie wejdę do wody, wybij to sobie z głowy. Poza tym, nie jestem w nastroju na takie uciechy. Moje serce jest ciężkie jak ołów.

Oczywiście nie rozumiała ani słowa, ale najwyraźniej wyczuła jego nastawienie, ponieważ zawahała się i nie podeszła bliżej. Ilja spojrzał w stronę drzwi na szeroki pałacowy taras. Były otwarte na oścież. Wieczorny wietrzyk wydymał lekkie zasłony, prześwitujące jak pajęczyna. Poprzez nie Muromiec patrzył prosto na północny zachód, za mury miejskie, w kierunku rzeki i odległego przeciwnego brzegu. W ciemności nad niewyraźnie lśniącym Itilem migotały watry obozujących Kijowian i wojowników z Helgardu. Tam, w solidnej skalli na skraju obozu, może właśnie w tej chwili, Dinara kładła się na łóżku i namiętnie oddawała mężowi. Ilja oddychał

szybko, gniewny. Czuł się tak, jakby ktoś wbił mu w pierś zardzewiały sztylet...

Poczuł na twarzy delikatny dotyk. Wzdrygnął się, bo wcześniej nie usłyszał kroków – szyszyga podeszła jak duch. O dziwo, nie zlekła się jego ruchu, a kiedy się cofnęła, natychmiast zrobiła krok i przyłgnęła nagimi piersiami do jego zakurzonego pancerza.

– Nie rozumiałaś? Przestań, wracaj do swoich sióstr, znajdź sobie...

Ucichł, ponieważ nagle owinęła ręce wokół jego szyi, stanęła na palcach – była przy nim taka drobna, że mógłby ją zgnieść jednym mocnym uściskiem – i wycisnęła na jego wargach chciwy pocałunek. Zamrugał. Ku jego zaskoczeniu, usta wiły nie były zimne, nie smakowały stęchłą wodą ani rybim mięsem. Coś zmusiło go, by podniósł ręce i chwycił jej ramiona w swoje dłonie. To blade, mokre ciało też nie było chłodne. Było gorące i drżało z niecierpliwości.

Nagle w Ilji wzburzyło się serce. Właściwie dlaczego nie miał dać się uwieść małej szyszydze? Jeszcze nigdy nie miał kobiety. Był już może najwyższy czas, by i pod tym względem stał się mężczyzną. Kto wie, może między bielutkimi udami wiły zapomni o niewiernej Muromce... Poza tym, reszta bojarów ochoczo korzystała z gościnności emira. Nawet ten stary burkliwy niedźwiedź Jegor dał się oczarować wdziękiem dziwożon i pozwolił, żeby umyły i rozczesały jego długachną brodę...

Ilja wziął głęboki wdech i przycisnął usta do wilgotnych warg wodnej nimfy. Przycisnął ją do siebie tak prędko i mocno, że z jej gardła wydobył się jęk. Nie był to jednak jęk bólu, ale rozkoszy.

Po chwili cierpki smak rozczarowania i odrzucenia został zmyty gorącym nurtem, który wzmagał się w żyłach Ilji.



– Jesteś niezwykle szczodrym gospodarzem, emirze – przyznał Światosław, oblizał palce i splukał ostatni kęs sporym łykiem wina. – Ten



żuraw w śmietanie był wyborny, tak samo jak pieczony łabędź z miodem czy solone ogórki. I te twoje wodne nimfy... Muszę przyznać, że żadna z moich żon nie dostarczyła mi jeszcze takiej rozkoszy. Jeśli w taki sposób witasz wrogów, jak musisz gościć przyjaciół?

– Wrogów? Sam się przecież domagałeś, żebym was uważał za sojuszników – przypomniał Ahmed z nieco krzywym uśmiechem.

– I nie zapominam o tym – zapewnił go książę. – Dotrzymam słowa i nie wyrządę twemu ludowi żadnej krzywdy. Oczywiście, dopóki się nie zbuntuje. Mogę ci też obiecać, że nie będę próbował cię zrzucić z włodarskiego stolca. Wyraźnie jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

– To dobrze, że tak właśnie myślisz. – Emir skinął na niewolnice, żeby dołały im wina.

W paradnej sali oprócz obu władców znajdowali się najważniejsi kijowscy drużynnicy oraz kilku wezyrów i dostojników Ahmeda. Siedząc na nieprzyzwoicie miękkich poduszkach i skórach rzadkich drapieźników, sięgali po jadło i czasze z winem, stojące na niskich stolikach. Koło nich, przy dźwiękach piszczałek, bębenków i dzwonków, płały tancerki, ale kiedy uczta się skończyła, emir prędko klasnął i odprawił ślicznotki.

– Najwyższy czas wrócić do poważnych zajęć. Niech Allah ześle nam mądrość, byśmy podjęli właściwe decyzje – emir rozpoczął naradę.

– Bismillah – odparli chórem bułgarscy możni.

– Wszyscy wiemy, że suwarskie wojsko jest już w drodze do Bułgaru. Jeśli nie pokrzyżujemy mu planów, za sześć dni, licząc od dziś, stanie pod murami miasta...

– Powstrzymamy pochód chana – rzekł Światosław i poprawił się na siedzisku. Był przyzwyczajony do twardego siodła albo prostej ziemi pod tyłkiem, na miękkich poduszkach siedziało mu się dziwnie, wręcz niewygodnie. – Pojutrze wyjdziemy mu naprzeciw i spotkamy się z nim na

środku stepu. Ilu ludzi możesz posłać, synu Dżafara?

– Ponieśliśmy znaczne straty w boju z twoim wojskiem – powiedział emir, nie bez gorzkości w głosie. – Zginęło więcej niż tysiąc naszych jeźdźców. Tak czy owak, dwa i pół tysiąca bułgarskich wojowników może rano wskoczyć na siodła. Do tego dolicz prawie tysiąc ludzi, których na mój rozkaz przysłali bejowie Bilaru i Balimeru, oraz siedmiuset udmurckich najemników.

– Czyli nieco ponad cztery tysiące. – Światosław kiwnął głową z zadowoleniem. – Mniej więcej tylu jest też moich ludzi, licząc z siłami Bragiego. Razem jest nas więc wystarczająco dużo, by pokonać siedem tysięcy jeźdźców Mutahara. Cały step będzie białą od ich kości.

– Nie lekceważ wojowników chana. Ma doskonałych łuczników, a nawet twoi Waregowie nie dorównują dzikością i krwiożerczością najemnikom z koczowniczych plemion...

– Za to my mamy ciężką konnicę – włączył się do rozmowy Sweneld. – Już prowadziłem pancernych z Kijowa przeciw koczownikom, kiedy za rządów Ingwara wojowaliśmy z Pieczyngami. Zmiażdżyliśmy ich, jak lawina miażdży pszeniczne pole.

– Jestem pewien zwycięstwa w uczciwej walce jeden na jednego – mruknął Światosław. – Co innego mnie martwi. Wy wiecie co.

Emir posępnie kiwnął głową. Poważne twarze jego doradców i dostojników świadczyły o tym, że dzielają obawy obu władców.

– Nie powinniśmy lekceważyć zagrożenia – odezwał się w końcu Ahmed, przerywając grobową ciszę. – Moi szpiegowie przysłali wiadomość, że w Suwarze ziemia trzęsie się coraz częściej i że czasami słychać złowieszczy głos. Brzmi jak dalekie grzmoty, ale w rzeczywistości wydobywa się spod ziemi. Ponoć czeremiscy łowcy niewolników już dawno temu przywieźli ofiary dla Zilanta, ale Tugarin ciągle jeszcze go nie nakarmił, mimo że przez długie lata wrzucał pojmanych do podziemi, kiedy tylko smok zaczynał się wiercić w swojej pieczarze. Niech gniew Allaha spadnie na tego przekłętą

czarownika! Na pewno coś szykuje. A my wszyscy się domyślamy, jak potworny plan zrodził się w jego głowie.

– Jeśli naprawdę pozwoli bestii wyleźć z podziemi i zaatakować nas, poniesiemy klęskę – otwarcie powiedział Światosław. Spostrzegł, że wielu bułgarskich możnych spuściło wzrok i mamrocze pod nosem modlitwy do ich Wszechmogącego. – Wołchu, co ty o tym myślisz?

Czarnowłosa czarodziej siedział zamyślony obok księcia, ze wzrokiem zatopionym w czaszy z winem i Malachitowym Kosturem opartym o ramię. Na pytanie władcy dał odpowiedź twierdzącą.

– Suwarski czarny smok jest potężny, a stare podania mówią, że potrafi zionąć ogniem. Jeśli użyje płomienistego oddechu, w jednej chwili zmieni setki naszych ludzi i koni w kupę tłustego popiołu i zetlałych kości. Może zapewnić Suwaram zwycięstwo bez straty jednego człowieka.

– Jesteś w stanie mu przeszkodzić? Czy twoje czary mogą ochronić wojsko przed smoczym ogniem?

– Hm... Zależy, jak na to spojrzeć. Myślę, że jestem w stanie stawić czoło smoczemu ogniewi. Złomek w mojej lasce jest okruchem tej samej łuski, której część wprawiono w kostur Tugarina. Są w niej zaklęte czary podobne do tych, które dają Drakowiczowi władzę nad Zilantem. Pozostaje pytanie, ilu ludzi mógłbym osłonić. Trzydziestu? Pięćdziesięciu? Raczej nie więcej. Nie mam aż tak wielkiej mocy.

– To strasznie mało – odezwał się emir.

– Rzeczywiście mało – przyznał Światosław.

– Mam lepszy plan – mruknął Wsiesławiewicz i jak zwykle, kiedy nad czymś uporczywie rozmyślał, zaczął skubać palcami końce wąsów. – Ale to bardzo niebezpieczne.

– Wszystko, co nas czeka w najbliższych dniach, jest bardzo niebezpieczne. Mów. Wódz gorynyczów wziął głęboki wdech.

– Proponuję, by wysłać do Suwaru drużynę, która zaatakuje smoczą wieżę.

Bułgarzy, którzy z pochylonymi głowami modlili się do Allaha, natychmiast podnieśli wzrok. Pozostali również wpili w czarodzieja spojrzenie pełne zdumienia albo niedowierzania. Światosław jako jedyny skinął głową na znak zgody.

– Miałem podobny pomysł – przytaknął. – Musiałbyś jednak sam dowodzić tą drużyną, Wołchu.

– Naturalnie. Zabrałbym ze sobą gorynychów i może jeszcze paru zręcznych wojów, ale w sumie nie więcej niż czterdziestu ludzi, żebyśmy mogli poruszać się jak najszybciej. Musimy przemknąć koło ciągnącego wojska i niepostrzeżenie wejść do miasta. Jeśli o świcie ruszymy galopem na południe, możemy dostać się do Suwaru wcześniej, niż wojska Mutahara i Bułgarów spotkają się w otwartym polu.

– Ale co potem? – rzucił z powątpiewaniem Ahmed ibn Dżafar. – Co zrobicie?

Zaatakujecie miasto?

– W pewnym sensie tak – pewnie potwierdził Wołch. – Obrona Suwaru będzie bardzo osłabiona, ponieważ chan na pewno weźmie ze sobą na wyprawę jak najwięcej ludzi zdolnych do walki. Za pomocą czarów i podstępów dostaniemy się do środka i uderzymy na smoczą wieżę. Tugarin na pewno nie pociągnie z Mutaharem w pole, bo będzie chciał poskromić smoka w świątyni. Zaatakujemy go i nie dopuścimy, żeby wypuścił Zilanta z podziemi.

– Na brodę Proroka, to szalony plan! – Nie wytrzymał emir. – W ten sposób złożymy żywoty tysięcy wojowników i los całego bułgarskiego państwa w ręce jednej małej drużyny. Jeśli zawiedzie, wszyscy jesteśmy skazani na śmierć!

– Zapominasz chyba, emirze – Światosław spojrział na niego twardo – że nie mamy wyboru. Drugą możliwością jest zamknąć się za murami Bułgaru i poczekać, aż Mutahar spustoszy okolicę i otoczy miasto. Nie będzie nawet

potrzebował smoka, weźmie nas głodem. Nie, to nie jest mój sposób prowadzenia wojny. Postąpimy zgodnie z planem Wołcha. Nie będziemy się zanedo spieszyc do Mutahara, żeby dać drużynie Wsiesławiewicza czas na dotarcie do Suwaru. Potem już wszystko będzie w rękach bogów.

– Zapominacie o jednej małej rzeczy – odezwał się nagle Ilja, siedzący obok naradzających się mężczyzn. – Tugarin jest w stanie nas śledzić. Pamiętajcie, jak Wołch na brzegu Sury wyczuł jego szpiegującą świadomość? Może odkryć nasze zamysły i przygotować się do obrony wieży. Albo wcześniej wypuścić Zilanta.

– Dobrze, że o tym wspomniałeś, Muromcze – zgodził się Wołch. – Wziąłem to pod uwagę. Wtedy, nad Surą, Tugarin dopadł nas nieprzygotowanych – jak to mówią, ze spuszczoneymi gaciami. Teraz gdy już wiem, że potrafi oddzielić duszę od ciała i myszkować w dalekich krainach, mogę nas całkowicie ukryć przez jego czarodziejskim wzrokiem. Nie zobaczy nas.

– Kogo weźmiesz ze sobą? – Zainteresował się Światosław, przez co właściwie zamknął naradę i dał znak, że uważa ten plan za zatwierdzony.

– Myślałem, żeby prócz smoczycy wojowników jechali też Jegor i Mikuła.

– Co wy na to, chłopcy? – Książę spojrział na dwóch barczystych bohaterów. – To będzie niemal samobójcza wyprawa.

– Takie lubię najbardziej – parsknął Jegor Światogor. – Szykowałem się co prawda na wielką bitwę gdzieś w stepie, ale myślę, że i w Suwarze znajdzie się dość nieprzyjacielskich gardeł dla ostrza Śmierci.

– Na pewno. – Uśmiechnął się Mikuła. – Możesz na mnie liczyć, Wołchu. Jeśli ten stary niedźwiedź ma odwagę z tobą wyruszyć, ja nie pozwolę mu się zawstydzić.

– Ja też chcę jechać – wstał nagle Ilja.

– To nie jest rozsądne, Muromcze. – Zachmurzył się Światosław. – Wciąż brak ci doświadczenia i bojowej zręczności. Byłaby szkoda, gdybyś stracił

życie na tej wyprawie...

– Pozwól mi jechać, gosударze. Przekłęci czeremiscy skurwysyni, żeby tak wrony wydziobały im oczy, powlekli do suwarskiej wieży dziewczęta z mojego plemienia. Przysięgłem duszom przodków, że je pomszczę. Zresztą, kto wie – jeśli Tugarin naprawdę nie nakarmił smoka, może jest jeszcze nadzieja, że je uwolnię.

– Jeśli Ilja jedzie, ja też pojedę. – Przyłączył się Alosza Książewicz. – Muromiec uratował mi życie, a to będzie dobra okazja, żeby mu spłacić dług.

Władca Kijowa spojrzał każdemu z nich w oczy i kiedy zobaczył w nich niezłomność i zdecydowanie, poważnie skinął głową.

– Dobrze, bracia bohaterzy. Jeśli naprawdę chcecie jechać, nie będę wam zabraniał. Niech bogowie mają was w swojej opiece.

– Ojczy – zabrzmiało nagle z cienistego kąta sali – pozwól mi jechać z nimi. Za Bułgar, w imię Allaha. Na bój z Tugarinem powinien też pójść ktoś ze znakiem półksiężyca i sokoła.

Ahmed ibn Dżafar obejrzał się zaskoczony. Inni też ze zdumieniem podnieśli wzrok.

Zza pokrytych przepięknymi ornamentami kolumn wynurzył się Hassan ibn Ahmed.

– Mój synu – powiedział emir dziwnie chrapliwym głosem – nie prosź mnie o to. To bardzo niebezpieczne zadanie, a ty jesteś zbyt cenny. Dla mnie i dla Bułgaru. Życzę sobie, żebyś pogalopował do starcia z Mutahar-chanem u mego boku.

– Okryłem się hańbą, ojczy. Z powodu przegranej na zachodniej granicy i tego, że wróciłem do Bułgaru jako jeniec Kijowian. Mogę oczyścić swe imię, tylko dokonując niezwykle odważnego czynu. Atak na Suwar jest właśnie takim czynem. Zmyję hańbę albo krwią przeklętego Tugarina, albo własną.

Ahmed wstał i wyszedł synowi naprzeciw.

– Hassanie, nie mogę ci na to pozwolić. Jesteś przecież następcą tronu...

– Zakazując, zmusisz mnie tylko do nieposłuszeństwa.

– To byłby bunt i zdrada.

– Nie, nie byłby. Ten plan, chociaż szalony i mający znikome szanse powodzenia, może uratować Bułgar. Chcę wziąć w tym udział. Do bitwy z wojskami chana pogalopują u twego boku Talib i Mumin. Moi mali bracia już wyrosli na mężczyzn, najwyższy czas, żeby zdobyli wojenną sławę.

Emir chciał coś powiedzieć, ale w tej chwili jego wzrok spotkał się ze wzrokiem następcy tronu. Władca Bułgarów zrozumiał naraz, że nie przekona syna, że nie ma nawet sensu próbować. Twarz Hassana była jak wykuta z marmuru, spojrzenie miał chłodne i zdecydowane. W głębi duszy skrywał pewnie żal, może gorycz, ale na zewnątrz następcę tronu pozostał nieporuszony.

Ahmed wziął głęboki wdech i położył synowi rękę na ramieniu.

– Naprawdę tego chcesz? Żebyś potem, kiedy już wiatr wywieje ci z głowy zmacone myśli, nie żałował pochopnej decyzji...

– Obrażasz mnie, mówiąc to, ojcze. Nie mam zamętu w głowie, wprost przeciwnie – już od dawna nie byłem niczego tak bardzo pewny. Poza tym, wiele razy przejechałem krainy na południu wzdłuż i w poprzek, znam je jak własną kieszeń. Będę przewodnikiem Kijowian, wskażę im najbezpieczniejszą drogę aż do bramy Suwaru.

– To prawda, przyda się nam przewodnik – zgodził się Wołch. – Tym bardziej że mówi miejscowym językiem.

– W takim razie – Ahmed znowu wciągnął ze świstem powietrze i westchnął, patrząc Hassanowi w oczy – niech Allah czuwa nad twymi krokami, synu.

– Allah jest naszym panem i nie ma Boga prócz niego.

KSIĘGA CZWARTA

**Ilja Muromiec  
i Tugarin  
Drakowicz**



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

# Zmierzch nad Suwarem



środku nocy Mutahar-chan otworzył oczy i usiadł na łóżku. Zdziwiło go to. Zazwyczaj sypiał twardo, całą noc bez przerwy, nie pamiętał, by kiedykolwiek obudził go koszmar. Nawet teraz, w tych okropnych czasach, chan nie mógł się skarżyć na kłopoty ze snem, jakby cienie śmierci i zagłady, skradające się nad Itil, były zwykłymi majakami, zjawami z ciemnych zakątków, które rozpląną się w pierwszych promieniach świtu. Dzisiaj było tak samo. Jeszcze przed chwilą władca Suwaru smacznie chrapał...

I nagle się obudził. Był zupełnie przytomny, wyraźnie widział, słyszał i czuł. Macał w poszukiwaniu szabli. Solidna rękojeść niemal sama wskoczyła mu do ręki.

Zrozumienie, gdzie właściwie jest, zajęło mu najwyżej trzy uderzenia serca, bijącego ze strachu jak młot o kowadło. Wokół nie wznosiły się wysokie ściany jego suwarskiej sypialni, nie spoczywał na miękkich materacach ani jedwabnych prześcieradłach, nocnych ciemności nie rozganiały płomienie wzbijające się z miedzianych, stojących na trójnogach koszów.

Ściany z ledwie ociosanych kłód podpierały stożkowaty dach ze

splecionych pęków badyli. Skóry stepowych antylop zaścielały łóżko szeleszczące zwykłą słomą. W obłożonym kamieniami palenisku, znajdującym się na środku podłogi z udeptanej gliny, mrugały dogasające ogniki. Tak, tak, suwarski pałac znajdował się całe wiorsty stąd...

Mutahar spuścił nogi z łóżka i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści broni. Rozglądał się chmurnie, szukając przyczyny swego przebudzenia. Nagle przez izbę przeleciał wicher. Zasyczał w wywietrzniku nad paleniskiem, rozczochrał chanowi włosy, wzbił w powietrze rój iskier i popiół z ogniska. Z węgielków wyskoczyły płomienie, a na ścianach zatańczyły cienie o przedziwnych kształtach.

Mutahar zaniepokoił się. Na łopatkach poczuł gęsią skórkę, zjeżyły mu się włosy z tyłu głowy. Wstał i wzniósł szablę.

– Na Tangrę i wszystkie niebieskie duchy – warknął – pokaż się!

Cienie skurczyły się i ściągnęły, jakby zlekły się groźby w głosie chana. Tylko jeden z nich zrobił rzecz dokładnie odwrotną – zaczął rosnąć i potężnieć. Na ścianie przed Mutaharem pojawiła się płaska, trójkątna głowa. Cień wysunął rozwidlony język, zafalował zwojami giętkiego, węzowego ciała.

– Coś ty za jeden? – ostro zapytał władca, powoli zmieniając pozycję na bojową. – Czego chcesz?

– Nie lękaj się, chanie – cień odparł szeptem. – Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy. Wprost przeciwnie, przybyłem, żeby ci pomóc.

Władca od razu poznał ten głos, mimo że słowa splatały się w nim z nieprzyjemnym sykiem.

– Tugarin? – wychrypiał zdumiony. – Czego tu szukasz? Jak się... – Mutahar zamrugał. Zrozumiał wreszcie. – To tylko sen?

– Oczywiście. Przecież powiedziałem, że nie masz się czego bać.

Chan rozejrzał się. Widział wyraźnie, wszystko było namacalne, rzeczywiste. Nigdy w życiu nie przyśnił mu się żywszy i dziwniejszy sen...

– Dziś w nocy znów oddzieliłem swoją duszę od ciała – kontynuował najwyższy kapłan. – Wzniosłem się nad równiną leżącą na północ od twojego obozu. Widziałem nieprzyjaciół.

Mutahar natychmiast zamienił się w słuch, podniósł głowę i wyprostował się.

– Wyjechali nam na spotkanie? Nie czekali ukryci za murami, za zamkniętymi bramami Bułgaru?

– Nie czekali. Wyruszyli ci naprzeciw. Nie wiedziałeś o tym? Nie wysłałeś zwiadowców?

– Wysłałem, ale żaden jeszcze nie wrócił...

– Pewnie już nie wrócą. Musiały ich schwytać czujki nieprzyjaciół... Nie wiesz więc, jaka siła ciągnie przeciw tobie. Postąpiłem słusznie, decydując się tu przybyć. Nie zwykłem marnować mocy.

– Jak to możliwe, że Bułgarzy na nas idą? Nie odpierają ataku Kijowian?

– Gdzie tam. Bułgarskie tchórze padły na kolana przed śmierdzącymi dzikusami z zachodu i zawarły z nimi ugodę. Światosław i Ahmed zamierzają stawić ci czoło, idąc ramię w ramię.

Chan długo gapił się na widziadło, nieruchomo, w milczeniu. Potem rozluźnił się wreszcie i opuścił szablę.

– Zawarli sojusz? – warknął. – Dzikie wareskie wilki zdobyły Bułgar bez mordów, bez łupienia i potrafiły się z kimś dogadać? Nigdy bym nie uwierzył, że Kijowianie są zdolni do czegoś takiego...

– Jeśli o to chodzi, wyraźnie nie doceniliśmy Światosława. Musisz się przygotować do walki.

– Ilu ich jest?

– Niewiele więcej niż twoich ludzi, ale i tak mają przewagę. Jeśli się z nimi zetrzesz w otwartym polu, masz małą nadzieję na zwycięstwo, bo więcej niż połowa ich wojska to zakuci w żelazo Waregowie. Rozgonią kipczańskich i pieczyńskich najemników jak wataha wilków rozpędza stado

owiec.

– W takim razie nie wyruszamy w pole. Wykorzystam stary sposób i każę postawić wokół osady zaporę z wozów. Ile mamy czasu?

– Mało. Najpóźniej jutro wieczorem Bułgarzy i Kijowianie będą w zasięgu wzroku.

– Co z twoją obietnicą, że pomożesz nam czarami?

– Zaufaj mi. Dziś w nocy przebudzi się wielki Zilant i na mój rozkaz poleci wam na pomoc. Nieprzyjaciele nie znajdą się nawet w zasięgu waszych łuków. Będziecie musieli tylko dobić skomlących rannych i kaleki przypieczone smoczym ogniem.

– To nie będzie sławne zwycięstwo – burknął suwarski chan.

– Za to będzie druzgocące. Wejdiesz do Bułgaru, nie napotykając najmniejszego oporu. Twoja potęga stanie się niezmierna. Kiedy ta wieść dotrze do Chazarów, posrają się ze strachu, aż całe Morze Chwaliskie wypełni się gównem. Teraz wstań i wydaj rozkazy. Nie wolno ci tracić czasu.

Wąż pochylił głowę, po czym wygiął ciało w łuk. Z grzbietu wyrosły błoniaste skrzydła. Ich cień rozpościerał się na wszystkich ścianach, płomień ogniska zgasły prędko, komnatę pochłonęła ciemność. Mutahar ze strachem cofnął się o krok...

W tej chwili naprawdę otworzył oczy. Zdarł z siebie okrycie, błyskawicznie usiadł, sięgnął po szablę...

– Żeby to mór... – wysyczał przez zęby.

Oddychał prędko, masywna klatka piersiowa wznosiła się gwałtownie. Chan odgarnął palcami włosy z twarzy. Spojrzał w górę. Noc już minęła – nieśmiała jasność poranka wlewała się do chaty przez wywietrznik w dachu. Na zewnątrz tupały konie, dzwoniły rzędy.

Mutahar wstał, podszedł do drzwi, odsunął zasuwę i wyszedł za próg. Wartownicy przed chałupą natychmiast wyprostowali plecy, wbili spojrzenia w dal i uderzyli końcami włóczni o klepisko.

Osada nazywała się Toktü i leżała na brzegu rzeki o tej samej nazwie. Koryto, teraz – w środku lata – wyschnięte, stanowiło granicę między ziemiami pozostającymi pod bezpośrednią władzą Bułgaru, a podlegającymi Suwarowi. Oczywiście, Ahmed nie uznawał tego podziału, a i oddziały łupieżczych jeźdźców Mutahara były częstymi gośćmi na przeciwległym brzegu. Chata, w której chan spędził noc, była najporządniejszym i najsolidniejszym budynkiem we wsi. Poza tym wszędzie wokoło kuliły się proste lepianki z błota i trzciny, wykopane w glebie ziemianki lub zwyczajne namioty z końskich i wołowych skór.

W okolicy roiło się od ludzi i koni. Siedmiotysięczne wojsko budziło się i szykowało do całodziennej jazdy.

– Wielki chanie.

Przed chmurnym Mutaharem stanął w pełnej zbroi bagain Kalin wraz z osiodłanym koniem.

– Rozkazałem wojsku, żeby się gotowało do drogi. Zanim Tangra wzejdzie nad widnokrąg, ludzie będą już w siodłach. Na twoje skinienie ruszą na wschód.

– Wstrzymaj to – ze złością warknął chan.

– Panie? – Wódz podniósł głowę, do tej pory pochyloną, jak przystało.

– Dobrze słyszałeś, bagainie. Zostaniemy tutaj. Kalin coraz wyżej unosił brwi ze zdziwienia.

– Wybacz mi, wielki chanie, ale nie rozumiem, dlaczego... Twarz władcy pociemniała groźnie.

– Nie będę powtarzał, bagainie. Takie są moje rozkazy: macie dzień, żeby zmienić ten brudny chłopski barłóg w twierdzę. Suche koryto rzeki będzie stanowić rów. Wzmocnicie przeszkodę włóczniami i zaostrzonymi palami. Na południowym brzegu wzniesiecie zaporę z wozów, jak czynili nasi przodkowie w walce z bułgarskim najeźdźcą. Od północy ciągną na nas połączone sfory bułgarskich i kijowskich psów. Najpóźniej wieczorem będą

w zasięgu wzroku. Mają przewagę, więc musimy się bronić. To miejsce stanie się placem boju.

– Będziemy się bronić? Za zaporą? To się nie spodoba naczelnikom stepowych klanów...

– Mnie też się to nie podoba. Wymaga tego jednak sytuacja. Wykonaj rozkaz, bagainie. Do wieczora musimy być przygotowani na atak.

Kalin, widząc, że chan jest w wyjątkowo złym nastroju, doszedł do wniosku, że zadawanie dalszych pytań, a tym bardziej przedstawianie własnych pomysłów, byłoby skrajną głupotą. Dlatego tylko ukłonił się pokornie, cofnął o parę kroków, potem odwrócił, wskoczył na konia i wyruszył prędkim kłusem w stronę obozu. Gdy przejeżdżał, jego dźwięczny głos rozlegał się nad głowami wojowników. Ludzie reagowali na nowe rozkazy zdziwionymi spojrzeniami. Wielu z nich, zwłaszcza członkowie oddziałów najemnych, klęło ze złością, nie przejmując się zupełnie, czy chan ich usłyszy.

Mutahar odwrócił się na pięcie i dziarskim krokiem wrócił do chaty. W jego głowie – niczym śliskie błoto, niczym czarny skrzep krwi – rozlewała się tylko jedna myśl.

Jego zwycięstwo zależało od czarów Tugarina. Oddałby trzy lata życia za to, żeby było inaczej.



W duszy Styrwita wrzał niepokój. Kiedy już dotarł z drużyną do Suwaru, Tugarin obiecał im kąpiel we krwi wrogów. W uszach Czeremisów takie słowa brzmiały jak rajska muzyka, ponieważ niczego innego nie pragnęli. W tym roku przybyli nie tylko po to, by pokłonić się smokowi i nakarmić go słodkim mięsem schwytych dziewczyc. Chcieli zanurzyć się aż po uszy w krwawym wirze walki, która już rozkosznie pachniała w gorącym powietrzu. Pragnęli zabijać, rozpruwać mahometańskie ciała na cześć starych bogów i łupić bułgarskie miasta z drogocennych towarów.

Najwyższy kapłan zdecydował jednak, że zostaną w Suwarze. Czeremiską drużyną zasilił oddział baghaturów, strażników Zilantawu. Nawet gdy Styrwit błagał go, by wolno mu było ruszyć do boju, odmówił zwolnienia go ze służby. Kiedy zadudnił wielki wojenny bęben i wojsko Mutahara ruszyło na północ, muskularny czeremiski wódz stał na stoku pod wieżą, odprowadzając wzrokiem oddalającą się chmarę ludzi. Tak przy tym zaciskał pięści, że przebił paznokciami skórę dłoni.

Jednakże woła syna smoka była wołą bogów. Styrwit nie odważył się sprzeciwić. W dodatku Tugarin zapewnił go, że czeremiska krwiożerczość i zręczność bojowa może się przydać także tu, na tyłach, daleko od głównego placu boju. Wódz Czeremisów wprawdzie nie potrafił sobie wyobrazić, z jakim nieprzyjacielem mieliby walczyć, ale słowa Tugarina go uspokoiły. Może jednak nie przyjechali do Suwaru na próżno.

Jeszcze nawet nie przypuszczał, jak dobre wiadomości usłyszy z samego rana.

Najwyższy kapłan spędził noc w wieży. Od północy do świtu z wnętrza Zilantawu wydobywały się dziwne, okropne dźwięki. Ludzki głos – zapewne Tugarina, ale zmieniony nie do poznania – mieszał się z wyciem i demonicznym rechotem. Styrwit w jednej chwili wyskoczył z łóżka. Chciał pobic kapłanowi na pomoc, ale został zatrzymany przez wodza baghaturów, Zamracha. Ten, jak zwykle, z kamienną twarzą zapewnił, że nie dzieje się nic niezwykłego.

Kiedy władca niebios Tangra zalał wreszcie ulice Suwaru złotawym światłem i wrzucił garść promieni również do wnętrza ponurej budowli, brama wieży otwarła się ze skrzypieniem, a czarodziej wyszedł na zewnątrz. Był blady jak trzydniowy trup, ledwie powłóczył nogami. Wyglądał na jeszcze chudszy niż zazwyczaj.

– Dziś wieczorem... – wychrypiał, opierając się całym ciężarem na Żelaznym Kosturze.

– Dziś wieczorem to się zacznie... Potęga bogów się przebudzi... Zilant

powstanie... Potrzebuję mocy. Mnóstwo mocy.

Kiedy go zapytali, co mogą zrobić, żeby nabrał sił, rozkazał złożyć w ofierze jedną z niewolnic.

– Przynieście mi jej świeżą krew i serce. A potem upieczcie mięso.

Rozkaz ani trochę nie przeraził Styrwita – nieraz już zaznawał nędzy i głodu, dlatego znał smak ludzkiego mięsa. Wiedział, jaka siła kryje się w każdym kęsku, w każdym łyku ludzkiej krwi. Wiedział też, że czarodzieje uważają dziewiczą krew za najwydajniejsze źródło magicznej mocy. Poprosił Tugarina, żeby mógł sam poderznąć gardło jednej z muromskich niewolnic. Brakowało mu już tego – uczucia, którego doznawał jedynie w chwili, gdy odbierał komuś życie. Od wielu dni nikogo nie zabił i zaczynał mieć wrażenie, że przez to zmniejsza się jego siła.

Najwyższy kapłan łaskawie zezwolił.

Styrwit czuł niemal cielesną rozkosz, gdy szybkim, wypraktykowanym cięciem noża zmienił rozpaczliwy lament wybranej dziewczycy w wilgotny, bulgoczący charkot. Kiedy trzymał jej miotane konwulsjami ciało i chwycił strzykającą krew do srebrnej miski, wyraźnie poprawił mu się nastrój. W końcu niewolnica przestała kopać i znieruchomiała. Otworzył jej klatkę piersiową. Wyrwał jeszcze gorące, drżące serce, a potem oddał kapłanom ciało branki. Pomocnicy Tugarina wiedzieli, w jaki sposób przygotować ludzkie mięso, jakie obrzędy odprawić, jakie zaklęcia wypowiedzieć, by święty pokarm dodawał jak najwięcej sił.

Czarodziej rzucił się na miskę z krwią jak wygłodniały drapieżnik, któremu od kilku dni nie udało się niczego upolować. Głośno połykał, wręcz pochłaniał śliskie strzępy skrzepliny. Ciemnoczerwone strużki ściekały mu po brodzie na białą szatę z wizerunkiem czarnego smoka. Potem misa zadzwoniła o stół. Tugarin odepchnął ją, chwycił serce Muromki. Rwał je zębami, uparcie targał zwarte mięśnie, niecierpliwie połykał wielkie, słabo pogryzione kawały. Czasem zapijał potworny pokarm resztkami krwi z misy.



Styrwit i Zamrach stali nieopodal, przysłuchiwali się niemal zwierzęcemu mlaskaniu i czekali cierpliwie. Olbrzymi Czeremis uśmiechał się lekko, a błysk w jego oku zdradzał, że chętnie przyłączyłby się do okropnej uczty. Twarz milczącego przywódcy gwardii nie wyrażała żadnych uczuć, była jak wykuta z kamienia, a oczy były aż niepokojąco zimne. W snopach słonecznych promieni, wnikających do głównej komnaty siedziby Tugarina przez małe okna wysoko pod stropem, wirował kurz.

– Już jutro... – odezwał się wreszcie czarodziej i wypuścił z zakrwawionych palców resztki serca. – Najpóźniej jutro o świcie pośrodku stepu rozpocznie się walka. Chan stanie twarzą w twarz z nieprzyjacielem wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Nie pod bramami Bułgaru, ale nad brzegiem rzeki Toktü.

Styrwit zmrużył oczy.

– Te mahometańskie świnie odważyły się więc wyruszyć przeciw niemu w pole.

– Syn Dżafara tchórzliwie pokłonił się synowi Ingwara. – Kiedy Tugarin pogardliwie wydał wargi, zobaczyli strzępy serca, które uwięzły mu między zębami. – Chan spotka się z ich sprzymierzonymi wojskami.

– Trzeba zatem co prędzej zbudzić Zilanta – odezwał się Zamrach.

– Dzisiaj o zmierzchu – zgodził się najwyższy kapłan. – Ten święty pokarm przywrócił mi siły. Kiedy skończę jeść, położę się do łóżka. Będę odpoczywać aż do zachodu słońca. W tym czasie wy musicie być w pogotowiu.

– W pogotowiu? – Styrwit podszedł bliżej fotela czarnoksiężnika. – Przed czym, potężny? Czy coś nam grozi?

Tugarin roześmiał się warkotliwie.

– Nie możesz się doczekać, Styrwicie? Tęsknisz za zabijaniem?

– Właśnie tak, potężny! A ze mną cała czeremiska drużyna. Mamy wyżej uszu siedzenia i czekania. Daj nam okazję wygubić twych nieprzyjaciół.

Zabijać w imię wielkiego Zilanta!

– Już niedługo będziesz mógł to robić, mój wierny Czeremiesie. Prędejj, niż możesz przypuszczać. Może nawet dzisiaj.

Było widać, że Styrwit drży z niecierpliwości.

– Powiedz mi więcej. Przed kim mamy się mieć na bacności?

– W nocy widziałem przemieszczające się wojsko Ahmeda z Bułgaru i kijowskiego Światosława. Moja dusza leciała bardzo nisko nad przesuwającymi się zastępcami. Coś zainteresowało mnie bardziej niż ich liczebność. Nigdzie nie wyczułem mocy Światosławowego czarodzieja. Gorynych na pewno nie ruszył wraz z wojskiem.

Styrwit nachmurzył się, nie rozumiejąc. Zamrach lepiej rozumiał aluzje najwyższego kapłana.

– Ahmed ma swoich szpiegów w Suwarze. – Pokiwał głową. – Większość wysledziłiśmy, zamęczyliśmy na śmierć, a ich głowy, zakonserwowane w soli, posłaliśmy do Bułgaru. Niektórzy jednak uniknęli naszych rąk. Ten mahometański pies mógł więc otrzymać wiadomość, że zamierzasz wypuścić czarnego smoka z podziemi. Zresztą, szepce się o tym w całym mieście...

– Dobrze się domyślasz, Zamrachu – potwierdził Tugarin. Rękawem szaty wytarł krew z brody. – Wszystko to może znaczyć, że gorynych jest w drodze do Suwaru. I zapewne, z doborową drużyną kijowskich zabijaków, spróbuje nie dopuścić do wypuszczenia Zilanta.

– Natychmiast rozkażę zamknąć bramy miasta – prędko powiedział Zamrach. – Powołam do służby wszystkich członków straży miejskiej, postawię na nogi wszystkich baghaturów. Potroję warty na umocnieniach miasta i na murach świątyni. Nawet mysz nie przecisnie się do środka.

– Zrób to – zgodził się Tugarin. – Nikomu nie wierzcie, nikomu. Czarodziej może użyć czarów, żeby zamaskować siebie i drużynników, zmienić ich wygląd. Bramy miasta trzeba zamknąć, nikogo nie wpuszczać, choćby nie wiem kto prosił o możliwość wejścia!

– Panie – odezwał się Styrwit – nie możesz wyśledzić tej wrogiej bandy czarami? Oddziel duszę od ciała, wzleć nad step i znajdź ich. Ja potem wskoczę z moimi ludźmi w siodła, wyjedziemy na ich spotkanie. Zgnieciemy ich, zanim jeszcze w ogóle dojadą do miasta...

– Nie, Styrwicie. Od tej chwili nie wolno mi marnować magicznej mocy. Cała jest mi potrzebna, żeby zapanować nad Zilantem. A nawet gdybym miał dość mocy na to, czego oczekujesz, i tak nie odniosłoby to pewnie żadnego skutku. W lasce gorynycza też jest zaklęta moc wielkiej Zirnitry, matki smoków, więc ten pies zna czary podobne do moich. Wiem, co potrafi zrobić. O ile nie jest głupcem, a nie myślę, żeby nim był, ukryje drużynę pod magiczną tarczą. Tak czy owak, nie potrafiłbym ich wyśledzić.

– Nie potrzebuję czarów, żeby przeszkodzić Kijowianom wejść do Suwaru – powiedział Zamrach. Każde jego słowo było jak cięcie dobrze naostrzonego miecza. – Zostaw to mnie, potężny. Odpoczywaj. Nikt nie będzie ci przeszkadzał, masz moje słowo.

Tugarin skinął głową.

– Idźcie. Czyńcie swoją powinność.

– Udowodnię ci swoje oddanie, potężny – oznajmił olbrzymi Czeremis i uderzył pięścią w wizerunek czarnego smoka na swojej piersi.

– Wcale w to nie wątpię, Styrwicie. – Najwyższy kapłan znów uśmiechnął się drapieźnie. Przypominał upiora z opowieści koczowników z południa – nieumarłego, którego klątwa wygnała z grobu, żeby karmił się krwią żywych.

Kiedy kapłani przynieśli mu półmisek z pieczonym udem muromskiej dziewczicy, z nową ochotą zabrał się do jedzenia.



– Stać! Wszyscy stać!

Krótko po świcie warty na suwarskich murach dostrzegły tuman kurzu nad równiną, na północny wschód od miasta. Po wiodącej z Bilaru drodze do

północnej bramy zmierzała liczna karawana – więcej niż tuzin wozów ciągniętych przez końskie lub wołowe zaprzęgi, gromadka pasterzy z małym stadkiem zwierząt, kilku pątników na osłach. Oczywiście, podróżnych chroniło kilku dobrze uzbrojonych strażników na szybkonogich rumakach. Taka liczebność karawany nie zaskoczyła miejskich wartowników – w tych wilczych okolicach podróżni i kupcy często łączyli się w wielkie gromady, aby zniechęcić bandy rozbójników, których bez liku czyhało przy drogach. Na szlakach prowadzących do miasta włączyły się gromady koczowników z południa – Kipczaków, Baszkirów, Pieczyngów – węszących w poszukiwaniu łatwej zdobyczy. Im większa była karawana, tym łatwiej przychodziło jej bronić się przed napastnikami. A ta gromada przyjeżdżała drogą, która łączyła Suwar z wielkim kupieckim miastem Bilar. Przewożono nią najwięcej towarów, dlatego też była najmniej bezpieczna. Podróżny, który wędrowałby nią na własną rękę, z góry skazywałby się na to, że jego nagie, dokładnie odarte z mienia zwłoki pożąra stepowi padlinożercy.

Stanowcze wezwanie Umara, przywódcy warty, zostało dodatkowo podkreślone przez lśniące ostrzegawczo groty włóczni w rękach siedmiu strażników, którzy stali przed bramą, wciąż jeszcze otwartą na oścież. Kolejne pół tuzina ludzi jastrzębim wzrokiem obserwowało karawanę z galerii i drewnianych wież w górze, na palisadach – byli uzbrojeni w łuki o dalekim zasięgu, gotowi w każdej chwili skropić przestrzeń przed wałem deszczem śmiertelności strzał.

– Umar? To ty, przyjacielu? – Zabrzmiało z wozu, który jako pierwszy z łoskotem wjechał na drewniany most na fosie. Tęgi mężczyzna z wygoloną czaszką i długą, czarną brodą, ubrany w drogi kaftan, wystawił głowę spod jaskrawej płachty.

Przywódca warty zmrużył oczy.

– Struma? – Poznał bogatego bilarskiego kupca. – Nie przypuszczałem, że to twój poczet. Każ swoim ludziom się zatrzymać. Już!

– Po co ten ostry ton, Umarze? – Brodaty handlarz zląkł z kozła. – Dzieje

się coś niezwykłego?

– Czy dzieje się coś niezwykłego? – Umar wymienił spojrzenia ze swoimi ludźmi i już po chwili rozległ się chóralny rechot. – Nie, wcale nie. Jeśli nie liczyć wojny Suwaru z Bułgarem, wszystko jest po staremu.

– Wojna, racja. – Struma pokiwał głową, aż jego zroszona potem czaszka załśniła w słońcu. – Z jej powodu tutaj jestem. Mało kto ma w tych czasach odwagę podróżować z towarem...

– Właśnie dlatego się dziwię, że cię tu widzę. Drogi są bardziej niebezpieczne niż zwykle...

– Właśnie o to chodzi, Umarze. Inni kupcy suszą towar w składach i piwnicach, tchórzliwie wyczekują w domu za piecem na rozwój wypadków, a ja w tym czasie działam. Handel zamiera, więc ceny idą w górę, a i tak wszystko schodzi na pniu.

– Ale z ciebie przechera, Strumo. – Przywódca warty wyszczerzył zęby. – Chcesz wycisnąć zysk ze strachu i biedy? Wzbogacić się dzięki parszywym czasom?

– Tak to już jest. Najwięksi bogacze dorabiają się właśnie w parszywych czasach. Znasz to: kto się waha, nie zre. A kto się nie waha, kąpie się w złocie. Proszę, przyjaciele, odłóżcie włócznie, pozwólcie nam przejechać.

– Nie tak zaraz. – Umar przestał się uśmiechać. – Otrzymaliśmy surowe rozkazy. Musimy dokładnie przeszukiwać i sprawdzać wszystkich, którzy przyjeżdżają do miasta. Rozumiesz, Suwar jest teraz osłabiony. Szpiedzy nieprzyjaciela i różni awanturnicy usiłują przedostać się na ulice, wykorzystać nieobecność wojsk chana.

– Pewnie, że rozumiem – przytaknął bilarzanin. – Ale jesteśmy przecież starymi znajomymi, Umarze. Jeżdżę na suwarskie targi już dziesięć lat, wiesz dobrze, że mój towar nie stanowi dla miasta żadnego zagrożenia. Nie handluję bronią ani niczym takim. Tym razem też wiozę sól, miód, wino, wołowinę, a tam, w klatkach na czterech wozach, wykarmione kury z

najlepszego chowu. Miasto będzie ich potrzebować na święto, kiedy posłańcy przywiozą wiadomość o wielkim zwycięstwie Mutahar-chana na północy...

– Nie mam powodu cię podejrzewać, jeśli chodzi o ładunek. Ale co z ludźmi, członkami karawany? Możesz za nich zaręczyć?

– Oczywiście. To tylko moi wozacy, kilku prostych pastuchów, tam na osiołkach wędrowny bajarz, muzykant i pustelnik, którzy przyłączyli się do nas w drodze, oczywiście też tuzin uzbrojonych strażników, jak zwykle. Chcesz zajrzeć pod płachty, Umarze? Możesz spokojnie zerknąć, o tu!

Przywódcą straży podszedł do pierwszego wozu i zatopił spojrzenie w cieniu. Struma grubą ręką, ozdobioną złotymi pierścieniami, wskazywał kilka dębowych beczek.

– Widzisz? Wino.

Kupiec skinął na wozaka. Barczysty chłop w skórzanej czapce i z chustką na twarzy, żeby się nie nałykać kurzu spod wołowych kopyt, odwrócił się posłusznie, chwycił jedną beczkę, po czym z łatwością wyciągnął ją na kozioł. W środku głośno zachlupotało.

– Najlepsze bilarskie czerwone. – Struma mrugnął do Umara. – Dla ciebie i twoich ludzi. Żeby wam było weselej i służba szybciej zleciała.

– Mam rozumieć, że to łapówka? – zapytał Umar, ale było widać, że tylko udaje surowość – już unosił kąciki ust w uśmiechu zadowolenia.

– No wiesz! – Wyszczrzył zęby Struma. – Co ty sobie o mnie myślisz? To tylko dar dla przyjaciela. Za gorące przywitanie w Suwarze. Nie wypada przecież przyjeżdżać w odwiedziny tak po prostu, z pustymi rękami!

Przywódcą straży uśmiechnął się. Gestem przywołał dwóch podwładnych. Z ochotą odłożyli włócznie i złapali za beczkę. Sporo wysiłku kosztowało ich podniesienie jej wspólnymi siłami, mimo że wozak Strumy przeniósł ją tak łatwo, jakby była wypełniona powietrzem.

– Gdybyście chcieli czymś zakąsić to winko – przymilał się kupiec – mogę poświęcić parę kur. Albo chociaż jajek, do smażenia...

– Nie trzeba. – Zarechotał Umar i poklepał tęgiego bilarzanina po ramieniu. – Możecie przejechać. Ale zapamiętaj: jeśli się dowiem, że ktokolwiek z twojej karawany dopuścił się w mieście jakiegokolwiek przestępstwa, będzie cię to kosztować więcej niż beczułkę czerwonego wina!

– Niech bogowie obdarzą cię za twą szlachetność długim życiem i męską siłą. – Struma uklonił się z wdzięcznością i zaskakująco zręcznie wdrapał się z powrotem na kozioł. Krzyknął na całą kompanię, by podążała za nim.

Rozległ się trzask biczów, tupot kopyt, okute koła wozów zadudniły o belki mostu. Orszak, przy wtórze parskania koni i beczenia bydła, zanurzał się w cieniu przejścia w masywnym wale.

– O włos – wychrypiał Struma po waresku, kiedy jego wóz wynurzył się po przeciwnej stronie. Kupiec westchnął głęboko. Otarł pot z twarzy rękawem wyszywanego kaftana.

- Nie przesadzaj, wszystko poszło gładko – wymamrotał wozak przez zakurzoną chustę. – Jeśli rzeczywiście jest tak, że kupiec musi umieć kłamać, ty musisz być najzdatniejszym handlarzem w całym biegu Itilu.

Wóz na czele karawany nie oddalił się jednak od bramy nawet na dziesięć sążni, kiedy od wału odbiło się echo głośnego tętentu kopyt. Struma drgnął, jakby go ukłuł szerszeń.

Szeroką ulicą spieszyli ku nim trzej jeźdźcy. Ciemne płaszcze powiewały nad końskimi zadami. Na puklerzach, przymocowanych do kolczug na piersiach, z daleka lśniły symbole czarnego smoka. Śmiertelna bladość, która wyssała Strumie krew z twarzy, stanowiła dowód, że spełniły się jego najgorsze przeczucia.

– Baghaturowie – wyszeptał kupiec przez ściśnięte gardło.

– Kto? – warknął wozak.

– Strażnicy Zilantawu. Osobista gwardia Tugarina. Niech nas Tangra i Allah mają w swojej opiece!

Złowroga trójka zagroziła karawanie drogę. Wozacy Strumy znowu

musieli ściągnąć lejce. Strażnicy karawany pospieszyli na czoło orszaku. Częstowali sługi smoka spojrzeniami ostrymi, jednak pełnymi niepokoju. Bystrzejsze oczy spostrzegłyby, jak pod płaszczami i za tarczami nałożonymi na lewe przedramiona strażnicy ukradkiem przesuwają ręce w kierunku broni.

– Z rozkazu najwyższego kapłana Tugarina, syna czarnego smoka – huknął z wyższością jeden z baghaturów – nikomu obcemu nie wolno dziś wjechać do świętego miasta Suwaru! Bramy zostaną natychmiast zapieczętowane!

– Pokornie proszę o chwilę zwłoki, smoczy wojownicy! – zawołał Struma. Starał się opanować drżenie głosu, ale nie bardzo mu to wychodziło. – Moja karawana jest już prawie w środku. Już tylko parę wozów i krów, a zjedziemy wam z drogi. Potem możecie zamknąć bramę...

– Nie zrozumiałeś, barani łbie?! – burknął posłaniec Tugarina. – Nikt obcy nie może tu wejść! Ta twoja śmierdząca gawiedź – omiół karawanę pogardliwym spojrzeniem – ma natychmiast zawrócić i wynosić się z miasta! Bez chwili zwłoki, bez wymawiania się! Syn smoka wydał rozkaz i nie ścierpi żadnego oporu! Słyszeliście, psy! Wynocha tam, skąd przyszliście!

Z gołej czaszki Strumy spływały krople potu wielkie jak groch.

– Litości, szlachetni baghaturowie! Jesteśmy przecież prostymi kupcami i podróżnymi, przywieźliśmy wino i jadło...

– Gównu mnie obchodzi, coście za jedni! – szczeknął baghatur i sięgnął po szablę. – Żadna obca zgraja nie wjedzie do miasta! Zawrócić wozy i zmiatać w step! Już! Inaczej posiekamy was na kawałki, klnę się na Arkliga!

W pełnej napięcia ciszy, która zagościła po jego słowach, zabrzmiało dudnienie kopyt. Między strażnikami karawany przejechał osioł. Na jego okrytym derką grzbiecie jechał obdarty garbus. Dziwny jeździec jak gdyby nigdy nic minął wóz Strumy i zajechał przed rozgniewanych baghaturów. Przy każdym kroku długoucha rozlegało się brzęczenie, jakby kopytka były podkute, jakby nie należały do chudego osiołka, ale do rosłego rumaka.



– Wracaj, głupcze! – syknął na niego Struma. – Wracaj, inaczej skrócą cię o głowę!

– Taka prędką śmierć byłaby zaszczytna – warknął wódz baghaturów. Powoli wydobył z pochwy u pasa szablę. Klinga zgrzytnęła ostrzegawczo.

– Jeśli natychmiast nie usłuchacie, na waszych oczach, dla postrachu, rozpruję brzuch tego obdartusa!

Biedak zeskoczył z osiołka w kurz drogi. W chudych, sękatych palcach trzymał obłupaną, dziwnie skreconą laskę.

– Nie zrozumiałeś, szczurze? Zejdź mi z oczu, inaczej zdechniesz w okrutnych męczarniach!

– Nie zabijaj go, panie! – zawołał jeden z najemnych strażników karawany. W odsłoniętym kawałku twarzy, widocznym między chustą chroniącą od kurzu a skórzaną czapką, jaką zwykle nosili koczownicy, błyszcząły ciemne, lekko skośne oczy. – To wędrowny pustelnik. Tacy ludzie rozmawiają z bogami i znają rozmaite zaklęcia. Jeśli odbierzesz mu życie, może ci to przynieść pecha. Chcesz żyć z klątwą na karku?

– Ty skurwysynu – odparł baghatur, szczerząc zęby ze złości. – Grozisz nam czarami wszawego włóczęgi? Jak śmiesz? Jesteśmy sługami wielkiego Tugarina, w naszych żyłach krąży smocza siła Zilanta! Wsiowe czary-mary wam nie pomogą...

Wędrowiec prędko uderzył dolnym końcem kostura w udeptaną powierzchnię ulicy. Błysnęło króciutko, prosto w twarze baghaturów. Odgłos uderzenia zagłuszył resztę przemowy jeźdźca.

W ciszy zaparskały zdeorientowane konie. Zmarszczki na twarzach sług najwyższego kapłana wygładziły się. Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywali się pod potargany kaptur wędrowca, jakby wreszcie dostrzegli jego ukrytą w cieniu twarz i nie potrafili oderwać od niej wzroku. Ten, który dobył szabli, opuścił rękę.

– Co tu się dzieje? – zabrzmiał głos Umara. Przywódca warty spieszył

wzdłuż rzędu wozów, jeźdźców i muczących krów na czoło karawany. Kiedy tylko zauważył trzech zbrojnych z czarnymi smokami na piersi, zmrużył oczy. Straż miejska podlegała władzy tarkana, zarządcy Suwaru. Jej członkowie nie byli zbyt radzi, gdy poplecznicy najwyższego kapłana wywyższali się i zmuszali ich do wypełniania rozkazów Tugarina. – Coś nie w porządku?

Struma i strażnicy karawany spojrzeli pytająco na baghaturów. Gdyby ktoś przyjrzał się uważniej, dostrzegłby w źrenicach sług Zilanta coś, co przypominało srebrne kuleczki – jakby w ich oczach stężały resztki czarodziejskiej błyskawicy.

– Nie, nic się nie stało – odparł zaskakująco spokojnym głosem przywódca trójki wojów. – Wieziemy rozkazy od najwyższego kapłana. Bramy mają zostać zamknięte. Od tej chwili nikt obcy nie wjedzie do miasta.

– A ci tutaj? – Umar wskazał ludzi i wozy Strumy.

– I tak są już w środku. Najważniejsze, żeby zjechali z drogi. Umar popatrzył na Strumę.

– Słyszeliście? Jedźcie. Znikajcie. Prędko, już was tu nie ma!

Zmartwiały ze strachu kupiec tylko kiwnął głową. Plasnął lejcami bez chwili zwłoki. Karawana ruszyła, ulicę znowu wypełnił tupot kopyt i łoskot wozów. Baghaturowie ustąpili z drogi. Nieprzytomnie spoglądali na orszak, płynący tuż przy nich. Kiedy już minęli ich ostatni pasterze pędzący stado krów, jeźdźcy potrząsnęli głowami, spojrzeli w stronę strażników bramy i znów zaczęli wyszczekiwać rozkazy.

– Dopiero teraz – odezwał się wozak na koźle pierwszego wozu – było o włos. O cieniutki włos z dziewiczego łona.

Struma nie odpowiedział. Siedział jak przybity do wozu, w wytrzeszczonych oczach ciągle jeszcze malowała się zgroza, a pot lał się strumieniem z brwi i czubka nosa.

– Nie mogę w to uwierzyć – śmiał się spod chusty na twarzy jeden ze

zbrojnych strażników karawany. – Ta sama głupia sztuczka, której użyliśmy wtedy w Muromiu. I znów się udało!

– Znów? – Spojrzał na niego wozak siedzący koło Strumy. – Nas w Muromiu nie oszukaliście. Przejrzałem was, Mikuło, nie pamiętasz?

– To prawda – odezwał się pątnik, chwiejący się na grzbiecie chuderlawego osła. – I tym razem też niewiele brakowało. Módlcie się, żeby Drakowicz nie wychwycił moich czarów.

Ilja smagnął lejcami wołowe grzbiety.

– Zacząłem nieźle trząść rzycią, kiedy się zjawiło tych trzech łotrów ze znakiem czarnego smoka na piersi. Gdybyś się nie wtrącił, Wołchu, w uliczce przed bramą chlupotałoby teraz krwawe błoto. Jak myślisz, to ogłupienie będzie długo trwało? Czy te kanalie nie opamiętają się po jakimś czasie, nie przejrzą naszego podstępu i nie uderzą na nas po wezwaniu posiłków?

– Mam nadzieję, że czar jakiś czas wytrzyma. Przynajmniej dopóki nie zaczniemy działać.

– Mieliśmy piekielne szczęście – westchnął ciemnooki najemnik.

– Gdzie tam piekielne, synu emira. – Z tyłu przykłusował do nich kolejny uzbrojony jeździec. – Raczej boskie... Hej, wy tego nie czujecie? Co to za smród?

Zaczęli węszyć i w miarę jak odwracali nosy w kierunku źródła zapachu, ich spojrzenia stopniowo zatrzymywały się na Strumie.

– Tak – przyznał słabym głosem bilarski kupiec. – To ja.

– Zesrałeś się? – Mikuła pokręcił nosem.

– Zesrałem. I nie wstydzę się tego. Wiecie, co by z nami zrobili czciciele Zilanta, gdyby odkryli, kim jesteście? Przypomniała mi się tylko część opowieści, które słyszałem o ich okrucieństwie, i od razu miałem pełne gacie. Wyleciało ze mnie nawet to, co jadłem parę dni temu w domu w Bilarze. Niech będzie przeklęty dzień, w którym was spotkałem, kijowskie wilki! Nie

mogliście w stepie trafić na karawanę jakiegoś innego nieszczęśnika?

Bohaterzy roześmiali się cicho.



„Pod ognistym źrebem” nie był pierwszą lepszą zapchlona, zadymiona, śmierdząca tanimi napitkami, moczem i rzygowinami karczmą. Zajazd miał opinię najlepszego w Suwarze, a może nawet nad całym Itilem. Piętrową budowlę z kamienia i cegły, z własną stajnią, łaźnią, ogrodem i wielkim podwórzem z tyłu, chronił wysoki mur. Karczma zazwyczaj nie gościła biednych ani nawet średnio zamożnych podróżnych. Chłopi, pasterze, wozacy ani rybacy nie pili tutaj rozrzedzonego wina. Nie było tu tanich dziewczek, które za srebrniaka oferowały wszystkie rozkosze świata i wszystkie gatunki wszy. Tutaj nocowali szlachetnie urodzeni podróżni i najbogatsi kupcy, nie tylko znad Itilu, ale też z państwa Chazarów, dalekiej Arabii, Carogrodu, a nawet z ziemi Waregów. Dobijali targu, jedząc wyśmienite potrawy, a najpiękniejsze tancerki, falując brzuchami, dotrzymywały im towarzystwa. Z ręki do ręki przechodziły całe skrzynie złota i góry drogocennych towarów.

Ktokolwiek zawitał do zajazdu, musiał koniecznie skosztować słynnego miejscowego przysmaku. O tutejszych gołębiach w śmietanie z jagodami wędrowni gęślarze układali pieśni pochwalne. Mirtimer, właściciel karczmy, hodował te ptaki w wielkim gołębniku na tylnym podwórzu, koło stajni i regularnie czyszczonych chlewów. Mało kto zdawał sobie jednak sprawę, że w jednej z klatek gruchają gołębie, które nie są przeznaczone na pieczeń. Nie były to ptaki z tutejszego chowu. Zostały przywiezione z Bułgaru. Kiedy Mirtimer wypuszczał któregoś z gołębi, ten zmierzał prosto na północ, do domu, do gołębnika w pałacu emira Ahmeda. Zawsze niósł ze sobą pudełeczko z maleńkim zwitkiem zapisanym drobnym pismem.

Mirtimer był szpiegiem. I to dobrym. Nie było lepszego miejsca do podsłuchiwania wszelkich plotek oraz tajnych wiadomości niż karczma.

Mirtimer żył jednak w wielkim strachu. Dzięki swej sławnej gościnności, łapówkom i sprytnie zasłyszonym wieściom cieszył się przyjaźnią wszystkich znacznych ludzi w mieście, niestety, z wyjątkiem Tugarina. Najwyższy kapłan nie przyjaźnił się z nikim, nie był zamieszany w łapówkarstwo, nie dawał się szantażować, nie należał do żadnej klikii politycznej. Dlatego Mirtimer wiedział, że jeśli jego działalność zostanie odkryta i do jego drzwi załomocą baghaturowie, nie pomogą mu ani znajomi na wysokich stanowiskach, ani gołębie w śmietanie z jagodami. Nic mu nie pomoże. Sam stanie się smacznym kąskiem. Oprawcy starannie przyrządzą go na torturach według specjalnego przepisu, po czym zaserwują czarnemu smokowi.

Kiedy więc w środku tego słonecznego przedpołudnia na ulicy za gościńcem zabrzmiało dudnienie kopyt, po czym ktoś załomotał pięściami w bramę tak niecierpliwie i mocno, aż się zatrzęsła, Mirtimer ze strachu omal nie zleciał z drabiny pod gołębnikiem.

– Już idę! Już biegnę! – wołał, spiesząc ku bramie i myśląc o tym, że jego dni są policzone. – Kto tam?

– Nie pytaj! Natychmiast wpuść nas do środka!

Kiedy z pomocą czekającego zawsze w pogotowiu pachółka wyciągał z zawiasów ciężką zaworę, był pewien, że następnymi wrotami, jakie w życiu ujrzy, będą zakratowane drzwi śmierdzącego padliną lochu gdzieś w siedzibie czcicieli Zilanta.

Kamień spadł mu z serca, kiedy zobaczył znajomą twarz.

– Struma? To ty? Na bogów, już myślałem... Do czorta, co to tak cuchnie?

– Mówię przecież, żebyś o nic nie pytał. Wpuść nas do środka, potem wszystko pozamykaj. Dzisiaj nie otworzysz zajazdu.

– Co? Dlaczego? Co się...

Mirtimer połknął resztę pytania, ponieważ w tej chwili jeden ze strażników karawany zeskoczył koło niego z siodła i zdjął z twarzy zakurzoną chustę.

Gospodarz tak wytrzeszczył oczy, że niemal wypadły z oczodołów.

Opanował się siłą woli.

– Następca tronu...

– Milcz. Usłyszysz nas jedno niepowołane ucho i będzie po nas.

– Rozumiesz już? – Struma odepchnął karczmarza. Skinął na ludzi z karawany, żeby czym prędzej przemieścili się z ruchliwej ulicy na podwórze zajazdu.

Przez cały czas, kiedy przez bramę wlewał się potok wozów i podróżnych, Mirtimer nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Odezwał się dopiero w chwili, kiedy brama się zamknęła i jeden z nieoczekiwanych gości, jakiś obdarty włóczęga, podniósł żebraczy kostur. Podwórze załało nienaturalne światło, a rzeczywistość zaczęła falować i rwać się na strzępy. Krowy i osły – wprost na oczach Mirtimera – zmieniały się w rosłe rumaki, pasterze, wędrowcy i wozacy w barczystych bohaterów, a zwykłe kije we włócznie i miecze. Dopiero wtedy z gardła karczmarza wydobyło się jedno wyszeptane słowo.

– Allah...

Oczywiście, czcił mahometańskiego Boga potajemnie – w Suwarze wyznawanie nowej wiary uważano za zdradę i okrutnie karano. Mirtimer w duchu poprosił Allaha, żeby to wszystko okazało się złym snem. Na próżno jednak szczypał się w otłuszczone przedramię. Nie obudził się, koszmar nie chciał się skończyć.

Przyszło mu do głowy, że może nie byłoby żadnej różnicy, gdyby przez bramę na tylne podwórze wjechali Tugarinowi kaci.



– To ona – burknął Jegor, kiedy wyszedł na wyłożony polerowanym kamieniem taras zajazdu. – Suwarska smocza wieża.

– Zilantaw – potwierdził Ilja. Już od jakiegoś czasu stał nieruchomo w cieniu, który rzucały na taras rzeźbione kolumny podpierające daszek. Założył ręce na szerokiej piersi, czoło miał zmarszczone, a powieki

zaciśnięte, jakby myślami był gdzieś bardzo, bardzo daleko. – Przeklęte gadzie gniazdo.

Spoglądali wprost na pagórek w północno-wschodniej części miasta, widoczny między spiczastymi koronami dwóch topoli, wznoszących się nad ogrodowym siedziskiem przed „Ognistym źrebcem”. Prosta, kamienna budowla, u dołu wyraźnie szersza, majestatycznie i zarazem złowieszczo wznosiła się ponad dachami niskich budynków na kamienistym stoku.

– Mór i cholera! Już na pierwszy rzut oka widać, że to raczej paskudne miejsce – do dwójki przyjaciół dołączył Alosza. Kiedy tak stanął między barczystymi bohaterami, wydawał się przy nich aż śmiesznie mały, wręcz wątki, mimo że zdecydowanie nie był mizerotą. – Wy też to widzicie, czy tylko mi się wydaje? Jest południe, na niebie nie ma ani jednej chmurki, miasto kąpie się w Dadźbogowej jasności, ale na tym czarodziejskim wzgórzu jakby zaległ jakiś cień czy co...

– Nie wydaje ci się, Książewiczu. – Mikuła oparł na jego ramieniu swoją niedźwiedzią łapę. – Ja też to widzę. Czemu się dziwicie? Od chwili gdy wyruszyliśmy z Kijowa, na każdym kroku natykamy na wieści o czarnym smoku i jego barłogu. Jakby w podziemiach tej wieży było źródło wszelkiego zła, które kiedykolwiek zdarzyło się w dolinie Itilu. Dziękuj bogom, Iljo, że twoja miła skończyła tylko w ramionach innego mężczyzny, a nie w kryjówce potwora.

Muromiec poczęstował Sielaninowicza spojrzeniem pełnym wyrzutów. Nie był wdzięczny Mikule, że właśnie teraz przypomniał mu o Dinarze. Od przyjazdu do Bułgaru widział ją tylko raz – kiedy wcześniej rano gotowali się do drogi w wareskim obozie na zachodnim brzegu. Dziewczyna, głośno łkając, z twarzą zalaną łzami, uwiesiła się na szyi Bragięgo Halvorssona. Nawet nie spojrzała na Ilję – za to helgardzki konung dostrzegł, że młodzieniec wpił wzrok w jego żonę, więc odpowiedział spojrzeniem tak nieprzyjaznym, że Muromiec wolał skierować oczy w inną stronę. Dobrze, że Bragi pociągnął z głównym wojskiem, przynajmniej ich drogi na jakiś czas

się rozeszły.

– Tutaj nie chodzi tylko o moją... o tę dziewczynę. – Westchnął Ilja. – Czeremisi porwali i powlekli w pętach wiele innych dziewcząt z Karaczarowa i dalszych wiosek nad Itilem, Oką i Kłaźmą. Wszystkie te biedaczki skończyły zapewne w tamtej wieży.

– Co do tego masz rację – Mirtimer odezwał się, stojąc w ocienionym miejscu za ich plecami. – Widziałem na własne oczy. Przed kilkoma dniami Czeremisi przyплыnęli tą swoją potworną, czarną łodzią z burtami obwieszonymi ludzkimi głowami. Przywieźli ze dwa tuziny dziewcz. Ślicznych, na mą duszę, za którąkolwiek z nich chętnie zapłaciłbym dwadzieścia złotych monet, ale nie było okazji. Czeremisi nie powlekli ich na targ niewolników, ale do swego pana, do Zilantawu. To oznacza, że już nikt ich nie zobaczy.

– Chcesz powiedzieć – spojrzał na niego Jegor – że w tej chwili wszystkie nie żyją?

– Hm. Tego znów taki pewny nie jestem. – Karczmarz podrapał się po brodzie. – W minionych latach już dawno stałyby się pokarmem czarnego smoka, żeby bestia się nasyciła i spała dalej, tylko że tym razem Tugarin ma inne plany. W całym Suwarze się szepcze, że pozwoli Zilantowi przebudzić się do końca i wyleźć z podziemi...

– Niewolnice mogą więc być jeszcze żywe – uradował się Ilja.

– To nie jest wykluczone – przyznał Mirtimer.

– Możemy wrócić do naszego prawdziwego zadania? – Z komnaty dobiegło niecierpliwe warknięcie. Bohatryzy odwrócili się. Hassan ibn Ahmed, trzymając dłoń na rękojeści szabli kiwającej się u jego boku, przechadzał się po pomieszczeniu tam i z powrotem, jak lampart w klatce. – Pamiętajcie, że nie przybyliśmy tu po to, żeby oswobadzać panny ze smoczych szponów. To nie jest żadna stara pieśń o bohaterach. Naszym zadaniem jest zlikwidowanie Tugarina. I to zanim jeszcze poszczuje smoka



na nasze wojsko. Jeśli zawiedziemy, waszych i moich rodaków czeka straszliwa klęska, a chan Mutahar odniesie miażdżące zwycięstwo...

– Uspokój się, następco tronu. – Wołch, siedzący na stołku i trzymający Malachitowy Kostur oparty o ramię, podniósł głowę. – Do zachodu słońca musimy pozostać w ukryciu. Do tego czasu wymyślimy, jak przedostać się do smoczego barłogu. Gospodarzu, ty wiesz o nim najwięcej. Całymi latami ukradkiem obserwujesz Zilantaw. Masz dla nas jakąś radę?

– Pewnie, że mam – przyznał Mirtimer z kurczowym, jakby szaleńczym uśmiechem, który od czasu do czasu pojawiał się na jego twarzy – zapewne zawsze wtedy, gdy dopadała go świadomość, w jakiej znalazł się sytuacji. – Nie róbcie tego! Wszyscy zginiecie straszliwą śmiercią! I my, którzyśmy wam pomagali, też...

– Milcz, tchórze – ofuknął go Hassan. – Pamiętaj, że jesteś sługą bułgarskiego emira. Kiedy tu tak skamlesz jak zbity pies, przynosisz wstyd swojemu panu!

Karczmarz połknął dalsze narzekania, wziął głęboki wdech i skinął głową.

– Masz rację, panie. Wybacz. Co dokładnie musicie wiedzieć o smoczjej wieży?

– Wszystko – powiedział Wołch. – Zaczynij od liczebności straży.

– Dobrze... Baghaturów jest około pięćdziesięciu. Wszyscy to dobrze wyćwiczeni, okrutni wojownicy. Przy tym fanatycznie oddani Tugarinowi i Zilantowi.

– Pięćdziesięciu? – powtórzył w zamyśleniu Jegor, który wraz z resztą bohaterów wrócił z tarasu do komnaty, do czasz z drogim winem. – To niewielka przewaga.

– W dodatku weźmiemy ich z zaskoczenia. – Zapalił się Mikuła. – Wpadniemy tam jak wilki do zagrody i...

– To jeszcze nie wszystko – przerwał mu Mirtimer. – Oprócz baghaturów na świętym wzgórzu mieszka jakiś tuzin niższych kapłanów...

- To nie są dla nas żadni przeciwnicy – parsknął Hassan.
- ...i prawie trzydziestu Czeremisów. Drużyna Styrwita.
- Styrwit?

Wszyscy spojrzeli na Ilję. Wypowiedział to imię, jakby mówił o niezwykle paskudnej, zaraźliwej, śmiertelnej chorobie. Miał skrzywione wargi, a z jego oczu wyczierała zimna nienawiść. Ciągłe jeszcze bolał go ponizający cios baranią kością, którym olbrzymi wojownik z pogardą obalił go na ziemię.

– Już spotkałeś tych Czeremisów, Muromcze – stwierdził Wołch. – Powiedz, co to za jedni?

- Synowie parszywych psów, ohydna zaraza, gnidy...
- Na pewno, ale ciekawi nas raczej, jacy są w boju.

Ilja wziął głęboki wdech i rozgniół złość między zgrzytającymi zębami.

– Dzicy i okrutni. To mordercy, którzy ze spokojem poderzną gardło noworodkowi...

– Nie pamiętacie, jakie pobojuwisko zastaliśmy w rodzinnej wiosce Ilji? – Zasepił się Mikuła. – Zamordowali wszystkich, których nie zabrali w niewolę. Kobiety, dzieci, starców. Stale jeszcze mam tę grozę przed oczyma. Mówicie, że spotkamy tych skurwysynów tutaj w Zilantawie? Doskonale! Chętnie pošlę kilku w ogniste piekło!

– Będziesz musiał się ze mną podzielić, bracie – zamruczał Jegor, którego spojrzenie pod wpływem wspomnienia też stało się mroczne. – Jeśli dobrze rozumiem, Czeremisi nie będą słabszymi przeciwnikami niż baghaturowie. To oznacza, że razem będzie niemal osiemdziesięciu nieprzyjaciół. Hm. Najpewniej czeka nas ciekawa i pracowita noc.

– Najpierw musimy się dostać do środka. – Hassan wrócił do pierwszego pytania, na które ciągle jeszcze nikt nie udzielił odpowiedzi. – Jeśli mnie wzrok nie myli, Zilantaw chroni osobny mur...

– Właśnie tak – potwierdził Mirtimer. – Całe wzgórze jest otoczone umocnieniami. I wcale nie z ziemi i zaostrzonych pali, jak te miejskie, ale

murem z ciężkich kamieni, wysokim na niemal cztery sążnie. Dobra wiadomość jest taka, że wokół nie ma rowu. Za to mur jest we dnie i w nocy dobrze strzeżony. Mniej więcej co trzy czwarte gonu wznosi się wieża strażnicza. Na każdej czuwa dwóch baghaturów...

– Przy bramie słyszeliśmy, że Tugarin kazał wzmocnić strażę – przerwał mu Wołch. – Musimy się więc liczyć z tym, że na murach Zilantawu też będzie więcej ludzi. Którędy można się tam dostać?

– Jest jedna jedyna brama, zwrócona na południowy zachód – odparł karczmarz. – Poza tym nic, wszędzie lity mur.

– Żadnych słabych punktów? – Zasepił się Hassan. – Na przykład jakiś odcinek, który jest strzeżony mniej uważnie?

Mirtimer pokręcił głową.

– Tak jak mówiłem, strażę są rozmieszczone równomiernie. Poza tym na całym obwodzie umocnienia są oddzielone od reszty miasta szeroką niezabudowaną przestrzenią. Nie ma szans, by przemknąć niepostrzeżenie pod same mury. Może tylko w jednym miejscu...

Bohaterzy zaostrzyli uwagę i nieświadomie skłonili głowy ku mówiącemu.

– Mów – rozkazał Hassan.

– Po zachodniej stronie, pod ścianą, biegnie kanał.

– Co tam jest? – Nie rozumiał Mikuła.

– Kanał. – Mirtimer spojrzał na niego ze zdziwieniem. Kiedy napotkał niezmiennie pusty wyraz twarzy, dodał: – Kloaka. Ściek.

– Jak to wygląda? Do czego służy?

– Ty wiejski matole! – wybuchł Jegor i tak zdzielił Mikułę łokciem, że Sielaninowicz się zatoczył. – Znowu musisz wszystkim pokazywać, z jak zapadłej dziury pochodzisz? Naprawdę nie masz pojęcia nawet o podstawowych urządzeniach cywilizowanego świata?

– Nie obrażaj mnie, siwy łbie. – Mikuła oddał mu szturchaniec, który wątlejszemu człowiekowi złamałby żebro. – Wiesz, gdzie możesz sobie

wsadzić to twoje wieczne mamrotanie o cywilizowanym świecie? O ile wiem, nawet w Kijowie nie mamy tego... no... jak to się nazywa?

– Kanał – cierpliwie powtórzył Mirtimer. – Służy do usuwania wszelkich nieczystości z miasta wprost do rzeki.

– Rozumiesz już, gamoniu? – Nie odpuszczał Jegor. – Tutaj ludzie nie szczają na każdym rogu, jak u was w domu, ani nie wypróżniają się do dziur wykopanych za chałupą, względnie w pokrzywy na miedzy sąsiada. Murowane koryta odprowadzają cały brud do rzeki. Widziałem to w Carogrodzie, mieli tam całą sieć takich kanałów, pięknie schowaną w podziemiach, żeby te wszystkie gówna nie drażniły szlachetnie urodzonych nosków...

– W Carogrodzie, w Carogrodzie – powtarzał uszczypliwie Mikuła. – Raz w życiu byłeś w Carogrodzie i myślisz sobie, że widziałeś wszystkie cuda świata i pojadłeś wszystkie rozумы. Jak długo będziemy musieli tego słuchać?

– Możecie przestać? – syknął Wołch i zwrócił się do Mirtimera. – Mów dalej, karczmarzu.

– Jak powiedziałem, pod zilantawskim murem jest otwór, przez który wypływają nieczystości. Po mieście krążą straszne opowieści o tym, jakie rzeczy pływały w ściekach ze smoczej wieży. Ludzie widzieli... – Karczmarz odkaszlnął, jakby usiłował powstrzymać mdłości. – Tak czy siak, otwór jest zakratowany.

– Możemy wyłamać kraty – rzucił Ilja.

Mirtimer wyjął wargi w grymasie zwątpienia. Parsknął.

– Przypuszczam, że zaprawa może być zniszczona przez wodę i te wszystkie paskudztwa, które wyciekają z Zilantawu, ale i tak... Musielibyście zaprząć parę wołów, żeby wyrwać kraty.

– Albo chłopą, który jest silny jak para wołów. – Wołch ukradkiem mrugnął do Ilji. – Zobaczymy. To jedna z możliwości. Najważniejsze, że

kanalem można dostać się niepostrzeżenie aż do bramy.

– Jeśli wam nie przeszkadza, że będziecie się taplać w najohydniejszym świństwie, jakie tylko możecie sobie wyobrazić. – Mirtimer pokręcił nosem, jakby już teraz cuchnęli ściekami.

– Czy spróbujemy wyłamać kratę, czy wspiąć się po murze, nie uda nam się uniknąć hałasu – Hassan myślał na głos. – Myślę, że bezpośrednio nad tym śmierdzącym kanałem na murach nie będzie zbyt wielu strażników, ale i tak...

– To prawda. – Wołch wziął między palce końcówki swoich czarnych wąsów. Zaczął je w zamyśleniu skubać. – Postaram się wymyślić zaklęcie maskujące, ale i tak przydałoby się coś, co odwróci ich uwagę.

– Pożar. – Wpadł na pomysł Jegor. – Piękny, wielki pożar, szerzący się od domu do domu. Spowoduje zamęt, zajmie całą straż miejską. Pamiętajcie, że jeśli w Zilantawie rozpęta się walka, na pomoc Tugarinowi przybiegną też wszystkie straże z ulic, murów wewnętrznych czy z pałacu Mutahara. Nie zawadzi dać im inne zajęcie.

– Pożar to dobry pomysł. – Przyłączył się Alosza Książewicz. – Po zmroku znajdę sobie dobre miejsce gdzieś wysoko i pošlę parę strzał zapalających...

– Nie. – Pokręcił głową Wołch. – Nie możemy polegać na przypadku, musimy dokładnie wiedzieć, co się zapali. Potrzebny nam jeden porządny, pewny, z daleka widoczny pożar...

– Może pałac chana? – zaproponował Mikuła. – Albo któraś świątynia? Mielibyśmy pewność, że zbiegnie się tam całe miasto...

– Szaleństwo. – Mirtimer pokręcił głową. – Pałac i świątynie są otoczone murami i strzeżone tak samo dobrze jak Zilantaw...

– Mam lepszy pomysł. – Ilja wystąpił do przodu. – Wiecie, co się dobrze pali? Napitki.

W izbie zagościła grobowa cisza. Karczmarz podniósł głowę, stopniowo oddał wbite w niego spojrzenia stojących wokoło bohaterów. Przełknął ślinę.

– Ja... mam tu prawie samo wino... Ono się wcale nie pali...

– Nie mów, że nie masz w piwnicy paru beczek okowity. – Jegor złowieszczo wyszczerzył zęby.

– Czego?

– Palenki, gorzały, czegoś mocniejszego. Na pewno znajdzie się tego dość, żeby cały zajazd w mgnieniu oka zniknął w pięknym niebieskim płomieniu.

– To... nie możecie mi tego zrobić... – wykrztusił Mirtimer. – Całymi latami wiernie służyłem wielkiemu emirowi... A teraz mam wszystko stracić?

– Posłuchaj dobrze. – Pochylił się ku niemu Hassan. – Po tym, co zamierzamy tu rozpętać dzisiejszej nocy, nie będziesz mógł dłużej pozostać w Suwarze. Miejscowi domyślą się, że przyjechaliśmy z karawaną Strumy. Mnóstwo ludzi widziało, jak wjeżdża na twoje podwórze. Musisz stąd uciec. Do wieczora spakujesz wszystkie kosztowności i wyruszysz w jakieś bezpieczne miejsce. Kto wie, może za parę dni wrócisz ze zwycięską bułgarską armią. Zaczнешь wszystko od nowa. Ogień nie strawi ścian z kamienia, poczekają tu na ciebie. W dodatku emir nie zapomni o twoim oddaniu i pomocy. Kiedy będzie dzielić łupy, otrzymasz taką nagrodę, że stary zajazd będzie ci się wydawał schronieniem dla żebraków w porównaniu z nowym, który wybudujesz tu w ciągu roku.

Mirtimer jak odurzony patrzył w ciemne oczy syna władcy. Twarz karczmarza, skrzywiona w grymasie rozpacz, stopniowo odzyskiwała normalny wyraz. Następcą bułgarskiego tronu w widoczny sposób zagrał na jego najczulszej strunie – handlowej.

– Koniec końców – odezwał się wreszcie – kiedy żąda tego Allah...

– Nie ma Boga prócz niego. A ty jesteś jego pokornym sługą, czyż nie?

– Tak... Mam zapas łatwopalnego oleju do lamp. I wielką beczkę z palenką, chyba ze Smoleńska, kupiłem ją kiedyś od drużyny Waregów. Nazywali te diable szczyny krywickim słowem wódka, jakby to była czysta

woda z górskiego strumienia. Wypiłem tylko jeden łyceczek, a potem przez cały dzień nie czułem smaku jadła.

Jegor roześmiał się na cały głos, czym ściągnął na siebie pytające spojrzenia.

– Wódka ze Smoleńska? – Szczyrzył się szpakowaty bohater. – Piłem ją czasami, jeszcze w domu na Świętej Górze. Możecie mi wierzyć, będzie się paliła, jakby pod zajazdem samo piekło otwarło swą ognistą paszczę.



Nad bezkresnymi, trawiastymi równinami, które ciągnęły się od Itilu na wschód, w stronę miast Suwar i Bilar, prędko zapadał zmrok. Dadźbóg na swoim słonecznym źrebcu – albo Tangra na niebieskim byku Obuzganie, w zależności od tego, którym bogom kłaniał się ten, kto obserwował zachód słońca – znikł już za niebieskawym grzebieniem daleko na zachodzie, a Zorza Wieczorna zamknęła za nim niebieską bramę. Nad stepem zaczynały migotać płomyki gwiazd.

Zupełny brak wiatru sprawił, że wieczór był gorący i duszny. Niezwykle duszny, nawet biorąc pod uwagę obecną porę, czyli szczyt lata. Na błoni, na północ od koryta wyschniętej rzeki Toktü nic się nie poruszało, nie zachwiało się nawet źdźbło trawy. Tylko szczebioczący ptak mignął na tle ciemniejącego nieba, szukając na noc schronienia w gałęziach krzewów albo w koronach drzew, które miejscami sterczały samotnie z oceanu trawy.

W wieczornej ciszy rozległ się tupot kopyt. Nad ciemieniem wzgórza, mniej więcej półtorej wiorsty na północ od Toktü, pojawiły się dwie żerdzie, chwiejące się w rytm końskiego kłusu. Jedna niosła bogaty tug ze złotym półksiężycem i sokołem, druga proporzec z wizerunkiem topora Peruna i dwugłowego ptaka bogów Simargła.

Na szczycie zatrzymała się grupa jeźdźców. Książę Światosław Ingwarsson, emir Ahmed ibn Dżafar, wojewoda Sweneld Sigurdsson, konung Bragi Halvorsson, młodziutcy i żądni bitewnej sławy synowie emira – Talib i

Mumin, i jeszcze kilku bojarów, naczelników plemion i wodzów.

Stojąc w milczeniu, przyglądali się oddalonemu korytu rzeki. Na jego przeciwnym brzegu migotały obozowe ogniska. Tuziny, ba, setki watr – jakby nie było tam stepu, ale ogromne jezioro, w którego ciemnej powierzchni odbija się gwiazdziste niebo.

Przez jakiś czas żaden z jeźdźców nie odezwał się ani słowem. Nie było takiej potrzeby – bardzo dobrze wiedzieli, na co patrzą. Wiedzieliby, nawet gdyby zwiadowcy na szybkich koniach nie przynieśli im jeszcze przed zmrokiem drobiazgowych sprawozdań o pozycjach nieprzyjaciela.

– To prawda – odezwał się w końcu Ahmed ibn Dżafar. – Przygotowują się do obrony. W gęstniejącej szarości złowieszco zabłysło jedyne oko Swenelda.

– Ta ich zapora z wozów wygląda na dość solidną. Niemal jak prawdziwy mur.

– To ich stara taktyka. Chan pewnie ma nadzieję, że to, co pomogło jego przodkom w walce przeciwko jeźdźcom Kotraga, pomoże i jemu...

– Powiedziałbym raczej – rzekł w zamyśleniu Światosław – że chce zyskać na czasie. Trzymać nas na odległość, dopóki nie ruszy mu na pomoc zguba przebudzona przez czary Drakowicza...

– Co oznacza – spojrzał na niego emir – że musimy zaatakować i jak najszybciej rozbić suwarską obronę.

– Dokładnie to miałem na myśli – potwierdził książę. Obejrzał się. Podczas gdy step między pagórkiem a Toktü pozostawał nieruchomy, równina za plecami wodzów falowała od ruchu. Gromkie dudnienie i drzenie ziemi zwiastowały przybycie tysięcy jeźdźców i piechoty.

– Teraz zatrzymamy się na noc. Ludzie i konie muszą odpocząć, ale zaraz rano, o brzasku...

Światosław skierował spojrzenie w stronę obozu nieprzyjaciela.

– ...uderzymy na nich jak pięść Peruna.





Na skraju suwarskiego obozu, daleko od chaty, którą zajmował chan Mutahar, przy wielkim ognisku spotkali się wodzowie najemników z koczowniczych plemion. Kazał ich potajemnie zwołać Bajan, przywódca Pieczyngów, syn okrytego złą sławą chana Kurji.

– Już tu są. – Wskazywał ciemność na przeciwnym brzegu Toktü, gdzie pomалу rozpalały się ogniska wrogich wojsk. – Wszystkie te bułgarskie i kijowskie głowy, z których zrobimy czasie do picia wina, są w zasięgu ręki...

– Wiemy to i bez ciebie, Bajanie – warknął wódz Kipczaków, mężczyzna w średnim wieku, któremu się nie podobało, że młody Pieczyng chce go pouczać. – Co z tego? Mutahar zdecydował, że zostaniemy za rzeką, za tą jego śmieszną zaporą z wozów, i że będziemy się bronić.

– Tak – potwierdził Bajan. – Tak zdecydował chan. Jednak tylko od nas zależy, czy go posłuchamy. Czy rzeczywiście jesteśmy tylko psami, które muszą czekać, aż pan zdejmie im kagańce i smycze, żeby mogły zaatakować.

– Chcesz się sprzeciwić jego rozkazom? – Wódz Baszkirów podszedł bliżej ognia. – Suwarzanie okrzykną nas zdrajcami...

– Zdrada... – Pieczyng uśmiechnął się krzywo. – Zdradą mógłbym też nazwać to, że Mutahar obiecywał nam okrutny bój, bogate łupy i góry bułgarskich czaszek, a teraz chce nas trzymać za zaporą, jak bydło w zagrodzie. Naprawdę chcecie się tylko bronić? Walczyć z nogami na ziemi? Ja na pewno nie! Chcę galopować do ataku, w końskim siodle, z wiatrem w zawody. Chcę bojowym okrzykiem zmienić serca wrogów w roztrzęsione gówna!

– To prawda – niechętnie przyznał brodaty Kipczak – że Mutahar wyczekuje pomocy Tugarina, syna smoka. Dotarły do mnie wieści, że czarodziej chce przebudzić suwarskiego czarnego smoka i poszczuć go na te bułgarskie psy...

– Ale to by znaczyło – wszedł mu w słowo Bajan – że wrogowie nie padną pod naszymi klingami, ale w smoczym płomieniu. Ich tłusty popiół rozwieje się na wietrze razem z naszą bojową sławą. A jeśli nie będziemy mogli odznaczyć się w bitwie, przy dzieleniu łupów Mutahar oskubie nas jak kury. Tego chcecie?

– Pewnie, że nie – przyznał Baszkir. – Co w takim razie proponujesz? Bajan spojrzał obydwu w oczy i zniżył głos.

– Zaatakujemy. Jeszcze przed północą. Wykradniemy się z obozu, objedziemy go wielkim łukiem i przejdziemy przez bród na drugi brzeg. Prędko, z flanki uderzymy na obóz Bułgarów i Kijowian. Weźmiemy ich zaskoczenia.

– Mało nas...

– Mylisz się. Nie umiesz liczyć? Razem jest nas prawie trzy tysiące. Jesteśmy wypoczęci, nasze konie tupią niespokojnie, już im dojadło beczynne stanie. Z kolei te psy na północnym brzegu są zmęczone tłuczeniem się cały dzień w słonecznym skwarze. Spadniemy na ich obóz jak wichura. Zanim się opamiętają, porzniemy przynajmniej jedną trzecią. Potem galopem wrócimy na południowy brzeg. Ze sławą, świeżymi głowami na włóczniach, z klingami napojonymi krwią...

– Mutahar będzie wściekły...

– Będzie. No i cóż z tego? Co nam może zrobić? No jak, macie dość odwagi, żeby iść ze mną?

Baszkir i Kipczak wymienili chmurne, zamyślane spojrzenia. Bajan musiał się zaśmiać, kiedy widział, jak na ich twarzach oznaki strachu przed karą z ręki Mutahara powoli ustępują miejsca typowej dla koczowników wojowniczości i żądzy krwi.

Naczelnik Kipczaków skinął wreszcie głową.

– Kwar, gromowładny bóg wojny, na pewno nie chce, żebyśmy beczynnie czekali na atak nieprzyjaciela. Pójdziemy z tobą, Bajanie. To

jednak nie czyni cię naszym wodzem, rozumiesz? Ruszymy do ataku jako równi.

– Masz moje słowo – skrzywił się Pieczyng. Poczęstował świeżo upieczonych sojuszników mocnym kwasem z kobyłego mleka.



Tugarin patrzył ze szczytu smoczej wieży, jak ulice Suwaru zalewa ciemność.

Ruchliwe miasto z nadejściem zmroku aż dziwnie ucichło. W myśli mieszkańców wkradały się złe przecucia. Zmuszały ich, by pozostali w domu, zamknęli się porządnie i szepcząc modlitwy, uklękli przed posągami przodków i domowych bożków.

Ten, którego nazywali synem smoka, nie spoczywał tym razem na ofiarnym kamieniu w piwnicy, przy studni zanurzającej się w głębinach wzgórza pod Zilantawem. Gdy gasł dzień, wspiął się po schodach, biegnących spiralnie wzdłuż ścian wieży. Wierzchołek ponurej budowli otaczała od zewnątrz szeroka kamienna galeria. Teraz stał na niej, błędząc spojrzeniem po dachach miasta i gwiazdach nad nimi.

Suwar opanowało zmęczenie i bezruch. Najwyższy kapłan nie dał się jednak oszukać. Po długim, całodziennym śnie, przetykanym czarami i wieszczymi snami, obudził się pełen ostrzegawczych przeczuć. Nie wątpił, że wrogowie są blisko, może nawet bliżej, niż miałyby ochotę przyznać. Zawołał Zamracha i Styrwita i nakazał im, by zachowali czujność i przygotowali się na zdradziecki atak. Wódz baghaturów przyjął to chłodno, tylko ciemność w jego czarnych oczach jeszcze bardziej zgęstniała. Czeremis drapieźnie wyszczerzył zęby. Potem szybko przeszli na stanowiska strażnicze, by wydać rozkazy swoim drużynom.

Tugarin omiół miasto ostatnim badawczym spojrzeniem. Pewnie, mógł wyśledzić nieprzyjaciela czarami, ale musiałyby zużyć na to wiele mocy, a dziś wieczorem nie wolno mu było jej marnować. Strażnicy wieży będą

musieli sobie poradzić zwyczajnie, żelazem.

Odwrócił się na pięcie i zatopił spojrzenie w mroku zalegającym wewnątrz Zilantawu.

Nadszedł czas. Godzina smoka. Okazja, by pokazać, że jest potężniejszym czarodziejem niż cała gromada jego poprzedników. Udowodnić sobie i wszystkim innym, że ma odwagę nie tylko służyć smokowi, rokrocznie układać go do snu przy wtórze kołysanki z wrzasku składanych w ofierze dziewczyc, ale też rozkazywać mu, wykorzystać jego siłę i dzikość dla własnych celów.

Tugarin zacisnął dłonie na Żelaznej Lasce i unióś ją nad skraj wieży. W okrucieństwie łuski Zirnitry przebudziła się czarodziejska moc. Wzmagające się srebrne światło rozlało się po ścianach, wyrwało z czerni płaskorzeźby bogów i demonów, dotknęło dna wieży i przelało się przez krawędź ofiarnej studni. W miarę jak czary laski przybierały na sile, światło zanurzało się coraz głębiej i głębiej w podziemiach, aż w końcu rozpostarło się w jaskini wiele sążni pod poziomem miasta.

– Powstań – rzekł Tugarin i magiczna jasność jeszcze się wzmogła.

W tej chwili na dnie przepaści poruszyło się olbrzymie czarne cielsko, a na wierzchołek wieży doleciał ohydny syk.



– Na jaja Welesa – zaklął Mikuła, kiedy pod ich nogami zadrżała ziemia, a z otaczających ich ścian posypał się kurz i okruchy zaprawy. – Co to było?

Wołch jako jedyny nie patrzył pod nogi. Z wnęki w ciemnej uliczce, której wylot znajdował się w przestrzeni przed murami Zilantawu, spoglądał gdzieś w górę, w stronę smoczej świątyni. Ilja i Alosza złapali równowagę, wystawili głowy z kryjówek i również spojrzeli.

Na wieży zajaśniało srebrzyste światło, jakby o wierzchołek Zilantawu zawadziła spadająca gwiazda.

– Czy to on? – spytał chrapliwym głosem Ilja.

– On – warknął Wołch. – Tugarin Drakowicz.

– Czyli już się zaczęło.

– Tak, zaczęło się – potwierdził gorynycz. Zarzucił na nos czarną, zawiązaną wokół szyi chustkę. – Smok się budzi. A nam zostało rozpaczliwie mało czasu! Chodźmy!

Wsiesławiewicz z mieczem w jednej ręce i Malachitowym Kosturem w drugiej wyslizgnął się z cienia i podbiegł do skraju kanału. Najpierw przykucnął, potem przysiadł na obmurowanym włązie, spuścił nogi do śliskiego koryta i po chwili skoczył w dół. Ściek miał mniej więcej sześń głębokości. Cuchnąca breja sięgała gorynyczowi do pępka.

Ilja poszedł za jego przykładem. Z tarczą na plecach i Gniewem w ręce zanurzył się w paskudztwie. Alosza, jak najwyżej unosząc nos i zaciskając zęby, przyłączył się do nich. Starał się utrzymać łuk i dwa kołczany strzał nad śliską powierzchnią, gdyż miał uzasadnione obawy, że gęsta ciecz przeżre cięciwę i groty.

– Niech będzie przeklęty człowiek, który wynalazł to dobrodziejstwo cywilizacji – burczał Mikuła, ociągając się na skraju murowanego koryta. Długi bicz miał omotany wokół torsu, w garści trzymał pałkę, a u jego boku wisiał krótki miecz z szeroką klingą, jakiego zazwyczaj używano w Carogrodzie. – Śmierdzi tu jak w smoczej rzyci. Na mą duszę, gorzej niż wszystkie kijowskie gnojówki razem wzięte. Niepotrzebnie wyzarliśmy zapasy karczmarza – zaraz wszystko wyrzycamy...

– Zamknij dziób i chodź już – ofuknął go Wołch, mimo że i jemu robiło się niedobrze od smrodu. – Musimy się pospieszyć. A chwilę potrwa, zanim przebrodzimy przez te gówna aż do muru.

Mikuła, tak jak jego druhowie, zakrył twarz chustą, wziął głęboki wdech – jakby to mogło mu pomóc – i wstrzymując dech, wlaź do kanału. Już wkrótce jednak musiał zacząć oddychać i dokładnie tak, jak przepowiadał,

żołądek mu się podniósł. Mikuła prędko zerwał chustkę z twarzy, a z jego ust trysnęły na pół strawione resztki wieczerzy. Alosza natychmiast się do niego przyłączył, zaś Ilja musiał zacisnąć zęby, żeby nie skończyć tak samo.

Cedząc przez zęby najbardziej ordynarne przekleństwa, zaczęli brodzić w stronę murów Zilantawu.



– Na rany Chrystusa – jęknął Jegor, kiedy zanurzył drewniany czerpak w napoczętej przez Mirtimera beczułce i wlał w siebie porządny łyk niezwyklej cieczy. – Jest naprawdę wyborna, dojrzała. Wypali z człowieka wszystkie brudy i choroby, a może nawet jego grzechy.

– Ostrożnie, bohaterze – upomniał go karczmarz. – Język stanie ci kołkiem.

– Już stanął. – Światogor pozwolił sobie na kolejny łyk i znowu westchnął. – Szkoda marnować taką wódkę. Naprawdę wielka szkoda. Powinniśmy wziąć ją ze sobą. Wystarczyło rozlać te zapasy oleju do lampy.

– Zrób to, co trzeba – rozkazał Mirtimer. Kiedy raz się zdecydował, zamierzał działać szybko. Było już za późno na żal i próżne wzdychanie.

Jegor skinął głową, odrzucił czerpak i chwycił beczkę – lekko, jakby była pusta. Zaczął polewać jej zawartością stoły i rzeźbione ławy w karczmie. Mirtimer obserwował to z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. W końcu Jegor cisnął pustym naczyniem o podłogę, aż odpadła żelazna obręcz i dębowe klepki poleciały na wszystkie strony.

– A teraz – bohater zdjął ze ściany migoczący miedziany kaganiec – twoja kolej.

– Moja? – Karczmarz wytrzeszczył oczy.

– Pewnie. Żebyś potem żadnemu z nas nie wyrzucał, że obróciliśmy ci gospodę w popiół.

Mirtimer niechętnie chwycił lampę. Razem z barczystym wojem wyszedł

na próg pomieszczenia.

– Allahu, stój przy mnie. Za emira. Za Bułgar – wykrztusił. Cisnął kaganek w kałużę oleju i palenki na podłodze.

Ogień zapłonął prędko, z głośnym hukiem, jakby do izby przez okno dmuchnął sam Zilant. Już po chwili niebieskawe płomienie połknęły meble i zasłony, a obu mężczyzn owiało gorąco. Cofnęli się.

– Życzę szczęścia, karczmarzu. – Jegor poklepał Mirtimera po plecach. – Od tej chwili musisz sam o siebie zadbać.

– Już ja sobie jakoś poradzę. Ale ty nie obejdiesz się bez pomocy samego Allaha. Niech cię ochrania, bohaterze.

Jegor wiedział, że słowo Allah nie jest imieniem jakiegoś piekielnego mahometańskiego bałwana, ale tak naprawdę znaczy „Bóg”. Powiedział sobie więc, że właściwie Mirtimer pobłogosławił mu całkiem po chrześcijańsku. Pochylił głowę z wdzięcznością i lekko dotknął krzyżyka na piersi.

Po chwili odwrócił się w stronę Hassana ibn Ahmeda i gorynychców, którzy już na niego czekali, siedząc w siodłach. Jak na swój wiek i posturę, zaskakująco dziarsko wskoczył na wronka.

– Jedźmy, bracia! Tutaj skończyliśmy, gdzie indziej zabawa dopiero się zaczyna!

Brama prowadząca w uliczkę za tylnym podwórzem była już otwarta. Drużyna prędko pokłusowała przez nią w ciemność i skierowali konie w stronę wzgórza na północno-wschodnim krańcu miasta.

Mirtimer odczekał, dopóki tętent kopyt nie zamarł w oddali, po czym wziął głęboki wdech.

– Pali się! – wrzasnął ile sił w płucach i zaczął biec w kierunku głównej ulicy miasta. – Na wszystkich bogów, ludzie, pomóżcie!

Nawet nie musiał specjalnie udawać rozpaczony, która przepęniała jego krzyk.

Z dachu zajazdu „Pod ognistym źrebem” wystrzelił w górę nienasycony płomień, a w pobliskich ulicach roztańczyły się migotliwe cienie. Wyglądało to tak, jakby wszystkie duchy i zjawy urządziły sobie hulaszczę uliczne święto – może na cześć tych, którzy dziś w nocy mieli zasilić ich poczet.

Bogowie wiedzieli, że nie będzie ich mało.



Na smukłej wieży, wystającej z rozłożystej kopuły świątyni Tangry, pod spiczastym daszkiem wisiał na dwóch łańcuchach wielki, bogato inkrustowany krąg z miedzi i złota. Wyobrażał słoneczną tarczę niebieskiego władcy. Uderzenia w puklerz ozdobiony płaskorzeźbą byka Obuzgana zazwyczaj zwoływały suwarskich wiernych na regularnie odprawiane rytuały ofiarne.

Oczywiście, ponieważ tarcza została poświęcona potęgom dziennym, nigdy nie brzmiała w nocy. Działo się tak wyłącznie w przypadku nadzwyczajnego zagrożenia.

Kiedy więc w ciemnościach rozległy się przenikliwe metaliczne dudnienie, nie były to zwyczajne, rozważne, majestatyczne uderzenia, wybrzmiewające drżącym echem między pojedynczymi trafieniami pałki w tarczę. Człowiek, który dzisiaj sprawił, że zabrzmiał słoneczny puklerz Tangry, walił w niego prędko, gorączkowo, ze strachem.

Bił na alarm.



– Biją na alarm! – syknął Wołch na tle przenikliwego metalicznego dudnienia, lecącego przez miasto, aż w uszach wierciło. – Teraz, bracia! Teraz nas nie usłyszą!

Ilja z Mikułą odwrócili się plecami do kraty pod murem, przerzucili powrozy przez ramiona i ruszyli jak dwa konie pociągowe, na które nałożono chomątą ogromnego pługa Welesa na polu w ziemi bogów. Rozległo się



skrzypienie, zgrzyt, ale dudnienie tarczy na świątyni Tangry skutecznie zagłuszyło te dźwięki. Wartownicy stojący na murze nie zwrócili uwagi na dochodzący z dołu hałas. Obserwowali pożar.



– Alaaarm! – Krzyk zabrzmiał pośród nocy na równinie na północ od Toktü.

Światosław, jak zwykle, spał w gronie swoich bojarów pod gołym niebem – odrzucił nawet zaszczytne zaproszenie emira Ahmeda do wygodnego namiotu, gdzie nocowali bułgarscy możni. Dlatego też kiedy nad legowiskami rozległ się krzyk i alarmujący odgłos rogu, był jednym z pierwszych, którzy z bronią w ręku zerwali się na równe nogi.

– Atakują nas! Do broni, leniwa hałastro!

To był głos Bragiego Halvorssona. Dobiegał z miejsca na wschodnim krańcu obozu, gdzie nocowała helgardzka piechota. Światosław odbiegł od ognia, żeby jasność płomieni go nie oślepiła.

Po chwili dostrzegł powódź jeźdźców, którzy wynurzyli się znienacka z ciemności nad stepem niczym horda zjaw i z ogłuszającym wyciem wpadli do obozu. Szable siekły wszystko, co znalazło się w zasięgu ręki, roje strzał padały na ziemię, obalały z powrotem na posłania wstających, zaskoczonych ludzi.

– Na Allaha! – krzyknął Ahmed, który właśnie wybiegł z namiotu i zatrzymał się koło księcia. – Do łuków, strzelcy z Bułgaru!

Światosław nie tracił czasu na wznoszenie tarczy i włóczni. Włożył tylko hełm. Z pokrytym runami mieczem w ręku pobiegł w stronę parskających ze strachu koni. Dziarskim skokiem znalazł się w siodle swego rumaka.

– Na koń, bojarzy! – wrzeszczał z grzbietu konia, który tupał między budzącymi się ludźmi. – Na koń i za mną! W imię Peruna, oddajmy cześć demonom wojny!

Alarmujący krzyk i łoskot rozbrzmiewały w obozie.



Alarmujący krzyk i łoskot rozbrzmiewały w Suwarze.

Stojący na szczycie Zilantawu Tugarin syknął gniewnie. Przez chwilę starał się w pełni skupić na prądzie magii, który przepływał przez niego i Żelazny Kostur, ale wrzawa za jego plecami przybierała na sile. Wreszcie nie wytrzymał, obejrzał się. Srebrzysta poświata zamigotała.

Ze środka okrytego ciemnością miasta bił ogromny słup ognia. W chybotliwym świetle płomieni drobne figurki ludzi przypominały chmurę owadów. Mieszkańcy miasta spieszyli gasić pożar, nawet nie dlatego, by pomóc sąsiadowi w nieszczęściu, ale ze strachu, by nie zajęły się ich własne domy.

– To oni, wy głupcy! – wrzasnął najwyższy kapłan.

Styrwit i Zamrach, stojący na stoku pod wieżą, dosłyszeli głos Tugarina. Spojrzeli w górę.

– To tylko sztuczka, chcą odwrócić waszą uwagę! Brońcie Zilantawu!

Kiwnęli głowami, wymienili spojrzenia, dobyli broni. Styrwit z dwoma tuzinami Czeremisów zajął pozycję przed wrotami wieży, a Zamrach pobiegł w dół, ku murom.

Na ścianie otaczającej pagórek roило się od biegnących strażników.



Pod murem Ilja wymienił spojrzenia z Mikułą. Sielaninowicz kiwnął głową, po czym obaj wzięli głęboki wdech. Po chwili jednocześnie szarpnęli powrozy. Szerokimi barami rozgarnęli breję w kanale.

Zaprawa popękała, zazgrzytało żelazo.

Jak można było oczekiwać, krata puściła najpierw po stronie Muromca. Wyrwane kamienie chlupnęły w koryto. Bohatyrzy rozluźnili się na chwilę, po czym znów się zaparli.

Końce żelaznych prętów wyskoczyły z rowków w ścianie. Alosza wydał okrzyk radości, stłumiony przez chustkę zakrywającą twarz.

– Chodźmy – zarządził Wołch.



– Chodźcie – warknął Tugarin. – Przyjdźcie po śmierć, gnidy!

Dzięki czarom, które w nim pulsowały, zwrócił uwagę na to, czego jeszcze nie mogli widzieć baghaturowie na murach i Czeremisi pod wieżą.

Jedną z bocznych ulic do Zilantawu rażnym kłusem jechała liczna gromada jeźdźców. Najwyższy kapłan nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, że spogląda na wrogą drużynę, którą do Suwaru przyprowadził Wołch, ostatni czarownik przesiąknięty mocą dawnych zmijów.

Nie zdążył już jednak ostrzec obrońców wieży. Pod nim, we wnętrzu ponurej budowli, zazgrzytały kamienie.

Tugarin odwrócił się błyskawicznie. Znów połączył swoją nadprzyrodzoną moc z potęgą laski. Srebrzyste światło, przez pewien czas niestałe i migotliwe, znów zapłonęło silnie.

Ze studni w podziemiach wieży wynurzało się czarne cielsko. Poruszało się jak tasiemiec opuszczający usta chorego. Gniewny, łakomy syk zlewał się z chrobotem twardych łusek o kamienie, pękaniem druzgotanych murów, szelestem sypiącego się piasku i kurzu. Olbrzymi wąż wił się wzdłuż ścian w stronę szczytu wieży. Łuskami na brzuchu miażdżył płaskorzeźby bogów, a także własne wizerunki, wyciosane z ciemnego kamienia.

Tugarin zachwiał się, ponieważ nawet on nigdy nie widział Zilanta w pełni sił i wielkości. Zacisnął jednak zęby, jeszcze mocniej ścisnął czarodziejski kostur w rękę. Zebrał całą swoją moc.

Zobaczył olbrzymią gadzią głowę, osadzoną na imponującym łuku łuskowatego ciała. Gad dosięgał galerii pod bosymi nogami czarownika, a po chwili wznosił głowę wysoko ponad szczyt wieży. Miał nieruchome oczy,

które barwą przypominały czerwonawe złoto, jeszcze płynne i zdolne palić. Spoglądał wprost na najwyższego kapłana.

– Zaklinam cię mocą smoczej księżnej, od której pochodzisz! – krzyknął Drakowicz i wykonał ruch, jakby chciał dźgnąć kosturem smoczą głowę.

Smok z sykiem wysunął rozdwojony język przez szczelinę między zwartymi szczękami. Dwoma spiczastymi koniuszkami leciutko dotknął jaśniejącego złomka na końcu magicznego kostura. W tejże chwili Zilant wzdrygnął się. Odskoczył, jakby łuska go poparzyła. Giętkie, czarne ciało uderzyło w galerię naprzeciwko. Spadł deszcz pogruchotanych kamieni.

Wieża zadrżała. Tugarin nie.

– Czujesz to, prawda? – krzyknął. – Czujesz moc wielkiej Zirnitry! A jej siła krąży teraz w moich żyłach! Będziesz mi posłuszny! Wiem, że mnie rozumiesz! Pokornie wypełnisz każdy mój rozkaz!

Zilant przyglądał się małej ludzkiej postaci złotawymi oczyma, jakby starał się rzucić na nią urok.

W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie.



Wołch, Ilja, Mikuła i Alosza przemknęli właśnie koło wyłamanej kraty i przeszli pod mur, kiedy nad rozdygotanym pagórkiem zabrzmiało straszliwe syczenie. Ze strachem spojrzeli w górę.

– Na Gorynowe szpony... – wyrwało się Wołchowi.

– Matko Boska – przeżegnał się Alosza.

– Niech to szlag – Ilja i Mikuła zaklęli niemal jednocześnie.

W srebrzystym świetle laski Tugarina zobaczyli szczyt wieży, a nad nim ogromną gadzią głowę, kiwającą się na giętkiej szyi.

- Prędko do bramy! – szczechnął Wsiesławiewicz. – Zostało nam mało czasu!

Wydostali się z kanału, zdarli chusty z twarzy. Skuleni, pobiegli w cieniu

pod drewnianą galerią, a potem drabinkami po wewnętrznej stronie zilantawskich murów. Zmierzali ku głównemu i jednocześnie jedynemu wejściu do warowni. Od kanału do bramy było, wzdłuż umocnień, około półtorej gonu. Przebiegli prawie połowę tej odległości, zanim dostrzegły ich straże na murach.

Baghatur, który jako pierwszy krzyknął ostrzegawczo, po chwili spadł z galerii ze strzałą Aloszy w gardle. I właśnie tym strumieniem krwi, która trysnęła z niego aż pod nogi bohaterów, zaczęła się owa słynna rzeź pod suwarską smoczą wieżą, o której jeszcze długie lata opowiadano w naditilskich krainach.



– Ukaż swą moc! – krzyknął Tugarin, podnosząc jaśniejący Żelazny Kostur wysoko nad głowę. – Rozwiń skrzydła, przebudź ogień w swoim wnętrzu!

Błoniaste skrzydła wyrastały z mocnego wężowego cielska w jednej trzeciej długości między głową a ogonem, częściowo tkwiącym jeszcze w studni na dnie wieży. Zilant wy dostał się z okrągłej budowli na tyle, że mógł usłyszeć najwyższego kapłana. Niepewnie, z wahaniem odkleił skrzydła od ciała. Masywnymi kolcami na ich stawach i czubkach nieumyślnie zrzucił kilka ociosanych kamieni ze szczytu wieży. Z łoskotem odrywały się od ściany, zsuwały w dół stożkowej budowli, złowieszczą turlając się po stoku. Stojący przed bramą Styrwit i Czeremisi musieli się kryć przed kamiennym deszczem. Jeden z gładów przebił ceglana ścianę mieszkania kapłanów, jakby była zbudowana ze słomy pomazanej błotem.



– Na brodę Proroka! – krzyknął Hassan i prędko ściągnął wodze swego rumaka. Szeroko otwartymi oczyma spoglądał w górę, na wieżę. – Ten szalony czarownik naprawdę to zrobił!

Jegor, który wstrzymał wronka obok Bułgara, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Za nimi, w uliczce prowadzącej na przestrzeń przed zilantawskimi umocnieniami, zatrzymywali się goryncze. Spoglądali w górę z otwartymi ustami, modląc się półgłosem.

Czarny smok na szczycie wieży rozpostarł skrzydła. Przypominały skrzydła nietoperza i miały godną podziwu rozpiętość. W świetle południowego słońca zakryłyby swoim cieniem znaczną część świętego wzgórza. Teraz złowieszczo zasłoniły gwiazdy.

– Spóźnił się – wychrypiał Hassan. – Zawiedliśmy...

– Gówno prawda – warknął Jegor i dziarskim ruchem dobył z pochwy Śmierć. – Jeszcze nie wszystko stracone. Przygotujcie się, chłopcy!

Goryncze zadźwignęli żelazem.

– No już, bracia – ponaglał szpakowaty bohater. Wpatrywał się w bramę tak uparcie, z takim naleganiem, jakby chciał ją rozbić samą siłą spojrzenia. – Otwórzcie nam, żebyśmy mogli wyczyścić to smocze gniazdo!

Brama pozostawała jednak zamknięta.



Gad pokręcił głową i rozejrzał się – ruch i spojrzenie zdradzały zaskakującą inteligencję. Potwór poruszył najpierw jednym, potem drugim skrzydłem. Nie był pewien, czy będą mu służyć jak kiedyś. Spędził w podziemiach całą wieczność, a przez ten czas skrzydła mogły ulec paraliżowi, zupełnie stracić siłę i zręczność, potrzebne, by oderwać się od ziemi.

– Na co czekasz?! – krzyknął Tugarin. – Dasz radę!

Zilant zebrał wszystkie siły, uniósł ogromne skrzydła w górę i mocno nimi machnął.



Jakby poryw huraganu przeleciał po zboczu od wieży aż do murów. W

powietrze wzbijała się słoma i chrust, na ścianach i wieżach zatrzepotały płomienie łuczyw, wichur obalił kilku strażników na kolana albo cisnął nimi o blanki. Drabinki prowadzące na galerię pospadały.

Prąd powietrza zniósł daleko od celu strzały i włócznie, lecące z muru w stronę biegnących intruzów. Bojarom nie robiło to większej różnicy – Wołch, Mikuła i Alosza już i tak biegli skuleni pod wzniesionym Malachitowym Kosturem. Niewidzialna czarodziejska tarcza odbijała od nich wszystkie gwizdzące groty. Ilja biegł odrobinę przed swymi druhami, skulony, z tarczą zawieszoną na plecach. Wszystkie strzały, a nawet włócznie łamały się na jego zbroi i odbijały z brzękiem. Niektórzy baghaturowie zbiegli lub zeskoczyli z murów i usiłowali zastąpić im drogę, ale złowieszczo świszczący miecz Ilji rozrzucał ich na wszystkie strony w rozbryzgach czarnej krwi. Kto mu umknął, ten padał pod maczugą Mikuły albo mieczem Wołcha. Alosza wygrywał monotonną melodię śmierci na bezustannie dźwięczącej cięciwie łuku.

Kiedy Zilant po raz pierwszy machnął skrzydłami, od bramy dzieliło ich zaledwie kilka sążni. Wiatr wmiótł im włosy na twarz, zachwiał ich krokiem. Musieli zwolnić. Spojrzeli na szczyt wieży.

– Na Welesowe kopyta!

– O Boże...

Zilant wy dostał długachne cielsko z wieży. Czarne pierścienie oplatały budowlę od zewnątrz. Smok tylko cudem nie rozgniół przy tym Tugarina. Za to na ścianach rysowały się coraz widoczniejsze pęknięcia, a na stoki wzgórza bezustannie sypała się pokruszona zaprawa. Gad machnął skrzydłami. Potem jeszcze raz. I znowu. Na świętym wzgórzu panowała wściekła wichura, która przelatywała ponad murem obronnym, wpadała w ulice miasta i zabierała ze sobą wszystko, co nie było przybite albo przywiązane. Rozdmuchwała ogień w płonącym zajeździe „Pod ognistym źrebem”. Zmusiła usiłujących go ugasić ludzi do ucieczki przed wzmagającym się żarem.

– Prędko do bramy! – huknął Wołch, przekrzykując nienaturalny wicher. Rozciął mieczem twarz jednego z nadbiegających strażników. – Jeszcze możemy zdążyć!

Ilja z Gniewem w dłoni już w tej chwili rzucił się na zastęp broniący dostępu do wysokich, dwuskrzydłowych wrót. Pod jego ciosami ciała baghaturów zmieniały się w okaleczone kadłuby i padały w deszczu krwi. Czerwona ulewa przybrała na sile, kiedy do boju dołączyli druhowie Muromca. Strzały Aloszy bzycały jak wściekłe osy, z nieomylną dokładnością wbijając żelazne żądła w piersi, gardła i oczy. Mikuła też się nie lenił, jego maczuga spadała z paskudnym dźwiękiem łamanych kości, rwanego mięsa i ścięgien.

– Iljo, brama! – zarządził Wołch. Błyskawicznym cięciem w brzuch wypatroszył kolejnego z przeciwników.

Muromiec jeszcze raz świsnął solidną klingą. Ciało okropnie wyjącego baghatura uderzyło o mur, wylały się z niego strzępy śliskich trzewi. Zanim jeszcze dosięgły ziemi, Ilja już mocował się z masywną zaworą.



Porywy gorącego powietrza szarpały przedwcześnie zbielełymi włosami Tugarina. Najwyższy kapłan z wytrzeszczonymi oczyma i obłąkanym uśmiechem na ustach gapił się na Zilanta. Wątpliwości, które do tej pory jeszcze kołatały się w umyśle czarownika, jakby wywiały wiatr spod smoczycich skrzydeł. Naprawdę mu się udało to, na co jego poprzednicy, całe pokolenia arcykapłanów smoczego kultu, nigdy nie mieli odwagi. Wypuścił Zilanta, poskromił go mocą Żelaznego Kostura i łuski Zirnitry.

A teraz wykorzystaj go jako maszynę wojenną.

– Rozniec swój ogień! – krzyczał na smoka, jakby go zły duch opętał. – Zaczynaj płuć płomieniami! Pokaż swoją prawdziwą niszczącą siłę!

Potwór zgiął szyję i odchylił głowę do tyłu. Przypominał żmiję, która zamierza ukąsić nieostrożnie stąpającego człowieka. Otworzył pysk,



wewnątrz bladuróżowy, niemal biały, śliski, wilgotny, obramowany rzędami krótkich, tępych zębów. Smok szeroko rozwarł szczęki, jakby próbował połknąć wielki kęs, po czym wzniosł wzrok ku gwiazdom. W paszczy coś dziwnie zasyczało, niczym płynne żelazo, wlewane do lodowatej wody. Tugarin mimo woli schował głowę w ramiona.

W ciemności trysnął płomień. Naprawdę trysnął, ponieważ, ku zdumieniu samego czarodzieja, nie był to czysty ogień, ale płonąca ciecz – przypominała ogień grecki, którego straszne działanie Tugarin widział kiedyś na własne oczy, gdy chcąc poszerzyć swą magiczną wiedzę, zawędrował do tajnych pracowni carogrodzkich alchemików. Płomień był jednak słaby, przez chwilę błyszczał nad wieżą, po czym rozprysnął się na małe ogniki, spadające do wnętrza Zilantawu i gasnące prędko w ciemności.

Zilant potrząsnął głową z niezadowoleniem. W paszczy coś ostrzegawczo zachlupotało i zasyczało, kiedy gruczoły, od tak dawna nieczynne, wyprodukowały drugą porcję zapalającej mieszaniny.

Potem smok jeszcze raz wystrzelił w niebo.

Tym razem płomień trysnął daleko, na dobrych dziesięć, piętnaście sążni. Imponujący słup ognia rozerwał ciemność nad miastem i na chwilę zalał ulice migotliwym światłem i drżącymi cieniami. Nawet suwarzanie, którzy aż do tej chwili w zamieszaniu spowodowanym przez pożar nie zwrócili uwagi na to, co działo się pod wieżą, oglądali się ze strachem. Zdjęci świętą zgrozą, gapili się na olbrzymią, przez chwilę dobrze oświetloną płomieniem bestię, siedzącą z szeroko rozpostartymi skrzydłami na szczycie Zilantawu. Nawet u podnóża pagórka na chwilę ucichła pieśń broni. Ludzie z przejęciem spoglądali w górę, na przebudzonego demona z dawnych czasów.

Płomień rozprysnął się w ognisty deszcz, padający na stok i dachy kaplańskich domów. Tugarin roześmiał się chrapliwie, mimo że z trudem bronił się przed upadkiem z potrzaskanej galerii do wnętrza wieży, gdyż napór powietrza był tak silny, że obalił go na kolana.

Nie miało znaczenia, że do bramy świątyni waliła już drużyna kijowskich

jeźdźców. Ani to, że Mutahar, gdzieś daleko na północy, stoi naprzeciw liczniejszego i lepiej uzbrojonego wojska. Czarodziej patrzył na swego potwornego smoczego sługę i nie miał najmniejszych wątpliwości, że starzy bogowie jeszcze przed świtem będą świętować wielkie zwycięstwo.

Wsparł się o Żelazny Kostur i stanął prosto. Był już najwyższy czas, by rozpętać piekło. Najpierw wygubi nieprzyjaciół tutaj w Suwarze, a potem również tych w stepach na północy.

Łuska Zirnitry silnie zaświeciła. Zilant spojrzał na Tugarina. Nie czuł gniewu, wprost przeciwnie – był wdzięczny temu śmiertelnikowi, przesiąkniętemu mocą jego matki, za wypuszczenie ze znenawidzonej podziemnej jamy i przebudzenie dawnej mocy.

Był gotów spełnić każdy jego rozkaz.



– Udało im się! – krzyknął Jegor, kiedy zobaczył, jak wrota się otwierają, a szczelina między okutymi skrzydłami zaczyna się poszerzać. – Naprzód, bracia! – wrzasnął przez ramię i machnął Śmiercią, aż klinga syknęła głośno. – Za Kijów! Za Światosława!

Niemogący się już doczekać walki gorynycze zawyli i pognali konie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

# Noc smoka

**N**oc nad Toktü śpiewała. Dzisiaj nie była to jednak zwykła kołysanka, złożona z szelestu trawy i ćwierkania świerszczy. Tym razem ciemność nad stepem skowyczała straszną pieśń na cześć demonów i bogów wojny.

Zaczęło się od głębokiego dudnienia kopyt tysięcy galopujących koni. Następnie rozległ się świst strzał. Po chwili zabrzmiał grany na rogu sygnał alarmowy. Potem dołączył chór męskich głosów, wojowniczych, złamanych śmiertelną boleścią, gniewnych, oszołomionych. Ostatnim tonem był uparty szcęk żelaza i rzenie koni.

Mutahar stał na progu chaty naczelnika Toktü – w lekkim rozkroku, w pełnej zbroi, z szablą w ręce. Upajał się tą pieśnią, jakby to był czarowny śpiew rusalek. Dolatywała z północy, z obozu nieprzyjaciół, wznosiła się nad stepem, przelewała przez suche koryta rzeki, przekraczała zaporę z wozów. Frunęła nad budzącym się w zdumieniu, coraz bardziej ruchliwym i gwarnym suwarskim obozem.

Rozległ się tupot. Obok władcy z głośnym brzękiem pysznie zdobionego rzędu zatrzymał się niewysoki, ale wytrzymały konik. Bagain Kalin zeskokczył z siodła i przykląkł na jedno kolano.

– Mów! – warknął Mutahar.

– Atak na bułgarski obóz, wielki chanie...

– To wiem i bez ciebie! Ale kto?!

– Nasi.

– Nasi? – Błyskawice w ciemnych oczach ostrzegały, że jeśli chan w okamgnieniu nie otrzyma wyczerpującej odpowiedzi, przepołowi mieczem pierwsze ludzkie ciało w zasięgu ręki.

Kalin już nauczył się rozpoznawać te złowieszcze błyski w oczach władcy, po których zawsze przychodziły wybuchy gniewu i okrucieństwa.

– Najemnicy – wyjaśnił prędko. – Pieczyngowie, Kipczacy, nawet te baszkirskie osły. Wszystko wskazuje na to, że namówił ich Bajan, wódz Pieczyngów. Ukradkiem wyprowadzili konie na wschód, wiorstę od legowisk wskoczyli na siodła, przeszli bród na rzece. Nieoczekiwanie zaatakowali z flanki obóz Światosława i Ahmeda...

– Bajan, oczywiście – powtórzył chan. – Tylko w jego wszawym łbie mógł się wylęgnąć ten szalony, a jednocześnie odważny plan.

– Działał bez twojej wiedzy, wielki chanie, na własną rękę. Naraził przez to całą wojenną wyprawę na klęskę. To jest zdrada!

Mutahar nic nie odpowiedział. Stale patrzył na północ, słuchał muzyki żelaza, tej śmiertelnej pieśni.

– Nie myśleli chyba, że naprawdę zaskoczą te psy? Że ich pokonają? – warknął po chwili. – Kijowianie i Bułgarzy prędko ich odepchną, pognają z powrotem ku Toktü.

– Jakie rozkazy mam wydać? Niektórzy wodzowie domagają się, żebyśmy wskoczyli na koń i pogalopowali na pomoc najemnikom. Jeśli teraz uderzymy na obóz z przeciwnej strony...

– Nie ma mowy – przerwał mu władca. – Bajan nawarzył tego piwa, niech je teraz sam wypije. Musi dostać nauczkę za nieposłuszeństwo. Pytanie brzmi, co zrobią Światosław i Ahmed, kiedy już zmuszą napastników do ucieczki. Będą lizać rany i poczekają do rana, czy może w gniewie

odpowiedzą natychmiastowym atakiem?

– Wydam rozkaz, by nasi zajęli pozycje i gotowali się do obrony – zrozumiał Kalin i natychmiast wstał.

Mutahar tylko skinął głową. Bagainowi, który znowu wskoczył na siodło i ruszył konno w stronę ludzi rojących się na tle światła obozowych ognisk, nie poświęcił nawet jednego spojrzenia. Wsłuchiwał się w dalekie wycie Arkliga, demonicznego boga wojny, i głębokie pomruki Erlika, zbieracza dusz i strażnika zaświatów. Krew zaczynała mu wrzeć w żyłach, serce biło z podniecenia, niespokojnie zaciskał palce na rękojeści ciężkiej, krzywej szabli.

Już nie mógł się doczekać, kiedy zaśpiewa tę dziką pieśń razem z nimi.



Solidny topór o dwóch ostrzach na niezwykle długim stylisku był stworzony do tego rodzaju walki. Szable koczowników nie stanowiły ochrony – były rozpaczliwie krótkie. Bragi Halvorsson zręcznie uskakiwał przed świszczącymi klingami i odpowiadał szybkimi ciosami topora. Był wściekły, ponieważ atak wyrwał go ze snu o jego pięknej muromskiej żonie, a tę złość zamieniał w siłę, którą wkładał w cięcia straszliwej broni. Niemal każdym ciosem zmiatał z siodła kolejnego wyjącego napastnika. Czaszki i mostki pękały jak szkielety, przepalone w ogniu pogrzebowego stosu, odcięte kończyny padały w podeptaną trawę, w powietrze wzbijała się mieszanina krwi, wyrwanej kopytami darni i iskier z rozdeptanych ognisk.

– Tak sobie wyobrażałeś wojenną sławę? – wrzasnął do niego Ratimir, kryjący się za tarczą i siekący końskie nogi długim mieczem.

– Właśnie tak! – Zarechotał Bragi. Obrócił topór w dłoniach, by oba ostrza mogły się równomiernie wykapać we krwi. – Nie słyszysz, jak walkirie śpiewają w uniesieniu?

Pierwsza fala napastników, która wynurzyła się z nocnej ciemności nieoczekiwanie jak wojsko duchów, zastała helgardczan nieprzygotowanych.

Gradobicie grotów i pierwszy wir zakrzywionych kling porządnie ich przetrzebiły. Dzięki wyszczekiwanym przez Bragiego rozkazom Waregowie zebrali się szybko, podnieśli szerokie tarcze, by chronić się przed strzałami i szablami, i chwycili za włócznie, by osłabić napór koni. Gromady jeźdźców natychmiast zaczęły się rozrywać. Wierzchowce padały, jeźdźcy zlatywali z sodeł, straszliwy wrzask rozdzierał uszy.

Drużyna Halvorssona wstrzymała napastników wystarczająco długo, by na siodła wskoczyli Światosław i Ahmed. Oraz, oczywiście, setki Bułgarów i Kijowian wraz z nimi. Kiedy więc pierwsi koczownicy przebili się przez pozycje Waregów i zaatakowali główny obóz, walczyli już nie tylko z ledwie przebudzonymi, zdezorientowanymi ludźmi, którzy zaspani sięgali po broń.

Gdzie tam.

Oczekiwała ich zwarta, najeżona włóczniami i złowieszczo zasepiona masa ciężkobrajnych jeźdźców. Wściekłe wycie napastników rozbiło się o mur nienawistnego milczenia Bułgarów i Kijowian. Na znak dany przed Ahmeda zadźwięczały bułgarskie łuki. Lekkobrajni z południa tuzinami spadali z sodeł, a ci, którzy przejechali przez ulewę strzał, po chwili roztrzaskali się o żelazny szyk Kijowian. Ludzie odziani w skóry, grube płótno i baranie kozuchy nabijali się na włócznie, rozbijali twarze o nieustępliwe tarcze, stawali się łatwą zdobyczą dla mieczy, toporów, młotów, maczug. Niewielkie stepowe koniki padały pod kopyta rosłych, gryzących i bojowo tupiących kijowskich rumaków.

– Bić tę hałastrę! – wrzeszczał Światosław. Jak zwykle, nie dowodził z tyłów armii, tylko sam parł do przodu, bezlitośnie siekąc mieczem ludzkie i końskie mięso.

Kijowskie szyki pozostały niezachwiane, nie ustąpiły o krok. Masa napastników rozbijała się o nie, a w miarę, jak od tyłu przybywali coraz to nowi jeźdźcy, gęstniała stopniowo i zmieniała się w jednolity tłum, w którym można było bardzo łatwo oberwać wareskim toporem w czaszkę albo bułgarskim grotem w pierś.

– Naprzód, wilki! – krzyknął Światosław.

Bohaterzy ruszyli konno. Zaczęli gnać zdezorientowaną hordeę przez zmieciony helgardzki obóz z powrotem w step. Złoty tug z półksiężycem i sokołem nie pozostał w tyle, ruszył wraz z toporem Peruna, trzepoczącym na zakurzonym proporcu. Ahmed i jego synowie udowadniali, że potrafią nie tylko wylegiwać się w pałacu – rozlewali swymi szablami wiadra krwi.

Kawałek dalej Bragi i Ratimir znaleźli się wewnątrz wiru nieprzyjacielskich jeźdźców. Stanęli plecami do siebie, a ich świszcząca broń stworzyła wokół nich krąg śmierci. Nagle jednak Halvorsson usłyszał za sobą krzyk, pełen raczej złości niż bólu, i poczuł uderzenie w plecy. Odwrócił się ze strachem. Ciężarem, który napał na jego plecy, okazał się Ratimir. Miał włócznię wbitą tuż pod mostkiem. Ześlizgnął się w trawę, tocząc z ust krwawą pianę. Miecz wypadł mu z dłoni.

– Bracie! – wrzasnął Bragi, ale w tej chwili także koło niego przegalopował stepowy konik i na hełmie Warega zadzwoniła szabla. Cios go ogłuszył. Przed oczami zobaczył iskry, ścierpły mu zęby. Padł na kolana. Na pół świadomie pochylił się nad Ratimirem, jakby chciał usłyszeć jego ostatnie słowa.

– Nie widzę... tych twoich... parszywych walkirii... – wycharczał Ratimir, wierzgnął po raz ostatni, a głowa z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczyma przechyliła się w tył.

– Ja je przywołam... – wybełkotał oszołomiony Bragi. Wyrwał mu włócznię z piersi, odrzucił ją z obrzydzeniem, niby jadowitego węża. – Potrzebuję tylko więcej krwi...

Helgardzki wódz potrząsnął głową, parę razy odetchnął głęboko, styliskiem topora zaparł się o ziemię i wstał chwiejnie. Po tym uderzeniu w głowę świat wokół niego zamienił się w istny chaos. Pokrzykujący jeźdźcy migali na koniach, niewyraźni niczym duchy, które nie potrafią się zdecydować, czy należą jeszcze do tego świata, czy już do królestwa zjaw. W dali płonęły gasnące ognie, padał deszcz ziemi i krwi.

Bragi usłyszał w tym zamęcie przenikliwe dudnienie kopyt. Cały się zachwiał, jakby biegnący obok koń był cięższy niż jakiegokolwiek inne zwierzę w pobliżu, jakby wcale nie pochodził z tego świata. Halvorsson odwrócił lekko zamglone oczy w stronę źródła dźwięku.

Nie, to nie żaden bóg ani demon pędził ku niemu tak majestatycznie. Śniade oblicze ze wściekle wytrzeszczonymi oczyma i wyszczerzonymi zębami nie różniło się niczym od twarzy pozostałych napastników. Koń może i był bardziej rosły niż inne wierzchowce z południowych stepów, ale okazał się zwyczajnym zwierzęciem z krwi i kości. Tym, co odróżniało jeźdźca od zgrai koczowników, był dobry pancerz i lśniący szyszak z barwionym na czerwono końskim włosiem na czubku. I solidniejsza szabla we wzniesionej prawicy – Bragi widywał takie u Arabów, kiedy wędrował po dalekich, południowych krainach.

Stojąc twarzą w twarz z wodzem koczowników, nagle otrzeźwiał. Wyprostował się, prędko chwycił topór, wznosił go oburącz nad głowę, uskoczył w bok i z ogłuszającym wrzaskiem ciął.

Koń jakby wskoczył przednimi nogami do ukrytej jamy. Z przerażającym rzeniem przewrócił się na ziemię, padając na głowę i wyrzucając kopiące wściekle tylne nogi wysoko w powietrze. Jeździec wyleciał z siodła niby wystrzelony z katapulty. Padł w wał z trupów, wzniesiony przez Bragiego i Ratimira. Z brzękiem poturlał się parę kroków. Zgubił miecz i hełm, ale kiedy się wreszcie zatrzymał, o dziwo nie zaległ nieruchomo. Podniósł się, zataczając się tylko lekko, potrząsnął głową, odgarnął z twarzy długie, czarne włosy i spojrzął w stronę rozpaczliwie rżącego konia. Zza zwierzęcia, kopiącego okaleczonymi i krwawiącymi nogami, wynurzył się Bragi. Mocno chwycił topór o dwóch ostrzach i ruszył na wodza koczowników.

Ten wyrwał z leżącego nieopodal trupa włócznię, zamachnął się i cisnął. Bragi, stale jeszcze trochę chwiejny, starał się zrobić unik, ale grot i tak dosięgnął górnej części klatki piersiowej, rozbił łuski pancerza i wbił się pod obojczyk. Konung, klnąc, padł na plecy.



Koczownik zarechotał zwycięsko.

Wtem za jego plecami zadudniły ciężkie kopyta. Zanim wódz zdążył zareagować, syknęła dobrze naostrzona klinga. Głowa z wyszczerzonymi zębami zatoczyła łuk w powietrzu. Ciało w pancerzu padło na kolana, strumień krwi trysnął z rozciętej szyi prosto na Światosława. To właśnie on mocną, pewną ręką prowadził pokrytą runami klingę, która przeszła przed gardło wodza koczowników.

– To zaszczytna zdobycz, książę! – zawołał Ahmed ibn Dżafar, który wstrzymał przy nim konia. Z jego miecza ściekały lepkie krople świeżej krwi. – Każdy bułgarski wojownik będzie ci jej zazdrościł!

– Dlaczego? – Książę spojrzał na emira. – Znałeś tego psa?

Koło nich przejechał kłusem Talib, zręcznie wychylił się z siodła, wyciągniętą ręką złapał czarnowłosą głowę i natychmiast wspiął się znowu na koński grzbiet. Potem zawrócił konia i rzucił głowę Światosławowi. Książę złapał ją i palcami, w których stale dzierżył rękojeść miecza, odgarnął włosy z jej twarzy. W ciemnych oczach nieboszczyka zastygło zaskoczenie, wargi wciąż były rozciągnięte w kurczowym uśmiechu.

– Nie myliłem się – zaśmiał się emir. – Zabiłeś Bajana, wodza Pieczyngów, syna wielkiego chana Kurji.

– Pewnie więc sami bogowie prowadzili moją rękę – mruknął zadowolony Światosław.

– Mój ojciec wojował kiedyś z Kurją. Gdy ten skurwysyn był jeszcze młodym wodzem, poprowadził Pieczyngów aż pod sam Kijów. To moja zemsta za wszystkie zbrodnie, których się wtedy dopuścili nad Sławutyczą.

– Uważaj, książę – ostrzegał go Ahmed. – U nas mówią, że krwawa zemsta to broń obosieczna, może się też zwrócić przeciw tobie.

Światosław wruszył ramionami. Prędko przywiązał głowę za czarne włosy do kuli siodła. Potem ruszył.

– Bragi, żyjesz?!

Halvorsson usiadł. Płytko wbita włócznia wypadła z rany pod ciężarem własnego drzewca. Po pancerzu ciekła krew, ale nie była to zbyt szeroka struga. Konung spojrział na Światosława lekko zamglonymi oczyma.

– Obudziłeś się wreszcie? – zapytał chrapliwie. – Myślałem... że będę musiał sam posiekać tych skurwysynów... i przynieść ci ich wątroby na śniadanie... kiedy się wreszcie smacznie wyśpisz...

– Nie pozwolę ci przecież zabrać całej sławy. Spójrz, już rzucili się do ucieczki. Kiedy zobaczyli, że zabiłem ich wodza, wzięli nogi za pas. Bułgarzy galopują za nimi, ta stepowa gawieź musi im za niejedno zapłacić.

– Chciałem sam zabić tę świnię – rzekł Bragi i wstał, ciężko opierając się o topór. Tak znalazł się twarzą w twarz z odciętą głową Bajana, wiszącą przy Światosławowym siodle.

– Co teraz, książę? – zapytał Ahmed, spoglądając na oddalające się hufce koczowników, ściganych przez Bułgarów pod wodzą Taliba i Mumina. – Moim zdaniem byłoby lepiej wyruszyć dopiero rankiem. Musimy zatroszczyć się o rannych, przegrupować, zaplanować atak...

– Co za głupstwo – warknął Sweneld, który właśnie pojawił się w pobliżu, cały zbryzgany krwią jak posąg jakiegoś północnego bożka po sutym rytuale ofiarnym. Typowy dla niego wilczy uśmiech skrzywił pobliznioną twarz. – Przegrupujemy się raz dwa, a ranni będą musieli wytrzymać. Wypada odwiedzić naszych nieprzyjaciół, skropić krwią również południowy brzeg.

Światosław chmurnie skinął głową.

– Powiedziałbym, że w ich obozie też panuje potężny zamęt, a te powracające zbite psy jeszcze go powiększą. Wykorzystamy to i uderzymy zaraz. Zgadzasz się, emirze?

Ahmed ibn Dżafar posłał spojrzenie wyschniętej rzece. W świetle ognia, spętanego prowizoryczną zaporą na drugim brzegu, dziko migąły cienie ludzi i koni. Tak, tam naprawdę panował chaos i niepokój. Władca Bułgarów znów popatrzył na Światosława.

– Zgadzam się. Dlaczego broń ma odpoczywać aż do rana? Zadmijcie w rogi! – zwrócił się do swoich drużynników. – Niech się wszyscy zbiorą! Ranni też! Każdy, kto jeszcze dycha, idzie z nami!

Ludzie poparli to postanowienie bojowym okrzykiem.

– A ty jak się czujesz, Bragi? – Światosław przyjrzał się helgardzkiemu konungowi. – Idziesz z nami?

– Jak możesz w ogóle pytać, chcesz mnie obrazić? – Halvorsson wyszczerzył ubrudzone krwią zęby. – Walczyłem już, będąc ciężiej rannym. To ledwie zadrapanie. Wypłuczę to palenką, wypalę płonącym polanem z ogniska i zaraz wskoczę na siodło. Ci kobyłojebcy zabili mi przybocznego, starego druha. Zapłacą za to własną krwią!

Światosław tylko się roześmiał. Popędził konia. Jadąc kłusem przez pobojuwisko, rzucał rozkazy na wszystkie strony.

Pieśń bojowa na chwilę ucichła, ale to tylko bogowie i demony brali wdech przed najważniejszym śpiewem.



Zamrachowi serce waliło tak dziko i głośno, jakby zamiast niego miał w piersi dzwon.

Wódz baghaturów całe lata czekał na tę chwilę. Nie, żeby sobie życzył, aby Zilantaw stał się celem ataku wrogów, żeby tym parszywcom udało się otworzyć bramę i żeby po chwili do środka wtargnęło stado bojowo wyjących jeźdźców. Co to, to nie. Był oddanym sługą świątyni, za sens życia uważał wypełnianie obowiązków. Na niczym nie zależało mu tak bardzo, jak na bezpieczeństwie najwyższego kapłana Tugarina.

Chodziło o coś innego. Zamrach od dawna nie zanurzył klingi miecza we krwi nieprzyjaciół. Baghaturowie byli co prawda najlepiej wyćwiczonymi wojownikami w promieniu wielu wiorst, ale ich jedynym zadaniem było strzec Zilantawu. Nie brali udziału w wyprawach podejmowanych od czasu do czasu przeciwko koczownikom i łupieżcom czyhającym przy drogach na

karawany. Na sam Suwar, a tym bardziej straszną smoczą wieżę, od lat nikt nie odważył się uderzyć. Zamrachowi i jego drużynie brakowało więc bojowych doświadczeń. Prowadzili surowy tryb życia, całymi dniami ćwiczili strzelanie z łuku, władanie mieczem, zwyciężali w zawodach urządzanych przez chana, ale o bezpośrednim starciu z prawdziwymi wrogami mogli tylko śnić. Kiedy Mutahar wypowiedział wojnę Bułgarowi, po cichu liczyli na to, że Tugarin pociągnie z chanem na północ, a oni wreszcie będą mogli pokazać wszystkim swoją waleczność i zręczność. Najwyższy kapłan pozostał jednak w Suwarze, a oni wraz z nim. Zamrach widział, jak jego ludzie, nawet jeśli nie skarżyli się na głoś i nie okazywali rozczarowania, z trudem przeżykali ten gorzki kęs.

Dzisiaj w nocy wódz zrozumiał, że bóg wojny Arklig nie zapomniał o baghaturach. Wprost przeciwnie, przygotował dla nich ich własny, nie mniej okrutny bój. Atak na świątynię był, w pewnym sensie, spełnieniem ich najskrytszych marzeń. Właśnie w tym celu zostali wyćwiczeni. Czuli się jak cieśle, którzy przez całe lata jedynie ścinali drzewa w lesie, a dopiero dzisiaj w nocy wreszcie mogli coś z tego drewna zbudować.

Nie ulegli zamętowi. Podniecenie, które ich opanowało, nie miało żadnego wpływu na ich rozwagę i dyscyplinę. Wszystko działo się szybko, wszędzie panował ruch i krzyk, ale jednocześnie każde ich działanie szło zgodnie z wyuczonymi zasadami. Od każdej trzyosobowej warty na pojedynczych wieżyczkach oddzieliło się dwóch ludzi i pobiegło dudniącym krokiem po galerii ku bramie. Na każdej baszcie pozostał jeden strażnik na wypadek, gdyby atak na bramę był jedynie sztuczką dla odwrócenia uwagi, a inne miejsce muru zostałyby wystawione na silniejszy atak.

Zamrach miał teraz pod bramą prawie trzy dziesiątki ludzi. Napastników też było mniej więcej tylu, gdyż co najmniej pół tuzina jeźdźców dzięki skupionemu ostrzałowi baghaturów nie dostało się nawet do murów.

Kiedy Kijowianie przegalopowali przez bramę, a ich konie zatętniły kopytami na poświęconej ziemi, Zamrach nie wściekał się, że do tego doszło.

Dzięki temu miał okazję zetrzeć się z nieprzyjaciółmi w otwartym boju, a niecierpliwi baghaturowie tylko na to czekali. Podczas gdy gromada obrońców na murach i wieżach nad bramą nie przestawała zasypywać napastników dobrze mierzonymi strzałami, Zamrach i tuzin ludzi z szablami, tarczami i włóczniami w ręku zagroził drogę prowadzącą w górę, na wieżę.

– Nie mogą przejść! – wrzeszczał Zamrach, stojąc twarzą ku zbliżającym się jeźdźcom.

Na tarczach wrogów Goryn o zielonych łuskach otwierał swoje trzy paszcze. – Stać równo!

Z szyku baghaturów wyleciał rój włóczni. Trzy nieprzyjacielskie konie, już zakrwawione od strzał, ale ciągle jeszcze trzymające się na nogach, po przebiciu masywnymi grotami padły wreszcie na ziemię. Rozpaczliwe rzenie rozrywało uszy.

– Włócznie! – zakomenderował Zamrach i sam całą swoją wagą naparł na skośnie wymierzone drzewce.

Starcie włóczni z mniej lub bardziej opancerzonymi końskimi tułowiami było druzgocące. Drewno pękało, w powietrzu latały ostre drzazgi złamanych drzewców, tryskała końska krew, konie tupały. Napór odrzucił kilku baghaturów w tył, ale zaraz się zebrali i dobyli krzywych szabel. Z wyciem rzucili się z powrotem do tego młyna. Zamrach czuł, jak grot jego włóczni wbija się w końskie ciało. Poruszające się drzewce przenosiły do jego ręki podrygi konia, jakby dusza uciekała ze zwierzęcia przez włócznię i wlewała się w baghatura. Zawył. Z bojowego podniecenia, z rozkoszy, jaką daje tylko odbieranie cudzego życia. Na czas puścił drzewce i odskoczył. Przebity rumak, w deszczu gliny i kamieni, padł na ziemię. Zamrach rzucił się na jeźdźca. Ten prędko wyrwał nogi ze strzemion i wyczołgał się spod konia. Na kolana podniósł się wystarczająco szybko, by wzniesionym w pogotowiu mieczem odbić cios Zamracha. Wódz zilantawskiej straży dostrzegł twarz jeźdźca – była śniada, o czarnej brodzie i lekko skośnych oczach. Bułgar.

Hassan ibn Ahmed odbił też drugie cięcie baghatura. Wiedział jednak, że

na klęczkach nie jest w stanie długo się opierać. Na szczęście w tej chwili na Zamracha rzucił się jeden z gorynyczów, obracający toporem na długim stylisku. Wódz uchylił się w ostatniej chwili i odpowiedział mocnym cięciem. Ostrze odrąbało gorynyczowi nogę w połowie uda i zatrzymało się dopiero na siodle. Kijowianin z wrzaskiem zleciał z konia. Krew szerokim strumieniem trysnęła z kikuta.

Tymczasem Hassan zerwał się na równe nogi. Znowu z brzękiem uderzył szablą o broń Zamracha. W półmroku, rozdieranym jedynie przez płomienie łuczyw i chybotliwe światło dalekiego pożaru, trysnęły iskry. Baghatur zdał sobie sprawę, że trafił na godnego przeciwnika. Krzyknął z zachwytem. Walczyli dziko, podczas gdy wokół nich przelewała się straszliwa bitwa. Gorynycze niczym nie ustępowali baghaturom pod względem umiejętności, a przy tym mieli bogate doświadczenia bitewne. Każdy zabity Kijowianin zabierał ze sobą dwóch lub trzech obrońców świątyni. Miecz Zamracha dosięgnął lewego boku Hassana. Ostrze rozcięło pancerz następcy tronu. Bułgar nie zawahał się, lewą ręką chwycił nadgarstek przeciwnika i błyskawicznie wbił mu sztych swojej szabli w brzuch. Żelazo znalazło szczelinę między metalowymi płytkami pancerza, przebiło skórzany kubrak i wbiło się w ciało. Zamrach miał wrażenie, że w jego trzewiach zanurzył się kawał lodu. Warknął, usiłował wyrwać się z rąk nieprzyjaciela, żeby go ciąć ostatkiem sił i zabrać ze sobą w zaświaty, ale Hassan trzymał go mocno. Bezlitośnie wbijał klingę głębiej, cisnąc rękojeść w dół, a sztych z kolei w górę, w stronę klatki piersiowej. Ostrze wkrótce dosięgnęło płuc. Zamrach zaczął kaszleć krwią, padł na kolana, a szabla wypadła mu z palców. Hassan wyrwał broń z ciała przeciwnika i rozejrzał się.

Szyk baghaturów został złamany, a ostatni stawiający opór obrońcy ginęli pod ciosami kijowskich jeźdźców. Ostrzał z murów także ucichł – gorynycze zatrzymali go rojem własnych grotów. Alosza wyjmował już strzały z drugiego kołczana.

– Naprzód, bracia! – krzyczał Jegor Światogor, dzierżąc nad głową Śmierć

z zakrwawioną klingą. – Nie zatrzymywać się! Prawdziwy bój dopiero na nas czeka!

Od bramy przybiegł Ilja Muromiec, z tarczą na lewej ręce, z mokrym od krwi mieczem w prawej. Wyglądało na to, że nie odniósł ani jednej rany. Za nim, kulejąc, spieszył Alosza, z udem przesyty strzałą nieprzyjaciela. Wołch i Mikuła przykłusowali w siodłach koni zabitych gorynyczów.

Wszyscy spoglądali w górę, ku wieży.

Na jej szczycie rozpościerał skrzydła czarny smok. Całe lata, może nawet stulecia ich nie używał, więc jego starania, by oderwać się od Zilantawu, na razie pozostawały bezowocne. Uparcie jednak machał skrzydłami. Przybierające na sile porywy wiatru czochrały włosy i brody stojących u dołu stoku bohaterów, szarpały płaszcze i końskie grzywy.

– Naprzód! – nakazał Wołch. – Zanim ta bestia naprawdę odleci.

– A co z jego ogniem? – zapytał ze strachem Mikuła.

– Spróbuję go odwrócić czarami. – Wołch ruszył na czoło drużyny i wzniósł Malachitowy Kostur. – Trzymajcie się za mną!

Około dwudziestu ocalałych Kijowian ruszyło galopem w górę zbocza. Ilja, Hassan i kulejący Alosza wskoczyli na konie, które im przyprowadził jeden z gorynyczów. Buruszko pozdrowił Muromca radosnym parsknięciem. Odpierając ataki pozostałych baghaturów i kapłanów, nadbiegających z uliczek między chatami na uboczu, wspinali się ku złowrogiej budowli.

Zamrach stale jeszcze klęczał na usianej trupami i zasypanej strzałami przestrzeni u dołu stoku. Hałas walki prędko się od niego oddalał. Wódz baghaturów pluł krwią, przy każdym kaszlnięciu odczuwając dotkliwy ból. Zdawał sobie sprawę, że zawiódł. Pozwolił, by wrogowie wtargnęli na poświęconą ziemię, by zaatakowali samą wieżę... To właśnie ci parszywi Czeremisi będą musieli ich powstrzymać... Albo może nawet sam Tugarin czy Zilant...

Na przekór temu Zamrach w ostatnim przeblysku świadomości

podziękował bogom za to, że pozwolili mu zginąć w walce.

Potem, w dławiącym skurczu, wylał z siebie strumień ciemnej krwi, postawił oczy w słup i padł twarzą w pył.



– Zamrach zdechł. Większość baghaturów razem z nim – warknął Tugarin, przyglądając się kijowskiej drużynie, która prędko wspinała się po stoku w stronę wieży. – Czeremisi też nie zatrzymają tych sukinsynów. Potrzebuję twojej niszczącej siły, wielki Zilancie!

Czarny smok przestał machać skrzydłami. Spojrzał na najwyższego kapłana. Tugarin odwrócił się i wzniósł między siebie a groźny pysk potwora Żelazny Kostur, jaśniejący łuską Zimnity.

– To jest rozkaz – wycedził przez zęby czarodziej. – Słyszysz? Wydawało się, że Zilant zmrużył oczy.

– Upiecz te świnię!



– Kryć się! – wrzasnął stojący na czele drużyny Wołch. Wzniósł Malachitowy Kostur. Srebrzysty złomek na jej końcu zaświecił przenikliwie. Bohatry jednak nawet przez chmurę białej jasności widzieli, jak smok na szczycie wieży przegiął bojowo szyję, zafalował czarnym ciałem wokół ścian wieży i rozwarł paszczę. Dostrzegli również płomień, rodzący się w ciemnym gardle.

– Unik! – krzyknął Ilja. Galopowali z Aloszą i Hassanem na samym końcu atakującej grupy. Muromiec zrozumiał, że czar ochroni tylko ludzi trzymających się tuż za Wsiesławiewiczem.

Skreśli w lewo, w cień między domami kapłanów.

Zilant rzucił głową w przód i schylił ją w dół. Z rozwartej paszczy wystrzelił ogromny ciekły płomień. Zalał światłem nie tylko wzgórze, ale i całe miasto. Nieomylnie dosięgnął zbliżających się jeźdźców.





Wołch wrzasnął. Wykonał ruch, jakby chciał dźgnąć zbliżający się płomień. Bohatryrzy za jego plecami schowali głowy w ramiona, skulili się za tarczami, niejeden z nich jęknął przenikliwie. Światło ognia odbiło się w wybałuszonych oczach koni.

Płynny ogień rozprysnął się o magiczną tarczę Wołcha. Płomienie ledwo liznęły ludzi tuż za czarodziejem, wśród nich Jegora i Mikułę – gorący podmuch był jednak dość silny, by poczerwieniała im skóra i spłonęły końcówki bród i włosów. Niestety, zgodnie z tym, co przewidywał Ilja, czary nie były w stanie osłonić całej drużyny. Gorynychów z tyłu i po bokach ogień dosięgnął w całej pełni. Rozległ się huk i straszliwy syk, po chwili zagłuszony przez rozpaczliwe rzenie koni i potworny krzyk palących się ludzi. Płynne gorąco ze smoczej krtani przylepiło się do skóry, by natychmiast wgryźć się aż do kości. Bohatryrzy, zmienieni w żywe pochodnie, z wyciem spadali z sodeł, a konie, z płonącymi grzywami i ogonami, szaleńczo galopowały w ciemności. Przypominały stado piekielnych zjaw.

Ilja i Hassan w ostatniej chwili schowali się za ceglana ścianą jednego z domów na stoku. Alosza nie miał tyle szczęścia. Został tylko parę kroków w tyle, ale to wystarczyło, by płomień liznął go z boku i pokropił zad jego konia. Zwierzę zarżało okropnie. Podskoczyło tak, że Ulicz zleciał z siodła.

– Na bogów! – krzyknął Ilja, zeskoczył z Buruszka i pobiegł Książewiczowi na pomoc. Wciągnął skomlącego, dymiącego przyjaciela do kryjówki i starał się ugasić płomień na jego ciele. Hassan rzucił mu bukłak z wodą. Muromiec prędko polał twarz Aloszy. Jej prawa strona natychmiast pokryła się pęcherzami, włosy i skóra koło przypieczonego ucha spaliły się aż do kości.

– Oczy! – krzyczał Alosza, z rozpaczą zaciskając powieki. – Na bogów, nie chcę oślepnąć! Jeśli stracę wzrok, możesz mnie zwyczajnie zatłuc jak

chorego psa!

– Nie oślepniesz! – uspokajał go Ilja, chociaż sam wcale nie był tego pewien. – Nie jest aż tak źle!

Za to na stoku działo się źle. Bardzo źle. Drogę ku wieży zalały płomienie, w nich straszną śmiercią zginęło przynajmniej dziesięciu gorynychców wraz z końmi. Ludzi, którzy żyli pod znakiem smoka i kłaniali mu się z szacunkiem, inna łuskowata bestia posłała w objęcia Moreny.

Wołch, Jegor, Mikuła i więcej niż pół tuzina wojów zdołało jednak przejechać przez to piekło. Od Czeremisów wyczekujących przed bramą wieży dzieliło ich już tylko parę końskich długości.



– To nasza chwila, bracia! – zagrzniał Styrwit, zaczepił końce wąsów o uszy, zacisnął dłonie na oplecionym skórą uchwycie maczugi. Stał w rozkroku i rozważnie, jakby miał jeszcze mnóstwo czasu, wzniosł olbrzymią broń. Żelazne kolce na sękatej głowicy były pokryte ciemnymi plamami, dlatego pozostały matowe, a światło śmiercionośnych płomieni nie odbijało się w nich. Barbarzyński wódz wzgardził hełmem i tarczą, jego jedyną ochronę i zarazem amulet stanowił krąg ze znakiem czarnego smoka na piersi.

Czeremisi zadźwiczeli bronią. Od podstawy wieży poleciało parę włóczy, ale magiczne pole, stale rozlewające się srebrzystymi falami wokół laski Wołcha, odrzuciło je na bok. Bohatryzy, w pełnym galopie, rozciągnęli szyk. Obrońcy Zilantawu mieli dwukrotną przewagę, więc bój musiało rozstrzygnąć od razu pierwsze, druzgocące uderzenie.

– Goryyyyn!

– Zilaaant!

Zderzyli się. Zarówno Czeremisi, jak Kijowianie włożyli w to całą siłę i dzikość.

Miecze, topory i maczugi załomotały o tarcze. Pękały ludzkie i końskie kości.

Styrwit od początku przewiercał spojrzeniem jednego człowieka – najbardziej barczystego z nieprzyjaciół, starszawego bohatera z długą brodą, dzierżącego w dłoni miecz z bursztynową głowicą. Jeździec jakby wyczuł jego uparte spojrzenie i skierował swego rosnącego wronka prosto na czeremiskiego naczelnika.

Styrwit nawet nie drgnął. Jakby wrósł nogami w ziemię. Wywinął maczugą i w chwili, kiedy jeździec znalazł się w jej zasięgu, uderzył z całej siły.

Masywna broń dosięgła bokiem głowy wronka. Żelazne kolce dosłownie ją rozmiotły – w rubinowo lśniącym deszczu krwi w powietrze poleciały kawałki końskiej czaszki i mózgu. Rumak nie zdążył nawet zarzęć, padł na prawy bok jak podcięty. Jeździec z krzykiem zwałił się z siodła. Styrwit wrzasnął i pobiegł ku niemu.

– Wszyscy święci... – Leżąc, Jegor starał się namacać rękojeść miecza. Zszokowała go siła, z jaką czeremiski olbrzym zabił konia. Światogor chwycił Śmierć, tylko że w tej samej chwili ktoś ciężką nogą przydeptał stalową klingę. Bohater spojrzał w górę. Zobaczył łysego, wytatuowanego barbarzyńcę z wąsami zatkniętymi za uszy. Styrwit znowu zamachnął się maczugą, by zażyła kąpieli nie tylko w końskiej, ale i ludzkiej krwi.

Wtem coś świsnęło w powietrzu i nasadę pałki omotał giętki, skórzany rzemień. Czeremis obejrzał się ze złością. Uchwyt na przeciwnym końcu bicia mocną ręką dzierżył Mikuła Sielaninowicz.

– Widzę, że potrzebujesz pomocy, staruszkule! – Bohater krzyknął do Jegora i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Styrwit zawarczał i rażno szarpnął broń. Nie wyswobodził jednak maczugi z pętli batoga, a chwyt nie wysunął się z dłoni Mikuły nawet na palec. Sielaninowicz zachwiał się tylko w siodle, a jego koń zatoczył się i zatupał

kopytami, starając się utrzymać równowagę.

Jegor tymczasem usiłował wstać i podnieść Śmierć z ziemi.

Czeremis odwrócił się w stronę Mikuły, stanął w rozkroku i szarpnął jeszcze raz, mocniej. Konik Mikuły zaparł się nogami w ziemi, aż prysnął żwir i kawałki twardej gliny. Bohater nawet nie zachwiał się w siodle. Styrwit zrozumiał, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Nagle przestał ciągnąć i pobiegł w stronę jeźdźca.

Sielaninowicz podniósł drugą rękę. Dzierżył w niej ciężki młot.

Maczuga Czeremisa zaświszczała, cedząc powietrze przez stalowe kolce, i uderzyła miażdżąco w bojowy młot.

Nasada młota złamała się, rozprysła w drzazgi, jakby przez pomyłkę wykonano ją ze spróchniałego drewna. Mikuła zaklął. Styrwit wykorzystał chwilę zaskoczenia przeciwnika, znów wziął zamach i uderzył bohatera w pierś.

Najeżona kolcami głowica zadzwoniła na żelaznych łuskach chroniących tors Mikuły. Metal pękł w kawałki. Sielaninowicz, wytrzeszczając oczy, usiłował złapać dech. Padł w tył. Nogi wyleciały mu nad siodło, masywne ciało głośno spadło na ziemię.

– Mikuło, bracie! – wrzasnął Jegor.

Styrwit nie zdążył się odwrócić, przechylił się tylko instynktownie, więc sztych Śmierci nie wbił mu się prosto w nerki, a jedynie w lewy bok. Ostrze płytko przeszło przez ciało i wynurzyło się z brzucha. Czeremis zawył i odwrócił się, niebezpiecznie powiększając ranę i wywołując obfity krwotok. Wcale się tym jednak nie przejął, jakby nie czuł żadnego bólu. Płonącymi wściekłością oczyma spojrzał w twarz Jegora. Bohater szarpnięciem oswobodził miecz, ale nie zdążył zadać drugiego, śmiertelnego ciosu. Styrwit machnął prawą ręką, w powietrzu przeleciał cień olbrzymiej maczugi.

Straszliwa broń dosięgła głowy Jegora. Zadzwoniło, posypały się iskry. Zakrwawiony hełm poleciał na bok, ciągnąc za sobą porwaną kolczą zasłonę.

Szpakowaty bohater padł, jego krew splamiła udeptaną glinę. Styrwit krzyknął zwycięsko, ale jego głos złamał ostry ból. Dotknął swego boku. Przez ohydną, wyszczerzoną, broczącą krwią ranę wylewały się trzewia. W Czeremisie zapłonęła żądza zemsty. Odwrócił się twarzą ku walczącym ludziom, szukając kogoś, na kim mógłby wylać swą złość.

Po usianym płomieniami zboczu ku wieży wspinali się dwaj jeźdźcy.



W tym czasie Wołch przebił się do wejścia na wieżę, zeskoczył z konia i podczas gdy dwaj gorynycze uparcie chronili mu plecy, zaatakował czarami masywną bramę. Uderzeniu laski towarzyszyła oślepiająca srebrzysta błyskawica i głośny trzask.

Stojący na szczycie wieży Tugarin zaklął paskudnie. Przebiegł po galerii bezpośrednio nad Wołcha i dolnym końcem Żelaznego Kostura walnął skraj ściany. Rozległ się grzmot. Solidny kamień oderwał się i poleciał prosto na Wsiesławiewicza. Drewlański czarodziej usłyszał łoskot, kiedy ociosany głaz uderzył w ścianę świątyni. Spojrzał w górę i w ostatniej chwili wznosił nad siebie kostur wykładany malachitem. Kamień rozbił się o łuskę Zirnitry jak źle wypalona cegła o żelazne kowadło. Jeden ułomek uderzył jednak gorynycza w głowę.

Wsiesławiewicz zatoczył się i osunął po ścianie na ziemię.

– Wołchu!

Odgłos kopyt oznajmił przyjazd Ilji i księcia Hassana. Podczas gdy Bułgar rzucił się na stawiających zaciekły opór Czeremisów, Muromiec, po wymierzeniu kilku mocnych ciosów, wstrzymał Buruszka przed bramą wieży i zeskoczył. Wołch spojrział na niego zachmurzony, z twarzą zalaną krwią z rozbitej głowy. Tugarin uderzeniem laski odbił od ściany następny głaz. Ilja przyskoczył do Wołcha, osłonił ich obu tarczą. Zaprawa i rozbite kamienie zabębniły o nią nieszkodliwie.

– Wrota... – wychrypiał Wołch, zapierając Malachitowy Kostur o ziemię i

starając się wstać. – Musimy się dostać do środka...

Ilja spojrzał na bramę. Jakby z niego drwiła swoją solidnością, jakby mówiła: „nawet nie drgnę”. Parsknął rozdrażniony, cofnął się o dwa kroki, wziął rozbieg i prawym ramieniem uderzył dębowe drewno obramowane brązem. Rozległ się łoskot, trzask, drzwi się zatrzęsły, metalowe płyty zgięły się niczym żelazo obrabiane przez kowala w dobrze rozgrzanym palenisku. Muromiec cofnął się, szykując do następnego ataku. Wołch w tym czasie nie próżnował, uderzył wrota magicznym kosturem. To również odniosło pewien skutek – trzaski i smród spalenizny świadczyły o tym, że bohaterom już niewiele brakuje, by wejść do Zilantawu.

Muromiec wziął rozbieg jak byk rozdrażniony czerwoną płachtą. Tym razem wrota go nie powstrzymały – pod ciosem wyleciały z zawiasów i wpadły do środka. Gnany siłą rozpędu Ilja przebiegł po nich i zatoczył się, stając dopiero na murowanym skraju ciemnej przepaści.

Uradowany Wołch wbiegł za nim. Wymienili krótkie, ale znaczące spojrzenia. Udało im się. Weszli do środka.

Potem jednocześnie spojrzeli w górę. Gęślarze, którzy w późniejszych pieśniach o tym boju twierdzili, że bojarzy weszli do smoczej wieży śmiało i bez najmniejszych oznak strachu na twarzy, kłamali.



Tugarin przypatrywał się wnętrzu wieży z poziomu galerii. Zwężonymi z nienawiści oczyma śledził dwie figurki, które w srebrzystym świetle Wołchowego kostura wyruszyły po krętych schodach w górę – ku niemu.

Spojrzał na Zilanta.

– Zabij ich – warknął. – Zmień Zilantaw w rozpalony piec.

Czarny smok patrzył jednak na zbliżającą się dwójkę z widoczną obawą i wahaniem.

Czuł moc Malachitowego Kostura i wiedział, że jest tak samo

niebezpieczna jak moc laski Tugarina. Ona też pochodziła od jego matki, potężnej smoczej księżnej...

Wołch z Ilją przeskakiwali po dwa stopnie, zbliżali się prędko do najwyższego kapłana.

– Słyszysz? – wrzasnął Tugarin, kiedy zrozumiał, dlaczego potwór się waha. Wymierzył w smoka Żelazny Kostur. – Natychmiast zrób z nich skwarki, inaczej zapędzę cię w podziemia na następnych trzysta lat! Albo od razu na tysiąc, dopóki nie zgnijesz w tej śmierdzącej jamie!

Zilant odchylił głowę do tyłu i spojrzał na czarodzieja, jakby rozważał, czy stawi opór swemu panu. Potem wygiął wężową szyję w łuk i odwrócił pysk z rozdwojonym językiem w stronę schodów we wnętrzu budowli.

Rozwarły się straszliwe smocze szczęki.



Ilja i Wołch usłyszeli ostrzegawcze syczenie, zatrzymali się i ze strachem spojrzeli w górę.

– Kryj się, Muromcze! – krzyknął Wsiesławiewicz, zgarbił się i wzniósł kostur.

Ilja rzucił się na ścianę, przykucnął i skulił za tarczą. W duchu przywoływał wszystkich muromskich i wiatyckich bogów. Zilant wsunął głowę do wieży i plując ogniem, przemienił ją w piekło.



Mieszkańcy Suwaru, którzy w tej chwili spoglądali w kierunku wieży, mieli okazję podziwiać straszliwy, a zarazem fascynujący widok.

Powódź ognia, złoto-żółtego, od czasu do czasu z czerwonymi językami, wypełniła Zilantaw od szczytu aż po podnóże. Kilkusążniowe płomienie wydobyły się z okien i rozprysły się w deszcz. Prąd buchającej dziko, palącej zagłady wyleciał też z bramy i rozlał się po placu boju przed wejściem. Płomienie wpadły też do smoczej studni, hucząc w podziemnych jamach.

Ziemia się zatrzęsała, zadudniła, a udeptana ziemia na ulicach popękała jak rozżarzone gliniane naczynie, które ktoś przez niedopatrzenie polał lodowatą wodą. Ludzie jęczeli ze zgrozy, garnęli się do świątyń, by znaleźć ochronę w przybytkach samych bogów. Natrafiali jednak na mocno zamknięte bramy, przez co zupełnie odchodzili od zmysłów.

Po mieście rozprzestrzeniało się szaleństwo.



Płomienie, które wytrysły z wyłamanej bramy, zmiotły ostatnich ludzi walczących przed wieżą. Gorynycze i Czeremisi z wrzaskiem przechodzącym w potworne chrypienie padali na ziemię. W ciągu kilku uderzeń serca zmieniali się w szerniałe szkielety, z których zwisały resztki strawionych przez ogień mięśni. Pod księciem Hassanem koń stanął dęba, ale płomień go dopędził, podpalił mu ogon i grzywę, wgryzł się w brzuch i w jednej chwili usmażył jego tylne nogi. Zwierzę padło z potwornym rzeniem. Hassan ibn Ahmed wyleciał z siodła i upadł między płonące, miotane skurczami zwłoki. Jego włosy spaliły się natychmiast, tłąca się odzież zaczęła dymić. Na zmianę klnąc i modląc się do Allaha, następca tronu zdołał stanąć na nogi. Zataczając się, wybiegł ze śmiercionośnego skwaru. Przymrużone oczy chronił nadgarstkiem i przez to dopiero w ostatniej chwili zauważył zwalistego mężczyznę, stojącego na skraju ognistego piekła. Już nie miał dokąd uskoczyć.

Styrwit uderzył maczugą. Hassan, spadając z konia, zgubił miecz, nie miał więc czym sparować ciosu. Instynktownie wzniosł lewe przedramię, które pękło jak sucha gałązka, żelazne kolce niemal urwały mu rękę w łokciu. Trysnęła krew, Bułgar krzyknął okropnie. Mimo bólu zachował wystarczająco dużo przytomności umysłu, by prawą ręką wyrwać zza pasa kindżał i błyskawicznym ciosem wbić go Czeremisowi między szyję a lewe ramię. Styrwit wrzasnął, uderzył Hassana pięścią w twarz. Pod księciem ugięły się kolana.



Olbrzymi barbarzyńca chwycił rękojeść kindżału. Cedząc przez zęby głęboki, gardłowy skowyt, wyrwał klingę z rany. Trysnęła krew. Czeremis nie zwracał na to uwagi. Z pogardą odrzucił broń Bułgara, przechylił się w bok i wzniósł maczugę. Mierzył w tył głowy klęczącego księcia – wyglądało to jak egzekucja. Hassan starał się zrobić unik, ale zabrakło mu już na to sił.

Kolce broni Czeremisa zmiażdżyły mu czaszkę i niemal oderwały głowę od ciała.

Styrwit mocno kopnął okaleczone ciało, po czym spojrzał zalanymi krwią oczami w stronę wieży.



Ilja otworzył oczy. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze żyje, a nawet jest przytomny. Leżał na dnie wieży niedaleko wyważonych drzwi. Zrzuciła go tam ognista fala, która urwała kawałek schodów pod jego nogami. Na piersi młodzieńca leżała szerniała, usiana małymi płomykami – ale poza tym nieuszkodzona – tarcza. Muromiec był przekonany, że cały się połamał – twarde lądowanie zaparło mu dech w piersi i sprawiło, iż każda kostka w ciele zaczęła boleć. Kiedy jednak spróbował usiąść, udało mu się. Obejrzał się szybko. Wciąż miał włosy i brodę, chociaż ich końcówki tliły się i dymiły. W podobnym stanie była odzież – jej skraje były przepalone, ale nie stanęła w ogniu. Od hełmu, pancerza i tarczy biło gorąco, jednak nie parzyły. Także rękojeść spadłego Gniewu, kiedy ją ujął i wyciągnął spod palących się drzazg oraz potłuczonych kamieni, nie przywarła mu do dłoni.

Muromiec wstał. Drapało go w gardle, kaszłał. Nie poczuł bólu, kończyny były posłuszne. Najwyraźniej niczego sobie nie złamał. Spojrzał na tarczę i zrozumiał. Ocaliła go cudowna zbroja. Odwróciła ognistą zagładę, która roztopiłaby zwyczajny pancerz, a jego samego zmieniła w czarną plamę na ścianie Zilantawu. Nie było jednak czasu na modlitwy dziękczynne. Ilja podniósł głowę.

Wołch, dzięki czarom, również przeżył, nie odnosząc poważniejszych

obrażeń. Z mieczem w jednej ręce i świecącym kosturem w drugiej wchodził po schodach. Szybko zbliżał się do galerii na szczycie. Przestraszony Zilant unikał łuski Zirnitry, znajdującej się na końcu wykładanego malachitem kostura. Ogromne, czarne cielsko wiło się niespokojnie wokół wieży i z łoskotem kruszyło zaprawę. Wokoło sypał się kurz i kamienie. Zilant nieustannie machał skórzastymi skrzydłami, wzbijając dym we wnętrzu budowli. Tugarin zrozumiał, że smok nie pomoże mu w walce z gorynyczem, dlatego chwycił Żelazny Kostur, jakby trzymał normalną broń.

Muromiec nie ociągał się, pobiegł Wołchowi na pomoc. Ledwie jednak postawił stopę na pierwszym schodku, wyważone drzwi za jego plecami zadudniły pod czymiś ciężkimi krokami. Ilja obejrzał się zaskoczony.

Z chmury kurzu wynurzył się barczysty mężczyzna z masywną pałką w rękach. Dym z tłącej się odzieży i strużki krwi z paskudnych ran nadały przychodzącemu postać piekielnego demona, jakimi krzewiciele nauk Mahometa lub Chrystusa straszili wahających się pogan.

Muromcowi stanęło serce, wytrzeszczył oczy ze strachu. Na przekór gorącu, jego ciało okryła gęsia skórka. Znów stanęły mu przed oczami wydarzenia strasznej nocy, kiedy zginął jego ojciec, przyrodni brat i wielu innych karaczarowian. Zgrzytając zębami, Ilja przypomniał sobie, jak wódz napastników jego samego z pogardą obalił na ziemię, a potem zmusił, by przyglądał się wszystkim okrucieństwom i mordowaniu bezbronnych.

Ten mężczyzna, przywódca stada krwiożerczych Czeremisów, stał teraz na wprost niego. Ilja poczuł, jak w jego ciele rozlewa się dziwna ociążałość. Nogi przyrosły do schodów.

– Bogowie muszą cię lubić – zasyczał Styrwit, gdy dostrzegł, że stojący przed nim młodzieniec nie odniósł żadnych obrażeń. – Tylko dzięki ich łasce mogłeś przeżyć w płomieniu Zilanta...

– Bogowie są dobrzy, nie mogę w to wątpić – przytaknął Ilja. Przewyciężył odrętwienie i zszedł ze schodów. – Inaczej nie daliby mi okazji do zemsty, o którą prosiłem przy każdej modlitwie.

Czeremis zmrużył oczy.

– Jakiej zemsty? Spotkaliśmy się już kiedyś?

– Oczywiście. Nie pamiętasz Karaczarowa, muromskiej wioski nad brzegiem Nieprzy? Zgraja czeremiskich i kipczackich skurwysynów pod twoimi rozkazami napadła na nią w nocy przed świętem letniego przesilenia. Spaliliście chaty, a mieszkańców zabiliście albo powlekliście w niewolę.

Styrwit splunął głośno – krwawa ślina zasyczała na rozpalonej podłodze.

– Pamiętam tę brudną dziurę. Ciebie nie. Gdzie też się tchórzliwie schowałeś, kiedy podrzynaliśmy gardła twoim współplemieńcom?

– Nigdzie. Byłem tam, kiedy zaatakowaliście. Staliśmy twarzą w twarz, tak blisko, że żołądek mi się podnosił od twojego śmierdzącego oddechu. Przypomnij sobie. Tego garbatego kalekę, którego obaliłeś na ziemię ogryzionym baranim gnatem.

Styrwit gapił się na rosnącego bohatera z wyrazem niezrozumienia na twarzy. Najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym mówił Muromiec. Z ran Czeremisa lała się krew, odbierała mu siły i okrywała myśli mgłą. Zza wyszczerzonych zębów wydobywał się charczący oddech.

– Wtedy miałeś dla mnie tylko pogardę i szyderstwo – dodał Ilja. – Pozwoliłeś mi żyć, aby miał kto opowiadać o twych obrzydliwych uczynkach. Najwyższy czas, żebym ci się odwdzieczył za miłosierdzie. Żelazem wbitym w trzewia.

To akurat Styrwit zrozumiał o wiele lepiej. Zakołysał maczugą – ciągle jeszcze miał w rękach dość siły. Mężczyźni ruszyli na siebie.

– Wszystko mi jedno, coś ty za jeden – warknął Czeremis, wznosząc zakrwawioną broń. – Dla mnie jesteś workiem gówna, które teraz rozbryzgam po całej wieży!

Ilja sam siebie zaskoczył dziką żądzą zemsty, która nagle wylała się z ciemnych zakątków jego umysłu. Do tej pory tylko wyczekiwała w ukryciu, przytłoczona innymi uczuciami, żalem i goryczą, ale teraz trysnęła jak

fontanna. Muromiec wrzasnął, zamachnął się Gniewem i skoczył.

W tej samej chwili, kiedy w dolnej części wieży maczuga Styrwita zderzyła się z mieczem Ilji, na galerii – wysoko nad nimi – całą mocą uderzyły w siebie dwa magiczne kostury.



W rozpalonym, pełnym dymu powietrzu rozległ się ogłuszający trzask, jakby sam Gromowładca cisnął w szczyt wieży ognistą strzałę. Srebrzysta błyskawica musiała być widoczna daleko w stepie.

Po dziurawej galerii rozsypały się malachitowe łuski i okruchy drewnianej główicy z wizerunkiem smoczej głowy. Gasnąca łuska Zirnitry z kostura Wołcha padła, podzwaniając, u nóg Tugarina.

Wsiesławiewicz zatoczył się i uderzył plecami o blanki okalające wierzchołek wieży. Tylko dzięki wyteżeniu wszystkich sił nie upadł. Ze strachem spojrzął na resztkę laski w swej dłoni. Potrząsnął głową, odrzucił bezwartościowy kikut. Spojrzął na Tugarina.

Z Żelaznego Kostura też się dymiło, jednak magiczny kostur najwyższego kapłana nie został w żaden sposób uszkodzony. Tugarin triumfalnie wyszczerzył zęby do Wołcha. Potem rzucił pożądliwe spojrzenie na złomek srebrnej łuski u swoich nóg.

Gorynych zrozumiał, wyprostował się, przerzucił miecz do prawej ręki i zaatakował. Czujny suwarski czarodziej uskoczył, odbił klingę środkiem żelaznej laski. Znowu błysnęło. Nagły ból niemal pozbawił Wołcha władzy w prawej ręce. Kolana ugięły się pod nim. Tylko wyteżając wszystkie siły, zdołał utrzymać się na nogach. Tugarin wykorzystał to i oburącz machnął kosturem. Wsiesławiewicz w ostatniej chwili sparował cios mieczem – klinga nie wytrzymała jednak kolejnej magicznej błyskawicy i rozprysła się na kawałki. Wołch ukląkł na jedno kolano. Najwyższy kapłan następnym ciosem wytrącił mu złamaną broń z ręki. Poleciała do wnętrza wieży. Kiedy wreszcie spadła na podłogę gdzieś w dole, zadzwoniła, dołączając do szczęku

broni walczących dziko Ilji i Styrwita.

– Wołchu! – krzyknął Muromiec.

Wsiesławiewicz wcale go nie słyszał. Wstrząśnięty, gapił się bezmyślnie na szczerzącego się Tugarina.

– Coś taki zaskoczony? – Szydził z niego Drakowicz, po raz kolejny wznosząc laskę. – Czyżbyś naprawdę myślał, że smarkacz taki jak ty jest w stanie mnie pokonać? Byłem najpotężniejszym magiem nad całym Itilem, kiedy ty ssalesz jeszcze cycki tej nic niewartej drewlańskiej suki!

Opuścił Żelazny Kostur. Dosięgnął boku głowy Wołcha, ciskając bohaterem o blanki.

Bezwładne ciało zsunęło się na galerię.



– Wołch!

Kiedy Muromiec po upadku złamanego miecza swego druha spojrział w górę, Styrwit natychmiast to wykorzystał. Mimo że był ranny, w ogromnym cieple ciągle jeszcze kryło się wystarczająco dużo siły. Maczugą uderzył w skraj tarczy Ilji, który trzasnął o jego hełm. Szłom spadł z płowych włosów i zadzwonił na podłodze. Muromiec cofnął się o krok, zataczając się. Zawadził piętą o dolny schodek. Styrwit, wściekle dobywając reszty sił, nie przestawał walić w tarczę. Zmuszał Ilję, którego opuściła pewność siebie, do ciągłego cofania się. Młodzieniec, krok po kroku, wstępował tyłem na schody, jakby sam był obrońcą wieży, a Czeremis napastnikiem. Na szczęście Muromiec mógł polegać na tarczy. Co prawda z okucia sypały się iskry, ale nie została ona w żaden sposób uszkodzona, tak samo jak drewniany krąg, na którym, mimo spadających nań druzgocących ciosów maczugi, nie było ani jednej rysy. Doprowadzało to Styrwita do szaleństwa, a siła jego uderzeń wzrastała. Ilja, całkowicie skupiony na obronie, stale się cofał i zbierał siły do kontrataku. Kiedy złamał się jeden z kolców na maczudze i złomki żelaza prysnęły Czeremisowi w twarz, młody bohater wyprostował się wreszcie.

Błyskawicznie świsnął mieczem.

Maczuga zderzyła się z klingą. Drewno pękło wzdłuż. Gniew uwiązał w szczelinie. Wojownicy zaczęli targać za złączoną broń. Ilja wyswobodził ostrze szarpnięciem tak szybkim, że Styrowit aż się zatoczył. Muromiec przycisnął tarczą do ściany jego trzymającą pałkę rękę i z całej siły ciął.

Klinga ukośnie dosięgła piersi Czeremisa. Przepołowiała brązowy krąg ze znakiem czarnego smoka, przecięła mostek i głęboko zanurzyła się w ciele. Musiała trafić w serce, ponieważ Styrowit natychmiast zamarł, maczuga wypadła z jego nagle osłabłych palców. Ustami wylał się strumień krwi z rozciętych płuc. Ilja wyrwał ostrze. Jeszcze raz wzniosł jaśniejący miecz, od góry ciął Gniewem gołą, wytatuowaną czaszkę przeciwnika. Klinga zatrzymała się dopiero u nasady nosa. Styrowit postawił oczy w ślup, jakby się dziwił, co też mu nagle wyrosło na środku czoła.

– Powinieneś był wtedy wałnąć mnie maczugą, a nie kością – warknął Muromiec. Za pomocą miecza, ciągle tkwiącego w głowie wroga, odrzucił jego ciało na skraj schodów i mocno je kopnął.

Styrowit, w deszczu własnej krwi, spadł na kamień ofiarny na skraju studni, przechylił się przez krawędź i znikł w czarnym otworze – dokładnie tak, jak wszystkie złożone w ofierze niewolnice, które przywoził do Suwaru jako pokarm dla straszego mieszkańca lochów.

Ilja splunął za nim i spojrzał ku szczytowi wieży.

W tejże chwili zmartwiał ze zgrozy. Ujrzał, jak Zilant zbliża głowę do wyszczerbionej, potłuczonej galerii i bierze do pyska czyjeś bezwładne ciało. Muromiec rozpoznał Wsiesławiewicza. Człowieka, dzięki któremu odzyskał zdrowie i siły. Którego przekonał go, by wybrał drogę bohatera.

– Wooołch! – wrzasnął Muromiec i pobiegł na górę. Przeskakiwał już nie po dwa, ale od razu po trzy schodki.



Tugarin skłonił głowicę Żelaznego Kostura nad łuską, która wypadła ze

zniszczonego kostura Wołcha. Złomek natychmiast ożył, zamrugał srebrnym światłem, zadrżał z brzękiem i stanął na krawędzi. Najwyższy kapłan przysunął laskę jeszcze bliżej.

W tym momencie okruch łuski Zirnitry przyczepił się do złomka na końcu kostura Tugarina – jak kawałek żelaza przyciągany przez magnetyczny kamień. Dokładnie wpasował się w miejsce, od którego został oderwany wieki temu. Oba kawałki zajaśniały przenikliwie, a kiedy Tugarin z niemal uroczystym wyrazem twarzy podniósł Żelazny Kostur, smocza łapa na jej końcu dzierżyła już wyraźnie większy kawałek srebrnej łuski. W miejscu gdzie złomki się zrosły, nie było widać najmniejszej blizny czy miejsca złączenia.

– Brak już tylko trzeciego okruchu – mruknął sam do siebie i spojrzał na Zilanta.

Potwór właśnie w tej chwili podrzucił gadzią głowę, przez co ciało Wołcha wśliznęło się do przelyku i zupełnie znikło w zamykającej się prędko paszczy.

– Nieee!

Tugarin spojrzał w stronę, skąd dobiegał głos, i przyskoczył do wylotu schodów na galerię. Ilję dzieliło od niego tylko parę kroków. Czarodziej zamachnął się laską, teraz już znacznie mocniejszą, i uderzył w tarczę Muromca. Bohatyrę jakby trafił piorun. Sturlał się po schodach. Tylko cudem nie przeleciał przez krawędź studni i nie spadł w głębinę.

Tugarin odwrócił się ku Zilantowi i szybko wysyczał rozkaz. Smok skłonił giętką szyję. Najwyższy kapłan wspiął się na nią zwinnie, po czym wsunął kostur pod jedną z masywnych, czarnych łusek. Zilant wzdrygnął się z bólu, ale potem zaczął się posłusznie wznosić z wieży. Skrzydła machnęły raz, drugi i jeszcze raz, i jeszcze.

– Wzleć! – wrzasnął Tugarin, siedząc okrakiem za smoczą głową i trzymając się mocno zahaczonej laski. – Dasz radę!

Powietrzny wir pod coraz szybciej poruszającymi się skrzydłami był przeraźliwie. Ilja zebrał wszystkie siły i uparcie ruszył na przekór wichrowi. Zilant prędko rozwinął skręty łuskowatego cielska, żeby odbić się od wieży. Olbrzymi czarny wąż rzeczywiście zaczął się wznosić w noc.

Muromiec wbiegł na galerię, odrzucił tarczę, chwycił Gniew oburącz. Z całej siły ciął ciało gada. Klinga z przenikliwym brzękiem przebiła czarne łuski i zanurzyła się głęboko w mięśniach. Trysnęła ciemna, gorąca krew. Smok zaczął się wić, przy czym zdruzgotał kawałek galerii i część blanek. Uderzenie masywnego ciała odrzuciło Ilję z powrotem na schody. Miecz wypadł mu z dłoni i spadł do wnętrza wieży.

Mimo rany Zilant coraz szybciej machał skórzastymi skrzydłami. Smocza głowa – z Tugarinem, trzymającym się tuż za karkiem – wznosiła się coraz wyżej. Kiedy gad ocierał się o wierzchołek Zilantawu, cielskiem odłamywał ze ścian jeden wielki kamień za drugim. Wreszcie otarł się końcem ogona o szczyt wieży.

Zilant naprawdę wzleciał.

Po chwili jednak zaczął tracić wysokość i spadł na dom samego Tugarina, wznoszący się na stoku pod wieżą. Olbrzymi gad wpadł do budowli, jakby jej dach nie był zrobiony z porządnych desek, ale ze zwykłej słomy. Rozbił kamienne ściany i rozciął długi budynek na pół.

Smok nie poddawał się. Skręcił ciało – burząc następne ściany – podniósł wysoko głowę jak żmija tuż przed atakiem i znowu rozpostarł skrzydła. Kiedy nimi zamachał, ich kolczaste końce uderzały o ziemię. Zilant znów zaczął zyskiwać władzę nad powietrzem. Wiejące pod skrzydła podmuchy wiatru wznosiły go coraz wyżej. Rozwijające się pętle węzowego ciała burzyły jedną ścianę domu Tugarina za drugą, zmieniały budowlę w kupę zmiażdżonych gruzów. Wreszcie Zilant smagnięciem ogona rozrzucił kamienie ważące nawet kilka pudów i znowu wzleciał.

– Mocni bogowie... – wychrypiał Ilja, podnosząc się na nogi koło zdruzgotanych blanek. Przypatrywał się niesamowitemu widowisku.



Smok przeleciał nad murami Zilantawu i zamachał skrzydłami nad miastem. Cały czas miał kłopoty z utrzymaniem wysokości, więc zmiażdżył ogonem kilka dachów. W dzielnicy biedoty na skraju miasta wicher wzmagany ruchem skrzydeł rozmiótł szałas, z których zostały strzępy trzciny, drzazgi i patyki. Potem czarny smok wzniósł się nad mury miejskie. Uderzył w nie ogonem, zerwał jedną z drewnianych wież, potem jednak zaczął nabierać wysokości i prędkości. Wkrótce stał się tylko uskrzydłonym cieniem na tle gwiazdzonego nieba. Zanim spłoszone serce Ilji uderzyło tuzin razy, potwór zlał się w jedno z ciemnością nad widnokrzem.

Wyczerpany Muromiec osunął się na kamienie galerii. Może powinien się cieszyć, że przetrwał w tym piekle. Albo rozkoszować się zemstą, której dokonał na Styrcie. Potrafił jednak myśleć tylko o tym, że zawiedli.

Smok zmierzał bowiem na północ, wprost na oddalony plac boju pośrodku stepu.



W nocy nad Toktü rozległ się dźwięk rogów bojowych. Suwarowie na rozkaz chana zaczęli bić w wojenny bęben – czterech roślących mężczyzn na zmianę waliło w skórę naciągniętą na ogromny drewniany kocioł. Serca wszystkich ludzi w obozie na południowym brzegu dostosowywały się do dudniącego rytmu. W żyły wlewała się odwaga, waleczność i żądza krwi.

– W imię Tangry, władcy niebios, i Arkliga, pana bitewnego zgiełku! – wrzeszczał Mutahar, galopując w siodle swego rumaka, z mieczem wzniesionym nad głową. Jechał wzdłuż obsypanej ludźmi zapory z wozów. – Każdy nieprzyjaciel, którego zabijecie, będzie ofiarą dla bogów, a oni za to wleją wam we wszystkie członki siłę i waleczność! Prastare potęgi Nieba i Ziemi są po waszej stronie! Te zdradzieckie psy na drugim brzegu wyrzekły się ich, karygodnie odrzuciły, zaczęły się tchórzliwie kłaniać nowemu bogu! Słabemu bogu! Bogu, który padnie jeszcze przed świtem!



– Allah! Allah! – krzyczał emir Ahmed ibn Dżafar, galopując przed szeregami żądnych boju Bułgarów. – Nie ma Boga prócz Allaha, a my jesteśmy jego wojownikami! Allah jest wszechmocny, a my w jego imię zniszczymy przeklętych suwarskich niewiernych! Nie mogą zwyciężyć, bo są zwykłymi, parszywymi poganami, którzy karmią swoje stare, zdychające biesy krwią kobiet i dzieci! Dzisiaj im pokażemy, że nasz Bóg jest mocniejszy!

– Na Peruna, Dadźboga, Odyna i Thora! – Światosław wykręcił młynka nad głową pokrytym runami mieczem, a horda Kijowian odpowiedziała mu chóralnym okrzykiem. – Uderzymy na te psy jak ognisty topór Gromowładcy! Rozmieciemy ich śmieszłą zaporę jak niszcząca błyskawica, wypełnimy suche koryto rzeki potokiem ich krwi!



– Przebudźcie swą smoczą moc! – wrzeszczał Mutahar. – W każdym z nas drzemie duch mocnego Zilanta! Musimy go tylko wskrzesić i pozwolić, żeby okazał swą dzikość! Ta potęga łączy nas z ziemią! Z ziemią, która należała do nas na długo przed tym, zanim parszywe konie tych bułgarskich czerwi rozdeptały ją kopytami!



– Jesteśmy dziećmi wielkiego chana Kubrata! Spadkobiercami potężnego bułgarskiego państwa Onogur, które rozciągało się od Itilu aż po Kaukaz i ku brzegom Morza Pontyjskiego! Dzisiaj został nam już tylko ten kawałek ziemi! Chcecie, żeby i on został nam odebrany przez kraczące wrony, które kiedyś ucztowały na ciele zdradziecko zniszczonego Onoguru?

Bułgarzy wyrazili sprzeciw gromkim okrzykiem.

– Naprzód więc! – wrzasnął emir Ahmed. – Naprzód, wnuki Kubrata! W imię Allaha i Mahometa!

Jeźdźcy z Bułgaru pognali konie. Wojsko podzieliło się na dwie części.

Bułgarzy i Bilarowie pod wodzą Ahmeda ruszyli w prawo, najemnicy z plemion Udmurtów i Esegelów pod wodzą Taliba i Mumina w lewo. Oba skrzydła miały przekroczyć rzekę po bokach umocnionego obozu, a potem galopem uderzyć na jego flanki i tył.

Podczas gdy jeźdźcy Ahmeda mieli być kleszczami, które zacisną się na nieprzyjacielu, rolę młota wzięli na siebie Kijowianie i Waregowie z Helgardu. Światosław poczekał, aż bułgarscy jeźdźcy na obu skrzydłach oddalą się dostatecznie, po czym pogroził mieczem gwiazdom.

– Naprzód, bracia! – krzyknął i ruszył. – Za naszych bogów! Za sławę Kijowa!

Bojarzy, przy rzeniu tysięcy koni i dzwonieniu sławnego kijowskiego żelaza, ruszyli rażno – środkiem, wprost ku rzece i zaporze z wozów. Zaraz za nimi wymaszerowała helgardzka piechota. Mimo że po nocnym ataku koczowników szeregi Waregów znacznie się przerzedziły, nie stracili przez to odwagi ani waleczności, wprost przeciwnie – ze wszystkich sił pragnęli zemsty.

– Naprzód, wilki, naprzód! Na krew Thora! – wrzeszczał Bragi Halvorsson z siodła swojego żrebca.

Step drżał pod kopytami nabierających prędkości koni i nogami biegnących piechurów. Rogi wyły, ogromny suwarski bęben dudnił jak nieustanne gromobicie.

Atakujący zbliżali się szybko do wyschniętej rzeki. Obrońcy na rozkaz Mutahara wzniesli setki łuków. Chan wrzasnął i machnął mieczem.

Nad koryto pełne popękanego, suchego bagna wleciały chmury strzał. Bitewne demony śpiewały okrutną pieśń na świszczących lotkach pocisków.



Cwałujące konie łomotały kopytami o ulice zalane przez chaos i zgrozę. Gromadę uciekinierów próbowali zatrzymać jedynie dwaj pozostali przy życiu baghaturowie przy bramie Zilantawu. Ilja ściął mieczem jednego z

nich, Buruszko szeroką pierśią obalił na ziemię drugiego i zmiążdżył mu czaszkę kopytami.

Pędzili galopem w stronę północnej bramy. Nie zostało ich zbyt wielu, a ci, którzy przeżyli, nie byli w najlepszym stanie. Alosza ze spaloną połową twarzy. Mikuła z połamanymi żebrami, chrapliwie łapiący dech przy każdym zakołysaniu się siodła. Jegor z zakrwawioną głową, nieustannie walczący z mdłościami, niebezpiecznie chwiejący się w siodle. I dwaj gorynycze, rodzeni bracia z Połocka – Diwlan ze zwichniętym ramieniem i ranami na udzie oraz Borowej z paskudnie poparzoną połową ciała.

Ilja jako jedyny nie został poważnie ranny. Jego zadaniem było teraz wydostanie druhow z miasta. Na ulicach nie natrafili na żaden opór, wszyscy z krzykiem schodzili im z drogi, jednak kijowscy bohaterowie zbliżali się do solidnie zamkniętej bramy. Muromiec przeczuwał, że nie obejdzie się bez boju.

Ciemny wał, oświetlony tylko pochodniami umieszczonymi na szczycie palisady i pod daszkami drewnianych wież, rósł groźnie przed oczyma. W wykładanym bierwionami przejściu do głęboko zanurzonej bramy Ilja dostrzegł gromadę ludzi, koni i wielbłądów. Nawet nie zwolnił, tylko wzniósł miecz. Wezwał na pomoc Peruna.

– Stać! – zawołał jeden z ludzi i wyjechał bohaterowi naprzeciw, trzęsąc się śmiesznie na garbatym grzbiecie wielbłąda. – Zatrzymajcie się! Opuśćcie broń!

Muromiec prędko wyprostował się na siodle, szarpnął wodze. Buruszko zarżał i zatrzymał się, aż spod kopyt poleciały kamienie.

– Karczmarzu? – Ilja gapił się ze zdziwieniem na zbliżającego się jeźdźca.  
– Czyżby mnie wzrok mylił?

– Widzisz bardzo dobrze. – Uśmiechał się Mirtimer. – Myśleliście, że już będę za siedmioma górami, co? Nie jestem aż takim tchórzem. Czekam na was. Teraz jednak najwyższy czas zmykać! Narobiliśmy już w tym mieście

wystarczająco dużo szkód!

– A co ze strażnikami? – Ilja smagnął wzrokiem bramę.

– A co ma być? Przekupiłem ich. Obiecałem też, że kiedy Bułgarzy zwyciężą i przybędą, by obsadzić Suwar, emir nie tylko daruje im życie, ale nawet robi z nich wodzów.

– Musiałeś więc kłamać – cierpko rzekł Muromiec. – Nie widziałeś, jak smok leci na północ? Zwycięzcą będzie Suwar.

– Czyli strażnicy nie będą się zbyt długo radować moim złotem. Ale to już ich zmartwienie, czyż nie? Jedźmy, nie traćmy czasu!

Karczmarz zawrócił pomrukujące zwierzę, pospieszył do swego orszaku i gromady strażników. W podnieceniu zamienili kilka zdań, których Ilja nie zrozumiał. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak i wartownicy chcieli ich oszukać, stale mocno ścisnął w ręce rękojeść miecza.

Kiedy jednak brama naprawdę zaskrzypiała i Muromiec dostrzegł w rozszerzającej się szparze między skrzydłami wrót zalany światłem gwiazd step, zrozumiał, że rozlew krwi w Suwarze – przynajmniej dziś – się skończył.



W tym czasie nad Toktü rozlew krwi nie miał się ku końcowi. W bitwie ciągle nie objawił się wyraźny zwycięzca, mimo że na wschodzie, w niebieskawej mgłę dalekich uralskich lasów, rodził się dzień i Dadźbóg wybierał się w drogę na niebo. Obie strony liczyły poległych już nie w setkach, ale w tysiącach, jednak Suwarzy i ich sprzymierzeńcy jeszcze się bronili. Rozpaczliwie, ostatkiem sił, których ciągle ubywało. Tug Mutahara wciąż dumnie odmawiał poddania się bułgarskiemu sokołowi i półksiężycowi.

Zwłoki ludzi i padlina koni wypełniały koryto rzeki w takiej ilości, że zmieniły się w okropny most z pociętego, stygnącego mięsa. Zaostrzone pale, którymi Mutahar kazał wzmocnić południowy brzeg, były zbryzgane krwią i

obwieszane strzęgami ludzkich i końskich ciał. Kijowianie wywrócili lub połamali większą ich część. Również zapora z wozów została rozbita. Bojarzy pod wodzą Światosława, Swenelda i Bragiego zdobyli ją jeszcze w ciemności, przebili się do środka, a kiedy zbliżał się świt, już przemierzali obóz. Z przeciwnej strony na nieprzyjaciół parli wojownicy Ahmeda, którzy stoczyli krwawy bój z najemnikami Mutahara i stopniowo, za cenę olbrzymich strat, wybili koczowników do nogi.

Kilkuset otoczonych Suwarów stawiało zaciekły opór pośrodku obozu. Chan ochrypl od wykrzykiwania rozkazów i nieustannych pogroźek, że jeśli ktokolwiek choćby pomyśli o złożeniu broni, posmakuje jego własnego miecza. Wiara w moc starych bogów ciągle jeszcze tliła się w Mutaharze. Nie pozwalała mu przyjąć do wiadomości, że w sercach jego ludzi nadzieja już dawno zgasła.

– Walczyć, tchórze! Każdy krok wstecz musicie okupić krwią dziesięciu wrogów! Zmęczone suwarskie szyki rwały się coraz szybciej. Chwiały się tuż ze znakiem Zilanta. Wielki bitewny bęben już dawno umilkł, leżał na środku placu boju z przedziurawioną błoną, pokryty krwią.

Wśród tych, którzy przeżyli, był Kalin. Młody bagain broczył krwią z kilku płytkich ran, ale fizyczny ból był niczym w porównaniu ze świadomością, że zawiódł jako wódz. Z tym większą wściekłością rzucał się teraz do bezpośredniego boju ramię w ramię z prostymi wojownikami, starając się zmyć hańbę jak największą liczbą zabitych nieprzyjaciół. Udawało mu się – krew Kijowian pokrywała go od stóp do głów. Wytrzeszczył nagle oczy i wstrzymał dech. Nie, przyczyną nie była klinga przeciwnika, któremu udało się wreszcie przedostać przez jego obronę. Kalin coś dostrzegł. Odbił włócznie nacierających Kijowian i wycofał się z uparciem walczącego szyku, by móc się lepiej przyjrzeć i upewnić, że nie są to tylko przedśmiertne omamy. Jego miejsce w krwawym tłumie zaraz zajął jeden z najbliższych drużynników chana.

Kalin z niedowierzaniem spoglądał w niebo.

– Wielki chanie! – wykrzyknął po chwili. Mutahar obejrzał się.

– Spójrz tam, panie! – Bagain zakrwawionym mieczem wskazywał coś na południu. Władca Suwaru popatrzył i zamarł.

Od ciemności wiszącej nad widnokregiem oderwał się wielki cień. Na tle blednącego nieba rozpostarł szerokie skrzydła, którymi machał z wysiłkiem. Zjawa szybko leciała w stronę Toktü.

– Na bogów... – wychrypiał Mutahar, ale prędko się opamiętał, wyprostował plecy i ze wszystkich sił krzyknął. – Bogowie przybywają nam na pomoc! Patrzcie, synowie Suwaru! To wielki Zilant! Wypuszczony z podziemnego więzienia, gotów zesłać klęskę na głowy bułgarskich bękartów!

– Na rogi Welesa – zaklął Światosław, już od dawna z mieczem stepionym od tuzinów suwarskich mieczy, tarcz, pancerzy i kości. – To jest... Widzicie to, bracia? Czy to jest to, o czym myślę?

Bragi rozrąbał toporem pierś następnego wroga, wyrwał ostrze z ciała konającego człowieka i spojrzał w niebo.

– Suwarski smok – westchnął.

Także Ahmed ibn Dżafar, słysząc okrzyki swych wystraszonych ludzi, obejrzał się w siodle.

– Allahu, stój przy nas!

Ogromny uskrzydłony wąż zbliżał się prędko. Leciał nisko. Prąd powietrza spod jego skrzydeł rozgarniał morze stepowej trawy. Początkowe zaskoczenie w głosach Bułgarów ustąpiło miejsca nieudawanemu przerażeniu.

– To Zilant! Kryć się! Jego płomienny oddech obróci w popiół wszystko, co żywe!

Bój ustał na chwilę. Wszyscy ludzie, nieważne, czy pod wodzą Ahmeda, Mutahara czy Światosława, kulili się instynktownie. Chowali się za tarczami, płaszczami, resztkami chat i wozów albo w kupach zwłok i padliny.

– Książę! – jęknął Sweneld i z wielką tarczą na przedramieniu skoczył

przed Światosława. Młody władca i jednooki Wareg razem przygarbili się za okutym metalem drewnianym kręgiem.

Już słyszeli miarowe, niskie huczenie machających skrzydeł. Porywy wiatru wtargnęły na plac boju, rozwiały brody i włosy ludzi, grzywy rumaków, załopotwały kitami na czubkach szyszaków, strzępami zakrwawionych płaszczy i kolczug, potarganymi proporcami, końskimi ogonami na tugach. Zatargały gęstwą strzał i włóczni, sterczących ze zwałów zwłok na obu brzegach rzeki. Wzbiły kurz i dym z palących się chat, rozmiotły słomiane strzechy, potoczyły spadłymi hełmami i baraniami czapkami.

– Chronź nas, Perunie! – wychrypiał Światosław, sięgnął piersi i mocno ścisnął złoty toporek w brudnych, zakrwawionych palcach o potłuczonych stawach. – Zaklinam cię na całą ludzką i byczą krew, którą kiedykolwiek przelałem ku twej czci!

Czarny smok zafalował węzowym ciałem nad głowami ludzi. Przeleciał tak nisko, że ci, którzy odważyli się na niego zerknąć, mogli dostrzec sylwetkę człowieka siedzącego na giętkim karku.

Z nieba nie spadła żadna ogniska klęska. Zamiast płomieni ludzi skropił gorący, ciemny deszcz. Światosław i Sweneld wyprostowali się. Ze zdumieniem spojrzeli na tarczę. Jej powierzchnia była zalana świeżą czerwienią.

– Krew – wychrypiał książę i obejrzał się za smokiem.

Zilant zmierzał dalej na północ. Nie wyglądało na to, żeby miał zamiar zawrócić i dokonać drugiego nalotu na obóz. Z gadziego ciała tuż pod skrzydłem tryskał ciemny strumień.

– Krwawi – powiedział Światosław. – Smok krwawi! – wrzasnął po chwili. – Słyszycie, bojarzy?! Potwór jest ranny! Śmiertelnie ranny! Już nie ma siły miotać płomieni, bo razem z ogniem wypłuży duszę! Wołch osiągnął cel! Gorynyczom się powiodło! Ranili bestię i zmusili ją do ucieczki!



Kijowianie wyprostowali się, zaszumieli. W ich głosie zmęczenie mieszało się z okrzykiem zwycięstwa. Całkiem zagłuszyli skomlenie i jęki nieprzyjaciół.

Teraz już nie było wątpliwości, kto wygrał nocną bitwę.

Ludzie Światosława z nowymi siłami rzucili się na zawiedzionych, zupełnie załamanych Suwarów. Znow szczękała broń, bogowie wojny znow śpiewali swą pieśń.

Kalin wiedział, że są zgubieni. Na chwilę wezbrała w nim nadzieja i wiara w bogów, w siłę smoka, ale równie szybko zgasła, zmieniła się w popiół, rozmielony skrzydłami śmiertelnie ранego Zilanta.

Zostało mu tylko jedno. Zginąć z honorem, jak przystało. Stawiając czoło godnemu przeciwnikowi. Z szablą nad głową przedarł się przez szczelinę w suwarskim szyku i rzucił się na wysokiego, siwawego Kijowianina w pysznej zbroi. Słyszał wcześniej, jak ten wydawał rozkazy. Domyślał się, że to jeden z wodzów.

Sweneld też wiedział, że dziko atakujący człowiek jest wodzem suwarskiego wojska, drugim po Mutaharze. Pojedynek z prawą ręką chana uważał za łaskę bogów, za nagrodę od samego Odyna. Warknął i wznosił tarczę.

Bagain zakrzywionym ostrzem uderzył okrąg z obtłuczonym znakiem dwóch kruków. Raz, drugi, jeszcze raz. Po chwili Sweneld wyprostował się rażno i przeszedł do kontrataku. Ciosem ciężkiej wareskiej klingi zmusił Kalina do cofnięcia się. Bagain potknął się o trupa, zachwiał się, a wtedy Sweneld spuścił wyszczerbione ostrze między szyję a ramię przeciwnika. Rozległ się trzask łamanych kości, trysnęła krew. Młody bagain z niezrozumiałym okrzykiem padł na kolana.

– Kalinie! – wrzasnął ktoś.

Sweneld podniósł wzrok. Zobaczył, że rozpaczliwy okrzyk wyszedł z gardła samego władcy Suwaru. Mutahar od lewej oburącz ciął szablą

krawędź tarczy Warega i w ten sposób odrzucił go w prawo. Siwy wódz się zatoczył. Drugie cięcie chana musiał sparować mieczem. Było tak silne, że na chwilę sparaliżowało mu rękę. Ciężko usiadł na trawie.

Mutahar kopnięciem wytrącił Sweneldowi miecz z ręki i zamachnął się. Żądza zemsty dodała mu sił. Był zdecydowany rozciąć wareski hełm razem z czaszką, którą ten chronił.

Północni bogowie mieli jednak słabość do jednookiego zabijaki i zdecydowali, że przeżyje tę bitwę, tak jak i mnóstwo poprzednich. Ich narzędziem stał się Światosław we własnej osobie. Księżę przyskoczył z boku do biorącego zamach Mutahara i ciął go silnie mieczem w pierś. Pancierz zadźwięczał, posypały się drobne żelazne krążki z przeciętej kolczugi. Chan usiłował złapać dech, zrobił dwa niepewne kroki w tył i padł obok charczącego Kalina. Ze spojrzeniem zwróconym w stronę gasnących gwiazd zrozumiał, że to koniec. Puścił miecz, ostatkiem sił przewrócił się na bok i poczołgał ku młodemu wodzowi. Ten spojrzał na niego mętным wzrokiem.

– Wybacz, ojcze – z ust bagaina wydobył się strzęp krwawej piany, a on sam wyprężył się po raz ostatni.

– Synu! – wycharczał Mutahar, ale ciało Kalina nagle zwiotczało. Bagain już niczego nie słyszał.

Władca Suwaru spojrzał na Światosława. Księżę odpowiedział spojrzeniem, wziął głęboki wdech, uniósł miecz. Ciął prędko, oburącz, precyzyjnie.

Sweneld starał się pozbierać, klnąc przy tym ze złości. Światosław wyciągnął ku niemu rękę. Wareg spojrzał na niego z rozdrażnieniem. Kiedy nie dostrzegł na twarzy księcia śladu szyderstwa, a jedynie czyste braterstwo, jakie odczuwali względem siebie wojownicy pośród walecznej wrzawy, chwycił podane przedramię. Pozwolił, żeby młody władca pomógł mu się podnieść.

Świtało. Słoneczny źrebiec Dadźboga wyrzał z za widnokręgu – nieśmiało, jednym okiem, jakby chciał się przekonać, czy jest już po bitwie i czy może bez obaw pokłusować na niebo.

Tug ze złotym Zilantem po raz ostatni zabłysnął w świetle słońca. Po chwili z łoskotem padł w kurz razem z bronią odrzucaną przez poddających się Suwarów.



Światosławowi przyprowadzono konia. Księżę wskoczył na siodło. Objeżdżał wojsko przy dźwiękach rogu i zwycięskich okrzykach ludzi. Kiedy Ahmed i jego synowie spostrzegli go i zobaczyli, że w podniesionej ręce obwozi jako trofeum głowę Mutahara, pokornie zsiadli z koni i uklękli na zakrwawionej ziemi. Bułgarscy i kijowscy wojowie poszli za ich przykładem. Bragi, który ukląkł mimo krwawiących ran, z wyczerpania oparł czoło o nasadę zakrwawionego topora. Stali tylko hardzi ludzie Swenelda, zwani Rusami. Księżę zatrzymał konia przed ich wodzem. Spojrzał w jego zdrowe oko. Wydawało mu się, że po raz ostatni pojawiła się w nim iskra buntu, potem jednak okryty bliznami Wareg oparł miecz sztychem o ziemię, ukląkł na jedno kolano i z nieudawaną czcią pochylił głowę. Jego wataha przyłączyła się bez słowa, w zupełnej ciszy.

Dadźbóg podniósł się znad widnokręgu. Wiatr przecesał jego złotą grzywę i rozsypał przenikliwą jasność po naditilskich równinach. Krew migotała w tym świetle jak rozsypane ciemne rubiny.



Ilja obserwował wschód słońca ze szczytu niewysokiego pagórka, porośniętego zagajnikiem młodych, nieśmiało szumiących jaworów. Długo stał z zamkniętymi oczami. Pozwalał, by słoneczny źrebiec gładził go po twarzy grzejącymi promykami słońca. Aż do tej chwili Ilja nie zdawał sobie sprawy, jak człowiek może rozkoszować się zwyczajnym świtem. W ciągu minionej nocy jednak tyle razy zwątpił w zobaczenie słońce, że teraz świt

wydawał mu się darem bogów.

– To była próba ognia – zza pleców młodzieńca zabrzmiał słaby głos. – Dosłownie.

Muromiec obejrzał się. Jegor ledwie chwilę temu odzyskał przytomność. Siedział oparty plecami o pień drzewa i spoglądał na Ilję zmęczonymi oczyma.

– Ale wyszedłeś z niej zwycięsko – dodał.

– Ja może i tak – mruknął Muromiec. – Ale to nie był zwycięski bój. Poległo zbyt wielu naszych. Zginął Hassan, następca bułgarskiego tronu. Straciliśmy Wołcha. Tugarin i Zilant przeżyli. Tylko bogowie wiedzą, jaka klęska spotkała naszych na północy.

Nieopodal, w cieniu szumiących jaworów, leżeli albo siedzieli pozostali bohaterzy. Pozwalali, by Mirtimer i jego słudzy opatrywali im rany. Jak przyznał właściciel zajadu, nawet w luksusowym „Ognistym źrebcu” od czasu do czasu zdarzały się bójkі, a on musiał się nauczyć, jak szybko zatamować krwotok szanownym gościom albo unieruchomić złamanie. Te umiejętności przydały mu się teraz – drużynnicy byli potłuczeni, jakby przetoczyła się po nich lawina kamieni.

– Może i nie odnieśliśmy zwycięstwa – zgodził się Jegor – ale walczyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy. A ty przynajmniej dokonałeś zemsty, czy tak?

Ilja skinął głową, zasępiony.

– Owszem. Styrwit posmakował mego miecza, zanim spadł w ciemność. Tylko że, jeśli mam być szczery, nie bardzo mnie to ucieszyło. Czułbym się lepiej, gdybym miał czas zadbać o te biedne niewolnice...

– Znalazłeś je? Porwane dziewczyny, które miały zostać złożone w ofierze Zilantowi? Przeżyły?

– Przeżyły. Uwolniłem je. Musiałem jednak pozostawić je ich własnemu losowi. Zgubiły się gdzieś w suwarskich uliczkach.

– To przecież wystarczy – burknął Jegor. – Jakoś dadzą sobie radę. W najgorszym razie znów zostaną niewolnicami. Uratowaliśmy je przynajmniej przed śmiercią w smoczej paszczy. Nie mogłeś dla nich zrobić nic lepszego.

– Hm. Chyba nie. Tam pod wieżą musiałem szybko decydować. Albo ratować porwane dziewczęta, albo zabrać w bezpieczne miejsce rannych druhów. Dokonałem wyboru. I nie żałuję, nie wyrzucam sobie tego – postąpiłem słusznie. Jesteśmy przecież drużyną, nie?

Jegor zaczął się gramolić z ziemi. Ilja podszedł i podał mu rękę. Stary bohater chwycił ją po chwili wahania. Mimo że był barczysty i ciężki, Muromiec podniósł go całkiem łatwo.

Jegor nie puścił jego ręki.

– Właśnie tak, chłopcze – przytaknął. – Drużyna jest najważniejsza. Najwyraźniej już to zrozumiałeś. Dzisiejsza noc zrobiła z ciebie prawdziwego bohatera.

Potem szybkim szarpnięciem przyciągnął do siebie młodego siłacza. Objął go krótko, po męsku, ale za to mocno i serdecznie. Ilja odpowiedział zmęczonym, smutnym uśmiechem. Udawał, że nie zauważył łez w oczach Jegora.

## Skradzione imię

**D**alekie, ponure lasy w dolinie rzeki Juszut na ogół okrywała majestatyczna cisza. Zakłócał ją tylko szczebiot ptactwa, czasem wycie wilków albo ryk jelenia w rui. Za panów tych okolic uważało się plemię Czeremisów, ale ich osady i gród stały daleko stąd, więc ziemia była właściwie niczyja. Przez całe miesiące nie działo się tu nic ciekawego. Najwyżej ryby wyskakiwały nad powierzchnię wody i łapały nieostrożne owady. Czasem nad drzewami zapiszczał jastrząb i pikując, rzucał się na susła biegającego po łące. Albo przez las w dzikim popłochu przebiegało stado saren – z watahą wilków następujących im na kopytka. Po nocach z najciemniejszych głębin puszczy dobiegał tajemniczy śpiew i ohydne skrzypiące głosy, które nie były ani całkiem ludzkie, ani całkiem zwierzęce. Jednak nawet to nie było niczym niezwykłym – każdy las miał swoje demony.

Tym razem jednak cały las był na nogach. W dolinę przycwałowali jeźdźcy. Gnali wzdłuż trawiastych lub pokrytych kamykami brzegów rzeki. Przybywali z Kokszaży, wielkiego grodu na północnym zachodzie, głównej siedziby Czeremisów. Dwa tuziny rosłych, uzbrojonych po zęby ludzi wiódł sam czeremiski książę Wargan. Liczył co prawda tylko trzydzieści pięć zim i ledwie przed rokiem zasiadł na włodarskim stolcu, ale krwawy sposób, w jaki

przejął władzę, już zyskał mu opinię kogoś, kogo należy się obawiać. Wieści o tym, jak opanowany żądzą władzy Wargan bezlitośnie zamordował byłego księcia, własnego starszego brata, zmuszały opowiadających te przesadzone historyjki, by wypowiadali imię władcy szeptem, z prawdziwym lękiem.

Hałaśliwy przejazd jeźdźców był jednak niczym w porównaniu z wydarzeniem, które przed dwoma dniami wprawiło las w popłoch. W środku niezwykle chłodnej, ciemnej nocy z południa nadleciał ogromny, straszliwy cień. Leciał tak nisko, że od podmuchów wiatru wywiewanego spod jego skrzydeł kołysały się wierzchołki drzew. W końcu stracił wysokość i spadł w lesie. Łoskot drzew, które pod ciężarem ogromnego cielska łamały się jak suche patyki, było słychać na całe wiorsty.

Tej samej nocy we śnie Wargana pojawił się cień uskrzydłonego węża. Wzywał go na to odległe miejsce pośrodku lasu. Książę bardzo dobrze wiedział, kto prosi go o pomoc w ten niezwykły sposób. Jeszcze przed świtem wezwał swoich drużynników i kazał siodłać konie. Przez dwa dni gnali na złamanie karku.

Książęca drużyna zbliżała się do wiatrołomu. Jeźdźcy już widzieli świetlisty las na lewo od rzeki, przez soczystą zieleń prześwitywało blade drewno na kikutach połamanych drzew. Nie skręcili jednak w tę stronę, już przed chwilą dostrzegli bowiem smugę dymu, bijącą w niebo na brzegu rzeki. Wargan uniesioną ręką dał znak, by zwolnić. Ludzie unosili się w strzemionach i niecierpliwie spoglądali przed siebie. Książę nie powiedział im przecież ani słowa o celu nieoczekiwanej wyprawy, byli więc niezmiernie ciekawi, dokąd to gnali z wiatrem w zawody przez ostatnie dwa dni.

Na trawiastym brzegu przy wesoło trzaskającym ogniu siedział żylasty, białowłosy, ale o dziwo wcale nie stary mężczyzna. Jego odzież była potargana, uwalana ziemią i pokryta ciemnymi plamami zaschniętej krwi. O kłodę, na której siedział, był oparty dziwnie kuty kostur z żelaza. W głowicy o kształcie łapy smoka znajdował się wielki, płaski kawał srebra.

Nieznajomy nie zaszczycił zbliżających się jeźdźców nawet jednym

spojrzeniem – w skupieniu opiekał rybę, nadzianą na leszczynowy pręt. Dopiero gdy czeremiski wódz wstrzymał konia parę kroków od niego, zapytał:

– Czemu to trwało tak długo, Warganie?

W tej chwili druzynnicy z Kokszaży doczekali się czegoś, czego nigdy nie widzieli i nie wierzyli, że kiedykolwiek zobaczą. Wargan, ten dumny pyszałek, szybko zeskoczył z konia, ukląkł i ze czcią pochylił głowę.

– Wybacz mi, wielki Tugarinie. Jechaliśmy tak prędko, jak tylko się dało. Mało nie zajeździliśmy koni.

Kiedy Czeremisi usłyszeli to imię, wytrzeszczyli oczy. Również jęli zsiadać z koni i padać na kolana.

Czarodziej tylko coś wymamrotał. Przyciągnął bliżej rybę. Kiedy zobaczył, że nie jest jeszcze gotowa, gniewnie wydał wargi. Znowu wyciągnął pręt nad ogień.

– Suwar padł – rzekł jakby mimochodem. – Wieża została zniszczona, a Zilant nie żyje. Ja sam musiałem uciec. Wybrałem Kokszażę na swoje schronienie. Na pewien czas. Potem wyruszę na północ.

Wargan najpierw drgnął, kiedy usłyszał te wieści, ale potem skinął głową.

– To dla nas zaszczyt, że wybrałeś właśnie Kokszażę, synu smoka. Czeremisi powitają cię jak wysłańca bogów.

Książę zaciął się i spojrzał w lewo. Oczywiście już wcześniej zauważył szalasa, stojący w gęstym jodłowym zagajniku na brzegu rzeki. Dopiero teraz jednak dostrzegł, że w cieniu pod nim leży ciało człowieka.

– Kto to jest, potężny? – zapytał.

– Jeniec – odparł Tugarin.

– Żyje?

– Na razie tak.

– Co się stało z jego twarzą? – Wargan zmrużył oczy. – I z rękami... z



całym ciałem...

– To przez soki ze smoczej paszczy.

– Ach tak... Zdradzisz mi, kto to właściwie jest? Musi być cenny, skoro wlokłeś go ze sobą z tak daleka...

– Wszystko jedno, kim był przedtem. Ma pewną wartość, ale kiedy wyszę z niego czary, które odziedziczył po swoich znacznie potężniejszych przodkach, zostanie z niego kawał mięsa, bezwartościowy i bezimienny. Braniec. Niewolnik. U nas na południu nazywamy takich koszczi.

Wargan ze zrozumieniem kiwnął głową.

– W języku Czeremisów jest podobne słowo. Będziemy go zatem nazywać Kościej.

– Jak chcesz. – Tugarin wzruszył ramionami, patrząc na rybę. – I tak przed nim tylko parę dni życia. Potem zostanie zapomniany, nieważne, jak go nazwiesz. Wierz mi, Warganie – nikt nigdy nie wspomni o żadnym Kościeju.

# **Dodatki**

## DAWNE NAZWY GEOGRAFICZNE

**Arbuga** – miasto w Bułgarii Nadwołżańskiej, leżące na południowym krańcu kraju.

**Balimer** – miasto w Bułgarii Nadwołżańskiej, leżące niedaleko stołecznego Bułgaru, w pobliżu Wołgi.

**Bilar** – jedno z największych miast Bułgarii Nadwołżańskiej, od VIII do XIII ważne centrum handlu. W kronikach staroruskich pisze się o nim jako o "wielkim mieście", ponieważ miało imponującą jak na owe czasy liczbę mieszkańców – 100 000.

**Bułgar** – stolica Bułgarii Nadwołżańskiej (zwanej też Bułgarią Wołżańsko-Kamską lub Bułgarią Kamską), dzisiaj ważne stanowisko archeologiczne. Biały meczet, wzmiankowany w tej powieści, stoi do dziś i jest znanym zabytkiem.

**Carogród** – ruska nazwa Konstantynopola, stolicy Cesarstwa Bizantyjskiego.

**Chanat Kimecki** – państwo założone przez związek plemion turkotatarskich, jak Kipczakowie, Kimekowie czy Jamakowie. Rozciągało się na stepach leżących na południe od Uralu. Przetrwało od około VI do XIII stulecia.

**Chorezm** – przez krótki okres jednolite państwo, przez większość czasu istnienia nazwa zbiorcza dla kilku starożytnych państw-miast w dzisiejszym Uzbekistanie. Miasta te były ważnymi przystankami na Jedwabnym Szlaku i prawdopodobnie właśnie tam jeździli kupcy z Kijowa, państwa Chazarów i Bułgarii Nadwołżańskiej kupować rzadkie towary przewożone Szlakiem.

**Grecja** – nazwa ta, stosowana w starej Rusi, nie oznaczała dzisiejszej Grecji, ale Cesarstwo Bizantyjskie. Znany szlak handlowy „od Waregów do Greków” był połączeniem między Skandynawią a Konstantynopolem – Carogrodem. W powieści, dla lepszej orientacji Czytelnika, użyto również określenia Wschodni Rzym, mimo że na ziemiach ruskich nie nazywano Bizancjum w ten sposób.

**Hedeby** – duże centrum handlowe wikingów w pobliżu dzisiejszej granicy Danii z Niemcami, znane głównie dzięki wielkiemu portowi otoczonemu masywnym, dobrze strzeżonym wałem obronnym.

**Itil** – stara nazwa rzeki Wołgi, pochodząca z języków turko-tatarskich, a znacząca po prostu Długa Rzeka.

**Jelabuga** – miasto w Bułgarii Nadwożańskiej, powstało jako przygraniczna twierdza na rzece Kamie. Jest sławne dzięki stojącej do dzisiaj Diabelskiej Wieży (*Szajtan kalasi*), w której, według baśni, mieszkał wielki wąż-smok. To miejsce w dużym stopniu wpłynęło na obraz Zilantawu w tej powieści, zostało jednak na potrzeby fabuły przeniesione do Suwaru, gdyż również w Suwarze oddawano cześć smokom i nie jest wykluczone, że podobna wieża, poświęcona „świętym węzom”, rzeczywiście stała również w tym mieście.

**Kokszaga** – stara nazwa Jozkar-Olu, stolicy rosyjskiej republiki Mari-El. Centrum plemienia Czeremisów.

**Kijów** – aby nazwy z epoki nie wprowadziły nadmiernego zamieszania w głowach Czytelników, zachowano dzisiejszą nazwę stolicy państwa Waregów na terenie dzisiejszej Ukrainy. Sami Waregowie (prawdopodobnie również Światosław i ludzie żyjący w jego czasach) na oznaczenie Kijowa używali wareskiej nazwy Könungardr. Nowogród określali mianem Holmgardr, Murom – Muramar, Smoleńsk – Smalenskja, Połock – Palletskja. Przybysze ze Skandynawii określali ziemie dzisiejszej Rusi nazwą Gardariki lub Gardarna.

**Morze Chwaliskie** – stara nazwa Morza Kaspijskiego, używana w

staroruskiej kronice *Powieść minionych lat*. Nazywane też Morzem Chazarskim.

**Morze Ponckie** – staroruska nazwa Morza Czarnego, odnotowana w *Powieści minionych lat*. Jest w zasadzie bezsensowna, ponieważ greckie *pontos* znaczy właśnie „morze”.

**Murom** – główna siedziba ugrofińskiego plemienia Muromców, o którym staroruska kronika *Powieść minionych lat* podaje, że istniało jeszcze przed przybyciem na Ruś Ruryka, czyli w początkach IX stulecia. Podobno już wtedy gród ten należał do największych na terenie Rusi.

**Onogur** – inna nazwa tak zwanej Starej Wielkiej Bułgarii, czyli państwa pierwotnych Bułgarów, które rozciągało się od Morza Czarnego po południowe stoki Uralu. Jego pierwszym i ostatnim władcą był chan Kubrat. Po rozpadzie Onoguru, jego syn Asparuch poprowadził jedną gałąź plemienia nad Dunaj, gdzie koczownicy założyli dzisiejszą Bułgarię. Drugi syn, Kotrag, odszedł z pozostałymi rodami nad Wołgę, gdzie powstała Bułgaria Nadwołżańska.

**Państwo Chazarów** – założone w VII wieku przez Chazarów, pierwotnie koczowniczy lud pochodzenia tureckiego. Rozciągało się od Morza Czarnego po Kaspijskie, w dolnym biegu Wołgi i u północnych podnóży Kaukazu. Stolica, Atyl-Chazaran (Itil Chazarski), powstała z połączenia dwóch miast leżących w delcie Wołgi. Państwo zostało podbite i zniszczone przez kijowskiego księcia Światosława w latach 60. X wieku.

**Poczajna** – rzeka, która wpływa do Wołgi niedaleko Kijowa i jest wzmiankowana głównie w związku z przyjęciem chrześcijaństwa na Rusi Kijowskiej. Właśnie w jej nurt ciskano rozbite posągi starych bogów słowiańskich.

**Rujana** – dzisiaj Rugia, wyspa na Morzu Bałtyckim, obecnie należąca do Niemiec, niegdyś siedziba znanego z wojowniczości, zachodniosłowiańskiego plemienia Rujanów (Ranów). Zasłynęła głównie jako gniazdo piratów i miejsce, gdzie znajdowały się ważne świątynie i

ośrodki wróżebne, poświęcone różnym bogom, między innymi Swantewitowi (Świętowitowi).

**Sławutycz** – dawna nazwa rzeki Dniepr, nadana prawdopodobnie jeszcze przez pierwotne plemiona słowiańskie, żyjące w jej dolinie w czasie tworzenia się etnosu słowiańskiego.

**Suwar** – jedno z najważniejszych miast Bułgarii Nadwołżańskiej, w połowie X wieku centrum samodzielnego państwa i wielkie centrum handlowe, które wybijało własne monety. Plemię Suwarów (lub Suarów, przodków dzisiejszych Czuwaszów) rzeczywiście zbuntowało się przeciwko Bułgarii, a jako powód podaje się właśnie niechęć do przyjęcia wiary muzułmańskiej.

**Zilantaw** – w rzeczywistości chodzi o nazwę wzgórza na terenie dzisiejszego Kazania w rosyjskiej republice Tatarstanu, u ujścia Kamy do Wołgi. Według baśni we wzgórzu tym mieszkały smoki, w miejscowych językach nazywane zilantami. Z kombinacji tej góry i Diabelskiej Wieży z Jełabugi powstała w powieści suwarska smocza wieża.

## DAWNE PLEMIONA I LUDY

**Burtasi** – koczownicze turko-tatarskie plemię z dorzecza Wołgi.

**Baszkirzy** – koczownicze turko-tatarskie plemię z dorzecza Wołgi.

**Czeremisi, Czudowie, Meriowie, Meszczrowie, Mokszowie, Muromcy, Permowie, Wesowie, Udmurci** – plemiona ugrofińskie, żyjące nad Wołgą i jej dopływami, jak Kama czy Oka.

**Dregowicze, Drewlanie, Krywicze, Polanie, Połocczanie, Radymicze, Słowienie, Tywercy, Ulicze, Wiatycze** – plemiona wschodniosłowiańskie, zamieszkujące tereny dzisiejszej Rosji, Ukrainy, Białorusi i Mołdawii.

**Kipczakowie** – jedna z nazw koczowniczego ludu turko-tatarskiego, występującego w *Słowie o wyprawie Igora* pod nazwą Połowców. Znani są również jako Kumani.

**Peczery** – zagadkowe, najprawdopodobniej niesłowiańskie, plemię, żyjące na ziemiach Rusi Kijowskiej i wzmiankowane w *Powieści minionych lat*. Ponieważ „pieczara” oznacza jaskinię, a legendy podają, że Światosław znalazł swoją niewolnicę Maluszę, matkę przyszłego wielkiego księcia Włodzimierza, w jaskini, gdzie zajmowała się czarami i wróżbiarstwem, w powieści doszło do połączenia tych informacji.

**Pieczynowie** – turko-tatarski koczowniczy lud, bardzo wojowniczy, wrogo nastawiony do Rusi Kijowskiej. Z Pieczynami walczył nie tylko Ingwar – Igor, ale również Światosław i jego następca Włodzimierz. W roku 968 Pieczynowie oblegali Kijów, a w roku 972 podstępnie pojmali i zabili Światosława (prawdopodobnie z polecenia Bizancjum).

**Rusowie** – *Ruotsi*, jedna z nazw Skandynawów, którzy kolonizowali

doliny rzek ruskich. Później miano to zostało przeniesione na wszystkich mieszkańców Rusi Kijowskiej, zarówno wikingów, jak Słowian.

**Waregowie** – pochodzący przeważnie ze Szwecji Skandynawowie, kolonizujący tereny dzisiejszej Rosji (odpowiednik używanej na Zachodzie nazwy „wikingowie”). Byli założycielami Nowogrodu i Rusi Kijowskiej, kilkakrotnie zaatakowali Carogród, a podczas wyprawy Światosława zniszczyli państwo Chazarów. Wysłana przez Włodzimierza gwardia wareska wiernie służyła cesarzowi bizantyjskiemu, była elitarną jednostką jego armii i uśmierzyła kilka wewnętrznych powstań. Podczas IV krucjaty w roku 1204 właśnie gwardia wareska najdłużej broniła Konstantynopola i stoczyła z krzyżowcami niezwykle krwawą bitwę.



## POSTACIE HISTORYCZNE

**Ahmed ibn Dżafar** – władca Bułgarii Nadwołżańskiej w połowie X wieku.

**Ahmed ibn Fadlan** – arabski uczony, podróżnik i misjonarz, który w roku 922 na rozkaz kalifa Bagdadu al-Muktadira wyruszył w dorzecze Wołgi i przyniósł do Bułgarii *Koran* i wiarę muzułmańską. Jest autorem ważnych relacji o zwyczajach Waregów i Słowian z Powołża. Pisarz Michael Crichton uczynił go narratorem powieści *Zjadacze umarłych*, którą znamy też z wersji filmowej pod tytułem *Trzynasty wojownik*, gdzie rolę ibn Fadlana zagrał Antonio Banderas.

**Almas (Dżafar)** – władca Bułgarii Nadwołżańskiej, który starał się uwolnić spod wpływu państwa Chazarów (gdzie religią państwową był judaizm) i dlatego w roku 922 przyjął islam, a pierwotne imię Almas zmienił na arabskie Dżafar ibn Abdullah.

**Asmud** – według *Powieści minionych lat* stary wareski wódz, jeden z wychowawców księcia Światosława.

**Helga (Olga)** – księżna Rusi Kijowskiej, która po śmierci swego męża Ingwara (Igora) w roku 945 panowała jako regentka do około 963 roku, dopóki nie dorósł prawowity następca tronu Światosław. Zasłynęła zarówno niezwykle okrutnym i bezlitosnym stłumieniem powstania plemion słowiańskich, jak też przyjęciem chrześcijaństwa (została ochrzczona w samym Carogrodzie). W legendach ruskich nazywana Olgą Priekrasną. Zmarła 11 lipca 969 roku, a później została uznana za świętą.

**Helgi (Oleg)** – panował 879-912, krewny Ruryka (prawdopodobnie

szwagier), który sprawował władzę nad Kijowem i Nowogrodem w czasie, gdy syn Ruryka, Ingwar, był zbyt młody na objęcie tronu. Poprowadził wielką wyprawę przeciw Carogrodowi, w której efekcie Bizantyjczycy zgodzili się na zawarcie umowy zapewniającej przywileje wareskim kupcom handlującym w stolicy cesarstwa. Według legendy zmarł po ukąszeniu przez węża, jak opowiada się też w niniejszej historii.

**Ingvar (Igor)** – panował 912-945, książę kijowski, prawdopodobnie syn Ruryka (specjaliści nie są co do tego zgodni), ojciec Światosława. Poprowadził dwie wielkie wyprawy przeciwko Carogrodowi, walczył z Chazarami i Pieczyngami, uśmierzył kilka powstań plemion słowiańskich. Do historii przeszedł jako człowiek, którego zabiła własna chciwość – kiedy po raz drugi tego samego roku przybył pobierać daniny od plemienia Drewlan, ci rozgniewali się, pobili książęcą drużynę, a samego Ingwara przywiązali do dwóch zgiętych brzoź i rozerwali. To im jednak nie wyszło na dobre, ponieważ wdowa po Ingwarze, księżna Helga, okrutnie się na nich zemściła: kazała zakopać żywcem plemiennych naczelników, a większość ich grodów oraz osad spaliła i zrównała z ziemią.

**Kotrag** – chan, założyciel Bułgarii Nadwołżańskiej, który w połowie VII wieku przyprowadził na te tereny plemiona bułgarskie po rozpadzie wielkiego państwa Onogur.

**Kubrat** – chan, pierwszy i zarazem ostatni władca wielkiego bułgarskiego państwa Onogur, które założył w roku 632 po klęsce wcześniejszych władców okolicznych ziem, Awarów. Przetrwało tylko do jego śmierci około 660 roku.

**Kurja** – na pół mityczny władca Pieczyngów, który według *Powieści minionych lat* zawarł tajną umowę z Bizantyjczykami i kazał podstępnie zabić Światosława, by potem móc wznosić toasty pucharem z jego pozłacanej czaszki. W powieści *Bohatyr* występuje jego fikcyjny syn Bajan.

**Mumin** – syn władcy Bułgarii Nadwołżańskiej Ahmeda, panował w kraju wraz ze swym bratem Talibem. Konflikt między nimi doprowadził do wojny

domowej.

**Ruryk** (około 830-879) – na pół mityczny założyciel rosyjskiej dynastii panującej, ojciec Ingwara i dziad Światosława. Wódz skandynawski, który przybył prawdopodobnie na wezwanie skłóconych plemion słowiańskich i ugrofińskich około 862 roku do miast Ładoga i Nowogród, po czym ustanowił tam nowe prawa i centralną władzę.

**Sweneld** – kijowski wódz, kilkakrotnie wzmiankowany w *Powieści minionych lat*. Był drużynnikiem Ingwara (podobno nawet bogatszym i bardziej szanowanym przez ludzi niż sam książę), Helgi, Światosława i jego syna Jaropelka, musiał więc być niezwykle żywotnym człowiekiem. Z powodu jego wysokiego stanowiska i podobieństwa imienia z wareską formą imienia Światosława (Sfendald) zachodzi przypuszczenie, że chodziło o jedną i tę samą osobę, ale w powieści trzymałem się *Powieści minionych lat*, która zdecydowanie rozróżnia tych dwu mężczyzn.

**Światosław** (około 942-972) – książę kijowski, syn Ingwara (Igora) i Helgi (Olgi), ojciec Włodzimierza Wielkiego. Panował krótko, ale podobnie jak Aleksander Wielki, do którego często przyrównują go historycy, zdążył wiele zdziałać. Obiektywnie, nie był zbyt dobrym władcą, ponieważ interesowały go bardziej wojenne wyprawy niż bezpieczeństwo rodzinnych ziem. Na przykład podczas jego wojennej wyprawy na Bułgarię Pieczyngowie pociągnęli na Kijów i niemal go zdobyli. Światosław był za to zdolnym dowódcą. Jego taktyka (opisana w powieści – szybkie przemieszczanie się jazdy, skromne zaopatrzenie podczas wyprawy) została poświadczona w źródłach pisanych. Jego wygląd (niebieskooki, chmurny, niski, barczysty, z długimi wąsami i jedynym kosmykiem włosów na ogolonej głowie, wielki złoty kolczyk w uchu) został zrekonstruowany na podstawie zapisków bizantyjskich, więc Światosław rzeczywiście wyglądał tak, jak opisano go w książce. Został w roku 972, w wieku niespełna trzydziestu lat, zabity przez Pieczyngów podczas zdradzieckiego ataku koczowników u brodów naddnieprzańskich, a chan Pieczyngów kazał sobie zrobić puchar z czaszki

księcia.

**Talib** – jeden z synów bułgarskiego emira Ahmeda. Panował w Suwarze, a po śmierci ojca znalazł się w konflikcie ze swoim bratem Muminem, którego siedzibą był stołeczny Bułgar, więc wybuchła nowa wojna między Suwarem a Bułgarem. W roku 976 Talib został pokonany, a Suwar definitywnie przyłączony do Bułgarii.

## DAWNI BOGOWIE, MITYCZNE ZWIERZĘTA I MIEJSCA

**Arklig** – starobułgarski bóg wojny.

**Asgard** – w mitologii skandynawskiej kraina bogów, w której znajdowała się Walhalla, siedziba boga Odyna.

**Bujan** – w rosyjskim folklorze wyspa, która pojawia się i znika we mgle gdzieś na środku dalekiego północnego morza. Niektórzy badacze utożsamiają ją z Rugią. W baśniach uważana za siedzibę Kościeja Nieśmiertelnego i miejsce, gdzie znajduje się święty kamień Alatyr (ogromna bryła bursztynu). Rośnie tam wielki żelazny dąb, spod którego wytryska źródło nieśmiertelności. W naszej opowieści wyspę Bujan umieszczono w zaświatach, pośrodku nurtu zaświatowej rzeki Smorodiny.

**Dadźbóg** – wschodniosłowiański bóg słońca.

**Kwar** – u ludów turko-tatarskich bóg gromów i burzy.

**Mokosz** – słowiańska bogini ziemi, wilgoci, urodzaju – Matka Ziemia.

**Obuzgan** – w mitologii starobułgarskiej święty niebiański byk.

**Perun** – bóg gromu, błyskawicy, burz, ale też urodzaju, na niemal całym obszarze Słowiańszczyzny uważany za najwyższe i najpotężniejsze bóstwo.

**Smorodina** – mityczna rzeka, która pojawia się często w rosyjskich baśniach i bylinach. Ze względu na nazwę, pochodzącą od słowa „śmierdzieć”, oraz na fakt, że po przekroczeniu Smorodiny bohaterów w większości przypadków czekało coś złego, niebezpiecznego czy wręcz zabójczego, Smorodinę uważa się za słowiański Styks, czyli rzekę oddzielającą świat żywych od krainy zmarłych.

**Szyszygi** – w folklorze ludów żyjących pod Uralem i na ziemiach dzisiejszego Tatarstanu wodne nimfy, rusałki czy syreny, które żyją w rzece Kamie, swoim śpiewem wabią podróżnych i w ten sposób rzucają na nich złe, na ogół zabójcze, czary.

Tangra – starobułgarski bóg nieba i słońca, stwórca, tożsamy z awarskim, tureckim czy mongolskim Tengrim.

**Umaja** – u ludów turko-tatarskich pod Uralem i na Powołżu bogini matka, stwórczyni.

**Weles** – słowiański bóg bogactwa i urodzaju, jednocześnie stróż zaświatów. Po wprowadzeniu chrześcijaństwa utożsamiany z szatanem, diabłem.

**Zilant** – uskrzydłony wąż, smok. Do dziś zajmuje ważne miejsce w mitach Powołża, głównie na terenie republiki Tatarstanu, której stolica Kazań ma go nawet w herbie, a miejscowe doroczne spotkanie fanów science fiction i fantasy nazywa się Zilant-con. Zilanty rzeczywiście cieszyły się wielkim szacunkiem w dawnej Bułgarii Nadwołżańskiej – prawie każde miasto ma jakąś legendę związaną z tymi mitycznymi zwierzętami (Diabelska Wieża w Jełabudze, Zilantowa Góra w Kazaniu, szczyt w Bilarze, na którym pierwsi osadnicy znaleźli gniazdo wielkiego smoka). Powieść *Bohatyr* nie miała być pierwotnie historią o walce ze smokiem, ale zilanty były tak istotną częścią miejscowego folkloru i religii pogańskiej, że nie można było zignorować tej okoliczności.

## PRZEDMIOTY CODZIENNEGO UŻYTKU, NAZWY, TYTUŁY HONOROWE, JEDNOSTKI MIAR

**Bagain** – dawniej u Bułgarów oficer wysokiej rangi, generał. Bułgarska mafia w Stanach Zjednoczonych do dzisiaj używa tego tytułu w stosunku do wysokiej rangi członków klanu (tak jak mafia włoska ma swoich donów, tak bułgarska ma wajdów, chanów i bagainów).

**Baghatur** – wyraz pochodzenia tureckiego, oznacza wyróżniającego się wojownika, drużynnika, kogoś wsławionego męstwem. Właśnie od tego wyrazu pochodzi słowo „bohater”.

**Batiuszka** – w języku rosyjskim określenie starszego, szanowanego człowieka.

**Bej** – u ludów arabskich lub tureckich oficer wysokiej rangi, urzędnik państwowy, względnie wasal lub zastępca władcy. Dosłownie: naczelnik.

**Bismillah!** – dosłownie: W imieniu Boga!

**Chesz** – w starobułgarskim wojsku określenie najemnika i sojusznika. Dosłownie: przyjaciel.

**Chorowod** – na Rusi taneczny dziewczęcy pochód w trakcie świąt.

**Czaprak** – ozdobne okrycie końskie.

**Czerty** – domniemane starosłowiańskie pismo znakowe, podobne do run i wykorzystywane głównie w celach magicznych i wieszczych.

**Drakkar** – łódź skandynawskich wikingów (także szwedzkich Waregów). Nazwa pochodzi od rzeźbionej głowy smoka, umieszczanej na dziobie, której celem było sianie strachu wśród mieszkańców zdobywanego terytorium.

**Emir** – arabski tytuł wojskowy, później szlachecki, przejęty przed Bułgarów Nadwołżańskich po przyjęciu przez nich wiary muzułmańskiej jako tytuł władców (przedtem określano ich mianami „chan” lub „elteber”). Dosłownie: dowódca.

**Gosudar** – w języku rosyjskim tytuł władcy, ale też wybitnej głowy rodu lub przywódcy plemienia.

**Gon** – stara miara odległości: około 100 metrów lub 125 kroków.

**Kalif** – wybitny, ewentualnie najwyższy władca u ludów muzułmańskich. Kalif, o którym mowa w naszej opowieści, czyli ten, który wysłał do Bułgarii Nadwołżańskiej propagatorów wiary muzułmańskiej, to al-Miktadir z dynastii Abbasydów, panujący w latach 908-932.

**Kolczuga** – część zbroi, pancerz ze splecionych małych, drucianych kółek.

**Konung** – tytuł wybitnych skandynawskich wodzów. Właśnie od tego słowa pochodzi angielski wyraz king – król.

**Kowsz** – typowe staroruskie naczynie służące do picia (ale też do nabierania ziarna czy innych codziennych czynności) w kształcie podłużnej misy z krótkimi, często pięknie zdobionymi uchwytami po obu stronach. Bogato rzeźbione, czasami złote lub srebrne kowsze były najczęściej spotykanym rodzajem naczyń na carskich stołach podczas uczt.

**Kurhan** – wyraz pochodzenia tureckiego na oznaczenie grobów w kształcie kopca, typowych dla narodów żyjących na stepach Azji Środkowej (wyraz ten, w pierwotnym brzmieniu *kurgan*, posłużył jako imię własne negatywnego bohatera filmu *Nieśmiertelny*, który także miał pochodzić z rosyjskich stepów).

**Okowita** – stary wyraz na określenie wódki. Wysokoprocentowy napój alkoholowy („okowita” to zeslawizowane *aqua vitae* – żywa woda).

**Piędź** – stara miara długości: około 19 centymetrów.

**Pud** – staroruska miara wagi: 16,4 kilograma.

**Sażen** – stara miara długości: dziesięć piędzi to około 1,89 metra.



**Skalla** – stare nordyckie określenie na dom, dwór, gród. Najczęściej siedziba wodza lub władcy.

**Wiorsta** – staroruska miara odległości: 1,6 kilometra.

**Tarkan** – u ludów turko-tatarskich i Bułgarów tytuł władcy. Inna forma turko-tatarskich tytułów kagan i chan. Później zaczęto w ten sposób tytułować zastępców władcy i starostów miejskich.

**Tug** – u ludów turko-tatarskich i Bułgarów nazwa znaku rozpoznawczego szlachcica lub oddziału wojskowego, niesionego na długiej, ozdobnej tyce.

**Żehra** – starosłowiańska nazwa pogańskiego kamienia ofiarnego.

**Żmij** – rosyjskie określenie smoka (na przykład znany z baśni Żmij Gorynycz), w naszej opowieści użyte jako nazwa pewnego gatunku tego stworza, konkretnie trzygłowych zielonych smoków, które w rosyjskim folklorze występują najczęściej.